

RAAFA JASNOSCI



DAVID BROWN

David Brin

Rafa jasności

Księga pierwsza nowej trylogii o wspomaganii

Dla Herberta H. Brina, poety, dziennikarza, przez całe życie walczącego o sprawiedliwość.

Asx

Muszę prosić was o pozwolenie. Was, moje pierścienie, moje odrębne jaźni.

Głosujcie! Czy mam przemówić do świata zewnętrznego w imieniu nas wszystkich? Czy mamy połączyć się raz jeszcze, by stać się Asxem?

Jest to imię używane przez ludzi, gheuenów i inne istoty, gdy zwracają się do tego stosu kręgów. Nazwaną tym imieniem koalicję pulchnych traeckich pierścieni wybrano na mędrca Wspólnoty, szanowanego i otaczanego czcią, osądzającego członków wszystkich sześciu gatunków wygnańców.

Tym imieniem -Asx- wzywają nas, gdy chcą wysłuchać opowieści. Czy osiągnęliśmy zgodę?

Asx składa więc relację... z wydarzeń, które przeżyliśmy, a takie z tych, które zrelacjonowali nam inni. "Ja" będę narratorem, całkiem jakby ten stos był na tyle szalony, by stawiać czoło światu, mając tylko jeden umysł.

Asx warzy tę historię. Poglaszczcie jego woskowe ślady. Poczujcie, jak wiruje woń opowieści.

Nie istnieje lepsza, którą "ja" mógłbym opowiedzieć.

Wstęp

Ból jest ścięciem utrzymującym go w całości... Gdyby go nie czuł, rozpadłby się już niczym pogryziona lalka lub popsuta zabawka, zostawił swe rozerwane części wśród pokrytego szlamem sitowia i zniknął w otchłani czasu.

Błoto pokrywa go od stóp do głów. W miejscach, gdzie wysusza je słońce, blednie, tworząc układankę z kruszących się płytek, jaśniejszych od jego smagłej skóry. Osłaniają one nagość wierniej niż zwęglone szaty, które opadły niczym sadza po jego panicznej ucieczce z ognia. Owa osłona koi palące cierpienie, aż złagodzona udręka staje się niemal miłym towarzyszem, niczym gadatliwy pasażer, którego jego ciało dźwiga przez nie kończące się, wsysające bagno.

Wydaje mu się, że otacza go jakaś muzyka, dokuczliwa ballada zadrapań i poparzeń. Opus na uraz i szok.

Złowróźbną kadencję wygrywa dziura w jego skroni.

Tylko raz dotknął dłonią ziejącej rany. Koniuszki palców nie zostały powstrzymane przez skórę i kość, lecz posuwały się przerażająco głęboko, zanim jakiś odległy instynkt sprawił, że zadrżał i wycofał je. To było coś, czego nie mógł zrozumieć, utrata, której nie potrafił pojąć.

Utrata samej zdolności pojmowania...

Bagno mlaszcze chciwie, przy każdym kroku wciągając jego stopy. Pochylony, musi się gramolić na czworakach, by przedrzeć się przez kolejną barierę krzyżujących się ze sobą gałęzi połączonych pajęczyną pulsujących żyłek barwy czerwonej lub żółtej. Wśród nich widać uwięzione kawałki szklistej cegły bądź pokrytego dziobami metalu, a na nich plamy wywołane starością i kwasowymi sokami. Unika tych miejsc, przypominając sobie niejasno, że kiedyś miał poważne powody, by trzymać się od nich z daleka.

Kiedyś wiedział mnóstwo rzeczy.

Zahacza nogą o ukryte pod oleistą taflą wody pnącze. Pada w bagno. Z trudem utrzymuje głowę nad powierzchnią. Kaszle i dławi się. Drży, dźwigając się z wysiłkiem na nogi, a potem znowu zaczyna się wlec przed siebie, doszczętnie wyczerpany.

Następny upadek może oznaczać koniec.

Brnie naprzód uporczywie, siłą przyzwyczajenia, a towarzyszący temu ból recytuje

wieloczęściową fugę – nagi i drażniący, okrutny, bez słów. Jedyńm zmysłem, który wydaje się nietknięty po wstrząsie upadku, uderzeniu w ziemię i ogniu, jest węch. Nie ma poczucia kierunku ani celu, lecz połączony odór wrzącego paliwa oraz jego własnego przypalonego ciała pomagają mu wlec się dalej. Powłóczy nogami, pochyła się, gramoli na czworakach i utyka, aż wreszcie cierniowy gąszcz się przerzedza.

Nagle pnącza znikają. Rozciąga się przed nim bagno – rzadko porośnięte dziwnymi drzewami o łukowatych, spiralnych korzeniach. Trwoga mąci jego umysł, gdy zauważa, że woda staje się głębsza. Wkrótce nie kończące się grzęzawisko sięgnie mu po pachy, a potem wyżej.

Wkrótce umrze.

Nawet ból zdaje się z tym zgadzać. Łagodnieje, jakby zrozumiał, że nie ma sensu zawracać głowy zmarłemu. Ów prostuje się ze skrzywionej, zgarbionej pozycji, po raz pierwszy od chwili, gdy wypadł z wraku wijąc się, ogarnięty płomieniami. Powłócząc nogami po śliskim błocie, zatacza powoli krąg...

...i nagle staje przed parą oczu przyglądających się mu z gałęzi najbliższego drzewa. Oczu osadzonych nad krótką, grubą szczęką o ostrych jak igły zębach. Jak maleńki delfin, myśli, kosmaty delfin z krótkimi, muskularnymi nogami... oczyma skierowanymi do przodu... i uszami.

Cóż, być może porównanie do delfina nie było trafne. Nie myśli w tej chwili najsprawniej. Niemniej zaskoczenie wyszarpuje z jego umysłu pewne skojarzenie. Wzdłuż jakiejś ocalałej ścieżki przepływa szczątek, który omal nie przeradza się w słowo.

– Ty... Ty... -Próbuje przełknąć ślinę. -Ty... Ty... t... t... t...

Stworzenie przechyla głowę, przyglądając mu się z zainteresowaniem. Przysuwa się bliżej po gałęzi, gdy człowiek kuśtyka ku niemu, wyciągając ramiona...

Nagle skupienie zwierzęcia pryska. Stworzonko zerka w kierunku, z którego dobiega dźwięk.

Pluszcze ciec... potem jeszcze raz... i jeszcze. Odgłos powtarza się w miarowym rytmie, zbliżając się stopniowo. Świst i plusk, świst i plusk. Gładkofutre zwierzątko spogląda z ukosa gdzieś za jego plecy, po czym chrząka cicho, wzdychając z rozczarowaniem. Obraca się błyskawicznie i znika wśród liści o dziwacznych kształtach.

Człowiek unosi dłoń, by skłonić je do pozostania. Nie może jednak znaleźć słów. Nie umie wyrazić żalu, gdy krucha nadzieja wali się w przepaść opuszczenia. Raz jeszcze wydaje z siebie żalony jęk.

-Ty... Ty...

Pluskanie zbliża się. Pojawia się też dźwięk wciągania powietrza z głuchym pomrukiem.

Odpowiada mu mlaskanie, które dobiega na przemian z gwizdzącymi szeptami.

Rozpoznaje odgłos mowy, hałas wydawany przez istoty rozumne, choć nie pojmuje słów. Otepiały z bólu i rezygnacji, odwraca się i mruga bez zrozumienia na widok łodzi wynurzającej się z gaju bagiennych drzew.

Łódź. Słowo -jedno z pierwszych, jakie poznał – znajduje drogę do jego umysłu gładko i z łatwością, tak jak ongiś działało to z niezliczonymi innymi wyrazami.

Łódź. Zbudowana z wielu długich, wąskich rur, zręcznie pozgina-nych i połączonych w całość. Wprawiają ją w ruch postacie w zgodnym rytmie poruszające tyczkami i wiosłami. Postacie, jakie zna. Widywał już podobne. Ale nigdy tak blisko.

Nigdy współpracujące.

Jedna to stożkowaty stos pierścieni, o malejącej z wysokością średnicy, opasany obwódką gibkich macek, dzierzących długą tyczkę, używaną do odpychania korzeni drzew od kadłuba. Tuż obok para odzianych w zielone płaszcze dwunogów o szerokich barach macha wielkimi, przypominającymi

czerpaki wiosłami. Ich długie, pokryte łuskami ramiona błyszczą w skośnych promieniach słońca. Czwarty jest niebieskiego koloru, opancerzony, pokryty skórzastymi płytami, ma przypominający garb tułów zwieńczony przysadziłą kopułą opasaną lśniącą wstęgą oka. Z centrum sterczy promieniście pięć potężnych nóg, całkiem jakby stworzenie było w każdej chwili gotowe do ucieczki we wszystkich kierunkach jednocześnie.

Zna te sylwetki. Zna je i boi się ich. Ale prawdziwa rozpacz zalewa jego serce dopiero wtedy, gdy dostrzega ostatnią istotę, która stoi na rufie i trzyma rumpel łodzi, wpatrując się w gąszcz pnączy i zmurszałych kamieni.

Dwunoga postać jest drobna i szczupła, odziana w strój z prymitywnej tkaniny. Znajomy zarys, aż nazbyt podobny do jego własnego. To ktoś obcy, lecz dzieli z nim dziedzictwo mające początek nad pewnym słonym morzem, odległym od tej kosmicznej mielizny o wiele eonów i galaktyk.

To ostatnia postać, jaką pragnął ujrzeć w tym zapadłym miejscu, tak daleko od domu.

Wypełnia go rezygnacja, gdy opancerzony pięcionóg krzycząc unosi zakończoną szczypcami kończynę, by wskazać w jego stronę. Pozostali gnają na przód łodzi, by mu się przyjrzeć. On również się na nich gapi, gdyż to niezwykle obraz – wszystkie te twarze i postacie szwargoczące do siebie, by wyrazić zdumienie jego widokiem, a potem ganiające po łodzi, współpracujące zgodnie i wiosłujące ku niemu z wyraźnym zamiarem pomocy.

Unosi ręce niczym w geście powitania. Potem, na rozkaz, oba kolana uginają się i zalewa go mętna woda.

W ostatnich sekundach, gdy rezygnuje już z walki o życie, przepęłnia go ironia. Pokonał długą drogę i zniósł wiele. Jeszcze przed chwilą wydawało się, że jego ostatecznym przeznaczeniem, jego zgubą, będą płomienie.

Z jakiegoś powodu utonięcie wydaje się bardziej odpowiednim sposobem odejścia.

I KSIĘGA MORZA

Wy, którzy wybraliście ten sposób życia – zamieszkanie, rozmnażanie się i śmierć w tajemnicy na tym kalekim świecie,

trwogę przed gwiazdnymi szlakami, po których ongiś wędrowaliście, ukrywanie się wraz z innymi wygnańcami w miejscu zakazanym przez prawo... jakiej sprawiedliwości wolno wam się domagać?

Wszechświat jest bezwzględny. Jego prawa są bezlitosne.

Nawet zwycięskich i wspaniałych karze miażdżący wszystko kat zwany czasem. Jeszcze okrutniejszy jest on dla was, którzy jesteście przekłęci i boicie się nieba...

Istnieją jednak drogi, które prowadzą w górę nawet od rozpaczliwego smutku.

Ukrywajcie się, dzieci wygnania! Lękajcie się gwiazd! Lecz baczenie wypatrujcie i nasłuchujcie pojawienia się ścieżki.

Zwój Wygnania

Opowieść Alvina

W dniu, gdy dorosłem już na tyle, że moje włosy zaczęły się stawać białe, rodzice wezwali wszystkich członków naszej tłumnej gromadki do rodzinnego khuta na ceremonię nadania mi właściwego imienia – Hph-wayuo.

Myślę sobie, że jest całkiem niezłe, jak na hoońskie nazwanie. Łatwo

wydobywa się z mojego worka rezonansowego, nawet jeśli czasami czuję się zażenowany, gdy je słyszę. Prawo do jego używania przysługuje podobno naszemu rodowi od czasów, gdy skradacz przywiózł na Jijo pierwszych hoonów.

Skradacz był superpołyskliwy! Nasi przodkowie byli zapewne grzesznikami, skoro przybyli na tę

obłożoną tabu planetę, by się na niej rozmnażać, lecz aby tu dotrzeć, lecieli potężnym krążownikiem gwiazdowym, wymykając się patrolom Instytutu, niebezpiecznym Zangom oraz węglowym burzom Izmunuti. Grzesznicy czy nie, musieli być diabelnie odważni i okropnie dużo umieć, by dokonać podobnych rzeczy.

Przeczytałem wszystko, co udało mi się znaleźć na temat owych dni, choć wydarzyło się to setki lat przed tym, nim na Jijo pojawił się papier i jedynym źródłem informacji jest garstka legend o owych hoońskich pionierach, którzy spadli z nieba, by odnaleźć ukrywających się już na Stoku g' Keków, gławery i trackich. Historie opowiadające, jak ci świeżo przybyli hoonowie zatopili swój skradacz w głębi Śmietniska, by nie można go było odnaleźć, a potem zaczęli budować prymitywne drewniane tratwy, które były pierwszymi statkami żeglującymi po rzekach i morzach Jijo od czasu odejścia wielkich Buyurów.

Skoro imię, które mi nadano, wiąże się ze skradaczem, nie może chyba być takie złe.

Ale tak naprawdę lubię, jak mówią na mnie "Alvin".

Nasz nauczyciel, pan Heinz, chce, żeby uczniowie starszych klas zaczęli prowadzić dzienniki, chociaż niektórzy rodzice skarżą się, że tutaj, na południowym krańcu Stoku, papier jest zbyt drogi. Nie dbam o to. Będę pisał o przygodach, jakie przeżywam z przyjaciółmi, gdy pomagamy dobrodusznym marynarzom w porcie, nękając ich jednocześnie pytaniami, albo kiedy badamy kręte kanały przepływu lawy na stokach pobliskiego wulkanu Mount Guenn czy zapuszczamy się naszą małą łódką aż do długiego, wąskiego i ostrego cienia Krańcowej Skały.

Może któregoś dnia zrobię z tych notatek książkę!

Dlaczego nie? Znam anglicznie naprawdę dobrze. Nawet zrzędlawy staruszek Heinz przyznaje, że mam wielki talent do języków. Nauczyłem się na pamięć miejskiego egzemplarza słownika Rogeta, kiedy miałem dziesięć lat. Zresztą, skoro drukarz Joe Dolenz przybył do Wuphonu otworzyć interes, dlaczego mielibyśmy szukać nowych rzeczy do czytania tylko w wędrownej karawanie bibliotekarza? Może

nawet pozwoli, bym sam składał tekst! To znaczy, jeśli zdążę zabrać się do tego, nim moje palce zrobią się za wielkie, by uchwycić te małe, zwierciadlane literki.

Mu-phauwq, moja matka, mówi, że to świetny pomysł, choć widzę, że raczej pobłaża ona tylko dziecinnej obsesji. Chciałbym, żeby przestała traktować mnie tak protekcjonalnie.

Mój tata, Yowg-wayuo, okropnie marudzi, nadyma swój worek rezonansowy i mówi, że bym nie był takim naśladowcą ludzi. Jestem jednak pewien, że w głębi duszy podoba mu się ten pomysł. Czy sam ciągle nie zabiera pożyczonych książek w swoje długie podróże do Śmietniska, choć w zasadzie nie powinno się tego robić, bo co by się stało, gdyby statek zatonął i być może ostatni, starożytny egzemplarz Moby Dicka poszedł na dno razem z załogą? Czyż nie byłaby to prawdziwa katastrofa?

Czy zresztą niemal od dnia moich narodzin nie czytał mi swym huczącym głosem wszystkich wspaniałych, stworzonych przez Ziemiaków opowieści przygodowych, takich jak Wyspa skarbów, Sindbad czy Ultrafioletowy Marst. Jakże ma prawo nazywać mnie człekonastadow-cą?

Teraz tata powtarza, że powinienem czytać nowych hoońskich pisarzy, którzy starają się nie imitować starodawnych Ziemiaków i chcą stworzyć literaturę odpowiednią dla naszego gatunku.

Myślę sobie, że może faktycznie przydałoby się więcej książek w językach innych niż anglicznie. Ale drugi i szósty galaktyczny wydają się hołdem sztywnym, za sztywne żeby w nich opowiadać historie. Zresztą próbowałem czytać niektórych z tych pisarzy. Daję słowo. Muszę stwierdzić, że żaden z nich nie dorasta do pięt Markowi Twainowi.

Rzecz jasna, Huck zgadza się ze mną w tej sprawie! Huck to moja najlepsza koleżanka. Wybrała sobie to imię, choć wciąż jej powtarzam, że nie jest odpowiednie dla dziewczyny. Okręca tylko

jedną szypułkę oczną wokół drugiej i odpowiada, że jej to nie obchodzi, a jeśli jeszcze raz powiem na nią "Becky", złapie futro porastające mi nogi między swoje szprychy i zakręci kołami tak, aż zaczną wrzeszczeć.

Myślę sobie, że to nie ma znaczenia, bo g'Kekowie mogą zmieniać płęć, gdy odpadną im szkolne koła i jeśli Huck zechce zostać przy

żeńskiej, to tylko jej sprawa. Jako sierota mieszka z rodziną naszych sąsiadów od czasu, gdy Wielka Północna Lawina zgładziła klan tkaczy, który osiedlił się w znajdujących się w tamtej okolicy buyurskich ruinach. Można by się spodziewać, że będzie trochę dziwna, skoro przeżyła coś takiego, a potem wychowali ją hoonowie. Tak czy inaczej, to świetna koleżanka i całkiem niezły żeglarz, chociaż jest g'Kekiem i dziewczyną, a do tego nie ma nóg godnych tej nazwy.

Koniuszek Szczypiec na ogół towarzyszy nam w naszych wyprawach, zwłaszcza gdy przebywamy blisko brzegu. Niepotrzebne mu przydomki zapożyczone z jakiejś opowieści, bo wszystkim czerwonym qheuonom nadaje się przydomek, kiedy tylko wystawią swoje pięć szczypiec za wylęgarnię. Koniuszek nie czyta tyle, co Huck i ja, przede wszystkim dlatego, że niewiele książek może wytrzymać sól i wilgoć miejsca, w którym mieszka jego klan. Są biedni. Żywią się wijcami, które łapią na błotnych równinach na południe od miasta. Tata mówi, że qheueni o czerwonych skorupach byli ongiś sługami szarych i niebieskich, w czasach nim ich skradacz przywiózł wszystkie trzy grupy na Jijo. Nawet po tym szarzy przez pewien czas rozkazywali pozostałym i tata mówi, że czerwoni nie są przyzwyczajeni do samodzielnego myślenia.

To możliwe, ale gdy tylko zjawia się Koniuszek Szczypiec, z reguły to on opowiada – wszystkimi nogoustami jednocześnie – o węzłach morskich, zaginionych buyurskich skarbach czy innych rzeczach, które – jak przysięga – sam widział... albo słyszał o kimś, kto zna kogoś innego, kto mógł coś zauważyć, tuż nad horyzontem. Jeśli popadamy w kłopoty, to często z powodu czegoś, co sobie wykombinował pod tą twardą kopułą, osłaniającą jego mózg. Niekiedy chciałbym mieć wyobraźnię choć w jednej dwunastej tak bujną jak on.

Powinienem uwzględnić również Ur-ronn, bo ona też czasami nam towarzyszy. Ma prawie takiego samego bzika na punkcie książek jak Huck i ja. Jest jednak ursą, a istnieją granice tego, jak wielkim człəkona-śladowcą może stać się jedna z nich, nim zaprze się wszystkimi czterema nogami i powie prrr.

Na przykład, nie lubią przydomki.

Kiedyś, gdy czytaliśmy wybór starych greckich mitów, Huck spróbowała nazwać Ur-ronn "centaurem" Myślę sobie, że można powiedzieć, iż ursą przypomina jedno z tych baśniowych stworzeń – jeśli przed chwilą oberwało się w łeb cegłą i ból sprawia, że się nie widzi ani

nie myśli za dobrze. Ur-ronn nie spodobało się to porównanie. Okazała to w ten sposób, że machnęła swą długą szyją jak biczem i omal nie odgryzła jednej z szypulek Huck kłapięciem trójkątnych ust.

Huck powiedziała "centaur" tylko jeden raz.

Ur-ronn jest siostrzenicą Uriel, która ma kuźnię nieopodal ognistych sadzawek lawy wysoko na stokach Mount Guenn. Zdobyła stypendium jako kowalska uczennica, zamiast pozostać ze stadami i karawanami na trawiastej równinie. Wielka szkoda, że ciotka pilnuje, by Ur-ronn prawie cały czas była zajęta i nigdy nie pozwala jej wybierać się z nami łódką, pod pretekstem że ursy nie umieją pływać.

W swojej szkole na prerii Ur-ronn czytała bardzo dużo. Książki, o których nigdy nie słyszeliśmy w tej zapadłej części Stoku. Opowiada nam historie, które sobie przypomina, o Szalonym Koni, Dzyngis-cha-nie i bohaterskich uryjskich wojowniczkach z czasów wielkich bitew, jakie toczyły z

ludźmi, gdy Ziemiańcy przybyli już na Jijo, lecz nie powołano jeszcze Wspólnoty i nie zaczął się Wielki Pokój.

Byłoby superpolyskliwie, gdyby nasza banda mogła być kompletną szóstką, jak wtedy, gdy Drake, Ur-Jushen i ich towarzysze wyruszyli na Wielkie Poszukiwania i pierwsi ujrzeli na własne oczy Święte Jajo. Ale jedyny traeki w naszej osadzie to farmaceuta i er-on jest za stary, żeby zrodzić nowy stos pierścieni, z którym moglibyśmy się bawić. Jeśli zaś chodzi o ludzi, najbliższa ich wioska leży o kilka dni drogi stąd. Myślę więc sobie, że jesteśmy skazani na pozostanie czwórka.

Fatalnie. Ludzie są polyskliwi. Sprowadzili na Jijo książki i znają anglicznie lepiej niż ktokolwiek inny oprócz mnie i być może Huck. Ponadto ludzkie dziecko cokolwiek przypomina kształtem niewielkiego hoonu i mogłoby chodzić prawie wszędzie tam, gdzie ja na moich dwóch długich nogach. Ur-ronn umie co prawda szybko biegać, ale nie może wchodzić do wody. Koniuszek nie może się od niej za bardzo oddalać, a biedna Huck musi trzymać się miejsc, w których grunt jest odpowiedni dla jej kół.

Żadne z nich nie potrafi wspiąć się na drzewo.

Ale to moi kumple. Są zresztą rzeczy, które oni potrafią zrobić, a ja nie, więc myślę sobie, że to się równoważy.

Huck powiedziała, że powinniśmy na lato zaplanować naprawdę błyszczącą przygodę, bo zapewne będzie to ostatnia.

Szkołę zamknięto. Pan Heinz wyruszył w coroczną podróż do wielkiego archiwum w Biblos, a potem na zgromadzenie. Jak zwykle zabrał ze sobą kilku starszych hoonskich uczniów, w tym również przybraną siostrę Huck, Aph-awn. Zazdrościliśmy im tej długiej podróży – najpierw morzem, potem statkiem rzeczonym do miasteczka Ur-Tanj, a wreszcie karawaną osłów aż do górskiej doliny, gdzie będą oglądać rozgrywki i przedstawienia, odwiedzą Jajo i zobaczą, jak mędrcy osądzają wszystkich sześć gatunków wygnańców, które zamieszkują Jijo.

W przyszłym roku może i nam uda się załapać, muszę jednak przyznać, że perspektywa siedemnastu miesięcy oczekiwania nie była przyjemna. Co będzie, jeśli przez całe lato nie będziemy mieli nic do roboty, a rodzice, przyłapawszy nas na obijaniu się, każą pomagać w załadunku odpadków, rozładowywać łodzie rybackie i wykonywać setki innych bezmyślnych zadań? Jeszcze bardziej przygnębiające jest to, że nie będzie żadnych nowych książek, dopóki nie wróci pan Heinz – o ile nie zgubi listy, którą mu daliśmy!

(Pewnego razu przyjechał cały podekscytowany, z wielkim stosem staroziemskiej poezji, lecz nie miał ani jednej powieści takich autorów, jak Conrad, Coope czy Coontz. Co gorsza, niektórzy z dorosłych twierdzili, że im się spodobała!)

Tak czy inaczej, to Huck pierwsza zasugerowała, byśmy wybrali się za Linię. Nie jestem pewien, czy wyrażam w ten sposób należne przyjaciółce uznanie czy też staram się zwalić na nią winę.

– Wiem, gdzie można znaleźć coś do czytania – oznajmiła pewnego dnia, gdy zaczynało się nasze wczesne, południowe lato.

Yowg-wayuo przyłapał nas już na obijaniu się pod mołem, gdzie puszczałyśmy kaczki w stronę kopułosplawików, znudzeni jak noory w klatce. Oczywiście, wysłał nas natychmiast na szczyt długiej rampy dojazdowej i zagonił do naprawiania wioskowego okratowania maskującego. Zawsze nienawidziłem tej roboty. Ucieszę się, kiedy będę już za duży, by mnie do niej zmuszano. My, hoonowie, nie lubimy wysokości aż tak, jak te drzewołazy ludzie i ich pieszczochy szympansy. Powiem wam szczerze, że może się zakręcić w głowie, gdy trzeba się czołgać na szczyt drewnianej kraty tworzącej łukowe sklepienie nad wszystkimi domami i sklepami Wuphonu, by pielęgnować dywan zieleni, który podobno ma uniemożliwić dostrzeżenie naszej osady z kosmosu.

Wątpię, czy to naprawdę coś da, jeśli kiedyś nadejdzie Dzień, którym wszyscy tak się trapią. Gdy bogowie z nieba przybędą, by nas osądzić, co nam pomoże zasłona z liści? Czy ochroni nas przed karą?

Nie chcę jednak, by nazwano mnie heretykiem. Zresztą to nie miejsce, by o tym mówić.

Z tego właśnie powodu znaleźliśmy się wysoko nad Wuphonem, całkowicie wystawieni na palące promienie słońca, gdy z ust Huck, niczym nagła eksplozja pustego gradu, wyrwała się pewna uwaga. – Wiem, gdzie można znaleźć coś do czytania – oznajmiła.

Odłożyłem wąskie listewki, które niosłem, na kępę pnączy czarnego irysa. Na dole dostrzegalem dom farmaceuty. Z komina biły charakterystyczne traecke zapachy. (Czy wiecie, że nad tym budynkiem rosną odmienne gatunki roślin? Praca w tym miejscu może być trudna, jeśli farmaceuta produkuje lekarstwo akurat w chwili, gdy jesteś na górze!)

– O czym mówisz? – zapytałem, walcząc z atakiem zawrotów głowy. Huck podjechała do mnie, by podnieść jedną z listewek. Pochyliła się zgrabnie i wetknęła ją w miejsce, gdzie okratowanie się zapadło.

– O czytaniu czegoś, czego nikt na Stoku nigdy nawet nie widział -odparła jęklwym tonem, co robi zawsze, kiedy uważa jakiś pomysł za połyskliwy. Dwie szypułki zatrzymały się nad jej zajętymi dłońmi, podczas gdy trzecia obróciła się, by popatrzeć na mnie z błyskiem, który znałem aż za dobrze. – O czymś tak starożytnym, że najstarszy zwój na Jijo będzie przy tym wyglądał jak coś, co Joe Dolenz przed chwilą wydrukował i jest jeszcze wilgotne od farby!

Huck pomknęła wzdłuż belek. Przełykałem ślinę, gdy zawracała nagle o sto osiemdziesiąt stopni albo omijała ziejącą wyrwę, układając giętkie listewki niczym wiklinę tworzącą kosz. Na ogół uważamy g'Ke-ków za kruche istoty, bo wolą równe ścieżki i nie znoszą skalistego gruntu. Niemniej ich osie i obręcze są giętkie, a to, co g'Kek nazywa drogą, może być wąskie niczym deska.

– Nie opowiadaj głupot – warknąłem. – Twój ziomkowie spalili i zatopili swój skradacz, tak samo jak wszystkie gatunki, które wymknęły się na Jijo. Nie mieli nic prócz zwojów, dopóki nie przybyli ludzie.

Huck zakołysała tułowiem, naśladowując traECKI gest oznaczający:

"Możliwe, że masz rację, aleja-my tak nie sądzimy".

– Och, Alvin, przecież wiesz, że nawet pierwsi wygnańcy znaleźli na Jijo coś do czytania.

No dobra, nie zgrokowałem tego zbyt szybko. Jestem na swój sposób

całkiem inteligentny – dokładny i systematyczny w hoońskim stylu – ale nikt mnie nigdy nie oskarżył o prędkie myślenie.

Zmarszczyłem brwi, imitując "zamyśloną" ludzką minę, którą kiedyś widziałem w książce, mimo że czoło mnie od tego boli. Mój worek rezonansowy pulsował, gdy się koncentrowałem.

– Hnrrrm... Zaczekaj minutkę. Nie chodzi ci o te znaki na murach, które się czasem znajduje...

– Na starych buyurskich budynkach. Tak jest! Tych nielicznych, których nie zburzyły ani nie zjadły mierzwopajaki, kiedy Buyurowie odlecieli, milion lat temu. Właśnie te znaki.

– Ale czy to nie były przede wszystkim nazwy ulic i takie tam rzeczy?

– To prawda – zgodziła się, opuszczając jedną szypułkę. – Ale w ruinach, gdzie kiedyś mieszkałam, można znaleźć naprawdę dziwne. Wuj Lorben tłumaczył niektóre z nich na drugi galaktyczny, nim nadeszła lawina.

Nigdy nie przyzwyczaję się do tego, jak rzeczowo potrafi mówić o katastrofie, w której zginęła cała jej rodzina. Gdyby coś takiego przydarzyło się mnie, nie odezwałbym się ani słowem przez całe lata. Może już nigdy.

– Wuj wymieniał z jednym uczonym z Biblos listy na temat inskrypcji, które odkrył. Byłam za

mała, by wiele zrozumieć. Najwyraźniej jednak są uczeni, którzy chcą się czegoś dowiedzieć o buyurskich napisach ściennych.

Przypominam sobie, że pomyślałem wtedy: "I inni, którym to się nie spodoba". Bez względu na Wielki Pokój, we wszystkich sześciu gatunkach wciąż można trafić na osoby gotowe rzucać oskarżenia o herezję i ostrzegać przed straszliwą pokutą, która spadnie na nas z nieba.

– Szkoda, że te inskrypcje zostały zniszczone, kiedy... no wiesz.

– Kiedy góra zabiła moją rodzinę? Aha. Wielka szkoda. Posłuchaj, Alvin, czy mógłbyś mi podać jeszcze parę deszczulek? Nie mogę sięgnąć...

Huck zakołysała się na jednym kole. Drugie zawirowało szaleńczo. Przełknąłem ślinę i podałem jej kawałki pociętego na listwy busa.

– Dziękuję – powiedziała. Wylądowała z powrotem na belce z gwałtownym podskokiem złagodzonym przez jej amortyzatory. – Na czym to stałam? Aha. Buyurskie inskrypcje ścienne. Miałam zamiar

zasugerować, że możemy znaleźć takie, których nikt nigdy nie widział. Przynajmniej nikt z nas. Sześciu wygnańców.

– Jak to możliwe? – Mój worek rezonansowy musiał zatrzepotać pod wpływem dezorientacji, wydając mamroczące dźwięki. – Twój pobratymcy przybyli na Jijo dwa tysiące lat temu. Moi niewiele później. Nawet ludzie są tu już od kilkuset lat. Zbadano każdy cal Stoku i przetrząsnięto wszystkie buyurskie ruiny. Dziesiątki razy!

Huck wyciągnęła wszystkie cztery oczy w moją stronę.

– No właśnie!

W dobiegających z jej błony czaszkowej angielskich słowach dał się słyszeć lekki ton podniecenia. Gapiłem się na nią przez długi czas. Wreszcie wychrypiałem zaskoczony:

– Chcesz opuścić Stok? Wymknąć się na drugą stronę Rozpadliny? Powinienem być wiedzieć, że nie ma sensu pytać.

Gdyby losy Ifni potoczyły się tylko trochę inaczej, byłaby to całkiem odmienna opowieść. Tak niewiele brakowało, by życzenie Huck się spełniło.

Przede wszystkim, ciągle suszyła mi głowę. Nawet gdy już skończyliśmy naprawiać kratownicę i znów wałęsaliśmy się w pobliżu statków przycumowanych pod konarami olbrzymich gingurwów, nie przestawała mnie prześladować ze swym szczególnym połączeniem g'Keckiej inteligencji i hoońskiej wytrwałości.

– Daj spokój, Alvin. Czy nie zeglowaliśmy do Krańcowej Skały już dziesiątki razy i czy nie podpuszczaliśmy się wzajemnie, by płynąć dalej? Raz nawet to zrobiliśmy i nie stało się nic złego!

– Tylko do środka Rozpadliny. Potem czmychnęliśmy z powrotem do domu.

– I co z tego? Chcesz, żebyśmy się nigdy nie uwolnili od tego wstydu? To może być nasza ostatnia szansa!

Potarłem mój wółrozdęty worek, wydając z siebie głuchy, dudniący dźwięk.

– Czy nie zapominasz, że mamy już plan? Budujemy batyskaf, żeby zanurkować...

Zabeczła, wyrażając niesmak.

– Mówiliśmy już o tym w zeszłym tygodniu i zgodziłeś się ze mną. Batyskaf to bzdura.

– Zgodziłem się, że się nad tym zastanowię. Hrm. Ostatecznie Koniuszek zrobił już kadłub. Sam go wygryzł z tej wielkiej kłody gam. A co z pracą, którą włożyła w to reszta? Wyszukaliśmy stare ziemskie plany, wykonaliśmy pompę sprężarkową i linę. Są jeszcze te koła, które zachowałeś, i iluminator Ur-ronn...

– Tak, tak – skwitowała wszystkie nasze wysiłki, skręcając lekceważąco dwie szypułki. – Pewnie,

że fajnie było pracować nad tym zimą, kiedy i tak musieliśmy siedzieć w domu. Zwłaszcza że zanosilo się na to, iż nic nigdy z tego nie wyjdzie. Świetnie się bawiliśmy, udając. Ale teraz sprawy zaczynają wyglądać poważnie! Koniuszek mówi, że za miesiąc czy dwa naprawdę dokonamy głębokiego zanurzenia. Czy nie zgodziliśmy się, że to wariactwo? Powiedz, Alvin? – Huck podtoczyła się bliżej i zrobiła coś, czego nigdy nie słyszałem u innych g'Keków. Wydała z siebie dudniący burkot, naśladując ton, jakiego mogłaby użyć młoda hoonka, gdyby jej wielki, przystojny partner miał trudności z zaakceptowaniem jej punktu widzenia.

– Czy nie wolałbyś wyruszyć ze mną obejrzeć superpołyskliwie inskrypcje, błyszczące i starożytne, wykonane za pomocą komputerów, laserów i takich rzeczy? Hr-rm? Czy to nie lepsze niż utopić się w śmierdzącej odpadowej trumnie, w połowie drogi na dno morza?

Pora zmienić narzecze. Choć normalnie anglic wydaje mi się fajniej -szy niż stare, drętwe języki gwiazdnych bogów, nawet pan Heinz przyznaje, że jego "ludzkie tempa i luźna struktura logiczna często sprzyjają impulsywnemu entuzjazmowi".

W tej chwili potrzebowałem czegoś dokładnie przeciwnego, przeszedłem więc na gwizdy i trzaski drugiego galaktycznego.

– Rozważanie (karalnego) uczynku przestępczego – nie przyszło ci to do głowy?

Nie zbita z tropu, odpowiedziała w siódmym galaktycznym, formalnym języku najbardziej lubianym przez ludzi.

– Jesteśmy nieletni, przyjacielu. Poza tym, prawo graniczne ma zapobiegać bezprawnemu rozrodowi poza dozwoloną strefą. Nasza banda nie planuje nic takiego!

Przeskoczywszy szybko na drugi galaktyczny, kontynuowała:

– A może żywisz (zбочzone) zamiary podjęcia próby przeprowadzenia (dziwacznych, hybrydowych) eksperymentów prokreacyjnych z tą (dziewiczą, żeńską) osobą?

Cóż za pomysł! Najwyraźniej starała się wytrącić mnie z równowagi. Czulem, że zaczynam tracić panowanie nad sytuacją. Zaraz zacznę solennie przyrzekać, że poześluję ku mrocznym ruinom, których zarysy można dostrzec z Krańcowej Skały, jeśli skieruje się uryjski teleskop nad głębokimi wodami Rozpadliny.

W tej właśnie chwili moje oko zauważyło pod spokojną taflą zatoki znajome poruszenie. Czerwonawy kształt wdrapywał się na piaszczysty brzeg, aż wreszcie nad powierzchnię wynurzyła się nakrapiana, karma-zynowa skorupa przyskająca słoną wodą. Nad zwartym, pięciokątnym pancierzem wznosiła się mięsista kopuła opasana połyskującym, czarnym pierścieniem.

– Koniuszek! – krzyknąłem, zadowolony, że coś odwróciło moją uwagę od żarliwego entuzjazmu Huck. – Chodź tu i pomóż mi porozmawiać z tą głupią...

Młody qheuen zaczął jednak gadać, przerywając mi, nim jeszcze woda przestała wyciekać z jego otworów głosowych.

– P... p... po... po... pot...

Koniuszek nie jest tak biegły w anglicu, jak Huck i ja, zwłaszcza kiedy wpada w podniecenie. Używa jednak tego języka, by dowieść, że jest takim samym nowoczesnym człekonaśladowcą, jak każde z nas. Uniosłem dłonie.

– Spokój, stary! Zaczepnij oddech! Pięć oddechów! Wypuścił z siebie powietrze, które wydostało się z jego ciała jako

dwa strumienie bąbelków widoczne tam, gdzie para jego kolczastych nóg była jeszcze zanurzona.

– W... w... widziałemje! Tymrazem naprawdę je w... widziałem!

– Co widziałeś? – zapytała Huck, tocząc się po mokrym piasku. Taśma widząca otaczająca kopułę Koniuszka spoglądała we wszystkich kierunkach jednocześnie. Mimo to dostrzegliśmy intensywne skupienie naszego przyjaciela, gdy po raz kolejny zaczerpnął głęboko tchu, po czym wydyszał tylko jedno słowo:

– Potwory!

II KSIĘGA STOKU

Legandy

Ponad pół miliona lat upłynęło od chwili, gdy Buyurowie, zgodnie z galaktycznym prawem regulującym gospodarkę planetami, opuścili Jijo, ponieważ ich dzierzawa wygasła. To, czego nie mogli zabrać ze sobą lub pomieścić w księżycowych schowkach, skrzętnie zniszczyli, tam, gdzie ongiś wznosiły się potężne miasta lśniące w promieniach słońca, zostawili niewiele nad porośnięte pnączami gruzdy.

Niemniej nawet dziś ich cień wisi nad nami -przeklętymi i wygnanymi barbarzyńcami – przypominając nam, że Jijo władali niegdyś bogowie.

Żyjąc tu jako nielegalni – "przedterminowi" – osadnicy, którym nie będzie wolno zamieszkać nigdzie poza wąskim pasem między górami a morzem, my, członkowie Sześciu Gatunków, nie możemy nie patrzeć na zniszczone erozją buyurskie ruiny z przesadnym zachwytem. Nawet po tym, gdy do naszej Wspólnoty powróciły książki oraz umiejętność pisania i czytania, brak nam było narzędzi i wiedzy koniecznej, by dokonać analizy pozostałości oraz dowiedzieć się więcej o ostatnich legalnych lokatorach Jijo. Entuzjaści, każący się nazywać "archeologami", zaczęli wykorzystywać metody zaczerpnięte z zakurzonych ziemskich tekstów, ale owi zapaleńcy nie potrafią nam nawet powiedzieć, jak wyglądali Buyurowie, nie mówiąc już o ich zwyczajach, poglądach czy sposobie życia.

Najpełniejsze świadectwa, jakimi dysponujemy, wywodzą się z folkloru.

Choć gławery nie umieją już mówić– i w związku z tym nie zalicza się ich do Sześciu – znamy jeszcze niektóre z ich opowieści, przekazane przez g'Keków, którzy najlepiej poznali ten gatunek, nim się wyrodził.

Ongiś, zanim ich skradacz przybył na Jijo, gdy wędrowali między gwiazdami jako pełnoprawni obywatele Pięciu Galaktyk, utrzymywali ponoć bliskie stosunki z gatunkiem zwanym Tunnuctyurami. Był to wielki i szlachetny klan. W swej młodości owi Tunnuctyurowie byli podopiecz-

nyimi innego gatunku – opiekunów – którzy ich wspomogli, obdarzyli umiejętnością mowy i używania narzędzi oraz rozumem. Owych opiekunów zwano Buyurami. Pochodzili z Czwartej Galaktyki, ze świata, na którego niebie lśniła wielka, węglowa gwiazda.

Według legendy słynęli jako pomysłowi twórcy małych, żywych stworzeń.

A także z tego, że posiadali rzadko spotykaną, niebezpieczną cechę -poczucie humoru.

Tajemnica Buyurów.

Hau-uphtunda, członek Cechu Niezależnych Uczonych. Rok Wygnania 1908

Asx

Słuchajcie, moje pierścienie, pieśni, którą śpiewam. Pozwólcie, by jej opary wzniosły się wśród waszych rdzeni i opadły w dół niczym kapiący воск. Rozbrzmiewa ona wieloma głosami, zapachami i mocą czasu. Wije się niczym g'Kecki gobelin, płynie jak hoońska aria, galopuje i zbacza z wytyczonej drogi na sposób uryjskiej legendy, lecz mimo to postępuje naprzód nieubłaganie, tak jak dzieje się to ze stronicami ludzkiej książki.

Na jej początku jest pokój.

Była wiosna, początek drugiego księżycowego cyklu tysiąc dziewięćset trzydziestego roku naszego wygnania i zbrodni, gdy przybyli Rotheni. Pojawili się na naszym niebie nieproszeni, lśnią niczym słońce w glorii swej władzy nad powietrzem i eterem. Rozerwali zasłonę naszego ukrycia w najgorszym z możliwych momencie, podczas wiosennego zgromadzenia plemion w pobliżu błogosławionej podstawy Świętego Jaja.

Przybyliśmy tam, jak działa się często od chwili Wynurzenia, by wysłuchać muzyki wielkiej bryły. Szukać regularności, które byłyby dla nas przewodnictwem. Wymieniać owoce naszych różnorodnych talentów. Rozstrzygać spory, urządzać zawody i odnowić Wspólnotę. Nade wszystko zaś poszukiwać sposobów zminimalizowania strat spowodowanych naszą niefortunną obecnością na tym świecie.

Zgromadzenie – czas podniecenia dla młodych, pracy dla uzdolnionych i pożegnań dla tych, którzy zbliżają się do końca swych dni. Krążyły już pogłoski – zapowiedzi – że będzie to spotkanie o doniosłym znaczeniu. Przybyło więcej niż zazwyczaj przedstawicieli każdego klanu. Wraz z mędrkami i wędrowcami, przeszczepiaczami i technikami zjawilo się wiele zwykłych osób na dwóch, czterech i pięciu nogach, a także na kołach i pierścieniach. Udzieliła się im atmosfera podniecenia i wyruszyły pokrytymi wciąż śniegiem górskimi ścieżkami ku świętym polanom. Przedstawiciele każdego z gatunków poczuli drżenia – silniejsze niż kiedykolwiek od owego pamiętnego roku, gdy Jajo wynurzyło się z macierzystej gleby Jijo, zrzuciło z siebie gorący pył narodzin, a potem objęło władzę nad naszymi kłótliwymi pasjami i zjednoczyło nas.

Ach, zgromadzenie.

Ta ostatnia pielgrzymka mogła się jeszcze nie zestalić jako woskowa pamięć. Spróbujcie jednak sobie przypomnieć, jak nasz podstarzały już stos pierścieni płynął powoli statkiem przez Daleki Wilgotny Rezerwat, minął połyskujący Tęczowy Wyciek i Równinę Ostrego Piasku.

Czyż wszystkie te znajome cuda nie zblakły, kiedy dotarliśmy do Wielkiego Bagna i ujrzelśmy, że pokrywa je kwiecie? Coś takiego tracki ma szansę ujrzeć tylko raz w życiu. Morze barw jaskrawo kwitnące, owocujące i umierające przed naszymi zmysłami. Przesiadłszy się z łodzi na barkę, my, wędrowcy, wiosłowaliśmy otoczeni ostrymi zapa[^]chami przez aleje przykryte sylfimi baldachimami złożonymi z milionów płatków.

Nasi towarzysze uznali to za znak, nieprawdaż, moje pierścienie? Ludzie z naszej grupy mówili o tajemniczej, kapryśnej Ifni, której wyroki nie zawsze są sprawiedliwe, lecz nieodmiennie zaskakujące.

Czy pamiętacie też inne wzrokowrażenia? Wioski tkaczy? Mierzwo-pająki i obozy myśliwskie? I wreszcie tę żmudną wspinaczkę, gdy wykręcaliśmy raz za razem nasze udręczone podstawki, wędrując przez Przełęcz Długich Cieni, by dotrzeć do zielonej doliny, gdzie cztery traeckie pokolenia temu gejzery buchały, a tęcze tańczyły na cześć wyłonienia się mrocznego Jaja?

Przypomnijcie sobie teraz chrzest wulkanicznego żwiru i to, jak normalnie posłuszny rewq zadrzał na naszym głowowym pierścieniu, buntowniczo odmawiając ułożenia się nam na oczkach, przez co dotar-

liśmy do obozu z odsłoniętą twarzą, niezamaskowani, a dzieci wszystkich Sześciu Gatunków biegały krzycząc: Asx! Asx! Przybył traeki Asx!

Przedstawcie sobie, jak pozostali najwyżsi mędracy – towarzysze i przyjaciele – wyszli, wypełzli czy wytoczyli się ze swych namiotów, by pozdrowić nas tym określeniem. Uważają ów przydomek za związany na stałe ze "mną", a „ja” zgadzam się na tę fikcję.

Czy pamiętacie to wszystko, moje pierścienie?

Cóż, w takim razie cierpliwości. Wspomnienia zestalają się niczym skapujący wosk, który kipi, nim okryje nasz wewnętrzny rdzeń. Gdy już się znajdują na miejscu, nigdy nie będziemy mogli ich

zapomnieć.

Na Jijo, na obszarze nieba położonym najdalej od słońca, dostrzega się głęboki poblask. Mówiono nam, że to rzadko widywany na światach skatalogowanych przez wielkich Galaktów efekt wywołany przez ziarenka węgla – te same, które tworzą pusty grad – ziarenka wysyłane przez Izmunuti, straszliwe gwiazdne oko leżące w konstelacji zwanej przez ludzi Udręką Hioba. Powiadają, że nasi przodkowie zbadali tego rodzaju cechy swej nowej ojczyzny, nim spalili i pochowali statki, na których przybyli.

Mówią też jednak, że po prostu "wyszukali" to wszystko w przenośnej filii Galaktycznej Biblioteki, nim nawet ten skarb oddali płomieniom w dniu zwanym Dniem Bez Powrotu.

Tego wiosennego poranka, gdy inni mędrcy wyszli na zewnątrz, by pozdrowić nasze pierścienie, nazywając nas-mnie Asx, nie było pustego gradu. Kiedy zebraliśmy się w wielkim namiocie, dowiedziałem się, że liasz rewq nie jest jedynym, który stał się narowisty. Nawet cierpliwy .hoon nie potrafił zapanować nad swym pomocniczym tłumaczem. My, ; mędrcy, odbyliśmy więc naradę bez małych symbiontów, zgłębiając się fdawzajem za pomocą samych słów i gestów. ^ Ze wszystkich, których przodkowie wybrali beznadziejne wygnanie D& tym świecie, g'Kekowie są tu najdłużej. Dlatego to Yubbenowi przypadła rola Mówcy Zapłonu.

> – Czy naszą winą jest niepowodzenie rantanowców? – zapytał, twracając każde z oczu w inną stronę świata. – Jajo wyczuwa ból iv polu życiowym, jeśli ginie potencjał.

Hrmn. Nieustannie się o to spieramy – odparł hooński sofista

Phwhoon-dau. – Lark i Uthen mówią o schyłku. Rantanowce jeszcze nie wyginęły. Niewielka ich liczba wciąż żyje na wyspie Yuqun. Ludzki mędrzec, Lester Cambel, zgodził się z nim.

– Nawet jeśli nie ma już dla nich nadziei, rantanowce są tylko jednym z niezliczonych gatunków ryjących zwierząt. Nie ma powodu sądzić, że były szczególnie pobłogosławione.

Ur-Jah odparła, że jej przodkowie, dawno temu i daleko stąd, również byli małymi, ryjącymi zwierzątkami.

Lester skłonił się, przyznając jej rację.

– Nie jesteśmy jednak odpowiedzialni za wzlot i upadek każdego gatunku.

– Skąd możesz to wiedzieć? – nie ustępował Vubben. – Brak nam większości narzędzi naukowego poznania, gdyż nasi samolubni przodkowie pozostawili nas, byśmy się błakali w ciemności. Dlatego nie mamy pojęcia, jakie drobne szkody powodujemy, nadeptując na liść czy wypróżniając się do dołu. Nikt z nas nie może przewidzieć, za co zostaniemy pociągnięci do odpowiedzialności, gdy nadejdzie Dzień. Nawet glawery, w swym obecnym stanie niewinności, zostaną osądzone.

Wtedy właśnie postarzała qheueńska mędrzyni, zwana przez nas Lśniącą Jak Nóż Wnikliwością, pochyliła swą niebieską skorupę. Jej głos był cichym szeptem dobiegającym z jednego z pokrytych chityną ud.

– Jajo, nasz dar w głuszy, zna odpowiedzi. Prawda jest jego nagrodą dla otwartego umysłu.

Utemperowani jej mądrością, pogrążyliśmy się w medytacji.

Niepotrzebne nam już niesforne rewqi ześliznęły się z naszych czoł i zebrały pośrodku, wymieniając enzymy pobrane od żywicieli. Podchwyciliśmy spokojny rytm. Każdy mędrzec dodawał do niego linię harmoniczną oddechu i bijącego serca.

Moje pierścienie, czy przypominacie sobie, co postanowiło się wtedy wydarzyć?

Tkaninę naszego zjednoczenia rozerwały grzmiące echa miotane arogancko przez rotheński statek, ujawniający swą złowieszczą moc, nim jeszcze zdążył przybyć.

Wyszliśmy na zewnątrz, by wpatrzeć się z trwogą w rozprute niebo.

Wkrótce i mędrcy, i członkowie klanów wiedzieli już, że Dzień wreszcie nadszedł.

Dzieciom upadłych nie oszczędzono zemsty.

Rodzina Nela

Papiernik miał troje potomstwa – liczbę godną jego szlachetnego powołania – podobnie jak jego ojciec i ojciec jego ojca. Nelo zawsze zakładał, że jego dwaj synowie i córka będą kontynuatorami rodu.

Dlatego ciężko przeżył to, że jego samowolne dzieci porzuciły młyn wodny wraz z jego służą i drewnianymi przekładniami. Żadnego z nich nie zwabił rytm młota roztwarzającego, który rozbijał szmaty zebrane od wszystkich sześciu gatunków, czy słodka mgiełka unosząca się wokół sit ani też pełne szacunku ukłony kupców, którzy przybywali z daleka, by nabyć od Nela gładkie, białe arkusze.

Niemniej, Sara, Lark i Dwer z chęcią używali papieru! Dwer, najmłodszy, owijał nim groty strzał i przynęty używane do polowania. Czasami płacił ojcu guzkami piu albo zębami grwonów, nim z powrotem zniknął w lesie, jak zwykł to robić, odkąd skończył dziewięć lat. Został uczniem Fallona Tropicielea i wkrótce stał się legendą na całym Stoku. Nic, na co polował, nie mogło umknąć przed jego kuszą, chyba że było chronione przez prawo. Powtarzano też plotki, że ów chłopak o dzikim spojrzeniu i czarnych jak atrament włosach, gdy tylko prawo traciło go z oczu, zabijał i zjadał wszystko, co tylko zechciał.

, Dwer był dziki, Lark zaś skupiony tylko na jednej sprawie. Używał ipieru, by sporządzać olbrzymie tablice wiszące na ścianie jego gabi-stu. Pewne ich części były niemal czarne od notatek i diagramów, na nych zaś widniały wielkie białe plamy – marnotrawstwo sztuki Nela.

– Nic na to nie można poradzić, ojczy – tłumaczył Lark, stojąc zy drewnianych półkach wypełnionych skamielinami. – Nie odkryjemy gatunków, które wypełniłyby te luki. Jijo jest tak skomplikowany światem, że wątpię, czy nawet Buyurowie w pełni rozumieli jego osystem.

Nelo przypominał sobie, że pomyślał wtedy, iż jego syn gada bzdury. ty Buyurowie dzierzawili Jijo, byli pełnoprawnymi obywatelami spółnoty Pięciu Galaktyk i mieli dostęp do legendarnej Wielkiej blioteki, przy której wszystkie papierowe książki w Biblos były ni-i! Jedno słowo wystarczało im, by uzyskać odpowiedź na każde lie pod słońcem. Pod miliardem słońc, jeśli można było wierzyć teściom o przeszłości.

cę Larka przynajmniej pochwalali mędracy. A co z Sarą? Zawsze

była ulubienicą Nela. Kochała zapachy, rytmy i materiały związane z produkcją papieru – do czternastego roku życia, gdy nagle odkryła w sobie talent.

Nelo winił za to swą zmarłą żonę, która wtargnęła w jego życie w tak niezwykły sposób i kładła dzieciakom do głowy dziwne opowieści i ambicje.

Tak, to wszystko było winą Meliny...

Ciche kasznięcie wyrwało Nela z chaosu przenikniętych urazą myśli. Zamrugnął powiekami, gdy nad zniszczonym biurkiem popatrzyła na niego para ciemnobrązowych oczu. Ciemna sierść otaczała twarz tak podobną do ludzkiej, że nieostrożni tracki czasami traktowali szympansy z uprzejmością należną pełnoprawnym członkom Wspólnoty.

– Jeszcze tu jesteś? – warknął Nelo.

Oblicze skrzywiło się, a następnie przesunęło w lewo, ku magazynowi papieru, gdzie jeden z pomocników Nela wyjmował podarte arkusze ze skrzyni na odpadki.

Człowiek zaklął. – Nie te śmieci, Jocko!

– Ale, panie, powiedziałaś, żeby zebrać bezużyteczne skrawki, których nie możemy sprzedać...

Nelo pochylił się, by przejść pod wielkim wałem, poziomym drągiem z twardego drewna obracającym się wokół osi, który napędzał pobliskie warsztaty, poruszany wodą przepływającą przez wioskową tamę. Przegnął Jocka.

– Nieważne, co powiedziałem. Wracaj do kadzi... i powtórz Calebowi, żeby nie przepuszczał przez młynówkę tyle wody! Do pory deszczowej jeszcze cztery miesiące. Przez niego zbankrutujemy za dwa!

Nelo sam przejrzał półki. Wreszcie wybrał dwie ryzy lekko uszkodzonych arkuszy obwiązanych lianami. Nie były to właściwie braki. Ktoś mógłby zapłacić za nie gotówką. Z drugiej strony, po co było oszczędzać? Czyż mędrcy nie ostrzegali, by nie inwestować w dzień jutrzejszy zbyt wiele dumy czy troski?

Gdyż wszystkie wysiłki zostaną osądzone i tylko niewielu zdobędzie łaskę...

Nelo zachnął się. Nie był religijny. Produkował papier. Ten zawód wymagał pewnej wiary w to, że czas jest czymś w zasadzie dobrym.

– Te wystarczą dla twojej pani, Prity – powiedział małej szym-pansicy, która okrążyła biurko, wyciągając obie dłonie. Była niema jak rewg, lecz służyła córce Nela w sposób niedostępny dla żadnej innej istoty na Jijo i zrozumiały tylko dla niewielu. Wręczył szympansicy jedną z ciężkich paczek.

– Drugą wezmę sam. Czas już, bym zajrzał do Sary, przekonać się, czy ma co jeść.

Niema czy nie, małpa potrafiła wiele wyrazić ruchami gałek ocznych. Wiedziała, że papier jest tylko pretekstem, który ma umożliwić Nelowi przyjrzenie się tajemniczemu gościowi Sary.

– Chodź już – warknął papiernik. – Nie zwlekaj. Rozumiesz, niektórzy z nas muszą pracować na życie.

Z połączonej z tamą fabryki do lasu, w którym żyła większość mieszkańców wioski, prowadziło kryte przejście. Pałace światła słońca jprzesączało się przez korony drzew tworzące naturalny kamuflaż. Lecz itylko optymista mógłby sądzić, że owa zasłona ukryje w południe budynki przed pełnymi determinacji poszukiwaniami prowadzonymi z kosmosu, a wśród Sześciu optymizm uważano za łagodną postać herezji.

• Niestety, nie taką herezję wyznawał najstarszy syn Nela. . Kamuflaż wydawał się w dwójnasób problematyczny w przypadku wielkiej tamy. W przeciwieństwie do zapór wznoszonych przez qheueń-ich kolonistów, które odgradzały małe sadzawki za barierami naśla-ijącymi osuwiska lub stopy kłód, miała ona od jednego do drugiego »ńca rozpiętość równą połowie strzału z łuku. Jej zarysy zamazywały szywe głązy oraz kaskady melonowych pńczy. Niemniej wielu ywało ją najbardziej rażącym artefaktem na Zboczu, pomijając nie-ire ze starożytnych buyurskich ruin. Rokrocznie, podczas DniaZarzu-/, radykałowie wygłaszali oracje domagając się jej zniszczenia.

A teraz Lark jest jednym z nich. – Nelojak zwykle skierował skargę ducha zmarłej żony. – Czy słyszysz. Melino? Sprowadziłaś go ze >a, gdy przybyłaś z dalekiego południa. Uczy się nas, że geny nie są : ważne, jak wychowanie, ale czy wychowywałem syna na podburza-ego motłoch apostatę? Nigdy!

'Zamiast w kamuflażu, Nelo pokładał wiarę w przodkach – założycielach, którzy zasadzili swe zbłąkane nasienie na Jijo, twierdząc, że nie będzie żadnych poszukiwań prowadzonych z kosmosu. Nie wcześniej niż za jakieś pół miliona lat.

Zwrócił raz uwagę na ten fakt podczas dyskusji z Larkiem. Ku jego zdumieniu chłopak zgodził się z nim, po czym stwierdził, że to nie ma znaczenia.

– Domagam się drastycznych środków nie z obawy, iż nas złapią, ale dlatego, że to słuszne.

Słuszne? Niesłuszne? Obłok przyprawiających o zawrót głowy abstrakcji. Lark i Sara nieustannie rozmawiali o podobnych andronach. Godzinami spierali się o los i przeznaczenie. Czasami Dwer, dziki chłopiec z lasu, wydawał się Nelowi najłatwiejszy do zrozumienia.

Warsztat wiejskiego cieśli rzy gnał trocinami. Produkowano tam rury kanalizacyjne dla Jobeego,

pękatego miejscowego hydraulika, który instalował je w domach, by doprowadzały bieżącą wodę i odprowadzały nieczystości do dołów gnilnych. Wygody cywilizowanego życia.

– Głębokiego cienia, Nelo – odezwał się Jobee przeciągłym tonem zapraszającym do tego, by zatrzymać się i pogadać z nim chwilę.

– Pochmurnego nieba, Jobee – odparł Nelo z uprzejmym skinieniem głowy, po czym ruszył dalej. Co prawda, nie zaszkodziłoby pogawędzić sobie przez kilka dni.

Ale jeśli się połapie, że idę do Sary, wpadnie później razem z połową osady, żeby usłyszeć, czego się dowiedziałem o jej nowej zabawce... o nieznanym z dziurą w głowie.

Kiedyś był skrzydłowiewiór ze złamanym sterem ogonowym, który spadł na ziemię, a kiedy indziej znowu ranne szczenię toja. Wszystko, co było chore lub okaleczone, lądowało w magazynie Nela, pielęgnowane przez Sarę w pudełku wykładanym jego najlepszym filcem. Papiernik sądził, że jego dorosła córka ma już za sobą tę fazę – do chwili, gdy kilka dni temu wróciła z rutynowej wyprawy szabrowniczej z rannym mężczyzną miotającym się na noszach.

Dawniej Nelo sprzeciwiłby się temu, by nieznajomy, nawet chory, zatrzymał się w nadrzewnym domku jego córki. Teraz cieszył się, że coś odwróciło jej uwagę od ciężkiej pracy i przerwało całoroczną izolację. Jeden z mistrzów cechowych Sary napisał do niego niedawno, skarżąc się, że uchyla się ona od podstawowego obowiązku kobiety z jej kasty. Skłoniło to Nela do wysłania odpowiedzi, w której skarcił tamtego za

szczelność. Niemniej zainteresowanie okazywane przez Sarę jakimś lęczyźnie było powodem nieśmiałej nadziei.

Z krytego przejścia Nelo dostrzegł, jak miejscowy wysadzac z swym młodym synem poddaje inspekcji odporowy filar wielkiej imy. Groźny i poważny Henrik o ostro rzeźbionych rysach sięgnął do lębokiej niszy i wydobyl z niej gliniany ładunek o cebulastym zakończeniu. Przyjrzał mu się uważnie, po czym dał go synowi do powąchania.

Nelo zdał sobie sprawę z zagrożenia, jakim było potężne jezioro, które czaiło się za tamą, gotowe zalać śluzy i fabryki, gdy tylko Henrik trzyma znak nakazujący mu spełnić obowiązek. Poczul również ukłucie zazdrości na widok tej pełnej zrozumienia rozmowy w cztery oczy między rodzicem a dzieckiem – takiej, jakiej sam ongiś toczył ze swym jcem. Miał jeszcze nadzieję, że kiedyś będzie prowadził ją z kimś, kto ochałby papier tak samo, jak on.

Gdyby choć jedno z trojga dzieci dało mu dziedzica. Będę go jeszcze miał – poprzysiągł sobie. Choćbym nawet musiał przekupić mędrców, y wydali taki rozkaz!

Henrik włożył ładunek z powrotem na miejsce, ponownie zasklepiwszy dziurę gliną.

Po lewej stronie Nel usłyszał ciche, syczące westchnienie. Zobaczył, że wysadaczom przygląda się również inna osoba. Gryząca Kłody, aatriarchini miejscowego qheueńskiego kopca, wciągnawszy wszystkie pięć nóg, przykucnęła przy pniaku drzewa. Nerwowe wydechy powoływały, że piasek pod jej niebieską skorupą poruszał się. Nad taśmą ydzącą miała rewqa – jakby mogło jej to dużo powiedzieć na temat ienrikajego syna!

O co zresztą się martwiła? Z pewnością był to tylko rutynowy nadzór. Mądzy mieszkańcy Dolo nigdy nie poświęciliby tamy, źródła swego X)gactwa i prestiżu. Pragnęło tego jedynie kilku głupich ortodoksów.

I najstarszy syn Nela.

Wszyscy są podenerwowani – pomyślał, odwracając się. Najpierw uenormalna zima, potem propozycja Ulkoun i herezja Larka. A teraz fara wróciła do domu z tajemniczym nieznajomym. i Czy to dziwne, że mam trudności z zaśnięciem? I Domy większości mieszkańców wioski były zabezpieczone przed różnym spojrzaniem nieba, przytulone wysoko do pni potężnych drzew |aru,

gdzie w ogrodach na szerokich, szczytowych gałęziach rozrastały

1

się bujnie jadalne szczepy mchów. Wydawało się, że to nisza stworzona dla Ziemiaków, podobnie jak niebiescy qheueni kochali jeziora, a suche równiny odpowiadały plemionom uryjskim.

Nelo i Prity musieli zatrzymać się na chwilę, gdy dzieci przeganiały ryczące głośno zaroślowe indyki po gliniastej leśnej glebie. Parze gła-werów o opalizujących skórkach zakłócono poszukiwania robaków. Zwierzęta uniosły okrągłe głowy i powęszyły wyniośle. Dzieci roześmiały się. Wyłupiaste oczy glawerów zmatowiały szybko. Podtrzymywanie blasku gniewu kosztowało je zbyt wiele wysiłku.

Znajomy rytm wiejskiego życia. Nelo z radością nadal uważałby go za oczywistość, gdyby nie to, co powiedział jego najstarszy syn, nim wyjechał na zgromadzenie. Lark wyjaśnił mu motywy swej herezji.

– Natura ponownie przejmuje panowanie nad tym światem, ojcze. Wykracza poza granice narzucone przez poprzednich lokatorów.

Nelo miał wątpliwości. Jak nierozumne życie mogłoby spowodować przemianę świata w ciągu niecałego miliona lat? Bez udziału przewodników, którzy pielęgnowaliby go, jak farmer pielęgnuje ogród?

– Po to właśnie ogłasza się, że świat należy pozostawić samemu sobie – ciągnął Lark. – Żeby pozwolić mu odpocząć i wrócić do równowagi bez niczyjej ingerencji.

– Chcesz powiedzieć, bez takich jak my.

– Zgadza się. Nie powinno nas być na Jijo. Powodujemy szkody z tego tylko powodu, że tu mieszkamy.

Na tym polegał moralny dylemat Sześciu. Przodkowie każdego z gatunków uważali, że mają ważne powody, by uciekając tak daleko w swych skradaczkach, zasiać nielegalne ziarno na zakazanym świecie. Zwoje mówiły o zbrodni połączonej z desperacką nadzieją. Syn Nela kładł jednak nacisk tylko na przestępstwo. Ponadto Lark i jego towarzysze mieli zamiar coś wreszcie przedsięwziąć w tej sprawie. Planowali spektakularny gest na tegorocznym zgromadzeniu, pokutę za trwającą pokolenia winę, akt poświęcenia, święty i straszliwy zarazem.

– Cóż to za głupota! – sprzeciwił się Nelo. – Gdy cywilizacja ponownie zasiedli tę galaktykę, nie pozostanie żaden ślad po tym, że nasz rodzaj kiedyś tu mieszkał, jeśli będziemy żyli sprawiedliwie, zgodnie z Jajem i Przysięgą. To, co zamierzacie zrobić, nic nie zmieni!

Gdyby kłócił się z Dwerem, odpowiedziałyby mu gniewne krzyki. Dyskusja z Larkiem była jednak jeszcze bardziej frustrująca. Ukrywał

n swą purystyczną herezję za upartą uprzejmością, którą z pewnością dziedziczył po matce.

– To nieważne, czy nasza zbrodnia nigdy nie zostanie odkryta, jeże. Liczy się fakt, że to nie miejsce dla nas. Po prostu nie powinniśmy itnieć.

Wieśniacy pozdrawiali swego papiernika, gdy mijał ich wraz z Prity. >ziś jednak Nelo spoglądał na nich spode łba, dręczony cierpkim ragnieniem, by własne dzieci nie irytowały go w ten sposób: najpierw górując jego życzenia, a potem rozsiewając ferment swych niepokojących idei.

W porcie stało przycumowanych kilka statków. Noory – zwinne, wierzęta o gładkim futrze – biegały między masztami, naprawiając >linowanie i maskujące całuny. Od stuleci uczyli je tego wysocy hoono-ńe o długich pyskach. Załoga jednego ze statków pomagała grupie niejscowych ludzi załadować na pokład szkło i metal wydobyte z bu-wskich ruin leżących w górze rzeki. Miały je poddać ponownej obróbce kowalicy z miasteczka Ur-Tanj, bądź też czekało je wyrzucenie do idpadowych czeluści, daleko na morzu.

Nelo mógłby się zatrzymać, by się temu przypatrywać, lecz Prity zarpała go za rękaw, chcąc poprowadzić swego towarzysza w górę, ku debieskoszarym gałęziom gaju.

Gdy się odwrócili, nagle rozległy się krzyki. Ludzie porzucili Iźwigane ciężary, a hoońscy marynarze przykucnęli, rozkładając kos-nate nogi. Pnie drzew zaskrzypiały i zakołysały się niczym maszty statków. Liny strzeliły, a wodę pokryły zmarszczki. Z lasu buchnęła hmura liści, która wypełniła powietrze wirującymi, spiralnymi kształtami. Nelo rozpoznał basowy pomruk trzęsienia ziemi! Powodujący aarki strach zmieszał się z dziwnym podnieceniem, gdy zastanawiał się, czy spróbować ucieczki na otwarty teren.

Tumult ucichł, nim papiernik zdążył podjąć decyzję. Gałęzie wciąż (ię kołysały, lecz deski tworzące przejście przestały wibrować, a zmar-(zczki na wodzie zniknęły niczym sen. Marynarze wzdychali z ulgą. Wieśniacy wykonywali dłońmi pełne czci gesty, gdyż poruszenia Jijo były świętymi omenami uzdrawiającej siły planety, nawet jeśli powetowały rozległe zniszczenia. Ongiś, przed stuleciem, znacznie gwałtowniejsze trzęsienie przyniosło ze sobą Święte Jajo, błogosławieństwo warte bólu towarzyszącego jego narodzinom.

O Matko Jijo – modlił się Nelo, gdy zamarły ostatnie drżenia. Spraw, by na zgromadzeniu wszystko poszło dobrze. Spraw, by mędrcy odwiedli Larka i jego przyjaciół od ich głupiego planu. I może – odważył się dodać – spraw też, by Dwer poznał dziewczynę z dobrej rodziny i ustatkował się.

Wiedział, że nie ma sensu dodawać trzeciego życzenia. Sara nie chciałaby, żeby zwracał się o łaskę dla niej do bóstwa, chyba żeby była to Ifni, bezstronna, kapryśna bogini liczb i losu.

Gdy puls mu się uspokoił, skinął na Prity, by ruszyła pierwsza. Ich trasa wiodła po spirali ku szczytowi potężnego gani, a potem po gałęziach połączonych linami. Stopami Nela kierowało przyzwyczajenie. Niemal nie zwracał uwagi na wysokość. Stos papieru w jego rękach stawał się jednak coraz cięższy.

Nadrzewny domek Sary przycupnął tak wysoko, że na jedną z plecionych ścian całymi godzinami padało światło dnia. Pokonując ostatni odcinek, Nelo trzymał się liny. Nagie słońce było tak niepokojące, że niewiele brakowało, a nie zauważyłby klatki o kwadratowych ścianach wykonanej z połączonych prętów, która zwisała z krążka tuż obok podniebnego ganku Sary. Winda! Dlaczego do domu mojej córki doprowadzono windę? Nagle sobie przypomniał. To z powodu nieznanego.

Z chatki dolatywały intensywne aromaty: cierpki, stęchły i słodko bagienny. Zajrzawszy do środka, Nelo dostrzegł skośne promienie światła wpadające przez zasunięte żaluzje. Słysząc było głos Sary, która mruczała coś z niezadowoleniem w drugiej izbie. Uniósł rękę, by zapukać w ościeże, lecz powstrzymał się, gdy dostrzegł dwa majaczące wewnątrz cienie. Jeden z nich był stożkowatym zarysem okrągłych pierścieni, sięgającym ponad głowę papiernika. Najniższy z kręgów poruszał się na pokrytych guzkami stopach. Zbliżając się do Nela, stos wydawał z siebie mlaskanie.

Mniejsza istota miała po bokach dwie obręcze. Jej szczupły tułów kończył się parą pełnych gracji ramion i czterema wiciami zakończonych oczyma patrzącymi we wszystkich kierunkach jednocześnie. Jedno z kół zaskrzypiało, gdy jestestwo potoczyło się naprzód, ukazując naipianą puszkę mózgową oraz opadające szy pułki oczne postarzałego iCeka.

Jeśli w Dolo można było znaleźć dwóch obywateli, przy których ;lo czułby się dziarsko w swym wieku, to właśnie tę parę. W całej itorii ich gatunków żaden g'Kek ani traeki nigdy nie wdrapał się na zewo.

– Pochmurnego nieba, papierniku – odezwała się istota na kołach.

– Głębokiego cienia, doktorze Lorrek. I dla ciebie, farmaceuto Nelo uklonił się dwa razy. – Jak wasz pacjent? Lorrek znakomicie opanował anglic po latach opieki nad się mie-kańcami Dolo, z

których większość stanowili ludzie.

– To zdumiewające, ranny człowiek odzyskuje siły. Jego cierpienia mierzyły specjalne maści Pzory. – Doktor pochylił jedną szypułkę stronę trackiego, którego dziewiąty torus wydawał się zaczerwieniony i ciężkiej pracy medycznej. – Pomogła mu też opieka, którą jest oczony w tym czystym powietrzu.

To była niespodzianka. Wydawało się, że nieznajomy jest skazany.

– Ale jego obrażenia! Dziura w głowie... Wzruszenie ramionami było pierwotnie ludzkim gestem, lecz nikt e potrafił wykonywać go z większym spokojem niż g'Kekowie.

– Obawiałem się, że to śmiertelna rana. Przybysz niewątpliwie wdzięczą życie wydzielinom Pzory oraz szybkiej reakcji twej córki, ora wyciągnęła go z tego smrodliwego bagna.

Traecki farmaceuta odezwał się, obracając swe przypominające klej-)ty organy zmysłów. Jego głos załamywał się niczym dźwięk niena-rojonej metalowej harfy.

– Ja-my z radością udzieliliśmy pomocy, choć nasze pierścienie Bitezy niemal omdlewają z wysiłku. Potrzebne były maści o rzadkiej ocy. Mimo to trudno jest wywołać zadowolenie.

– Co masz na myśli?

:i – To zadanie można było wykonać tylko tu, na wysokości, gdzie st niewiele zarazków. Panna Sara ma idealne mieszkanie. Nie chce 9zwolić, by ktoś inny zabrał pacjenta. A mimo to wciąż się uskarża! Rgmucona, z tęsknotą pyta, kiedy skończą się przeszkody w jej pracy. tedy wszyscy zejdziemy jej z głowy! |i – To tylko przenośnia – wyjaśnił Lorrek.

– Ja-my tak przypuszczaliśmy. My-ja wysoko cenimy zawartą w niej paradoksalną dysharmonię. Oby jaźni Sary to rozumiały.

– Dopilnuję, by zrozumiała – z uśmiechem na twarzy zapewnił Pzorę Nelo.

– Dziękuję wam wszystkim, znakomici Nelowie – odpowiedział młody traeki, ponownie przechodząc na liczbę mnogą. -Ja-my liczymy na spokój w pracy, gdy wrócimy wieczorem.

Lorrek owinął szypułki wokół siebie. Nelo nie potrzebował rewqa, by odczytać bezgłośny śmiech starego g'Keka.

– Spokój to dobra rzecz – zgodził się z powagą w głosie. Kaszlnął, zasłaniając usta dłonią.

Unieruchomił klatkę windy, by ciężki traeki wlaźł do środka pierwszy. Za nim wtoczył się Lorrek. Jego lewe koło chybotąło się na skutek nieuleczalnej zwyrodnieniowej choroby osi. Nelo pociągnął za sznur sygnalizacyjny, nakazując przebywającemu daleko na dole operatorowi uruchomić napędzany obciążnikiem kołowrót.

– Czy dowiedziano się czegoś na temat tożsamości nieznajomego? – zapytał Lorrek podczas oczekiwania na windę.

– Nic o tym nie słyszałem. Jestem jednak pewien, że to tylko kwestia czasu.

Jak dotąd, nawet wędrownym kupcom nie udało się rozpoznać nieprzytomnego mężczyzny. Znaczyło to, że przybył z bardzo daleka, być może z przybrzeżnych osad albo nawet z Doliny.

Nikt w Dolo nie znał Meliny, gdy tu trafiła, tak dawno temu, z listem polecającym i niemowlęciem na biodrze. Stok jest większy, niż nam się zdaje.

g'Kek westchnął.

– Musimy wkrótce zdecydować, czy lepiej będzie dla pacjenta, jeśli wyślemy go w dalszą drogę, skoro jego stan uległ poprawie, by go zbadano w...

Klatka zadrżała, po czym opadła szybko, przerywając Lorrekowi w połowie zdania.

No tak – pomyślał Nelo, patrząc, jak kabina znika powoli za ciężkimi od mchu konarami. To tłumaczy krzyki. Sara nie chciałaby, żeby jej ulubieńca wysłano do specjalistów w Tarek – nawet jeśli skarży się, że przeszkadza jej w pracy.

Czy kiedykolwiek zmądrzeje? Gdy ostatnim razem uległa swym

Mekuńczym instynktom – pomagając wracającemu do zdrowia intro-gatorowi w Biblos – doprowadziło to do romansu, który zakończył ę tragedią, skandalem i skłóceniem jej z cechem. Nelo miał nadzieję, ; to się znowu nie powtórzy.

Mogłaby przecież jeszcze wszystko odzyskać – mieć znów pozycję zawrzeć małżeństwo z szanowanym mędrce. Co prawda nigdy nie ibił tego skwaszonego Taine'a, ale mógł jej zaoferować życie bezpie- zniejsze od tego, jakie miałyby z tamtym niestałym kochankiem.

Tak czy inaczej, nadal może zajmować się matematyką, ajednocześnie- ie dać mu kilku wnuków.

Mała szympansica wpadła do domu pierwsza.

– Czy to ty, Prity? – dobiegł z cienia głos Sary. – Wciąż mi izerywają, ale chyba wreszcie rozgryzłam to równanie całkowite. Czy Bogłaby ś spojrz...

Rozległ się głuchy dźwięk. Ciężki pakunek wylądował na stole.

– Aha, papier. Cudownie. Zobaczmy, co staruszek przysłał nam n razem.

– To, co przysła staruszek, jest wystarczająco dobre dla kogoś, »nie płaci – stwierdził Nelo, szurając nogami, podczas gdy jego oczy Byzwyczajały się do ciemności. Dostrzegł w półmroku, jak jego córka Unosi się zza biurka pokrytego notatnikami i tajemniczymi symbola-|. Okrągłą twarz Sary rozjaśnił uśmiech, który zawsze uważał za

ny, choć nie zaszkodziłoby, gdyby była bardziej podobna do matki.

dój wygląd i szalony umysł Meliny. Nie jest to połączenie, którego yłbym słodkiej dziewczynie.

– Ojczy! – Podbiegła do niego, by go uściskać. – Zaskoczyłeś

lej czarne włosy, obcięte krótko jak u chłopca, pachniały ołówko-fcpyłem i maściami Pzory.

Nie wątpię. – Zmarszczył brwi na widok bałaganu panującego nieszkaniu; wrażenie nieładu pogłębiał jeszcze leżący przy biurku ic. Stos tekstów, z których część nosiła emblematy wielkiego |a z Biblos, leżał między notatkami dotyczącymi "nowego kierun-Hrtórym zmierzały jej dociekania, a który łączył ni mniej, ni więcej

ematykę i językoznawstwo.

Y wzięła w dłoń jedną z zapisanych przez Sarę kart i usiadła na

Szympanica pociągała za dolną wargę, odczytując jedną linię

symboli za drugą – milcząca współpracownica w tajemnej sztuce, której Nelo nigdy nie zdoła zrozumieć.

Rzucił spojrzenie w kierunku sypialnego ganka, gdzie blask słońca padał na koc, spod którego wyglądały dwie wielkie stopy.

– Skoro obaj chłopcy wyjechali, pomyślałem sobie, że wpadnę zobaczyć, jak ci się wiedzie.

– Cóż, jak widzisz, wszystko w porządku – zatoczyła ręką wokół siebie, jak gdyby nie mający żadnego zabezpieczenia na wypadek pożaru nadrzewny domek był wzorem ładu. – Mam też Prity, która o mnie dba. Zazwyczaj pamiętam nawet, żeby coś zjeść!

– No więc... – wymamrotał. Sara jednak ujęła go za ramię i zaczęła popychać delikatnie ku drzwiom. – Odwiedzę cię jutro – obiecała – kiedy Lorrek i stary Śmierdziuch będą się chcieli mnie stąd pozbyć. Wpadniemy do Belonny zjeść coś smacznego, hę? Ubiorę się nawet w czystą suknię...

– Byłoby nieźle – wpadł jej w słowo. – Pamiętaj tylko, że starszyzna przydzielili ci kogoś do pomocy, jeśli okaże się, że masz za wiele roboty.

Skinęła głową.

– Wiem, jak to dla ciebie wygląda, ojczy. "Sara znowu wpadła w obsesję". Zgadza się? Nie przejmuj się. Tym razem to nie jest tak. Po prostu myślę, że to idealne miejsce, żeby zapobiec

zakażeniu tych okropnych ran...

Z tylnej części domu dobiegł cichy jęk. Sara zawahała się, po czym uniosła rękę.

– Za chwilę wrócę.

Nelo popatrzył, jak biegnie w stronę osłoniętego żaluzją ganku, po czym podążył za nią, gnany ciekawością.

Prity ocierała nieznajomemu rannemu czoło. Próbował odsunąć ją od siebie drżącymi rękoma, całkiem jakby chciał odegnać jakieś śmiertelne zagrożenie. Na jego ramionach widniały sine blizny, a przez opatrunek z gazy w pobliżu lewego ucha przesączał się żółty płyn. Gdy Nelo widział go poprzednio, skóra mężczyzny miała bladopopielaty odcień zbliżającej się śmierci. Teraz jego oczy o niemal czarnych tęczęwkach zdawały się płonąć jakąś straszliwą pasją.

Sara ujęła dłonie rannego i przemówiła do niego, starając się złagodzić nagły atak. Nieznajomy chwycił jednak jej nadgarstki i zacisnął

palce tak mocno, że kobieta krzyknęła. Nelo podbiegł do niej, szarpiąc bezowocnie mocne dłonie wczepione w ręce jego córki.

– Pa... pa... pa... nij! – wyjąkał mężczyzna, pociągając Sarę ku podłodze.

W tej samej chwili rozstąpiło się niebo.

W żaluzje uderzył straszliwy ryk, który postrącał garnki z kuchennych półek. Całe drzewo gam pochyliło się, jak gdyby popchnęła je wielka dłoń. Nelo przewrócił się. Z dzwonieniem w uszach, ojciec i córka trzymali się kurczowo desek podłogi, gdy drzewo przegięło się jeszcze bardziej. Nelo dostrzegł przez szeroko rozwarte okno ziemię. Znowu posypały się naczynia. Meble ześliznęły się w stronę otwartych drzwi. Prity wrzeszczała wśród burzy wirujących w powietrzu kartek papieru, a nieznajomy wybałuszając szeroko oczy, wył, tworząc z nią harmonijny duet.

\ Ośłupiały Nelo zdobył się na jedną myśl: Czy to może być następne trzęsienie?

Gam miało nimi w obie strony niczym kamykami w grzechotce

sez przerażającą chwilę, która wydawała się wiecznością, a musiała

yać najwyżej koło minuty. Zdumiewające, lecz dom utrzymał się w swej szczelinie między

narami. Wzdłuż umęczonego rdzenia drzewa przebiegały drżenia.

awodzenie pod czaszką Nela ucichło wreszcie, przechodząc w pełną

drętwienia ciszę. Z niechęcią pozwolił Sarze, by pomogła mu wstać.

azem podeszli do nieznajomego, który trzymał się rozpaczliwie okien-

ej ramy. Kostki dłoni miał zupełnie białe. Las stał się wirem pyłu i unoszących się w powietrzu

liści. Ku

skoczeniu Nela żadne drzewo nie runęło na ziemię. Odszukał wzro-

em wielką tamę i zobaczył, że wytrzymała. Dzięki Bogu. Papiernia

ogłądała na nietkniętą.

5 – Spójrz! – wydyszała Sara, wskazując na niebo ponad lasem po

łonie południowo-wschodniej.

^ Wysoko w górze widać było cienki, biały ślad. Powietrze przeszyło

\ gigantycznego i szybkiego, coś, co wciąż iskrzyło się w dali, gdy strzegli, jak przemyka nad krawędzią doliny w stronę białych szczy-f Gór Obrzeźnych. Leciało tak wysoko i szybko – tak aroganckie Inę od lęku – że Nelo nie zdążył wypowiedzieć swych obaw na . Ten sam strach lśnił w oczach jego córki.

Nieznajomy, który wciąż śledził wzrokiem odległy, przygasający blask, wydał z siebie złowieszcze westchnienie. Wydawało się, że podziela ich trwogę, lecz na jego zmęczonej twarzy nie widniał nawet ślad zaskoczenia.

Asx

Czy pamiętacie, moje pierścienie, w jaki sposób rotheński statek trzykrotnie okrążył Polanę Zgromadzeń, rozpalony tarciami opadania, ścigany ryczącym protestem rozszczępionego nieba? Pogłaszczcie wosk pamięci i przypomnijcie sobie, jak potężny się wówczas wydawał, gdy dramatycznie zastygł niemal nad nami.

Nawet ludzkie plemię – nasi najlepsi technicy – wybałuszyło szeroko oczy w charakterystyczny dla siebie sposób, gdy wielki cylinder, olbrzymi jak lodowiec, usiadł w odległości zaledwie dziewięćdziesięciu strzałów z łuku od tajemnej, uświęconej kotliny Świętego Jaja.

Przedstawiciele Sześciu Gatunków zbliżyli się do nas, lamentując z trwogi.

– Och, mędrcy, czy mamy uciekać? Czy mamy się ukryć, tak jak każe prawo?

W istocie, zwoje nakazują nam tak postąpić.

"Ukryjcie swe namioty, pola, dzieła i same osoby. Albowiem z nieba nadejdzie wasz sąd i wasza kara".

Nadawcy wiadomości zapytali: "Czy mamy wysłać Wezwanie? Nakazać wioskom, miasteczkom, stadom i kopcom zetrzeć swe ślady z powierzchni ziemi?"

Nim jeszcze sformułowano prawo – gdy nasza Wspólnota nie okrzepła jeszcze i nie przewyciężono ostrej nienawiści – nawet wtedy nasze rozproszone bandy wyrzutków wiedziały, skąd może nadejść niebezpieczeństwo. My, wygnańcy na Jijo, przypadaliśmy do ziemi, kiedy sondy Galaktycznych Instytutów dokonywały z daleka pobieżnej kontroli, powodując, że nasze kamienieczniki rozjarzały się ostrzegawczym blaskiem. Kiedy indziej połyskujące roje kuł Zangów opadały z gwiazdzistego firmamentu, zanurzały się w morzu, a potem oddalały wśród obłoków ukradzionej pary wodnej. Nawet w tych sześciu przypadkach, gdy nowe bandy nieudaczników osiedlały się na tym pustynnym brzegu, ci, którzy już tu byli, nie witali ich, dopóki przybysze nie spalili statków, które ich tu przyniosły.

– Czy mamy spróbować się ukryć?

Przypomnijcie sobie, moje pierścienie, ogłupiałe ryki, jakie zabrzmiały, gdy wszyscy rozpierzchli się niczym plewy niesione wichurą, rozrywając wielkie namioty, czy wlokąc odpady z naszego obozu do pobliskich jaskiń. Jednak nawet wśród tego wszystkiego niektórzy byli spokojni, zrezygnowani. Wśród osobników każdego gatunku, tylko garstka zrozumiała. Tym razem nie mogliśmy ukryć się przed gwiazdami.

Spośród najwyższych mędrców, Vubben odezwał się pierwszy, zwracając po jednej szypułce w stronę każdego z nas.

– Nigdy dotąd statek nie wylądował między nami. Najwyraźniej już nas zauważono.

– A może nie – zasugerowała z nadzieją Ur-Jah w siódmym galaktycznym, tupiąc jednym kopytem. Jej rozwarte uryjskie nozdrze otaczała zmierzwiona, biała sierść. – Mogą podążać za emanacjami Jaja! Mole gdybyśmy ukryli się szybko...

Głos Ur-Jah ucichł, gdy Lester, człowiek, potrząsnął głową na znak prostu, który to gest był ostatnio popularny we Wspólnocie wśród tych, którzy mieli głowy.

– Z tej odległości, w podczerwieni, nie sposób nie rozpoznać naszych cech charakterystycznych. Pokładowa biblioteka sklasyfikowała nas już z dokładnością do podgatunku. Jeśli nawet nie wiedzieli o nas przed wejściem w atmosferę, teraz z pewnością już wiedzą.

Z przyzwyczajenia wierzyliśmy mu na słowo, gdyż ludzie często mają się na podobnych sprawach najlepiej.

– A może to uchodźcy, tak jak my! – wybuchła nasza qheueńska Błędrczyni, tryskając nadzieją ze wszystkich pięciu otworów nogowych. '◀• Vubben jednak nie był optymistą.

, – Widzieliście, w jaki sposób przybyli. Czy to było zachowanie uchodźców, stąpających w strachu, ukrywających się przed spojrzeniem Innunuti? Czy ktoś z naszych przodków zjawił się w ten sposób? I zeszył niebo z okrutnym krzykiem? – Vubben uniósł przednie oko, Vj popatrzyć na tłum, po czym wezwał do przywrócenia porządku. – Iech nikt nie opuszcza doliny zgromadzeń, by po śladach uciekinierów Ue trafiono do naszych rozproszonych klanów i twierdz. Odszukajcie ednak wszystkie gławery, które przyszły paść się między nami i odetchnijcie od nas te proste istoty, by nasza wina nie splamiła ich odzy-kanej niewinności. Co zaś do tych spośród Sześciu, którzy są z nami

tutaj, gdzie padł mroczny cień statku... musimy wszyscy ocalić życie albo zginąć, zależnie od tego, jak zdecyduje los.

Ja-my wyczuliśmy zestalenie wśród pierścieni mojego-naszego ciała. Strach przerodził się w szlachetną rezygnację, gdy Wspólnota pojęła prawdę zawartą w słowach Yubben.

– Nie będziemy również próbować bezcelowej ucieczki – kontynuował – gdyż zwoje mówią także: "Kiedy wszystkie zasłony zostaną rozerwane, nie kryjcie się już. Albowiem tego dnia czeka was sąd. Pokażcie się tacy, jacy jesteście".

Jego mądrość była tak oczywista, że nie rozległ się żaden sprzeciw. Zebraliśmy się plemię obok plemienia, nieprawdaż, moje pierścienie? Z wielu złączyliśmy się w jedno.

Nasza Wspólnota zwróciła się razem w stronę statku, by spotkać swe przeznaczenie.

Dwer

Dziwaczny noor wciąż podążał za nim krok w krok, łypiąc na niego z gałęzi drzew. Był okropnym utrapieniem.

Czasami zwierzę o czarnym, gładkim futrze znikało na chwilę, co budziło w Dwerze nadzieję. Być może zmęczyło się wreszcie pełnym pyłu wysokogórskim powietrzem, tak daleko od bagien, na których żyła większość noorów.

Potem pojawiała się ponownie. Jego krótki, gruby pysk przecinał uśmiech. Przysiadalo na jakimś skalnym występie, by patrzeć, jak Dwer przerąbuje się przez cierniste zarośla i przełazi przez stojące na sztorc płyty starożytnej nawierzchni, przyklękając często, by odnaleźć ślady stóp zbiegłego glawera.

Trop wystygł już, gdy Dwer dostrzegł go po raz pierwszy, tuż przed Polaną Zgromadzeń. Jego brat oraz inni pielgrzymi poszli dalej, ku dźwiękom wesołej muzyki dobiegającym z namiotów. Lecz niestety, obowiązkiem Dwera było powstrzymywanie tych glawerów, którym wpadał do głowy dziwny pomysł porzucenia przyjemnych nizin i szukania niebezpiecznej wolności. Święto będzie musiało zaczekać.

Noor wydawał z siebie wysokie szczeknięcia, udając, że mu pomaga. Jego węzowate ciało prześlizgiwało się do przodu na poziomie korzeni, podczas gdy Dwer musiał rąbać krzaki i gramolić się na czworakach.

Wreszcie człowiek zauważył, że dystans się zmniejsza. Ślady stóp zmęczonego glawera łączyły się. Palce dotykały pięt. Gdy wiatr zmienił kierunek, łowca poczuł zapach zwierzyny.

Najwyższy czas – pomyślał, zauważywszy, jak niewielki już odcinek góry dzieli go od rozpadliny prowadzącej do sąsiedniego zlewiska, które było właściwie innym światem.

Dlaczego glawery wciąż to robią? Ich życie nie jest takie trudne po tej stronie, gdzie wszyscy je rozpieszczają. Za przełęczą ciągnęła się kontrastująca ze Stokiem trująca równina, na której wytrzymać mogli jedynie najwytrzymalsi z myśliwych.

Albo turyści – pomyślał, przypominając sobie, jak Lena Strong proponowała mu zapłatę, by zgodził się poprowadzić na wschód wyprawę poświęconą jedynie celom krajoznawczym. Dwer znał to słowo wyłącznie z opowieści wywodzących się ze Starej Ziemi.

To szalone czasy -pomyślał. Niemniej "organizatorzy wycieczek" twierdzili, że mają zgodę mędrców. Pod pewnymi warunkami. Dwer otrząsnął głową. Nie chciał, żeby tak idiotyczne pomysły mąciły mu ju głowie, gdy ścigana zwierzyna była tuż przed nim.

Noor również przejawiał oznaki zmęczenia, choć ciągle wywachiwał gławera, a potem stawał na tylne łapy, by rozejrzeć się wokół lymi, skierowanymi do przodu oczyma. Nagle wydał z siebie gard-pomruk i pomknął przez górski gąszcz. Po chwili Dwer usłyszał / do rozpoznania skrzek gławera, a następnie głuchy tupot stóp 'arzyszący ucieczce. Świetnie, teraz go spłoszył!

Dwer wy dostał się wreszcie z podszycia na odcinek starożytnej rurskiej szosy. Pognał sprintem po zniszczonej nawierzchni. Schował czetę i wyciągnął kuszę, naciągając korbą cięciwę. Syki towarzyszące starciu dobiegały z wąskiego, bocznego kanionu, rer musiał więc opuścić starą drogę i kluczyć wśród porośniętych ;zami drzew. Wreszcie dostrzegł je, tuż za zasłoną krzewów – dwa szręta zastygłe w kontraście czerni i opalizującej jasności.)saczony w szczelinowatym parowie gławer był niewątpliwie sami->yć może ciężarną. Wdrapała się wysoko i dyszała teraz ciężko. ste oczy obracały się niezależnie od siebie. Jedno śledziło ciemnego a drugie szukało nie zauważonego jeszcze niebezpieczeństwa. ;r przeklinał obydwu stworzenia – gławerzycę za to, że zmusiła

go do bezproduktywnego pościgu, podczas gdy cieszył się na święto, a wścibskiego noora za to, że odważył się wtrącać!

Przeklinał go podwójnie, ponieważ miał teraz u niego dług. Gdyby gławerzyca zdołała dotrzeć na równiny leżące za Górami Obrzeźnymi, kłopotom nie byłoby końca.

Wydawało się, że żadne ze zwierząt nie widzi Dwera, choć nie założyłby się o to w przypadku noora, który ma bardzo czułe zmysły.

Co ten mały diabeł tu robi? Czego chce dowieść?

Dwer nazwał go Skarpetką ze względu na brązowe przednie łapy szpecące hebanową barwę, jaką miało jego futro od przyplaszczzonego ogona aż po wąsy drgające wokół krótkiego, grubego pyska. Czarne zwierzę znieruchomiało z wzrokiem wbitym w narwaną gławerzycę, Dwer jednak nie dał się nabrać.

Wiesz, że patrzę, pajacu.

Ze wszystkich gatunków pozostawionych na Jijo po odejściu starożytnych Buyurów noory wydawały mu się najtrudniejsze do zgłębienia, a kunszt myśliwego opierał się na rozumieniu innych istot.

Opuścił cicho kuszę i odwiązał rzemień z kozłej skóry, unosząc zwinięte lasso. Ruszył naprzód, skradając się cierpliwie i ostrożnie.

Odsłaniając w uśmiechu nierówne, kanciaste zęby. Skarpetka stanął słupka. W ten sposób wzrostem niemal dorównał gławerzycy – to znaczy sięgnął Dwerowi mniej więcej do uda. Większe zwierzę cofnęło się z warknięciem, aż kostne płyty jego grzbietu otarły się o skałę, co spowodowało osunięcie się deszczu drobnych kamieni. W rozwidlonym ogonie trzymało kij – jakiś konar albo młode drzewko, z którego usunęło gałązki. Zaawansowane narzędzie, biorąc pod uwagę obecny stan gławerskiego rodu.

Dwer znowu postąpił krok naprzód. Tym razem nie mógł uniknąć nadeptnięcia na kilka liści. Za spiczastymi uszami z futra noora wyłoniły się szare kolce poruszające się niezależnie od siebie. Skarpetka wciąż spoglądał na gławerzycę, lecz coś w jego postawie mówiło: "Cicho, głupku!"

Dwer nie lubił, żeby ktoś mu mówił, co ma robić. Zwłaszcza noor. Niemniej miarą wartości polowania jest tylko jego sukces, a młodzieniec chciał schwytać gławerzycę bez szkody dla niej. Gdyby ją teraz zastrzelił, oznaczałoby to przyznanie się do porażki.

Luźna skóra zwierzęcia straciła część opalizującego połysku od

Awili, gdy opuściło znajome rewiry, gdzie żywiło się odpadkami w pobliżu jakiejś wioski Sześciu, co glawery zwykły czynić od stuleci, odkąd tylko odzyskały niewinność.

Dlaczego to robią? Dlaczego co roku kilka z nich próbuje sforsować przełęcz?

Równie dobrze można by spróbować odgadnąć motywy noora. Wśród Sześciu jedynie cierpliwi hoonowie mieli talent do pracy z tymi psotnymi, siejącymi chaos zwierzętami.

Może Buyurowie byli źli, że muszą opuścić Jijo i zostawili tu noory, by spłatać psikusy tym, którzy przyjdą po nich.

Obok przeleciał brzęczący lwimuch o błoniastych, wirujących skrzydłach. Zdyszana glawerzyca śledziła go jednym okiem. Drugim obserwowała kołyszącego się na tylnych łapach noora. Głód przeważał stopniowo nad strachem, gdy zdała sobie sprawę, że Skarpetka jest za ły, by ją zamordować. Noor usiadł i zaczął nonszalancko wylizywać jej bark, całkiem jakby chciał wzmocnić to wrażenie. Bardzo sprytnie – pomyślał Dwer. Przesunął się w tej samej chwili, a glawerzyca skierowała obydwójce oczu w stronę unoszącego się i powietrzu posiłku.

Z paszczy zwierzęcia trysnął strumień plwociny, który trafił lwimu-a w ogon.

Skarpetka w mgnieniu oka skoczył w lewo. Glawerzyca pisnęła, erzyła kijem i odwróciła się błyskawicznie, by uciec w drugą stronę. Wyrzucił z podszycia z przekleństwem na ustach. Jego mokasyny śliznęły się na granitowym gruzie. Przewrócił się. Rozpędzona szalica maczuga przemknęła tuż nad jego głową. Zdesperowany, rzucił tsem, które napięło się gwałtownie, aż broda wyrzynała w ziemię. Choć Buca była wygłodzona i słaba, miała jeszcze dość zrodzonej z paniki energii, by ciągnąć Dwera za sobą z dwanaście metrów, nim wreszcie opuściła ją wola walki.

Glawerzyca drżała. Pod jej bladą skórą przebiegały fale barw. Upuściła prowizoryczną maczugę i opadła na wszystkie cztery kolana. Dwer podniósł się ostrożnie, zwijając sznur. Tylko spokój. Nikt nie zrobi ci krzywdy. patrzyła na niego jednym okiem zupełnie pozbawionym wyrazu. Ból istnieje. Marginalny – zajęczała w bardzo niewyraźnym i galaktycznym.

Dwer zatoczył się do tyłu. Dotąd tylko raz zdarzyło się, by schwytyany glawer przemówił do niego. Z reguły udawały nierozumne aż do końca. Oblizwał wargi i spróbował odpowiedzieć w tym samym, rzadko używanym dialekcie.

– Godne pożałowania. Cierpliwość zalecana. Lepsze od śmierci.

– Lepsze?

Zmęczone oko spojrzało na niego z ukosa, jakby lekko zdziwione i niepewne, czy ma to jakieś znaczenie. Dwer wzruszył ramionami.

– Przepraszam za ból. Blade światło utraciło wyraz.

– Bez winy. Ponura melodia. Teraz gotowa jeść. Błysk inteligencji zniknął pod pokrywą zwierzęcej tępoty. Zdumiony i wyczerpany Dwer przywiązał glawerzycę do pobliskiego drzewa. Dopiero wówczas dokonał przeglądu zadrapań i siniaków, które sprawiały, że krzywił się z bólu. Skarpetka leżał na skale, wygrzewając się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Noory nie znały mowy. W przeciwieństwie do glawerów ich przodków nigdy nie obdarzono tą umiejętnością. Mimo to jego rozwarty w uśmiechu pysk zdawał się mówić: "Ale fajna zabawa. Zróbmy to jeszcze raz!"

Dwer odnalazł kuszę, rozpalił ognisko i spędził ostatnie pół midury dnia na karmieniu pojmanej swymi skąpymi racjami żywnościowymi. Jutro znajdzie jej zbutwiałą kłodę, by mogła poszukać pod nią robaków. Była to ulubiona rozrywka glawerów, choć uchylała godności członków gatunku potężnych ongiś gwiazdnych wędrowców.

Skarpetka podkraść się bliżej, gdy Dwer odwinął trochę twardego chleba i suszonego mięsa. Człowiek westchnął i zaczął rzucać jedzenie noorowi, który łapał kęsy w locie, po czym zjadał je

delikatnie i uważnie. Następnie Skarpetka zaczął obwąchiwać tykwę służącą Dwerowi jako manierka.

Człowiek widział już, jak te zwierzęta używały tykw na pokładzie łodzi z hoońską załogą. Po chwili wahania wyciągnął korek i podał naczynie noorowi. Ten ujął je w obie przednie łapy o sześciu palcach – niemal równie sprawne jak prawdziwe ręce – i zaczął chleptać językiem szybko i zgrabnie, mlaskając przy tym głośno.

Po czym wylał sobie resztę zawartości na głowę.

Dwer zerwał się na nogi z przekleństwem na ustach. Skarpetka, lemonstrując radość odrzucił puste naczynie na bok. Strużki płynu pływały po jego lśniącem grzbiecie, tworząc na piasku ciemne plamy. Dwer zaszczebiał radośnie i zaczął się iskać.

Dwer potrząsnął manierką, lecz było w niej zaledwie kilka kropeł.

– Cóż za samolubne, niewdzięczne...

Było już za późno, by wybrać się do najbliższego strumienia, do którego wiodła wąska, zdradliwa ścieżka. Huk wodospadu był wystarczająco bliski, by go słyszeć, lecz na piechotę była to ponad miarę irrog. Sytuacja nie była groźna. Nieraz już obywatel się bez wody. ciemniej przez ten dźwięk całą noc będzie czuł suchość w ustach.

"Nigdy nie przestawaj się uczyć" – mawiała mędrzyni Ur-Ruhols. Dziś wieczorem Dwer nauczył się czegoś więcej o noorach. W ostatecznym rozrachunku, ta lekcja nie kosztowała go drogo.

Postanowił, że urządzi sobie pobudkę. Potrzebował do tego zegara-cikory.

Istniały poważne powody, by wstać wcześniej. Mógł jeszcze zdążyć rócić na doroczne Zgromadzenie Sześciu, nim wszyscy wolni ludzie iopcy i dziewczęta wybiorą sobie partnerów na świąteczne tańce. Był to jego doroczny raport dla Daniela Ozawy. Musiał również sprzeciwić się śmiesznemu pomysłowi "turystyki" głoszonym przez Lenę Strong. nadto, jeśli zabierze gławerzycę przed świtem, może mu się uda stawić Skarpetkę chrapiącego przy węglach. Noory lubiły spać niemal samo, jak zatruwać życie wieśniakom, a ten miał za sobą ciężki dzień. Po kolacji Dwer wydobyl więc plik papierowych torebek, swój zbieracz przydatnych rzeczy. Wiele opakowań pochodziło z kosza jego ttabadzSary.

Lark, pismem pełnym elegancji i opanowania, z reguły omawiał jakiś wiek stanowiący element skomplikowanego porządku życia na Jijo. • pakował w wyrzucone przez brata kartki nasiona, zioła i pióra – y przydatne na polowaniu.

Charakter pisma Sary był pełen rozmachu, lecz zarazem napięcia, i jakby wyobraźnia i porządek trzymały się nawzajem w ryzach. rzuconych przez nią notatkach roilo się od niepojętych formuł stycznych. (Niektóre błędnie rozwiązane równania nie tylko

przekreślono, lecz wręcz zadziobano na śmierć w atakach frustracji.) Dwer zawijał w papiery siostry lekarstwa, przyprawy i proszki czyniące wiele jijańskich potraw jadalnymi dla ludzi.

Z jednego z papierków wydobyl sześć nasion tobara – grubych, twardych i wonnych – które rozłożył na skale, w niewielkiej odległości od obozu, w kierunku, w którym wiał wiatr. Wstrzymując oddech, rozszczepił jedno z nich nożem, po czym uciekł przed wzbijającym się w górę obłokiem ostrego zapachu. Gławerzyca miauczała rozpaczliwie, a noor spoglądał na niego spode łba, dopóki wiatr prawie całkiem nie rozproszył intensywnego aromatu.

Wróciwszy do śpiwora, odczekał, aż pojawią się gwiazdy. Kalunuti była gorącym, czerwonym punktem widocznym wysoko na uśmiechniętej szyderczo twarzy Sargona, bezlitosnego stróża prawa. Potem pojawiły się inne gwiazdne wizerunki: orzeł, koń, smok i delfin, umiłowany kuzyn z uśmiechniętą paszczą, która -jak mawiali niektórzy – mogła wskazywać w kierunku Ziemi.

Jeśli wygnańców kiedyś złapią, to czy Wielka Biblioteka Galaktyczna utworzy archiwum

dotyczące naszej kultury? – zastanawiał się Dwer. Naszych mitów? Czy obcy będą czytać nasze legendy dotyczące gwiazdozbiorów i śmiać się?

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nikt nigdy nie usłyszy o tej osamotnionej kolonii ani nie pozna jej opowieści.

Nasi potomkowie – o ile będziemy ich mieli – upodobnią się do glawerów; prostych i niewinnych niczym dzikie zwierzęta.

Płomienie ogniska musnęły łopoczące skrzydła. Obok nasion tobara wylądował przysadzisty kształt o skrzydłach pokrytych szarawymi płytkami ułożonymi niczym zachodzące na siebie płatki kwiatu. Żółty dziób ptaszka szybko pochłonął orzech rozłupany przez Dwera.

Skarpetka poderwał się z błyskiem w ślepiach.

– Jak ją zaczepisz, zrobię z twojego futra kapelusz – ostrzegł go na wpół pograżony w drzemce Dwer.

Noor powęszył chwilę i położył się z powrotem. Wkrótce rozległ się rytmiczny stukot. Cikora zaczęła dziobać następny orzech. Potrzebowała na to czasu. Będzie zjadać jedno jądro co midurę – około siedemdziesięciu minut – dopóki nie zniknie ostatnie. Potem odleci z głośnym skrzekiem. Nie potrzeba było wydruku z Wielkiej Biblioteki, by odgad-

ć, z myślą o jakiej funkcji zaprojektowali to stworzenie Buyurowie. fwy budzik wciąż funkcjonował zgodnie z programem.

Lark nie ma racji, mówiąc, że to nie miejsce dla nas – pomyślał wer, uśpiony monotonnym stukotem. Jesteśmy przydatni. Jijo byłaby nutnym miejscem bez istot wykorzystujących jej dary.

Miał sny. Zawsze coś mu się śniło.

Bezkształtni wrogowie czaili się poza zasięgiem wzroku, gdy wezwał przez krainę pokrytą kolorami, całkiem jakby tęcza stopiła się, rfyneła na ziemię, a potem zamarzła. Ostre odcienie raziły oczy. Do go w gardle go paliło i nie miał bronii.

Sen zmienił się. Nagle Dwer znalazł się sam w lesie złożonym drzew, które zdawały się sięgać ponad księżycę. Z jakiegoś powodu yawiały wrażenie jeszcze groźniejszych niż kolorowy krajobraz. Rzu-eł się do ucieczki, lecz nie potrafił znaleźć z boru drogi wyjścia. Pnie ttjarzyły się, stanęły w płomieniach, a potem zaczęły eksplodować. | Gwałtowna intensywność tego koszmaru przebudziła go nagle.

idł. Serce waliło mu jak opętane. Wytrzeszczył szeroko oczy i z ra-

aą przekonał się, że prawdziwy las jest nietknięty, choć mroczny

rgany zimnym wiatrem. Wokół nie szalała ogniowa nawałnica.

Eystko to był tylko sen. ^Niemniej niepokój nie przestawał go dręczyć. Coś tu było nie w po-atarł powieki. Na niebie widniały już inne gwiazdozbiory, blednące •chodzie w plamie poprzedzającej świt szarości. Największy z się-v, Loocen, unosił się nad zarysami szczytów. Jego oświetlona tóem słońca powierzchnia usiana była jasnymi punktami – kopu-1 dawno opuszczonych miast. > tu właściwie nie gra?

e była to tylko intuicja. Zegarowa cikora umilkła. Coś musiało ją yć, nim zdążyła wyświergotać swój sygnał. Rozejrzał się i przeze noor pochrapuje spokojnie. Glawerzyca popatrzyła na niego sdnym bezmyślnym okiem. Drugie wciąż było zamknięte. ver natychmiast zrozumiał, co się stało. oja kusza! uleżała tam, gdzie ją zostawił, w zasięgu ręki. Zniknęła.

Ukradli ją!

Gniew wypełnił poprzedzający świt półmrok oślepiającym, zrodzonym z adrenaliny oburzeniem. Tuziny osób wspominały z zazdrością o jego kuszy – arcydziele z laminatu drzewnego i kości, wykonanym przez qheueńskich rzemieślników z Ovoom. Ale kto...

Uspokój się. Pomyśl.

Czy mogła to być Jeni Shen? Często żartowała, że namówi go, by zagrał z nią o kuszę w pokera. Albo może...

Zaczekaj!

Zaczerpnął głęboki oddech, lecz trudno mu było zapanować nad młodym ciałem, tak wypełnionym potrzebą działania.

Zaczekaj i posłuchaj, co świat ma ci do powiedzenia...

Przede wszystkim musi uspokoić wściekły zalew własnych, niewypowiedzianych słów. Odsunął na bok wszystkie hałaśliwe myśli. Następnie nakazał sobie ignorować chrapliwy odgłos oddechu oraz głośnie tętno.

Odległy pomruk wodospadu stał się już znajomy i łatwo go było wyłączyć. Szum wiatru, mniej regularny, również po chwili zniknął.

Jeden z dźwięków dobiegających z góry mógł oznaczać zegarową cikorę, krążącą nad nim w nadziei na więcej nasion tobara. Drugi łopot skrzydeł informował o nietoperzach w miodowym miesiącu – nie, raczej o związanej stałym związkim parze nietoperzy. Ten dźwięk również zlekceważył. Chrapanie noora wyciszył, podobnie jak ciche zgrzytanie trzonowych zębów glawerzycy, która ponownie przeżuwała spożyty pokarm.

Tam! Dwer odwrócił głowę. Czy coś szurało po żwirze? Być może kamyki osuwające się z piargu. Coś albo ktoś. Dwunóg? Niemal wielkości człowieka, ocenił, i to uciekający.

Rzucił się w pogoń za dźwiękiem. Sunąc w swych mokasynach bezgłośnie jak duch, zdążył pokonać pewien dystans, nim zorientował się, że złodziej obrał fatalny kierunek. Oddala się od wybrzeża. Oddala od Stoku. Zapuszcza się głębiej w Góry Obrzeżne.

Zmierza ku przełęczu.

Gdy Dwer posuwał się w górę skalistej ścieżki, niedawny gniew ustąpił miejsca regularnemu rytmowi pościgu: napiętej, niemal ekstatycznej koncentracji na każdym odbiciu pięt i palców u nóg, wydajności

hów niezbędnej dla zachowania ciszy, gorliwemu wsłuchiwaniu się wszystko poza wydawanym przez niego samego cichym odgłosem nadziei wychwycenia czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić na ślad ega. W głowie mu się rozjaśniło. Nie była już zatruta wściekłością. z względu na powód tego pościgu, nie mógł nie czuć pewnego rodzaju [ości. To była jego sztuka, to, co kochał najbardziej. Zbliżał się już do przesmyku szarości oddzielającego od siebie dwa oczne szczyty, gdy nagle uświadomił sobie pewien problem. Zaczekaj minutkę! Zwolnił do truchtu, a potem do marszu.

To głupota. Ścigam jakiś dźwięk, nie mając nawet pewności, czy go szalem – mogła to być pozostałość snu – podczas gdy odpowiedź też cały czas była pod ręką! Noor.

!iZatrzymał się, waląc pięścią w udo. Czuł się jak idiota. (TO właśnie robią noory. Kradną różne rzeczy. Zamieniają wieśnia-1 poobijane kubki na skarby albo na odwrót. Ezy – kiedy wróci – znajdzie tam, gdzie przedtem leżała kusza, Ilwiotygryskiego łajna, czy też diament wyrwany z korony jakiegoś no zmarłego buyurskiego króla? A może noor, glawerzyca i kusza)stu znikną? Skarpetka okazał się niezłym aktorem, gdy tak sobie lał przy węglach. Czy zwierzę chichotało, gdy Dwer pognął w noc, ąc własną, podsycaną oburzeniem wyobraźnię? t)ok gniewu pojawiło się niechętnie uznanie. st niezły. Naprawdę mnie nabrał.

! drugiej strony, tego noora mogła jeszcze spotkać niespodzianka. ystkich ludzi na Jijo być może tylko Dwer miał kwalifikacje me, by odnaleźć zwierzę i wziąć na nim rewanż. zie to trudny pościg. Być może skazany na niepowodzenie. o łowy życia.

;ła myśl napełniła Dwera zdumieniem. Czy to właśnie był dar ? Czy zaoferował mu... id nim,

niewyraźnie widoczny w mroku, poruszył się skrawek

skupione na niczym, przyzwyczajone do statycznego obrazu yerabyły otwarte na obwodowe widzenie. Odruchowo stosowa-i myśliwych sztuczka sprawiła, że jedno z nich było szczególnie uwrażliwione na mch – jak w chwili, gdy "głaz" przesunął się nagle w lewo, a potem ruszył w stronę przełęczy.

Uszy pochwyciły odległe, łechcące skrobanie, cichsze niż wiatr. Dwer ściągnął brwi. Ruszył naprzód, najpierw powoli, potem szybciej, lecz ciągle skradając się.

Gdy zamazany cień zatrzymał się, on zrobił to samo, rozkładając ramiona, by zachować równowagę.

Rysująca się na tle poprzedzającej świt szarości istota odczekała jeszcze kilka dur, po czym odwróciła się i ruszyła w dalszą drogę.

"Ufaj swym instynktom" – uczył go zawsze Fallon Tropiciel. Stary był bystrym facetem.

Skarpetka rzeczywiście był głównym podejrzanym. Być może właśnie dlatego Dwer nie pomyślał o nim jeszcze w obozie. Zmarnowałby cenny czas, obciążając winą sprawcę, którego podpowiadała logika. Pierwszy impuls okazał się jednak właściwy. Początkowa wskazówka była trafna.

Cień odwrócił się raz jeszcze. Dwer dostrzegł sylwetkę człowieka, zatrwożonego teraz, uciekającego z przywłaszczoną kuszą. Tym razem pognął sprintem, rezygnując z ukrywania się na rzecz szybkości. Posypały się kamyki. Przełęcz wypełniły echa ich grzechotu. Uciekający również skręcił nagle, podskakując w biegu niczym ścigany pręgowany gusul.

Tylko trzech ludzi na Jijo potrafiło prześcignąć Dwera, a na górzystym terenie ani jeden.

Końcówka – pomyślał, przygotowując się do ostatniego przyspieszenia.

Gdy uciekinier się odwrócił, Dwer był przygotowany. Kiedy wyciągnął nóż, zrozumiał, że to nie żarty. Rzucił się naprzód, by schwytać przeciwnika, przygotowany na wrzaski gniewu i trwogi.

Twarz złodzieja, która zamajaczyła przed nim podczaa skoku, była niespodzianką.

Ludzka.

Kobieca.

Strasznie młoda.

A przede wszystkim całkowicie nieznajoma.

Asx

znaczenie spadło z nieba. fijo. Stok.

Polanę Zgromadzeń.

)środek naszych lęków, znacznie wcześniej, niż się spodziewano. Iległości megaparseków przybył do nas statek z Pięciu Galaktyk! ardzo daleka... My, biedni wygnańcy, mogliśmy przynajmniej się na to, by przejść krótki odcinek do miejsca, w którym wał, by przywitać go uprzejmie.)ben zrezygnował z zaszczytu prowadzenia procesji. Przyciąga-tak mocno pęta naszych drogich g' Keków, że muszą się poruszać nie na kołach, używając swych szczudłonóg tylko do zachowy-•ównowagi. Po wyboistym gruncie posuwają się niemal równie jak traeki. Yubben i „ja" wlekleśmy się więc powoli, skłaniając ti kolegów: hoona, qheuena, człowieka i ursę, by pognali naprzód

f ja-my wyczuwamy ohydny odór zazdrości unoszący się w na-sntralnym rdzeniu? Czy niektóre z was, moje poszczególne jaźni, |ą się, że jesteście tak powolni i niezgrabni w porównaniu z dłu->ońskimi nogami czy rącznymi uryjskimi kopytami? Sprawy mo-yyglądać inaczej, gdyby statek, który przywiózł nas na wygnanie, ł wyposażony w pełną menażnię pierścieni, jakie podobno po-nasi pobratymcy. Legendy opowiadają o zgrabnych, służących gania członkach – darze potężnych Oailie – członkach, na i nawet tak ciężki stos jak nasz mógł być szybki niczym szakał k. Szybki jak Jophur.

^jednak przejęlibyśmy wtedy i arogancję Oailie? Ich szaleństwo? szylibyśmy wojny, tak jak

qheueni, ursy, hoonowie i ludzie robili z stulecia, tutaj, na Jijo, wadząc się ze sobą, dopóki Wspólnota :asię wystarczająco silna, by zaprowadzić pokój? Ci traeki, którzy na Jijo, mieli powody, by nie zabierać ze sobą owych pierścieni. zynajmniej sądzimy.

? w naszą opowieść znowu wplątuje się dygresja. Dyscypliny, aerścienie! Raz jeszcze niech zawirują opary. Pogłaszczcie wo-odciski i pamiętajcie...

Przypomnijcie sobie, jak maszerowaliśmy, każde w swoim tempie, ku leżącej na uboczu dolinie, gdzie wylądował statek intruzów. Vubben recytował po drodze fragmenty z Księgi Wygnania, największego ze zwojów, najmniej zmienionego przez klótnie, herezje czy nowych przybyszów.

– Prawo do życia ma charakter warunkowy – zaintonował głosem, który zdawał się pieścić duszę.
– Rzeczy materialne podlegają ograniczeniom, choć umysł jest wolny. Białka, fosforu, a nawet energii nigdy nie wystarcza, by zaspokoić wszelki głód. Dlatego nie czujcie się urażeni, gdy rozmaite istoty rywalizują o to, co fizycznie istnieje. Jedyne w myśli może istnieć prawdziwa szczodrość. Pozwólcie więc, by myśl stała się ośrodkiem waszego świata.

Głos Yubbena działał uspokajająco na naszych obywateli. Wydawało się, że jego słowa tworzą rezonans wśród cienkopiennych welpali, które są dostrojone do muzyki Jaja.

Mimo to, podczas gdy Vubben mówił o spokoju umysłu, mój-nasz segment podstawny wciąż próbował się zatrzymać, odwrócić stopy i zabrać nas stąd! Ten najniższy pierścień zdawał sobie niejasno sprawę, że niebezpieczeństwo znajduje się z przodu i rozsądnie głosował za ucieczką. Nasze wyższe kondygnacje musiały stosować bodźce zapachowe, by popędzać go naprzód.

Mnie-nam wydaje się dziwne to, jak nietraeki odczuwają strach. Mówią, że przenika on wszystkie części ich ciał i w związku z tym trzeba z nim walczyć wszędzie jednocześnie! Ja-ja zapytałem kiedyś Lestera Cambela, jak ludzie to robią, że potrafią zachować spokój podczas kryzysu. Jego odpowiedź brzmiała, że z reguły nie potrafią!

Jakie to dziwne. Ludzie zawsze wydają się tacy opanowani. Czy to tylko jedna wielka gra, mająca oszukać i innych, i ich samych?

Nie czyń dygresji, o Asxie. Pogłaszcz wask. Ruszaj dalej. Ruszaj w stronę statku.

Sara

Wydawało się, że Henrik ma opory przed odpaleniem swych ładunków.

Z początku zaskoczyło to Sarę. Czyż nie był to kryzys, o którym

sadzacz zawsze marzył? Szansa, by zrobić wielkie bum? Zniszczyć czego wybudowanie zajęło innym całe życie?

W gruncie rzeczy, Henrik wydawał się mniej do tego skory niż wielu amiętych paniką obywateli tłoczących się tej nocy na Drzewie Ze-m, po tym, jak kula ognista na ich oczach wstrząsnęła lasem aż do ;o starożytnych korzeni. Dwaj ogrodnicy i szympans! robotnik spadli wysokich gałęzi i zabili się, a dziesiątki innych ocalały jedynie cudem. mierzy byli podenerwowani.

W wyrzeźbionej w rdzeniowym sęku potężnego garu wielkiej sali romadziły się niemal wszystkie rozumne istoty zamieszkałe w pro-ieniu jednego dnia szybkiego marszu. Wydawało się, że spoceni przedstawiciele ludzkiego rodu tłoczą się w pomieszczeniu niczym ryby gorącej patelni.

Obecna była również grupka innych – przede wszystkich hoońskich uynarzy. Ich jasne, pokryte łuskami skóry oraz kosmate, białe futro (nogach kontrastowały ostro z ciemnozielonymi płaszczami spiętymi wnianymi zapinkami pod nadymającymi się workami rezonansowy-Niektórzy nosili też nad oczyma drżące rewqi, by pomogły im srpretować ten wir ludzkich emocji.

)bok północnego wejścia, gdzie było mniej wilgotno, garstka uryj-1 majsterek złościła się i tupała nogami, kołysząc niespokojnie ;ionymi w warkocze ogonami. Sara wypatrzyła nawet osamotnio-> g'Keckiego pielgrzyma. Z jednej z szypulek skapywał mu zna-ujący trwogę zielony pot. Pozostałe trzy

leżały zwinięte niczym letki w szufladzie, chroniąc się przed fermentem ochrypłych gło-

lyglądało na to, że doktor Lorrek postąpił rozsądnie, gdy zaproponował, że to on będzie czuwał wieczorem przy rannym nieznanym. A miejscowy farmaceuta, posiadał mechanizmy obronne chroniącego dolne pierścienie przed zdeptaniem. Jeśli naciskano na »zbyt mocno, traeki wypuszczał po prostu trochę cuchnącej pary i najbardziej rozgorączkowany obywatel odsuwał się. Wątpliwie, sytuacja wyglądała podobnie wszędzie tam gdzie, nicy dostrzegli straszliwe widmo na niebie. W tym czasie ludzie uczestniczyli zarówno w qheueńskich jak i hoońskich zgromadzeniach, a nawet w urządzanych przy huczących ogniskach na otwartych linach tajnych spotkaniach uryjskich plemion.

Wielki Pokój to nasze najwspanialsze osiągnięcie – pomyślała Sara. Może będzie świadczył na naszą korzyść podczas sądu. Dokonaliśmy ogromnego postępu od czasów wojen i rzezi.

Niestety, sądząc po objawach złości towarzyszących dzisiejszemu zebraniu, Wspólnota nadal miała przed sobą długą drogę.

– Drobne naprawy?

Chaz Langmur, mistrz ciesielski, wygłaszał swój protest ze sceny zwykle używanej do urządzania koncertów i przedstawień.

– Mowa o utracie wszystkiego, co leży poniżej poziomu napływającej wody i to nie licząc samej tamy! Pytacie, ile lat będzie trzeba na odbudowę, jeśli okaże się, że to fałszywy alarm? Mówmy raczej o stuleciach!

Kupcy i rzemieślnicy udzielili Langmurowi głośnego poparcia, lecz okrzyk: "hańba!" padający z ust wielu ludzi odzianych w szare stroje farmerów świadczył o sprzeciwie. Z góry dobiegały też pełne podniecenia małpie wrzaski. Choć miejscowe szympansy nie były posiadającymi prawo głosu obywatelami, tradycja pozwalała im wdrapywać się po zdobitych ścianach gobelinach i obserwować zebranie z umieszczonych wysoko wąskich otworów wentylacyjnych. To, ile z tego wszystkiego rozumiały, było kwestią sporną. Jedne popierały pełnymi wigoru krzykami tego z mówców, który wydawał się najbardziej roznamiętniony, inne zaś miały zdanie równie zdecydowane, jak ojciec Sary, który poklepał cieśnię po plecach, by dodać mu odwagi.

Ciągnęło się to godzinami. Rozgniewani mężczyźni i kobiety po kolei cytowali pismo bądź uzalali się nad kosztami. Obie strony przemawiały coraz głośniej, w miarę jak narastały strach i irytacja. Nie tylko ludzie zaangażowali się w spór. Gryząca Kłody, matriarchini miejscowego qheueńskiego kopca, domagała się gorąco zachowania Tamy Dolo, podczas gdy jej kuzynka ze Stawu Za Kłodami nazwała zaporę "zbytkowną potwornością". Sara obawiała się, że dojdzie do bójki między dwiema potężnymi, opancerzonymi matronami, lecz Fru Nestor, przewodnicząca starszyny wioski, rozdzieliła je mimo swej wątlej postury. Rewą na czole kobiety migotał uspokajającymi kolorami, do chwili, gdy obie qheuenki wycofały się.

Audytoryum nie było lepsze. Jakaś kobieta nadepnęła Sarze na nogę. Ktoś inny z pewnością nie kapał się jeszcze w tym tygodniu. Wypadał źle nawet w porównaniu z najgorszymi wydziałami Pzory. Sara za-

ościła Prity, której mała postać widoczna była wysoko na para-;ie obok kilku ludzkich dzieci, zbyt młodych, by głosować. W przedostatku do innych szympansów, sprawiała wrażenie bardziej zainteresowanej swym notatnikiem niż wykrzykującymi mówcami. Po-gała za dolną wargę, studiując linie skomplikowanych wzorów mate-tycznych.

Sara zazdrościła jej, że może uciec w abstrakcję. Jeden z nadrzewnych farmerów podniósł się, by przemówić. Był to ady mężczyzna imieniem Jop. Jego jasnożółte włosy skręcały się kół uszu w loki. Zacisnął dwie wielkie, sękaty dłonie pokryte groma-(cymi się przez całe życie stwardnieniami. – Sknerstwo i dalekowzroczność! – podsumował wystąpienie isli. – Co chcielibyście zachować? Kilka

warsztatów i nabrzeży? Demijające zabawki, jak kanalizacja i papier? Odpady! Wszystko to pady! Odrobina marnych wygód, którą nasi grzeszni przodkowie twolili na chwilę zachować biednym wygnańcom, by ułatwić nasze pvsze kroki na drodze ku łasce. Zwoje jednak mówią, że nic z tych fezy nie ocaleje! Ich przeznaczeniem jest morze! 3op zwrócił się ku swym zwolennikom, ściskając dłonie. i- Zaplanowano to już dawno. To właśnie poprzysięgliśmy zrobić, jizjawią się gwiazdoloty. W przeciwnym razie, po co przez cały ten otrzymywaliśmy cech wysadzaczy?

popatrzyła na Henrika i jego syna, którzy siedzieli z tyłu Chłopak, Jomah, zdradzał niepokój, międląc powoli czapkę Aojnych dłoniach. Jego tata mógłby jednak równie dobrze być

. Henrik przez cały czas zachowywał milczenie, pomijając chwilę, anektował zwięźle, że jego ładunki są gotowe.

ra zawsze wyobrażała sobie ich zawód jako frustrujący. Być może go jedynie na Jijo. Czy po tak wielu latach przygotowań -

rowadzania niezliczonych testów w małym kanionie leżącym t wzgórz – nie wzdychali do tego, by wreszcie zrobiono z tego takiego użytku?

fielem, że ja bym wzdychała.

wno temu Sara, Lark i mały Dwer zwykli siadać w swym pokoju

'chu, patrząc na łoskoczące koło wodne skąpane w świetle księ-ekscytując się nawzajem okropnymi opowieściami o tym, co szyć, jeśli nadejdzie kiedyś chwila, w której Henrik odpali

swę ładunki. Z zachwycającym, udawanym przerażeniem w piersiach odliczali uderzenia serca aż do chwili gdy – babach!

Dwer uwielbiał produkować efekty dźwiękowe, a zwłaszcza naśladować wybuch niszczący tamę, czemu towarzyszyło wymachiwanie ramionami i mnóstwo śliny. Potem młodszy brat Sary z zachwytem opisywał ścianę wodną ciskającą dumnymi łodziami jak zabawkami, rozwalającą należące do Nela podstawki do suszenia i gnającą w stronę okna ich sypialni niczym pięść.

Następnie inicjatywę przejmował Lark, który podniecał i przerażał młodszą dwójkę opisem tego, jak strumień wody ścina ich strych, który potem mknie przechylony przez las gam, a nadrzewni farmerzy przyglądają mu się z litością. Każde cudowne ocalenie w jego relacji sprawiało, że Sara i Dwer krzyczeli głośno, aż wreszcie skakali na swego roześmianego starszego brata i zaczęli okładać go pięściami, żeby przestał.

Mimo to – po tym, jak Dwer i Lark zrobili, co tylko mogli, by ją nastraszyć – to oni miotali się nocą po łózkach, podczas gdy Sara nigdy nie miała koszmarów. Gdy śniła o wysadzeniu tamy, wyobrażała sobie, że wielka fala po prostu ujmuje ich w swą delikatną dłoń. Gdy piana przesłaniała całą Jijo, przekształcała się w magiczny sposób w puszystą, naładowaną elektrycznością substancję obłoku. Wizja zawsze kończyła się tym, że jej ciało, lżejsze niż mgiełka, wolne od strachu, unosiło się przez noc rozświetloną gwiazdami.

Ryk aprobaty przywołał ją z powrotem do rzeczywistości. Z początku nie potrafiła określić, czy pochodził on od tych, którzy pragnęli szybkiej akcji, czy też od ich przeciwników, zdecydowanych nie niszczyć owocu wysiłków dziewięciu pokoleń jedynie dlatego, że ich oczy coś zobaczyły.

– Nie mamy pojęcia, co właściwie widzieliśmy! – oznajmił jej ojciec, przeczesując brodę zdeformowanymi palcami. – Czy możemy mieć pewność, że to był gwiazdłot? Może o atmosferę otarł się meteor? To wyłśniłoby cały ten hałas i zamieszanie.

Jego sugestia wywołała szydercze uwagi i tupanie nogami. Nelo ciągnął pośpiesznie dalej: – Nawet jeśli rzeczywiście był to statek, to nie znaczy, że nas odkryto! Inne gwiazdoloty przylatywały i odlatywały. Na przykład kule Zangów, które przybywały zasysać wodę z morza. Czy wtedy wszystko

niszczyliśmy? Czy starsze plemiona spaliły swe miasta,

czy przybyli ludzie? Skąd wiemy, że to nie był następny skradacz zynoszący siódmy gatunek wygnańców, by przyłączył się do Wspólnej? Jop prychnął pogardliwie.

– Pozwólcie, bym przypomniał uczonemu papiernikowi, że skradacze się skradają! Przybywają pod osłoną nocy, chmur i szczytów irskich. Ten nowy statek nie czynił podobnych wysiłków. Pomknął osto na polanę Jaja, teraz, gdy znajdują się na niej namioty zgromadzenia wraz z najważniejszymi mędracami Sześciu.

– No właśnie! – krzyknął Nelo. – Mędracy powinni już dobrze wientować się w sytuacji. Dokonaliby teleprzekazu, gdyby uważali za mleczne...

– Teleprzekazu? – przerwał mu Jop. – Mówisz poważnie? Mędracy ciągle przypominają nam, że temu środkowi nie można ufać. I chwili kryzysu właśnie teleprzekazy mogą być tym, co przyciągnie uwagę! Albo... – nastąpiła wymowna przerwa – albo powód, dla którego nie otrzymaliśmy żadnych wiadomości, jest straszliwszy.

^Pozwolił, by sens jego słów dotarł do zebranych. Tu i ówdzie degły się głębokie westchnienia. Niemal każdy z obecnych miał wnetego lub bliskiego przyjaciela, który udał się w tym roku na grzymkę.

Larku, Dwerze, czy jesteście bezpieczni? – zastanowiła się zatrwożona Sara. Czy jeszcze was zobaczę?

– Tradycja pozostawia decyzję każdej społeczności. Czy będziecie wykręcać, podczas gdy nasi najbliżsi być może zapłacili już cenę iszą niż parę budynków i śmierdząca tama? trzaski oburzenia wydawane przez rzemieślników zostały zagłuszone przez okrzyki poparcia pochodzące od zwolenników Jopa. – Spokój! – pisnęła Fru Nestor, lecz jej skarga zatoneła w chaosie. Jej stronnicy z krzykiem domagali się głosowania. Wybierzmy prawo! Wybierzmy prawo! storzażądała przywrócenia porządku, wnosząc do góry dłonie. raźniej obawiała się rozczłonkowania rodzinnego miasteczka, adzenia go do poziomu rolniczego sioła, bogatego w cześć, lecz wiele więcej.

Czy ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia? – zapytała. Sio wystąpił naprzód, by podjąć kolejną próbę, lecz zrezygnował

wobec rozlegających się zewsząd gwizdów. Kto kiedykolwiek widział, by tak traktowano papiernika? Sara czuła jego wstyd i upokorzenie, lecz sytuacja byłaby znacznie gorsza, gdyby jego ukochana fabryka obróciła się w nicość, zalana niszczącym wszystkim strumieniem.

Nawiedziła ją dziwna myśl. Czy powinna zakraść się do swego dawnego pokoju na strychu, by tam czekać na falę? Czyje proroctwo było trafne? Dwera i Larka? Czy też te wizje, które ją nawiedzały w snach? Miałyby jedyną w życiu okazję, żeby się przekonać.

Podjęte na nowo śpiewy ucichły, gdy zza tłumu bladych hoońskich marynarzy wystąpił ktoś nowy. Była to centauropodobna postać o długim, krętym tułowiu pokrytym cętkowaną sierścią przywodzącą na myśl zamsz. Tors rozgałęział się w parę krótkich, grubych, pozbawionych barków ramion oraz potężną, węzowatą szyję. Ostro zakończona głowa posiadała troje czarnych oczu (jedno z nich było pozbawione powieki i fasetkowane) osadzonych wokół trójkątnych ust. Była to uryjska majsterka, którą Sara pamiętała z jej poprzednich wizyt w Dolo. Kupowała tu złom i stłuczkę szklaną, a sprzedawała proste buyurskie narzędzia znalezione w jakichś ruinach. Stąpała ostrożnie, jakby się obawiała, że w kopyta wbije się jej drzazga z nieheblowanych desek podłogi. Uniosła jedno ramię, odsłaniając na chwilę ukrytą pod nim niebieskawą torbę rozrodczą. Gest ten mógłby mieć inne znaczenie na spotkaniu przedstawicielek jej gatunku, lecz Fru Nestor potraktowała go jako prośbę o pozwolenie na zabranie głosu, którego udzieliła za pomocą ukłonu.

Sara usłyszała ludzki szept: "Mulica!" Było to grubiańskie przypomnienie czasów, gdy nowo przybyli Ziemianie walczyli z uryjskimi plemionami o ziemię i honor. Jeśli nawet majsterka usłyszała obelgę, zignorowała ją. Radziła sobie świetnie, jak na młodą ursę mającą tylko jedną męzowską torbę zamieszkaną przez wijące się wybrzuszenie. W obecności tak wielu ludzi nie mogła używać równinnego dialektu drugiego galaktycznego. Zdecydowała się na anglic mimo utrudnienia, jakie stanowiła rozszczepiona górna warga.

– Nożna mnie zwać Ulgor. Dziękuję za waszą ufrzejność, która jest włogosławieństwem wśród Sześciu. Chciałan tylko zadać kilka fytań dotyczących diskutowanych dziś kwestii. Pierwsze z nich wrzni tak:

Czy nie lefiej, wy tę sfrawę rozstrzygnęli nasi nędrscy? Dlaczego nie fozwolić, wy oni zdecydowali, czy nadszedł wielki czas sądu?

– Uczona sąsiadko – odparł Jop z przesadnie uprzejmą cierpliwo-

– Zwoje nakazują, by wszystkie wioski podjęły samodzielne ania w celu wymazania wszelkich śladów, które można dostrzec ba! Rozkaz jest prosty. Nie potrzeba żadnych skomplikowanych 5w. Ponadto nie ma czasu czekać na wiadomość od mędrców – uczył. – Wszyscy są daleko, na zgromadzeniu.

– Wywacz ni. – Ulgor ugięła przednie nogi. – Nie wszyscy. i nadal frzewywa w Pałacu Książek w Wiwłos, nań rację? toici z tropu ludzie popatrzyli na siebie zaskoczeni.

– W Pałacu Książek w Biblos! – krzyknęła nagle Fru Nestor. – to prawda. Ale od Biblos również dzieli nas wiele dni drogi iem.

^azjeszcze Ulgor ugięła szyję, nim wyraziła swój sprzeciw. r– Słyszałan jednak, że z najwyższego drzewa w Dolo nożna zowa-»fonad wagnen ruchonych fiasków, szklane urwiska wznoszące się B/iwłos.

§– Jeśli ma się dobry teleskop – przyznał Jop, obawiając się, że feutraci cały impet. – Nadal nie rozumiem, w czym może to

Ogień!

yarze zwróciły się w stronę Sary, która krzyknęła, gdy jej myśl nie pszcze do końca uformowana.

l, Gdyby biblioteka płonęła, zobaczylibyśmy płomień! jlnrukujący tłum gapił się na nią, dopóki nie zaczęła wyjaśniać:

k' Wszyscy wiecie, że kiedyś pracowałam w Biblos. Mają tam plan padek nieprzewidzianych okoliczności, tak samo jak w każdym |miejscu. Jeśli mędrscy wydadzą taki rozkaz, bibliotekarze mają |-ze sobą tyle tomów, ile zdołają udźwignąć, a potem podpalić

Igła posępna cisza. Zniszczenie tamy w Dolo można było sobie rić, lecz utrata Biblos byłaby prawdziwą zapowiedzią końca. one miejsce nie było tak ważne dla życia ludzkiego na Jijo. Nakoniec mają wysadzić kolumny podtrzymujące dach z kamie-tłUć go na popioły. Ulgor ma rację. Dostrzeżlibyśmy to, zwłasz-Itej godzinie wschodzi Loocen.

Wyślijcie kogoś na górę, by to sprawdził! – rozkazała zwięźle

Dr.

l chłopców zerwało się z miejsc i wymknęło przez okna razem

z grupą pohukujących szympanów. Tłum czekał, słycać było nerwowe szepty. Sara czuła się niepewnie, kiedy wlepiało się w nią tyle par oczu. Spuściła wzrok.

Tak właśnie mógłby postąpić Lark. W ostatniej chwili przejąłby śmiało kontrolę nad zebraniem, zmuszając innych do działania. Joshu również był impulsywny, dopóki nie powaliła go choroba, w tych ostatnich tygodniach...

Sękaty palce ujęły dłoń Sary i zatrzymały posępny kołowrót jej myśli. Podniosła wzrok i

dostrzegła, że Nelo postarzał się w ciągu ostatniej godziny. Los jego ukochanej papierni zależał teraz od tego, jakie wieści nadejdą z góry.

W miarę powolnego upływu czasu, dotarły do niej pełne implikacje jej przepowiedni.

Biblos.

Pałac Książek.

Raz już ogień spowodował w nim straszliwe straty. Mimo to ocalałe archiwum stanowiło największy wkład ludzkości do Wspólnoty i budziło zazdrość oraz zachwyty reszty gatunków.

Czym się staniemy bez Biblos? Prawdziwymi prostaczkami? Sza-brownikami żyjącymi z resztek ukradzionych ze starożytnych buyur-skich ruin? Wyłącznie farmerami?

Takie wrażenie wywierała piątka pozostałych gatunków w chwili przybycia ludzi. Skłócone, prymitywne plemiona ze swą ledwie funkcjonującą wspólnotą. Ludzie wprowadzili nowe zwyczaje, zmienili zasady w niemal równie wielkim stopniu, jak stało się to po zjawieniu się Jaja w kilka pokoleń później.

Czy teraz zaczniemy staczać się szybciej? Stracimy nieliczne dowody przypominające, że ongiś wędrowaliśmy po galaktykach? Wyrzekniemy się swych książek, narzędzi i ubrań, aż wreszcie staniemy się podobni do glawerów? Przerodzimy w czyste, rozgrzeszone niewiniątka?

Zgodnie ze zwojami, do zbawienia prowadziła tylko jedna droga. Wielu w to wierzyło, tak jak Jop.

Sara usiłowała nie tracić nadziei; nawet gdyby nadeszła wiadomość o płomieniach i pyle widocznych w ciemnościach nocy, poza Biblos znajdowały się setki książek wypożyczonych do odległych osad.

Lecz niewiele tekstów dotyczących specjalności Sary kiedykolwiek

zakończyła. Hilbert. Somerfeld. Witten i Tang. Eliahu wiska wielkich umysłów, z którymi nawiązała bliską znajomość stuleciami i parsekami. Była to zażyłość czystych, niemal doskonałych umysłów.

Jedyny egzemplarz.

Wszystko dotyczyło ostatnio czego innego – chaotycznych tyków i odpływów języka – nadal jednak matematyka była jej n. Głosy przemawiające z tych książek zawsze wydawały się jej nie do uszu. Bała się teraz, że dowiedzie się, iż je utraciła. Igle przyszła jej do głowy, całkowicie nieoczekiwana myśl. Po-tem spojrzeć na tragiczność sytuacji pod zupełnie innym kątem. iii naprawdę przybyli Galaktowie, jakie znaczenie ma kilka tysięcy-Merowych tomów? Rzecz jasna, osądzą nas za zbrodnię naszych ków. Nic nie może temu zapobiec. Ale tymczasem, na pokładzie itków...

W głowie, że może mieć szansę na odwiedzenie m odmienną biblioteki. Górącej nad zbiorami w Biblos tak, jak ; w południe góruje nad świecą.

Sz to za okazja! Nawet jeśli wszyscy zostaniemy wkrótce aami galaktycznych Władców Migracji transportowanymi na jakiś świat, nie mogą nam raczej zabronić czytania! relacjach z dawnych dni czytała o "dostępności" do komputerowych anych, pływaniu w wiedzy jak w ciepłym morzu, pozwalaniu, by tniała umysł niczym woda pory skóry. Pikowaniu przez chmury iści.

Wolałabym się przekonać, czy moja praca ma charakter oryginalny, że w ciągu miliarda lat istnienia galaktycznej kultury uzyskano takie wyniki już dziesięć milionów razy!

W myśl wydawała się arogancka i upokarzająca zarazem. Jej strach wielkimi gwiazdolotami nie zmalał. Nadal modliła się, by wszędzie okazało się pomyłką, meteorem lub jakimś złudzeniem. iemniej buntowniczy zakątek jej wzburzonego umysłu poczuł coś go – przebudzony głód... (lyby tylko...

Wagle coś przerwało wątek jej myśli. Wysoko na górze jakiś chłopiec rił łepetynę przez wąskie jak szpara okno. Zwisając głową w dół Snał:– Nie ma ognia!

Dołączyli do niego następni, w innych otworach. Wszyscy wrzeszczeli to samo. Przyłączyły się do nich szympansy. Ich podniecone krzyki wypełniły całą zatłoczoną salę zebrań.

– Nie ma ognia, a dach z kamienia nadal stoi!

Stary Henrik podniósł się. Wypowiedział do starszyny tylko jedno słowo, nim oddalił się wraz z synem. Otoczona podekscytowanym, rozgadany tłumem Sara odczytała stanowczy wyraz twarzy wysadza-cza oraz rozstrzygające słowa wydobywające się z jego warg:

– Zaczekamy.

Asx

Nasza karawana gatunków pomaszerowała ku miejscu, gdzie po raz ostatni widziano obcy statek. Gorejący cylinder schodził w dół, za niskie wzgórze. Po drodze Vubben nie przestawał intonować fragmentów Zwoju Niebezpieczeństwa.

Z przodu rozległy się krzyki. Tłumy przepychały się wzdłuż grani, sycząc i szepecząc. Musimy potrać ludzi i hoonów, by przedostać się obok nich.

I czyż wtedy nie ujrzeliśmy gniazda? Nowej polany otoczonej powalonymi drzewami, dymiącymi jeszcze od promieni, które je ścięły?

I wśród całego tego spustoszenia – migocząca od gorąca wywołanego wejściem w atmosferę – spoczywa jego przyczyna.

W pobliżu ludzcy i uryjscy rzemieślnicy spierali się w dziwnym dialekcie inżynierskiej kasty o to, czy ta wypukłość albo tamten bąbel to broń czy czujniki. Któż jednak na Jijo dysponuje wiedzą potrzebną, by to odgadnąć? Nasze statki dawno już połączyły się z topniejącymi warstwami skorupy tej planety. Nawet najświeższych przybyszów, ludzi, dzieli wiele pokoleń od gwiazdnych wędrowców. Nikt z żyjących członków Wspólnoty nigdy nie widział czegoś podobnego.

Był to statek Cywilizacji Pięciu Galaktyk. Tyle nasi technicy potrafili określić.

Gdzie jednak podziła się przeszyta promieniami spirala? Godło, które musi znajdować się na przedniej powierzchni każdego usankcjonowanego statku kosmicznego?

Nasi zaniepokojeni mistrzowie wiedzy tłumaczą, że ów znak to coś j niż symbol. Bezgłośnie podróżuje. Bezstronnie rejestruje. Obie-
ie zdaje relację ze wszystkiego, co widziano i uczyniono, bez
du na to, dokąd dotrze statek.

zyglądaliśmy się i szukaliśmy, lecz w przepisany miejscu do-
liśmy tylko błyszczącą, wypaloną powierzchnię, wytartą gładziej
ieueńska larwa.

vtedy dezorientacja ustąpiła zrozumieniu. Świadomości tego, co
;entuje sobą ten statek.

ie wielkie Instytuty, jak z początku sądziliśmy.

le sprawiedliwe, potężne, praworządne gwiazdne klany albo taje-
ych Zangów.

awet nie wygnańców, takich jak my.

ikogo z powyższych, lecz bandytów. Przestępców na skalę większą
isi przodkowie.

oczyńców.

:oczyńcy przybyli na Jijo.

III KSIĘGA MORZA

Jest paradoksem życia, że wszystkie gatunki rozmnażają się szybciej niż to potrzebne, by zastąpić umierające osobniki.

Każdy raj obfitości szybko się wypełnia i przestaje być rajem.

Jakim więc prawem, my, wygnańcy, zagarnęliśmy świat, który w honorowy sposób odłożono na bok, by w pokoju wykarmił kruche, młode życie, bezpieczny przed głodnymi narodami?

Wygnańcy, powinniście bać się sprawiedliwego gniewu prawa, gdy znajdzie was ono tu, nie usankcjonowanych i jeszcze nie odkupionych.

Lecz kiedy nadejdzie sąd, prawo będzie również waszą osłoną, której sprawiedliwość złagodzi słuszny gniew.

Istnieje straszniejsza groza, która grasuje po gniewnym niebie.

Jest to inne niebezpieczeństwo. Takie, które skrada się pod całkowitą nieobecność prawa.

ZWÓJ Niebezpieczeństwa

Opowieść Alvina

No dobra, nie jestem taki bystry jak niektórzy. Nigdy nie będę my< tak szybko jak Huck, która potrafi zagadać mnie na śmierć.

Zresztą uważam, że to całe szczęście. Mógłbym się wychow w małym hoońskim porcie w przekonaniu, że jestem piekielnie inty gentnym facetem – tak dowcipnym i w ogóle połyskliwym, jak r powieściowy imiennik – tylko dlatego, że potrafię przeczytać ka;

;ką książkę i wyobrażam sobie, że jestem pisarzem. Całe szczęście, sąsiedniej khuta mieszka ten mały g' Kecki geniusz przypominający e nawet ponadprzeciętny hoon nadal pozostaje hoonem. Tępy m igła.

ak czy owak, siedziałem przykucnięty między dwojgiem moich pszych przyjaciół, którzy awanturowali się o to, co powinniśmy ć z nadchodzącym latem i ani na moment nie przyszło mi do głowy, ick i Koniuszek robią mnie w balona na więcej niż jednym poziomie. koniuszek tylko przez kilka dur usiłował nam opowiadać o swych nich "potworach" – szarawych kształtach, które – jak mu się 'ało – dostrzegł w mroku znudzony pilnowaniem homarowych 5d należących do jego kopca. Próbował nam wykręcić ten numer »k wiele razy, że nie słuchalibyśmy go, nawet gdyby zaprezentował zęb trzonowy Moby Dicka z drewnianą nogą wbity w jego koniec |?m wykałaczką. Westchnął wszystkimi pięcioma otworami jedno-^ie, dał sobie spokój z gadaniem o swych najświeższych obserwa-| i przeszedł do obrony stworzonego przez siebie projektu lus".

enerwował się, gdy usłyszał, że Huck chce zrezygnować z tego Po przeciwnych stronach jego twardej skorupy wzniosły się ? nogi syczące niczym rurki kaliope.

Posłuchaj, już się na to zgodziliśmy... liśmy. Musimy skończyć af, bo jak nie, to nad czym pracowaliśmy... liśmy przez cały ?k!

?Ty wykonałeś większość roboty ciesielskiej i prób – wskaza-I.Huck i ja rysowaliśmy tylko plany...

ifo właśnie! – przerwała mi Huck, kołysząc dwojgiem oczu dla enia swych słów. – Pewnie, że pomagaliśmy w planowaniu e małych części. To była fajna zabawa. Ale nigdy nie zgodzi-? naprawdę zanurkować w tym cholerstwie na dno morza. yona kopuła Koniuszka uniosła się na maksymalną wysokość. 3 się, że jego oczna szparka zawirowała. e mówiłaś, że to ciekawe... awe! Powiedziałaś, że pomysł jest skliwy... kliwy!

i prawda – zgodziła się Huck. – W teorii jest totalnie pole-lieje jednak pewien problem, przyjacielu. Jest też dzikijsko ny.

Koniuszek zatoczył się do tyłu, całkiem jakby ta myśl dotąd nie | przyszła mu do

głowy,

i

– Nigdy... przedtem o tym nie wspominałaś. , Odwróciłem się, żeby popatrzeć na Huck.

Nie sądzę, bym już kiedyś słyszał w jej ustach to słowo. "Niebezpieczne". Gdy dojrzewała któraś z naszych przygód, ona zawsze sprawiała wrażenie gotowej podjąć ryzyko. Czasem prowokowała nas do tego za pomocą sprytnych odzywek, tak jak potrafią to robić tylko g'Kekowie w tych rzadkich chwilach, gdy porzucają uprzejmość i starają się być złośliwi. Ponieważ Huck była sierotą, a Ur-ronn i Koniuszek pochodzili z gatunków o niskim K, nie miałby kto ich zbytnio żałować, gdyby zginęli. Z reguły więc to mnie przypadał w udziale głos rozsądku, czego nie znośłem.

– Aha – powiedziała Huck. – No więc, może już czas, żeby ktoś wykazał różnicę między podjęciem wykalkulowanego ryzyka a popełnieniem regularnego samobójstwa. To właśnie byśmy zrobili, gdybyśmy kiedykolwiek zanurzyli się pod wodę w tym twoim wynalazku. Koniuszek!

Nasz biedny qheueński przyjaciel wyglądał tak, jakby ktoś uderzył go kijem w otwór nogowy. Jego kopuła zatrzęsała się.

– Wiecie... cię, że nigdy nie prosiłbym moich przyjaciół... ciół...

– Żeby wybrali się tam, dokąd ty nie odważyłbyś się udać? – odparła Huck. – To świetnie, zwłaszcza że mówisz o zaciągnięciu nas pod wodę, w której dzięki swojej budowie czujesz się znakomicie.

– Tylko na początek... tek! – sprzeciwił się Koniuszek. – Po kilku próbnym zanurzeniach wyruszmy głębiej. I będę tam z wami, narażony na to samo ryzyko... ko!

– Daj spokój, Huck – wtrąciłem się. – Wypoleruj biedakowi skorupę.

– A zresztą... tą – zrewanżował się Koniuszek. – Co można powiedzieć o twoim planie? Batyskaf przynajmniej byłby legalny i praworządny. Ty chcesz złamać zasady i bawić się w przedterminowych osadników... ków!

Teraz na Huck przyszała kolej, aby się bronić.

– Jakich przedterminowych osadników? Żadne z nas nie może splodzić potomstwa z drugim, więc nie ma możliwości, byśmy popełnili tę zbrodnię podczas pobytu za linią demarkacyjną. Zresztą myśliwi i inspektorzy wychodzą za znaki graniczne.

– Pewnie. Za pozwoleniem mędrców... ców! Huck poruszyła dwiema szypułkami w geście stanowiącym odpo-Inik wzruszenia ramionami, jakby chciała powiedzieć, że nie obcho-ej mało istotne prawne szczegóły.

– Wolę wykroczenie od regularnego samobójstwa.

– Chcesz powiedzieć, że wolisz małą, głupią wycieczkę do jakichś walonych buyurskich ruin, żeby poczytać nudne, stare inskrypcje... niż szansę na obejrzenie Śmietniska... niska? I prawdziwych, żyli potworów?

Huck jęknęła i zakręciła z niesmakiem kołem. Koniuszek opowiadał wcześniej o czymś, co zauważył dziś rano na płyciznach na połud-)d miasta. Przysięgał, że przemknął obok niego stwór o lśniących, rzystych łuskach wymachujący czymś, co wyglądało w mrocznej jak podwodne skrzydła. Ponieważ słyszeliśmy podobne bajdy od t jego wylinki, w tę ostatnią też zbytnio nie wierzyliśmy. I wtedy oboje zwrócili się ku mnie, czekając, bym podjął decyzję! – Pamiętaj, Alvin – zanuciła Huck. – Przed chwilą obieca-

^– Mnie obiecałeś kilka miesięcy temu! – krzyknął Koniuszek, tak iecony, że przestał się jąkać.

^ owej chwili czułem się niczym tracki postawiony przed dwoma d naprawdę dojrzałej mierzwy. Podobał mi się pomysł wyprawy iny Śmietniska, gdzie od czasów odejścia Buyurów trafiało wszyefektywne i galaktyczne. Podmorska przygoda, jak w książkach i Veme'a.

igiej strony, Huck miała rację, twierdząc, że plan Koniuszka to i Ifni. Ryzyko mogło się wydawać możliwe do przyjęcia dla o niskim K, który nawet nie był pewien, kto jest jego matką, ja iedziałem, że moi rodzice strasznie by się pochorowali, gdybym i zginął, nie zostawiając nawet wyrostka sercowego, by go w celu uwolnienia duszy i zwufynowano. tą plan Huck był niemal równie połyskliwy. Odnaleźć inskry-;ze bardziej starożytne niż książki sprowadzone na Jijo przez ć może nawet prawdziwe buyurskie opowieści. Ta perspektywa że ciarki przebiegły przez moje poduszeczki przylgowe. [o na to, że oszczędzono mi konieczności podjęcia decyzji, a to [U, że zjawiała się moja noorka, Huphu, która przemknęła pod

nogami Koniuszka i kołami Huck, wyszczekując coś o pilnej wiadomości od Ur-ronn.

Ur-ronn chciała się z nami zobaczyć.

Co więcej, miała dla nas wielką niespodziankę.

Tak jest. Huphu wymaga przedstawienia.

Po pierwsze, to właściwie nie jest moja noorka. Często kręci się wokół mnie i moje mrużące burkoty prawie zawsze w jakiś sposób skłaniają ją, by robiła to, czego chcę. Niemniej trudno jest opisać związek hoonów z noorami. Samo to słowo – związek – sugeruje bardzo wiele rzeczy, które po prostu nie istnieją. Możliwe, że to jeden z tych przypadków, gdy giętkość anglicu, z reguły jego najbardziej superpolerowana cecha, po prostu degeneruje się do mglistości.

Tak czy inaczej, Huphu nie włada mową i zdolnością podejmowania decyzji. Nie jest istotą rozumną, jak my, członkowie Sześciu. Ale ponieważ towarzyszy nam w większości naszych przygód, myślę sobie, że jest takim samym członkiem naszej bandy, jak inni. Sporo osób uważa, że noory mają świra. To fakt, że sprawiają wrażenie, iż nie dbają o to, czy będą żyć czy zginą, pod warunkiem, że mogą zobaczyć coś nowego. Ciekawość zabiła ich zapewne więcej niż lwotygrysy na lądzie czy rozgwiadłacze na morzach. Dlatego wiedziałem, jak głosowałaby Huphu, gdyby potrafiła mówić.

Na szczęście nawet Koniuszek ma tyle rozsądku, że nie proponuje, by pozwolić jej na podejmowanie jakichkolwiek decyzji.

Gdy więc tak staliśmy, spierając się, mała noorka pognąła ku nam po nabrzeżu, popiskując jak szalona. Natychmiast domyśliliśmy się, że ma dla nas telegraficzną wiadomość, jako że jej szczekanie miało sens. Noory nie władają drugim galaktycznym ani żadnym innym językiem, jaki ktokolwiek zdołał zgrokować, ale potrafią zapamiętać i powtórzyć każdy sygnał zwierciadlanego telegrafu, jaki zdołają wypatrzeć ich bystre oczy. Umieją nawet poznać po nagłówku, dla kogo przeznaczona jest wiadomość. To połyskliwy talent, który byłby diabelnie użyteczny, gdyby tylko potrafiły robić to niezawodnie, a nie tylko wtedy, gdy mają ochotę.

Huphu na pewno musiała ją mieć, bo natychmiast zaczęła wyszcze-kiwać wyższy szlak znaczeniowy memorandum sformułowanego w drugim galaktycznym. (Myślę sobie, że starodawny telegrafista po-

ący się alfabetem Morse'a, taki jak Mark Twain, mógłby sobie zić z tym językiem, gdyby spróbował.) k już mówiłem, wiadomość pochodziła od naszej uryjskiej kole-Ur-ronn. Brzmiała: OKNO SKOŃCZONE. PRZYJEŹDŹAJCIE \KO. DZIEJĄ SIĘ INNE BARDZO DZIWNIE RZECZY! istawiłem na końcu wykrzyknik dlatego, że tak właśnie Huphu czyła recytację komunikatu, który widziała przekazywany z Mo-ruenn – szczeknięciem wyrażającym ekstatyczne podniecenie. n pewien, że to sformułowanie "dziwne rzeczy" sprawiło, iż ska-v kółko, kāsając własny cień.

– Pójdę po moją torbę na wodę – powiedział po chwili Koniuszek piec.

– Ja wezmę gogle – dodała Huck.

– A ja złapię płaszcz i spotkam się z wami przy kolejce – zakonni. Nie było o czym dyskutować.

Nie po takim zaproszeniu.

IV

KSIĘGA STOKU

Legendy

Istnieje bajka opowiadana przez g'Keków, jedna z najstarszych, jakie powtarzano od czasów, gdy ich skradacz przybył na Jijo, przekazywana drogą ustną przez niemal dwa tysiące lat, nim wreszcie spisano ją na papierze.

Saga opowiada o młodzieńca słynącym z biegłości w "jeździe po niciach" w jednym z orbitalnych miast, w jakich mieszkali g'Kekowie po tym, jak prze grali zakład o swój ojczysty świat.

W tym mieście, nieskrępowani przyciąganiem stałego gruntu, młodzi władcy kół z pokolenia zrodzonego w kosmosie wymyślili nową grę – śmiganie z błyskiem obręczy po najcieńszych z barwnych sznurów – lin, które rozciągnęli pod różnymi kątami w ogromnej wewnętrznej przestrzeni swego sztucznego świata. Pewien jeździec -jak mówi opowieść – rzucał wyzwanie coraz większemu niebezpieczeństwu, napawał się ryzykiem, przeskakiwał między cienkimi jak pajęczy na sznurami, a czasem nawet latał w powietrzu, kręcąc obłąkańczo kołami, nim złapał następną linę, szybując z ekstazą i bez żadnych zahamowań.

Wtem, pewnego dnia, pokonany przeciwnik zaczął urągać młodemu mistrzowi.

– Założę się, że nie potrafisz przemknąć tak blisko słońca, by owinąć je liną!

W dzisiejszych czasach jijańskich uczonych zbija z tropu ten fragment opowieści. Jak to możliwe, by słońce było osiągalne wewnątrz wydrążonej, obracającej się wokół osi skały? Ponieważ większa część naszej Sekcji Techniki Kosmicznej została zniszczona, Bibloskiej Wszechnicy brak danych niezbędnych do interpretacji podobnych wzmianek. Najprawdopodobniej szał hipoteza brzmi, że opowieść została przekreślona z upływem czasu, podobnie jak większość wspomnień dotyczących boskiej niemal przeszłości.

Techniczne szczegóły nie są jednak tak ważne, jak morał bajki – nierozsądnie jest igrać z mocami, których nie pojmujemy. Głupiec, który

postępuje, może spłonąć, podobnie jak jeździec z opowieści, którego m.ow.7.ny kres wywołał burzę smukłych, gorejących śladów przedających ogarnięte nagle płomieniami wewnętrzne niebo skazanego na ^ładę miasta.

Zebrane bajki Siedmiu z Jijo. Wydanie trzecie. Katedra Folkloru i Języka. Biblos. Rok Wygnania 1867

Dwer

Od chwili, gdy przestał być uczniem, Dwer odwiedził niemal każdą oskę i farmę w zasiedlonej strefie Jijo, wliczając w to wyspy i jedno

E a tajemne miejsca, o których przysiągł nigdy nie wspominać. bardzo wielu osadników należących do każdego z gatunków, ównieź większość ludzkiej populacji Stoku. Z każdą durą nabierał pewności, że niedawno pojmana przez niego wczyna do niej nie należy.

IZaskoczenie wzburzyło Dwera. Irracjonalne poczucie winy zdwoiło gniew.

– Wśród wszelkich możliwych głupich uczynków, kradzież mojej y zajmuje bardzo wysoką lokatę – powiedział, rozcierając jej rękę przy wystygłym ognisku. – Ale wyciągnięcie noża bije wszy-Skąd miałem tam w ciemności wiedzieć, że jesteś tylko dziecia-t? Mogłem w obronie własnej złamać ci kark!) był pierwszy raz, gdy któreś z nich się odezwało od chwili, kiedy ka dziewczyny wyrznęła o ziemię, dzięki czemu mógł sobie zarzu-j bezwładne ciało na ramię i zawlec ją do obozowiska. Dziwna kjom a ni na chwilę nie straciła przytomności całkowicie, a gdy ał dziewczynę przy węglach, odzyskała ją już w znacznym sto-Aasowała sobie teraz poobijaną głowę, Glawerzyca i noor

gapiły

Myślałam... że jesteś... Iwotygrysem – wyjąkała wreszcie. ? Ukradłaś moją kuszę, uciekłaś, a potem myślałaś, że goni cię Iys? ^ej korzyść świadczyło przynajmniej to, że w ogóle nie umiała

kłamać. Widoczna w świetle świtu drobna osóbką siedziała owinięta w strój ze źle wygarbowanej skóry byle jak pozszywanej. Włosy, związane w byle jak obcięty koński ogon, były faliste i rudawobrazowe. Najbardziej charakterystyczne cechy w jej twarzy – widoczne mimo brudu – był to złamany nos oraz paskudna blizna po oparzeniu przecinająca lewy policzek. Szpeciły one oblicze, które poza tym mogłoby być ładne, gdyby je porządnie wyszorowano.

– Jak masz na imię?

Opuściła brodę i coś wymamrotała.

– Co to było? Nie słyszałem.

– Powiedziałaś, że Rety! – Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. W jej głosie brzmiała teraz nuta wyzwania. – Co ze mną zrobisz?

Rozsądne pytanie, biorąc pod uwagę sytuację. Dwer potarł podbródek. Nie miał wielkiego wyboru.

– Chyba zabiorę cię na zgromadzenie. Tam, gdzie są prawie wszyscy mędrcy. Jeśli jesteś już w odpowiednim wieku, musisz odeprzeć zarzuty. W przeciwnym razie, doprowadzi się twoich rodziców. Swoją drogą, kim oni są? Gdzie mieszkasz?

Ponownie nastała cisza; dziewczyna spoglądała spode łba, aż wreszcie wymamrotała: – Chce mi się pić.

Glawerzyca i noor po kolei trąciły pyskami pustą manierkę, po czym popatrzyły na Dwera z wyrzutem.

Kim właściwie jestem? – zadał sobie pytanie. Tatą dla wszystkich?

Westchnął.

– No dobra, chodźmy po wodę. Rety, stań przy glawerzycy. Wybałuszyła oczy.

– Czy... czy ona gryzie? Dwer wbił w nią wzrok.

– To glawerzyca, na Ifhi! – Ujął dziewczynę za rękę. – Miałabyś powód się jej obawiać, gdybyś była larwą albo stosem śmieci. Chociaż, skoro już o tym wspomniałem...

Wyszarpnęła dłoń, przesywając go wściekłym spojrzeniem.

– No dobra, przepraszam. Zresztą będziesz szła pierwsza, żebyś mógł mieć na ciebie oko. A to powstrzyma cię przed zwianiem.

Przywiązał wolny koniec postronka glawerzycy do paska dziewczyny – z tyłu, gdzie mogła sięgnąć jedynie z trudnością. Następnie dźwignął plecak i kuszę.

– Słyszysz wodospad? Kiedy do niego dojdziemy, urządzimy prze-la suszone mięso.

tyła to dziwna wędrówka. Markotna prowadziła apatyczną, za nimi żał zбитy z tropu, a na końcu niepoprawnie wesoły. Za każdym n, gdy Dwer oglądał się za siebie, szyderczy uśmiech Skarpetki awał się tylko odrobinę wymuszony. Zwierzak złajał w suchym jak rz porannym powietrzu.

Niektórzy ryglowali drzwi, gdy tylko usłyszeli, że w pobliżu buszuje. Inni wykładali smakołyki, w nadziei, że spowodują w ten sposób ianę losu. Dwer widywał czasem na bagnach dzikich przedstawi-tego gatunku, w miejscach, gdzie ogniowe drzewa rozkwitały na lśniących lasem grzbietach akrowych lilii. Jednak najbardziej izne wspomnienia pochodziły z papierni ojca, gdzie każdej wiosny łe noory przybywały wykonywać ryzykowne, a niekiedy śmiertelne 9 z obracającego się ociążale młyńskiego koła. Jako dziecko, Dwer |o biegał razem z nimi, podejmując to samo oszałamiające ryzyko, |ielkiemu zatroskaniu rodziców. Próbował nawet zbliżyć się bar-i do tych towarzyszy dzieciennych zabaw, przekupywał ich jedze-\ i uczył różnych sztuczek, szukając więzi, jaka

łączyła ongiś |dekazjego pomocnikiem, psem.

estety, noory nie były psami. Z czasem, gdy szlak jego życia yadził go dalej od łagodnej rzeki, zaczął zdawać sobie sprawę, że ; inteligentne i odważne, lecz również dość niebezpieczne. Bez-e przestrzegł Skarpetkę. (prawda nie ty byłeś złodziejem, ale to nie znaczy, że choć trochę

mą ścieżkę inaczej się widzi i inaczej nią idzie podczas drogi v górę. Ta czasem wydawała się tak dzika i niedostępna, że Dwer •zymrużywszy oczy wyobrazić sobie, że jest na prawdziwym czu, nie tkniętym ręką istoty rozumnej od czasu, gdy świat był Óźniej mijali jakieś zniszczone buyurskie pozostałości – ścianę itowego spoiwa albo fragment przypominającej konsystencją awierzchni przeoczonej przez wędrowne dekonstmktory, gdy ygotowywano do pozostawienia odłogiem – i iluzja zniknęła. nigdy nie mogła być całkowita. Na zachód od Gór Obrzeż-la było dostrzec niezliczone ślady po Buyurach.

Prawdziwym recyrkulatorem był czas. Biednej Jijo przydzielono go wystarczająco wiele, by mogła odbudować swą ekopajęczynę. Tak przynajmniej twierdził jego brat, Lark. Dwer jednak rzadko sięgał myślami tak daleko. Odzierało to z magii dzisiejszą Jijo – świat zraniony, lecz nadal pełen cudów.

Rety potrzebowała pomocy, by zejść w dół po bardziej stromych odcinkach, glawerzycę zaś często trzeba było opuszczać na linie. W pewnej chwili, gdy z wysiłkiem ściągnął pogrążone w żalu zwierzę na odcinek starej drogi, odwrócił się i zobaczył, że dziewczyna zniknęła.

– Gdzie ta mała... – wypuścił ze złością powietrze. – A niech to diabli.

Afront, jaki wyrządziła mu Rety, należało ukarać, a jej tajemnica głośno domagała się rozwiązania, lecz najważniejsze było doprowadzanie z powrotem zbłąkanych glawerów. Gdy już zaciągnie na miejsce samicę, wróci, by odszukać ślad dziewczyny, choćby nawet miał przez to stracić większą część zgromadzenia...

Okrażył pionowy skalny występ i omal nie potknął się o Rety, która przykucnęła tuż przed Skarpetką. Popatrzyła na Dwera.

– To jest noor, prawda? – zapytała. Młodzieniec ukrył zaskoczenie.

– Hm, to pierwszy, jakiego widzisz?

Skinęła głową, oszołomiona zalotnym uśmiechem Skarpetki.

– Wygląda na to, że glawera też nigdy nie widziałaś. Jak daleko na wschód mieszka twoja rodzina? – zapytał.

Blizna na policzku dziewczyny stała się sina, gdy twarz Rety zaczerwieniła się.

– Nie wiem, o czym...

Przerwała, gdy dotarło do niej, jak wielki błąd popełniła. Zaciśnęła wargi w wąską linię.

– Nie przejmuj się tym. I tak już wszystko o tobie wiedziałem – stwierdził, wskazując na jej ubranie. -Żadnej tkaniny. Zwierzęce skóry pozszywane nićmi wykonanymi z wnętrzości. Dobre futra imii i sorriów. Sorrie nie osiągają takich rozmiarów na zachód od Gór Ob-rzeżnych.

Widząc jej trwogę, wzruszył ramionami.

– Sam byłem wiele razy po drugiej stronie gór. Czy twoi mówią,

zabronione? To prawda. Na ogół. Ja jednak mogę chodzić, gdzie , w ramach zwiadu. .puściła wzrok.

– A więc nie byłabym bezpieczna, nawet gdybym...

– Gdybyś biegła szybciej i zdołała uciec za przełęcz? Myślisz, że >yś przekroczyła jakąś wyimaginowaną granicę, musiałbym pozwo-uciec? – Dwer parsknął śmiechem, starając się, by nie zabrzmiało >yt nieprzyjaźnie. – Rety, nie miej do siebie pretensji. Ukradłaś ę niewłaściwemu facetowi. To wszystko. Ścigałbym cię aż za ynię Wschodzącego Słońca, gdybym musiał. iyły to rzecz

jasna przechwałki. Nic na Jijo nie było warte sześciu scy mil podróży przez tereny pełne wulkanów i rozżarzonych pia-v. Mimo to Rety wybałuszyła oczy. Dwer kontynuował:

– Nigdy nie zauważyłem twojego plemienia podczas wypraw na tód, myślę więc, że pochodzisz z okolicy położonej znacznie dalej ołudnie. Zza Trującej Równiny. Czy to Szare Wzgórza? Słyszałem, Itotejsze tereny to prawdziwy labirynt, w którym mogłoby się ukryć | plemię, gdyby jego członkowie byli ostrożni. EJ brązowe oczy wypełnił pełen znużenia ból. »– Nie masz racji. Nie pochodzę... z tamtego miejsca. H głosowi brak było przekonania i po chwili umilkła. Dwerowi było A. Dobrze wiedział, jak to jest, gdy ktoś czuje się niepewnie yarzystwie swych pobratymców. Życie samotnika utrudniało mu cię doświadczenia niezbędnego do przewyciężenia nieśmiałości. tego właśnie muszę zdążyć na zgromadzenie! Sara dała mu list, dał przekazać Plovovowi Analitykowi. Tak się szczęśliwie skła-ijego córka była piękna i nie zaręczona. Jeśli Dwer będzie miał e, może mu się uda zabrać Glory Plovov na spacer i opowiedzieć rię na tyle dobrą, by jej zaimponować. Na przykład o tym, jak ^m roku powstrzymał migrujące stadne moribule przed rzuce-; z urwiska podczas burzy z piorunami. Być może tym razem nie ? jąkał; zaczynała wtedy chichotać, a to wcale mu się nie

s z niecierpliwością zapragnął ruszyć w drogę. i dobra, nie ma sensu teraz się tym przejmować. – Skinął na onownie poprowadziła glawerzycę. – Przydzielili ci się młod-

szego mędrca, by cię reprezentował, nie staniesz więc przed radą sama. Zresztą nie wieszamy już przedterminowych osadników. Chyba żebyśmy musieli.

Nie zauważyła, jak mrugnął, jego żart spalił więc na panewce. Wpatrywała się w ziemię. Ponownie związał postronek, po czym ruszyli gęsiego naprzód.

W miarę jak zbliżali się do miejsca, z którego dobiegał hałas spadającej w dół wody, parująca z ziemi wilgoć zmieniała się w mgłę. Tam gdzie ścieżka tworzyła serpentynę, z góry spływał mały strumyczek. Krople wpadały do sadzawki barwy akwamaryny, szemrząc staccato. Dalej woda spływała z pionowego zbocza, wznawiając podróż po stromiźnie do leżącej daleko w dole rzeki, a potem do morza.

Droga wiodąca do sadzawki wyglądała na zbyt zdradliwą, by zaryzykować zejście nią z Rety i glawerzycą, nakazał im więc gestem iść dalej. Przetną strumień w innym miejscu.

Noor jednak przeskakiwał ze skały na skałę. Wkrótce usłyszeli, jak pluszcze się radośnie, podczas gdy oni wlekli się dalej.

Dwer złapał się na tym, że myśli o innym wodospadzie, położonym tam, gdzie Wielki Lodowiec Północny stykał się z wyniosłym urwiskiem stanowiącym granicę kontynentu. Co drugi rok polował tam podczas wiosennej odwilży na brankury o cennych futrach. W rzeczywistości jednak odbywał tę podróż po to, by być w pobliżu, gdy wreszcie pęknie lodowa tama u wylotu Jeziora Pustkowie.

Wielkie, przezroczyste tafle spadały wówczas niemal kilometr w dół. Gdy się roztrzaskiwały, wypełniały niebo tęczami kryształków lodu, przywracając potężny wodospad do życia, który ruszał z przenikającym duszę rykiem.

Kiedyś próbował na swój nieporadny sposób opisać Larkowi i Sarze tę scenę – krzyczące kolory i promienny hałas – w nadziei że to, czego doświadczał z zachwytem, pomoże jego niezręcznemu językowi. Oczy jego siostry nieodmiennie błyszczały, gdy słuchała opowieści o cudach Jijo leżących za ciasnym Stokiem, lecz dobry, stary, wesóły Lark potrzą-. sał tylko głową i oznajmiał: – Te wszystkie wspaniałości mogłyby równie dobrze obejść się bez nas.

Czy jednak naprawdę? – zastanawiał się Dwer.

Czy w lesie jest piękno, jeśli żadna istota nie zatrzymuje się od czasu su, by nazwać go pięknym? Czy nie po to właśnie istnieje mość"?

d nadzieję, że pewnego dnia zabierze swą żonę i partnerkę do padu Pustkowie. O ile znajdzie taką,

której dusza mogłaby wraz bielić to wrażenie.

~)T dogonił ich w chwilę później. Szedł niespiesznie, z uśmiechem clenia. Następnie zatrzymał się, by otrząsnąć lśniący grzbiet. :ał im kolana, gdy przechodzili obok. Rety roześmiała się. Był to zwięk, urywany i pośpieszny, całkiem jakby nie spodziewała się, (jemne chwile mogły trwać długo.

robinę dalej Dwer się zatrzymał, w miejscu, gdzie skalna wynio-órowała nad kaskadą, delikatnym jak piórko strumyczkiem tań-i po powierzchni urwiska. Ten widok przypomniiał mu, j ak bardzo ragniony. Wyrwał mu również z ust westchnienie tęsknoty do tości.

No chodź, dzieciaku. V/ dole jest druga sadzawka, do której łatwo tac.

ty jednak stała przez chwilę jak wmurowana. Na jej policzku ł ślad wilgoci, Dwer sądził jednak, że mógł on pochodzić od pej się w powietrzu mgły.

Asx

; pokazują swych twarzy. Plany mogą spalić na panewce. Niektó-ias mogą ocaleć, by złożyć świadectwo. Oczywiście więc ukrywa postać.

f0]e ostrzegają nas przed taką możliwością. Nasze przeznaczenie e się nieuniknione.

ly jednak głos gwiazdolotu wypełnia dolinę, czyni to z wyraźnym [em uspokojenia nas.

[(Prostymi) uczony mi jesteście.

llania (miejscowych, interesujących) form życia przygotowujemy.

^bezpieczni dla nikogo nie jesteście.

To oświadczenie, sformułowane w mlaskach i piskach wysoce sformalizowanego drugiego galaktycznego, powtórzono w trzech innych standardowych językach, a potem – ponieważ widzieli wśród nas ludzi i przedstawicieli rodzaju Pan – w narzeczu dzikusów, anglicu.

– Badanie (miejscowych, unikalnych) form życia, w tym oczekujemy waszej (łaskawej) pomocy.

Znajomość (miejscowej) biosfery, to (niewątpliwie) posiadacie. Narzędzia i (użyteczne) umiejętności, oto co oferujemy w zamian. Czy w zaufaniu dokonamy (wzajemnej) wymiany?

Przypomnijcie sobie, moje pierścienie, jak nasi zdumieni rodacy popatrzyli na siebie nawzajem. Czy można było ufać podobnym przysięgom? My, mieszkańcy Jijo, jesteście już przestępcami w oczach ogromnych imperiów. Podobnie jak przebywający na pokładzie statku. Czy dwie tego rodzaju grupy mogłaby połączyć wspólna sprawa?

Nasz ludzki mędrzec podsumował to lakonicznym żartem. Lester Cambel mruknął rozsądnie w anglicu:

– W zaufaniu, na pachy moich kudłatych przodków!

I podrapał się w geście, który był jednocześnie proroczy i zdecydowanie a propos.

Lark

Nocą przed przybyciem cudzoziemców przez poprzedzającą świt mgłę wędrował sznur pielgrzymów w białych szatach. Było ich sześćdziesięciu, po dziesięciu z każdego gatunku.

Inne grupy również miały przechodzić tędy podczas święta, poszukując harmonijnych regularności. Ta jednak była odmienna. Jej misja miała poważniejszy charakter.

Wokół majaczyły różne kształty. Sękate, zniekształcone drzewa wyciągały powykrzywiane ramiona niczym zachłanne widma. Oleiste opary łączyły się ze sobą i ulegały sublimacji. Oczyszczone wiatrem skalne wzniesienia drażniły zgłodniałe form czynniki umysłu, rozniecając nerwową niecierpliwość wędrowców. Czy następna kręta serpentyna – albo jeszcze następna – odsłoni wreszcie przed ich wzrokiem otaczane czcią Macierzyste Jajo z Jijo?

sz względu na to, jakie specyficzne organiczne cechy zawierało ich zictwo wywodzące się z sześciu światów w czterech galaktykach, ' z wędrowców czuł ten sam pulsujący zew nawołujący do

jedności. dopasował swe kroki do rytmu przekazywanego przez rewqą, go miał na czole.

cedłem tą ścieżką już z tuzin razy. Powinienem znać ją dobrze. Jego więc nie potrafię właściwie zareagować?

próbował pozwolić rewqowi, by narzucił na świat rzeczywisty i y motyw koloru i dźwięku. Stopy szurały. Kopyta stukały. Guzki i eni obracały się, a koła skrzypiały na zakurzonym szlaku wyde-m przez dotychczasowych pielgrzymów tak dokładnie, że można •myśleć, iż ów rytuał powstał w najwcześniejszych dniach wygnanie zaledwie jakieś sto lat temu.

dzie zwracali się nasi poprzednicy, kiedy potrzebowali nadziei? rat Larka, sławny myśliwy, zaprowadził go kiedyś sekretną drogą ^bliski szczyt, skąd można było ujrzeć Jajo z góry. Przysiadło jej kalderze niczym pomiot smoka z dziecinnych opowieści, złożo-otoczonym stromymi stokami gnieździe. Z tej odległej perspekty-logło się wydawać jakimś starożytnym buyurskim pomnikiem lub odzając sprzed wielu eonów pozostałością po jeszcze dawniejszych zkańcach Jijo – tajemniczym strażnikiem, mrocznym i nieczułym »tyw czasu.

Irugnięcie powieką przeradzało je w stojący na ziemi gwiazdolit, zczoną soczewkę zbudowaną po to, by przeszywać powietrze i eter. fortecę, wzniesioną z jakiejś supertwardej esencji, spijającej świat-epodatnej, gęstszej niż gwiazda neutronowa. Lark wyobraził sobie ;t przez chwilę skorupę jakiejś tytanicznej istoty, zbyt cierpliwej czy aej, żeby przejmować się uwagą jętek jednodniówek.

tyło to niepokojące. Zmusiło go do ponownego przemyślenia włas-mzji świętości. Owa epifania wciąż towarzyszyła Larkowi. Możliwe « dręczyła go trema z powodu mowy, którą miał wkrótce wygłosić i grupą głęboko wierzących. Kazania nawołującego do skrajnego dęcenia.

ciężka zakręcała, po czym opadała nagle do kanionu o stromych lach otaczającego olbrzymią, owalną bryłę, zakrzywiony kształt, |T przed pielgrzymami wznosił się fantastycznie w górę, długi od ego do drugiego końca na dwa strzały z łuku. Pokryta kamykami

powierzchnia wypiętrzała się przed zachwyconymi istotami zebranymi | u jej podstawy. Patrząc w górę, Lark zrozumiał.

To nie mogłaby być żadna z tych rzeczy, które wyobrażałem sobie z oddali.

Z bliska, spod jego potężnej, dającej poczucie bezpieczeństwa masy, każdy potrafił określić, że Jajo jest zbudowane z miejscowej skały.

Ściany bryły pokrywały ślady gorejącej macicy Jijo rejestrujące historię jej narodzin, zaczynając od gwałtownego poczęcia głęboko pod ziemią. Liczne warstwy przywodziły na myśl węzły mięśni. Żył krysztalu tworzyły subtelne drzewiaste ścieżki rozgałęziające się niczym nerwy.

Wędrowcy przeszli powoli pod wypukłym nawisem, pozwalając, by Jajo wyczuło ich obecność i być może obdarzyło błogosławieństwem. Sześćdziesięciu rozpoczęło zataczanie kręgu w miejscu, gdzie gigantyczny monolit wciskał się w czarny bazalt. Jednak w chwili, gdy sandały Larka szurały po ostrym pyle, który ocierał palce jego stóp, spokój i zachwyt towarzyszące owemu momentowi zmąciły częściowo wspomnienia.

Kiedyś jako arogancki dziesięcioletni chłopiec wbił sobie do głowy pewien pomysł. Chciał zakraść się za Jajo i pobrać próbkę.

Wszystko to zaczęło się w roku jubileuszu, gdy Nelo Papiernik wyruszył na zgromadzenie, by wziąć udział w spotkaniu swego cechu. Jego żona. Melina z Południa, uparła się, że zabierze ze sobą Larka i małą Sarę.

– Nim spędzą całe życie na harówce w twojej papierni, powinni zobaczyć kawałek świata.

Nelo musiał później przeklinać moment wyrażenia zgody, gdyż podróż zmieniła Larka i jego siostrę.

Podczas wędrowki Melina wciąż otwierała książkę niedawno wydaną przez mistrzów drukarskich

Z Tarek, zmuszała męża do postojów i stukając laską, czytała na głos ze śpiewnym południowym akcentem opisy odmian roślin, zwierząt i minerałów, które spotykali po drodze. Lark nie wiedział jeszcze wtedy, ile wysiłku wiele pokoleń włożyło w stworzenie tego przewodnika, który powstał z ustnych opowieści wszystkich gatunków wygnańców. Nelo zaś sądził, że to świetna robota

barska i introligatorska, stanowiąca dobre wykorzystanie papieru. przeciwnym razie zabroniłby pokazywania przewodnika dzieciom) tandetnego wyrobu.

Melina zrobiła z tego zabawę. Kojarzyła prawdziwe obiekty z ich sami zamieszczonymi między drukowanymi litografiami. Wycie-a, która mogła zanudzić dwoje dzieci, przerodziła się w przygodę yémiewającą samo zgromadzenie. Gdy przybyli na miejsce, zmęcze-z obolałymi nogami, Lark był już zakochany w swym świecie. Ta sama książka, pozółkła teraz, stara i bardzo zniszczona dzięki iiłkom samego Larka, spoczywała niczym talizman w jednym z rę-rów jego płaszcza.

Optymistyczna część mojej natury. Ta, która sądzi, że może się goś nauczyć.

Gdy szereg pielgrzymów dotarł do przeciwległej strony Jaja, Lark Miął rękę pod szatę, by dotknąć swego drugiego amuletu. Tego, ago nie pokazywał nikomu, nawet Sarze. Był to kamień nie większy ego kciuka, owinięty skórzanym rzemieniem. Po tym, jak przez dzieścia lat spoczywał w pobliżu jego bijącego serca, zawsze wyda-się ciepły.

oja mroczniejsza strona. Ta, która już wie. nyk sprawiał wrażenie wręcz gorącego, gdy pielgrzymi minęli) miejsce, które Lark przypominał sobie aż za dobrze. Mero podczas swego trzeciego zgromadzenia zdobył się wreszcie wagę. Syn patrycjuszowskiego rzemieślnika wyobrażający sobie, fl uczonym, wymknął się z łopoczących namiotów, ukrył w jaski-fby nie zauważyli go przechodzący pielgrzymi, a potem przebiegł |tarzywioną półką skalną, gdzie mogło się zmieścić jedynie lo. Zabrał ze sobą młotek do pobierania próbek... jciağu wszystkich lat, które upłynęły od owej chwili, nikt nie liał o bliźnie, dowodzie jego świętokradztwa. Nie powinna być a wśród niezliczonych innych śladów szpecących powierzchni-patrzyło się na nią z bliska. Niemniej nawet unosząca się trzu mgła nie przesłoniła owego miejsca, kiedy Lark przecho-c niego.

X) wszystkich tych latach wciąż powinien się wstydzic dziecin-bryku?

Świadomość, że uzyskał wybaczenie, nie wymazywała wstydu.

Gdy procesja zaczęła się oddalać, kamień stał się chłodniejszy, mni^ niespokojny.

Czy to wszystko mogło być złudzeniem? Jakimś naturalnym zjawiskiem, znanym oświeconym istotom z Pięciu Galaktyk? (Choć niebotycznie imponującym dla prymitywnych wygnańców ukrywających się m zakazanym świecie.) Symbiotyczne rewqi umożliwiające drogocenn) wgląd w nastroje innych istot również zdobyły szeroką popularność mniej więcej przed stuleciem. Czy -jak powiadali niektórzy – stwo rzyłoje Jajo, by pomóc uleczyć Sześciu z wojny i niezgody, czy też był po prostu kolejnym dziwnym cudem pozostawionym tu przez buyur skich genetycznych geniuszy w czasach, gdy ta galaktyka roiła się ex niezliczonych obcych gatunków?

Po przestudiowaniu archiwów w Biblos Lark zrozumiał, że jeg< dezorientacja jest typowa dla ludzi głowiących się nad świętymi spra wami. Nawet wielcy Galaktowie, których wiedza przekraczała cza i przestrzeń, wyznawali sprzeczne dogmaty. Jeśli potężni gwiazdni bo gowie mogli być zdezorientowani, jaką szansę na osiągnięcie pewność miał on?

Jest jedna sprawa, co do której obie strony mojej osobowości mogli się zgodzić.

Zarówno w swej naukowej pracy, jak i w porywach serca Lark by świadomy jednej prostej prawdy...

To nie jest miejsce dla nas.

To właśnie powiedział pielgrzymom później, w prymitywnym am fiteatrze, gdzie wschodzące słońce otaczało spłaszczony korpus Jaj wzbudzającą nabożny lęk łuną. Zgromadzili się w szeregach,

siedząc przykucając bądź układając swe różnokształtne torsy w pozach, któr świadczyły o uwadze. Pierwszy zabrał głos qheueński aposiata Haruller Mówił w poetycznym dialekcie, sycząc kilkoma nogowymi otworami Odwoływał się do mądrości niezbędnej, by służyć temu światu, któr był ich domem, źródłem wszystkich ich atomów. Następnie pochyli szarą skorupę, by przedstawić Larka. Większość z obecnych przybył z daleka, by wysłuchać jego herezji.

– Powiedziano nam, że nasi przodkowie byli zbrodniarzami -zaczął mocnym głosem zadającym kłam jego wewnętrznemu napięciu

I skradacze przybyły jeden po drugim na Jijo, uciekając przed ami wielkich Instytutów i wymykając się czujnym kulom-delega-angów, a potem ukrywając swe ślady w strumieniu potężnej iuti, której węglowy wiatr zaczął maskować ten świat kilka tysiącami. Przybyli w poszukiwaniu spokojnego miejsca, by popełnić i samolubne przestępstwo. Każda z załóg założycieli miała jakieś wiedliwienia. Opowieści o prześladowaniach bądź zaniedbaniu. scy spalili i zatopili swe statki, wrzucili niemal boskie narzędzia ielkiego Śmietniska i nakazali potomstwu wystrzegać się nieba. go właśnie pewnego dnia miał nadejść sąd, kara za zbrodnię wania.

ońce wynurzyło się zza bryły Jaja, rażąc go w kącik oka. Uciekł nim, pochylając się w stronę audytorium.

• Nasi przodkowie dokonali inwazji na świat, który odłożono na K) wiekach intensywnego wykorzystywania. Świat potrzebujący P dla swych licznych gatunków zarówno rodzimych, jak i sztucz-które muszą odzyskać równowagę, aby mogły się z nich narodzić tcuda. Cywilizacja Pięciu Galaktyk kierowała się tymi zasadami, Mlić życie, już od czasów, gdy połowa gwiazd, które widzimy, i się nie rozpała. Dlaczego więc nasi przodkowie je zlekcewa-

z g'Keckich pielgrzymów obserwował go z dwiema szypuł-oko rozstawionymi, a pozostałymi dwiema schowanymi, co mąką głębokiego zainteresowania. Typowa uryjska słuchaczka a swą wąską głowę nie ku twarzy Larka, lecz ku przeponie, by lek ciężkości znajdował się w polu widzenia wszystkich trzech i szczelin otaczających jej wąski pysk. Rewq mówcy wychwy-t oznaki, podobnie jak inne, widoczne u hoonów, trackich i qhe-

jiotąd zgadzają się ze mną – uświadomił sobie Lark. |Och, nasi przodkowie starali się zredukować szkody do mini-|fezystkie osady umiejscowiono w wąskiej, geologicznie gwał-trcfie, w nadziei, że wulkany któregoś dnia przykryją nasze ie pozostawiając żadnych dowodów. Mędracy decydują, co zabijać i zjadać, a także gdzie budować, by nie zakłócać i Jijo zbyt mocno. Któż jednak może zaprzeczyć, że z każdą szego życia tutaj wyrządzamy szkody? Teraz wymierają

rantanowce. Czy to nasza wina? Kto wie? Wątpię, czy nawet Święte Jajo potrafi na to odpowiedzieć.

W tłumie rozległ się pomruk. Przez zasłaniającego mu oczy rewqa popłynęły kolory. Niektórzy traktujący wszystko dosłownie hoonowie sądzili, że posunął się za daleko. Inni, jak g'Kekowie, lepiej rozumieli przenośnie.

Niech ich rewqi zajmą się niuansami – pomyślał Lark. Skoncentruj się na samym przekazie.

– Nasi przodkowie przekazali nam usprawiedliwienia, ostrzeżenia, zasady. Mówili o decyzjach i Ścieżce Odkupienia. Jestem tu jednak po to, by powiedzieć, że nic z tych rzeczy nie ma znaczenia. Pora zakończyć farsę i stawić czoło prawdzie. To nasze pokolenie musi dokonać wyboru. Musimy postanowić, że będziemy ostatnimi przedstawicielami naszych gatunków na Jijo.

Podczas drogi powrotnej mijali ciemne jaskinie, z których buchały lśniące opary. Od czasu do czasu jakaś głęboka, naturalna detonacja powodowała, że echa rozbrzmiewały z jednego otworu, a potem z następnego, całkiem jak plotka słabnąca z każdym powtórzeniem.

g'Kekom łatwiej było toczyć się w dół, lecz kilku trackich, przystosowanych do życia na

bagnistych moczarach, sapało z wysiłku, gdy wyginali się i obracali, usiłując dotrzymać kroku innym. Aby podróż była łatwiejsza, hoonscy pielgrzymi nucili niską, dudniącą atonalną pieśń, tak jak często robili to na morzu. Większość pielgrzymów nie nosiła już swych wycięczonych rewqów. Ich umysły były pozostawione sobie, pogrążone we własnych myślach.

Legenda mówi, że wśród mechanicznych inteligencji albo Zangów wygląda to inaczej. Grupowe umysły nie muszą się trudzić perswazją. Po prostu zbierają się, jednoczą i podejmują decyzję.

Nie będzie łatwo przekonać zwykłych obywateli Sześciu do tej nowej herezji. Głęboko zakorzenione instynkty pchały każdy gatunek do rozmnażania się tak szybko, jak tylko można. Skierowana w przyszłość ambicja była naturalną cechą u osób takich, jak jego ojciec.

Ale nie tutaj, nie na tym świecie.

Poranne spotkanie dodało Larkowi odwagi.

W tym roku przekonamy garstkę. Potem więcej. Z początku będą nas ować, potem sprzeciwiać się nam. Na dłuższą metę trzeba do tego 5 bez przemocy, przez powszechną zgodę.

około południa na ścieżce dały się słyszeć ciche głosy. Pierwsi dziś ;gowi pielgrzymi przybyli, aby publicznie oddać cześć, a jednocześnie ;adali między sobą o przyjemnościach oczekujących ich na zgromadzeniu. Lark dostrzegł za buchającymi oparami fumaroli postacie iałych szatach. Przywódcy pozdrowili głośno tych, którzy wracali z modłów, po czym zaczęli schodzić na bok, by ustąpić drogi tżającym w dół.

dy dwie grupy się mijaly, uderzył grom, ich ciała zbiły się w groę, szaty furkotały. Hoonowie przykucnęli, zasłaniając uszy. Szypuł-Keków skurczyły się. Jakiś biedny qheuen zbiegł ze ścieżki, łapiąc ozpaczliwie sękatego drzewa szczypcami jednej nogi.

-ark najpierw pomyślał o kolejnym wybuchu gazu.

3dy ziemia się zatrzęsła, zastanowił się, czy to nie erupcja.

'ózniej miał się dowiedzieć, że hałas nie pochodził z Jijo, lecz

;ba. Był to znak nadchodzącego przeznaczenia i oznajmiał, że świat, y znał, skończył się gwałtownie, szybciej, niż się tego spodziewał.

Asx

2i, którzy przebywają wewnątrz statku, wytworzyli w jego lśniącym u mały otwór. Przez ów właz wysłali posła nie przypominającego .ego, co pamiętają żywi członkowie Wspólnoty.

Robota!

Mój-nasz pierścień skojarzeniowy musiał uzyskać dostęp do jednego wych niezliczonych, wilgotnych gruczołów pamięci, aby zidentyfikować jego zarysy, przypomnieć sobie ilustrację, którą my-ja oglądali r kiedyś w ludzkiej książce.

Ale której ? Ach, dziękuję, moja jaźni. Przewodnik po podstawowych sędziach galaktycznych dla najmłodszych. Jeden z najrzadszych Iałych owoców Wielkiego Drukowania.

Unoszący się w powietrzu mechanizm wyglądał dokładnie tak, jak tarożytnym diagramie – czarna, ośmioboczna bryła wielkości młop qheuena wisząca nad ziemią mniej więcej na wysokości mojego

Iścienia wzrokowego. Lśniące części sterczały w górę lub zwisały

pod spodem. Od chwili, gdy wejście zamknęło się za nim, robot ignorował wszelkie zarysy terenu, pozostawiając za sobą ślad trawy, kamyków i gliniastej gleby spłaszczonej przez niewidzialny ciężar.

Obecni umykali, gdy tylko się zbliżył. Tylko jedna grupa istot stała nieruchomo, czekając na przybysza nie zbudowanego z żywego ciała. My, mędrcy. Odpowiedzialność była dla nas jak okrutna cuma, tak mocna, że nawet mój podstawny segment znieruchomiał, choć pulsował nikczemnym pragnieniem ucieczki. W ten sposób robot – albo jego panowie ukryci w statku – zrozumiał, kto ma prawo i obowiązek prowadzić negocjacje. Zawahał się przed Vubbenem. Wydawało się, że kontemplował naszego najstarszego mędrca przez pięć albo sześć dur. Być może wyczuwał szacunek, jakim wszyscy darzyliśmy najmędrszego z g'Keków. Następnie cofnął się, by spojrzeć na całą grupę.

Ja-my obserwowaliśmy go ze zdumieniem i zachwytem. Ostatecznie był to przedmiot, tak jak hooński statek bądź jakieś martwe narzędzie pozostawione przez zaginionych Buyurów. Tylko że narzędzia, które my produkujemy, nie umieją latać, a buyurskie zabytki nie wykazują już zainteresowania tą czynnością.

Ten przedmiot nie tylko się poruszał, lecz również mówił. Zaczął od powtórzenia poprzedniego przekazu:

– Badanie (miejscowych, unikalnych) form życia, w tym oczekujemy waszej (łaskawej) pomocy.

Znajomość (miejscowej) biosfery, to (niewątpliwie) posiadacie. Narzędzia i (użyteczne) umiejętności, oto co oferujemy w zamian. Czy w zaufaniu dokonamy (wzajemnej) wymiany?

Nasze rewqi były bezużyteczne. Skurczyły się od intensywnego strumienia naszej rozpacz. My, mędrcy, naradziliśmy się jednak między sobą. Za powszechną zgodą, Yubben potoczył się naprzód. Jego koła skrzypiały ze starości. Demonstrując zdyscyplinowanie, wszystkie szy-pułki zwróciły się ku obcemu urządzeniu, choć z pewnością były przesycone emitowanymi przez nie przerażającymi bodźcami.

– Nieszczęsnymi rozbitkami jesteśmy – zaczął ponownie recytować w synkopowanych trzaskach i mlaskach formalnego drugiego galaktycznego. Choć naszym uryjskim kuzynkom ten język wydaje się najłatwiejszy i używają go w swym gronie, wszyscy się zgadzali, że Vubben, g'Kek, był niezrównanym mistrzem jego gramatyki.

Zwłaszcza gdy chodziło o konieczne kłamstwa.

– Nieszczęsnymi rozbitkami, ciemnymi i opuszczonymi. Zachwyceni jesteśmy. Pełni ekstazy na ten cudowny widok. Zapowiedz ratunku!

Sara

Nieco poniżej Dolo rzeka torowała sobie drogę przez wielkie bagno, itórym nawet hoońscy marynarze gubili niekiedy główny nurt, zaha-jąc o pnie drzew lub wpadając na przemieszczające się ławice piasku. normalnych czasach muskularna, cierpliwa załoga odpadowca "Ha-|-woa" liczyłaby na to, że wiatr oraz miarowe wznoszenie się i opatie poziomu rzeki pomogą się statkowi uwolnić. Czasy jednak nie f normalne. Marynarze składali więc swe zielone płaszcze – odsła-; świadczące o niepokoju cętki widoczne na guzkowatych grzbie-grzbietowych – i popychali "Hauph-woa" naprzód, używając k z busa mniejszego. Nawet pasażerowie musieli im niekiedy gać, by stępka nie ugrzęzła w mulistym dnie, zatrzymując statek. Oj niepewności udzielił się pokładowemu kontyngentowi lekko-^ch noorów, które poszczekując nerwowo, biegały po masztach ysząc rozkazów, wypuszczały z łap liny.

•eszcie, tuż przed zachodem słońca, kapitan-pilot wyprowadził ny dziób "Hauph-woa" za ostatnie porośle opadającą wysoką aokradło do Punktu Zjednoczenia, gdzie odnogi rzeki ponownie się w

jeszcze potężniejszą całość. Znowu pojawił się las gam, rył oba brzegi za miłą dla oka zasłoną drzew. Po dniu tak ciężkiej ydawało się, że powietrze w jednej chwili wypuściło pasażerów z wilgotnego uścisku. Chłodny wietrzyk pieścił skóry, łuski i kłujące noory wyskakiwały za burtę, by pluskać się obok pomy-p swobodnie po wodzie kadłuba, po czym wspinały się na maszty Izie dumnie się przeżyły.

podziękowała Prity, gdy pomocnica przyniosła jej kolację ej misce. Następnie szympansica zabrała na bok własny gnąc wyrzucić za burtę ostre, zielone przyprawy, które

hoońscy kucharze uwielbiali dodawać do niemal wszystkiego, co gotowali. Bąbelki na wodze wskazywały, że żywiące się odpadkami rzeczne zwierzęta nie były tak wybredne. Sarze nie przeszkadzał ten posmak, choć większość Ziemiaków oddawała kał o jaskrawych kolorach, jeśli przez zbyt wiele dni spożywali podawany na statkach wikt.

Gdy Prity przyniosła później kilka pledów, Sara wybrała bardziej elegancki i owinęła nim nieznanego, który spał nieopodal głównej ładowni wypełnionej równo ustawionymi skrzyniami odpadów. Na jego czole lśniła warstewka potu. Sara otarła ją suchą szmatką. Od wczorajszego ranka nie zdradzał żadnych oznak jasności umysłu, które pojawiły się u niego tak niespodziewanie, w chwili gdy feralny bolid przeszył niebo.

Sara miała obawy przed zabieraniem rannego w pośpieszną, pełną stresów podróż. Niemniej w Tarek był dobry szpital. Ponadto w ten sposób mogła mieć na niego oko, wykonując jednocześnie swój drugi obowiązek, którym brutalnie obciążono ją wczorajszej nocy, po burzliwej naradzie na Drzewie Zebrań.

Pzora stał tuż obok, jak mroczna wieża, uśpiony, lecz nieustannie czuwający nad stanem pacjenta. Farmaceuta wypuszczał podmuchy pary z wyspecjalizowanego pierścienia, który rutynowo wykonywał bez przygotowania syntezę chemiczną pozostającą poza zasięgiem pojmowania najlepszych uczonych na Jijo, a nawet samych trackich.

Owinąwszy ramiona w drugi miękki koc g'Keckiej roboty, Sara odwróciła się, by przyjrzeć się współpasażerom.

Jomah, młody syn wysadzacza Henrika, leżał zwinięty tuż obok. Pochrapywał cicho znużony podnieceniem wywołanym faktem, że po raz pierwszy opuścił rodzinną osadę. Bliżej masztu siedział Jop, zarośnięty delegat farmerów i zagrodników z Dolo, studiujący w bladym świetle oprawny w skórę egzemplarz któregoś ze zwojów. Pod relingiem na prawej burcie Ulgor, uryjska majsterka, która zabrała głos na wioskowym zebraniu, klęczała naprzeciwko specjalizującego się obróbce drewna qheuena imieniem Brzeszczot, jednego z wielu synów matriarchini Gryzącej Kłody. Brzeszczot przez wiele lat mieszkał wśród wykształconych szarych qheuenów z Tarek, wydawało się więc naturalne, że wybrano go na reprezentanta Dolańskiego Kopca.

Z wyłożonej mchem torby Ulgor wyjęła drżącego rewqą przystosowanego do wąskich uryjskich głów. Trzęsąca się membrana pokryła

•czu, tworząc Maskę Która Odślania. Rewqą Brzeszczota owinał >kół taśmy widzącej, która dzieliła na pół jego przypominającą kopułę. Oheuen wciągnął nogi, pozostawiając na zewnątrz tylko srzone szczytce.

izmawiali w pełnym naleciałości dialekcie drugiego galaktyczne-5ry nawet w swej najczystszej wersji był językiem trudnym dla Ponadto wiatr porywał sopranowe gwizdy, pozostawiając jedynie ; ścieżkę synkopowanych mlasków. Być może z tych właśnie łów wędrowcy sprawiali wrażenie, że nie przejmują się tym, iż loże ich podsłuchiwać.

bo też, jak często się to zdarzało, nie doceniali zasięgu ludzkiego i.

może liczą na coś zwanego zwykłą uprzejmością – pomyślała da. Ostatnio Sara stała się zapaloną

podsluchiwaczką, co było lwym nawykiem u raczej nieśmiałej, skrytej młodej kobiety. Po-p była jej świeżo odkryta fascynacja językiem. Tym razem jednak (nie odniosło zwycięstwo nad ciekawością.

itaw ich w spokoju. W Tarek będziesz miała pod dostatkiem do studiowania dialektów.

liosła koc w miejsce między dwiema skrzyniami oznaczonymi Eią Nela. Wydzielały one dobrze znane wonie dolańskiej papierowego gorączkowego zebrania miała mało czasu na odpoczynek. tóe kilka midur po zakończeniu obrad starsi wioski wysłali fektory obudził Sarę, informując, że przydzielono jej zadanie idzenia w dół rzeki delegacji mającej poszukać odpowiedzi »dnictwa. Wybrano ją z powodu dobrej znajomości Biblos.jak i>y reprezentowała rzemieślników z Dolo, tak jak Jop miał być yicielem farmerów, a Brzeszczot mieszkających w górze rzeki v. Pozostałymi wysłannikami byli Ulgor, Pzora i Fakoon, tancerz-skryba. Ponieważ wszyscy oni wykupili już miejsce Oh-woa" i mieli własne sprawy do załatwienia w Tarek, raczej i odmówić. Wliczając kapitana statku, każdy z sześciu gatun-przynajmniej jednego reprezentanta. Starsi wioski żywili e to dobry znak.

siąż głowiła się nad Jomahem. Dlaczego Henrik wysłał chło-óz, która nawet w spokojnych czasach wiązałyby się z nie-stwem?

– Będzie wiedział, co robić – wyjaśnił małomówny wysadzac;

oddając syna pod nominalną opiekę Sary – kiedy dotrzecie do Tarek.

Gdybym tylko mogła to powiedzieć o sobie – martwiła się kobieta.1 Nie mogła odmówić przyjęcia zadania, choć bardzo by tego chciała.

Minął rok, odkąd umarł Joshu. Odkąd wstyd i żal uczyniły z ciebie pustelniczkę. Poza tym, kogo obchodzi, że zrobiłaś z siebie idiotkę z powodu mężczyzny, który nigdy nie mógłby należeć do ciebie? Wszystko to wydaje się drobiazgiem w chwili, gdy kończy się znany nam świat.

Sama w ciemności Sara pograżyła się w zmartwieniach.

Czy Dwer i Lark są bezpieczni? A może na zgromadzeniu wydarzyło się już coś strasznego?

Poczuła, że Prity zwinęła się obok pod własnym kocem, by podzielić się z nią ciepłem. Hooński sternik nucił dudniącym głosem jęklivą melodię. Nie miała ona słów w żadnym znanym Sarze języku, lecz mimo to wyrażała poczucie niejasnego, nieskończonego cierpliwego spokoju.

Wszystko się jakoś ułoży – zdawał się mówić hooński śpiewak.

Zmęczenie ogarnęło wreszcie jej ciało w chwili, gdy myślała:

Mam... taką... nadzieję...

Później, w samym środku nocy, koszmar sprawił, że przebudziła się gwałtownie, ściskając mocno koc. Jej oczy wpatrzyły się w spokojną, oświetloną dwoma księżycami rzekę, lecz serce Sary waliło, gdy skuliła się dręczona straszliwą wizją ze snu.

Płomienie.

Blask księżyców migotał na wodzie, lecz dla jej oczu stał się ogniem pełzającym po dachu z kamienia w Biblos; żarem i sadzą buchało pięćset tysięcy płonących księżek.

Nieznajomy

Nieświadomy, nie jest w stanie kontrolować mrocznych obrazów mącących zamknięty wszechświat jego umysłu.

Jest on ciasny – wąski i ograniczony – lecz mimo to pełen gwiazd i dezorientacji. Galaktyk i wyrzutów sumienia. Mgławic i bólu.

A także wody. Zawsze wody – pochodzącej ze zwartych, czarnych

Kłowych ciągnących się aż do kosmicznych obłoków tak rozle-, że można by nigdy nie zauważyć, iż roi się w nich od istot wielkich anety. Żywych stworzeń powolnych i rzadkich jak para, pływający morzu niemal całkowitej próżni.

sasami wydaje mu się, że woda nigdy nie zostawi go w spokoju. ozwoli mu też po prostu umrzeć.

' tej chwili również słyszy jej natarczywą muzykę przebijającą się jego majaczenia. Tym razem dociera do niego jako ciche pluskanie 2yszące przemieszczaniu się drewnianych desek przez spokojny całkiem jakby jakiś statek zabierał go z miejsca, którego nie ?ta, do innego, którego nazwy nigdy nie pozna. Ta melodia brzmi ajajaco. Nie przypomina wsysającego mlaskania tego straszego Ł, w którym spodziewał się wreszcie utonąć... .tak jak omal nie utonął kiedyś dawno temu, gdy Prastare Istoty hnęły go, nie zważając na jego wrzaski, do kryształowej kuli, którą pnie wypełniły cieczą rozpuszczającą wszystko, czego dotknęła. l.albo jak wtedy, gdy usiłował zaczerpnąć tchu na tym zielonym-Inym-zielonym świecie, którego gęste powietrze nie chciało karmić pała, kiedy włókł się na wpół ślepy ku straszliwej, połyskującej jophurskiej wieży.

'albo wtedy, kiedy wydawało się, że jego ciało i dusza są objane, ne, niezdolne nawet wciągnąć powietrza, gdy kroczył wąską E, mając wrażenie, że zaraz obierze go ona z mięsa aż do kości... j iśnie go gwałtownie do królestwa, w którym lśniące światło to się aż do...

o umysł buntuje się, wystraszony przelotnymi, niespójnymi wi-Dręczony gorączką, nie ma pojęcia, które z nich są zapisane ęci, które przesadzone, a które jego uszkodzony mózg po prostu żył z czarnej jak smoła substancji koszmarów... k smuga kondensacyjna gwiazdolotu złożona z pary (wody!)

ijąca błękitne niebo przypominające mu dom. bo widok istot podobnych do niego (znowu woda!) mieszkają-świecie, na którym z pewnością nie powinno ich być. ród chaosu gorączkowych halucynacji przebija się do niego loznanie. Wie skądś, że pochodzi ono spoza jego urojeń, z ja-eczywistego miejsca. Wydaje się dotykiem, muśnięciem cze-

goś miękkiego na czole. Otarcie, któremu towarzyszą szepty o uspoka jającym brzmieniu. Nie potrafi zrozumieć słów, lecz cieszy się z oweg< wrażenia, choć wie, że nie powinno ono istnieć. Nie tutaj. Nie teraz. |

Ów dotyk dodaje mu otuchy, sprawia, że czuje się odrobinę mniid samotny.

Na koniec odgania nawet straszliwe wizje – wspomnienia i kosz] mary – i z czasem majaczenia ustępują miejsca spokojowi snu.

v KSIĘGA MORZA

Gdy nadejdzie sąd, zapytają was o tych, którzy nie żyją.

Jakie żywe gatunki, piękne i niepowtarzalne, nie istnieją już dlatego, że samowolni osadnicy postanowili zamieszkać w zabronionym miejscu?

A co z waszymi zmarłymi? Waszymi trupami, zwłokami i szczątkami? Waszymi narzędziami i zimnymi wytworami? W jaki sposób się ich pozbywaliście?

Bądźcie praworządni, przedterminowi osadnicy z Jijo. Zademonstrujcie, jak mocno się staraliście. Uczynicie nieważnymi konsekwencje waszej zbrodni. (Przestępstwo bycia żywym.)

Występki – i karę za nie – można uczynić mniej ważnymi przez prosty fakt wyrządzenia mniejszej szkody.

Zwój Rad

Opowieść Alvina

pjka na Mount Guenn wspina się po stromej trasie z Wuphonu aż •ztatów Uriel Kowalicy. Tory są wąskie i trudno je dostrzec, dy się ich szuka. Mimo to mędracy pozwolili je zbudować tylko l że transport wyrobów Uriel w dół, na rynek, ma wielkie zna-tonadto nie wykorzystuje się przy tym sztucznej mocy. Wodę ch źródeł, położonych wysoko na stoku, nalewa się do zbiornika i czekającego na górnej stacji. Jednocześnie opróżnia się taki

sam zbiornik dolnego pojazdu, dzięki czemu jest on znacznie lżejszy, nawet z pasażerami. Gdy zwalnia się hamulec, cięższy wehikuł zaczyna staczać się w dół, ciągnąc linę, która z kolei holuje dolny na górę.

Może się wydawać, że to dziwaczne urządzenie, ale w gruncie rzeczy jeździ całkiem szybko, a w połowie drogi można się nawet przez kilka sekund wystraszyć, gdy jadąca w przeciwną stronę kolejka gna prosto na ciebie po tych samych wątych, drewnianych szynach. Potem dociera się do punktu rozjazdu i drugi wagonik przemyka błyskawicznie obok. Cóż za emocje!

Podczas podróży kolejka pokonuje odległość jakichś czterdziestu strzałów z łuku, ale gdy zjeżdża na dół, woda w zbiorniku wciąż jest bliska wrzenia. To dlatego mieszkańcy lubią, gdy Uñel wysyła swe towary do portu w dzień, bo wtedy urządzają pranie.

Ur-ronn mówi, że wszystko to umożliwił jeden fragment odnalezionej buyurskiej liny. Prawdziwy skarb, którego nigdy nie będzie można zastąpić.

Mount Guenn był tego dnia grzeczny, w powietrzu nie unosiło się więc wiele popiołu i właściwie nie potrzebowałem płaszcza. Huck jednak przypięła rzemieniami gogle na wszystkie cztery oczne bańki, Koniuszek zaś musiał spryskiwać swą czerwoną kopułę, gdy powietrze stawało się coraz rzadsze, a Wuphon przerodził się w wioskę domów-zabawek ukrytą pod kamuflażem zieleni. Gęste gaje nizinnych busów szybko ustąpiły miejsca żywopłotom wielopiennych drzew gorreby, a potem kępom puszystych krzaków, które stawały się coraz rzadsze w miarę, jak wspinaliśmy się w górę. To nie była okolica odpowiednia dla czerwonych qheuenów. Mimo to Koniuszek był podekscytowany wiadomością od Ur-ronn.

– Widzicie? Okno jest gotowe! Ostatni duży fragment batyskafu, którego nam brakowało. Jeszcze trochę roboty i będzie skończony... czony!

Huck prychnęła pogardliwie. Dobrze jej to wychodziło, ponieważ to jedno z tych znanych nam z lektury ludzkich zachowań, które naprawdę udaje nam się często zaobserwować, gdy tylko nasz miejscowy nauczyciel, pan Heinz, słyszy nie przypadającą mu do gustu odpowiedź.

– Świetnie – zauważyła Huck. – Ten, kto się w nim zanurzy, będzie miał szansę zobaczyć to, co go zeżre. Musiałem się roześmiać.

– Hrrm. A więc przyznajesz, że morskie potwory mogą jednak [eć?

Huck obróciła trzy szypułki w moją stronę z wyrazem zdziwienia. ;żęsto udaje mi się tak zaskoczyć.

– Przyznaję, że chcę, by coś więcej niż płyta uryjskiego szkła ililo mnie od tego, co możemy napotkać podczas dwudziestu tysięcy podmorskiej żeglugi!

Muszę wyznać, że zdziwiło mnie jej nastawienie. Takie rozgorycze- było całkiem niepodobne do Huck. Spróbowałem poprawić trochę osferę.

– Wiesz co, zawsze się nad tym zastanawiałem. Czy ktoś kiedyś iczył, ile dokładnie ma mila?

Dwoje z jej oczu popatrzyło na siebie, a potem z powrotem na mnie; w nich błysk fantazji.

<– Sprawdzalam to kiedyś w słowniku, ale w calu tego nie zrozu-n. Posłuchajcie, jeśli znowu zaczniecie... – poskarżył się Koniu-

Ale jeśli ktoś to wie, wiorsta by było go zapytać – przerwałem

Hę! – Huck zabębniła szprychami. – Pod warunkiem, że aesz kogoś, kto potrafiłby odpowiedzieć

na piędź. Hrrm. Chyba zaraz będę musiał powiedzieć stopa. Oj... oj... oj... oj... oj! – poskarżył się Koniuszek, udając [nie wszystkimi pięcioma ustami jednocześnie. [właśnie zabijaliśmy czas, wspinając się na chłodne, pozbawione stkowia. Myślę sobie, że to dowód, iż tata ma rację, nazywając konaśladowcami. Ale drugi i szósty galaktyczny nie nadają się oych zabaw. W ogóle nie można w nich układać kalamburów! nym galaktycznym można, ale z jakiegoś powodu to po prostu (Oli.

[stał się jeszcze bardziej nagi, gdy zbliżyliśmy się do szczytu, cia pary znaczą początek szerokich barków Mount Guenn l gorący oddech kuźni Uriel. Niektóre z dawnych wycieków ^stalizowały się tu w szczególny sposób który sprawia, że ! się światło tworzy migotliwe, barwne wzory zmieniające się chem obserwatora. Niedaleko stąd taka sama powierzchnia

pokrywa jak okiem sięgnąć trującą równinę zwaną Tęczowym Wyciekem.

Owego dnia moja wyobraźnia była niehoońsko pobudzona. Nie mogłem nie myśleć o całej tej mocy bulgoczącej głęboko pod górą. W żadnym innym miejscu wnętrzości Jijo nie kotłują się intensywniej niż pod obszarem, który my, wygnańcy, nazywamy Stokiem. Mówią nam, że właśnie dlatego wszystkie statki naszych protoplastów zasadziły swe nasiona w tej samej części planety. Do tego nigdzie indziej na Stoku mieszkańcy nie żyją na co dzień w bliższym kontakcie z ową spętaną potęgą niż w moim rodzinnym mieście. Nic dziwnego, że nigdy nie przydzielono nam rodziny wysadzaczy, by przygotowała naszą wioskę do zniszczenia. Myślę sobie, że wszyscy sądzą, iż wulkan i tak pobłogosławi Wuphon w ciągu najbliższego stulecia. Najwyżej tysiąclecia. Może lada dzień. Czym więc się przejmować?

Mówią nam, że – gdy już to się stanie – po naszych domach nie powinien zostać żaden ślad. Jeśli jednak pytacie mnie o zdanie, Jijo może sobie zaczekać.

Mimo że jeździłem kolejką dziesiątki razy, wciąż zaskakuje mnie, gdy wagonik kończy wspinaczkę i nagle nie wiadomo skąd otwiera się potężna jaskinia, a szyny biegną prosto do niej. Może to wszystko przez tę gadaninę o potworach, ale tym razem poczułem szarpnięcie w wyrostku sercowym, gdy czarna jama rozwarła się szeroko i daliśmy nurka ku czemuś, co diabelnie przypominało zgłodniałą paszczę umiejscowioną w obliczu gniewnej, impulsywnej góry.

Otoczyły nas nagle ciemność i cisza, gorące i suche jak pieprz. Ur-ronn czekała już na nas, gdy wehikuł zatrzymał się z szarpnięciem. Sprawiała wrażenie spłoszonej. Tańczyła ze stukotem wszystkich czterech kopyt, podczas gdy jej krótkie i grube robocze ręce przytrzymywały drzwi. Pomogłem Huck wytoczyć się na zewnątrz. Mała Huphu jechała na grzbiecie Koniuszka Szczypiec. Oczy jej lśniły, jakby była gotowa na wszystko.

Może noorka była gotowa, ale Huck, Koniuszka i mnie całkowicie wytrąciło z równowagi to, co powiedziała wówczas nasza uryjska przyjaciółka. Ur-ronn przemówiła w szóstym galaktycznym, ponieważ ur-som łatwiej jest mówić bez seplenienia.

– Czuję radość w swych torbach, że wy, moi przyjaciele, mogliście

»yc tak prędko. Teraz szybko do obserwatorium, w którym Urieijuz \ku dni śledzi dziwne obiekty widoczne na niebie! [usze przyznać, że zaniemówiłem. Podobnie jak pozostali. Przez dur gapiłem się tylko na nią. Wreszcie wszyscy jednocześnie nogliśmy paraliż.

– Hrrrrm, chyba nie...

– Co chcesz...

– Z pewnością nie masz na myśli... ^r-ronn tupnęła przedmą lewą nogą.

– Mam na myśli właśnie to! Uriel i Gybz twierdza, że zauważyli dni temu jeden albo więcej gwiazdolotów! Ponadto, gdy zaobser-ili je po raz ostatni, jeden lub wszystkie sprawiały wrażenie, że

otowują się do lądowania!

VI

KSIĘGA STOKU

Legendy

Zakrawa na ironię, że większości gwiazdozbiorów widocznych na nocnym niebie Jijo nadali nazwę ludzie, najmłodszy szczep wygnańców. Nikomu z poprzedniej szóstki nie przyszło do głowy przypisywanie wymyślnych określeń grupom nie związanych ze sobą gwiazd, kojarzenie ich z rzeczywistymi bądź mitycznymi zwierzętami.

Ten dziwaczny zwyczaj z pewnością wywodzi się z jedyne go w swym rodzaju dziedzictwa ludzkości, sierocego gatunku – bądź też dzikusów stworzonych przez samoistną ewolucję – który wdarł się w kosmos bez przewodnictwa opiekuna. Wszystkie pozostałe rozumne istoty miały takiego mentora – tak jak hoonowie mieli Guthatsa, a g 'Kekowie Droolian – starszą, mądrzejszą rasę, gotową nauczyć młodszą tego, co trzeba.

Ale nie ludzie.

Ten niedostatek okaleczył Homo sapiens w niepowtarzalny sposób.

W okresie samotnej, mrocznej wspinaczki ludzkości w rodzimych terrańskich kulturach rozkwitały niezliczone dziwaczne wyobrażenia. Osobliwe pomysły, które nigdy nie przy'szłyby do głowy wspomnianemu gatunkowi od samego początku uczonego praw natury. Groteskowe koncepcje, jak łączenie punktów na niebie w kształty fikcyjnych stworzeń.

Gdy Ziemianie po raz pierwszy postąpili tak na Jijo, starsze grup) okazały zaskoczenie, a nawet podejrzliwość. Wkrótce jednak okazało się, że owa praktyka zmniejszyła nieco budzoną przez gwiazdy grozę g'Kekowie, hoonowie i ursy zaczęli tworzyć własne gwiazdne mity podczas gdy qheueni i tracki zadowalali się tym, że układano o nici opowieści.

Od chwili nastania pokoju uczeni spierali się o ocenę tej praktyki Niektórzy twierdzili, że sam fakt, iż jest tak prymitywna, pomaga Sześciu pójść w ślady glawerów. Pogląd ten spotyka się z aprobatą tych, którzy nalegają, byśmy jak najszybciej podążyli Ścieżką Odkupienia.

inni utrzymują, że – podobnie jak skarbiec książek w Biblos – raca to naszą uwagę od zrażania ku prostej jasności myśli, która oie nam, wygnańcom, osiągnąć nasz cel. ^ą też tacy, którym ten zwyczaj podoba się po prostu dlatego, że jest jemny i pomaga stworzyć znakomite dzieła sztuki.

Kulturowe regularności zbcza. Ku-Phuhaph Tuo, Ovoomski Cech Wydawców. Rok Wygnańca 1922

Asx

Któż mógłby sobie wyobrazić, że robot potrafi wyrazić zaskoczenie? ft jednak nie zaobserwowaliśmy łatwego do rozpoznania szarpnię-)oruszenia będącego reakcją na jawne kłamstwo wypowiedziane lYubbena? Improwizowany fałsz wykombinowany w chwili nagłej czności przez Ur-Jah i Lestera, których bystre umysły przynoszą yt ich gorącokrwistym plemionom?

rwsze zwoje – zaledwie dziesięć kilostów wrytych na polime-i sztabach – ostrzegały przed zagładą, która mogła spaść na kilka ów. Glawerscy, hoońscy i qheueńscy osadnicy dodali nowe te-tórych z początku zazdrośnie strzegli, a potem podzielili się nimi mi, gdy powoli formowała się Wspólnota. Na koniec przybył t ludzki ze swym darem papierowych książek, który wywołał pwy potop. Nawet jednak Wielkie Drukowanie nie mogło uwz-|f wszystkich możliwości.

ód prawdopodobnych ewentualności brano pod uwagę tę, że l nas Galaktyczne Instytuty odpowiedzialne za nadzór nad prze-iem kwarantanny. Albo też nasze przestępstwo wykryją giganty-zowniki wielkich klanów opiekunów, jeśli – czy raczej kiedy liwe oko Izmunuti przestanie rzygać

wiatrem maskujących igieł. yżając inne możliwości, myśleliśmy też, co uczynić, jeśli do ; naszych miast przybędzie wielki, kulisty statek wodorodysz-gów, ociekając mroźnymi oparami z gniewu na nasze najście. yaliśmy o tej ewentualności i o wielu innych, nieprawdaż, moje tóe?

Rzadko jednak o tym, co wydarzyło się naprawdę. O przybyciu desperatów.

Jeśli złoczyńcy odwiedzą kiedyś Jijo, rozmowaliśmy, dlaczego mieliby odsłaniać się przed nami? Mogą przesiewać cały świat w poszukiwaniu bogactw, czy więc w ogóle raczyliby zauważyć nędzne chaty garstki prymitywnych barbarzyńców, dalekich od dawnej chwały, stłoczonych w jednym małym zakątku rozległej Jijo?

Przylecieli jednak w sam środek naszego zgromadzenia ze śmiałością, która przeraża.

Robot-wysłannik rozmyślał nad oświadczeniem Yubbena przez dziesięć dur, po czym odpowiedział jednym krótkim pytaniem:

– Wasza obecność na tym świecie, jest to (zapytanie) przypadek? Czy przypominacie sobie, moje pierścienie, krótki dreszcz, który przemknął przez nasze membrany łączące? Mocodawcy robota dali się zaskoczyć! Wbrew wszelkiemu rozsądkowi czy stosunkowi sił, inicjatywa chwilowo należała do nas.

Yubben skrzyżował dwie szypułki w geście uprzejmej wyniosłości.

– Wasze pytanie insynuuje wątpliwości.

Więcej niż wątpliwości, sugeruje groźne założenia odnośnie do naszej natury.

Te założenia, czy mogłyby one nałożyć na karki naszych przodków okowy podejrzania ?

(Zapytanie) podejrzania o haniebne zbrodnie?

Jakże elastyczne były mylne wskazówki Yubbena. Jak podobne do sieci mierzwopająka. Niczemu nie zaprzecza. Nie wypowiada żadnych otwartych kłamstw. Cóż jednak implikuje!

– O wybaczenie za (niezamierzone) obelgi błagamy – wyklekotała pośpiesznie maszyna. -Za potomków rozbitków was uważamy. Doprawdy pechowy wspólny statek waszych przodków musiał być. Zaginął podczas wykonywania jakiejś szlachetnej misji, w to bynajmniej nie wątpimy.

Cóż, co do tego, że oni są kłamcami, nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości.

Dwer

Dstawiając za sobą skaliste Góry Obrzeźne, Dwer powiódł Rety ^stałych na obszar falistych, lekko opadających ku morzu wzgórz y Stokiem. W dziedzinę Sześciu.

róbował skłonić swą tajemniczą, młodocianą więźniarkę do powie-.a czegoś o sobie, lecz odpowiedzią na jego usiłowania były tylko otne monosylaby. Najwyraźniej Rety miała mu za złe, że potrafił /iele odgadnąć z jej wyglądu, stroju ze zwierzęcych skór, mowy sobu zachowania.

L czego się spodziewałaś? Że przemkniesz się przez góry, przyj -z do jednej z wiosek i nikt nie zada żadnych pytań? ama blizna po oparzeniu wystarczyłaby, żeby ściągnąć na nią \e. Co prawda, oszpecenie nie było na Stoku czymś rzadkim, jako ypadki zdarzały się często, a nawet najnowsze traeckie maści były ug galaktycznych standardów prymitywnymi lekami. Mimo to idzie, dokąd by się udała, zauważono by ją. todczas posiłków gapila się pożądliwie na dobra, które wyciągał aka i na jego kubek i talerz, poobijany aluminiowy rondel oraz r z wełnistego puchu hurczinów – rzeczy ułatwiające odrobinę anie tym, których przodkowie dawno temu wyrzekli się życia inych bogów. Dla Dwera w tkaninie, z której zrobiono jego ie, w butach o podeszwach ukształtowanych z żywicy drzew, et w eleganckiej, trzyczęściowej uryjskiej zapalarce było proste l. Wszystkie one stanowiły przykłady prymitywnego sprytu, i były e do tych, na jakich jego przodkowie, dzikusy, polegali podczas motnej izolacji na Starej Ziemi. Dla większości mieszkańców ego typu rzeczy były czymś normalnym. członkom klanu przedterminowych, nielegalnych osadników t w zazdrości i brudzie poza nawiasem społeczeństwa mogły się ć cudami. By je ukraść, warto było podjąć każde ryzyko. mówił

się, czy to odosobniony przypadek? Być może Rety była Merwszą złodziejką, którą złapano. Niektóre kradzieże przypisy-om mogły być dziełem innych rabusiów, przemykających się ' członków mieszkającego daleko plemienia pustelników. tym poległa twój plan? Zwędzić pierwszą wartościową

rzecz, jaka się nawinie, i zwać z powrotem do swych pobratymców w aureoli bohaterki?

Z jakiegoś powodu sądził, że musi się za tym kryć coś więcej. Rety wciąż się rozglądała, jakby wypatrywała czegoś szczególnego. Czegoś, co było dla niej ważne.

Dwer obserwował, jak dziewczyna prowadzi schwytaną glawerzycę na sznurze, którym jest przewiązana w talii. Zuchwały krok Rety miał! zapewne stanowić wyzwanie dla niego albo dla kogokolwiek innego, j kto mógłby chcieć ją osądzać. Ogarnęły go mdłości, gdy zauważył między kosmykami brudnych włosów pofałdowane ślady pozostawione przez pszczoły wiertnice, pasożyty z łatwością usuwane przez traECKI balsam. Tam, skąd przybyła, nie było jednak trackich.

Zmuszało to do nieprzyjemnych myśli. Co by było, gdyby jego dziadkowie dokonali tego samego wyboru, co dziadkowie Rety? Uciekli z jakiegoś powodu ze Wspólnoty i dotarli do dalekich rubieży, by tam się ukryć? W dzisiejszych czasach, gdy wojna – i uchodźcy wojenni – należała już do przeszłości, przedterminowi osadnicy byli raczej rzadkością. Stary Fallon natrafił na jedną tylko bandę podczas wielu lat wędrówek przez połowę kontynentu. Dwer natknął się na kogoś takiego po raz pierwszy.

Jak byś postąpił, gdybyś dorastał w takich warunkach, walcząc o byt niczym zwierzę, a jednocześnie wiedziałbyś, że za górami na zachodzie leży kraina bogactwa i mocy?

Dwer nigdy dotąd nie myślał o Stoku w ten sposób. Większość zwojów i legend podkreślała, jak nisko upadło już sześć gatunków wygnańców, a nie to, jak długa czeka ich jeszcze droga.

Tej nocy Dwer wykorzystał nasiona tobara, by znowu przywołać zegarową cikorę, nie dlatego, że chciał się wcześniej obudzić, lecz po to, by podczas snu towarzyszyło mu nieustanne, rytmiczne stukanie. Skarpetka zawył, poczuwszy aromat. Zakrył sobie pysk. Rety zachichotała cicho i po raz pierwszy się uśmiechnęła.

Uparł się, że przed snem obejrzy jej stopy. Ze spokojem pozwoliła mu opatrzeć dwa pęcherze wykazujące wczesne ślady infekcji.

– Kiedy dotrzemy na zgromadzenie, pokażemy cię uzdrowicielom – oznajmił. Żadne z nich nic nie powiedziało, gdy zatrzymał jej mokasyny, wtykając je na noc pod swój śpiwór.

rdy już leżeli pod baldachimem z gwiazd, rozdzieleni słabo żarzą-się węgielkami ogniska, skłonił Rety, by nazwała kilka gwiazdoz-w. Jej lakoniczne odpowiedzi umożliwiły mu wyeliminowanie osłej możliwości, że na Jijo wylądowała jakaś nowa grupa ludzkich nańców, którzy zniszczyli swój statek i rozpoczęli zwierzęcą egzy-:ję daleko od Stoku. Rety nie rozumiała, jakie znaczenie mają nazwy i kształtów widocznych na niebie, lecz Dwer uwolnił się od dodat-ego źródła obaw. Legendy były takie same.

idy obudził się rankiem, poczuł coś w powietrzu – znajomą woń, łal przyjemną, lecz również niepokojącą – wrażenie, które Lark ś tłumaczył w tajemniczy sposób "jonami ujemnymi i parą wodną" zasnął Rety, żeby ją obudzić, po czym wprowadził pośpiesznie rerycę pod skalny nawis. Skarpetka podążył za nim, posuwając się ym dręczony artretyzmem g'Kek przy każdym ruchu narzekający Renawistne poranki. Dotarli do schronienia w tej samej chwili, gdy tała się ulewna burza – falująca zasłona nieustannego deszczu aeszczająca się nad górskim stokiem z lewej ku prawej niczym oczysta draperia bombardująca wszystko, co leżało na dole, i za-pa las jedną falistą wstęgą za drugą. Rety gapiła się z wybałuszo-oczyma na ten gobelin o barwie tęczy, który przemknął obok, kjąc ich obóz i zrywając z drzew połowę liści. Było oczywiste, że lotąd nie widziała podobnej

burzy.

nowili wędrówkę. Być może powodem był przynoszący odpo-: sen lub rześkie poranne przebudzenie, lecz Rety wydawała się miej markotna, bardziej skłonna cieszyć się widokami takimi, jak łąna trzmielokwiatów – żółtych rurek otoczonych czarnym pu-[, które unosiły się na silnym zachodnim wietrze, po czym opadały l bzykiem, gdy osiągnęły koniec postronków łądyg. Dziewczyna spojrzenia we wszystkie strony, oczarowana tym zwariowanym)rowadzącym do zapyłania. Ten gatunek nie występował w cie-yietrznej pogody panującej po drugiej stronie Gór Obrzeżnych, zległa równina porośnięta trującą trawą ciągnęła się niemal do ^Szarych Wzgórz.

tfakt, że dotarła tu przez to wszystko, jest już osiągnięciem – bał w myślach Dwer, zastanawiając się, jednocześnie w jaki łała tego dokonać.

Gdy wysokogórskie stromizny ustąpiły miejsca łagodniejszemu podgórzu, Rety przestała ukrywać palącą ciekawość. Zaczęła od wska- zywania palcem i zadawania pytań: – Czy te drewniane tyczki podtrzymują twój plecak? Czy nie robi się od nich ciężki? Założę się, że są puste w środku.

Potem zapytała: – Jeśli jesteś myśliwym, gdzie jest reszta twojej drużyny? A może zawsze polujesz sam?

Następne pytania posypały się szybko jedno za drugim: – Kto zrobił twoją kuszę? Z jakiej odległości umiesz trafić w coś wielkości mojej dłoni? Czy przez cały czas, kiedy byłeś mały, mieszkałeś w jednym miejscu? W... domu? Czy mogłeś sobie zatrzymać, co tylko chciałeś, zamiast to zostawiać, gdy przenosiłeś się w inne miejsce? Jeśli wychowywałeś się nad rzeką, to czy widziałeś kiedyś hooną? Jak oni wyglądają? Słyszałam, że są wysocy jak drzewo, a nosy mają długie jak twoja ręka. Czy trikki naprawdę znają wszystkie triki? Czy są zrobieni z żywicy? Czy żywią się śmieciami? Czy noory czasem się uspokajają? Zastanawiam się, dlaczego Buyurzy zaplanowali je w ten sposób.

Pomijając to, że mówiła "Buyurzy" zamiast "Buyurowie", Dwer sam nie potrafiłby lepiej sformułować tego ostatniego pytania. Skarpetka naprzykrzał się wędrowcom nieustannie. Właził im pod nogi, ścigał po krzakach jakieś stworzenia, a potem zasadzał się na nich na jakimś odcinku ścieżki, piszcząc z zachwyty, gdy Dwer nie zdołał go zauważyć wśród zwisającego nad drogą listowia.

Mógłbym z łatwością cię zgubić, gdybym nie musiał holować gla-werzycy i dzieciaka – pomyślał Dwer do uśmiechniętego noora. Mimo to zaczynał czuć się całkiem dobrze. Dokonają niezłego wejścia na zgromadzenie. Z pewnością będzie to główny temat rozmów podczas święta.

Przy przygotowywaniu obiadu Rety użyła kuchennego noża Dwera, by przyrządzić kurę zaroślową, którą zastrzelił. Ledwie mógł nadażyć wzrokiem za jej śmigającymi dłońmi. Dobre części wylądowały w rondlu, skwiercząc głośno, a trujące gruczoły poleciały do dołu na odpadki. Skończyła, wytarła nóż zamaszystym gestem i oddała go właścicielowi.

– Zatrzymaj go – zaproponował Dwer. Zareagowała niepewnym uśmiechem.

W tej chwili przestał być jej strażnikiem, a został przewodnikiem odprowadzającym marnotrawną córkę z powrotem w objęcia klanu

pólnoty. Tak przynajmniej sądził, aż do chwili, gdy niedługo lej, podczas posiłku, powiedziała: – Właściwie to widziałam ich ochę.

– Kogo widziałeś?

Wskazała na glawerzycę, która przeżuwała spokojnie pokarm w cie- aju kołyszącego się na wietrze zagajnika busów mniejszych.

– Myślałeś, że nigdy ich nie widziałam, dlatego że się bałam, czy nie pogryzie. Ale widziałam je, z daleka. Całe stado. Sprytne isyny, trudno je złapać. Facetom zajęło cały dzień, nim dziabnęli igo włócznią. Mięso okropnie zalatuje, ale chłopakom smakowało. hver przełknął z wysiłkiem ślinę.

– Chcesz powiedzieć, że twoje plemię poluje na glawery i zjada lety popatrzyła na niego brązowymi oczyma pełnymi niewinnej iwości.

c– A po tej stronie tego nie robicie? Nic dziwnego. Jest dużo (ejszej i smaczniejszej zwierzyny.

otrząsnął głową. Ta wiadomość przyprawiła go o mdłości.

?zęć jego jaźni strofowała go: Byłeś gotów zastrzelić tę glawerzy-^by przekroczyła przełęcz.

k, ale tylko gdyby nie było innego wyjścia. I nie zjadłbym jej! ver wiedział, że nazywają go Dzikim Człowiekiem z Lasu, żyją-ioza zasięgiem prawa. Pomagał nawet pielęgnować tę legendę, waż powodowała ona, że jego trudności z wymową uważano za ę czegoś bardziej męskiego niż nieśmiałość. W rzeczywistości tóe było tą częścią łowów, którą wykonywał tak sprawnie i szybko 'tylko mógł, lecz nigdy z przyjemnością. A teraz dowiedział się, szkający za górami ludzie pożerają glawery! Mędracy będą prze-

lomentu, gdy doszedł do wniosku, że Rety wywodzi się z bandy ninowych osadników, Dwer wiedział, że jego obowiązkiem oprowadzenie wyprawy milicji i urządzenie obławy na klan 5w. W idealnych warunkach byłoby to po prostu stanowcze, •dne wyłapanie i zapędzenie zbłąkanych kuzynów z powrotem mii Wspólnoty. Teraz jednak Rety nieświadomie oskarżyła swe »kolejną zbrodnię. Zwoje wypowiedziały się jasno. "Tego, co jest \ nie będziecie jeść. To, co jest cenne, musicie chronić". Nade

wszystko jednak: "Nie wolno wam pożerać tego, co ongiś wędrowało między gwiazdami".

Ironia miała w ustach Dwera smak popiołu. Albowiem nawet gdy nielegalni osadnicy zostaną już doprowadzeni na proces, jego obowiązkiem będzie schwywanie wszystkich glawerów żyjących na wschód od Gór Obrzeźnych oraz wybicie tych, których nie zdoła doścignąć.

Och, ale to nie robi ze mnie złego człowieka... ponieważ ich nie! zjem.

Rety musiała wyczuć jego reakcję. Odwróciła się i wpatrzyła w pobliski gaj busów wielkich. Młode pędy zaledwie dorównywały grubością jej talii. Zielone, rurowate łodygi kołysały się, tworząc drobne fale, całkiem jak sierść na brzuchu leniwego noora, który drzemał u jej stóp.

– Czy mnie powiesz? – zapytała cicho dziewczyna. Blizna na jej twarzy, która bladła, gdy Rety się uśmiechała, wydawała się teraz;

rozciągnięta i sina. – Stary Clin mówi, że Stokowcy wieszają przedterminowych osadników, kiedy tylko ich złapią.

– Bzdura. W rzeczywistości każdy gatunek zajmuje się swoimi...

– Starzy mówią, że to prawo Stekowców. Zabić każdego, kto próbuje żyć na wolności na wschód od Gór Obrzeźnych. Ogarnięty nagłą irytacją Dwer zaczął się jękać.

– Je... jeśli tak myślisz, to dlaczego zawędrowałaś aż tutaj? Że... żeby wetknąć głowę w pętlę?

Rety zacisnęła wargi. Odwróciła wzrok.

– Nie uwierzyłbyś mi – wyszeptała cicho. Dwer pożałował wybuchu złości.

– Dlaczego nie spróbujesz mi opowiedzieć? – zapytał łagodniejszym tonem. – Może... zrozumiałbym cię lepiej niż ci się zdaje.

Mimo to ponownie wycofała się do kokonu ponurego milczenia, obojętna niczym kamień.

Gdy Dwer opłukiwał pośpiesznie przybory kuchenne. Rety sama przywiązała się przed glawerzycą, mimo że powiedział jej, iż może iść swobodnie. Znalazł swój nóż kuchenny przy zgasłych węglach. Musiała go tam zostawić, gdy padły ostre słowa.

Ten gest odrzucenia sprawił mu przykrość.

– Chodźmy już stąd – mruknął opryskliwym tonem.

Asx

Postanowiliśmy wynaleźć drobną różnicę między dwiema zbrodniami-Przypadkowa kolonizacja była przynajmniej odrobinę mniejszym następstwem niż planowana.

Nikt nie mógł zaprzeczyć oczywistym faktom, a mianowicie temu, łasi przodkowie wydali nie usankcjonowane potomstwo na pozosta-my odłogiem świat. Sprytny wybieg Yubbena sugerował jednak akt ygodnej nieostrożności, a nie rozmyślne łotrostwo. Kłamstwo nie mogło utrzymać się długo. Gdy archeologiczne pozostałości zostaną poddane wnikliwemu badaniu, sądowi detektywi z Intutów szybko odkryją fakt, że pochodzimy z wielu odrębnych owań, a nie od jednej, mieszanej załogi rzuconej przez nieszczęśliwy padek na ten odległy brzeg. Istnieje też kwestia obecności tutaj izego najmłodszego szczepu: ludzkiego klanu. Zgodnie z ich dziwa-)ą opowieścią są gatunkiem dzikusów, poznanym przez galaktyczną (turę dopiero trzysta jijańskich lat temu. ^W takim razie po co w ogóle próbować takiego blefu? |Z desperacji. Połączonej z wątlą nadzieją, że nasi "goście" nie mają sjętności ani narzędzi niezbędnych do uprawiania archeologii. Ich m musi być pośpieszny wypad w poszukiwaniu ukrytych skarbów. lępnie, zatarłszy ślady, będą chcieli oddalić się szybko i ukradkiem tatkiem wypełnionym kontrabandą. Dla takiej obliczonej tylko na | misji nasza dziwna, samotna kolonia niegodziwców stanowi za-10 szansę, jak i groźbę.

tuszą wiedzieć, że znamy Jijo z pierwszej ręki, co mogą obrócić na t korzyść.

estety, moje pierścienie. Czyż nie jesteśmy także potencjalnymi Icami ich łotrostwa?

Sara

: nie spodziewał się zasadzki.

) to idealne miejsce, by ją urządzić. Mimo to nikt na pokładzie -woa" nie miał żadnego pojęcia o zagrażającym niebezpieczeń-Ski się nie ujawniło.

Stulecie pokoju zamazało granice zazdrośnie ongiś strzeżonych dziedzin. Uryjscy i g'Keccy osadnicy byli na tym terenie rzadkością, ponieważ ci pierwsi nie mogli wychowywać młodych w pobliżu wody, a drudzy woleli równy teren. Mimo to, gdy "Hauph-woa" przemknął obok maleńkiego portu, można w nim było dostrzec przedstawicieli wszystkich typów, gorąco pragnących uzyskać dostęp do skąpych wieści.

Niestety od chwili, gdy na niebie pojawił się straszliwy spektakl, z dołu rzeki nie nadeszły żadne wiadomości.

Na ogół mieszkańcy nadrzecznych osad reagowali w sposób konstruktywny. Pośpiesznie wzmacniali osłony przed budynkami, czyścili przegrody kominów bądź przenosili łodzie w osłonięte miejsca. Pewne osamotnione plemię mieszkających na bagnach trackich posunęło się jednak znacznie dalej. W porywie strachu i wierności zwojom spaliło całą wzniesioną na palach wioskę. Szczytowy węzeł Pzory zadrżał, poczuwszy aromat zrozpaczonych stosów pierścieni brnących przez popioły. Kapitan "Hauph-woa" obiecał, że przekaże wiadomość o ich ciężkim położeniu. Być może inni tracki przyślą nowe segmenty pod-stawne dla tubylców, co uczyni ich bardziej zdatnymi do ewakuacji w głąb lądu. W najgorszym razie mieszkańcy bagien zgromadzą sterty gnijącej materii organicznej, ustawią się na nich i wyłączą wyższe funkcje aż do chwili, gdy świat stanie się mniej przerażającym miejscem.

Nie można było na to liczyć w przypadku uryjskiej karawany handlowej, którą minęli później. Została ona odcięta wraz ze zwierzętami jucznymi na niegościnnym zachodnim brzegu, gdy ogarnięci paniką obywatele wioski Bing wysadzili w powietrze swój ukochany most.

Załoga hoońskiego statku zawróciła w panicznym pośpiechu, wiosłując pod prąd, by umknąć ugrzęźnięcia w płataninie połamanych belek i lin z mierzwowego włókna -pogruchotanych resztek pięknego mostu, który stanowił główne przejście przez rzekę dla całego regionu. Konstrukcja była

cudem zmyślnego kamuflażu. Przypominała bezładny zator z kłód. Najwyraźniej jednak nie wystarczało to miejscowym fanatycznym wyznawcom zwojów.

Może palili go, gdy w nocy dręczył mnie ten koszmar – pomyślała Sara, spoglądając na zwęglone belki i wspominając obrazy płomieni, które zmały jej sen.

Na wschodnim brzegu zgromadził się tłum wieśniaków, wzywających gestami "Hauph-woa" do podpłynięcia bliżej.

m

Pierwszy odezwał się Brzeszczot.

– Ja bym się nie zbliżał – syknął niebieski qheuen z kilku otworów ;owych. Spoglądając na stojących na brzegu, założył na taśmę widzą-
-ewqa.

– Dlaczego nie? – zapytał Jop. – Widzisz? Wskazują nam drogę walającą ominąć szczątki. Może mają też jakieś wieści. Rzeczywiście wyglądało na to, że blisko brzegu znajduje się kanał zatarasowany pozostałościami zniszczonego mostu.

– No, nie wiem – ciągnął Brzeszczot. – Wyczuwam, że... coś ; nie w porządku.

– Nasz rację – dodała Ulgor. – Chciaławyn wiedzieć, dlaczego nie zrowili dla odciętej karawany. Wieśniacy nają łodzie. Nogli do o czasu frzewieźć ursy na drugi wrzeg.

Sara zastanowiła się nad tym. Przeprowa w małej łódce, gdy lodo-
ta woda pluskała na odległość wyciągniętej ręki, z pewnością nie aby dla żadnej z przedstawiolek gatunku Ulgor niczym przyje-
ym.

– Mogły odmówić – zasugerowała. – Może nie są jeszcze aż tak operowane.

Kapitan podjął decyzję. "Hauph-woa" zwrócił się w stronę wioski. y się zbliżali, Sara zauważyła, że jedyną nietkniętą konstrukcją była nuflująca kratownica. Wszystko inne leżało w gruzach. Zapewne wysłali swe rodziny do lasu – pomyślała. Było tam tóstwo drzew gam, na których mogli żyć ludzie, natomiast qheueńscy ywatele zdołali być może dołączyć do swych kuzynów mieszkających górze rzeki. Mimo to zburzona wioska stanowiła przygnębiający dok.

Sara zadumała się nad tym, jak dalece pogorszyłaby się sytuacja, yby Jop zrealizował kiedyś swe zamiary. Jeśliby wysadzono tamę do, wszystkie mijane po drodze nabrzeża, jazy i chaty znajdujące się niżej poziomu napływającej wody zostałyby zmiecione. Miejscowe korzenia również by ucierpiały, choć być może nie więcej niż podczas turalnej powodzi.

i Lark twierdzi, że liczy się gatunek, a nie poszczególne osobniki. |dna nisza ekologiczna nie byłaby zagrożona, gdybyśmy zniszczyli ize małe drewniane budowle. Jijo nie poniosłaby szkody. Niemniej całe to palenie i burzenie po to tylko, by przekonać parę

galaktycznych szych, że posunęliśmy się na Ścieżce Odkupienia dalej niż w rzeczywistości, wydaje się wątpliwym przedsięwzięciem.

Brzeszczot zbliżył się do niej bokiem. Z jego niebieskiej skorupy buchała para. To rosa ułatwiała się ze szczelin w jego skorupie, co stanowiło jednoznaczny znak zaniepokojenia. Kołysał się w skomplikowanym rytmie na swych pięciu pokrytych chityną nogach.

– Saro, czy masz rewqa? Mogłabyś go założyć i sprawdzić, czy się nie mylę?

– Przykro mi, ale pozbyłam się go. Wszystkie te kolory i nagie emocje przeszkadzają w koncentrowaniu się na języku.

Nie dodała, że noszenie rewqów stało się dla niej bolesne od chwili, gdy popełniła ten błąd, że

spokój.

Nagle, w jednej chwili, coś szarpnęło pokładem w miejscu gdzie stała Sara. Cały statek zdrzął niespodziewanie i obrócił się, całkiem jakby środkowy maszt stanowił jego oś.

– Zahaczyli ster! – krzyknął ktoś.

Sara spojrzała za rufę i dostrzegła potężny metalowy wąż haka, który przebił wielkie, osadzone na zawiasach wiosło używane do sterowania statkiem. Nie można go było wyrzucić na pokład czy odrąbać bez okaleczenia "Hauph-woa", który pozbawiony go dryfowałby bezradnie.

Priety obnażyła zęby i wrzasnęła. Choć mała mała drżała ze strachu, zaczęła się wspinać na reling, dopóki Sara nie powstrzymała jej stanowczym gestem.

– To robota dla mnie – stwierdziła zwięźle. Bez chwili zwłoki zrzuciła z siebie bluzę i spódniczkę. Jeden z marynarzy wręczył jej toporek z rzemieniem przeciągniętym przez trzonek.

Tylko żeby wszyscy naraz nie zaczęli próbować odwieść mnie od tego – pomyślała z ironią, wiedząc, że nikt tego nie robi.

Niektóre rzeczy były po prostu oczywiste.

Przewiesiła sobie toporek przez ramię. Chłodny metal, co wcale nie było przyjemne, głaskał jej lewą pierś podczas wspinaczki, mimo że ostrze wciąż skrywała skórzana osłona.

Ubranie byłoby tylko zawadą. Musiała mieć bosc nogi, by znaleźć na rufie "Hauph-woa" oparcie dla stóp. Poszycie statku było zakładkowe, deski zachodziły więc na siebie, co pomagało jej nieco. Mimo to nie mogła powstrzymać drżenia w połowie wywołanego porannym chłodem, a w połowie strachem. Spocone dłonie powodowały, że zadanie było dwukrotnie trudniejsze, mimo że usta miała suche jak uryjski oddech.

Od lat na nic się nie wspinałam!

Nieludziom musiało się wydawać, że dla ziemskiego drzewołaza to spacer. To całkiem tak, jak przypuszczać, że każda ursa musi być kurierką albo że wszyscy tracki potrafią robić dobre martini. W gruncie rzeczy, najlepszy do tego zadania był Jop, ale kapitan nie ufał mu i to nie bez powodu.

Załoga pokrzykiwała niespokojnie, by dodać jej odwagi, gdy zlązła w dół po rufie, trzymając się steru jednym ramieniem. W tej samej chwili z łódek i z brzegu rozległy się pogardliwe urągania.

Świetnie. Nigdy w życiu nie przyciągnęłam tyle uwagi, co teraz, gdy iem zupełnie naga.

Mierzwowa lina jęknęła pod wpływem napięcia, gdy wieśniacy częli ciągnąć za wielokrążki, by doholować "Hauph-woa" do brzegu. Izie stało kilku szarych qheuenów trzymających pochodnie, które ajaczyły tak przerażająco blisko, że Sarze wydawało się, iż słyszy omienie. Wreszcie dotarła do miejsca, gdzie mogła znaleźć oparcie a stóp i dłoni – ustawiając nogi w sposób, który na dobre zniszczył szelkie złudzenia co do jej skromności. Osłonę z toporka musiała rwać zębami. Poczwała gorzki, elektryczny posmak czerwonego etalu. Zadrzała od tego, po czym napięła mięśnie, gdy omal nie raciła uchwytu. Spieniony ślad statku wydawał się oleisty i przejmucio zimny.

Drwiny stały się głośniejsze, gdy zaczęła rąbać pióro steru, aż zazgi poleciały w powietrze. Zamierzała wyciąć półkole wokół wbi-go głęboko haka. Wkrótce skończyła ryc nad nim i przeszła do trudniejszej roboty od dołu. Wtem coś uderzyło ją w grzbiet lewej dłoni. t górę ręki przebiegły pulsujące fale bólu. Zobaczyła krew wypływającą wokół drzazgi wbitej w okolicy nadgarstka. Z pobliskiej deski sterczał wbity do połowy pocisk z procy. Drugi ześliznął się po sterze, odbił rykoszetem od rufy, a potem okrotnie od powierzchni wody. Ktoś do niej strzelał! Wy dzikijscy, zasmarkani, wyrodzeni...

okryła w sobie nieznane dotąd zdolności, gdy bluznęła stekiem leństw w pięciu różnych językach, waląc jednocześnie toporkiem owniej niż dotąd. O kadłub uderzał teraz nieprzerwany deszcz 'ków, lecz Sara ignorowała je, owładnięta pasją i wściekłością. Otszharsiya, perkiye! Syookai dreesoona!

brakło jej nieprzyzwoitych słów wywodzących się z rossicu. [a sięgać do zasobów uryjskiego drugiego galaktycznego, gdy pękła nagle z głośnym trzaskiem. Przytwierdzona do niej lina a, szarpiąc mocno za hak... i umęczone drewno ustąpiło.

Wyrwany hak wyszarpnął jej siekierkę z dłoni, lśniąc w blasku. Sara straciła równowagę. Usiłowała złapać się steru, choć ręce śliskie od potu i krwi. Westchnęła, czując, że drewno jej się wyslizguje. Wzięła głęboki oddech, lecz Roney uderzyła ją niczym lodowaty młot, wypychając jej, zdumionej, powietrze z płuc.

Sara usiłowała najpierw z wysiłkiem dotrzeć do powierzchni, potem płynąć w pozycji pionowej, by pryskając śliną zaczerpnąć kilka głębokich oddechów, a wreszcie uniknąć zaplątania we wszystkie rozciągnięte na wodzie liny. Lśniący hak przemknął zatrważająco blisko od jej twarzy. W kilka chwil później musiała zanurkować, by wyminąć splot sznurów, w którym mogłaby ugrzęznąć.

Skalę trudności zwiększał burzliwy ślad torowy statku. "Hauph--woa" wykorzystywał szansę ucieczki.

Czuła ból w piersi, gdy ponownie wynurzyła się na powierzchnię, by znaleźć się twarzą w twarz z chudym młodzieńcem wspartym o burtę łódki, który w jednej ręce trzymał procę. Gdy ich oczy się spotkały, zaskoczenie sprawiło, że zatoczył się do tyłu. Potem opuścił wzrok i zauważył jej nagość.

Zaczerwienił się. Odłożył pośpiesznie broń i zaczął ściągać z siebie kurtkę. Niewątpliwie chciał dać ją Sarze.

– Dziękuję... – wy dyszała. – Ale muszę... już płynąć.

Gdy oddalając się, po raz ostatni spojrzęła na młodego wieśniaka, zobaczyła jego twarz pełną przygnębienia i rozczarowania.

Jest za wcześnie, by stał się zatwardziałym piratem – pomyślała. Nowy, okrutny świat nie zniszczył jeszcze resztek ogłady.

Ale dajmy mu czas.

Prąd rzeki popychał ją teraz naprzód. Wkrótce dostrzegła przed sobą "Hauph-woa". Załoga zawróciła statek i wiosłowała tak, by zatrzymać go w miejscu, skoro znaleźli się już w bezpiecznej odległości od Bing. Mimo to musiała się mocno namęczyć, by dotrzeć wreszcie do kadłuba i wspiać się po drabince sznurowej. Dotarła tylko do jej połowy, gdy złapały ją kurcze i chętni do pomocy marynarze musieli ją wciągnąć na pokład,

1

Muszę nabrać siły, jeśli przygody mają mi wejść w nawyk – pomyślała, gdy ktoś owijał ją kocem.

Mimo to Sara czuła się dziwnie dobrze, gdy Pzora opatrywał jej ranę, a kucharz przygotowywał swą specjalną herbatę. Choć ręka przysparzała

cierpienia, a w całym ciele czuła pulsujący ból, ogarnęło ją jakieś iwne ciepło.

Podjęłam decyzje i okazały się one trafne. Rok temu wydawało się, każdy wybór, jakiego dokonuję, jest błędny. Może teraz to się leniło.

Otulając się szczelnie kocem, Sara przyglądała się, jak "Hauph-woa" wrócił i popłynął z wysiłkiem pod prąd wzdłuż zachodniego brzegu aż »miejsca, w którym mogli zabrać na pokład odciętą karawanę, pragnąc zewieźć ursy i ich zwierzęta wystarczająco daleko, by nie musiały się awiać miejscowych fanatyków. Spokojna współpraca pasażerów i łośki była tak podnoszącym na duchu widokiem, że poprawiło to jej orale w "wielkich" sprawach w niemal takim samym stopniu, jak krótka alka wzmocniła coś innego wewnątrz jej jaźni.

Moją wiarę w siebie – pomyślała. Nie sądziłam, że potrafię sobie wadzić z takimi rzeczami. Może jednak ojciec miał rację.

Zbyt długo przebywałam w tym nieszczęsnym domku na drzewie.

Asx

Wkrótce po przemowie Vubbena wejście otworzyło się i ze statku lonoło się jeszcze kilka unoszących się w powietrzu maszyn, które rzcwały niepokojąco. Każda z nich zamierała na moment po dotarciu szeregu gapiów stojących wzdłuż brzegu doliny. Przez kilka chwil watele Wspólnoty nie ustępowali pola, choć drżały im nogi, koła erścienie. Następnie roboty zawróciły i pomknęły w cztery strony Ita, zostawiając za sobą cyklony zgniecionej trawy. – Sondy badawcze – one podejmą swe obowiązki – wyjaśnił wszy wysłannik, brzęcząc i mlaskając pedantycznie w formalnej iji drugiego galaktycznego. – (Wstępne) analizy – te surogaty łrowadzą. Tymczasem, z myślą zarówno o zysku, jak i o ratunku – wwy twarzą w twarz podejmiemy.

'e słowa wywołały poruszenie. Czy dobrze zrozumieliśmy? Nasze ty uległy zmianom od chwili, gdy się wyrodziliśmy. Czy sformu-ie "twarzą w twarz" miało oznaczać to, co nam się zdawało? dole włącz statku zaczął się otwierać raz jeszcze.

– To złe wieści – stwierdził mrukliwie Lester Cambel. – Jeśli są gotowi pozwolić, byśmy ujrzeli ich osobiście, to znaczy...

– ...że nie obawiają się, iż po ich odlocie pozostanie ktoś, kto mógłby opowiedzieć czyją twarz widział – dokończyła Lśniąca Jak Nóż Wnikliwość.

Nasz hooński brat, Phwhoon-dau, zgadzał się z tą ponurą diagnozą. Jego wiekowy worek rezonansowy pociemniał pod wpływem posepnych myśli.

– Ich pewność siebie jest rażąca, odbierająca odwagę. Hrrrhrm. Tak samo jak ich pośpiech.

Vubben zwrócił jedną z szypułek ku mojemu-naszemu pierścieniowi sensorycznemu i mrugnął powieką – efektywny gest ludzkiego pochodzenia wyrażający ironię. Wśród Sześciu, my, tracki, oraz g'Ke-kowie musimy wlec się niczym inwalidzi po tym masywnym świecie, podczas gdy hoonowie kroczą po nim z pełną gracji siłą. Mimo to te ponure, blade olbrzymy twierdzą, że reszta z nas wydaje się im równie szalona i dzika.

W mrocznej śluzie poruszyła się jakaś postać, czy raczej dwie postacie. Naprzód ruszyła para dwunożnych kształtów. A więc poruszali się na nogach. Byli szczupli, dość wysocy i mieli patykowate kończyny. Okrywały ich luźno udrapowane szaty, które zakrywały wszystko poza dłońmi i głowami. Wyszli w popołudniowe światło i podnieśli ku nam wzrok.

Wśród członków Wspólnoty rozległo się ciche westchnienie szoku i rozpoznania.

Czy był to znak nadziei? Jaki niewiarygodnie nieprawdopodobny traf zrządził, że spośród niezliczonych gatunków kosmicznych wędrowców tworzących Cywilizację Pięciu Galaktyk naszymi odkrywcami okazali się kuzyni? Że załoga tego statku okazała się kogenetyczna z jednym z Sześciu? Czy było to dzieło naszej kapryśnej bogini, której szczęście sprzyja temu, co nienormalne i dziwne?

– Luuudzieeee... – wymówiła z przydechem w anglicu, rodzimym! języku naszego najmłodszego szczepu, Ur-Jah, najstarsza z naszych) mędrców,

Od strony Lestera Cambela dobiegł dźwięk, którego ja" nigdy dotąd nie słyszałem, którego znaczenia te pierścienie nie mogły wówczas

yfrować. Dopiero później je zrozumieliśmy i poznaliśmy właściwą we.

To była rozpacz.

Dwer

Rety prowadziła idącą gęsiego grupkę ścieżką, która biegła teraz po rokiej półce z litej skały, zbyt twardej, by busy wielkie mogły uścić w niej korzenie. Wypiętrzony skośnie granitowy występ od-elał od siebie dwie szerokie wypustki trzciniowego lasu, który -jak sdział Dwer – ciągnął się na odległość setek strzałów z łuku we systkich kierunkach. Choć skalny szlak podążał wzdłuż grani, busy obu

stronach wyrastały tak wysoko, że poza kołyszącym się oce-m gigantycznych łądyg dostrzec można było jedynie najwynioślejsze-tumie.

Dziewczyna nie przestawała spoglądać to w lewo, to w prawo, jakby goś szukała. Jakby gwałtownie pragnęła coś odnaleźć i nie chciała ez nieuwagę tego przeoczyć. Gdy jednak Dwer spróbował ją o to >ytać, jedyną odpowiedzią było milczenie. Będiesz musiał na nią uważać – pomyślał. Przez całe życie zbie-i cięgi, aż stała się nastroszona niczym zajęć z kolcami. Rozumienie ludzi nie było jego silną stroną, ale mieszkaniec lasu korzysta z empatii, by pojąć proste potrzeby oraz gwałtowne myśli kich stworzeń.

Dziki stworzenia wiedzą, co to ból. Cóż, za dzień czy dwa przestanie być moim zmartwieniem. Mędracy [ją specjalistów, uzdrowicieli. Jeśli spróbuję ingerować, mogą tylko gorszyć sytuację.

Kamienna półka zwężała się stopniowo, aż wreszcie ścieżka stała się iskim korytarzem wiodącym między zwartymi szeregami strzelistych, łmjałych busów. Każda łądyga miała teraz ponad dwadzieścia me-W wysokości i dorównywała grubością kilku ludziom. Olbrzymie tonę pędy rosły tak blisko siebie, że nawet Skarpetce trudno byłoby puścić się daleko w gąszcz bez przeciskania się między potężnymi lami. W miarę jak ścieżka się zwężała, pas nieba nad ich głowami (wał się coraz cieńszy, aż wreszcie przerodził się we wstążkę błękitu.

Gdzieniedzie rozłożywszy ramiona, Dwer mógł dotknąć wielkich cylindrów po obu stronach.

Ciasnota dziwnie wpływała na perspektywę. Wyobraził sobie dwie olbrzymie ściany gotowe w każdej chwili ścieśnić się i zmiażdżyć ich maleńką grupkę tak, jak młot roztwarzający Nela miażdżył szmaty.

To dziwne. Ten odcinek trasy wcale nie wydawał mu się tak niesamowity, gdy dwa dni temu wędrował tędy w górę. Wąskie przejście sprawiało na nim wówczas wrażenie kanału prowadzącego go szybko ku ściganej zwierzynie. Teraz było ciasną bruzdą, potrzaskiem. Czuł w piersi nasilający się ucisk.

Co będzie, jeśli gdzieś przed nami coś się wydarzyło? Ziemia się obsunęła i zablokowała nam drogę. Albo wybuchł pożar. Jakąż pułapką mogłaby się stać ta ścieżka!

Wąchał podejrzliwie, lecz wyczuł tylko żywiczny odór zieleni pochodzący od busów. Oczywiście w przeciwnej stronie, pod wiatr, mogło się dziać wszystko i nie dowiedziałby się o tym, dopóki...

Przestań! Wyrwij się z tego stanu. Co cię ugryzło?

To przez nią – pojął nagle. Czujesz się źle, bo uważa cię za sukinsyna.

Potrząsnął głową.

A czy nie ma racji? Pozwalasz, żeby myślała, że mogą ją powiesić, podczas gdy z łatwością mógłbyś powiedzieć...

Niby co? Okłamać ją? Nie mogę obiecać, że do tego nie dojdzie. Prawo jest okrutne, ponieważ musi takie być. Mędracy mogą okazać litość. To jest dozwolone. Kim jednak jestem, by obiecać to w ich imieniu?

Przypomniał sobie opowieść swego dawnego mistrza o tym, jak poprzednim razem wykryto liczną bandę przedterminowych osadników, w czasach, kiedy stary Fallon był jeszcze uczniem. Przestępców odnaleziono na odległym archipelagu, położonym daleko na pomoc. Pewna hoonka – jedna z nawodnych podróżników, których zadaniem było patrolowanie morza w taki sam sposób, jak ludzie myśliwi wędrowali po lasach, a zamieszkujące równiny ursy przemierzały stepy – natknęła się na sporą gromadkę swych pobratymców mieszkających wśród lodowej kry, którzy utrzymywali się przy życiu w ten sposób, że odnajdywali jaskinie pogrążonych w zimowym śnie rouoli i przeszywali włóczniami uspięne, pękate zwierzęta. Każdego lata plemię renegatów wracało na brzeg i podpałało równinną tundrę, wywołując panikę wśród stad kud-

ch, długopalczastych galeaterów. Stracali z urwisk setki sztuk przemyślanych kopytnych po to tylko, by upolować kilka z nich.

Ghahen, nawodną podróżniczkę, przyciągnął dym towarzyszący

•owemu zabijaniu. Wkrótce zaczęła rozprawiać się ze zbrodniarzami nodłę swych współplemieńców. Cierpliwa ponad ludzkie pojęcie,)dna w sposób, o którym opowieść wywoływała u Dwera koszmary, więciała cały rok na to, by wyłować bandę, jednego za drugim, boleśnie konfiskując każdemu z jej członków jego cenną kość życia, wężście pozostał tylko jeden, stary hoon, którego pojmała i sprowa-a do domu, by złożył zeznania. Transportowała zrozpaczonego jeńca zią, w której usypała wysoki stos z piątych kręgów wszystkich jego wnych. Gdy ów ostatni morski przedterminowy osadnik wyrecyto-: już swą historię – jękliwy lament ciągnący się przez czternaście

• hoonowie stracili go, by zmasać swą hańbę. Wszystkie skonfi-wane kręgi zmielono na proszek i rozsypano na pustym, daleko od relkich zbiorników wodnych.

Posępne wspomnienie tej opowieści nappełniło serce Dwera ołowia-Q ciężarem niepokoju.

Oszczędź mi, proszę, tego, by kazano mi zrobić to, co Ghahen. Nie rafiłbym. Nawet gdyby wszyscy mędrscy wydali taki rozkaz. Gdyby

•k powiedział, że zależy od tego los całej Jijo. Musi istnieć lepszy >sób.

W tej samej chwili, gdy wydawało się, że skalna półka zniknie atecznie, pozwalając rozdzielonym połaciom busów połączyć się ikwidować ścieżkę, nagle otworzyła się przed nimi polana. Mające mai tysiąc metrów średnicy wgłębienie o kształcie misy z pokrytym suchem alg jeziorem na środku i wąskim wylotem na drugim końcu. wnątrzną krawędź krateru porastały busy wielkie. Ze szczelin mię-f wy szczerbionymi głazami zalegającymi bezładnie milczącą górską linię wyrastały wrzecionowate kępy czepnych roślin. Wzdłuż brzegu iora rósł gęsty żywopłot wyglądający z oddali jak wybująły mech, tórego sterczały niezliczone kręte wici. Wiele z nich było złamanymi lakami. Nawet z miejsca, w którym stał Dwer, można było dostrzec i,wpół zagrzebane w ziemi lepkie włókna dorównujące niekiedy łbościąajego nodze.

^Ze spokojem i ciszą klóciło się wrażenie niesamowitej martwoty. Na

ziemi nie widziało się odcisków stóp, a jedynie ślady pozostawione przez wiatr i deszcz. Dzięki swym poprzednim wizytom Dwer wiedział, dlaczego roztropne stworzenia unikały tego miejsca. Niemniej jednak po dławiającej ciasnocie ścieżki, która przypominała tunel, dobrze było ponownie ujrzeć niebo. Dwer nigdy nie podzielał powszechnej obawy przed chodzeniem po otwartym terenie, nawet jeśli znaczyło to, że musiał przez pewien czas znosić palące promienie słońca.

Gdy precisnęli się już między pierwszymi głazami, glawerzyca zaczęła kwilić nerwowo i skradać się obok Rety, by skryć się w jej cieniu. Dziewczyna gorączkowo wodziła wzrokiem. Zdawała się nie zauważać, że zboczyła ze ścieżki i idzie w kierunku, który wiódł nad sam brzeg jeziora.

Dwer wydłużył krok, by ją dogonić.

– Nie tędy – powiedział, potrząsając głową.

– Dlaczego nie? Wybieramy się tam, zgadza się? – Wskazała na drugą przerwę w busowej ścianie, gdzie wąski, pienisty strumyk sączył się przez wylot doliny. – Najkrótsza droga biegnie obok jeziora. Wygląda też na najłatwiejszą, z wyjątkiem kawałka tuż przy brzegu.

Dwer wskazał ręką na pozostałości złożonej z brunatnych sznurów pajęczyny rozpiętej na pobliskich wyszczerbionych głazach.

– To są... – zaczął.

– Wiem, co to jest – skrzywiła twarz. – No wiesz, Buyurzy nie mieszkali tylko na Stoku, nawet jeśli wy, zachodniacy, myślicie , że to po prostu najlepsze miejsce do życia. Za górami też mamy

mierzwopa-jaki, które zjadają stare buyurskie ruiny. A zresztą, czego się boisz? Chyba nie myślisz, że ten tutaj jeszcze żyje?

Kopnęła jedno z wysuszonych pnączy, które rozsypało się w pył.

Dwer zapanował nad sobą.

To dlatego, że jest na wszystkich zła. Jej krewni musieli być dla niej okropni.

– Nie myślę, że żyje. Wiem to. Co więcej, ten pajak jest obłąkany. Pierwszą reakcją Rety było uniesienie brwi w wyrazie pełnej zaskoczenia fascynacji. Pochyliła się ku niemu i zapytała ściszym głosem:

– Naprawdę? – Potem zachichotała i Dwer zdał sobie sprawę, że to sarkazm. – I co robi?

Zastawia lepkie pułapki wypełnione jagodowym cukrem i słodkim garem, żeby złapać małe dziewczynki, gdy są niegrzeczne?

Dwer zapomniał języka w gębie.

– Chyba można by to tak określić – mruknął wreszcie. Tym razem oczy Rety były pełne autentycznej ciekawości.

– Muszę to zobaczyć!

Szarpnęła nagle za linę, która opasywała jej talię. Imponujący z wylu węzeł rozpadł się. Pognąła przed siebie, omijając kilka strzelistych 'ów. Piszczący radośnie noor pognął za nią wielkimi susami, niezwykle podniecony.

– Zaczekaj! – krzyknął Dwer nadaremnie, gdyż nie było sensu jej ;ać przez labirynt kamieni. Wdrapał się na pobliskie osypisko skal-o gruzu i zdołał dostrzec jej krzywo obcięty koński ogon, który skakiwał, gdy dziewczyna biegła w stronę miejsca, gdzie skalne [y stykały się ze sobą, tworząc labirynt zwalonych głazów otaczający ;g jeziora.

– Rety! – Jego krzyk poniósł się na wietrze. – Nie dotykaj... Przestał zdzierać sobie płuca. Ta sama bryza, która pchała mu stęchły »r jeziora prosto w twarz, uniosła jego słowa, nim zdążyły dotrzeć do u dziewczyny. Dwer ześliznął się z powrotem na ścieżkę, po to tylko, zdać sobie sprawę z jeszcze jednej komplikacji: Do licha! Nawet werzyca zniknęła!

Zdołał ją odnaleźć w odległości połowy strzału z łuku w górę zbocza. ;ła z powrotem w kierunku, z którego przybyli, gnana tajemniczym tynkiem, który niekiedy nakazywał członkom jej gatunku wędrować ircie na wschód, porzucać wygodę i opiekę na rzecz niemal pewnej ierci. Mrucząc gniewnie, Dwer złapał za postronek samicy i poszukał goś, czegokolwiek, do czego mógłby ją przywiązać. Najbliższy gaj ykowatych busów leżał jednak zbyt daleko. Zdjął plecak i wydobyl jego kawałek sznura.

– Przepraszam cię za to – powiedział, przerzucając sobie gławe-cę przez biodro. Ignorując mrukliwe skargi zwierzęcia, spętał mu ae nogi w nadziei, że nie dosięgnie sznura zębami.

– Ból, frustracja, obie te rzeczy dość nudne są.

– Przepraszam. Zaraz wrócę – odpowiedział chcąc dodać jej chy, po czym ruszył w pogoń za młodą przedstawicielką nielegal-ch osadników.

"Trzymaj się wyżej i pod wiatr od niej – pomyślał kierując się Wawo od miejsca, ku któremu zmierzała, gdy widział ją po raz ostatni.

To może być tylko sztuczka. Niewykluczone, że chce zatoczyć krąg i zawrócić do domu.

W chwilę później złapał się na tym, że odruchowo przygotował do użycia kuszę, nastawiając cięciwę na strzał z bliska, a także zwolnił zacisk zabezpieczający krótkie, grube bełty ukryte w kołczanie przytroczonym do uda.

Co pomogą bełty, jeśli rozgniewa pajaka?

Albo jeszcze gorzej, przyciągnie jego zainteresowanie?

Bliżej brzegu doliny wiele kamieni zachowało swój pierwotny wygląd – elementów jakiejś buyurskiej budowli, która ongiś wznosiła się dumnie w tym miejscu, lecz w miarę jak Dwer pędził ku środkowi, wszelkie podobieństwo do murów znikło. Głazy zdobiły girlandy lepkich sznurów. Większość wyglądała na całkiem martwe – szare, wyschłe i złuszczone. Wkrótce jednak w oko wpadła mu zielonkawa smuga w jednym miejscu... a w innym witka, z której na kamienną powierzchnię skapywał śluz pomagający naturze w powolnym wymazywaniu wszelkich śladów dawnej, prostej jak wykrojona skalpelem, gładkości.

Nagle po plecach przebiegły mu ciarki. Dostrzegł ślad ruchu. Ułożone w zwoje pasma zostały wyrwane ze snu przez jakieś niedawne zakłócenie.

Rety.

Brnął przez coraz gęstszy labirynt, przeskakując kleiste przeszkody, prześlizgując się pod innymi, a dwukrotnie zawracając z przekleństwem na ustach, gdy znalazł się w niemożliwych do sforsowania ślepych uliczkach. Tutejsze buyurskie ruiny były nieporównanie mniejsze od tych, które leżały na pomocny wschód od Dolo, gdzie wszyscy miejscowi obywatele sumiennie uczestniczyli w poszukiwaniach przedmiotów przeoczonych przez pajęczego dekonstruktora. Dwer często brał w tym udział, razem z Larkiem albo Sarą. Tamten pajak był bardziej żywy i pełen wigoru niż ten złośliwy staruch, lecz zarazem nieporównanie mniej niebezpieczny.

Płatanina jasnych lin wkrótce stała się zbyt gęsta, by mogła się przez nią przecisnąć dorosła osoba, choć dziewczyna i noor mogli się tamtędy przedostać. Sfrustrowany Dwer obrócił się błyskawicznie. Walnął ręką w zaokrągloną skalną wyniosłość.

– Smarki Imi! – Pomachał bolącą dłonią. – Ze wszystkich cholernych, diabelnych, dzikijskich...

Zarzucił sobie kuszę na ramię, by mieć obie ręce wolne, po czym zaczął się wdrapywać na wyszczerbioną powierzchnię głazu trzykrotnie 'szego niż on. Nie była to wspinaczka, na którą zdecydowałby się rowolnie, gdyby miał czas na odnalezienie lepszej trasy, lecz serce io mu się w piersiach i przynaglało do pośpiechu.

Drobne lawiny zerodowanej skały sypały mu się na włosy i za aierz. Czuł w nosie zapach kurzu, rozkładu i starości. Złuszczone pnącza i zeschnięte witki kusily, żeby się za nie schwycić, lecz starał się górować. Skała była solidniejsza, choć nie zawsze tak godna zaufa-, jak mogło się zdawać.

W chwili, gdy wymacał wąską szczelinę, poczuł, że kamienna po-rzchnia pod jego lewą stopą zaczęła się kruszyć. Był zmuszony mierzyć cały swój ciężar jednej z pobliskich mierzwowych lin.

Pnącze ostrzegło go głośnym traskiem na krótką chwilę przed tym, i się ześliznęło. Dwer westchnął głośno. Zawisł całym ciężarem na łych koniuszkach palców. Walnął tułowiem w kamienną ścianę, bijając sobie powietrze z płuc.

Jego wierzgające w powietrzu nogi natrafiły na kolejne pasmo, usze od poprzedniego, na kilka sekund przed tym, nim lina zdążyła się wysunąć z rąk. Nie mając wyboru, Dwer użył go jako trampoliny. rócił się wkoło i odbił w lewo. Prawą stopą wylądował na wąskiej ce i zaczął gorączkowo macać po pionowej niemal powierzchni, nim ;ście znalazł pewny uchwyt. Zamrugął, by usunąć pył z oczu, ietchnął głęboko. Po chwili poczuł, że może bezpiecznie wznowić pinaczkę.

Kilka ostatnich metrów było mniej stromych, lecz od czasów, gdy bnaące pnącza gład tu przywlokły, a potem pozostawiły, jego powie-hnię wygładziły niezliczone burze. Wreszcie Dwer zdołał uklęknąć wjrzyć przed siebie, ku pobliskiemu brzegowi.

To, co z oddali wydawało się jednorodnym żywopłotem otaczającym »g jeziora, było teraz gęstą płataniną pnączy od równych wysokością ćwiekowi, do kilkakrotnie wyższych. Tak blisko wody szara bladeść ustąpiła miejsca smugom zieleni, żółci, a nawet krwawej czerwieni. Bwnątrz

gmatwaniny dostrzegął przebłyski innych jeszcze kolorów iących w snopach słonecznego światła.

' Za ciernistą barierą leżał pokryty pianą staw, który zdawał się jakby !»metryczną figurą. Był płynny, a zarazem niesamowicie pofałdowa-

I

127

ny. Niektóre jego fragmenty sprawiały wrażenie pulsujących tajemniczym rytmem, czy może zastarzałym gniewem.

Jedyny W Swoim Rodzaju – pomyślał. Nie chciał właściwie wzywać tego imienia, ale nie był w stanie się oprzeć. Odwrócił wzrok, poszukując Rety. Nie zrób jej krzywdy. Jedyny W Swoim Rodzaju. To tylko dziecko.

Nie miał ochoty rozmawiać z mierzwopajakiem. Miał nadzieję, że jest on uśpiony, tak jak wtedy, gdy jezioro było tylko nieszkodliwą rysą w pokrytym śniegiem zimowym krajobrazie. Albo może spotkał wreszcie swój kres. Z pewnością dawno już powinien być martwy. Wydawało się, że utrzymuje go przy życiu jedynie jego makabryczne hobby.

Zadrzał, gdy ciarki przebiegły mu w górę szyi.

{Łowco. Towarzyszu w poszukiwaniach. Samotniku. Jak to dobrze, że mnie pozdrowiłeś. Wyczułem, że kilka dni temu przechodziłeś w pobliżu, zajęty pośpiesznym pościgiem. Dlaczego nie zatrzymałeś się, żeby powiedzieć "cześć" ?

Czy znalazłeś to, czego szukałeś?

Czy to jest właśnie to "dziecko", o którym mówisz?

Czy ono różni się od innych ludzi?

Czy jest pod jakimś względem wyjątkowe?}

Poszukując śladów Rety, Dwer starał się ignorować głos. Nie miał pojęcia, dlaczego czasem ucinął sobie pogawędkę z tą akurat żrącą, wysokogórską kałużą. Choć psioniczne uzdolnienia nie były wśród Sześciu czymś nieznanym, zwoje zdecydowanie ostrzegały przed ich wykorzystywaniem. Zresztą większość takich talentów dotyczyła powiązań między bliskimi krewnymi. Był to jeden z powodów, dla których nigdy nikomu nie mówił o tym niesamowitym łączu. Mógł sobie wyobrazić przezwiska, którymi by go obdarzono, gdyby ktoś się o tym dowiedział!

Zresztą to zapewne tylko wytwór wyobraźni. Jakiś dziwaczny efekt samotniczego trybu życia.

Łechzące wrażenie powróciło.

{Czy nadal za to mnie uważasz ? Za wytwór swego umysłu ? Jeśli tak, dlaczego by tego nie sprawdzić? Chodźdo mnie, mój nie zdobyty skarbie. Mój niepowtarzalny cudzie! Chodź do jedyne miejsce w kosmosie, w którym zawsze będziesz ceniony!}

Dwer skrzywił twarz, opierając się hipnotycznemu zewowi regular-

:h zarysów alg. Wciąż poszukiwał Rety wśród skał i gąszczów. ynajmniej jeszcze pajak jej nie schwytał. A może był aż tak okrutny, go zwodził?

Tam! Czy dostrzegł po lewej jakąś iskierkę? Popatrzył na zachód, aniając oczy przed późnopopołudniowym słońcem. Coś zaszeleściło ród zwiniętych w spirale pnączy, nie więcej niż dwanaście metrów w runku jeziora. Kilka kamiennych płyt ukrywało to przed wzrokiem /era, dostrzegął jednak drżenie fragmentu żywopłotu. Przymrużył y. Żałował, że tak nieroztropnie zrzucił plecak, w którym miał xenną lornetkę własnej roboty. To może być pułapka – pomyślał.

{Któż chciałby cię złapać w pułapkę. Wyjątkowy! Podejrzewasz ie? Powiedz, że to nieprawda!}

Wiatr uspokoił się nieco. Dwer otoczył dłońmi usta i zawołał: – ty!

Wśród skał poniosły się dziwaczne echa, lecz pochłoneły je wszędo-Iskie mchy oraz pył. Dwer rozejrzał się wokół w poszukiwaniu innych (żliwości. Mógł ześliznąć się z powrotem na ziemię i

wyrębać sobie) gę do środka za pomocą maczety, którą miał w pochwie na plecach. jednak trwałoby wieczność, a poza tym, jak Jedyny W Swoim •dzaju zareagowałby na odrąbywanie palców? Jediną możliwością było przedostanie się górą. Cofnął się tak daleko, aż jego pięty zawisły nad pustką, po czym ;zerpnął głęboko tchu i pognął naprzód... jeden, dwa, trzy kroki, totem skok – lot ponad dżunglą przeplatających się witek – i lądowanie z głuchym łoskotem na szczycie następnego bloku. Był on stromo chylony, Dwer nie miał więc czasu na odzyskanie równowagi. Musiał pinać się szybko, by wgramolić się na długi, ostry jak nóż grzbiet. mął na nim, rozłożył ramiona i z wielką ostrożnością ruszył naprzód, wiając stopę za stopą. Posuwał się tak chwiejnie przez dziesięć oków, nim dotarł do głazu o bardziej płaskim szczycie. Nozdrza wypełnił mu kwaśny, gryzący odór bijący z jeziora. poblizu było teraz więcej pulsujących żyłkami witek, w których pęły nalewki o drażniącej woni. Okręzał kałuże gorzkiej cieczy terające się w zagłębieniach wytrawionych w skale. Gdy wdepnął tem w jedną z nich, zostawił za sobą delikatny ślad popiołu i woń łącej się skóry.

Po następnym skoku wylądował ciężko na dłoniach i kolanach. – Rety! – zawołał, czołgając się ku krawędzi głazu. Biegająca wzdłuż brzegu bariera była gęstym kłębowiskiem zielonych, czerwonych i żółtych pasm splątanych w irytująco chaotyczny sposób. Wewnątrz tej zwartej masy Dwer dostrzegał jakieś przedmioty. Każdy z nich spoczywał w oddzielnej jamie. Każdy był szczelnie zamknięty, osadzony w osobnym, krystalicznym kokonie.

Przedmioty złote i srebrne. Połyskujące niczym polerowana miedź lub stal. Rury, steroidy i złożone, kanciaste bryły. Przedmioty lśniące nienaturalnymi odcieniami pigmentów lub nanobarwników. Niektóre z nich przypominały widziane przez Dwera obiekty przyniesione z buyurskich ruin przez ekipy poszukiwaczy. Tamte były jednak w stanie rozkładu, zniszczone upływem stuleci. Widoczne tutaj próbki dawnej chwały wyglądały niemal jak nowe. Kokony chroniły je przed czasem i żywiołami niczym owady uwięzione w bursztynie. Dwer wiedział też, że każdy przedmiot jest jedyny w swoim rodzaju.

Nie wszystkie próbki były przedmiotami pozostałymi po Buyurach. Niektóre były ongiś żywe. Małe zwierzęta. Owadopodobne stworzenia. Wszystko, co zanadto się zbliżyło i obudziło w obłąkanym pająku kolekcjonerskie zainteresowania. Wydawało się cudem, że istota oddana dziełu destrukcji – skonstruowana po to, by wydzielać niszczące płyny – mogła również produkować substancje konserwujące. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że chciała to robić.

Szelest rozległ się ponownie, tym razem z lewej strony. Dwer prześliznął się w tamtym kierunku. Obawiał się, że odnajdzie dziewczynę uwięzioną i cierpiącą męki. Albo może jakieś małe stworzenie, którego udrękę będzie musiał skrócić za pomocą kuszy.

Przesunął się chyłkiem naprzód... i wciągnął głośno powietrze. To, co zobaczył uwięzione w gęstym splocie, zaledwie kilka metrów przed sobą, okazało się całkowitą niespodzianką.

Na pierwszy rzut oka przypominało ptaka – jijańskiego typu – z typową szponiastą, szcudłowatą kończyną służącą do lądowania, czterema skrzydłami o szerokich piórach oraz mackoogonem. Dwer jednak spostrzegł, że nie jest to przedstawiciel żadnego znanego mu gatunku ani też żadnego z rodzajów uwzględnionych w tabelach jego brata. Skrzydła stworzenia trzepotały rozpaczliwie, walcząc z otaczającą je siecią lepkich lin. Były połączone stawami w sposób, który wydawał

; Dwerowi nienaturalny. Do tego uderzały z siłą podejrzaną u jakiegokolwiek żywego zwierzęcia tej wielkości.

W kilku miejscach pióra wyrwano lub wypalono. W tych przerwach iver dostrzegał przebliski lśniącego metalu.

Maszyna!

Szok sprawił, że zwolnił osłonę kryjącą jego myśli, pozwalając Aczącemu głosowi, aby rozległ

się znowu.

{W rzeczy samej maszyna. Typu jakiego nigdy dotąd nie posiadałem. pójrz, jeszcze działa! Żyje!}

– Sam to widzę-wymamrotał Dwer.

{A nie wiesz jeszcze nawet połowy. Mam chyba dobry dzień albo coś.}

Dwer nienawidził tego, że mierzwopajak nie tylko zakrada się do wnętrza jego umysłu, lecz w jakiś sposób wykorzystuje to, co tam lajdzie, by budować bezbłędne angielskie zdania, lepiej niż potrafił to i sam, gdyż Jedyny W Swoim Rodzaju nigdy się nie jękał ani nie akowało mu słów. Wydawało mu się to nieznośne, jako że miał do ynienia z istotą bez twarzy, w stronę której można by skierować Ipowieź.

Fałszywy ptak miotał się w więżących go sidłach. Na jego pokrytym órami grzbiecie lśniły czyste, złociste kropelki, które usiłował strząs-tć, zrzucić na bok, zanim zdążą zakrzepnąć w skorupę twardego jak ament konserwującego kryształu.

Co to, może być, na Jijo? – zastanowił się Dwer.

{Liczyłem na to, że teraz, kiedy mam ciebie, poznam odpowiedź.}

Dwer nie był pewien, czy podoba mu się sposób, w jaki sformułował Jedyny W Swoim Rodzaju. Nie miał jednak czasu na przerzucanie się Dwami. Odepchnął na bok litość dla uwięzionego stworzenia. W tej lwili musiał zapobiec temu, by Rety stała się kolejnym unikatowym (zemplarzem w kolekcji mierzwopajaka.

{A więc jest tak, jak podejrzewałem. Mały człowiek jest wyjątkowy!} •r Dwer zdusił głos najlepszą bronią, jaką dysponował – gniewem.

Wynoś się z mojego umysłu!

r Udało się. Poczucie obecności zniknęło. Na razie. Dwer ponownie odniósł głowę i krzyknął: – Rety! Gdzie jesteś! | Odpowiedź nadeszła natychmiast, i, co było zaskakujące, gdzieś bliska.

i

l– Tutaj, durniu. Bądź cicho, bo go spłoszysz!

Obrócił się, starając się patrzeć we wszystkich kierunkach naraz.

– Gdzie? Nie widzę...

– Tuż pod tobą. Zamknij się! Ścigałam go od tygodni! Teraz muszę wykombinować, jak go stąd wydostać.

Dwer prześliznął się kawałek w lewo, by zajrzeć w sieć krzyżujących się ze sobą lin leżących poniżej i zorientował się, że spogląda prosto w czarne, przypominające paciorki oczy uśmiechniętego noora! Skarpetka, wyciągnięty na uspionym pnączu całkiem jakby była to wygodna grzęda, pochylił lekko głowę i popatrzył z ukosa na człowieka. Wtem, bez ostrzeżenia, noor nagle kichnął.

Dwer zatoczył się do tyłu, przeklinając i ocierając twarz. Skarpetka uśmiechnął się z niewinnym zadowoleniem.

– Ciszej, wy dwaj! Chyba już wiem, jak się trochę zbliżyć...

– Nie, Rety. Nie możesz!

Nie zważając na noora, Dwer poczołgał się z powrotem ku krawędzi i wreszcie odnalazł wzrokiem dziewczynę. Była tuż nad ziemią. Przycupnęła nad gigantycznym pnączem i wpatrywała się przymrużonymi oczyma w mroczną płataninę, za którą krył się tajemniczy ptak.

– Dużo czasu potrzebowałeś, żeby mnie dogonić – zauważyła.

– Natknąłem się na... pewne przeszkody – odpowiedział. – Zaczekaj chwilkę, dobra? Jest... parę rzeczy, które powinnaś wiedzieć o... no, o tym mierzwopajaku. – Wskazał ręką na otaczającą ich pogmatwaną siatkę. – Jest bardziej, hmm, niebezpieczny, niż ci się zdaje.

– Hej, już jak byłam mała zapuszczałam się w pajęczyny, – odparła. – Większość jest martwa, ale mamy na wzgórzach kilka wielkich, które wciąż są pełne soku i paskudztwa. Umiem się w nich poruszać.

Przełożyła nogę przez konar i zaczęła się ślizgać naprzód.

– Czy któryś z tych pajaków próbował cię schwycić? – wygadał się ogarnięty paniką Dwer.

Zatrzymała się, ponownie odwróciła w jego stronę i uśmiechnęła głupkowato.

– To właśnie miało znaczyć słowo "obłąkany"? Och, łowco. Masz niezłą wyobraźnię.

Może to i racja – zastanowił się. To mógł być powód, dla którego nigdy nie słyszał, by ktoś inny wdawał się w rozmowy z krzakami i jeziorami.

^Co, znowu? Ile razy musimy rozmawiać, żebyś się przekonał...} Zamknij się i daj mi pomyśleć!

^Oczucie obecności pajaka raz jeszcze zniknęło. Dwer przygryzł gę, usiłując wykombinować coś, cokolwiek, co powstrzymałoby wczynę przed zapuszczeniem się dalej w gąszcz.

– Posłuchaj, śledziłaś tego ptaka-maszynę już od pewnego czasu, vda? Czy to z jego powodu wyruszyłaś na zachód? Skinęła głową.

– Pewnego dnia jeden z chłopaków zauważył jakiegoś stwora, y wyleciał z bagna, niedaleko od Rozpadliny. Zły stary Jass trafił go szydło, ale ptakowi udało się odfrunąć. Zostawił tylko pióro. Wyciągnęła coś spod skórzanej bluzy. Dwer dostrzegł przelotnie k metalu, zanim schowała przedmiot z powrotem.

– Zwinęłam je Jassowi, nim uciekłam, żeby ruszyć za ptakiem. Iak musiał być ranny, bo kiedy znalazłam jego ślad, nie latał już za rzę. Kawałek drogi szybował w powietrzu, a potem skakał po grun-Tylko raz przyjrzałam mu się z bliska. Kiedy wspinaliśmy się na y Obrzeźne, zaczął się oddalać. Potem dotarłam na Stok i przyszło io głowy, że z każdą durą ryzykuję, że mnie powieszają. Zadrżała, na wspomnienie obudzonego na nowo strachu.

– Miałam już dać sobie spokój i wrócić do domu, żeby mnie zbili, ly usłyszałam w nocy jakieś stukanie. Poszłam w tamtą stronę. Przez dłę brałam zegarową cikorę za mojego ptaka! – Westchnęła. – tedy zobaczyłam ciebie. Chrapałeś sobie obok tej swojej fantastycz-kuszy. Pomyślałam sobie, że Jass i Bom ucieszą się z niej i zapomną MC mi zęby za to, że uciekłam.

Dwer nigdy dotąd nie słyszał tych imion, uznał jednak, że dla ctórych spośród przedterminowych osadników sznur jest zbyt dobry. r– I dlatego przyszłaś aż tutaj? Za tym ptakiem? Rety odpowiedziała wzruszeniem ramion. i– Na pewno mnie nie zrozumiesz.

Wprost przeciwnie, pomyślał. Tak właśnie sam by postąpił, gdyby tyś napotkał coś równie dziwnego. '{Tak jak i ja, gdybym nie był przykuty do tego miejsca, uwięziony Ulach własnych ograniczeń. Czyż nie jesteśmy do siebie podobni?}' iDwer przegnał pajaka i w następnej chwili w głowie zaświtała mu fliwość wyjścia z tej kabały. Rety ześliznęła się z gałęzi i zaczęła się

przesuwać bokiem naprzód, trzymając w ręku cienki nóż, którego Dwer nie znalazł, gdy ją wczoraj przeszukiwał. Lśnił ostrością brzytwy.

– Zaczekaj. Zastanowię się nad tym. Rety. Czy nie powinniśmy ze sobą współpracować? Czy nie byłoby nam wtedy łatwiej go uwolnić?

Zatrzymała się. Wydawało się, że rozważa ten pomysł, spoglądając jednocześnie w górę, między gałęzie.

– Słucham.

Zmarszczył brwi. Skupił się na tym, by to, co powie, zabrzmiało przekonująco.

– Posłuchaj... nikt na Stoku nie widział działającej buyurskiej maszyny od czasu... no, na długo przed tym, nim ludzie przybyli na Jijo. To jest ważne. Chcę wydostać stąd to urządzenie równie mocno jak ty.

Wszystko to było prawdą, a przynajmniej byłoby nią, gdyby jego najważniejszym zmartwieniem nie była chęć uratowania życia dziewczyny oraz własnego.

Graj na czas – pomyślał. Została tylko jakaś midura dnia. Skłoń ją, by wycofała się stąd do jutra. Potem będziesz ją mógł odciągnąć siłą, jeśli okaże się to konieczne.

– Mów dalej – odezwała się Rety. – Chcesz zejść na dół i wyrąbać drogę tym swoim wielkim nożem? Zakład, że się obryzgasz, jak będziesz ciął żywe pnącza. To piekielnie boli, kiedy sok zaczyna pryskać.

Niemniej sprawiała wrażenie zainteresowanej.

– Szczerze mówiąc, znam sposób, by nie zadrasnąć ani jednej gałęzi, a mimo to zrobić dziurę wystarczająco wielką, żeby wydostać twojego ptaka. Wykorzystamy pewne... hmm, naturalne surowce, które są tu dostępne.

– Tak? – Zmarszczyła brwi. – Tutaj jest tylko skała, ziemia i... Jej oczy załśniły.

– Busy! Skinął głową.

– Zrąbimy trochę młodych pędów, w nocy je przytniemy, a rano wrócimy z mostkami i drabinami, żeby przejść po szczytach głazów, a także z wystarczającym zapasem drągów, by utorować sobie drogę przez to wszystko... – wskazał ręką na otaczający ich gąszcz – ..nie rozlewając przy tym żadnego kwasu czy innego paskudztwa. Wydostaniemy twojego ptaszka na długo przed tym, nim zostanie zamknięty

uyszałowym jaju, a potem pomaszerujemy do mędrców z niespo-anką, od której hoonom strzelą wyrostki. Jak ci się to podoba? Dwer zauważył, że w jej oczach brak zaufania. Była z natury podejwa, a on nigdy nie był zbyt zdolnym kłamcą. Gdy popatrzyła za 3ie, na tajemniczą, uwięzioną maszynę, zrozumiał, że się zastanawia, ptak przetrzyma noc.

– Wydaje się, że jest jeszcze dość silny – powiedział. – Jeśli trzymał tu już kilka dni, jedna noc więcej nie powinna sprawić sikiej różnicy. Rety opuściła głowę, zastanawiając się nad jego słowami.

– Może nawet lepiej, żeby jego skrzydła zrobiły się bardziej lepkie. ; będzie mógł odlecieć, kiedy go uwolnimy. – Skinęła głową. – No >ra. Chodźmy naciąć trochę busów.

Rzuciwszy za siebie niepewne, pełne tęsknoty spojrzenie, przełożyła y przez grubą gałąź i wyciągnęła ręce w górę, by rozpocząć wspinane. Z uwagą przyglądała się każdemu miejscu, nim dotknęła go dłonią f stopą. Poszukiwała żrących wycieków, a potem sprawdzała, czy |cze zdoła wytrzymać jej ciężar. Niewątpliwie była doświadczoną łączką.

Nigdy jednak nie wędrowała przez takiego pajaka, jak ten. Gdy konała już mniej więcej jedną trzecią drogi przez płataninę skręco-;h lin, skrzywiła się nagle, cofnęła dłoń i spojrzała na pojedynczą, nożocistą kropelkę lśniącą na jej nadgarstku. Ciecz nie oparzyła jej, yż w przeciwnym razie Rety by krzyknęła. Przez chwilę sprawiała ażenie raczej oczarowanej kolorem niż wystraszonej.

– Strząśnij ją szybko! – zawołał Dwer.

Usłuchała go. Bryłka pofrunęła w listowie, lecz natychmiast rozległy i dwa kolejne miękkie, pluszczące dźwięki. Jedna kropla pojawiła się

barku, a druga we włosach dziewczyny. Rety podniosła wzrok, by baczyć, skąd się wzięły, a wtedy trzecia kropla wylądowała na samym Kikujej czola. Z przekleństwem na ustach spróbowała ją zetrzeć, lecz olała tylko rozmazać ją sobie na policzku. Cofnęła się szybko.

.– Nie tędy! – ostrzegł Dwer. Widział kilka pełnących ku niej tywnych pnączy. Z ich pęknięć sączyła się złocista rosa. Rety syknęła

(rzerżenia. Kolejne krople spadły jej na włosy, gdy ruszyła w innym trunku.

t {Powiedz jej, żeby nie stawiała oporu. To nie musi boleć.}

Gniewne warknięcie Dwera – bezgłośnie i nieartykułowane – odtrąciło od niego dotknięcie umysłu pająka. Ściągnął z pleców kuszę, zostawił ją na głazie i zaczął złazić w dół, ku dziewczynie. Zdawał sobie niejasno sprawę, że noor oddalił się, rozsądnie umykając przed niebezpieczeństwem.

Nie tak, jak inni dumie, których znam – pomyślał, wyciągając z pochwy maczetę.

– Już idę. Rety! – zawołał, sprawdzając, czy gałąź wytrzyma jego ciężar. Zobaczył, że dziewczyna próbuje wspiąć się na górę inną drogą, z łatwością wymykając się ścigającym ją ospale pnączom.

– Nie ma po co! – krzyknęła. – Nic mi nie jest. Nie potrzebuję twojej porno... aj!

Na trzymanej przez nią gałęzi, która przed chwilą wydawała się nieaktywna, nagle pojawił się szereg kropelek złocistego płynu. Rety wzdrygnęła się z przekleństwem na ustach. Kilka kropeł przylgnęło do jej dłoni.

– Nie wcieraj ich! – ostrzegł Dwer.

– Nie jestem idiotką! – odparła, cofając się. Niestety, zaprowadziło ją to głębiej w grzędawisko.

Maczeta Dwera – zmyślnie ukształtowany fragment buyurskiego metalu – błysnęła, gdy zamachnął się na jedno z pnączy dzielących go od dziewczyny. Wydawało się martwe, lecz był gotów odskoczyć na wypadek, gdyby...

Cięcie było czyste. Z rozsypującego się, marniejącego przewodu nie wydobyło się nic poza pyłem o dławiającym zapachu. Całe szczęście, że nie zdecydował się postawić na nim stopy. To miejsce nie wybaczało pomyłek.

Pozwolił, by maczeta zwisała na pętli przytwierdzonej do gałki i opuścił się o jeden poziom niżej, na pnącze, które wyglądało na stabilne. Z wielką ostrożnością oparł na nim swój ciężar, po czym przesunął się bokiem wzdłuż poziomego odcinka w poszukiwaniu zejścia. Następna lina wyglądała na cieńszą i słabiej przytwierdzoną, nie miał jednak wielkiego wyboru. Przynajmniej nie tryskał z niej kwas ani nie próbowała owinać mu się wokół kostki niczym wąż.

Jak w ogóle zdołała dotrzeć tak daleko? – zastanowił się, zadowolony, że większość witek jest martwa. Za najlepszych lat mierzwopająka żywopłót z pewnością był nie do sforsowania.

– Dwer!

Obrócił się i zachwiał, gdy kleiste pasmo zaczęło się kołysać. Wbił ok w cienie, obserwując, jak Rety wspina się w górę przypominając o komin leja, który zdawał się prowadzić do jakiegoś wyjścia. Teraz tak, w połowie wysokości wąskiego otworu, dostrzegła, że coś zęło się wsuwać w przestrzeń ponad nią. Kolejna kępa żywych czy... blokujących jej szansę ucieczki. Jednocześnie podstawa koła zamykała się w ten sam sposób. Oblicze dziewczyny zdradzało astającą panikę. Wyciągnęła cienki nóż, szukając spojrzeniem jakiegoś słabego punktu, w który mogłaby ugodzić swego wroga. Pozostało jednak tylko piłowanie jednego z pobliskich pasm i nadzieja, że nie uśnie ono witriolem albo złocistą śmiercią.

Niedaleko za nią Dwer widział ptaka, który wciąż szarpał się w swej apce.

Wypuść ją. Jedyne W Swoim Rodzaju – pomyślał. Przykucnął, potem skoczył, wyciągając obie ręce, by złapać następną linę, która na zeście utrzymała jego ciężar, gdy przemknął przez ciemny otwór, aby

ładować okrakiem na kolejnej, niemal poziomej gałęzi, grubej ni-
m pień młodego drzewka. Wypuść ją, albo...

Miał wrażenie, że jego umysł zadławił się, gdy wypowiadał to
lanie. Nie wiedział, jak zastraszyć mierzwopajaka. Czy maczetą
zna było zrobić coś więcej niż tylko go poirytować? Mógłby zagro-
, że odejdzie i powróci z narzędziami zdolnymi zniszczyć prastarego
'ora – z ogniem i materiałami wybuchowymi – skądś jednak
sdział, że brzmiałoby to zbyt nierealnie. Pająk sprawiał wrażenie
ubawionego poczucia perspektywy, nie rozumiejącego związku przy-
rny i skutku. Żył jedynie chwilą i chciwością połączonymi z cierpli-
ścią tak wielką, że hoon wydawałby się przy nim pomylnym
)rcm.

Zresztą w chwili, gdy Dwer byłby w stanie dokonać odwetu. Rety
tłałaby już zamknięta w złocistym kokonie, zachowana na wieczne
isy... i martwa jak kamień.

Dobijmy targu. Jedyne W Swoim Rodzaju – wysłał myśl, raz
zrze biorąc w rękę maczetę. Co przyjąłbyś w zamian za nią?

•Odpowiedź nie nadeszła. Albo Jedyne w Swoim Rodzaju był zbyt ety przemieszczaniem pnączy i
cieczy, działał z pośpiechem, do ?go nie był przyzwyczajony, albo też...

Milczenie pajaka wydawało się niesamowite, świadczyło o absolutnym samozadowoleniu.
Całkiem jakby nie czuł potrzeby rozmowy, skoro miał już dwa skarby i wyglądało na to, że zaraz
zdobędzie i trzeci. Dwer, z grymasem na twarzy, przesunął się głębiej w trzęsawisko. Cóż innego
mógłby zrobić?

Przeciął jeszcze trzy pnącza. Z ostatniego trysnęły strumienie żrącego soku, wprost w krzyżujące
się gałęzie. Z usianego odpadkami gruntu wzniosły się w górę kłęby dymu, wzmacniając gryzący
odór.

– Dwer, pomóż mi!

Rety była już całkowicie otoczona. Drażliwość i duma przestały tłumić normalną u przerażonego
dziecka panikę. Włosy dziewczyny, widziane między zwojami zamykającego jej drogę mierzwowego
sznura, lśniły niczym grzywa uryjskiej majsterki w rosisty poranek, usiane delikatnym pyłem
złocistych kropelek. Jedno pnącze ustąpiło przed jej nożem, lecz na jego miejsce wśliznęły się dwa
następne.

– Już idę! – obiecał. Przeciął jeszcze dwie liny, po czym opuścił się na następną gałąź, solidnie
wyglądającą, lecz obsunęła się. W chwilę później nogi Dwera zaczęły się ślizgać, gdy lina pokryła
się przejrzystym, śliskim płynem. Krzyknął głośno. Spadł.

Splątana gęstwina, którą tak przeklinał, uratowała go przed złamaniem karku. Jego obracające się
jak wiatraki ramiona złapały za pnącze i owinęły się wokół niego rozpaczliwie, podczas gdy nogi
zwisły w powietrzu. Westchnienie ulgi nie było mu jednak dane, gdyż pod brodą miał teraz sine
żyłki, które pulsowały jakimś ohydny, karmazynowym roztworem. Kiedy gryząca ciecz wzbierała
pod najcieńszą z błon, tworzyły się na niej pęcherze. Oczy zaszczypały go od ulatniającej się pary.

{Nie, nie. Nie sądź, że mógłbym cię tak uszkodzić! Jesteś na to zbyt cenny.}

Przed załzawionymi oczyma Dwera pęcherze przestały nabrzmiewać. Odniósł wrażenie, że
czerwonawy płyn opuścił pulsujące tętnice.

{Ten nektar jest dla zwykłego kamienia. Dla ciebie, mój niepowtarzalny, tylko złoto.}

Dwer skrzywił twarz.

Dziękuję bardzo!

Spoglądając w bok, dostrzegł w zasięgu stóp kolejny splot. Ryzykując wsparcie się na nim, odepchnął od siebie odrażającą gałąź, która powstrzymała jego upadek.

{Nie rób sobie z tego wiele.}

Dwer był już niemal na poziomie Rety, wystarczająco blisko, by trzeć, że w jej oczach panikę zastąpiła zawzięta determinacja. Dziew-na przepiłowała kolejne pnącze, a wtedy delikatny pył cieczy ozłocił edramię, które uniosła, by osłonić twarz. Dwer nagle zdał sobie awę, że Rety przedziera się w niewłaściwym kierunku! Zamiast ruszyć najprostszą drogą w kierunku światła dnia, zagłębiała dalej w bagnisko, w stronę ptakopodobnego mechanizmu! Niech ją Ifni osmarka! Co za moment na pogoń za obsesją! Poczul na nadgarstku muśnięcie chłodnej cieczy. Między ciemnymi >skami leżała połyskująca, tworząca menisk kropla. Usunął się szyb-na bok, nim ze szpary ponad nim zdążyła się wysączyć następna. zasnął kropelkę, lecz nawet gdy już zniknęła, miejsce, na które spadła, iaż wydawało się oziębione, dotknięte całkiem przyjemnym odrę-eniem, tak jak wtedy, gdy wioskowy dentysta smarował dziąsła ;jenta sproszkowanymi liśćmi nuralu, nim wprowadził w ruch swą ręcz-napędzaną wiertarkę.

Maczetę pokryły bryzgi cieczy, która gdzieniegdzie już się krysta-)wała. Z pewnością był to przedmiot wart umieszczenia w kolekcji, tka z tworzywa wyprodukowanego przez gwiezdnych bogów przy-sowana przez prymitywne plemię do nowego użytku w strefie pół-oku, położonej między nędzną ziemią a cywilizowanym niebem. rer z determinacją uniósł broń i zabrał się z zapalem do roboty. Najważniejsze znaczenie miała koncentracja. Ignorował smród iiażliwy piach z obsesyjnym skupieniem myśliwego. Na czoło, twarz żyję wystąpiły mu kropelki potu, lecz nie odważył się ich otrzeć. ewątpliwie wyglądał już tak samo jak Rety, która połyskiwała niczym stko usiane kropelkami miodu. Dwer nie zadał sobie trudu, by krzyk-i do niej, żeby zawróciła w jego stronę. Biorąc pod uwagę jej upór, zwarto było zdzierać sobie płuc.

Obejrzawszy się za siebie, dostrzegł, że droga ucieczki wciąż wyglą-na otwartą. Tunel otaczały przerabane maczetą gałęzie oraz zwisające Sno przecięte pnącza. Jedyny W Swoim Rodzaju mógł zgromadzić ^cej sił, był już jednak stary i powolny. Gdy Dwer zbliżał się do klatki ity, czuł pewność, że zdoła udaremnić atak, gdy ten nadejdzie. 't Teraz zawołał ją ochrypłym głosem. l– No dobra. Rety! Bez wygłupów. Wyłazimy stąd.

Dziewczyna była na przeciwległym końcu swego lejowatego kanału. Przez gałęzie, które uniemożliwiały przejście, gapiała się na ptakopodob-ne urządzenie.

– Hej, zauważył mnie! Odwraca się!

Dwera nie obeszloby, nawet gdyby stanął na głowie i wygłosił pożegnalną przemowę Drake'a w trzecim galaktycznym z buyurskim akcentem. Przeciał kolejną linę. Zakasłał, gdy z obu wijących się końców buchnęły opary.

– Rety, nie mamy czasu!

Gdy dym opadł, przysunął się bliżej i zobaczył, że pseudoptak podniósł się w swej celi i spogląda teraz ku niebu, ignorując kropelki osiadające niczym mgielka na jego opierzonym grzbiecie. Rety najwyraźniej również zauważyła, że skierował uwagę gdzie indziej. Odwróciła się, by popatrzeć w górę. W tej samej chwili Dwer usłyszał przenikliwy, skrzeczący głos dobiegający mniej więcej z tego samego kierunku.

To tylko ten cholerny noor.

Za siatką pnączy, w której załamywały się promienie słońca, dostrzegł Skarpetkę. Zwierzę wróciło z miejsca, do którego uciekło. Stało teraz na tylnych łapach. Wzniosło w górę węzowaty tułów i zmarszczyło wąsaty pysk, warcząc na coś, co znajdowało się w kierunku południowym, poza

zasięgiem wzroku Dwera.

Spojrzenie młodzieńca przyciągnęło kolejne poruszenie. Skręcone pnącze wpęzło w pole widzenia niczym dręczony atakiem padaczki wąż, zamykając część przejścia, które Dwer wyrąbał w żywopłocie. Jego spazmatyczne ruchy wyglądałyby żałośnie, gdyby było osamotnione, lecz za nim pojawiło się drugie, a potem następne.

– Rety! – krzyknął, przygotowując się do przerabiania dzielącej ich jeszcze od siebie bariery. – Pułapka się zamyka. Teraz albo nigdy!

Na jej twarzy malowała się frustracja. Miała już swego graala, w zasięgu ręki, po to tylko, by porwał go okrutny los. Nie czekając na odpowiedź, Dwer uniósł ciężką maczetę w zmęczonych rękach i krzyknął głośno, po czym przeciął trzema silnymi uderzeniami grubą linę blokującą mu drogę naprzód.

Nie odrzucaj tego. Rety – błagał ją w głębi ducha, wiedząc, że żadne słowa nic już nie pomogą.

Dziewczyna odwróciła się nagle z okrzykiem zawodu, porzucając

vój skarb. Rzuciła się na mniejsze pnącza ze swym małym nożykiem, potem zaczęła się przeciskać między pozostałymi, gibka i zwinna. f ciasnym przejściu umazała się złotymi kroplami. Po chwili przypo-linała prążkowane ciastko pokryte kremem orzechowym. Dwer ciął ieustępliwie, aż wreszcie znalazł się tak blisko, że mógłby wetknąć sdną rękę w bagno.

Dłoń Rety ujęła jego nadgarstek.

Wsparł się mocno na obu stopach i pociągnął do tyłu, wlokąc ją przez iroczny, cuchnący tunel. Towarzyszył temu cichy jęk. Dwer nie potrafił kreślić, czy pochodził od dziewczyny, od niego, czy też od obojga sdnocześnie.

Wyśliznęła się wreszcie z pułapki i przywarła do niego z nagłą ^ałtownością. Objęła jego tułów drżącymi rękami i nogami. Dwer riedział, że pod maską przesadnej pyszałkowatości z pewnością była ffzerażona.

– Musimy się śpieszyć – powiedział, pociągając ją za rękę. ; Rety opierała się krótką chwilę, po czym wysunęła się z jego uścisku. detchnęła głęboko.

– No dobra, chodźmy.

• Popchnął ją obiema rękoma, by pomóc wgramolić się do kominowa-go tunelu, który przed chwilą wyrąbał w żywopłocie.

{Och, odchodzisz tak szybko? Czyż byłem aż tak niemiłym gospoda-m?) ' – Wyschnij i spłoń. Jedyny W Swoim Rodzaju – wymamrotał pod

sem zdyszany Dwer, wspinając się w ślad za Rety. Był przekonany,

silny instynkt, który kierował dziewczyną podpowie jej właściwą

>g?.

. (Któregoś dnia z pewnością tak się stanie. Do tego czasu zdążę nak zgromadzić spuściznę.

Tylko pomyśl! Gdy zakończy się dla Jijo wiek leżenia odłogiem i nowi Uorzy obejmą ten świat na pełen promiennej chwały eon, będą flądać z zachwytem na kolekcję, którą zebrałem. Wśród lśniących ^ swych miast z miłością umieszczą moje próbki z czasów interreg-». Najcenniejsze z eksponatów znajdują się na piedestałach, by wszyscy

Uje oglądać. A pierwsze miejsce wśród nich przypadnie tobie, moja byczy, mój skarbie. Być może najlepiej zachowanemu egzemplarzowi

'go dawno już wtedy wymarłego gatunku dzikusów.}

Dwer zadał sobie pytanie, w jaki sposób pajak zarzuca haczyki w jego mózg, by wyłowić stamtąd słowa, o których nawet nie wiedział, że je kiedyś poznał, jak "piedestał" czy "interregnum" Lark mógł kiedyś użyć ich w jego obecności i wtedy zapadły mu głęboko w pamięć.

To ty będziesz nieżywy, pająku! Ty i cały twój cholerny rodzaj.

Tym razem jego gwałtowna odpowiedź nie odepchnęła umysłu jestestwa.

{Wówczas z pewnością tak. Ale plany konstrukcyjne naszego typu zawsze będzie można odnaleźć w Wielkiej Bibliotece Galaktycznej. Jesteśmy zbyt użyteczni, by kiedykolwiek nas zapomniano. Gdy tylko trzeba będzie ewakuować jakiś świat, uporządkować go i pozwolić, by raz jeszcze spoczął odłogiem -gdy tylko wspaniałe dzieła poprzedniego gatunku lokatorów trzeba będzie obrócić w ponownie wprowadzony do obiegu pył – zawsze będziemy się pojawiać znowu.

Czy twoje plemię nieświadomych małp może się pochwalić taką użytecznością, mój skarbie? Czy możecie twierdzić, że macie jakiś "cel", pomijając nieustępliwą chęć kontynuowania swej egzystencji?}

Tym razem Dwer nie odpowiedział. Muszał oszczędzać siły. Jeśli poprzednie zejście w dół było okropne, wejście w górę przerodziło się w czyste piekło. Rąbanie pęcz wiszących nad nim przychodziło mu dwukrotnie ciężiej niż cięcie przebiegających w dole. Na dodatek do niebezpieczeństwa wywołanego chłuszczącymi linami i tryskającym kwasem musieli oboje z Rety wspinać się przez mgiełkę błyszczących kropelek. Sprawa nie polegała już na strząsaniu ich jednej za drugą, lecz na omijaniu miejsc, gdzie spadały najgęściej, i zapobieganiu w jakiś sposób temu, by nie przylegały do ich oczu, nosów i uszu. Przez te świecące miazmaty Dwer dostrzegał kolejne wijące się i trzepoczące pęcz, które tworzyły nad nimi gęstą siatkę szybciej, niż uznaliby to za możliwe. Najwyraźniej Jedyny W Swoim Rodzaju ukrywał dotąd pełnię swych możliwości.

{A czego się spodziewałeś? Że pokażę ci wszystkie rzeczy, których potrafię do...

...że pokażę ci wszystkie...

...że pokażę...}

Gdy głos w głowie Dwera umilkł, jego pierwszą reakcją była ulga. Miał inne zmartwienia, takie jak dręczący skurcz szyi i prawego ramienia, które wyglądało jak zanurzone w jubilerskiej kadzi. Wydawało się,

całkowicie mu zdrętwieje od nieustannego rąbania, rąbania i rąbania. yby tylko zamknął się ten gaduła noor z tym swoim przenikliwym rodzeniem. Przeszywające skrzeczenie Skarpetki osiągnęło crescendo. Jego tonacja wykroczyła poza zakres słuchu Dwera, nadal nak zgrzytało drażniącym strumykiem pod jego czaszką. Przez cały ten czas dręczył go uporczywy niepokój. Zostawiłem glawerzycę związaną. Czy zginie z pragnienia, jeśli nie słam wrócić?

– W lewo! – krzyknęła Rety. Usłuchał jej pośpiesznie. Zamachnął tak daleko, jak tylko mógł, ufając, że jej szybki refleks ostrzeże go przed wytryskami żółtego soku.

– W porządku, ta z głowy! – zawołała. Maczeta wysliznęła mu się z rąk. Dwer trzy razy próbował złapać smień wiszący mu u nadgarstka, nim ujął go wystarczająco mocno, by owu rąbać wypełniające komin nad jego głową cienkie pęcz, które osłaniały szybko słabnące światło zmierzchu. Jeśli nie wydostaną się zewnątrz, nim zapadnie noc, mierzwopająk będzie miał całkowitą sewagę.

Dźwięk, który do tej pory ignorował jako element tła, stał się zbyt głośny, by nadal nie zwracać na niego uwagi. Niski, dudniący, basowy ntrapunkt zagłuszył ujadanie noora. Wszędzie wokół Rety i Dwera wopłot zaczął wibrować. Część łamliwych pęcz rozsyłała się pył, podczas gdy na innych pojawiły się pęknięcia, z których skapywały płyny – czerwone, pomarańczowe i mleczne – toksyczne dołki do mgły, która już przedtem szczypała w oczy. Mrugający wiekami Dwer uniósł wzrok i dostrzegł przez tę plamę Skarpetkę, Gry przysiadł zgrabnie na szczycie złożonego z pęcz żywopłotu, cofając się z wojowniczym warczeniem, gdy w polu widzenia pojawiło się coś nowego – coś, co unosiło się w powietrzu bez żadnej idocznej podpory!

Maszyna! Symetryczny kształt o pokrytych płytami, lśniących bo-ich, w których odbijał się blask

zachodzącego słońca. Urządzenie trzymało się tuż ponad drżącym żywopłotem. Wtem z jego brzucha trysnęło rażące światło, które rozproszyło się t pnączach. Cienka wiązka przemknęła tuż obok Dwera i Rety, jak |yby szukała czegoś, co było ukryte głębiej... | – Poluje na ptaka!

Rety przykucnęła obok Dwera, złapała go za rękę i wskazała palcem

– Mniejsza o tego cholernego ptaka! – zaklął. Żywopłot trząś si(| mocniej niż kiedykolwiek przedtem. Dwer zasłonił Rety na chwilę przed tym, nim rozerwana rura przemknęła obok nich, tryskając żrącym pły-| nem. Ciecz pozostawiła na jego plecach, którymi osłonił dziewczynę^ piekący, bolesny ślad. Przed oczami miał fioletowe plamy. Maczeta ześliznęła się z rzemienia, i odbijając się z brzękiem od gałęzi, spadła w dół.

Zarośla sprawiały wrażenie żywych, pełne ostrych, umykających cieni. Blask reflektora poszukiwawczego unoszącej się w powietrzu maszyny zwięził się do palącej igły, która przypiekała wszystko, czego dotknęła.

W jej świetle Dwer dostrzegł przelotnie ptakopodobny mechanizm uwięziony w zbudowanej z lepkiej siatki klatce i pokryty złocistą patyną. Skakał on teraz do przodu i w tył, jak gdyby chciał umknąć przed palącym promieniem światła. Tu i ówdzie jego pióra już się tliły. Rety wydała z siebie gardłowy krzyk gniewu, lecz dwoje ludzi nie mogło zrobić nic więcej.

Wreszcie ptak najwyraźniej dał za wygraną. Przestał się uchylać, Rozpostarł cztery skrzydła w żalostnej próbie utworzenia zasłony, która zaczęła dymić, gdy tylko gorejąca wiązka odnalazła cel i już go nie opuściła. Jedynie mała głowa ptakopodobnej maszyny wystawała na zewnątrz, wygięta ku górze. Gapiła się na agresora otwartym, nieruchomym okiem.

Dwer przyglądał się temuż przerażony, zdumiony, z oszołomieniem i litością jednocześnie. Wtem ciemne, lśniące jak nefryt oko eksplodowało.

Oślepiający błysk był na długi czas ostatnią rzeczą, jaką wyraźnif zapamiętał.

VII

KSIĘGA MORZA

Nie produkujcie trucizn, których nie motecie wykorzystać.

Zużywajcie wszystkie trucizny, które wyprodukujecie.

Jeśli inni będą musieli sprzątać po was, nie obrażajcie się, gdy zażądają zapłaty.

Zwój Rad

Opowieść Alvina

Byliśmy na miejscu, na górnym peronie kolejki, po długiej jeździe Iz Wuphonu. Gdy tylko Huck, Koniuszek i ja wychodzimy z wagonika (z małą Huphu posadzoną na skorupie Koniuszka, na szczęście), przy-iealopowuje nasza uryjska koleżanka Ur-ronn, cała zaczerwieniona | podenerwowana. Nie wygłaszając nawet powitalnego wstępu, zaczyna ^ńczyć, jej wąska głowa wije się, a ona syczy do nas w tej okropnej rcrsji drugiego galaktycznego, której musiała się nauczyć, gdy była iszczę wielkości robaka i poszukiwała pożywienia wśród traw na iÓwninie Warrilskiej. Wiecie, o jaki dialekt mi chodzi. Ten, w którym puszcza się co drugi podwójny mlask oznaczający koniec frazy. f pierwszej chwili dotarło do mnie tylko mnóstwo basowych, pulsują-^ch tonów wyrażających rozgorączkowane podniecenie.

Co gorsza, w chwilę później zaczyna nas szczypać, całkiem jakby -i-iiy byli bandą jucznych osłów, które trzeba pogonić w głąb korytarza! – Hrrrrm! Zaczekaj no chwilę – zażądałem. – Nigdy nie zrobi nic właściwie, jeśli wpada się w taki igsijski szał. To, co masz do okazania, z pewnością może zaczekać, dopóki nie powiesz w nale-ty sposób "cześć" przyjaciołom, których nie widziałaś od wielu tygo-|tt. Ostatecznie... yi-houongwa!

| Tak jest, to był hoonński rezonansowy bek bólu. Huck przetoczyła się | mojej lewej stopie jednym ze swych kół napędowych.

– Odwemiksuj się, Alvin. Mówisz całkiem jak twój ojciec! Mój ojciec? – pomyślałem. Jakie to niepołyckliwe.

– Czy nie słuchałeś Ur-ronn? – ciągnęła Huck. Mój worek nadał się kilka razy, gdy przebiegłem w pamięci kilka

ostatnich dur, składając w kupę niektóre rzeczy, o których gadała Ur-ronn. Była to faktycznie szalona opowieść. Nieraz już wmawialiśmy sobie

różne bajdy.

– Hr... r... r... gwiazdolat? – Wpatrzyłem się w naszą uryjską koleżankę. – Tym razem mówisz poważnie? To nie jest zwykła kometa, tak jak wtedy, kiedy próbowałaś nas nabrać w zeszłym roku?

Ur-ronn tupnęła przednią nogą, wiedząc, że ją przygwoździłem. Przeszła na anglic. Zakłęła.

– Tyn rażeń foważnie! Uwierzcie ni! Słyszalán roznowę Uriel z Gyfzen. Złafali go na fłytkach!

Złapali na płytkach – przetłumaczyłem sobie. Jej rozszczepiona górna warga kaleczy niektóre angielskie spółgłoski. Na fotograficznych płytkach. Może jednak Ur-ronn nas nie nabierała.

– Czy możemy to zobaczyć? – zapytałem. Uryjskiję frustracji.

– Ty dzikijska kufo łusek i futra! Tan właśnie chciałan was wszystkich zawrać, odkąd tylko wagonik się zatrzymał!

– Och. – Pokłoniłem się zamaszycie. – W takim razie na co tu czekamy? Chodźmy!

Wiele lat temu zakład na szczycie Mount Guenn Uriel Kowalica odziedziczyła po Ur-tannie, która była dziedziczką Ulennku. Ta z kolei otrzymała rozległy zakład podziemny w spadku po swej zmarłej mistrzyni, wielkiej Umunu, która odbudowała te potężne komnaty po tym, jak Stok zatrząsł się niczym zmokły noor podczas wstrząsów sejsmicznych w Roku Jaja. Dalej opowieść sięga aż do ukrytych w pomroce dziejów czasów przed tym, nim ludzie sprowadzili na Jijo papierową pamięć, gdy mądrość musiała zmieścić się w czyjejs żywej głowie albo zaginąć. Do dni, kiedy uryjskie osadniczki były zmuszone stanąć do boju, by dowieść, że są kimś więcej niż galopującymi dzikuskami włóczącymi się po trawiastych równinach, które wszystko, co posiadają zawdzięczają qheuenom z najwyższej kasty.

Ur-ronn zwykła recytować tę legendę podczas naszych podróży.

Nawet biorąc poprawkę na przesadę, nie można wątpić w odwagę ursy, która wdrapała się na wysoki, dymiący wulkan, by zbudować pierwszą, prymitywną kuźnię w pobliżu ognistych źródeł lawy, a potem harowała wśród popiołów i nieustannych niebezpieczeństw, aby poznać sekret przeróbki buyurskiego metalu i złamać na dobre monopol szarych królowych na produkcję narzędzi.

Można wręcz cieszyć się z tego, że ludzie nie przybyli wcześniej, bo wtedy można by po prostu znaleźć w jakiejś książce wskazówki jak produkować noże, soczewki, okna i takie rzeczy. Oczywiście ułatwiłoby to innym gatunkom wygnańców uwolnienie się spod dominacji rzeźbiących w drewnie qheuenów. Z drugiej strony, wystarczy wysłuchać sepleniącej opowieści Ur-ronn, by zrozumieć, jak bardzo ursy są dumne z całej tej pracy i poświęcenia.

Rozumiecie, osiągnęły to same. Zdobyły wolność i poczuły do siebie szacunek. Zapytajcie kóregoś z hoonów, jak my byśmy się czuli bez naszych kołyszających się na falach statków. Wiedza Ziemiaków wprowadziła ulepszenia, ale morza nie otrzymaliśmy od nikogo w darze! Ani od naszych odległych opiekunów, Guthatsa, czy Wielkiej Biblioteki Galaktycznej, ani od samolubnych przodków, którzy porzucili nas na Jijo, nieświadomych i nieprzygotowanych. Napawa nas dumą, że dokonaliśmy tego bez niczyjej pomocy.

Duma jest bardzo ważna, jeśli nie ma się wiele więcej. Nim weszliśmy do przypominającej piekło

kuźni. Koniuszek Szczy-iec narzucił na swą miękką, czerwoną skorupę nasączoną wodą opoń-zę. Ja owinąłem się płaszczem, Huck zaś sprawdziła gogle i osłony osi. [astępnie Ur-ronn przez zachodzące na siebie skórzane zasłony po-dodła nas do zakładu.

Przeszliśmy pośpiesznie po mostku z pokrytych warstwą ochronną sów zawieszonym między kipiącymi jeziorkami, które żarzyły się ilą gorącej krwi Jijo. Sprytnie rozmieszczone otwory wentylacyjne prowadziły tłące się opary do kamiennych wnęk, kierując je na wnątrz, tak że nie różniły się niczym od innych dymów buchających stoku Mount Guenn.

Nad nami wisały olbrzymie wiadra. Jedno z nich wypełniał odnale-ly buyurski złom, a pozostałe piaszczysta mieszanka. Czekały, aż icą ich zawartość w ten gorejący żar, by potem wypełnić nią gliniane ly. Przy krążkach linowych i kadziach harowały uryjskie robotnice.

Jedna z nich obracała wielką bryłę ciekłego szkła przytwierdzoną do końca długiej rury. Kręciła nią tak długo, aż powstał płaski, wirujący dysk, który zestalił się, stał się cieńszy i ostygł, tworząc okno przeznaczone dla domów położonych daleko stąd.

Pomagała im garstka szarych qheuenów, którzy – co stanowiło jeden z wielu paradoksów Jijo – okazali się drugim szczepem dobrze przystosowanym do tych warunków. Możliwe nawet, że byli szczęśliwsi niż w czasach, kiedy ich królowe dominowały nad Wspólnotą. Nigdy jednak nie potrafię wiele odczytać z ich kamiennych kopuł. Zastanawiam się, jak nasz narwany, uczuciowy Koniuszek może być z nimi spokrewniony.

W większej odległości od żaru pół tuzina odpowiedzialnych za księgi rachunkowe g'Keków śmigało po gładkiej podłodze, a traECKi specjalista o pulsujących pierścieniach syntezy kosztował każdą mieszankę, by poświadczyć, że produkty kuźni zardzewieją bądź ulegną rozkładowi w okresie nie dłuższym niż dwieście lat, zgodnie z wymaganiami mędrCów.

Niektórzy wymachujący zwojami ortodoksi twierdzą, że w ogóle nie powinniśmy mieć kuźni – że to marność odciągająca nas od zbawienia poprzez zapomnienie. Ja jednak myślę, że to miejsce jest połyskliwe, nawet jeśli dym drażni mój worek rezonansowy i powoduje swędzenie łusek na grzbiecie.

Ur-ronn poprowadziła nas przez kolejne zasłony do groty-laborato-rium, w której Uriel zgłębia tajniki swej sztuki: zarówno te z trudem odkryte przez jej przodków, jak i wygrzebane z ludzkich tekstów. Zmyślne powiewy ochłodziły tu powietrze, dzięki czemu mogliśmy złagodzić przedsięwzięte środki ochronne. Koniuszek z radością zdjął ciężką opoń-czę i zmoczył czerwoną skorupę w niszy z zamontowanym prysznicem. Huphu ochlapała się z entuzjazmem, ja natomiast wytarłem gąbką worek rezonansowy. Ur-ronn trzymała się z dala od wody i wolała potarzać się trochę w czystym, suchym piasku.

Huck śmignęła wzdłuż korytarza, zaglądając do wielu różnych pomieszczeń laboratoryjnych.

– Psst! Alvin! – szepnęła nagląco, machając do mnie jedną ręką i dwiema szypułkami. – Chodź popatrzeć. Chcesz zgadnąć, kto znowu się tu zjawił?

– Kto taki? – zagwizdał Koniuszek, zostawiając za sobą pięć

lokrych tropów. Ur-ronn swymi stukającymi kopytami zręcznie omi-iała wilgotne ślady.

Potrafiłem się domyślić, o kim mówi Huck, gdyż żaden pasażer nie chodzi ze statku w Wuphonie bez wiedzy komendanta portu – mojej łatki. Oficjalnie niczego nie wyjawiała, lecz z podsłuchanych strzępków ozmów wiedziałem, że ostatni odpowiec przywiózł ważnego ludz-iego gościa, który opuścił pokład nocą i skierował się prosto do kolejki la Mount Guenn.

– Hrrrm. Założę się o słodkiego busa, że to znowu ten mędrzec – ^rzykowałem, nim podeszedłem do drzwi. – Ten z Biblos. Zwrócone w tył oko Huck wyrażało rozczarowanie.

– Miałeś fart – burknęła, ustępując jednocześnie miejsca reszcie mszej grupy.

Znałem ten pokój. Podczas wielu poprzednich wizyt stałem zwykle w drzwiach i gapiłem się na to, co działo się wewnątrz. W olbrzymim ieszczeniu znajdowała się tajemnicza maszyna Uriel – urządzenie ione z przekładni, kabli oraz obracających się płyt szklanych, e zdawało się wypełniać sklepioną jaskinię zgrzytem i ruchem, iem jakby była ona jedną z tych wiktoriańskich fabryk, o których yta się w książkach Dickensa. Tyle że to urządzenie – o ile tylko było im wiadomo – nie produkowało absolutnie nic poza niezliczonymi yietlnymi błyskami rzucanymi przez wirujące kryształowe krążki kręcę się niczym setki małych, widmowych g'Keków toczących się obok pbie wściekle i bezproduktywnie, nie mogących nigdzie dotrzeć, choć racali kołami coraz szybciej.

Dostrzegłem ludzkiego gościa, który pochylił się nad wspartym na ko-stołem. Przed nim leżał tom in folio, który wyglądał na cenny. Czło-wskazywał na jakiś diagram, a Uriel kołysała się wkoło, podnosząc \nogę po drugiej i potrząsając kudłatą głową na znak zaprzeczenia. toczona siwą obwódka nozdrze buchało rozdrażnieniem.

– Z całym należnym szacunkiem, nędrze Furofsky, nogłeś udać się yonadzenie, zaniast frzyjeżdżać aż tutaj. Nie rozumien,jaki związek książka z naszym frowlenen. Naszym dylenaten.

Iżłowiek miał na sobie czarny płaszcz młodszego mędrca -jedne-tych, którzy mieszkają w świętych salach Biblos, mając za towa-o pół miliona drukowanych tomów i opiekują się mądrością aną przez trzy stulecia. Był po hoońsku przystojny, co zdarza

się, gdy mężczyźni siwieje runo na głowie, a do tego pozwala on, by na twarzy wyrosło mu bujne futro. Długi, szlachetny nos wzmacniał jeszcze ten efekt. Szacowny mędrzec ponownie dźgnął palcem starożytną stronicę, tak mocno, że obawiałem się, iż uszkodzi bezcenny tekst.

– Ale mówię ci, że ten algorytm to dokładnie to, czego potrzebujesz! Żeby go wykonać, wystarczy dziesięciokrotnie mniej miejsca" i znacznie mniejsza liczba części, jeśli tylko weźmiesz pod uwagę...

Nie potrafię zapisać tego, co usłyszałem później, ponieważ było to mówione w dialekcie anglicu zwanym inżynierią, a nawet moja hoońska pamięć nie wesprze mnie, gdy chodzi o słowa, których nie rozumiem, ani nie wiem, jak sieje pisze. Mędrzec z pewnością przybył pomóc Uriel w jej projekcie. Każdy, kto ją znał, potrafiłby przewidzieć, że będzie stawiała opór.

Za tą dwójką dostrzegliśmy Urdonnol, młodą uryjską techniczkę, której mistrzyni powierzała ogólną konserwację tej maszyny. Urządzenie zajmowało całą oświetloną przestrzeń (światło padało z jedyne go znajdującego się na suficie świetlika). Urdonnol zaglądając za drżącą, piszczącą maszynę, wyciągała rękę, by zacisnąć pas elastyczny albo nasmarować łożysko. Jako starsza uczennica posuwała się dwoma kopytami ku pozycji następczyni Uriel.

Jej jedyną konkurentką była Ur-ronn – po części ze względu na szkolne oceny naszej koleżanki, lecz również dlatego, że była ona najbliższą zapachową kuzynką Uriel, która przeżyła od stadium stepowej larwy do postaci dorosłej. Niewątpliwie Urdonnol pracowała tu – dbając o osobisty projekt mistrzyni – po to, żeby poprawić swe szansę, choć nie było wątpliwości, że nie cierpi wielkiej maszyny.

Między wirującymi krążkami poruszały się miniaturowe, centauroi-dalne postacie dokonujące delikatnych poprawek. Uryjscy samcy, których z reguły rzadko się widywało poza torbami ich żon, zaciskali pasy i przekładnie, wykonując zwięzłe polecenia Urdonnol. Pewnie miał to być gest na rzecz równouprawnienia.

Nachyliłem się i wyszeptałem do Huck: – Tyle z tej całej gadaniny o... hr-hrrm... statkach kosmicznych! Gdyby naprawdę widzieli gwiaz-dolot, nie zawracaliby sobie teraz głowy zabawkami!

Ur-ronn musiała mnie usłyszeć. Gdy odwróciła długi pysk, miała urażoną minę. Przymrużyła dwoje z trojga oczu.

– Słyszałam Uriel i Gyfza – syknęła. – Zresztą, co taki nądrala jak ty noże wiedzieć?

– Wystarczająco wiele, żeby zrozumieć, że wszystkie te wirujące me kulki nie mają ni włosa na qheueńskim grzbiecie wspólnego wpędzającymi nas gwiazdolotami!

iawei gdybyśmy nie warczeli na siebie nawzajem, takiej bandzie iasza trudno byłoby zajrzeć dyskretnie do pomieszczenia, tak jak to ifią ludzie, o czym się czyta w ich kryminalnych książkach. Nie-;j ci, którzy przebywali w środku, mogliby nas nie zauważyć, gdyby ka Huphu nie wybrała akurat tego momentu, by wpaść do sali ;zać ujadać na wirujące koła pasowe oraz krążki. Nim zdążyliśmy orientować, wskoczyła na skórzany pas i zaczęła biec w miejscu jak ana, kłapiąc zębami w kierunku dwóch skulonych uryjskich mężów. Jrdonnol zauważyła to i zaczęła machać rękoma, odsłaniając jaskra-;ruczoły pod obiema torbami rozplodowymi.

– To wydarzenie oznacza ? To oznacza ? – odezwała się uczennica wyraźnym trylem pytającym. Jej podniecenie wzrosło, gdy mistrzy- >rociła posiwiały pysk, by przyjrzeć się zamieszaniu.

Vbrew stereotypom, hoon może działać szybko, jeśli widzi wyraźną zebę. Pognałem złapać Huphu, wydając z siebie swój najlepszy :ot, po czym wróciłem do pozostałych, przygotowując się na zbio- iburę.

– Zachowanie, które jest (zdumiewająco, przerażająco) nie do przy -i – oznajmiła Urdonnol w drugim galaktycznym. – Przerwanie wj narady przez (łotrowskie, mikrocefaliczne, niewy'chowane)... Jriel odezwała się, przerywając strumień obelg Urdonnol, nim pode-rowana, tupiąca Ur-ronn dała się sprowokować do odpowiedzi)dobnym stylu.

– Dość tego, Urdonnol – rozkazała mistrzyni w siódmym gala-znym. – Zechciej łaskawie zaprowadzić młodzież do Gybza, który lo nich interes, a potem wracaj szybko. Musimy jeszcze sprawdzić ! modeli, nim skończymy pracę.

– Zostanie to uczynione – odparła Urdonnol w tym samym języ- Starsza uczennica odwróciła się, wyciągając ku nam agresywnie ę. – Za mną, bando dzikijskich poszukiwaczy przygód.

tej słowa ociekały wzgardą, co jest możliwe w siódmym galaktycz- i, choć nie brzmi tak ostro, jak w anglicu.

r– Chodźcie szybko. Postanowiono zrealizować waszą propozycję. iż wielki plan. Waszą jednokierunkową ekspedycję do piekła.

VIII

KSIĘGA STOKU

Legandy ;

Powiadają, ie glawery stanowią przykład dla nas wszystkich. Z siedmiu gatunków, które założyły kolonie wygnańców na Stoku, tylko one. uciekły z więzienia, na które skazali je ich przodkowie. Dokonały tego, gdyż odnalazły Ścieżkę Odkupienia i podążyły nią.

Teraz są niewinne. Przestały być zbrodniarzami. Stały się jednością z Jijo. Z czasem mogą nawet osiągnąć odnowienie, uzyskać ową błogo' sławioną rzadkość – drugą szansę wśród gwiazd.

Jest źródłem pewnej frustracji dla Ziemiaków – najmłodszego z przybyłych tu szczepów – że ludziom nigdy nie udało się spotkać gławe rów jako myślących, obdarzonych mową istot. Nawet hoonowie i ursy przybyli za późno, by poznać je u szczytu chwały, gdy podobno były istotami o potężnym intelekcie obdarzonymi talentem dalekosiężne] pamięci gatunkowej. Przyglądając się, jak ich

potomkowie ryją w naszych śmietniskach, trudno jest ich sobie wyobrazić jako potężnych, gwiazdnych wędrowców oraz opiekunów trzech szlachetnych linii podopiecznych.

Jakaż desperacja przywiodła ich tutaj, by szukali bezpieczeństwa w zapomnieniu?

g'Kekowie powiadają nam, że według ich ustnej tradycji był to efek niepowodzeń finansowych.

Ongiś (zgodnie z g'Keckim folklorem) glawe ry były ponoć jedyn^ Z owych rzadko spotykanych gatunków obdarzonych talentem do poro zumiewania się z Zangami – wodorodyszną cywilizacją, która istnieje równolegle ze społeczeństwem gatunków oddychających tlenem, lec\ trzyma się z dala od niego. Ta umiejętność pozwoliła glawe rom odgry wać rolę pośredników, co przyniosło im wielkie bogactwo i prestiż, a', wreszcie jeden błąd w kontrakcie odwrócił kartę, wpędzając ich w po twome zadłużenie.

Powiadają, że wielcy Zangowie są cierpliwi. Termin płatności długi nadejdzie za kilkaset tysięcy lat. Niemniej, odsetki są tak lichwiarskie

atunek glawerów i wszyscy ich ukochani podopieczni zostali skazani

lieuchronną konfiskatę.

Glawerom pozostała tylko jedna rzecz, coś cenne go, co mogli jeszcze zedać, pod warunkiem, że odnajdą właściwą drogę.

Oni sami.

Zebrane bajki Siedmiu ; JIJO. Wydanie trzecie. Katedra Folkloru i Języka. Biblos. Rok Wygnania 1867

Asx

Statek łupieżców wkrótce odleciał w taki sam sposób, jak przybył – •ód burzy wirujących w powietrzu strzępków naszego nieszczęsnego, szczonego lasu. Jego zniknięciu towarzyszyło tornado, całkiem jakby »wyciągała widmową rękę, by go pochwycić i powstrzymać.

Niestety, ów odlot nie był powodem do radości, gdyż załoga poprzy-gła, że wkrótce wróci. Jako poręka tej obietnicy nieopodal buchającej ą blizny pozostawionej przez statek przysiadł czarny sześcian o boku gości połowy strzału z łuku, pozbawiony wszelkich cech charaktery -cznych poza miejscem, gdzie rampa prowadziła do ziejącego wjazdu. W pobliżu ustawiono dwa duże, delikatne płócienne namioty prze-sione ze zgromadzenia zgodnie z życzeniem tych gwiazdnych bo-w, którzy zostali tu po odlocie statku. Jeden miał służyć jako punkt mikowy, a drugi, większy, do "badania okazów" Mała grupka iezdnych najeźdźców pracowała już pod tym baldachimem, karmiąc emnicze, mroczne maszyny próbkami jijańskiego życia.

Wspólnotę wciąż przenikał pulsujący szok. Mimo apeli o jedność zgłaszanych przez ich mędrców, liczne szczepy i klany oddzieliły się reszty. Szukano schronienia wśród pobratymców. Posłowie przemyli między oddzielonymi grupami, prowadząc ciche, sekretne rokowa-l Z wszystkimi oprócz najmłodszych z Sześciu, których emisariuszy Usłano z kwitkiem. F W tej chwili nikt, nawet traeki, nie chce rozmawiać z ludźmi.

Sara

Parę godzin po południu rzeka dotarła do krainy kanionów. Całkiem jakby przypomniwała sobie, że ma do wykonania jakąś pilną misję, woda pomknęła pośpiesznie przez tereny porośnięte ciernistymi krzewami przytulonymi do stoków naznaczonych erozją. Sara pamiętała te pustkowia, gdyż w dzieciństwie wyprawiała się tu z Dwerem i Larkiem w poszukiwaniu skamieniałości. To były dobre chwile, mimo upału, zleżalego jedzenia i wszechobecnego pyłu. Szczególnie wówczas, gdy wybierała się z nimi Melina, nim zapadła na przewlekłą chorobę, która ją w końcu zabrała, czyniąc z Nela starego człowieka.

Przypomniwała sobie, że miękki akcent ich matki stawał się tym wyraźniej szy, im dalej na południe

się zapuszczali. Odslonięte niebo nigdy nie budziło w niej lęku.

W przeciwieństwie do niej, załoga "Hauph-woa" z każdą milą w kierunku południowym stawała się coraz bardziej niespokojna, zwłaszcza po porannym epizodzie z nieudolnymi piratami, których napotkali przy zburzonym moście. Hoońscy marynarze wyraźnie woleliby przycumować do brzegu, by przeczekać resztę dnia pod jakąś skalną osłoną. Kapitan przypomniał im pierdliwym beknięciem swego fiołkowego worka rezonansowego, że to nie jest spokojny rejs z ładunkiem odpadów, lecz pilna misja wykonywana w imieniu Wspólnoty.

Wiejący zazwyczaj z zachodu wiatr wypełniał żagle statków płynących pod prąd. W miejscach, gdzie był on najsilniejszy, zaufani hoońscy operatorzy oferowali holowanie na linach przytwierdzonych do zmyślnie ukrytych wiatraków o kształcie ustawionych pionowo helikopterów. Wykorzystywały one siłę wiatru, który dął mocniej w wąskich przejściach pod nawisami urwisk. Pierwszy zestaw samotnych łopatek przemknął im jednak przed oczyma, nim ktokolwiek zdążył wyjść z przybudówki, by odpowiedzieć na ich okrzyki. W pół midury później nadzorca następnego wiatraka ledwie zdążył wypowiedzieć basowy wstęp uprzejmościowy, nim nurt uniósł "Hauph-woa" poza zasięg jego głosu.

Całkiem jak rzeka czasu – pomyślała Sara. Niesie cię w przyszłość, zanim zdążysz się do niej przygotować, zostawiając za sobą smugę żalu.

Gdyby tylko życie pozwoliło od czasu do czasu złapać przyjazną linię holowniczą, by wdrapać się po niej z powrotem w przeszłość. Dało szansę na zmianę biegu strumienia twojej egzystencji.

Jak by postąpiła, gdyby mogła raz jeszcze przeżyć ostatni rok czy iva? Czy nawet najlepsza znajomość przyszłości mogłaby zrównoważyć słodki ból towarzyszący ulokowaniu serca w nieodpowiednim miejscu? Czy nawet znając z góry naturę Joshu chciałaby czy mogła odrzucić wszystkie te miesiące uderzającej do głowy radości, gdy udawała sama rzed sobą, że może on należeć tylko do niej? Czy jakiegokolwiek proroctwa mogłyby ocalić jego życie? Z pamięci wyłoniła się wizja, której nie chciała przywoływać. Wspomnienie dnia, gdy uciekła z Cytadeli Biblos, ściskając swe książki i tabele, a potem pognęła do domku na drzewie nad Tamą Dolo, by ogrzążyć się w dociekaniach.

...czarne sztandary łopoczące od powiewów zefirku, który owiewał ięzki, dach z kamienia na zamczysku...

...szepotłatawce szarpiące postronki z jękliwym, świergotliwym imentem podczas ceremonii zmierzwowania włók Joshu i innych ofiar arazy...

...wysoka, jasnoskóra kobieta, która niedawno przybyła statkiem dalekiego Ovoom, stojąca u mar Joshu, spełniająca obowiązek żony, ładąca na jego czole wijący się torus, który miał obrócić doczesne zczątki w lśniący, krystaliczny pył...

... spokojna, chłodna twarz mędrca Taine' a otoczona grzywą włosów arwy buyurskiej stali, gdy zbliżył się, by łaskawie wybaczyć Sarzejej wającą cały rok niedyskrecję... jej "przygodę" ze zwykłym introliga-Mem... i ponowić propozycję zawarcia bardziej przyzwoitego związu...

... jej ostatni rzut oka na Biblos, wysokie mury, błyszczące biblioteki akryle porośniętym lasem kamieniem. Część jej życia, która kończyła się tak niezawodnie, jakby Sarajuż teraz umarła.

r Przeszłość jest pełna goryczy – mówiły zwoje. Tylko ścieżka apomnienia może doprowadzić do odkupienia.

' Po ostrym, pełnym przerażenia westchnieniu nastąpił łoskot i brzęk hczonej porcelany.

i – Panno Saro! – wymówiono z przydechem. – Proszę tu przyjsć. ^komplecie!

Oddaliła się pośpiesznie od prawego relingu, by natknąć się na sapiącego w podnieceniu Pzorę. Er-jego delikatne ramiona manipulacyjne wyciągały się ku niej błagalnie. Serce jej zabiło, gdy

ujrzała, że posłanie nieznajomego jest puste, a jego koce porozrzucane.

Zauważyła go. Wcisnął się między trzy beczułkowate pojemniki pełne wyprodukowanych przez ludzi odpadów. W rękę ścisnął wyszczerbioną glinianą skorupę. Wybałuszone oczy rannego, wielkie i szalone, były wpatrzone w trackiego farmaceutę.

Panicznie boi się Pzory – zdała sobie sprawę. Ale dlaczego?

– Nie obawiaj się – przemówiła uspokajającym tonem w siódmym galaktycznym, zbliżając się powoli do niego. – Strach jest niepotrzebny.

Nad tęczówkami jego oczu błysnęła biel. Przenosił wzrok z Sary na Pzorę, całkiem jakby nie potrafił wyobrazić sobie ich obojga w tym samym kontekście, ogarnąć tą samą myślą.

Sara przeszła na anglic, gdyż w niektórych nadbrzeżnych ludzkich osadach używano niemal wyłącznie tego języka.

– Wszystko w porządku. Naprawdę. Daję słowo. Jesteś bezpieczny. Byłeś ranny. Bardzo ciężko ranny. Ale już wracasz do siebie. Naprawdę. Jesteś bezpieczny.

Niektóre wyrazy wywoływały silniejszą reakcję niż inne. Wydawało się, że lubi słowo "bezpieczny", powtórzyła je więc, wyciągając rękę. Nieznajomy spojrzał niespokojnie na Pzorę. Sara przesunęła się, by zasłonić trackiego. Napięcie zmniejszyło się nieco. Przymrużył oczy, skupiając wzrok na jej twarzy.

Wreszcie, z westchnieniem rezygnacji, wypuścił wyszczerbiony fragment skorupy z drżących palców.

– Tak lepiej – powiedziała. – Nikt nie zrobi ci krzywdy. Choć początkowy przyływ paniki minął, nieznajomy wciąż spoglądał na farmaceutę z Dolo, potrząsając głową z zaskoczeniem i widoczną odrazą.

– Do cho... do cho... do cho...

– Zachowuj się uprzejmie – zganiła go, wkładając mu pod głowę złożony koc. – Nie wyruszyłbyś w ten przyjemny rejs do Tarek bez maści Pzory. Zresztą dlaczego miałbyś się bać trackiego? Kto kiedy

Przerwał, spojrzał na nią, mrugając dwukrotnie, po czym podjął lejną żalosną próbę powiedzenia czegoś.

– Jo... Joph...j...j...jo...joph...

Ogarnięty frustracją nieznajomy przestał się nagle jąkać, zamknął usta wcisnął wargi w wąską, prostą Unię. Uniósł lewą dłoń ku skroni – ku adażowi zakrywającemu straszliwą ranę – lecz zatrzymał ją w poło-e drogi, całkiem jakby dotyk mógł potwierdzić jego najgorsze obawy. mię opadło. Nieznajomy wydał z siebie ciche westchnienie.

Cóż, jest wreszcie przytomny – pomyślała Sara, zastanawiając się d tym cudem. Przytomny i nie dręczy go gorączka.

Zamieszanie przyciągnęło gapiów. Sara kazała im się cofnąć. Jeśli eki mógł wywołać u rannego atak hysterii, co się stanie, gdy ujrzy eueńskiego samca z ostrymi kolcami pokrywającymi wszystkie nogi? wet w dzisiejszych czasach trafiali się ludzie, którzy nie lubili blisko-i innych członków Sześciu.

Nigdy by się nie spowiedziwała, że może usłyszeć ten dźwięk...

Śmiech.

Nieznajomy usiadł, gapiąc się na zebranych pasażerów i załogę. Wbił srok w Jomaha, syna wysadacza, który wdrapał się na szeroki grzbiet zeszczota, obejmując rękami głowową kopułę sterczącą z niebieskiej orupy qheuena. Brzeszczot zawsze był spokojny i dzieci w Dolo go)fly, Sara

nie zwróciła więc na to szczególnej uwagi. Nieznajomy jednak ;iągnął powietrze, wskazał na tę scenę palcem i parsknął śmiechem.

Odwrócił się i ujrzał marynarza dającego smakołyki ulubionemu orowi, podczas gdy cierpliwy hoon pozwalał szympansicy Prity sie-ieć na swych szerokich ramionach, skąd miała lepszy widok. Nieznany wydał z siebie suchy, pełen niedowierzania chichot.

Zamrugał powiekami, zdziwiony i zakłopotany, na widokg'Keckie-> tancerza-skryby, Fakoon, który podjechał bliżej, by dać odpocząć tom między Pzorą a uryjską majsterką, Ulgor. Fakoon rzucił na nnego człowieka zalotne spojrzenie pary kołyszających się szypulek. wie pozostałe skierował ku swym sąsiadom, jak gdyby chciał ich pytać: "Co tu jest grane?"

i Nieznajomy klasnął w dłonie niczym zachwycone dziecko i roze-Cdał się na całe gardło, aż łzy popłynęły strumieniami po jego cie-pych, zapadniętych policzkach.

Asx

Mogłoby się wydawać, że stulecie oświecenia sprowadzone przez nasze Święte Jajo oraz wszystkie poprzednie mozolne wysiłki zmierzające do ustanowienia Wspólnoty zostały zapomniane. Widać było tylko nieliczne rewqi, gdyż trucizny podejrzenia wyгнаły je z naszych czoł. Skryły się nadąsane w wyłożonych mchem torbach, zmuszając nas do polegania na zwykłych słowach, tak jak działo się to w minionych wiekach, gdy zwykłe słowa często prowadziły do wojny.

Moi-nasi pobratymcy przynieśli próbki najnowszych toksycznych plotek. "Ja" ustawiłem nasz segment podstawny ponad-na plugastwie, pozwalając, by jego opary przedostały się do naszego centralnego rdzenia, przynosząc wstrętne zrozumienie tych odrażających myśli:

- nasi ludzcy sąsiedzi nie są już. godni zaufania, o ile w ogóle kiedykolwiek byli go godni;
- sprzedadzą nas swym genetycznym i klanowym kuzynom z grupy łupieżców;
- kłamstwem była ich barwna opowieść o tym, że są biednymi, pozbawionymi opiekunów dzikusami, którymi pogardzają w Pięciu Galaktykach;
- udawali tylko wyгнаńców, szpiegując nas i ten świat.

Jeszcze bardziej gorzka była ta oszczercza plotka:

– wkrótce stąd odleczą ze swymi kuzynami, wespną się z powrotem do boskiego życia, którego wyrzekli się nasi przodkowie. Porzucą nas, byśmy zgnili w tym marnym miejscu, przekłęci i zapomniani, podczas gdy oni będą wędrować po galaktykach.

To był najohydniejszy z plotkarskich smrodów, tak odrażający, że ja-my wypuściliśmy z siebie cuchnącą, melancholijną parę.

Ludzie... czy mogliby naprawdę to uczynić? Porzucić nas?

Gdyby się to kiedyś wydarzyło, noc stałaby się równie obmierzła jak dzień. Zawsze bowiem podnosząc wzrok, musielibyśmy patrzeć przez | ciemność na to, co odzyskali. ;

Na gwiazdy.

Lark

biolog łupieżców wyprowadzała go z równowagi. Ling potrafiła ;łądać na Larka w sposób, który wprawiał go w oszołomienie, odował, że czuł się jak barbarzyńca albo dziecko.)czywiście w porównaniu z nią mógł się tak czuć, choć był starszy, liczyć przeżyte lata. Na przykład, efekty jego prowadzonych przez życie badań nie wypełniłyby nawet jednego krystalicznego płatka ięci, które wrzucała beztrzesko do przenośnej konsolyty przerzuc(-)rzesz jednoczęściowy zielony kombinezon.

-onad egzotycznie wyglądającymi, wysoko ustawionymi kośćmi ;zkowymi ciemnoskórej kobiety widniały wielkie oczy o zdumie-icym kremowobrazowym odcieniu.

– Jesteś gotowy, Lark? – zapytała.

^jego plecaku znajdowały się raczej na cztery dni, nie będzie więc

?a polować ani poszukiwać żywności. Tym razem nie zamierzał erać swego cennego mikroskopu. Owo arcydzieło uryjskiego rze- sła wydawało się niegodną uwagi zabawką w porównaniu z gadze- i, których Ling i jej towarzysze używali, by badać organizmy aż do iomu składających się na nie cząsteczek.

fak mogliśmy im powiedzieć coś, czego jeszcze nie wiedzą? - anawiał się. Czego właściwie mogą od nas chcieć?

Fo pytanie zadawano sobie powszechnie. Głowili się nad nim ci go przyjaciół, którzy nadal chcieli z nim rozmawiać, a także ci, zy odwrócili się plecami od wszystkich ludzi, którzy byli przecież ynamy najeźdźców.

A jednak mędracy wyznaczyli człowieka – i do tego heretyka – by ył przedstawicielce tych złodziei jako przewodnik w lesie pełnym tów. Rozpoczął taniec negocjacji mających ocalić nasze życie. Sześciu miało do zaoferowania tylko jedno. Coś, czego brak było ficjalnym haśle Encyklopedii Galaktycznej dotyczącym Jijo napisa- i przez Buyurów przed opuszczeniem planety. Były to aktualne dane emat tego, jak zmienił się ów świat w ciągu miliona lat, gdy leżał ostawiony odłogiem. W tej dziedzinie Lark był "ekspertem", w takim »niu, w jakim było to możliwe dla miejscowego barbarzyńcy.

– Tak, jestem – odpowiedział kobiecie z gwiazdolotu.

– Dobrze. No to ruszajmy!

Wskazała mu dłonią, aby poszedł pierwszy.

Dźwignął plecak i odwrócił się, aby odkryć przed nią drogę wyjścia z doliny zwalonych drzew, szlak przebiegający daleko od rozpadliny Jaja. Nikt co prawda nie liczył na to, że jego istnienie pozostanie tajemnicą. Zwiadowcze roboty krążyły po planecie od wielu dni. Badały doliny, strumienie i fumarole. Istniała jednak szansa, że mogą wziąć Jajo za jeszcze jedną formację skalną. Pod warunkiem, że nie zacznie śpiewać.

Wybrana przez Larka ścieżka oddalała się również od kanionu, do którego wysłano niewiniątka – dzieci, szympansy, lomiki, zookiry i gławery. Być może oczy rabusiów nie były jednak wszechwiedzące. Może uda się ukryć coś cennego.

Lark popierał plan mędrców. Jak dotąd.

Na brzegu doliny zbierały się zwykle gromadki gapiów przyglądających się temu, jak czarny sześcian spija blask słońca bez żadnych odbić czy rozbłysków. Gdy dwoje ludzi dotarło na tę wysokość, jedna z grupek uryjskich obserwatorek cofnęła się nerwowo ze stukotem kopyt przypominającym dźwięk kamyków uderzających w twardą skałę. Były to wyłącznie młode samice, które nie wydały jeszcze potomstwa. Ich torby małżeńskie były puste. Takie osobniczki najbardziej lubiły sprawiać kłopoty.

Stożkowate głowy pochyliły się i syknęły. Skierowały się ku ludziom, obniżając trójkąty żłobkowanych zębów. Lark napiął mięśnie barków. Rewq w kieszeni u jego pasa poruszył się nerwowo, wyczuwając w powietrzu złość.

– Przestań! – ostrzegł Ling, gdy ta skierowała ku walącym kopytami ursom jakiś instrument. – Idź przed siebie.

– Dlaczego? Chcę tylko...

– Jestem tego pewien. Ale to nie jest odpowiednia chwila. Ujął ją za łokieć, by przyspieszyła

kroku. Z pierwszego kontaktu wywnioskował, że jest dość silna.

Zza ich pleców wyleciał kamień, który spadł tuż przed nimi. Towarzyszył mu chrapliwy okrzyk.

– Wwiórki!

Zaciekawiona Ling chciała się zatrzymać, lecz Lark pociągnął ją naprzód. Rozległy się kolejne okrzyki.

– Wwiórki!

– Dżikijskiewwiórici!

Znowu poleciały kamienie. W oczach Ling zaczął się rodzić nie-okój.

– Ursy nie rzucają zbyt dobrze – uspokoił ją oschle Lark. – Kie-isko celują, nawet teraz, gdy poznały już łuki i strzały.

– To wasi wrogowie – zauważyła, przyśpieszając kroku z własnej tlicjatywy.

– To zbyt mocne określenie. Powiedzmy po prostu, że ludzie nusieli we wczesnych latach walczyć o swe miejsce na Jijo.

Uryjski motłoch podążał za nimi, z łatwością dotrzymując im kroku. landa krzyczała, by dodać sobie odwagi, aż do chwili, gdy ze wschodu wrzygalopowała inna przedstawicielka ich gatunku i skręciła nagle tuż przed tłumem. Miała odznakę porządkowego zgromadzenia. Rozłożyła zeroko ramiona, demonstrując dwie wypełnione torby małżeńskie oraz tktywne gruczoły zapachowe. Grupa zatrzymała się nagle, gdy ursa (okręciła głową; śmiała, a nawet agresywna, kłapała zębami i odganiała latrętów od dwojga ludzi.

Prawo i porządek jeszcze coś znaczą – pomyślał z ulgą Lark. Ale ak długo to potrwa?

– Co takiego do nas krzyczały? – zapytała Ling, gdy oddalili się xxi osłonę worów o drobnych igłach. – To nie było w szóstym ani v drugim galaktycznym.

– Miejscowy dialekt. – Lark zachichotał. – "Słowo dżikijski" rierwotnie było hoońskim przekleństwem, ale teraz jest powszechnie używane. Znaczy tyle, co "śmierdzący" Jakby te małe, niewyżyte, liezameżne ursy miały prawo kogoś nim obdarzać!

– A to drugie słowo?

Lark zmierzył ją spojrzeniem.

– Obelgi są dla urs ważne. W pionierskich czasach poszukiwały jakiegoś słowa, którym mogłyby nas nazwać, takiego, które wydałoby rię ludziom obraźliwe, a zarazem trafne. Dlatego podczas jednego E wczesnych rozejmów bardzo uprzejmie zapytały założycieli naszej kolonii o nazwę znanego nam zwierzęcia. Takiego, które by żyło na hzewach i słyneło z głupoty.

Jej oczy, jeśli spojrzeć w nie wprost, były wielkie i piękne. Nie takie, jakich można by się spodziewać u piratów. ^ – Nie rozumiem – stwierdziła.

– Dla nich jesteście drzewołazami. Tak samo, jak one musiały naszym przodkom przypominać konie, muły, zwierzęta trawożerne.

– I co z tego? Nadal nie...

– Dlatego staramy się udawać naprawdę obrażonych, kiedy rozgniewana ursa nazwie kogoś z nas wiewiórką. Rozumiesz, to je cieszy.

Zrobiła zdumioną minę, całkiem jakby niektóre aspekty tego wyjaśnienia zbiły jaz tropu.

– Chcecie sprawiać przyjemność swoim wrogom? – zapytała. Lark westchnął.

– Nikt na Stoku nie ma już wrogów. Nie na taką skalę.

A przynajmniej nie miał ich do niedawna – dodał bezgłośnie.

– Dlaczego pytasz? – ciągnął, starając się obrócić ją w przesłuchiwaną. – Czy tam, skąd pochodzisz, jest łatwo o wrogów? Teraz z kolei ona westchnęła.

– Galaktyki są pełne niebezpieczeństw. Nie brak takich, którzy nie lubią ludzi.

– Tak też twierdzili nasi przodkowie. To dlatego, że ludzie są dzikusami, nieprawdaż? Dlatego, że wspomogliśmy się sami, bez pomocy opiekuna?

Ling roześmiała się.

– Och, ten stary mit! Lark wytrzeszczył oczy.

– Czy... Nie chcesz chyba powiedzieć?

– Że znamy prawdę? O naszym pochodzeniu i przeznaczeniu? – Uśmiechnęła się z wyrazem pogodnej wiedzy. – Och, zagubione dziecko przeszłości! Nie było was naprawdę bardzo długo.

Jego stopa zawadziła o kamień. Ling złapała go za ramię, by go podtrzymać.

– Ale o tym możemy porozmawiać później. Najpierw chciałabym pomówić o tych... jak je nazwałś? Wiwiórkach?

Wyciągnęła palec ozdobiony cebulastym pierścieniem, który -jak się domyślał Lark – musiał być urządzeniem rejestrującym dźwięk. Potrzebował siły woli, by przestawić umysł na inne tory, stłumić płomień ciekawości dotyczącej spraw galaktycznych.

– Co? Ach, mówisz o wiewiórkach.

– Z twoich słów wynika, że są człekokształtne i prowadzą nadrzewny tryb życia. Czy zobaczymy jakieś po drodze?

Spojrzał na nią przelotnie, a potem potrząsnął głową.

– Hm, nie sądzę. Nie podczas tej wyprawy.

– W takim razie, co możesz mi o nich powiedzieć? Na przykład, czy wykazują jakieś zdolności do wykorzystywania narzędzi?

Lark nie potrzebował zdolności psionicznych ani rewq, by odczytać nysli swego pięknego gościa. Wyczytał z jej pytania jego oczywisty ;ens.

Czy okazują talent do budowy maszyn? Do wojny i handlu? Do ilozofii i sztuki?

Czy mają Potencjał? Magiczną właściwość niezbędną, by odnieść górzyści z odpowiedniej pomocy?

Czy mają tę rzadko spotykaną domieszkę sprawiającą, że impuls ze •trony opiekuna jest wart zachodu? Potrzebną, by kiedyś zostać gwiezd-lymi wędrowcami?

Czy są kandydatami do wspomagania?

Ukrył zdumienie wywołane jej ignorancją.

– O ile mi wiadomo, to nie – odparł, zupełnie szczerze, jako że edyne wiewiórki, jakie w życiu widział, były wyobrażone na pradaw-iyh wyblakłych ilustracjach wywodzących się ze Starej Ziemi.

– Jeśli przejdziemy obok którejs z nich, będziesz mogła przekonać się sama.

Najwyraźniej gwiezdni rabusie poszukiwali bioskarbów. Cóż innego miała do zaoferowania biedna Jijo, po co warto by było przekradać się)bok strażników Instytutu Migracji, przemierzać gwiezdne szlaki dawno już odstąpione dziwnej, groźnej cywilizacji Zangów, a potem narażać aę na śmiertcionośny węglowy deszcz Izmunuti?

Cóż innego? – zadumał się Lark. Poza azylem. Zapytaj własnych przodków, chłopcze.

Przybysze nie udawali -jak oczekiwałby tego po nich Lark – że prezentują jakąś galaktyczną instytucję bądź też posiadają uprawnienia do zbadania biosfery Jijo. Czy sądzili, że wygnańcy zapomnieli już o takich rzeczach? A może po prostu było im wszystko jedno? Ich cel – uzyskanie danych o zmianach, jakie zaszły od czasu odejścia Buyu-rów – sprawił, że dzieło życia Larka stało się ważniejsze, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał. Do tego stopnia, że Lester Cambel nakazał mu zostawić notatniki, by żaden z nich nie wpadł w obce ręce.

Mędracy chcą, żebym trzymał usta zamknięte. Spróbował wyciągnąć od niej przynajmniej tyle samo,

co ona ode mnie.

Rzecz jasna, plan ten był z góry skazany na niepowodzenie. Członkowie Sześciu byli jak dzieci, nieświadome reguł śmiertelnej gry. Mimo to Lark robi, co będzie mógł, dopóki cele jego i mędrców będą się pokrywały ze sobą. Nie było pewności, że tak będzie zawsze.

Wiedzą o tym. Chyba nie zapomnieli, że jestem heretykiem?

Na szczęście łupieżcy wyznaczyli na jego towarzysza najmniej onieśmielającą osobę ze swego grona. Równie dobrze mógłby to być Rann, potężny mężczyzna o krótko ostrzyżonych siwych włosach, grzmiącym głosie i trójkątnym tułowi, który sprawiał wrażenie, że zaraz wyrwie się z obcisłego uniformu. Pozostała dwójka, która wyłoniła się z czarnej stacji, to był Kunn, niemal równie imponująco męski jak Rann, z barana niczym u młodego hoona, oraz Besh, tak dramatycznie kobieca, że Lark zastanawiał się, jak może poruszać się z podobną gracją mając ciało o równie fantastycznych okrągłościach. W porównaniu ze swymi kolegami Ling wydawała się niemal normalna, choć gdyby dorastała w którymś z miasteczek na Jijo, wzbudzałaby sensację. Z pewnością sprowokowałaby wiele pojedynków między gorąckrwistymi zalotnikami.

Nie zapominaj o swojej przysiędze – powtórzył sobie. Sapał z wysiłkiem, wdrapując się na stromy odcinek ścieżki. Plamy potu pokryły przód bluzki Ling, która przylegała do jej ciała w prowokujący sposób. Zmusił się do odwrócenia wzroku.

Postanowiłeś, że będziesz miał w życiu cel większy niż ty sam. Jeśli nie chciałeś wyrzec się tego zamiaru dla porządnej kobiety z Jijo, nie myśl nawet o rezygnacji z niego dla piratki, obcej, wroga tego świata.

Znalazł nowy sposób na ukierunkowanie żaru wypełniającego mu żyły. Żądze mogły zablokować inne silne emocje. Wzbudził w sobie gniew.

Chcecie nas wykorzystać – myślał bezgłośnie. Ale sprawy mogą się ułożyć inaczej, niż się spodziewacie.

To nastawienie przebudziło w nim nutę uporu, która przewyciężyła jego naturalną ciekawość. Wcześniej Ling wspomniała coś o tym, że ludzie nie są już wśród gwiazd uważani za dzikusów. Nie są sierotami pozbawionymi przewodnictwa opiekuna. Sądząc z wyrazu jej oczu, z pewnością oczekiwała, że ta wiadomość wywoła poruszenie. Na pewno chciała, by błagał ją o dalsze informacje.

Będę błagał, jeśli okaże się to konieczne, ale woleje kupić, pożyczyć i ukraść. Zobaczymy. Gra się dopiero rozpoczyna.

Wkrótce zaczęli mijać gaje busów mniejszych. Ling pobrała próbki ilku segmentowanych łodyg – z których żadna nie miała więcej niż ziesięć centymetrów średnicy – zręcznie odkrawając niemal przezroczyste próbki, które od razu wpadały do analizatora.

– Mogę być tępym tubylczym przewodnikiem, ale założę się, że usy nie wykazują zbytnich oznak przedrozumności – zauważył.

Szarpnęła głową, gdy Lark wypowiedział to słowo, i przynajmniej idna sprawa stała się jasna.

Wiemy, po co tu przybyliście.

Smagła skóra Ling nie ukryła rumieńca.

– Czy sugerowałam coś podobnego? Chcę po prostu prześledzić ryf genetyczny, jaki zaszedł od czasów, gdy Buyurowie sprowadzili tu ;n gatunek. Potrzebny nam punkt odniesienia, do którego porównamy rendy przejawiające się u zwierząt. To wszystko.

A więc zaczynają się otwarte kłamstwa – pomyślał. Dzięki świa-lectwom kopalnym Lark wiedział, że busy świetnie prosperowały na ijo na długo przed tym, nim Buyurowie uzyskali dzierżawę, dwadzieścia milionów lat temu. Być może sprowadzili je tu poprzedni lokatorzy. idy ten

roślinny typ odniósł sukces, drogą koewolucji rozwinęły się wokół niego całe ekosystemy. Obecnie związane z nim były niezliczone wierzęta. Przez pierwszy eon sytuacja musiała być jednak trudna, gdyż •usy wyparły miejscową florę z wielu zlewisk.

Lark nie wiedział wiele o poziomie biochemicznym, lecz dzięki ikamieniałościom miał pewność, że ten rodzaj nie zmienił się zbytnio xi stu milionów lat.

Po co kłamać w tak mało ważnej sprawie?

Zwoje uczyły, że oszustwo to nie tylko zły uczynek, lecz również apryśny, niebezpieczny sojusznik. I do tego uzależniający. Gdy raz aczniesz się mijać z prawdą, trudno jest przestać. Na koniec łgarza femaskują właśnie te małe, niepotrzebne kłamstwa. i – Skoro już mowa o przedrozumności – odezwała się Ling, zamykając próbnik – nie mogę nie zadawać sobie pytania, gdzie schowaliście swoje szympansy. Jestem pewna, że u nich również doszło do interesującego dryfu.

Teraz na Larka przyszła kolej, by zdradzić zbyt wiele przez mimowolny skurcz. Nie było sensu zaprzeczać.

Ludzie nie potrzebują rewqów do tej zabawy. Potrafią odczytywać wskazówki ze swych twarzy. Lester na pewno wiedział, że zdradzę tyle samo, ile się dowiem.

– One są jak dzieci. To oczywiste, że odesłaliśmy je z miejsca, gdzie mogło im zagrażać niebezpieczeństwo. Ling popatrzyła w lewo i w prawo.

– Czy widzisz jakieś niebezpieczeństwo?

Lark omal nie wybuchnął sardonycznym śmiechem. W oczach Ling tańczyły skomplikowane emocje, których mógł się jedynie domyślać. Niektóre myśli były jednak wy starczające jasne, by nie potrzeba ich było wypowiadać na głos.

Wiesz, że ja wiem. Ja wiem, że ty wiesz, że ja wiem. I ty wiesz, że ja wiem, że ty wiesz, że ja wiem...

Istnieje też inna emocja, która potrafi przewyciężyć hormonalną żądzę albo wściekłość gniewu.

Uznanie.

Skinął głową, spoglądając swej przeciwniczce prosto w oczy.

– Poinformuję cię, jeśli będziemy przechodzić obok jakiegoś szympansa, żebyś się mogła przekonać.

Ling miała niesamowicie bystry wzrok. Dowodziła tego wielokrotnie, zauważając poruszenia, które Lark by przeoczył – leśne zwierzątka szukające pożywienia, pasące się czy opiekujące młodymi. Pod tym względem przypominała mu Dwera. Dysponowała też jednak wieloma narzędziami i szybko kierowała je na pełzające, latające czy chodzące po ziemi stworzenia, które przyciągnęły jej uwagę.

Musiała naprawdę studiować stare buyurskie zapiski, gdyż często pomrukiwała z satysfakcją, gdy potrafiła sklasyfikować gatunek krzaka, drzewa lub czteroskrzydłego ptaka, a potem pytała Larka o folklorystyczną nazwę używaną przez tubylców. Odpowiadał jej ostrożnie, mówiąc tylko to, co jako miejscowy ekspert wiedzieć musiał.

Czasami Ling zatrzymywała się i mamrotała coś do swego pierścienia, całkiem jakby kontemplowała to, czego się dowiedziała. Lark zdał sobie z drzeniem sprawę, że z pewnością nawiązuje kontakt z bazą. To była rozmowa na odległość, nie przypominająca semaforu, teleprzekazu, czy nawet rzadko spotykanej psionicznej telepatii. Produkt zaawansowanej techniki, o którym wspominały książki, doskonały i niezawodny. Głos osoby znajdującej się na drugim końcu linii był ledwie słyszalnym szeptem. Lark domyślał się, że skupia się go w jakiś sposób w okolicy jej ucha.

W pewnej chwili Ling zaczęła szeptać w dialektowej formie anglicu, dość trudnej do zrozumienia.

– No, no... Takjezd. Spróbuje przyspieszyć sprawę. Ale musisz się zdecydować – obszar czy

dokładność.

Rozmówca musiał użyć przekonujących argumentów, bo kiedy wznowili marsz, Ling narzuciła szybsze tempo – do chwili, gdy następne ekscytujące odkrycie sprawiło, że zapomniała o swej obietnicy i znowu zaczęła marnować czas nad jakimś intrygującym szczegółem. Ta skaza charakteru – fakt, że jej uwagę tak łatwo odwracał widok żywych stworzeń – wydała się Larkowi pierwszą rzeczą, która mu się szczerze u niej podobała.

I wtedy Ling popsuła ten efekt protekcyjnym traktowaniem, wyjaśniając mu – powoli i w prostych słowach – na czym polega "nocny tryb życia" Lark stłumił złość. Jako dziecko przeczytał wystarczająco wiele powieści przygodowych, by wiedzieć, jak powinien się zachowywać tubylczy przewodnik. Podziękował jej z szacunkiem. Pozwolenie jej na trwanie przy stereotypach mogło się w przyszłości okazać opłacalne.

Bez względu na cały swój entuzjazm i bystry wzrok, Ling nie była myśliwym, takim jak Dwer. Nawet dla Larka w okolicy roiło się od znaków: śladów stóp i złamanych łodyg, kału i oznaczeń terytorium, strzępków futra, łusek, piór i torców. Każde dziecko Sześciu potrafiło odczytywać podobne znaki znajdujące przy szlaku. Ling jednak zda-; wała się dostrzegać tylko to, co było żywe.

Myśl o Dwerze sprawiła, że Lark się uśmiechnął.

Tym razem ja będę mógł mu opowiedzieć szalone historie kiedy wróci ze swego prozaicznego polowania na gławery.

W przerwach Ling rozkładała instrument o dwóch "holioekranach" Jeden z nich ukazywał obraz lasu, który falował i poruszał się, gdy Lark spoglądał jej przez ramię. Listowie powiedziało mu, że przekaz pochodzi gdzieś z bliska. Na drugim ekranie widniały wykresy i liczby, których nie umiał odcyfrować, co było upokarzające. Przeczytał niemal

wszystkie teksty dotyczące biologii przechowywane w Biblos i sądził, że powinien przynajmniej rozumieć słownictwo.

Może ta zabawa w "Tak jest, bwana" to nie do końca lipa. Okazuje się, że mogę jednak być analfabetą.

Ling wyjaśniła, że są to dane pochodzące od jednego ze zwiadowczych robotów, który wspinał się w górę tą samą ścieżką w pewnej odległości przed nimi.

– Czy moglibyśmy przyspieszyć? – zapytała niecierpliwie. – Robot unieruchomił kilka interesujących próbek. Chcę do nich dotrzeć, nim ulegną rozkładowi.

Dotąd to ona zwlekała. Lark jednak skinął tylko głową.

– Jak sobie życzysz.

Pierwszą próbką okazał się nieszczęsny wuank, którego norę rozcięto z gładkością skalpela. Pajęczyna z włóknistego materiału opierała się kolejnym uderzeniom kościstej głowy robaka, który nadaremnie próbował uciec.

Ling przemówiła do swego pierścienia.

– Ta dziko żyjąca forma wydaje się spokrewniona ze zbieraczami rudy sprowadzonymi przez Buyurów z Dezni przed trzema eonami. Organizmy powstałe na Dezni powinny zapadać w sen letni po zastrzyku klatratu metanowego. Spróbujemy teraz większej dawki.

Wycelowała w robaka jakieś urządzenie. Wyłoniła się z niego wąska, połyskująca niczym śmiały drapieżnik rurka, która wbiła się w ryse między dwiema płytami pancerza. Robak wzdrygnął się, po czym oklapł z drżeniem.

– Świetnie. Teraz sprawdzimy, czy w ciągu ostatniego megaroku zaszły zmiany w encefalizacji. To znaczy, czy mają więcej materii mózgowej – wyjaśniła, zwracając się w stronę Larka.

Dobrze się dowiedzieć – pomyślał. Opanował się jednak i na głos powiedział tylko: – To

absolutnie zdumiewające.

Lark nauczył się podawać instrumenty, pobierać krew i spełniać wszelkie polecenia swej pracodawczyni. W pewnej chwili szorstki jak tarka język rozgniewanego długoryja wymknął się na zewnątrz między prętami klatki. Wyrwałby pasma tkanki z ramienia Ling, gdyby Lark nie odciągnął jej na czas. Po tym fakcie najwyraźniej zdała sobie sprawę, że

jej "tubylczy przewodnik" może się przydać do czegoś więcej niż noszenie, dźwiganie i podziwianie.

Choć zebrane przez robota próbki należały do "wielkomózgich" gatunków, których życie łowców bądź wszystkożernych zbieraczy wymagało pewnej inteligencji, Lark nie sądził, by którykolwiek z nich mógł być kandydatem do wspomaganiania.

Może za dziesięć milionów lat, gdy tę galaktykę ponownie otworzy się dla legalnego osadnictwa. Wtedy długoryje lub skokodrapieżniki mogą być gotowe, przetestowane przez ewolucję i szczęście Ifni, nadające się do adoptowania przez jakiś dobrotliwy, starszy gatunek.

Gdy jednak obserwował, jak Ling używa czarodziejskich promieni i próbników, by zbadać padlinożernego prychacza o parszywym wyglądzie, nie mógł sobie nie wyobrazić, jak zwierzę reaguje na to stając na tylnych nogach i recytując odę do braterstwa żywych istot. Grupa Ling była wyraźnie przekonana, że może znaleźć coś cennego, co pojawiło się na Jijo przed przewidywanym terminem.

Gdy już rozwinię się potencjał, potrzeba tylko pomocy opiekuna, by skierować nowy gatunek na Wschodzącą Ścieżkę.

Kilka tekstów w Biblos nie zgadzało się z tym. Twierdzono w nich, że do narodzin nie zawsze potrzeba położnej.

Lark postanowił zbadać tę kwestię podczas następnego etapu podróży.

– Przed chwilą wspominałaś, że Ziemiaków nie uważa się już za dzikusów.

Ling uśmiechnęła się tajemniczo.

– Niektórzy wciąż jeszcze wierzą w ten stary mit. Inni jednak znają prawdę już od dłuższego czasu.

– Prawdę?

– O tym, skąd się wzięliśmy. Komu ludzkość zawdzięcza dar myśli i rozumu. O naszych prawdziwych opiekunach. Mentorach i przewodnikach, którym zawdzięczamy wszystko, czym jesteśmy i czym kiedykolwiek będziemy.

Serce Larka zaczęło bić szybciej. Kilka tomów dotyczących tej kwestii ocalało z pożaru, który pochłonął bibloskie półki poświęcone ksenologii, wiedział więc, że trzy stulecia temu, gdy skradacz "Taber-nacie" wyruszył na Jijo, debata toczyła się jeszcze w najlepsze. W owych czasach niektórzy snuli spekulacje, że na długo przed nastaniem czasów

historycznych ludzkości faktycznie pomogli potajemni dobroczyńcy. Inni – mimo sceptycyzmu galaktycznej nauki – bronili modelu Dar-wina, z którego wynika, że inteligencja może się rozwinąć sama z siebie, bez niczyjej pomocy. Teraz Ling zapewniała, że spór został rozstrzygnięty.

– Kim oni są? – zapytał Lark ścisłym głosem. Ponownie pojawił się uśmiech wtajemniczenia, unosząc jej wysoko ustawione kości policzkowe.

– Prawda za prawdę. Najpierw ty zdradź mi tajemnicę. Co robi banda ludzi na tym małym, ponurym świecie?

– Hm... o której bandzie mówisz? Twojej czy mojej?

Jedyną odpowiedzią był milczący uśmiech, jak gdyby chciała powiedzieć: "Proszę bardzo, baw się w chowanego. Mogę poczekać".

Podążając za wskazówkami pozostawionymi przez niestrudzonego robota, Ling zmierzała od

jednego uśpionego zwierzęcia do następnego. W miarę zbliżania się zmierzchu podkręcała tempo, aż wreszcie dotarli na grzbiet długiej grani. Lark dostrzegł stamtąd kilka następnych płaskowyżów leżących na północ, bliżej szczytów Gór Obrzeżnych. Najbliższy z nich zamiast zwykłej pokrywy miejscowych drzew porastała gęsta murawa ciemniejszej zieleni – łodyg busów wielkich. Były one tak olbrzymie, że nawet z miejsca, w którym stał, można było rozróżnić pojedyncze egzemplarze. Ciągłość obszaru kołyszących się łagodnie rur mąciło kilka plam kamienia i jedna wody.

Ostatnią próbką był pechowy skalny zwłokacz. Gdy przecięli pajęczynę, którą robot pętał swe ofiary, znaleźli tylko zwiniętą w kłębek kulę kolców. Ling szturchnęła zwierzę narzędziem, które zaiskrzyło w krótkim, gwałtownym wyładowaniu, lecz nie wywołało żadnej reakcji. Powtórzyła tę czynność, nastawiając urządzenie na większą moc. Lar-kowi zakręciło się w żołądku, gdy poczuł smród bijącego w górę dymu.

– Zdechł – ocenił. – Chyba wasz robot nie jest jednak doskonały.

Lark wykopał latrynę i przygotował ognisko. Jego posiłek składał się z zawiniętego w liść chleba z serem. Jej zbulgotał, gdy zerwała okrywającą go folię, drażniąc nos Larka nieznanymi, kuszącymi zapachami. Nie było jeszcze całkiem ciemno, gdy zebrał jej puste pojemniki, by zanieść je z powrotem na Polanę i zapieczętować jako odpady.

Ling sprawiała wrażenie skłonnej wznowić konwersację.

– Wasz mędrzec, Cambel, mówi, że nikt nie przypomina sobie dokładnie, dlaczego wasi przodkowie tu przybyli. Niektórzy przedterminowi osadnicy przekradają się na pozostawione odłogiem światy, aby się nielegalnie rozmnażać. Inni uciekają przed wojną lub prześladowaniami. Chciałabym się dowiedzieć, co powiedzieli po przybyciu założyciele waszej kolonii obecnym już tu gatunkom.

Wśród Sześciu określenie "przedterminowi osadnicy" oznaczało małe grupki, które wymykały się ze Stoku, by dokonać inwazji na terytoria zakazane przez święte zwoje.

Sądzę jednak, że wszyscy jesteśmy "przedterminowymi osadnikami" Nawet ci z nas, którzy mieszkają na Stoku.

W głębi serca Lark zawsze to wiedział.

Niemniej jednak rozkazano mu kłamać.

– Jesteś w błędzie – powiedział. Łgarstwo miało obrzydliwy smak. – Jesteśmy rozbitkami. Nasz wspólny statek... Piratka roześmiała się.

– Daj spokój. Ten sprytny trik wprowadził nas w błąd na jakiś dzień. Poznaliśmy jednak prawdę, nim odleciał nasz gwiazdolot. Ta opowieść nie jest wiarygodna.

Lark zacisnął wargi. Nikt nie liczył na to, że kłamstwo będzie trwało długo.

– Dlaczego tak sądzicie?

– To proste. Ludzie przebywają w przestrzeni galaktycznej dopiero od jakichś czterystu lat. Trzysta pięćdziesiąt jijańskich cykli. Jest absolutnie niemożliwe, by Ziemianie znajdowali się na pokładzie statku, który przywiózł na ten świat g'Keków.

– A to dlaczego?

; – Dlatego, mój dobry, wsiowy kuzynie, że w chwili, gdy ludzie I wkroczyli na galaktyczną scenę, nigdzie już nie było żadnych g'Keków.

Lark zamrugnął powiekami. Ling kontynuowała:

– Kiedy was tu wszystkich zobaczyliśmy, stojących na skraju doliny, rozpoznaliśmy większość typów, g'Keków jednak musieliśmy sprawdzić. Wyobraź sobie nasze zaskoczenie, gdy na samej górze rozbrzmiało jedno słowo. To słowo brzmiało: "wymarli".

Lark mógł tylko wybałuszyć oczy.

– Wasi poruszający się na kołach przyjaciele to rzadkie istoty -

zakończyła Ling. – Ci, którzy mieszkają na Jijo, są z pewnością ostatnimi przedstawicielami swego rodzaju.

I to w chwili, kiedy zaczynałem cię lubić... Lark mógłby przysiąc, że w jej oczach załśniła swego rodzaju satysfakcja z szoku, jaki wywołała tą nowiną.

– Widzisz więc – dodała Ling – że oboje znamy prawdy, którymi możemy się podzielić. Właśnie wyznałam ci jedną z nich. Mam nadzieję, że będziesz wobec mnie równie otwarty.

– Czy nie okazałem ci dotąd pomocy? – zapytał ze spokojem w głosie.

– Nie zrozum mnie źle! Wasi mędrcy udzielali w niektórych sprawach bardzo mętnych odpowiedzi. Możliwe, że nie zrozumieli naszych pytań. Ponieważ my dwoje mamy więcej czasu na rozmowy, niektóre kwestie mogą stać się jaśniejsze.

Lark potrafił zrozumieć, co jest grane. Dziel i przesłuchuj. Nie był obecny przy rozmowach ludzi z nieba z mędrkami. Jeśli nie zachowa skrajnej ostrożności, Ling z pewnością schwyta go w sieć sprzeczności.

– Na przykład, kiedy Kurni zapytał o to, czy od chwili przybycia pierwszych przedterminowych osadników na Jijo zaobserwowano inne statki kosmiczne, opowiedziano nam o kulach Zangów, które opadają nad morze, a także odległych światłach widzianych dawno temu, które mogły być statkami mierniczymi Instytutów. Naprawdę jednak interesują nas wypadki, które mogły się wydarzyć znacznie...

Przerwał jej ostry tryl. Ling uniosła palec, na którym miała niebieski pierścień.

– Słucham?

Pochyliła głowę, by lepiej słyszeć szept skierowany do ucha.

– Na pewno? – zapytała. W jej głosie słychać było zaskoczenie. Z torby u pasa wyciągnęła kieszonkowy odbiornik, którego bliźniacze ekrany załśniły obrazami lasu przesuwającymi się naprzód przez coraz gęstszy wieczorny półmrok.

Maszyny nie sypiają – uświadomił sobie Lark.

– Przełączyć wizję z sondy numer cztery na sondę numer pięć – zażądała Ling. Obraz zniknął nagle, ustępując miejsca zakłóceniom. Po prawej stronie wszystkie wykresy i tabele ukazywały poziome kreski oznaczające zero w szóstym galaktycznym.

– Kiedy to się stało? – zapytała piratka swego niewidocznego towarzysza. Lark obserwował jej twarz, żałując, że głos osoby na drugim Icońcu linii jest dla niego tylko niewyraźnym szeptem.

– Puść ostatnie dziesięć minut przed awarią sondy. Lewy ekran wkrótce załśnił obrazami ukazującymi wąski, zielony korytarz ze wstążką nieba na górze i strumieniem porośniętej algami wody w dole. Jego blisko położone ściany składały się z ciasno skupionych łodyg wyniosłych busów wielkich.

– Przełącz na podwójną prędkość – zażądała niecierpliwie Ling. Wielkie kolumny zlały się w plamę szybkiego ruchu. Lark pochylił się niżej. Ten widok wydawał mu się znajomy.

Wąskie przejście przeszło nagle w płytki krater, usianą skalnym gruzem nieckę. W jej środku widniało małe jezioro otoczone ciernistą barykadą splecionych pnączy.

Zaczekaj minutkę. Znam to miejsce...

Przez holioekran pełził siny krzyż nitek łączących się w pobliżu pienistego brzegu jeziora. Po prawej stronie w szóstym galaktycznym błyszczały czerwono techniczne symbole. Lark musiał się wysilać, zdołał jednak rozpoznać niektóre słowa...

.. anomalia... nieznane źródło... silna aktywność cyfrowa...

Poczuł skurcz w żołądku, gdy oko kamery pomknęło w stronę źródła zaburzenia ponad

starożytnymi buyurskimi kamiennymi płytami, a kar-mazynowe symbole skupiły się wokół środka pola widzenia. Wszystko, co znajdowało się wewnątrz owego tunelu uwagi, stawało się wyraźniejsze, podczas gdy obrzeże się zamazywało. Wijące się gorączkowo symbole świadczyły o przygotowaniach, które napełniły Larka trwogą. Szykowano do użycia broń, ładując ją energią.

Dwer zawsze mówił, że ten mierzwopajak jest paskudniejszy od innych i ostrzegał wszystkich, by trzymali się od niego z daleka. Ale •czego, na Jijo, mógł się przestraszyć robot?

Przyszła mu do głowy kolejna myśl.

Mój Boże, czy Dwer nie wybrał się w tamtym kierunku, ścigając tego zbiegłego glawera?

Maszyna zmniejszyła prędkość. Lark rozpoznał gęstą plątaninę starego mierzwopajaka, którego pnącza rozrastały się po pozostałościach akiejś starożytnej buyurskiej budowli.

Obraz minął bladą, skuloną postać. Lark zamrugał powiekami.

Czy to był glawer, leżący na otwartej przestrzeni? Ifni, zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby je ukryć, a ten robot przeleciał obok jednego z nich i nawet go nie zauważył.

Gdy maszyna zwolniła, przez obrzeże pola widzenia kamery przemknęła następna niespodzianka. Chude zwierzę, czworonożne i żyłaste, którego czarne futro niemal zlewało się z ciemnym gąszczem. Białe zęby noora błysnęły przelotnie, gdy zaskoczony stworzenie zaskrzeczało, rzucając wyzwanie pędzącej ku niemu maszynie, a potem zniknęło z boku, gdy robot minął je obojętnie.

Noor? W górach? Nie wiedząc dlaczego, Lark poczuł w ustach smak żółci.

Maszyna zwolniła jeszcze bardziej, wisząc niemal nieruchomo w powietrzu.

.. .cyfrowa inteligencja... poziom dziewiąty lub wyższy... – pulsowały symbole szóstego galaktycznego. W mrocznej plątaninie poniżej nie można było dostrzec wiele, poza jakimiś niewyraźnymi poruszeniami w pobliżu środka skrzyżowanych nitek. Robot musiał namierzać cel za pomocą zmysłów innych niż wzrok.

...autonomiczna decyzja... natychmiastowe położenie kresu groźbie...

Mroczna scena rozjarzyła się nagłą jasnością. Centralne pole załśniło bielą, gdy gniewne snopy błyskawic wdarły się w bagnisko, przecinając meduzowate członki mierzwopajaka. Z miotających się, poprzecinanych pnączy trysnęły wrzące soki. Czerwone tarcze oznaczające cel tańczyły w przód i w tył, poszukując czegoś, co wciąż beładnie uskakiwało, uwięzione w ciasnej przestrzeni.

Ling odczytywała symbole wypełniające prawy ekran, przeklinając fakt, że robot nie potrafił od razu rozprawić się z przeciwnikiem, Lark czuł więc pewność, że tylko on dostrzegł zarys, który pojawił się przelotnie na granicy holioekranu. Rozbłysł tylko na chwilę, lecz Lar-kowi wydało się, że przypalił mu on nerw wzrokowy.

Jedno – nie, dwa skupienia rąk i nóg, splecionych z drżącymi pnączami, kulących się ze strachu przed ogniem szalejącym na górze.

Na ekranach znowu pojawiły się zakłócenia. – Nie, nie mogę tam wyruszyć w tej chwili. To pół mictaara stąd.

Oboje z moim przewodnikiem musielibyśmy brnąć przez ciemność. Będzie trzeba z tym poczekać aż...

Ling znowu zaczęła nasłuchiwać. Westchnęła.

– No dobra, zapytam go. Opuściła pierścień i odwróciła się.

– Lark, znasz tę okolicę. Czy jest tu gdzieś szlak...

Urwała. Poderwała się szybko i spojrzała w lewo, a potem w prawo.

– Lark?

Krzyknęła w noc, która stała się teraz aksamitną ciemnością usianą mrugającym blaskiem trzeciego pod względem jasności spiralnego ramienia tej galaktyki.

– Lark! Gdzie jesteś!

Wiatr poruszył gałęziami nad jej głową, mącąc leśną ciszę. Nie sposób było odgadnąć, jak wiele czasu minęło, odkąd Lark się oddalił, ani w jakim kierunku poszedł.

Ling uniosła z westchnieniem rękę i zameldowała, że została sama.

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedziała na zadane jej pytanie. – Trudno mieć pretensję do nerwowej małpy o to, że się spłoszyła. Nigdy dotąd nie widział tnącej wiązki robota w akcji. Może już być w połowie drogi do domu, o ile w ogóle się zatrzyma, nim dotrze na wybrzeże...

– Tak, tak, wiem, że nie podjęliśmy jeszcze decyzji, ale jest już za późno. To zresztą mało istotne. Usłyszał tylko kilka aluzji i niejasnych wskazówek. Mamy mnóstwo innych rzeczy, którymi możemy przekupić tubylców. A tam, skąd go wzięliśmy, jest takich wielu.

Asx

Ważnie się nasilają.

Wspólnota wije się na oślepie niczym traeki, którego pierścienie i zestawiono w okrutny sposób, bez opiekuńczego związku między złączonymi torusami.

| Galopująca uryjska kurierka przynosi wieści z położonych niżej na |Stoku osad, gdzie lęk i chaos władają niczym despotyczne qheueńskie cesarzowe z dawnych czasów. Niektóre wioski niszczą swe zbiorniki wodne, silosy, słoneczne piece i wiatraki, powołując się na autorytet świętych zwojów, by odrzucić reskrypt wysłany pośpiesznie przez naszą

radę mędrców w dniu przybycia statku, który mówił wszystkim: "poczekamy, zobaczymy".

Inni tymczasem strzegą naszych stodół, portów i jazów, z wysiłkiem gromadzą maskującą roślinność i odpierają ataki rozgniewanych sąsiadów, którzy napadają na ich cenne nieruchomości z pochodniami i łomami.

Czy tu, na zgromadzeniu, nie powinniśmy sprawić się lepiej? Czy na doroczny rytuał zjednoczenia nie zebrali się tu najlepsi spośród Sześciu? Trucizna jednak mąci atmosferę i w tym miejscu.

Początek rozdźwięku: ohydne podejrzenia pod adresem naszego najmłodszego szczepu. Czy nasi ludzcy sąsiedzi mogą być sprzymierzeńcami najeźdźców? Rabusiów? A jeśli w tej chwili nie są, to czy mogą w przyszłości poczuć taką pokusę?

Och, cóż za okropny pomysł! Spośród Sześciu, oni najwięcej wiedzą o nauce. Bez ich pomocy jaką nadzieję możemy mieć na przejrzenie podstępów podobnych bogom przestępców?

Jak dotąd, wiarę częściowo przywrócił szlachetny przykład Lestera i jego zastępców, którzy przysięgają wierność Jijo i naszemu Świętemu Jaju. Czyż jednak plotki i ohydne wątpliwości nie unoszą się wciąż w powietrzu nad tymi spokojnymi polanami niczym pyłki sadzy?

Ważnie narastają. Ekipa zbieraczy wraca z jednej z głębokich jaskiń, w których mnożą się dzikie rewqi. Znaleźli tam gołe ściany i ani jednego symbionta. A te, które mamy w torbach, marnieją. Nie chcą spijać naszych życiowych soków ani pomagać nam w dzieleniu się sekretami naszych dusz.

I nowy rozdźwięk. W każdym gatunku wielu ulega pokusie syreniej pieśni. Słodkim zapewnieniom naszych nieproszonych gości. Obłudnym obietnicom, słowom wyrażającym braterstwo.

I nie tylko słowom.

Czy przypominacie sobie, moje pierścienie, jak gwiazdni ludzie zaczęli rozgłaszać wiadomość, że będą uzdrawiać?

Pod baldachim przeniesiony z terenów, na których odbywały się uroczystości, w cień swej ciemnej, sześcienniej placówki, wzywają kalekich, chorych i rannych. My, mędrcy, możemy tylko się przyglądać,

bezzadni i zdezorientowani, jak nasi poranieni bracia ustawiają się w kolejkach, kuśtykają do środka, a potem wychodzą na zewnątrz w uniesieniu, przeobrażeni i w pewnej mierze uleczeni.

Co prawda, wydaje się, że dla wielu z nich uleczenie jest tylko uśmierzeniem bólu. W niektórych zaszła jednak cudowna zmiana! Wrota śmierci zostały przeobrażone w bramę wiodącą do odzyskanej młodości, wigoru i sił.

Cóż możemy zrobić, zabronić tego? Niemożliwe. Niemniej, jakże bogaty materiał zbierają uzdrowiciele! Fiolki po brzegi wypełniają próbki naszych różnorodnych biologii. Bez względu na to, jakie luki zawierały dotąd nasze dossier, teraz najeźdźcy wiedzą wszystko o naszych silnych i słabych stronach, naszych genach i ukrytych naturach.

Czy ci, którzy wracają z uzdrawiania, są mile witani? Niektórzy nazywają swych szczepowych braci zdrajcami. Inni dopatrują się profanacji i odwracają od nich z nienawiścią.

Dzielimy się więc. Ta nowa wrogość dzieli nas jeszcze bardziej.

Czy wciąż jesteśmy zgromadzeniem? Czy jesteśmy Wspólnotą?

Czy nawet ty, mój-nasz własny trzeci pierścieniu podstawny, dręczony od roku chorobą zwaną łuszczycą torusów, nie próbowałaś skierować tego starzejącego się stosu ku owemu zielonemu namiotowi, w którym oferowano cudowne lekarstwa, aczkolwiek nie bezinteresownie? Jeśli właśnie ogarniają to jestestwo, które inni zwą Asxem, czy społeczeństwo złożone z jednostek może okazać większą zwartość?

Niebo na górze zawsze wzbudzało w nas lęk. Teraz jednak dysonans ogarnia i te łąki, wypełniając nasze dręczone frustracją dni i noce, aż wreszcie gleba Jijo stanie się równie przerażająca, jak jej firmament.

Czy możemy mieć nadzieję, nasze pierścienie?

Dziś w nocy wyruszamy na pielgrzymkę. Najmędrsi spośród Sześciu powloką się z wysiłkiem przez mrok, obok dymiących rozpadlin i mglistych urwisk, by dotrzeć do Świętego Jaja.

Czy tym razem nam odpowie? Czy też nadal trwać będzie sroga cisza ostatnich tygodni?

Czy możemy jeszcze mieć nadzieję?

Istnieje wrażenie, któremu my, tracki, nauczyliśmy się dawać wyraz dopiero po spotkaniu z ludźmi na Jijo. Nigdy dotąd "ja" nie czułem jego ukłucia tak mocno. Jest to strapienie trudne do nazwania w językach

galaktycznych, które podkreślają znaczenie tradycji i bliskich związków, podporządkowując myśli jednostki gatunkowi i klanowi. W angli-cu jednak owo uczucie jest dobrze znane i zajmuje centralną pozycję. Jego imię brzmi samotność.

Dwer

Na zmianę, jedno z nich ratowało życie drugiemu. Nie było to łatwe. Wciąż groziło mu, że jego przytomność zaleją fale

bólu wywołane przez liczne skaleczenia i oparzenia. Na domiar złego

Dwer podejrzewał, że ogłuchł.

Rety wciąż się potykała, nie chciała jednak używać rąk do niczego

innego tylko do przyciskania do piersi swego skarbu.

Ta zdobycz omal ich niedawno nie zgubiła, gdy dziewczyna rzuciła się z krzykiem w wir ognia i kwasowej pary, rozpaczliwie poszukując szczątków swego cennego "ptaka" wśród tłących się kikutów i rozżarzonych pozostałości straszliwej maszyny, która spadła z płonącego nieba.

Gdy Dwer wyciągnął ją stamtąd po raz drugi, miał już tego dość.

Jeśli zawrócisz jeszcze raz, możesz tam sobie zostać na zawsze.

Niósł ją przez odcinek dwóch strzałów z łuku, nie zważając na bolące płuca i poparzoną skórę. Uciekał przed pożarem mierzwopająka aż do chwili, gdy najgorszy smród, żar i dławiące opary zostały daleko z tyłu. Wreszcie położył Rety na brzegu błotnistego potoku przy wylocie z jeziora, po

czym zanurzył twarz i ramiona w chłodzącym strumieniu. Zmniejszyło to o połowę jego cierpienia, co było szokiem tak wielkim, że organizm Dwera z trudem zdołał go wytrzymać. Wciągnąwszy odrobinę wody do płuc, cofnął się, dławiąc się i kaszłąc. Gdy ręce mu się ześliznęły, runął w błoto, gramoląc się w nim z trudem. Gdyby Rety nie złapała go za włosy i nie wyciągnęła na brzeg, mógłby wtedy utonąć.

Dławiąc się suchym kaszlem zaśmiał się ironicznie.

Po tym wszystkim... umrzeć w taki sposób...

Przez chwilę leżeli bez ruchu obok siebie, drżący i wyczerpani, poruszając się tylko po to, by zaczerpnąć błota i rozsmarować je sobie nawzajem po nagiej, poparzonej skórze. Oslaniało ono nagie końcówki

nerwów i dawało pewne zabezpieczenie przed coraz dotkliwszym nocnym chłodem. Dwer pomyślał o ciepłym ubraniu, które miał w plecaku schowanym między głazami gdzieś wśród szalejącego ognia.

I moja kusza, zostawiona na głazie. Stłumił ten niepokój bezgłośnym przekleństwem. Zapomnij o cholernej kuszy! Wrócisz po nią później. Na razie jakoś się stąd wydostań.

Spróbował zebrać siły, by się podnieść. Rety próbowała tego samego i też bez rezultatu. Po każdej próbie osuwała się z jękiem na ziemię. Wreszcie Dwerowi udało się usiąść. Gwiazdy zakołysały się, gdy zachwiały się na nogach, popchnięty lodowatym wichrem.

Ruszaj się, albo zamarzniesz.

To nie był wystarczający powód. Za mało, by przezwyciężyć szok i wyczerpanie.

A więc dziewczyna. Zabierz ją stąd, albo...

Albo co? Z jakiegoś powodu wątpił, by nawet dwa razy silniejsze cierpienia mogły zabić Rety. Kłopoty ją oszczędzały. Była dla nich zbyt użytecznym sojusznikiem i przyjacielem.

Był jednak pewien, że jest na właściwym tropie. W grę wchodziło coś jeszcze. Inny obowiązek. Ktoś czekał na jego powrót...

Glawerzyca. Jego oblepione błotem powieki otworzyły się. Zostawiłem ją związaną. Zginie z głodu. Albo załatwi ją lwotygrys.

Drżąc na całym ciele podźwignął się na kolana i przekonał się, że nie zdoła podnieść się wyżej.

Rety również próbowała wstać. Osunęła się obok niego. Odpoczęli, opierając się o siebie nawzajem.

Kiedy znajdą nasze zamarzniete ciała leżące obok siebie, ktoś na pewno pomyśli, że się lubiliśmy.

Już to samo stanowiło wystarczający powód, by się poruszyć. Jego ręce i nogi nie chciały jednak słuchać poleceń. | Na policzku poczuł dotknięcie czegoś miękkiego i wilgotnego... i Przystań, Rety.

Wrażenie powtórzyło się, mokre i szorstkie.

Co ten dzieciak robi? Liże mnie? Ze wszystkich dziwacznych...

Znowu wilgotny język, zbyt długi i szorstki jak na małą przedterminową osadniczkę. Dwer zdołał odwrócić głowę... i zamrugał powiekami ba widok dwóch wielkich, wyłupiastych oczu obracających się nieza-eźnie od siebie po obu stronach szerokiej, okrągłej głowy. Pysk glawerzycy otworzył się ponownie. Tym razem język wytarł ścieżkę przebiegającą po wardze i obu nozdrzach Dwera. Człowiek wzdrygnął się, po czym zdołał wy sapać:

– S... skąd... skąd...d?

Usłyszał własne słowa, odległe i niewyraźne. A więc nie był zupełnie głuchy.

Rety znalazła lepszy punkt oparcia. Przeniosła rękę z szyi Dwera na kark glawerzycy. W drugiej wciąż ścisnęła swą zdobycz – zlepek różnokształtnych szczątków i przypalonych metalowych piór.

Dwer nie tracił czasu na zastanawianie się nad odmianą losu. Rzucił się na drugi bok glawerzycy, szukając ciepła w jej pokrytej meszkiem skórze. Zwierzę cierpliwie – lub apatycznie – pozwoliło obu ludziom wspierać się o siebie, aż wreszcie Dwer znalazł siłę, by dźwignąć się na nogi.

Na jednej z tylnych łap glawerzycy widać było jeszcze kawałek sznura przegryzionego obok węzła. Za nią stała uśmiechnięta przyczyna tego cudu, trzymając w pysku drugi koniec powrozu. Z szelmowskim błyskiem w oczach Skarpetka wyszczerzył zęby do Dwera.

Zawsze musisz dopilnować, by cała zasługa przypadła tobie, co? – pomyślał Dwer, choć wiedział, że to niewdzięczność.

Kolejna olśniewająca eksplozja przeszła czarne cienie promieniami jasności. Wszystkie dobiegały z gorejącego obszaru nad jeziorem. W ciągu kilku następnych sekund doszło do dwóch dalszych wybuchów, mósiał więc przestać myśleć o powrocie po zapasy. Pożar nie przestawał się rozszerzać.

Pomógł Rety wstać, opierając się na glawerzycy.

No, chodź – polecił jej lekkim skinieniem głowy. Lepiej umrzeć w ruchu, niż leżąc tutaj.

Nawet brnąc przez ciemność, znieczulony chłodem, bólem i zmęczeniem, Dwer nie mógł nie zastanawiać się nad tym, co widział.

Jeden mały, ptakopodobny mechanizm mógł być czymś rzadko spotykanym, lecz wytłumaczalnym – ocalały relikw z buyurskich czasów, który przetrwał w jakiś sposób do współczesnej ery i wędrował zdeorientowany po kontynencie dawno opuszczonym przez jego panów. Ale ta druga maszyna – przeraźliwa, unosząca się w powietrzu

:roźba – nie była błakającą się pozostałością po nieobecnych lokato-ach Jijo. Była potężna i zdecydowana.

Coś nowego na tym świecie.

Zaczęli schodzić razem na chwiejnych nogach inną aleją wiodącą aiędzy dwoma basowymi lasami. Ów wawóz chronił ich przed lodowa-ym wichrem, a także przed koniecznością podejmowania decyzji. \ każdym krokiem oddalali się od szalejącego nad jeziorem pożaru, co >ardzo Dwerowi odpowiadało.

Czy tam, gdzie pojawiła jedna maszyna śmierci, nie mogą się znaleźć lastępne?

Czy inna kwitująca miniforteca mogła przylecieć pomścić swą iostkę? Gdy o tym pomyślał, wąskie, przebiegające pod baldachimem ; gwiazd przejście przestało mu się wydawać azylem. Przerodziło się aczej w straszną pułapkę.

Korytarz o busowych ścianach skończył się wreszcie. Wyszli we szwórke na łakę porośniętą sięgającą kolan trawą kołyszącą się na ilnym, lodowatym wietrze, który całkowicie pozbawiał ich sił. W po-yietrzu unosiły się obłoczki śniegu. Dwer wiedział, że już niedługo on pozostali padną z wyczerpania.

Na brzegu małego potoku, w pewnej odległości od ścieżki, skupił się ;aj karłowatych drzewek. Drżący Dwer trącił łokciem glawerzycę, rażąc jej wejść na chrzęszczącą, skrzypiącą trawę.

Zostawiamy ślady – uskarżał się myśliwy w nim. Przypomniał •obie nauki, które wbijał mu do głowy stary Fallon. "Staraj się trzymać lagiej skały albo wody... kiedy cię tropią, idź z wiatrem..."

Ale te rady na razie zbyt nie pomagały. Instykt poprowadził go la skalny występ, wyniosłość osłoniętą niskimi krzakami. Bez zapalarki ;zy choćby noża albo kawałka krzemienia największe szansę dawało mu Znalezienie schronienia. Oderwał Rety od szyi glawerzycy i popchnął ą naprzód, aż zrozumiała, że ma się schylić i wczółgać pod półkę. Slawerzyca wsunęła się do środka na wszystkich czterech kolanach. Skarpetka przysiadł sobie na jej pomarszczonym grzbiecie. Dwer przy-;iągnął trochę połamanych gałęzi, by wiatr mógł nawiać na nie stosy liści. Następnie on również

opadł na ziemię i wśliznął się do środka, by przyłączyć się do międzygatunkowej płataniny kończyn, futra i skóry. Poczłł niedaleko twarzy czyjś cuchnący oddech.

Płatki śniegu, którymi byli oblepieni, stopiły się, gdy ciasną przestrzeń wypełniało ciepło czterech ciał.

Ale mamy szczęście. Żeby natknąć się na śnieżycę tak późną wiosną – pomyślał. Stary Fallon zwykł mawiać, że w górach są tylko dwie pory roku. Jedną z nich zwano zimą. Druga również była zimą, lecz pojawiło się wtedy trochę zieleni, która wprowadzała w błąd nieostrożnych.

Powtarzał sobie, że pogoda nie jest wcale taka zła. Czy raczej nie byłaby zła, gdyby ubrania nie spłonęły im na ciałach, gdyby nie byli w szoku, albo gdyby mieli zapasy.

Po chwili zdał sobie sprawę, że jego głuchota chyba ustępuje. Usłyszał czyjeś dzwonięcie zębami, a potem jakby szept dobiegający zza jego pleców. Po nim poczuł gwałtowne szturchnięcie w bark.

– Pytam się, czy mógłbyś się trochę posunąć?! – krzyknęła Rety tuż nad jego uchem. – Leżysz na moim...

Przesunął się. Coś kościstego wysliznęło się spod jego klatki piersiowej. Gdy położył się z powrotem, poczuł, że gniecie go lodowaty żwir. Dwer westchnął.

– Nic ci nie jest? Poruszyła się jeszcze trochę.

– Co mówisz?

Wykręcił ciało, by zobaczyć niewyraźny zarys jej sylwetki.

– Dobrze się czujesz?! – krzyknął.

– No jasne. Jak nigdy, tępaku. Świetne pytanie. Wzruszył ramionami. Jeśli miała dość energii aby robić złośliwe uwagi, była zapewne daleko od wrót śmierci.

– Masz coś do jedzenia? – spytała. Potrząsnął głową.

– Znajdziemy coś rano. Do tego czasu nic nie mów, chyba żebyś musiała.

– Dlaczego?

Omali nie powiedział: "Dlatego, że roboty zapewne mają uszy". Po co jednak niepokoić dzieciaka?

– Oszczędzaj siły. Teraz bądź grzeczna i prześpij się trochę. Lekka wibracja mogła pochodzić od dziewczyny, która z sarkazmem powtarzała półgłosem jego słowa. Nie miał jednak pewności – błogosławiony efekt uboczny przeciążenia uszu.

Rozpychając się i szturchając Skarpetka wdrapał się w górę po nodze

)wera, by wcisnąć się pomiędzy niego a Rety. Młodzieniec zmienił trochę pozycję, aby mieć widoczność ponad bokiem glawerzycy. Gdy pojrzał na ścieżkę opuszczoną przez nich przed chwilą, jego twarz (wionął dojmujący chłód. Jako prowizoryczna kryjówka dla myśliwego o miejsce nie było najgorsze. Gdyby tylko więcej śniegu pokryło ydeptany ślad, który zostawili na trawie.

Uciekliśmy przed tobą. Jedyny W Swoim Rodzaju – pomyślał, lapawając się zwycięstwem, którego nie wywalczył. Jego skóra w wielu miejscach wciąż jeszcze była pozbawiona czucia i chłodna, i nie mogło jej rozgrzać nawet ciepło ciała glawerzycy. Były to miejsca, do których rzywał złoisty konserwujący płyn pająka. Nie miał teraz możliwości mycia tych śladów... o ile w ogóle kiedykolwiek zejda.

Ale uciekliśmy, nieprawdaż?

Wydało mu się, że coś delikatnie dotknęło jego umysłu. Nie potrafił go zlokalizować, poczuł jednak dreszczyk niepokoju. Stary, szalony nierzwoy dekonstruktor nie mógł z pewnością ocaleć z piekła, jakie ozpętało się nad jeziorem!

To tylko wytwór wyobraźni. Zapomnij o tym.

Niestety, jego wyobraźnia podsunęła mu również słowa, jakimi E pewnością odpowiedziałby Jedyny W Swoim Rodzaju.

Ach, mój skarbie. Czyż nie powtarzasz tego zawsze?

Drżąc pod wpływem czegoś więcej niż zwykle zimno, Dwer rozpoczął długie czuwanie. Wpatrywał się w lejącą aleję w poszukiwaniu innych dziwnych rzeczy przemykających przełęczą przez Góry Ob-rzeżne.

Z niespokojnego snu wyrwał go jakiś dźwięk. Gdy otworzył oczy, poczuł zimny wiatr. Spróbował skupić się na tym, co przebudziło go tak gwałtownie, lecz jedynym tego efektem była nedorzeczna myśl, że ktoś woła go po imieniu.

, Delfin był już blisko zenitu. Jego bok lśnił niebieskobiałymi gwiazdami, które zdawały się nurkować w mlecznych falach. t Chmury. Do tego znów zaczął padać śnieg. ^ Zamrugnął powiekami, usiłując skupić wzrok. Coś tam się poruszało.

Uniósł rękę, by potrzeć oczy, lecz palce nie chciały się wyprostować. Gdy dotknął nimi twarzy, były jak skamieniałe – objaw wstrząsu połączonego z odmrożeniem.

Tam. Czy to to?

Rzeczywiście, coś się poruszało. Nie był to drugi robot unoszący się z samozadowoleniem na kolumnach mocy, lecz dwunożna postać pędząca w górę stoku w tempie, które Dwer oceniał jako nieprofesjonalne. Przy takiej szybkości nieznajomy zmęczy się znacznie szybciej niż to konieczne. Żaden cel nie był wart podejmowania podobnego ryzyka przy tego rodzaju pogodzie.

Spośród Sześciu tylko hoon albo człowiek mógłby dotrzeć tak wysoko podczas opadów śniegu, a żaden hoon nigdy nie pozwoliłby sobie na aż taki pośpiech.

Hej, ty! Nie przechodź przez busy! Tam jest niebezpiecznie!

Z ust Dwera wydobył się jedynie charkot, który wystarczył za ledwie, do obudzenia noora. Skarpetka uniósł głowę.

Hej, durniu. Czy nie widzisz naszych śladów w trawie i śniegu? Są wyraźne jak buyurska autostrada! Czy jesteś ślepy?

Postać przemknęła tuż obok i zniknęła w mrocznym, przypominającym katedrę przejściu między bliźniaczymi ścianami wyniosłych bu-sów. Dwer opadł na plecy, nienawidząc się za własną słabość.

Wystarczyłby krzyk. To wszystko. Jeden niezbyt głośny krzyk.

Przyglądał się szklistymi oczyma, jak śniegowe płatki wypełniają rynnę w trawie, zacierając powoli wszelkie ślady wiodące do ich skalnej rozpadliny.

Cóż, chyba chciałeś się ukryć?

Być może ich czwórki nikt nigdy nie odnajdzie.

Dwer nie miał sił na ironię.

Ale ze mnie myśliwy. Ale wspaniały myśliwy...

Nieznajomy

Będzie trzeba trochę czasu, by przywyknąć do tej niezwyklej, nieprawdopodobnej podróży drewnianym statkiem, który prześlizguje się przez skaliste kaniony i mija wysokie, kamienne ściany. Jego ruchowi towarzyszy wrażenie niewiarygodnej prędkości. Jest to dziwne, gdyż pamięta, że ongiś podróżował bez porównania szybciej... choć w tej chwili trudno mu sobie przypomnieć, jak właściwie to robił.

Są jeszcze jego współpasażerowie, zbieranina naprawdę zdumiewających typów.

W pierwszej chwili kilku z nich wzbudzało w nim gwałtowne przerażenie, zwłaszcza chlupoczący stwór przypominający wyglądem wysoki stos wypełnionych flegmą pączków, który wypuszcza z siebie skomplikowane smrody drażniące bądź łechcące jego nos i język. Sam widok pomarszczonego stożka wywołał u niego dręczące poczucie niezrozumiałej grozy, dopóki nie zdał sobie sprawy, że coś jest nie tak z tym Joph...

Nie może wydobyć z umysłu tego określenia, tej nazwy, choć poszukuje jej usilnie i sięga w głąb.

Słowa nie przychodzą łatwo. Najczęściej nie przychodzą w ogóle. Co gorsza, nie może mówić ani formułować myśli. Nie rozumie też, gdy inni kierują ku niemu ukształtowane dźwięki. Nawet nazwy, najprostsze z określeń, nie dają się pochwycić, lecz wymykają mu się niczym śliskie stworzenia, zbyt rozgniewane bądź płocze, by tolerować jego dotyk.

Nieważne.

Postanawia zaczekać. Nie ma innego wyboru. Udaje mu się nawet zapanować nad odrazą, gdy ciastowaty, stożkowaty stwór dotyka go, jako że wydaje się oczywiste, iż zamierza go leczyć, a do tego cierpienie zawsze zmniejsza się odrobinę po tym, jak istota oplata oleistymi witkami jego obolałą głowę

Z czasem ten kontakt zaczyna sprawiać mu dziwną przyjemność.

Zresztą z reguły w pobliżu jest ona. Przemawia do niego łagodnie, wypełniając wąski tunel jego uwagi swym uśmiechem, dając mu usprawiedliwienie dla szczypty optymizmu.

! Nie pamięta wiele ze swego poprzedniego życia, przypomina sobie jednak niejasno coś, czym się w nim kierował... nie tyle filozofię, co podejście.

Jeśli wygląda na to, że wszechświat chce cię zniszczyć, najlepszą bronią przeciw niemu jest nadzieja.

IX

KSIĘGA MORZA

Zwoje

Aby być błogosławionym I przy nieść odkupienie, Zapomnienie nie mole przyjąć w sposób nie planowany.

Jego poszczególne aspekty Muszą się zjawić we właściwej kolejności.

Najpierw nadejść musi uwolnienie od uporczywej potrzeby Zniewalania świata materialnego Bądź kształtowania innych istot stosownie do waszych potrzeb.

Waszym celem jest być kształtowanymi. Najpierw przez naturę, A potem przez ręce i umysły Mądrzejszych niż. wy.

Zwój Obietnicy

Opowieść Alvina

Tak oto znaleźliśmy się wysoko, w rzadkim, suchym powietrzu na szczycie Mount Guenn, otoczeni gorącym, pyłem i odorem siarki bijącymi z kuźni Uriel, i o czym chce z nami rozmawiać Gybz Alchemik?

Traeki mówi, że wysyłają nas do innego rodzaju piekła. Ale zaczekaj, Alvin. Snuj opowieść tak, jak robiłby to ludzki narrator z dawnych czasów. Opisz miejsce akcji, a potem wydarzenia.

Gybz wymyśla recepty na metal i szkło w brudnej pracowni w niczym nie przypominającej wymuskaney, nieskazitelnej sali, w której znajdują się wirujące krążki Uriel. Na poplamionych drewnianych półkach leżą kopczyki mineralnych proszków, a w ceramicznych naczy-

niach śmierdzą toksyczne ciecze. Jedyne, wąskie okno wychodzi na północ, gdzie widok ciągnie się aż do plamy powodujących ból oczu barw, która może być jedynie Tęczowym Wyciekami. Znaczy to, że pokój jest ulokowany tak wysoko, jak tylko można się wspiąć, nie wpadając w kipiącą kalderę Mount Guenn.

Pod oknem muchy zlatywały się na stos nieźle już nadpsutej kuchennej mierzwy. Miałem nadzieję, że nie przerwaliśmy Gybzowi obiadu.

Nasza czwórka – Huck, Koniuszek, Ur-ronn i ja – weszła na górę, do alchemicznego laboratorium,

na rozkaz Uriel, wielkiej kowalicy, władczyni tej fortecy przemysłu, która przysiadła na drżącym kolanie Jijo. Z początku pomyślałem sobie, że wysłała nas tam tylko po to, by pozbyć się irytującej młodzieży i spokojnie porozmawiać z ludzkim mędrcom o tym, jak ulepszyć jej ukochany mobil złożony z przekładni, krążków i wirującego szkła. Jej główna pomocnica, Urdonnol, mruczała coś na znak dezaprobaty, gdy prowadziła nas pod górę długą rampą w stronę mieszalni, w której pracował traeki. Tylko nasza koleżanka Ur-ronn sprawiała wrażenie wesołej, niemal pełnej entuzjazmu. Huck i ja wy mieniliśmy spojrzenia, zastanawiając się, skąd to się u niej bierze.

Odpowiedź poznaliśmy, gdy Gybz wysunął swe cętkowane, stożkowe cielsko zza stołu warsztatowego. Z mówiącej rury tworzącej fałdę na trzecim od góry pierścieniu popłynęły słowa:

– Zdolna młodzieży czterech gatunków, bądź przywitana! Wspaniale wieści dla was zaszczytem jest przekazać. Decyzja o zaaprobowaniu waszej ekspedycji, oto co się wydarzyło. Waszą próbę osiągnięcia, odwiedzenia, zbadania najbliższych obszarów Górnego Śmietniska, oto co możecie podjąć.

Gybz przerwał, wypuszczając obłoczki z fioletowego pierścienia syntezy. Gdy odezwał się ponownie, mówił w szczebiotliwym, niepewnym anglicu, głosem, w którym słychać było wysiłek.

– Próba otrzyma... pełne wsparcie Kuźni Mount Guenn. Jako dowód tego poparcia, ujrzyjcie... swe ukończone okno!

Mistrz mieszanek wskazał owiniętą wokół ciała macką na stojącą obok ściany drewnianą skrzynię, z której zdjęto pokrywę. Wśród kłębu-szków delikatnych trocin lśniła tam wypukła szyba z grubego szkła, na której oko nie dostrzegало skazy.

Koniuszek Szczypiec zatańczył podekscytowany. Jego stopy o czerwonych szczypcach zastukały głośno w kamienną podłogę.

– Jest piękne... kne! Gybz zgodził się z nim.

– Pokryto je odpowiednimi powłokami, by zapewnić dobrą widoczność w planowanym środowisku.

Ur-ronn zatoczyła krąg długą szyją, by przyjrzeć się wypukłej szybie.

– Ostatnia faza była trudna. Gyfz, dziękuję za znakomitą fowłokę! Zwróciła się do Huck i do mnie, by to wyjaśnić.

– Fo wielu nesiącach zwłoki, trzy dni temu Uriel fozwoliła nagle na dokonanie odlewu. A fonieważ wyniki wyły dowre już za fierwszyn fodejścien, zaliczy ni to na kun-uru!

Tym słowem w uryjskim dialekcie z równin określano majstersztyk. Dzieło dające wykonawcy status rzemieślnika. Był to znaczący krok dla spełnienia ambicji Ur-ronn.

Oprócz niej nikt z nas nie zaczął jeszcze nauki zawodu ani nawet nie zdecydował, co chciałby robić – pomyślałem z zazdrością. Z drugiej strony, ursy muszą się śpieszyć. Nie mają zbyt wiele czasu.

Spojrzałem na Urdonnol, która była główną konkurentką Ur-ronn do tytułu dziedziczki Uriel. Nie potrzebowałem rewqą, by dostrzec jej irytację całym tym zamieszaniem wywołanym czymś, co nazywała "dziecinny hobby" – budową eksperymentalnego statku głębinowego.

Powinnaś wiedzieć lepiej – pomyślałem, litując się trochę nad Urdonnol. Uriel również oddaje się bezużytecznej rozrywce. Z jej sali pełnej obracających się krążków też nie ma żadnego pożytku. Podobieństwo pomiędzy nimi nie polega tylko na zapachowym pokrewieństwie.

Dla Ur-ronn było to również sprytne posunięcie ułatwiające karierę. Cieszyłem się w imieniu naszej przyjaciółki.

– Szkło foddano frówon. Wytrzyma ciśnienie hydrostatyczne większe niż na głęwokości pięćdziesięciu sznurów – zauważyła z widoczną satysfakcją. – A kiedy doda się lanfy i inny sfrzęt,

który Uriel zgodziła się ufrzejnie nań...

– Nam? – wtrąciła się Huck, psując nastrój. Obróciła się, by spojrzeć na Ur-ronn trójką wysuniętych oczu. – Co za "nam", bezwod-niaczko? Masz ochotę wybrać się z nami?

Wąska głowa Ur-ronn odskoczyła do tyłu, wpatrzona w Huck. Nasza uryjska koleżanka opuściła szyję, która przybrała kształt litery S.

– Tak... Jeśli wędę nogła.

– Huck! – Skarciłem ją. Paskudnie było wypominać Ur-ronnjej słabości. Słyszałem, jak szprychy g'Keczki zawibrowały z napięcia.

Gybz przerwał nam, ponownie wypuszczając powietrze, tym razem o woni zardzewiałego metalu.

– O ile to możliwe, uryjska obecność byłaby wskazana. – Wydawało się, że trackiemu brakuje tchu. – Jeśli jednak okaże się to niemożliwe, nie obawiajcie się. Osoba z Mount Guenn będzie... towarzyszyć wam w tym śmiałym przedsięwzięciu... aż do najgłębszych głębin.

Trudno mi było zrozumieć urywany, skandowany anglic Gybza. Wymieniliśmy z Huck zdezorientowane spojrzenia.

– Toja-my... będziemy w części towarzyszyć... tej czcigodnej grupie – wyjaśnił Gybz, charcząc przez najwyższy pierścień. Powiedziawszy to, traeki zademonstrował coś, czego nikt z nas się nie spodziewał. Obrócił się z szuraniem, by odsłonić sączący wydzielinę pęcherz na swej przeciwległej stronie, w połowie wysokości mięsistego stosu. Nie była to normalna wypukłość, w której traeki mógłby wytwarzać nową mackę albo przygotowywać chemikalia dla kuźni. Przez obrzękły obszar przebiegała szczelina odsłaniająca coś gładkiego i wijącego się, co znajdowało się w środku.

Wytrzeszczyłem oczy. Zdałem sobie sprawę, że traeki na naszych oczach dokonuje wlenowego pączkowania!

W miarę jak pęknięcie się poszerzało, mistrz mieszanek zaczął dygotać. Z akompaniamentem bulgotu złożonego z licznych, przyprawiających o lekkie mdłości dźwięków, coś zaczęło wyslizgiwać się na zewnątrz przez otwór, a potem osuwać w dół po pochyłym boku trackiego, ciągnąc za sobą luźne włókna.

– Jejku... ku... ku... ku... ku... – powtórzył Koniuszek każdym otworem nogowym po kolei. Jego taśma zmysłowa zawirowała gorączkowo. Podenerwowana Urdonnol odsuwała się ukradkiem, podczas gdy Huck toczyła się w przód i w tył, rozdarta między ciekawością a odrazą. Poczulem ostre, bolesne drapania, gdy mała Huphu, nasza noorska maskotka, wdrapała mi się na plecy i usiadła na ramieniu, warcząc niespokojnie. Półświadomie pogłaskałem jej gładkie futro, wydając z siebie burkot, który musiał brzmieć bardziej uspokajająco, niż pozwalał na to stan moich uczuć.

Na podłodze z chlupnięciem wylądowało połyskujące śluzem stworzenie. Leżało niemal nieruchomo. Przez jego poczwórny, zbudowany z miniaturowych pierścieni torus przemykały drobne fale. Pod sflaczałą skórą trackiego rodzica przebiegały tymczasem drżenia towarzyszące ponownemu zestawianiu.

– Nie ma powodu... do niepokoju – wymamrotał nieco zmieniony głos dobiegający z oracyjnego szczytu starego stosu pierścieni. – Ja-my dostrajamy się... rekonfigurujemy.

Były to uspokajające słowa, ale wszyscy wiedzą, że wlenowanie jest dla trackich niebezpieczne, gdyż jedność starego stosu zostaje zakwestionowana i czasami się rozpada. Z tego powodu większość z nich wybiera rozmnażanie zewnętrzne. Hodują nowe pierścienie pojedynczo, w zagrodach, bądź też kupują je od wykwalifikowanych hodowców, dokonując licznych wymian, by uzyskać pełen zestaw cech, jakich pragną u swego potomstwa. Słyszałem jednak, że wlenowanie ma swoje zalety. Pan Heinz twierdzi, że był świadkiem kilku, ale założę się, że nigdy nie widział, by czteropoziomowy pączek wyłonił się w ten sposób, zestawiony już w stos i poruszający się o

własnych siłach!

– Do tego nowo oddzielonego osobnika można się tymczasowo zwracać Ziz. Na ten zwrot słowny powinien reagować, o ile utrwalone nauki okażą się skuteczne. Jeśli zaszczytnie spełni swe zadanie, będzie mógł wrócić, by poddać się powiększeniu jako kandydat do pełnego życia. Tymczasem wyszkolono go... by pomógł w waszej misji, wyposażając go w cechy, których możecie potrzebować.

– No, nie wien. – Głowa Ur-ronn obróciła się dookoła, wyrażając dezorientację. – Czy chcesz...

– Gybz, co mamy... – wymamrotała Huck. Tracki przerwał jej.

– Ja-my nie reagujemy już na to imię. Nasze pierścienie przeprowadzają w tej chwili głosowanie.

Proszę nic nie mówcie ani nie przeszkadzajcie im w inny sposób.

Umilkliśmy, obserwując ze zdumieniem, jak istota dosłownie walczy ze sobą, wewnątrz siebie. Z podstawnego segmentu aż do samej góry przebiegła zmarszczka, która zakończyła się prychnięciem żółtą parą. We wszystkie strony, poziomo i pionowo, przemykały fale. Trwało to wiele dur. Obawialiśmy się, że Gybz rozerwie się na części.

Wreszcie drżenia osłabły, a potem uspokoiły się. Narządy zmysłowe

trackiego odzyskały sprawność. Słowa popłynęły z fałdy ust głosowych. Ich brzmienie było zmienione.

– Decyzja zapadła. Możecie tymczasowo nazywać nas-mnie Tyug. Są spore szansę, że ten stos zareaguje. Kolejny atak pulsowania.

– Ten „ja” odpowie. Poinformujcie proszę Uriel, że ta rzecz się dokonała. Powiedzcie jej też, że moje-nasze najważniejsze rdzenie umiejętności wyglądają na nienaruszone.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, czym ryzykowano podczas wlenowania. Mistrz mieszanek jest .kluczowym członkiem zespołu Uriel. Gdyby Gybz – Tyug – nie zdołał zapamiętać wszystkich tajników swego zawodu, stopy z Mount Guenn mogłyby utracić połysk albo zdolność cięcia bądź też nie rozkładać się z upływem czasu tak całkowicie.

Jaki byłem głupi. Przez cały czas obawiałem się tylko o życie biednego trackiego.

Huphu ześliznęła się z mojego grzbietu i zbliżyła do świeżo uformowanego trackiego półjestestwa. Kompletowało już ono zestaw płetwo-watych stóp pod najniższym segmentem i wymachiwało niezgrabnymi mackami wyrastającymi ze szczytowego pierścienia, który był krótki i gruby. Noorka obwąchała podejrzliwie, po czym usiadła spokojnie, wydając tryl zadowolenia.

I tak to Huphu pierwsza przywitała Ziza, najnowszego członka naszej bandy.

Gdyby był wśród nas jeszcze ludzki dzieciak, stalibyśmy się prawdziwą szóstką.

Każdy marynarz wie, że omeny bywają czymś dobrym. Szczęście jest superpołyskliwie. Kapryśne, ale o całą cholere lepsze niż jego alternatywa.

1 Miałem wrażenie, że będzie nam potrzeba tyle pomocy Ifni, ile tylko i zdołamy otrzymać.

x KSIĘGA STOKU

Legendy

Wśród qheuenów opowiada się, że ucieczka na Jijo była nie tyle kwestią przetrwania, co kultury.

Legendy przekazywane przez opancerzone istoty od chwili ich lądowania na Jijo przed ponad tysiącem lat są sprzeczne. Szarzy, niebiescy i czerwoni mają własne wersje wypadków, które wydarzyły się przed i po przybyciu ich skradacza.

Zgadniają się jednak co do tego, że wszystko zaczęło się w Pierwszej Galaktyce, gdzie ich szczep popadł w konflikt z własnym sojuszem.

Zgodnie z naszym ocalałym egzemplarzem Podstaw galaktycznej socjopolityki autorstwa Smelta,

większość gatunków gwiazdnych wędrowców jest członkami klanów. Podstawę owej przynależności stanowi długi łańcuch wspomagania. Na przykład. Ziemiński Klan jest jednym z najmniejszych i najprostszych, gdyż składa się tylko z ludzi i ich dwóch podopiecznych: neoszympanów i neodelfinów. Jeśli kiedykolwiek odnajdzie się opiekunów, którzy jakoby wspomogli Homo sapiens, może to włączyć Ziemiaków w skład wielkiej rodziny o historii sięgającej długie wieki w przeszłość, być może aż do Przodków, którzy przed miliardami lat rozpoczęli cykl wspomagania. Uzyskawszy członkostwo w podobnym klanie. Ziemiaki mogliby się stać znacznie silniejsi. Mogłyby też na nich spaść liczne starożytne długi i zobowiązania.

Inna sieć powiązań, oddzielna, opiera się na filozofii. Wiele zjadłych konfliktów i sformalizowanych honorowych wojen, które dzielą galaktyczną kulturę, bierze swój początek w sporach, których żaden członek Sześciu nie pamięta ani nie pojmuje. Wielkie sojusze ścierały się ze sobą z powodu tajemniczych rozbieżności teologicznych, jak na przykład kwestia natury dawno zaginionych Przodków.

Powiadają, że gdy qheueni mieszkali wśród gwiazd, byli członkami Sojuszu Oczekujących. Odziedziczyli tę przynależność po swych opiekuni

nach Zhoshach, którzy odkryli i adoptowali ich prymitywnych przodków mieszkających w położonych w nadmorskich urwiskach kopcach zdominowanych przez wojownicze szare królowe.

Sprawy mogłyby wyglądać prościej, gdyby Zhoshowie wspomogli tylko szarych. Obdarzyli jednak tym samym wzmocnieniem myśli i rozumu również kasty służebne. Nie był to jeszcze koniec, gdyż zgodnie z naszą wiedzą filozofia Oczekujących jest egalitarna i pragmatyczna. Sojusz dostrzegł u czerwonych i niebieskich użyteczne uzdolnienia. Zapadły orzeczenia domagające się osłabienia więzów posłuszeństwa podporządkowujących ich szarym.

Cześć qheuenów uciekła przed tą ingerencją, poszukując miejsca, w którym mogliby w spokoju żyć "zgodnie ze swą naturą".

Tak w skrócie przedstawia się powód, dla którego przybyli tutaj.

Na Jijo trzy typy do dziś nie mogą się zgodzić, kto pierwszy zdradził kogo. Szarzy twierdzą, że kolonia powstała w harmonii, dyscyplinie i miłości. Wszystko szło dobrze aż do chwili, gdy ursy, a potem ludzie wznieśli niezadowolenie wśród niebieskich. Inni historycy, jak Rzeczny Nóż i Tnąca Koral gwałtownie sprzeciwiają się tej opinii.

Bez względu na przyczynę, wszyscy przyznają, że kultura qheuenów na Jijo jest obecnie jeszcze mniej tradycjonalistyczna niż ta, od której uciekli ich przodkowie.

Tak ironicznie układają się wydarzenia, gdy dzieci ignorują życzenia rodziców i zaczynają myśleć niezależnie.

Zebrane bajki Siedmiu z Jijo. Wydanie trzecie. Katedra Folkloru i Języka. Biblos. Rok Wygnania 1867

Asx

Nagle ich pytania zaczynają zmierzać w innym kierunku. Nuta napięcia – niezupełnie strachu, lecz czegoś spokrewnionego z tą uniwersalną namiętnością – pojawia się raptownie w głosach najeźdźców.

I wtem, pewnej nocy, ich niepokój przybiera pośpieszną, fizyczną postać.

Zagrzebali swą czarną stację!

Czy pamiętacie tę niespodziankę, moje pierścienie? O zmierzchu była na miejscu, pogodna, arogancko nie zważająca na otwarte niebo. Sześcienny kształt, odrażający w swej sztuczności.

Gdy powróciliśmy o świcie, na jej miejscu leżała sterta ziemi. Ocenivszy wielkość kopca, Lester

doszedł do wniosku, że stacja musiała wykopać dół, przenieść się w jego głąb i przysypać glebą jak żuk wiertnik uciekający przed grzebiącym nietoperzem.

Domysł Lestera okazuje się trafny, gdy Rann, Kunn i Besh wychodzą spod ziemi gładkim, ciemnym tunelem, by wznowić rozmowy pod baldachimem negocjacyjnym. Tym razem postanawiają skupić się na maszynach. Zwłaszcza na tym, jakie urządzenia ocalały z czasów Bu-yurów. Chcą się dowiedzieć, czy starożytne zabytki pulsują jeszcze życiową siłą.

Twierdzą, że zdarza się to na niektórych pozostawionych odłogiem światach. Gdy niedbałe gatunki odlatują, porzucając swe światy na eon odpoczynku, pozostawiają po sobie niezliczonych automatycznych służących. Bliskie doskonałości, samonaprawiające się mechanizmy mogą przetrwać długo, błędząc bezpiecznie po terenie pozbawionym żywych głosów.

Pytają nas, czy widzieliśmy jakieś mechaniczne sieroty.

Próbujemy im wytłumaczyć, że Buyurowie byli skrupulatni. Że sumiennie zdemontowali swe miasta bądź też zburzyli je i wypełnili dekonstruktorami. Ich mechanicznych służących zarazono memowym przymusem nakazującym tym, którzy zachowali zdolność ruchu, szukać schronienia w głębokim rowie zwanym przez nas Śmietniskiem. We wszystko to naprawdę wierzymy, lecz ludzie z nieba zdają się wątpić w nasze słowa.

Pytają (ponownie!) o odwiedziny. Czy widzieliśmy jakieś ślady innych statków, ukradkowo przylatujących w celach, o których niejasno napomykają, lecz nigdy nie nazywają ich głośno?

Zgodnie z planem, ukrywamy naszą wiedzę. W starych ludzkich opowieściach i książkach jest to metoda często używana przez słabych podczas konfrontacji z silnymi.

"Udawajcie głupich" – sugeruje tradycja. "A jednocześnie obserwujcie i przysłuchujcie się uważnie".

Ach, ale jak długo może nam się udawać? Już teraz Besh przepytuje tych, którzy zgłaszają się na uzdrawianie. W swej wdzięczności niektórzy z nich z pewnością zapomną o zakazach.

Wkrótce zacznie się następny etap, a nasze przygotowania są dopiero w punkcie wyjścia.

Czwarta z ludzkich łupieżców, Ling, wraca z wyprawy badawczej. Czy nie wyruszyła na nią w towarzystwie młodego heretyka, Larka? A jednak pojawia się sama.

– Nie – mówimy jej. – Nie widzieliśmy go. Nie przechodził tędy. Czy nie możesz nam powiedzieć, dlaczego cię opuścił? Dlaczego zostawił cię w lesie, nie wykonawszy wyznaczonego mu zadania?

Obiecujemy jej nowego przewodnika. Oheueńskiego naturalistę Ut-hena. Staramy się ją udobruchać.

Gdyby tylko nie opuściły nas nasze rewqi! Kiedy ja-my pytamy Lestera, w jakim nastroju jest kobieta – co może odczytać z jej zachowania – wzdryga się i odpowiada, że nie potrafi tego określić.

Sara

Zebrana ad hoc grupa pasażerów i członków załogi urządziła koncert na eliptycznej rufie "Hauph-woa", by powitać nieznanego wśród żywych.

Ulgor postanowiła zagrać na wiolusie, strunowym instrumencie wywodzącym się od ziemskich skrzypiec, lecz dostosowanym do zręcznych uryjskich palców. Gdy go stroiła. Brzeszczot nachylił swą niebie-skozieloną skorupę nad mirlitonowym bębniem, głaszcząc jego napiętą membranę swym masywnym, złożonym językiem, od czego dudniła i warczała. Jednocześnie we wszystkich pięciu nogach trzymał dzbanki wypełnione do różnych poziomów wodą. Próbnym podmuchy powietrza z otworów głosowych wygrywały tony na każdym z nich.

Pzora, traECKi farmaceuta, wyznał skromnie, że brak mu jakichkolwiek talentów muzycznych, zgodził się jednak zagrać na kilku metalowych i ceramicznych instrumentach perkusyjnych. Hooński sternik miał śpiewać, a do tego profesjonalny tancerz-skryba zaszczylił prowizoryczną grupę,

zgadzając się akompaniować jej na g'Kecki sposób wdzięcznymi ruchami szypulek oraz sławnych tanecznych ramion,

przywodzących na myśl kołysanie się drzew, niesiony wiatrem deszcz albo ptaki w locie.

Prosiła Sarę, by uzupełniła szóstkę, odmówiła jednak. Jedyнным instrumentem, na którym potrafiła grać, był fortepian ojca, stojący w jego domu przy wielkiej tamie; nie wychodziło jej to jednak najlepiej.

I co z rzekomą korelacją między muzyką a matematyką? – pomyślała z ironią. Zresztą chciała mieć oko na nieznanego, na wypadek, gdyby wydarzenia wywołały u niego kolejny atak hysterii. Jak dotąd wyglądał na spokojnego. Spoglądał ciemnymi oczyma, które sprawiały wrażenie przyjemnie zaskoczonych niemal wszystkim.

Czy był to efekt jego stanu? Urazy głowy powodowały niekiedy utratę pamięci – albo nawet zdolności zapamiętywania – przez co wszystko zawsze wydawało się nowe.

Przynajmniej może czuć odrobinę radości – pomyślała. Wystarczyło popatrzeć, jak się rozpromieniał za każdym razem, gdy nadchodziła. Wydawało się to dziwne i słodkie, że kogoś tak niezawodnie cieszył jej widok. Być może gdyby była ładniejsza, nie byłoby to tak oszałamiające. Przystojny, ciemnowłosy cudzoziemiec jest jednak chory, przypomniła sobie. Nie w pełni władz umysłowych.

A jednak – zadumała się – czymże jest przeszłość, jeśli nie fikcją wytworzoną przez umysł, by umożliwić mu funkcjonowanie?

Spędziła cały rok na ucieczce przed wspomnieniem, z powodów, które wówczas wydawały się ważne.

Teraz to po prostu przestało się liczyć.

Martwiła się o to, co dzieje się w Górach Obrzeźnych. Bracia wciąż zaprzęтали jej myśli.

Gdybyś przyjęła złożoną przez Taine'a propozycję małżeństwa, mogłabyś mieć już dzieci i niepokoiłabyś się również o ich przyszłość.

Fakt, że odmówiła czcigodnemu, siwowłosemu mędrcomu wywołał poruszenie. Ilu innych mężczyzn mogło poprosić o rękę nieśmiałą córkę papiernika, dziewczynę o nieszczególnej figurze, młodą kobietę, którą bardziej pasjonowały symbole wypisane na papierze niż taniec czy inne umiejętności niezbędne aby móc flirtować? Wkrótce po tym, jak odtrąciła Taine'a, zaloty Joshu potwierdziły słuszność jej decyzji. Niedługo jednak zdała sobie sprawę, że może być dla młodego introligatora nie więcej niż rozrywką umilającą rok, który musiał spędzić w Biblos jako czeladnik.

Jest w tym ironia, prawda? Lark mógłby przebierać w młodych kobietach na Stoku, lecz wyznawana przez niego filozofia kazała mu wybrać celibat. MOJC wnioski dotyczące Jijo i Sześciu są przeciwieństwem jego poglądów, a mimo to też jestem sama.

Odmienne szlaki wiodące do tego samego ślepego zaułka. A teraz przybywają bogowie z kosmosu, by skierować nas na drogę, na której nie widzimy oznakowania.

Nadal brakowało im szóstego wykonawcy. Choć to ludzie sprowadzili na Jijo instrumenty strunowe, w mieszanym sekstecie ich tradycyjnym instrumentem był flet. Jop grał na nim biegle, lecz odmówił wzięcia udziału w występie, woląc zagłębić się w swej księdze zawierającej zwoje. Wreszcie młody Jomah zgodził się przyłączyć, żeby nie zapeszyć. W rękach trzymał parę łyżek.

I tyle ze sławetnego wkładu Ziemiaków w życie muzyczne na Jijo.

Ukryty pod ciężką skorupą Brzeszczota mirliton wydał z siebie niski, dudniący dźwięk. Wkrótce dołączyło do niego żalobne westchnienie jednego z dzbanków, ustawionego pod lewą przednią nogą qheuena. Jego taśma widząca mrugnęła na Ulgor. Ursa pojęła wskazówkę. Uniosła wiolus, dotknęła podwójnym smyczkiem strun, wydobywając z nich bliźniacze, drżące dźwięki upiększające basowy

jęk mirlitonu. Zagrali złożony akord, który trwał...

Harmonijny ton duetu zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Sara wstrzymała oddech, by żaden dźwięk nie zmącił nadzwyczajnego konsonansu. Nawet Fakoon potoczył się naprzód, wyraźnie poruszony.

Jeśli dalszy ciąg będzie podobny do tego...

Pzora wybrał następną chwilę, by się włączyć, zakłócając bolesną słodycz ochoczym brzękiem dzwonek i talerzy. Dolański farmaceuta sprawiał w swej gorliwości wrażenie nieświadomego, co zniszczył. Wyprzedził rytm, zatrzymał się, a potem znowu pognął naprzód. Po s pełnej zdumienia chwili ciszy członkowie hoońskiej załogi ryknęli i śmiechem. Noory na masztach zajazgotały, gdy Ulgor i Brzeszczot | wymienili spojrzenia, do których interpretacji nie trzeba było rewą – równoważniki wruszenia ramionami i mrugnięcia. Grali dalej, włączając entuzjazm Pzory w chwytliwy, czterogłosowy rytm.

Sara przypominała sobie, jak matka uczyła ją grać na pianinie, wykorzystując muzykę, którą zapisano na papierze, co obecnie było

niemal zapomnianą sztuką. Jijańskie sekstety tkwały swe improwizowane harmonie z oddzielnych nitek, które łączyły się i rozdzielały od jednego szczęśliwego przypadku do drugiego. Ludzka muzyka w większości przedkontaktowych kultur również funkcjonowała w ten sposób, nim europejski zachód wynalazł symfonie i inne bardziej rygorystyczne formy. Tak przynajmniej Sara wyczytała w książkach.

Przewycięzając nieśmiałość, Jomah zaczął uderzać łyżkami, podczas gdy Brzeszczot zagrał szereg zdyszanych, brzęących jak by się wydobywały z organów parowych nut. Hooński sternik nadał worek rezonansowy, by odpowiedzieć na łoskot mirlitonu. Zaśpiewał improwizowaną pieśń, używając słów, które nic nie znaczyły w jakimkolwiek znanym języku.

Nagle Fakoon potoczył się naprzód, kołysząc delikatnie ramionami w sposób przywodzący Sarze na myśl wznoszący się łagodnie w górę dym.

To, co było znakomite, a potem śmieszne, szybko zaczęło przejawiać jeszcze wyżej cenioną jakość.

Jedność.

Spojrzała przelotnie na nieznanego. Jego twarzą owładnęły emocje. Oczy załśniły zachwytem na widok pierwszych ruchów Fakoon. Uderzał radośnie lewą dłonią w koc, wybijając rytm.

Widać po tym, jakiego rodzaju człowiekiem był – pomyślała. Nawet straszliwie okaleczony, cierpiący okropny ból, dopóki jest przytomny, zachwyca się dobrymi rzeczami.

Ta myśl wywołała skurcz w gardle. Zaskoczona Sara odwróciła się, ukrywając dławiającą falę smutku, która nagle zmąciła jej wzrok.

Wkrótce potem ukazało się im Tarek, miasteczko usadowione między łączącymi się rzekami Roney i Bibur.

Z daleka wydawało się jedynie zielonym pagórkiem, niczym nie różniącym się od innych wzgórz. Kopiec był usiany szarawymi kształtami, całkiem jakby jego zbocza pokrywały głązy. Gdy "Hauph-woa" minęła ostatnie zakole rzeki i to, co z oddali wydawało się litą ścianą, rozpostarło się przed nimi, ujrzeli olbrzymią, w środku niemal pustą konstrukcję złożoną z pajęczyn przyozdobionych girlandami zieleni. "Głązy" były szczytami potężnych wież zaplątanych w labirynt lin,

przewodów, sznurowych mostów, sieci, ramp oraz pochyłych drabin udrapowanych bujnym, spływającym w dół listowiem.

Powietrze wypełniał wilgotny aromat, woń niezliczonych kwiatów.

Sara lubiła mrużyć oczy i wyobrazić sobie Tarek w dawnych czasach, gdy było tylko wioską potężnych Buyurów, lecz jednocześnie ośrodkiem prawdziwej cywilizacji, brzęczącym od wiernych maszyn, wibrującym od kroków gości z odległych układów gwiazdnych, tłoczonym od latających maszyn, które przysiadły wdzięcznie na lądowiskach na dachach. Miastem żyjącym aspiracjami, których ona, barbarzyńska dziewczyna z lasu, nigdy nie zdołała sobie wyobrazić.

Gdy jednak hoońska załoga popychała tyczkami "Hauph-woa" w kierunku ukrytego nabrzeża, żadne mrużenie powiek nie mogło zamaskować tego, jak nisko upadło Tarek. Spośród niezliczonych okien jedynie garstka lśniła jeszcze liczącym sobie milion lat szklivem. W innych widać było prymitywne kominy płamiące gładkie ongiś ściany sadzą pochodzącą z kuchennych pieców. Na szerokich półkach, gdzie przed wiekami lądowały statki powietrzne, znajdowały się teraz miniaturowe sady bądź kurniki dla hałaśliwych kurząt stadnych. Towary nie wędrowały przez ulice w samonapędzających się maszynach, lecz na plecach licznych majsterek i handlarek albo w zaprzężonych w zwierzęta wozach.

Niedaleko szczytu jednej z pobliskich wież garstka młodych greków mknęła po pozbawionej poręczy rampie, nie zważając na wysokość. Miejskie życie odpowiadało obdarzonemu kołami szczepowi. Gdzie indziej rzadko spotykani, w Tarek g'Kekowie byli najliczniejszą grupą.

Na północy, przecinając przesmyk łączący Tarek z kontynentem, leżały "współczesne" ruiny – tysiącletnie mury miejskie wzniesione przez szare królowe, które władały tu przez długi czas, dopóki ich rządowi nie położyło kresu długie oblężenie, w czasach kiedy papiernia w Dolo była jeszcze nowa. Zniszczone wały wciąż szpeciły ślady ognia, świadectwo gwałtownych narodzin Wspólnoty Sześciu.

Bez względu na to, ile razy przejeżdżała przez Tarek, miasteczko pozostawało dla niej cudem. Na całej Jijo nie było niczego tak przypominającego kosmopolityczną metropolię, w której wszystkie gatunki spotykały się na równych prawach.

Obok statków o hoońskich załogach, pod koronkowymi, łukowatymi mostami przepływały też niezliczone mniejsze łodzie, napędzane wio-

słami przez ludzkich traperów będących jednocześnie kupcami. Wraz ze skórami zwierzęcymi przywozili oni na targ również inne towary. Rzeczni traeki o ziemnowodnych segmentach podstawnych mknęli wąskimi kanałami znacznie szybciej niż ich lądowi kuzyni potrafili poruszać się po ziemi.

W pobliżu punktu zlania się rzek specjalny port udzielał schronienia dwóm syczącym parowym promom łączącym prywatne działki leśne na pomocnym brzegu z trawiastymi równinami na południu, po których galopowały uryjskie hordy. Na leżącym nieopodal pochyłym brzegu Sara dostrzegła jednak wyłazających z wody niebieskich qheuenów. Unikali oni opłaty promowej przechodząc po dnie rzeki. Talent ów okazał się użyteczny w dawnych czasach, gdy niebiescy buntownicy obalili tyranię królowych przy pomocy armii ludzi, trackich i hoonów.

Żadna z licznych opowieści dotyczących tej bitwy nie przypisuje powstańcom zasługi za wykorzystanie broni, którą uważam za decydującą-języka.

Potrzeba było trochę czasu, by "Hauph-woa" przecisnęła się przez gęstwinę łodzi i przycumowała do zatłoczonego nabrzeża. Ścisk w porcie pomagał wytłumaczyć brak ruchu w górze rzeki.

Gdy tylko przywiązano cumy, płynący na "Hauph-woa" kontyngent noorów rozdarł się głośno i zablokował schodnie, żądając zapłaty. Z worka rezonansowego kucharza popłynęła pełna zadowolenia burkot-liwa pieśń wdzięczności. Hoon ruszył wzdłuż szeregu czamofutrych zwierząt, wręczając im landrynki. Każdy noor wsadzał jedną kwaśną kulkę do pyska, a pozostałe do wodoszczelnej torby, po czym wyskakiwał za reling, by dokazywać wśród uderzających o siebie, kołyszających się na wodzie kadłubów, w każdej chwili narażając się na śmierć.

Nieznajomy jak zwykle przyglądał się temu z mieszaniną zaskoczenia, zachwytu i smutku w oczach. Wzgardził noszami i szedł po rampie wsparty na lasce. Pzora sapał z dumy. Uratował pacjenta sprzed wrót śmierci i przekazał go pod opiekę fachowych lekarzy z Tarek. Gdy Prity poszła złapać riksę, reszta grupy przyglądała się, jak hoońska obsługa mocuje się z wielokrażkami, wyjmując z ładowni skrzynie. Wiele z nich pochodziło z papierni Nela i było adresowanych do rozmaitych wydawców, skrybów i uczonych. Robotnicy portowi delikatnie opuszczali na ich miejsce owiązane taśmami paki. Wszystkie miały popłynąć z Tarek w miejsce, z którego przybyli.

Skompy garnków i żużel z uryjskich kuźni. Stęzione ceramiczne piły z qheueńskich warsztatów obróbki drewna. Zużyte czcionki drukarskie i popękane struny skrzypiec. Części ciał zmarłych, co do których nie było pewności, że ulegną całkowitemu rozkładowi, a mianowicie kości skremowanych ludzi i urs, hoońskie kręgi, osie g'Keków oraz woskowe kryształy trackich. Połyskujący pył pozostały po zmielonych qheueńskich skorupach. I zawsze mnóstwo starożytnych buyurskich pozostałości. Wszystkie te rzeczy lądowały na odpadowcach, które transportowały je na wielkie Śmietnisko, aby tam zostały oczyszczone przez wodę, ogień i czas.

Uryjska riksarka pomogła im wsadzić rannego do swego niskiego, czterokołowego wozu. Pzora stał z tyłu, podtrzymując barki nieznajomego dwiema wtkorękami.

– Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym ci towarzyszyła? – zapytała Sara, którą ogarnęły nagłe wątpliwości. Pzora odprawił ją delikatnym gestem.

– Do kliniki jest niedaleko, nieprawdaż? Czyż nie macie do załatwienia pilnych spraw? Nocą wy wszyscy i my wszyscy spotkamy się znowu. A nasz mający szczęście pacjent wasze szlachetne osoby zobaczy rankiem.

Ciemne oczy nieznajomego zatrzymały się na niej. Uśmiechnął się i pogłaskał jej dłoń. Po niedawnym panicznym lęku przed trackim nie było śladu.

Chyba nie miałam racji co do jego obrażeń. Potrafi zapamiętywać.

Może w Tarek zdołamy się dowiedzieć, kim jest. Jeśli znajdzie się jego rodzina albo przyjaciele, będą mu mogli pomóc znacznie skuteczniej niż ja.

Ta myśl wywołała ukłucie bólu, lecz Sara powiedziała sobie, że nie jest już dzieckiem opiekującym się rannym skrzydłowiewiorem.

Ważne jest, żeby miał dobrą opiekę. Pzora miał rację. Mam do załatwienia inne sprawy.

Anarchistyczny styl życia panujący w Tarek oznaczał, że w porcie nie przywitał ich żaden "urzędnik" Kupcy jednak szybko pognali na nabrzeże, pragnąc obejrzeć przeznaczone dla nich towary. Inni mieszkańcy zjawili się, by wysłuchać wiadomości. Krążyły pogłoski o strasz-

liwych wydarzeniach na północy i wschodzie. O lądowaniach pokrytych szronem statków Zangów albo całych miasteczkach zrównanych z ziemią przez tytaniczne promienie. Plotka głosiła, że mieszkańców pędzi się na masowe procesy prowadzone przez owadopodobnych sędziów z Galaktycznego Instytutu Migracji. Pewien łatwowierny człowiek wdał się nawet w spór z Jopem, twierdząc, że farmer się myli, gdyż wszyscy wiedzą, iż wioska Dolo została zniszczona.

To tłumaczy, dlaczego w górę rzeki nie płynął ani jeden statek – pomyślała Sara. W Tarek musiało się wydawać, że smuga ognia pozostawiona przez gwiazdolot intruzów przebiegała dokładnie nad jej rodzinną osadą.

Plotki były podstawowym towarem wymienianym we wszystkich portach, lecz gdzie indziej przeważały chyba spokojniejsze nastroje.

Prity zasygnalizowała, że zgłoszono się już po wszystkie skrzynie Nela, poza jedną, którą sama pociągnęła na wózku, by przekazać ją osobiście Engrii Kopistce. Sara pożegnała się z pozostałymi emisariuszami z Dolo. Umówili się, że wieczorem spotkają się, by porównać spostrzeżenia.

– Chodź, Jomah – powiedziała do syna Henrika, który gapił się na krzątanie i tumult miejskiego życia. – Najpierw zaprowadzimy cię do stryja.

Zwykły gwar portowego rynku był jakby przytłumiony. Targi prowadzono niechętnie i niedbale. Większość kupujących i sprzedających nie zakładała nawet rewqów, gdy spierali się o cenę z przedstawicielami innych gatunków, co było niezawodną oznaką, że robią to tylko dla formy.

Pewna kramarka, elegancka, szara qheuenka, której skorupę zdobił skomplikowany wzór złotych cętek, wyciągnęła dwie szczypcodłonie i odliczyła dziewięć postrzępionych ochraniaczy na stopy, wskazując pochyleniem kopuły, że to jej ostateczna propozycja. Kupująca, czerwona qheuenka o plebejskim wyglądzie, syknęła zatrwożona, wskazując na piękne kryształy soli, które przywiozła z dalekiego morza. Przechodząc obok, Sara podsłuchiwała odpowiedź qheuenki z miasta.

– Jakość albo ilość, cóż one mają za znaczenie? Cena, dlaczego ciebie albo mnie powinna obchodzić?

Te słowa wstrząsnęły Sarą. Układna szara obojętna na transakcję handlową? Miejscowi musieli być faktycznie podenerwowani.

A czy my w Dolo zareagowaliśmy lepiej?

Mieszkańcy zbierali się w małych grupach, plotkując w dialektach swych gatunków. Wielu hoonów nosiło okute żelazem laski, co z reguły było prerogatywą kapitanów, natomiast uryjskie majsterki, pasterki i handlarki trzymały się blisko swych cennych zwierząt juczych. Każda z nich dźwigała na kłębie schowany w pochwie toporek lub maczetę. Narzędzia te były użyteczne w suchych lasach i na równinach, gdzie mieszkały.

Dlaczego więc ten widok ją niepokoił?

Skoro już o tym mowa, wielu ludzi wyglądało tutaj na zaniepokojonych. Chodzili w zwartych grupach, uzbrojeni w narzędzia przydatne do rąbania, kopania, polowania albo do innych celów, o których Sara wolała nie myśleć. g'Keccy mieszkańcy miasteczka nie opuszczali swych apartamentów i pracowni.

Muszę się jak najszybciej przekonać, co to wszystko oznacza – pomyślała.

Poczuła ulgę, gdy tereny rynku skończyły się, ustępując miejsca oślepiającej jasności Gruzowiska.

Dotąd szli w cieniu, nagle jednak w osłaniającym ich baldachimie pojawiła się przerwa. Wyniosłe ongiś budowle leżały zwalone na ziemię. Ich proste, geometryczne kształty popękały, porozszczepiały się i pomieszały, z czego wzięła się nazwa tego miejsca. Między kamiennymi odłamkami lśniła pienista ciecz. Tworzyły się w niej oleiste, pękające z trzaskiem pęcherzyki, pozostałość czasów, gdy okolicę pokrywały żrące, trujące i w ostatecznym rozrachunku przywracające zdrowie substancje.

Jomah osłonił oczy.

– Nie widzę go – poskarżył się.

Sara oparła się impulsowi, by wyciągnąć chłopaka z oświetlonego obszaru.

– Czego nie widzisz?

– Pajaka. Czy nie powinien być tu w środku?

– Pajak nie żyje, Jomah. Zginął, nim zdążył na dobre rozpocząć pracę. To dlatego Tarek nie jest jeszcze jednym bagnem pełnym przeżutych głazów, takim jak to, które mamy na wschód od Dolo.

– Wiem o tym. Ale ojciec mówi, że on wciąż tu jest.

– Jest – zgodziła się. – Przechodzimy pod nim od chwili, gdy statek zawinął do portu. Widzisz te wszystkie liny na górze? Nawet rampy i drabiny są utkane ze starych sznurów mierzwopajaka. Wiele z nich jeszcze żyje, na swój sposób.

– Ale gdzie jest pajak?

– Był w linach, Jomah. – Skinęła dłonią w stronę krzyżującej się sieci rozpiętej między wieżami. –

Gdy były jednością, tworzyły formę życia, której zadaniem było zniszczenie tej starej buyurskiej osady. Ale pewnego dnia, zanim jeszcze g'Kekowie przybyli na Jijo, ten pajak zachorował. Pnącza zapomniały, jak ze sobą współpracować. Gdy potem zdziczyły, pajak przestał istnieć.

– Aha.

Chłopiec zastanawiał się nad tym przez chwilę. Następnie obrócił się wkoło.

– No dobra, wiem, że jest tu jeszcze jedna rzecz...

– Jomah – zaczęła Sara łagodnie, nie chcąc płoszyć chłopaka, który bardzo przypominał Dwera, sprzed kilku lat. – Musimy...

– Słyszałem, że jest niedaleko Gruzowiska. Chcę zobaczyć konia.

– Ko... – Sara zamrużyła powiekami, po czym wypuściła z płuc westchnienie. – Aha! Cóż, czemu nie. Jeśli obiecasz, że później pójdziemy prosto do twojego stryja. Zgoda?

Chłopak skinął energicznie głową. Zawiesił sobie torbę z powrotem na ramieniu. Sara podniosła swoją, ciężką od notatek dotyczących jej pracy. Za ich plecami Prity pchała wózek.

Sara wskazała palcem.

– Jest tam, niedaleko od wejścia do Miasta Ziemi.

Od czasów, gdy spalono groźne katapultы szarych królowych. Tarek było otwarte dla wszystkich gatunków. Niemniej każdy z Sześciu miał swoją ulubioną część miasta. Ludzie zajęli modną południową dzielnicę dzięki bogactwu i prestiżowi łączącemu się z wydawaniem książek. Ruszyli w trójkę w tamtą stronę ocienioną loggią, która otaczała Gruzowisko. Na łukowatych okratowaniach kwitły wonne kielichowce, lecz ich mocny zapach został stłumiony, gdy przechodzili obok sektora, w którym uryjskie handlarki trzymały swe stada. Przy wejściu kręciła

się garstka młodych pozbawionych partnerów urs. Jedna z nich opuściła głowę, warcząc w stronę Sary coś bez związku.

Nagle grupa urs wzniosła długie szyje w tym samym kierunku. Krótkie, porośnięte futrem uszy zdrzębały pod wpływem odległego grzmotu, który nadszedł z południa. W pierwszej chwili Sara pomyślała, że to burza. Nagle wzdłuż kręgosłupa przebiegł jej dreszcz niepokoju, gdy odwróciła się, by popatrzeć na niebo.

Czy to może być znów to samo?

Jomah ujął ją za rękę i potrząsnął głową. Chłopak wsłuchał się w ryczące echo z wyrazem profesjonalnego skoncentrowania na twarzy.

– To próba. Potrafię to rozpoznać. Żadnego stłumienia wywołanego zamkniętą przestrzenią albo masywnym ładunkiem. Jakiś wysadzacznik sprawdza swoje naboje.

– Jakie to uspokajające – wymamrotała. Lecz tylko wobec nagłej, przerażającej myśli o kolejnych statkach bogów przesywających niebo.

Młode ursy zaczęły im się przyglądać. Sarze nie podobał się wyraz ich oczu.

– No dobra, Jomah. Chodźmy zobaczyć konia.

Ogród Rzeźb znajdował się na południowym krańcu Gruzowiska. Większość "dzieł sztuki" stanowiły lekko narysowane graffiti albo prymitywne karykatury wydrapane na kamiennych płytach podczas długich stuleci, gdy umiejętność pisania była na Stoku czymś rzadkim. Niektóre skalne rzeźby były jednak zdumiewające w swej abstrakcyjnej zawłości, na przykład grupa kul przypominająca kiść winogron albo wyszczerbiony snop przywodzący na myśl noże włócznie sterczących zawadiacko. Wszystko to wyrzeźbiły kruszące zęby szarych matriarchiń z dawnych czasów, pokonanych w dynastycznych walkach podczas długiego qheueńskiego panowania i przykutych w tym miejscu przez zwycięskie rywalki. W ten sposób spędzały one swe ostatnie dni pod palącymi promieniami słońca.

Na pobliskiej kolumnie wytrawiono bardzo realistyczną płaskorzeźbę wywodzącą się z jednej z wcześniejszych er. Powolne osiadanie w błocie o żrącym działaniu zniszczyło większą część fryzu. Mimo to w kilku miejscach można było dojrzeć twarze. Olbrzymie, wyłupiaste oczy spoglądały przenikliwie z kulistych głów osadzonych na ciałach, które stawały dęba, unosząc do góry giętkie przednie kończyny, całkiem

jakby walczyły z werdyktem przeznaczenia. Nawet po tak długim czasie oczy zdawały się jarzyć bystrą inteligencją. Od bardzo dawna nikt na Jijo nie widział na obliczu glawera podobnie subtelnego, przejmującego wyrazu.

W ostatnich latach rozszerzono nad tę część Gruzowiska zielony baldachim Tarek, ukrywając większość eksponatów w cieniu. Mimo to ortodoksyjni gorliwcy domagali się niekiedy zniszczenia wszystkich rzeźb. Przeważająca część obywateli uważała jednak, że Jijo rozpoczęła już tę robotę. Starożytne jezioro mierzwopająka nadal rozpuszczało skałę, aczkolwiek powoli. Te dzieła nie miały przeżyć samych Sześciu.

Tak przynajmniej sądziliśmy. Zawsze wydawało się, że mamy mnóstwo czasu.

– Jest tam? – wskazał palcem podekscytowany Jomah. Chłopak pognął w stronę masywnego pomnika, którego gładkie boki były usiane cętkami przesączającego się przez baldachim słonecznego światła. Posąg nosił nazwę "Poświęcenie ludzkości" Upamiętniał coś, co ludzie sprowadzili ze sobą na Jijo. Coś, co było dla nich droższe od wszystkiego, nawet od książek.

Coś, czego wyrzekli się na wieki, by uzyskać pokój. Wydawało się, że wyrzeźbione zwierzę uchwycono w chwili skoku. Wiatr targał jego grzywę. Wystarczyło tylko przymrużyć oczy, by wyobrazić je sobie w ruchu, pełne gracji i potężne w pełnym galopie. Wspominano o nim z miłością w niezliczonych starożytnych ludzkich opowieściach. Było jednym z wielkich, legendarnych cudów Starej Ziemi. Pomnik za każdym razem wzruszał Sarę.

– Wcale nie jest podobny do osła! – wybuchnął Jomah. – Czy konie naprawdę były takie wielkie?

Sara sama w to nie wierzyła, dopóki nie sprawdziła tego w książce.

– Tak, czasami bywały. I nie przesadzaj, Jomah. Jest całkiem podobny do osła. Ostatecznie były ze sobą spokrewnione.

Aha, a drzewo gam jest spokrewnione z gryklowym krzakiem.

– Czy mogę się na niego wspiąć? – zapytał Jomah ściszym głosem.

– Nawet o tym nie mów! – Sara szybko rozejrzała się wokół. Nie było widać żadnych uryjskich twarzy, zlagodniała więc nieco i potrząsnęła głową. – Poproś stryja. Może przyprowadzi cię tu nocą.

Jomah zrobił rozczarowaną minę.

– Założę się, że ty na niego wchodziłaś. Mam rację?

Omali się nie uśmiechnęła. Rzeczywiście, wykonali oboje z Dwerem ten rytuał, gdy byli jeszcze nastolatkami, późnym, chłodnym zimowym wieczorem, kiedy większość urs siedziała przytulona do swych tarza-niowych partnerek. Nie było wówczas żadnych potrójnych oczu mogących zapłonąć gniewem na widok, który wzbudzał w nich taki szal podczas pierwszego stulecia po lądowaniu Ziemi. Widok ludzi wzmocnionych przez symbiozę z wielkimi zwierzętami, które mogły prześcignąć każdą ursę. Dwa stworzenia połączone w coś więcej niż każde z nich z osobna.

Po drugiej wojnie myślały, że stłamszą nas na zawsze, jeśli zażądamy przekazania wszystkich koni, a potem wytepią ten gatunek.

Chyba się przekonały, że były w błędzie.

Odpędziła tę gorzką, niegodną myśl. Wszystko to wydarzyło się tak dawno temu, przed Wielkim Pokojem czy nadejściem Jaja. Spojrzała nad kamienną figurą i przystrojonym kwiatami szkieletem starożytnego buyurskiego miasta ku usianemu chmurami niebu.

Powiadają, że kiedy z nieba spadnie trucizna, jej najgroźniejszą postacią będzie podejrzliwość.

Cech wysadzaczy zajmował budynek noszący oficjalnie nazwę Wieży Chemii, lecz przez większość Tarekan był nazywany Pałacem Smrodów. Rury z pokrytych ochronną warstwą łądy busa wspinały się po jego ścianie niczym pasożytnicze pnącza, z których buchały z sapaniem obłoki pary, przez co gmach przypominał nieco Pzorę po ciężkim dniu pracy w aptece. W rzeczy samej, traeki zajmowali drugie pod względem liczebności miejsce po ludziach wśród tych, którzy przechodzili przez bramę frontową bądź też wjeżdżali napędzaną obciążnikiem windą na wyższe piętra, gdzie pomagali w produkcji towarów będących przedmiotem pożądanego na całym Stoku: zapalek do rozpalania ognia w kuchennych piecach, olejków pomagających qheuenom na łuszczący świąd skorupy, mydła do prania ludzkich i hoońskich strojów, smarów ułatwiających starym g'Kekom toczenie się, gdy zapadli na suchość osi, a także parafiny do lamp do czytania, atramentu do pisania i wielu innych artykułów. Wszystkie z nich miały certyfikat potwierdzający, że nie zostawia trwałych śladów w glebie Jijo. Żaden z nich nie powinien zwiększyć kary, gdy nadejdzie nieunikniony Dzień Dni.

Mimo zapachów, które sprawiały, że Prity sapała z niesmakiem, Sara poczuła się pokrzepiona na duchu z chwilą wejścia do wieży. W holu spotykały się ze sobą wszystkie gatunki, bez śladu klikowości, z jaką zetknęła się gdzie indziej w miasteczku. Krzątania charakterystyczna dla handlu wraz z rozgorączkowanymi szeptami w języku nauki wskazywały, że nie wszyscy nie pozwalali, by kryzys wpędził ich w przygnębienie lub wrogość. Mieli po prostu zbyt wiele roboty.

Trzy piętra wyżej Sala Wysadzaczy zdawała się kipieć od zamieszania. Mężczyźni i chłopcy krzyczeli bądź biegali, podczas gdy trzymające w rękach notatniki kobiety z cechu tłumaczyły hoońskim pomocnikom, gdzie ustawić beczki z surowcami. W rogu siwowłosi, starsi ludzie pochylali się nad długimi stołami, konsultując się ze swymi traeckimi kolegami, których ciężko pracujące pierścienie wydzielnicze były przyozdobione zlewkami przeznaczonymi do gromadzenia łatwo parujących cieczy. To, co wydawało się chaosem, porządkowało się stopniowo, w miarę, jak Sara dostrzegała oznaki celowości w całym tym zamieszaniu.

Ten kryzys z pewnością przyprawia innych o dezorientację, ale wysadzacze spędzili całe życie myśląc o czymś takim.

W pomieszczeniu panował podniosły nastrój, świadczący o gotowości do poświęcenia. Był to pierwszy powód do optymizmu, jaki ujrziała Sara.

Jomah uściskał ją szybko, po czym pomaszerował w stronę mężczyzny o czarnej, upstrzonej siwizną brodzie, który ślęczał nad schematami. Sara rozpoznała papier. Nelo produkował go w specjalnych partiach, raz do roku, dla malarzy i wysadzaczy.

Rodzinne podobieństwo nie ograniczało się do rysów twarzy i postawy. Widoczne było również w minie, jaką przybrał Kurt Wysadzac, gdy skierował wzrok na Jomaha. Zdradził się tylko uniesieniem brwi, kiedy bratanek włożył w jego stwardniałą dłoń długą, skórzaną tubę.

Czy to wszystko? Mogłam sama to przekazać w imieniu Henrika. Nie było potrzeby wysyłać chłopaka na wyprawę, która może się okazać niebezpieczna.

Jeśli ktokolwiek wiedział coś o wydarzeniach w Górach Obrzeż-nych, to właśnie osoby znajdujące się w tej sali. Sara jednak powstrzymała się. Wysadzacze wyglądali na zajętych. Poza tym miała w pobliżu własne źródło informacji. I teraz właśnie nadszedł czas, by się tam udać.

Engrii Kopistka ponownie napełniła filiżanki herbatą. Sara czytała cienką broszurkę – chronologiczne zestawienie faktów i domysłów – dostarczoną z Polany Zgromadzeń przez uryjską galopantkę dziś rano. Z początku poczuła przypływ ulgi. Do tej pory nie sposób było rozstrzygnąć, w które z szalejących pogłosek wierzyć. Teraz wiedziała, że lądowanie w górach nie spowodowało

żadnych ofiar. Ci, którzy przebywali na zgromadzeniu, byli bezpieczni, w tym również jej bracia. Na razie.

W sąsiednim pokoju widać było pomocników Engrii, którzy sporządzali fotostatowe kopie narysowanych piórem ilustracji dołączonych do raportu. Jednocześnie offset produkował drukowane egzemplarze tekstu. Wkrótce miały one trafić na tablice ogłoszeń w Tarek, a potem w okolicznych kopcach, wioskach i stadach.

– Przestępcy! – westchnęła Sara, odkładając pierwszą stronę. Nie mogła w to uwierzyć. – Przestępcy z kosmosu. Ze wszystkich możliwości...

– Ta zawsze wydawała się najmniej prawdopodobna – zgodziła się Engrii. Owa tęga, ruda kobieta z reguły była jowialna i macierzyńska. Sara nie przypomniała sobie, by kiedyś widziała ją w równie ponurym nastroju jak dzisiaj. – Być może nie dyskutowano o niej zbyt wiele, ponieważ nie odważyliśmy się myśleć o konsekwencjach.

– Ale jeśli przybyli nielegalnie, to czy to nie lepsze niż policja Instytutów, która aresztowałaby nas wszystkich? Krętacze nie mogą nas zadenuncjować, bo zdradziliby przy okazji własną zbrodnię.

Engrii skinęła głową.

– Niestety, to rozumowanie można odwrócić. Przestępcy nie mogą pozwolić na to, żebyśmy my ich zadenuncjowali.

– Na ile uzasadniona jest podobna obawa? Upłynęło kilka tysięcy lat od momentu przybycia g'Keków i od tej pory doszło tylko do tego jednego bezpośredniego kontaktu z kulturą galaktyczną. Starożytni oceniali, że minie pół miliona lat, nim odbędzie się następny zwiad orbitalny, a dwa miliony, nim nastąpi inspekcja na dużą skalę.

– To niezbyt długi okres. Sara zamrugła powiekami.

– Nie rozumiem.

Starsza kobieta uniosła parującą filiżankę.

– Jeszcze herbaty? No, więc sprawa wygląda tak. Vubben podejrzewa, że to genowi rabusie. Jeśli to prawda, ich zbrodnia nie ma -jak nazywali to starożytni? Terminu przedawnienia? Limitu czasu, po którym nie można już ukarać winnych. Osobnicy biorący udział w łupieżczym napadzie mogą już dawno nie żyć, ale nie dotyczy to ich gatunku albo galaktycznego klanu, który reprezentują. Nadal będą go mogły spotkać sankcje: od najstarszych opiekunów aż po najmłodszych podopiecznych. Nawet milion lat jest krótkim okresem według rachuby Wielkiej Biblioteki, której pamięć ma tysiącrotnie większy zasięg.

– Ale mędrcy sądzą, że za milion lat w ogóle nas nie będzie! Plan przodków... zwoje...

– Genowi rabusie nie mogą na to liczyć, Saro. To zbyt poważne przestępstwo.

Młodsza kobieta potrząsnęła głową.

– No dobra, przypuśćmy, że jacyś potomkowie Sześciu przetrwają do tego czasu i będą powtarzali niejasne legendy o czymś, co wydarzyło się dawno temu. Kto uwierzyłby w ich opowieści?

Engrii wzruszyła ramionami.

– Nie potrafię na to odpowiedzieć. Zapiski wskazują, że między tlenodysznymi klanami Pięciu Galaktyk istnieje wiele zawistnych, a nawet walczących ze sobą odłamów. Być może wystarczyłoby tylko napomknienie, drobna wskazówka, by rywale zwęszyli trop. Otrzymałszy podobną informację, mogliby przesiać biosferę Jijo w poszukiwaniu mocniejszych dowodów. Cała zbrodnia wy szłaby na jaw.

Zapadła cisza. Sara pograżyła się w myślach. W galaktycznym społeczeństwie najcenniejsze były skarby o charakterze biologicznym. W pierwszej kolejności były nimi te rzadko spotykane, pojawiające się od czasu do czasu na pozostawionych odłogiem światach naturalne gatunki

obdarzone iskrą zwaną Potencjałem. Potencjałem do wspomagania. Do adopcji przez gatunek opiekunów i otrzymania – za pomocą nauczania i genetycznych manipulacji – impulsu niezbędnego, by przekroczyć granicę dzielącą zmyślnie zwierzęta od wędrujących wśród gwiazd obywateli. Niezbędnego, chyba żeby uwierzyć w legendę Ziemiaków o samotnej transcendencji. Ale któż w Pięciu Galaktykach dawał wiarę takim bzdurom?

Zarówno dzika przyroda, jak i cywilizacja miały swą rolę do odegrania w procesie, za pomocą którego odnawiało się inteligentne życie. Ani pierwsza, ani druga nie mogła dokonać tego sama. Skomplikowane,

drakońskie zasady migracji – w tym również przymusowe porzucanie planet, układów, a nawet całych galaktyk – były po to, aby dać biosferom czas na powrót do poprzedniego stanu i kultywację dzikiego potencjału. Następnie nowe gatunki wyznaczano do adopcji zgodnie z kodeksami, które przeszły próbę eonów.

Grabieżcy mieli nadzieję ominąć te prawa. Znaleźć tu, na Jijo, przed terminem, coś cennego, co było pod ochroną. Lecz jeśli nawet by się im poszczęściło, co mogliby zrobić ze swym skarbem?

Zabrać kilka par daleko stąd, na jakiś świat, nad którym złodzieje już panują, i rozmnożyć je tam po cichu, pomagając im po drodze za pomocą genowych infuzji, by dopasowały się do pozornie naturalnej niszy. Potem czekać cierpliwie przez tysiąclecia albo znacznie dłużej, aż czas wyda się odpowiedni, by "odkryć" skarb tuż pod własnym nosem. Eureka!

– A więc mówisz – podjęła – że grabieżcy mogą nie chcieć pozostawić świadków. Ale w takim razie dlaczego wylądowali na Stoku? Mogli to zrobić gdzieś za Pustynią Wschodzącego Słońca albo nawet na małym kontynencie na drugiej półkuli Jijo, zamiast zwalić się nam prosto na głowy!

Engrii potrząsnęła głową.

– Któż może to odgadnąć? Grabieżcy twierdzą, że potrzebna im nasza znajomość planety. Mówią, że są gotowi za nią zapłacić. Ale na końcu to my najprawdopodobniej zapłacimy.

Sara poczuła, jak serce jej wali.

– Muszą... zabić nas wszystkich.

– Mogą istnieć mniej drastyczne rozwiązania. Ale to wydaje się mędrcom najbardziej praktyczne.

– Praktyczne!

– Z punktu widzenia łupieżców, oczywiście.

Sara przełknęła to po cichu.

I pomyśleć, że częścią jaźni cieszyłam się na spotkanie z Galaktami i na możliwość szansy obejrzenia ich przenośnych bibliotek.

Za drzwiami pracowni Engrii Sara widziała zajętych ciężką pracą pomocników kopistki. Jakaś dziewczyna obsługiwała celostat, wielkie zwierciadło na długim ramieniu, które podążało za słońcem, rzucając przez okno jasną wiązkę promieni na kopiowany dokument. Ruchoma szczelina przesuwająca to odbite światło po napędzanym korbą przez

dwóch silnych mężczyzn obracającym się bębnie ze szlachetnego metalu, powodując, że zbierał on z miseczki węglowej proszek. W ten sposób powstawały fotostatyczne kopie rysunków, dzieł sztuki, projektów – wszystkiego oprócz pisanego na maszynie tekstu, który taniej było reprodukcować na prasie drukarskiej.

Od chwili, gdy ta metoda dotarła na Jijo, nigdy nie skopiowano jeszcze czegoś tak okropnego.

– To straszliwa wiadomość – wyszeptała Sara. Engrii zgodziła się z nią.

– Niestety, dziecko, to jeszcze nie najgorsze. Bynajmniej nie najgorsze.

Starsza kobieta wskazała ręką na raport.

– Czytaj dalej.

Sara przewróciła drżącymi rękami kolejne strony. Zapamiętała gwiazdolit jako coś w rodzaju tabletki, która przemknęła ponad nią, niszcząc spokojne życie Dolo. Teraz szkice ukazały jej ten obcy cylinder z pełną dokładnością. Nieruchomy wydawał się jeszcze bardziej przerażający niż w locie. Pomiary jego wielkości, przeprowadzone przez adeptów inżynierii za pomocą tajemniczej sztuki triangulacji, dały wyniki, w które trudno było uwierzyć.

Potem odwróciła następną stronicę i zobaczyła postacie dwojga rabusiów.

Wbiła z przerażeniem wzrok w portret.

– Mój Boże. Engrii skinęła głową.

– W rzeczy samej. Teraz rozumiesz, dlaczego opóźniliśmy wydrukowanie nowego numeru Komunikatu. Już teraz niektórzy co bardziej zapalcywi z qheuenów i urs, a nawet nieliczni tracki i hoonowie, zaczęli szeptać, że ludzie są w zмовie z piratami. Mówi się nawet o zerwaniu Wielkiego Pokoju. Oczywiście, może nigdy do tego nie dojść. Jeśli intruzi wystarczająco szybko znajdą to, czego szukają, może nie starczyć czasu na to, by wśród Sześciu wybuchła wojna. My, ludzcy wygnańcy, będziemy mieli wtedy szansę dowieść swej wierności w najbardziej przekonujący sposób – ginąc razem z całą resztą.

Posępne przepowiednie Engrii były przerażająco sensowne. Sara jednak popatrzyła na starszą kobietę i potrząsnęła głową.

– Nie masz racji. To jeszcze nie jest najgorsze.

Jej głos był ochryply z niepokoju. Kopistka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Co mogłoby być gorsze niż unicestwienie wszystkich rozumnych istot na Stoku?

Sara uniosła szkic przedstawiający mężczyznę i kobietę, z całą pewnością ludzi uchwyconych przez ukrytego artystę w chwili, gdy spoglądali wyniośle na barbarzyńców z Jijo.

– Nasze życie nic nie znaczy – powiedziała, czując gorzki smak swych słów. – Byliśmy skazani już w chwili, gdy nasi przodkowie wydali swe wyjęte spod prawa potomstwo na tym świecie. Ale ci... – potrząsnęła gniewnie papierem – ..ci głupcy bawią się w starożytną grę, której żaden człowiek nie mógł opanować dobrze. Dopuszczą się swej kradzieży i zabijają nas, by usunąć wszystkich świadków, a potem i tak ich złapią. A kiedy to nastąpi, prawdziwą ofiarą będzie Ziemia.

Asx

Znaleźli dolinę niewiniątek.

Ze wszystkich sił staraliśmy się ją ukryć, prawda, moje pierścienie? Wysłaliśmy je do odległej doliny: gławery, lomiki, szympany i zookiry. A także te dzieci Sześciu, które przybyły na zgromadzenie z rodzicami, nim statek przeszył nasze życie.

Niestety, wszelkie próby ukrycia nic nie dały. Robot z czarnej stacji podążył za ich ciepłym śladem przez las aż do sanktuarium, które nie było tak dobrze zamaskowane, jak na to liczyliśmy.

W naszej kompanii mędrców Lester był najmniej zaskoczony.

– Z pewnością spodziewali się, że spróbujemy schować to, co cenimy najbardziej. Musieli odkryć widoczny w głębokiej podczerwieni cieplny ślad naszych uchodźców, nim zdążył się rozproszyć.

Jego smutny uśmiech wyrażał żal, lecz również szacunek. – Tak właśnie postąpiłbym, gdybym to ja był na ich miejscu.

Anglie jest dziwnym językiem. Jego tryb warunkowy pozwala na snucie przypuszczeń na temat nierealnych ewentualności. Myśląc w tym języku, „ja” (w moim-naszym drugim pierścieniu poznawczym) zrozumiałem zawarty w słowach Lestera niechętny podziw, lecz trudno było „mi” przetłumaczyć to innym moim-naszym jaźniom.

Nie, nasz ludzki mędrzec nie planuje zdrady.

Tylko poprzez empatyczny wgląd on-my możemy się nauczyć rozumieć najeźdźców.

Ach, ale nasi wrogowie zdobywają wiadomości o nas znacznie szybciej. Ich roboty przelatują nad ongiś tajemną doliną, rejestrują i analizują, a potem opadają w dół, by pobrać próbki komórek albo płynów ustrojowych od przestraszonych lomików czy szympansów. Później domagają się, byśmy przysłali przedstawicieli wszystkich gatunków do przebadania i chcą poznać nasze przekazy ustne. Najlepiej znający zookiry g'Kekowie, ludzie, którzy pracują z szympansami, oraz qheueni, których lomiki zdobywają medale na festiwalach: wszyscy ci "tubylczy eksperci" muszą się podzielić swą prowincjonalną wiedzą. Choć intruzi mówią łagodnym tonem o dobrej zapłacie (w świecidełkach i paciorkach?), ich słowa implikują przymus i groźbę.

Nasze pierścienie drżą z zaskoczenia, gdy Lester wyraża zadowolenie.

– Z pewnością sądzą, że odkryli nasze najcenniejsze sekrety.

– A nie odkryli? – skarży się Lśniąca Jak Nóż Wnikliwość, strzelając szczypcami. – Czyż naszym największym skarbem nie są ci, którzy na nas polegają?

Lester kiwa głową.

– To prawda. Ale i tak nie mogliśmy ukrywać ich przez dłuższy czas. Nie w sytuacji, gdy wyższe formy życia są tym, czego pożądają najeźdźcy. Spodziewali się, że zechcemy zataić właśnie to. Teraz jednak, jeśli są zadowoleni, a nawet chwilowo nasyceni, możemy odwrócić ich uwagę, by nie dowiedzieli się innych rzeczy, które mogą nam – i tym, którzy na nas polegają – przynieść korzyści i być może zaoferować wąty promyk nadziei.

– Jak to możliwe? – zapytała Ur-Jah, posiwiata i zgnębiona troskami, potrząsając usianą czarnymi pasmami grzywą. – Jak sań nówi-łeś, cóż nożeny ukryć? Wystarczy, że zadadzą swe ohydne fytnia, a ich wluźnierz rowotyjuż galofują nafrzód, zewy zajrzeć wszystkim sekre-ton w serca i kofyta.

– No właśnie – powiedział Lester. – Trzeba więc dopilnować, żeby nie zadawali właściwych pytań.

Dwer

Jego pierwszą myślą po przebudzeniu było, że z pewnością pochowano go żywcem. Że leży – na przemian drżąc z zimna i omdlewając upału – w jakiejś zapomnianej, odciętej od promieni słońca krypcie. V miejscu przeznaczonym dla martwych bądź umierających.

Potem jednak z tych niejasnych myśli wyłoniło się pytanie, jak w amiennej krypcie mogłoby być tak parno. Do tego wstrząsał nią regu-uny, dudniący rytm, który sprawiał, że wyściełana podłoga pod nim rżała.

Wciąż na wpół przytomny – z powiekami uparcie opadającymi – Tzypomniął sobie grupę rzecznych hoonów śpiewających o życiu po-agrobowym, które upywa w ciasnej, cuchnącej klitce na nie kończącym się wsłuchiwanie w huk przyływu będący pulsem wszechświata. Po-lobny los wydawał się Dwerowi aż nazbyt prawdopodobny, gdy spadała au gorączka i usiłował zrzucić z siebie bandaże snu. Miał wrażenie, że liekielne diabluki kłują go ostrymi narzędziami, szczególnie koncentruje się na palcach rąk i nóg.

Gdy jeszcze bardziej rozjaśniało mu się w głowie, zdał sobie sprawę, że wilgotne ciepło nie jest cuchnącym oddechem diabłów. Niosło ze sobą znacznie bardziej znajomy aromat.

Znał też nieustanną wibrację, choć jej ton wydawał się wyższy i nie ak miarowy jak ten, który towarzyszył jego dzieciństwu, wypełniając ażdej nocy swym dźwiękiem sen w jego chłopiących latach.

To koło wodne. Jestem wewnątrz tamy!

Poczuł woń kredy, która niosła ze sobą wspomnienia.

Qheueńskiej tamy.

Budzący się umysł Dwera wyobraził sobie kopiec o krętych salach wypchany wyposażonymi w

kolczaste szpony i ostre jak brzytwy zęby istotami, które przełazą po opancerzonych plecach swych pobratymców, oddzielone tylko cienką ścianą od mrocznego jeziora. Inaczej mówiąc, przebywał w jednym z najbezpieczniejszych, najbardziej dodających Ertuchy miejsc, jakie można sobie wyobrazić. » Ale... skąd? Ostatnie, co pamiętam, to leżenie nago pośród śnieżnej łątawiei. Byłam na wpół martwy znikąd nie było widać pomocy. | Co prawda, Dwer nie był zdumiony, że żyje.

Zawsze miałem szczęście – pomyślał, choć zastanawianie się nad tym było rzucaniem wyzwania losowi. Zresztą Ifni najwyraźniej nadal go potrzebowała. Istniały jeszcze inne sposoby, aby zwabić go na ścieżki zaskoczenia i losu.

Potrzebował kilku prób, by uchylić ciężkie, odporne powieki. W pierwszej chwili pomieszczenie było niewyraźną plamą. Spóźnione łyzy rozmyły i rozproszyły blask jedyne go źródła światła – płomienia migoczącego po prawej stronie.

– Uch!

Dwer szarpnął się do tyłu, gdy zamajaczył nad nim ciemny kształt. Cień przybrał formę płaskiego oblicza o czarnych, lśniących oczach, z językiem wywalonym między białymi, ostrymi zębami. Stworzenie uniosło się, a jego oczom ukazało się gibkie, drobne ciało. Zobaczył zręczne brązowe łapy, porośnięte czarnym futrem.

– Och... to ty.

Westchnienie Dwera wydawało się ochryple i słabe. Gwałtowny ruch spowodował, że poczuł niezliczone zadrapania, poparzenia i siniaki. Każda rana przypominała o przebytych cierpieniach i niedoli. Popatrzył na uśmiechniętego noora i skorygował poprzednią myśl.

Zawsze miałem szczęście, dopóki nie spotkałem ciebie.

Odsunął się z wielką ostrożnością, by unieść się lekko nad posłanie. Zobaczył, że leży na stosie futer rozrzuconych na piaszczystym klepisku usianym odłamkami kości i muszli. Ten bałagan kontrastował z resztą niewielkiego pomieszczenia. Belki, słupki i boazeria, wszystko to połyskiwało w słabym, migotliwym blasku świecy stojącej na bogato rzeźbionym stole. Na wszystkich drewnianych powierzchniach, aż po filigranowe, koronkowe, lecz zaskakująco mocne kroksztyny, widać było delikatne ślady qheueńskich zębów.

Uniósł dłonie. Palce pokrywały białe bandaże, zbyt dobrze owinięte, by mógł to być dziełem qheuenów. Poczł niepewną ulgę, gdy policzył do dziesięciu i przekonał się, że ich długość nie uległa większym zmianom, choć wiedział, że czasami odmrożenia zabierały koniuszki palców, nawet jeśli lekarzom udawało się ocalić resztę. Sthłmił pragnienie, by zerwać opatrunki zębami i przekonać się natychmiast.

Cierpliwości. Nic, co zrobisz teraz, nie zmieni tego, co już się stało.

Ukłucia igieł i szpilek mówiły mu, że żyje, a jego ciało usiłuje powrócić do zdrowia. Ta świadomość ułatwiała znoszenie bólu.

Odsunął kopniakiem futra, by obejrzeć własne stopy. Były wciąż na miejscu, dzięki Jaju, choć ich palce również skrywały białe bandaże. O ile miał tam jeszcze jakieś palce. Stary Fallon polował przez długie lata – zakładając specjalne buty – po tym, jak uniknął o włos śmierci wśród lodu, a jego stopy zamieniły się w bezkształtne kikuty. Dwer przygryzł wargę i skoncentrował się. Zaczł wysyłać sygnały. Napotkał na opór, niemniej jednak nakazał ruch. Jego wysiłki wynagrodziły kłujące mrowienia. Skrzywił się i syknął z bólu, lecz nie zaprzestawał prób, aż w nogach omal nie złapały go kurcze. Wreszcie osunął się w dół, usatysfakcjonowany. Był w stanie poruszać najważniejszymi palcami:

najmniejszym i największym na obu stopach. Mogły być uszkodzone, ale będzie normalnie chodził

i biegał.

Fala ulgi uderzyła mu do głowy niczym mocny trunek. Roześmiał się nawet w głos – cztery krótkie, ostre szczeknięcia, które sprawiły, że Skarpetka wytrzeszczył oczy.

– A więc zawdzięczam ci życie? Czy pognałeś z powrotem na Polanę, szczekając o pomoc? – zapytał jękliwym tonem.

Choć raz Skarpetka wyglądał na zbitego z pantałyku. Noor sprawiał wrażenie, że rozumie, iż z niego drwią.

Oj, przestań – nakazał sobie Dwer. Przecież, to może nawet być prawda.

Większość pozostałych obrażeń przypominała te, jakich doznał już wiele razy. Kilka zaszyto igłą z nitką, drobnym, starannym ścięciem krzyżykowym. Dwer przyjrzał się szwom i rozpoznał je nagle. Widział już podobne. Roześmiał się raz jeszcze, identyfikując swego wybawcę po śladach, jakie zostawił na jego ciele.

Lark. Skąd u licha wiedział?

Najwyraźniej jego bratu udało się odnaleźć grupę nieszczęśników ukrytych pod zaspami, a potem zaciągnąć ich do jednej z qheueńskich posiadłości leżących wysoko wśród wzgórz.

Jeśli ja wyszedłem z tego cało, to Rety z pewnością też. Jest młoda i mogłaby odgryźć śmierci rękę, gdyby ta kiedyś zechciała po nią przyjść.

Na chwilę zastanowiły go białe plamy, jakie miał na ramionach i dłoniach. Nagle sobie przypomniał.

Złoty płyn mierzwopająka. Ktoś musiał zetrzeć go z miejsc, do których przywarł.

Te skrawki nadal sprawiały dziwne wrażenie. Wydawały się nie tyle odrętwiałe, co zakonserwowane. W jakiś sposób odcięte w czasie. Nawiedziła go dziwaczna myśl, że pewne kawałki jego ciała są teraz młodsze niż były przedtem. Być może owe fragmenty będą jeszcze żyły przez pewien czas, kiedy reszta Dwerajuz umrze.

Ale jeszcze nie teraz. Jedyny W Swoim Rodzaju – pomyślał.

To mierzwopajak zginął. Nie udało mu się zgromadzić pełnej kolekcji.

Przypomniał sobie płomienie i wybuchy.

Lepiej żebym się upewnił, czy z Rety i glawerzycą wszystko w porządku.

– Nie sądzę, żebyś mógł pobiec przyprowadzić mojego brata, co? – zapytał noora, lecz ten tylko popatrzył na niego.

Z westchnieniem owinał ramiona futrem, po czym bardzo ostrożnie dźwignął się na kolana, przewyciężając fale cierpienia. Lark miałby mu za złe, gdyby zniszczył któryś z tych pięknych ściągów, nie przemęczał się więc. Oparł się jedną dłonią o najbliższą ścianę. Gdy zawroty głowy minęły, powlókł się na piętach ku ozdobnemu stołowi i wstawił świecę z powrotem w gliniany uchwyt. Potem przyszła kolej na drzwi, niski, szeroki otwór przesłonięty zasłoną ze zwisających drewnianych desek. Musiał się schylić, by zmieścić się w przeznaczonym dla qheuenów wejściu.

Czarne jak smoła tunele biegły w lewo i w prawo. Dwer wybrał lewy korytarz, ponieważ wznosił się on lekko w górę. Oczywiście niebiescy qheueni budowali swe podwodne domy w zgodzie z logiką zrozumiałą jedynie dla nich. Dwerowi często zdarzało się zabłądzić nawet w dobrze mu znanej Tamie Dolo, w której bawił się w chowanego ze żłobkowymi partnerami Brzeszczota.

Zachowując wielką ostrożność, prawie cały ciężar ciała opierał na piętach, co było trudne i bolesne. Wkrótce pożałował, że był tak uparty, aby ruszyć w tę wędrówkę i porzucić łożo boleści. W kilka dni później jego nieustępliwość została jednak nagrodzona. Usłyszał odgłosy burzliwej rozmowy dochodzące gdzieś z przodu. Dwoje rozmówców niewątpliwie było ludźmi – mężczyzną i kobietą – trzeci zaś qheuenem. Żadne z nich nie było Larkiem czy Rety, choć głosy brzmiały jakby

znajomo. Słyszało się w nich też napięcie. Charakterystyczna dla myśliwych wrażliwość na silne uczucia sprawiła, że poczuł mrowienie podobne do tego w odmrożonych palcach.

– ...nasze ludy są naturalnymi sojusznikami. Zawsze nimi były. Pamiętasz, jak moi przodkowie pomogli twoim zrzucić tyranię szarych?

– Albo jak mój naród przyszedł z pomocą waszemu, gdy uryjskie stada polowały na ludzi wszędzie poza Fortecą Biblos? Gdy nasze nory były schronieniem dla waszych udręczonych farmerów i ich rodzin, dopóki nie staliście się wystarczająco liczni, by podjąć walkę?

Dwer wiedział, że drugi głos, któremu towarzyszył przydech z dwóch lub więcej otworów nogowych, pochodzi od qheueńskiej matrony. Zapewne władczyni tej przytulnej górskiej tamy. Ale nie spodobały mu się urywki rozmowy, które usłyszał. Zdmuchnął świecę i powlókł się w stronę łagodnego blasku widocznego przed nim przejścia.

– Czy o to mnie teraz prosicie? – ciągnęła matriarchini, przemawiając przez inny zestaw otworów. Barwa jej angielskiego akcentu uległa zmianie. -Jeśli to azylu potrzebujecie podczas tej przerażającej burzy, ja i moje siostry oferujemy go wam. Pięć razy po pięciu ludzkich osadników, naszych sąsiadów i przyjaciół, może przyprowadzić swe dzieci, szympany i mniejsze zwierzęta. Jestem pewna, że inne matki jezior wśród tych wzgórz postąpią tak samo. Będziemy ich tu chronić aż do chwili, gdy wasi zbrodniczy kuzyni oddalą się, albo gdy rozwalą ten dom w drzazgi i zagotują jezioro, używając swej wszechpotężnej mocy.

Jej słowa były tak nieoczekiwane, tak nie związane z żadnym kontekstem w zmaconym mózgu Dwera, że nie był w stanie ich pojąć.

Mężczyzna chrząknął.

– A jeśli poprosimy o więcej?

– O naszych synów? O ich brawurową odwagę i ostre szczytce? O ich pancerne skorupy, tak twarde, lecz zarazem tak podobne do miękkiego sera, gdy przecina je buyurska stal?

Syk qheueńskiej matki przypominał odgłos gotującego się czajnika. Dwer doliczył się pięciu nakładających się na siebie tonów. Wszystkie otwory pracowały jednocześnie.

– To faktycznie więcej – stwierdziła po chwili. – Bez porównania więcej. A noże z buyurskiej stali są jak bicze z miękkiego busa wobec tej nowej rzeczy, której się wszyscy obawiamy.

Dwer wyszedł zza rogu. Twarze tych, których rozmowę słyszał,

skąpane były w świetle kilku lamp. Osłonił oczy, gdy dwoje ludzi podniosło się z miejsc. Poważnie wyglądający, ciemnowłosa mężczyzna miał czterdzieści kilka lat, krępa kobieta była zaś o jakieś dziesięć lat młodsza. Jasne włosy ściągnęła w prosty węzeł, odsłaniając szerokie czoło. Qheueńska matrona zakołysała się lekko, unosząc dwie nogi, by w przelotnym błysku odsłonić szczytce.

– Jakich nowych rzeczy się obawiasz, czcigodna matko? – zapytał ochrypłym głosem Dwer. Zwróciwszy się w stronę ludzi, mówił dalej: – Gdzie są Lark i Rety? – Zamrugał powiekami. – I... była też glawerzyca.

– Wszyscy czują się dobrze. Wyruszyli już na Polanę, by przekazać najważniejsze informacje – odparła gwizdem qheuenka. – Tymczasem, dopóki nie wrócisz do zdrowia, zaszczycisz to jezioro jako jego gość. Jestem znana jako Zębowe Wiórki.

Pochyliła skorupę, która podrapała podłogę.

– Dwer Koolhan – odpowiedział, usiłując niezgrabnie pokłonić się z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Dobrze się czujesz, Dwer? – zapytał mężczyzna, wyciągając ku niemu rękę. – Nie powinieneś jeszcze wstawać.

– Sądzę, że o tym ma prawo zdecydować sam kapitan Koolhan – zauważyła kobieta. – Mamy mnóstwo do przedyskutowania, jeśli czuje się na siłach.

Dwer przyjrzał się im.

Danel Ozawa i... Lena Strong.

Znał ją. W gruncie rzeczy, mieli się spotkać na zgromadzeniu, w sprawie związanej z tym głupim pomysłem turystyki.

Potrząsnął głową. Użyła dziwnego, straszliwie brzmiącego słowa.

"Kapitan".

– Zmobilizowano milicję – wywnioskował, rozgniewany na swój umysł za to, że porusza się tak wolno.

Danel Ozawa skinął głową. Jako naczelny leśnik Obszaru Centralnego był teoretycznie szefem Dwera, choć ten widywał go niemal wyłącznie na zgromadzeniach. Ozawa był mężczyzną o imponującym intelekcie, zastępcą mędrca, który miał uprawnienia do wydawania decyzji w kwestiach dotyczących prawa i tradycji. Jeśli chodzi o Lenę Strong, nazwisko blondynki do niej pasowało. Była żoną zagrodnika do chwili, gdy na jej niezaradnego męża spadło drzewo, jak twierdziła,

przypadkowo. Następnie opuściła wioskę, by stać się jednym z czołowych drwali i traczy na rzece.

– Alarm najwyższego stopnia – potwierdził Ozawa. – Zaktywizowano wszystkie kompanie.

– Co... wszystkie? Tylko po to, żeby zgarnąć bandę przedterminowych osadników?

Lena potrząsnęła głową.

– Rodzinę dziewczyny zza Gór Obrzeżnych? Chodzi o coś znacznie większego.

– Ale...

Uderzyło go wspomnienie. Niewyraźny obraz unoszącego się w powietrzu potwora strzelającego błyskawicami płomieni.

– Latająca maszyna – wychrypiął. •

– Zgadza się. – Danel skinął głową. – Ta, na którą się natknąłeś...

– Niech zgadnę. Jacyś narwańcy odkopali schowek. Marzyciele i obiboki nigdy nie przestawali dawać wiary pogłoskom o bajkowym skarbie. Nie o jakiejś ruinie, lecz o zamkniętym schowku celowo zakopanym przez odlatujących Buyurów. Dwer często musiał wylapywać poszukiwaczy, którzy zapuścili się zbyt daleko. A jeśli jakieś młode, gniewne ursy naprawdę odnalazły starożytną, boską broń? Czy mogły wypróbować ją najpierw na dwojgu izolowanych ludzi uwięzionych w labiryncie mierzwopająka, nim przystąpiły do spłacania poważniejszych długów? Lena Strong roześmiała się głośno.

– Och, on jest świetny, Danel! Cóż za teoria. Gdyby tylko była prawdziwa!

Dwer dotknął głowy. Wibracja pochodząca od koła wodnego wydawała się wysilona, chaotyczna.

– A więc? Jaka jest prawda? – zapytał z irytacją, po czym popatrzył w twarz Ozawie. Starszy mężczyzna wymownym ruchem skierował oczy ku niebu.

– Nie-wyszeptał Dwer.

Poczuł się dziwnie zubożniały, niezainteresowany.

– No to już po wszystkim, a ja straciłem robotę... czy nie? Dwoje ludzi złapało Dwera za ramiona, gdy odpłynęło od niego to,

co napędzało go do tej chwili, siła, która wyrwała go z nieświadomości:

poczucie obowiązku.

Galaktowie. Tutaj na Stoku – pomyślał, kiedy nieśli jego ciężkie ciało korytarzem. A więc

wreszcie się stało. Dzień Sądu.

Nie pozostało nic do zrobienia. Nie mógł w żaden sposób wpłynąć na bieg wydarzeń.

Najwyraźniej mędrzy byli innego zdania. Uważali, że los można jeszcze odwrócić, a przynajmniej w jakiś sposób odmienić.

Lester Cambel i jego pomocnicy mają jakieś plany – zdał sobie sprawę Dwer następnego ranka, gdy ponownie napotkał dwoje ludzi, tym razem nad brzegiem skrytego w lesie górskiego jeziora. Tamę porastały drzewa zacierając jej pełen gracji zarys i powodując, że doskonale była wkomponowana w krajobraz. Dwer rozciągnął się na wygodnej drewnianej ławie. Popijając zimny napój z pucharu wykonanego z uryjskiego szkła, zwrócił się w stronę dwojga emisariuszy, których wysłano aż tutaj, by się z nim spotkali.

Nie ulegało wątpliwości, że przywódcy Szczepu Ziemiaków toczyli skomplikowaną, wielopoziomą rozgrywkę, starając się zachować równowagę między interesem gatunku a dobrem całej Wspólnoty. Bezpośrednia Lena Strong o otwartej twarzy nie sprawiała wrażenia zakłopotanej tą ambiwalencją, inaczej jednak sprawy się miały z Danelem Ozawą, który opowiedział Dwerowi o rozmaitych reakcjach przedstawicieli innych gatunków na fakt, że najeźdźcy okazali się ludźmi.

Żałuję, że Lark nie zaczekał. On potrafiłby się w tym wszystkim połapać.

W umyśle Dwera wciąż panował zamęt, mimo że przespał całą noc.

– Nadal nic nie rozumiem. Co robią ludzcy awanturnicy tu, w Drugiej Galaktyce? Myślałem, że Ziemiaki to prymitywna, ciemna hołota, znana tylko w ich małej części Czwartej Galaktyki!

– A dlaczego my tu jesteśmy, Dwer? – odpowiedział pytaniem Ozawa. – Nasi przodkowie przybyli na Jijo zaledwie w kilka dziesięcioleci po tym, jak odkryli gwiazdny napęd.

Dwer wzruszył ramionami.

– Byli samolubnymi sukinsynami. Gotowymi narazić cały gatunek tylko po to, by znaleźć miejsce, w którym mogliby się rozmnażać. Lena prychnęła pogardliwie, Dwer jednak trzymał brodę uniesioną.

– Żadne inne wyjaśnienie nie ma sensu.

"Nasi przodkowie byli egocentrycznymi łajdakami" – powiedział któregoś dnia Lark.

– Nie wierzysz w opowieści o prześladowaniach i ucieczce? – zapytała Lena. – Że musieli ukryć się lub zginąć? Dwer wzruszył ramionami.

– A co z g'Kekami? – zapytał Ozawa. – Ich przodkowie twierdzili, że cierpieli prześladowania. Teraz dowiedzieliśmy się, że ich gatunek został wymordowany przez Sojusz Spadkobierców. Czy trzeba paść ofiarą eksterminacji, by usprawiedliwienia stały się wiarygodne?

Dwer odwrócił wzrok. Żaden z g'Keków, których on znał, nie zginął. Czy powinien czuć żalobę po milionach, które zgładzono dawno temu i daleko stąd?

– Dlaczego pytacie o to mnie? – wymamrotał ze złością. – Czy mogę w jakiś sposób wpłynąć na wydarzenia?

– To zależy. – Danel pochylił się do przodu. – Twój brat jest niezwykle zdolny, ale to heretyk. Czy podzielasz jego przekonania? Czy sądzisz, że ten świat miałby się lepiej bez nas? Czy powinniśmy wyrzucić Dwer?

Zrozumiał, że go testują. Jako czołowy myśliwy byłby cennym nabytkiem dla milicji, pod warunkiem, że można by mu było ufać. Dwer wyczuwał czujność w ich oczach, obserwujących go i poddających ocenie.

Nie ulegało wątpliwości, że Lark był najmądrzejszą z osób, które Dwer znał. Jego argumenty były sensowne, gdy mówił namiętnie o wartościach wyższych niż zwykłe zwierzęce rozmnażanie. Z pewnością bardziej sensowne niż dziwaczny, oparty na matematyce i nieuzasadnionych

przypuszczeniach optymizm Sary. Dwer z własnego doświadczenia wiedział, że gatunki wymierają, że traci się coś pięknego, czego nigdy nie będzie można odzyskać.

^ Może Jijo faktycznie miałyby się lepiej, gdyby pozwolono jej odpoczywać w spokoju, tak jak zakładał plan.

Dwer jednak wiedział, co mówi mu jego serce. Któregoś dnia się ożeni, jeśli znajdzie odpowiednią partnerkę, a potem spłodzi tyle dzieci, na ile pozwolą mu jego żona i mędracy, upajając się niby mocnym winem miłością, jaką obdarzą go w zamian za jego oddanie.

Będę walczył, jeśli o to pytacie – powiedział cichym głosem,

być może wstydząc się tego wyznania. – O ile to właśnie będzie potrzebne, by przeżyć.

Lena chrząknęła i z zadowoleniem skinęła głową. Danel wydał z siebie ciche westchnienie.

– Walka może nie być konieczna. Twoje obowiązki w milicji przejmą inni. Dwer usiadł.

– Ze względu na to? – Wskazał głową bandaż na swych stopach i lewej dłoni. Z prawej już mu je zdjęto, co ujawniło, że jej środkowy palec przestał być najdłuższy. Blizna po tej kłopotliwej, lecz nie okaleczającej amputacji goiła się pod skorupą traeckiej pasty.

– Wkrótce stanę na nogi, zdrowy jak zawsze.

– Na to właśnie liczę. – Ozawa skinął głową. – Jesteś nam potrzebny do bardziej uciążliwego zadania. Nim ci wszystko wyjaśnię, musisz złożyć przysięgę, że nigdy nie poinformujesz o tym nikogo, a zwłaszcza brata.

Dwer wbił wzrok w rozmówcę. Gdyby był to ktokolwiek inny, wybuchnąłby może pogardliwym śmiechem. Ozawie jednak ufał. A choć bardzo kochał i podziwiał brata, nie było wątpliwości, że Lark jest heretykiem.

– Czy to posłuży dobru? – zapytał.

– Jestem przekonany, że tak – odparł starszy mężczyzna głosem, w którym brzmiała szczerłość.

Dwer westchnął ze smutkiem.

– W takim razie w porządku. Posłuchajmy, co wymyśliliście.

Asx

Obcy zażądali, by pokazano im szympansy, po czym zdumieni się widokiem tych, które im przyprowadziliśmy, całkiem jakby nigdy nie widzieli czegoś podobnego.

– Wasze szympansy nie mówią! Dlaczego?

Lester daje wyraz zdumieniu. Szympansy znają oczywiście język migowy. Czy od czasu ucieczki "Tabemacie" na Jijo wzbogacono je o nowe cechy?

Zapewnienia Lestera nie robią wrażenia na najeźdźcach, a także na

niektórych naszych towarzyszach spośród Sześciu. Po raz pierwszy ja-my wyczuwamy jakąś skrytość, coś nieszczerzego w zachowaniu mojego-naszego ludzkiego kolegi. Wie więcej, niż mówi. Nasz płochliwy rewq nie chce jednak ujawnić nic ponadto.

Nie to jedno wzbudza w nas niepokój. Qheueni odmawiają dalszych rozmów na temat lomików. Nasi g'Keccy koledzy chwieją się na kołach pod wpływem wieści, że są ostatnimi przedstawicielami swego gatunku. Wszystkich nas ogarnia groza, gdy widzimy, jak obce roboty wracają do bazy obciążone uspiętymi gazem gławerami porwanymi z odległych stad, aby w pamiętających szczęśliwe czasy namiotach, które pożyczaliśmy naszym gościom, poddać je badaniom.

– Czy to jest powrót do niewinności obiecany w zwojach? – pyta Ur-Jah. Zwątpienie skapuje z jej opuszczonego pyska niczym opary. – Jak z podłej zbrodni może się zrodzić błogosławieństwo?

Gdybyśmy tylko mogli zapytać gławery, czy tego właśnie chciały, gdy wybierały Ścieżkę Odkupienia.

Lark

– Proszę, kogo widzimy. Jestem zaskoczona, że masz odwagę, by się tu pokazać.

Uśmiech piratki wydawał się przebiegły, a zarazem prowokujący. Ściągnęła elastyczne rękawiczki i odwróciła się od glawera, który leżał na laboratoryjnym stole. W skórę głowy miał wbite przewody. Było tam kilka wielkich, wspartych na kozłach stołów, nad którymi ludzie, g'Keccy i uryjscy robotnicy pochylali się w chłodnym świetle lamp. Byli bezmyślnymi wykonawcami czynności, których kazano się im nauczyć na pamięć. Pomagali swym pracodawcom testować zwierzęta pochodzące z rozmaitych jijańskich ekosystemów.

Lark postawił swój plecak przy wejściu, lecz teraz podniósł go.

– Jeśli chcesz, to sobie pójdę.

– Nie, nie. Proszę, zostań.

Ling gestem nakazała mu skryć się w laboratorium, które przeniesiono w osłonięte lasem miejsce tej samej nocy, której Lark po raz ostatni widział piękną piratkę, tego samego wieczoru, gdy czarna stacja została zagrzebana pod zwałami ziemi i zniszczonej roślinności. Powód obu

tych akcji był wciąż niejasny, ale zwierzchnicy Larka sądzili teraz, że musiała ona mieć coś wspólnego z gwałtownym zniszczeniem jednego z należących do intruzów robotów. Jego brat z pewnością widział to wydarzenie z bliska.

Było jeszcze świadectwo Rety, pochodzącej z gór dziewczyny, potwierdzone przez jej skarb, dziwną, metalową maszynę, która ongiś miała kształt jijańskiego ptaka. Czy – jak sądzili niektórzy – była to pozostałość po Buyurach? Jeśli tak, dlaczego tak drobny przedmiot zaniepokoił potężnych łupieżców? Chyba że sprawa przypominała nieszkodliwy na pierwszy rzut oka czubek skorupy czerwonego qheuena grzebiącego w piaszczystej wydmie i była częścią czegoś znacznie większego niż mogłoby się zdawać. "Ptak" spoczywał teraz w jaskini, bezgłowy i niemy, lecz Rety przysięgała, że niedawno się ruszał.

Larkowi rozkazano wrócić na Polanę, nim jego brat zdążył potwierdzić tę opowieść. Wiedział, że nie powinien się niepokoić. Danel Ozawa miał kwalifikacje niezbędne, by poradzić sobie z obrażeniami Dwera. Niemniej czuł się głęboko dotknięty rozkazem powrotu.

– Czy będę ci potrzebny podczas następnej ekspedycji? – zapytał Ling.

– Po tym, jak porzuciłeś mnie poprzednim razem? Gdy wreszcie dotarliśmy w miejsce, gdzie robot spadł na ziemię, znaleźliśmy ślady człowieka. Czy tam właśnie pognałeś? Dziwne, że znałeś drogę.

Zarzucił plecak na ramię.

– Skoro mnie nie potrzebujesz... Przesunęła dłoń przed twarzą.

– Och, mniejsza o to. Ruszajmy. Roboty jest mnóstwo, jeśli chcesz się jej podjąć.

Lark popatrzył z powątpiewaniem na stoły laboratoryjne. Zatrudniano przy nich wszystkie trzy gatunki spośród jijańskich Sześciu obdarzone dobrą koordynacją manualno-wzrokową. Na zewnątrz hoonowie i qheueni również trudzili się dla obcych, których najmamiejsze błyskotki oznaczały dla prymitywnych barbarzyńców niewyobrażalne bogactwo. Jedynie trackich nie dostrzegało się wśród cętkowanych namiotów, ponieważ zbudowane z pierścieni istoty przyprawiały piratów o nerwowość.

Sipaje. To było pogardliwe określenie, którego użyła Lena Strong, gdy przekazywała Larkowi nowe rozkazy w Tamie Zębowych Wiór-226

ków. Termin pochodził ze Starej Ziemi i odnosił się do opłacanych paciorkami tubylców pracujących dla potężnych gości.

– Och, nie miej takiej kwaśnej miny. – Ling roześmiała się. – Powinnam cię zagonić do roboty przy barwieniu tkanki nerwowej albo czyszczeniu zagród długoryjów... Nie, stop – złapała Larka za

ramię. Nie zamierzała dłużej drwić. – Przepraszam. Naprawdę chciałabym z tobą pomówić.

– Jest tu Uthen.

Wskazał na przeciwległy koniec namiotu, gdzie jego kolega biolog, wielki qheueński samiec o ciemnoszarej skorupie naradzał się z Ran-nem, jednym z dwóch łupieżców płci męskiej, wysokim, potężnym facetem w obcisłym mundurze.

– Uthen wie niewiarygodnie wiele na temat wzajemnych relacji między różnymi gatunkami – zgodziła się Ling. – To nie jest łatwe na planecie, na której przez eony co jakieś dwadzieścia milionów lat dochodziło do infuzji obcych form życia. Posiadana przez was wiedza jest imponująca, biorąc pod uwagę wasze ograniczenia.

Czy miała jakiegokolwiek pojęcie, jak daleko naprawdę sięga jijańska wiedza? Jak dotąd mędracy nie ujawnili szczegółowych tabel. Uthen musiał zapierać się wszystkimi pięcioma nogami, aby jego współpraca z piratami ograniczyła się tylko do niezbędnych informacji. Niemniej obcym łatwo było zaimponować przelotnymi rozbłyskami lokalnej mądrości, co dowodziło tylko, jak mało oczekiwali od tubylców.

– Dziękuję – wymamrotał Lark. – Bardzo dziękuję. Ling westchnęła, odwracając na chwilę ciemne oczy.

– A niech to, nic mi dzisiaj nie wychodzi? Nie chciałam cię obrazić. Rzecz w tym... posłuchaj, a może spróbowałibyśmy zacząć od początku, dobra?

Wyciągnęła rękę.

Lark popatrzył na nią. Co powinien teraz zrobić?

Wyciągnęła lewą dłoń i chwyciła go za prawy nadgarstek. Następnie jej prawa dłoń uściśnięła jego prawą.

– To się nazywa uścisk dłoni. Używamy go, żeby wyrazić szacunek, przyjazne powitanie lub zgodę.

Lark zamrugnął powiekami. Jej uścisk był ciepły i mocny. Miał lekko wilgotną rękę.

– Aha. Czyta... Słyszałem o tym.

Gdy zacisnęła dłoń, spróbował odpowiedzieć tym samym, lecz wydawało się to tak dziwne i w nieokreślony sposób erotyczne, że zwolnił uścisk szybciej, niż się spodziewała. Poczł ciepło na twarzy.

– Czy to często używany gest?

– Słyszałam, że bardzo często. Na Ziemi.

Słyszałaś? Lark wyłowił rzucone w przelocie zdanie i zrozumiał, że znowu zaczęła się ich gra: aluzje i wyjawiane tajemnice, wzajemne poszukiwanie wskazówek i domyślanie się tego, czego nie powiedziano.

– Potrafię zrozumieć, dlaczego na Jijo z niego zrezygnowaliśmy – skomentował. – Ursy by go nienawidziły. Dłonie są dla nich czymś bardziej prywatnym niż genitalia. Hoonowie i qheueni zmiażdżyliby nasze ręce, a my z kolei zgnielibyśmy witki każdego g'Keka, który by tego spróbował.

Wciąż czuł mrowienie w palcach. Oparł się pragnieniu, by poddać je oględzinom. Z pewnością nadszedł czas, by zmienić temat.

– A więc – zapytał, starając się mówić rzeczowym tonem, jak równy z równym – nigdy nie byłaś na Ziemi? Kobieta uniosła brew, a potem roześmiała się.

– Wiedziałałam, że nie zdołamy cię wynająć tylko za garść poddających się biodegradacji zabawek. Nie martw się, Lark. Będę ci płaciła odpowiedziami – niektórymi – pod koniec każdego dnia. Kiedy już sobie na nie zasłużysz.

Lark westchnął, choć układ właściwie nie wyglądał na niezadowolający-

– No dobrze. Dlaczego mi nie powiesz, czego chcesz się dowiedzieć?

Asx

Każdego dnia staramy się prowadzić mediacje, by zmniejszyć napięcia panujące między frakcjami: od tych, którzy nakłaniają do współpracy z nieproszonymi gośćmi, aż po innych, którzy poszukują sposobów, by ich zniszczyć. Nawet moje-nasze subjaźni walczą między sobą o to, którą z tych opcji wybrać.

Zawrzeć pokój z przestępcami, czy walczyć z niezwyciężonym? Potępienie czy zagłada?

Nasi goście wciąż wypyują nas o innych przybyszy! Czy widzieliśmy ostatnio, by jacyś obcy spadli z nieba? Czy istnieją buyurskie ruiny, o których im nie opowiedzieliśmy? Miejsca, w których wciąż czają się starożytne mechanizmy, nadal aktywne i skore do poruszania się?

Skąd ta uporczywość? Z pewnością dostrzegają, że nie kłamiemy. Że nie wiemy więcej, niż im wyjawiliśmy.

Ale czy to prawda, moje pierścienie? Czy wszyscy z Sześciu dzielili się uczciwie ze Wspólnotą, czy też niektórzy ukrywają informacje o kluczowym znaczeniu, potrzebne każdemu z nas?

Fakt, że „ja” pomyślałem coś takiego, jest kolejnym dowodem na to, jak nisko upadliśmy, my, niegodni, nikczemni, przedterminowi osadnicy. A z pewnością czeka nas jeszcze gorszy upadek.

Rety

W mniejszym, bardziej wyświechtanym namiocie, ukrytym w gęstym gaju położonym w pewnej odległości od stacji badawczej. Rety rzuciła się na trzciniową matę, waląc w nią obiema pięściami.

– Śmierdziele. Zgniłe flaki i cuchnące mięso. Zgniłki, zgniłki, zgniłki!

Miała poważne powody, by miotać się z oburzenia i litości nad sobą. Ten kłamca Dwer mówił jej, że mędrcy są dobrzy i mądrzy, a okazali się okropni!

Och, nie z początku. W pierwszej chwili jej nadzieje strzeliły w górę niczym gejzery w domu, wśród buchających parą Szarych Wzgórz. Lester Cambel i pozostali wydawali się tak wyrozumiali, gdy uwolnili ją od lęku przed karą za popełnioną przez jej dziadków zbrodnię polegającą na wymknięciu się na wschód, za zakazane góry. Nim jeszcze poddali ją przesłuchaniu, kazali lekarzom opatrzyć jej zadrapania i poparzenia. Nawet nie pomyślała o tym, by bać się nie znanych jej wcześniej g'Keckich i traeckich medyków, którzy rozpuścili wciąż przylegające do jej ciała kropelki mierzwowego płynu, a potem za pomocą jakiejś piany usunęli pasożyty, od których roilo się na owłosionej skórze jej głowy, odkąd sięgała pamięcią. Zdobyła się nawet na to, by im wybaczyć, gdy zgasili jej nadzieję na usunięcie blizn z twarzy. Najwyraźniej nawet możliwości Stekowców miały swoje granice.

Od chwili, gdy oboje z Larkiem wmaszerowali na Polanę Zgromadzeń, zauważyła, że wszyscy wydają się okropnie podekscytowani i roztargnieni. Z początku myślała, że to ze względu na nią, lecz wkrótce stało się jasne, że prawdziwą przyczyną są goście z nieba!

Nieważne. I tak czuła się, jakby wróciła do domu. Jakby padła w objęcia rodziny znacznie większej i słodszej niż mała, brudna banda, którą знаła przez czternaście straszliwych lat.

A przynajmniej czuła się tak przez moment.

Do chwili zdrady.

Dopóki mędrcy nie wezwali jej ponownie do namiotu, by zakomunikować jej swą decyzję.

– To wszystko wina Dwera – mamrotała później, owładnięta żarliwym oburzeniem. – Jego i tego zgniłkajego brata. Gdybym tylko zdołała przemknąć się przez góry niepostrzeżenie. Nikt by mnie nie zauważył podczas całego tego zamieszania.

Nie miała dokładnego wyobrażenia, co zrobiłaby później. Powtarzane przez staruszków w domu,

zastyszane przez nich w dzieciństwie opowieści o Stoku były niejasne. Być może stałaby się użyteczna dla jakiejś odległej wioski jako traperka. Nie dostarczałyby żywności – Stokowcy mieli jej pod dostatkiem – lecz miękkich futer, które powstrzymałyby mieszkańców przed zadawaniem zbyt dociekliwych pytań o to, skąd przybyła.

Gdy mieszkała wśród Szarych Wzgórz, podobne marzenia pozwalały jej przetrwać kolejne, ciężkie dni. Niemniej mogłaby nigdy nie zdobyć się na odwagę, by uciec ze swego brudnego klanu, gdyby nie piękny, lśniący ptak.

A teraz mędrcy zabrali go jej!

– Jesteśmy wdzięczni za twój udział w sprowadzeniu do nas tego tajemniczego cudu – oznajmił przed niespełną godziną Lester Cambel. Uskrzydłony przedmiot leżał przed nim na stole. – Tymczasem jednak wydarzyło się coś straszliwie naglącego. Mam nadzieję, Rety, że zrozumiesz, dlaczego tak bardzo niezbędny jest twój powrót.

Powrót? Z początku nie potrafiła zdobyć się na to, by pojąć jego słowa. Gdy zastanawiała się nad nimi, mędrzec nie przestawał giędzić.

Powrót?

Powrót do Jassa, Borna i ich puszenia się? Do nieustannego terroryzowania przez tych wyrośniętych, silnych myśliwych? Ich wiecznego

przechwalania się przy ognisku marnymi, podłymi triumfami, które po każdym powtórzeniu stawały się coraz bardziej przesadzone? Do tych nikczemnych przygłupów, którzy używali utwardzonych w ogniu kijów, by ukarać każdego, kto odważył się pyskować?

Powrót do miejsca, w którym matki przyglądały się bezsilnie, jak połowa ich dzieci marnieje i umiera? W którym nie miało to większego znaczenia, ponieważ nowe dzieci rodziły się, rodziły i rodziły, aż wreszcie stawałaś się wyschnięta i umierałaś, nim skończyłaś czterdzieści lat? Powrót do całego tego głodu i brudu?

Ludzki mędrzec mamrotał jakieś słowa i zdania, które miały brzmieć uspokajająco, szlachetnie i logicznie. Rety jednak przestała go słuchać.

Chcieli ją odesłać z powrotem do plemienia!

Och, mogłoby być fajnie ujrzeć twarz Jassa w chwili, gdy wmasze-rowałyby do obozu, ubrana i wyposażona we wszelkie cuda, jakie miało do zaoferowania Sześciu. Co jednak czekałoby ją później? Zostałaby znowu skazana na to straszne życie.

Nie wróć. Nie wróć!

Podjąwszy to postanowienie. Rety przewróciła się na drugi bok, otarła oczy i zastanowiła się, co robić.

Mogła spróbować uciec, poszukać schronienia w innym miejscu. Pogłoski mówiły, że między Sześcioma nie panuje bynajmniej idealna harmonia. Jak dotąd, usłuchała prośby Cambela i nie zdradziła nikomu, skąd pochodzi. Zastanawiała się jednak, czy jakiś odłam urs lub qheue-nów nie mógłby jej zapłacić za tę informację? Albo zaprosić ją, by zamieszkała wśród nich?

Mówią, że ursy czasem pozwalają wybranemu człowiekowi jeździć na swym grzbiecie, o ile jest wystarczająco lekki i godny tego zaszczytu.

Spróbowała wyobrazić sobie swe życie wśród galopujących klanów, ; gdzie krążyłaby, zuchwała i swobodna, po otwartych równinach, a jej włosy targałby wiatr.

A może wyruszyć na morze razem z hoonami? Istniały wyspy, na których nikt nigdy nie postawił stopy, latające ryby oraz pływające góry zbudowane z lodu. To dopiero byłaby przygoda! Byli jeszcze traeki na bagnach...

Nagle przyszła jej do głowy nowa myśl. Kolejna możliwość, która

teraz wydała się dostępna, tak zdumiewająca, że Rety przez kilka dni leżała bez ruchu. Wreszcie rozluźniła zaciśnięte pięści. Na koniec usiadła, zastanawiając się z rosnącym podnieceniem nad ewentualnością przerastającą wszystko, co jej dotychczas przychodziło do głowy.

Im dłużej o tym myślała, tym atrakcyjniejsze zaczynało się jej wydawać.

XI

KSIĘGA MORZA

Zwierząt nic nie obchodzą gatunek, klan i filozofia. Piękno, etyka i inwestycje w rzeczy, które będą trwały po nich. Jedyne, co jest dla nich ważne, to chwila. Jedyne, co się liczy, to ja.

Partnerzy, potomstwo, rodzeństwo czy towarzysze z roju, wszystko to oznacza przedłużenie ja.

Nawet u kochającego zwierzęcia altruizm jest mocno związany z własnymi korzyściami.

Istoty rozumne nie są zwierzętami.

Wyalność nawet urodzonych egoistów wiąże ze sprawami szlachetniejszymi i bardziej abstrakcyjnymi niż zwykła ciągłość życia. Z gatunkiem, klanem i filozofią.

Z pięknem, etyką i sadzeniem owoców, których ty i ja nigdy nie zbierzemy.

Jeśli poszukujecie schodzącej ścieżki, długiej drogi ku odkupieniu...] e śli pragniecie drugiej szansy, po rozgrzeszeniu z żalu i niepokoju... Szukajcie jej w powrocie do ziemi. Zapomnieniu o gatunku, klanie i filozofii.

Ale strzeżcie się, by ta droga nie zawiodła was za daleko! Dochowajcie wiary czemuś większemu niż wy sami. Wystrzegajcie się powrotu obsesji na punkcie ja.

Dla tych, którzy poznali smak próżni i pyłu gwiazdznego, ta droga wiedzie do potępienia.

Zwój Odkupienia

Opowieść Alyina

Pozostali już śpią. Jest późno, ale chcę to wszystko zapisać, bo wkrótce zacznę się dużo dzieć i nie wiem, kiedy będę miał następną okazję.

Jutro schodzimy z góry, obładowani wszelkiego rodzaju ekwipunkiem pożyczonym nam przez Uriel Kowalicę. Dostaliśmy tak dużo dobrego sprzętu, że czujemy się teraz dosyć głupio, gdy zastanawiamy się nad naszymi dawnymi planami.

Pomyśleć, że byliśmy gotowi powierzyć życie szmelcowi, który sami zaprojektowaliśmy!

Uriel wysłała już zawiadomienia do naszych rodziców, wykaligrafowane na grubym papierze ze szmat i opatrzone jej pieczęcią jako mędrcza Wspólnoty. Rodzina nie może więc zrobić wiele, by powstrzymać mnie czy Huck.

Nie znaczy to, że palę się do spotkania z rodzicami. Co mógłbym im powiedzieć? "Cześć, tato. To będzie całkiem jak w Dwudziestu tysiącach mil podmorskiej żeglugi. Pamiętasz, jak często mi to czytałeś, kiedy byłem mały?"

Przypomniałem sobie teraz, jak zakończyła się owa opowieść dla załogi łodzi podwodnej kapitana Nemo. Potrafię zrozumieć, dlaczego Yowg-wayuo żałuje, że stałem się takim wielkim człekonastadowcą. Jeśli ojciec wda się ze mną w spór na ten temat, udzielę odpowiedzi w języku innym niż anglic, żeby mu zademonstrować, że naprawdę przemyślałem sprawę na kilka różnych sposobów. Ta wyprawa jest czymś więcej niż przelotną dziecienną obsesją. Czymś znaczącym dla naszej wioski i naszego gatunku. Wraz z pozostałymi znajdę się na kartach historii. Ważne jest, by brał w tym udział hoon: od pomysłu, przez realizację, aż po wspomnienie.

Gdy Uriel podjęła już decyzję, zabrała się do roboty naprawdę ostro. Koniuszek Szczypiec wyruszył w drogę tego samego wieczoru, gdy wywlenowano Ziza. Zabrał świeżo wypączkowanego trackiego do swego rodzinnego kopca, by poddać go adaptacji do życia w wodzie w zalewanych

przyplływami płycznach na południe od Wuphonu. Koniuszek wykorzysta również autorytet kowalicy, by wynająć kilku

swych kuzynów o czerwonych skorupach, którzy przeciągną drewniany kadłub batyskafu w umówiony punkt nieopodal Rozpadliny. Reszta ruszy łądem, wozami transportującymi zapasy.

Próbne zanurzenia zaczną się już za pięć dni!

Wybór miejsca miał podstawowe znaczenie. Istnieje tylko jeden punkt, w którym przepastny, podwodny rów Śmietniska zagłębia się w wybrzeże niczym ostrze kosy. Odchodzi tam od niego głębokie pęknięcie złożone z wyszczerbionych kanionów przebiegających tuż obok Krańcowej Skały. Jeśli umocujemy bom na zwisającej nad wodą półce, nie będziemy musieli wynajmować statku.

To ulga, że decyzje wreszcie zapadły. Nawet Huck przyznaje, że kości zostały rzucone, akceptując przeznaczenie z potarciem o siebie dwóch szypułek.

– Przynajmniej będziemy na samej granicy. I tak chciałam się tam wybrać. Kiedy skończymy, Uriel będzie miała u nas dług. Będzie musiała wystawić nam pozwolenie na przekroczenie linii demarkacyjnej i odwiedzenie buyurskich ruin.

W anglicu istnieje takie słowo – wytrwałość – które tłumaczy się na szósty galaktyczny jako upór. To jeszcze jeden przykład na to, że ludzka mowa najlepiej opisuje moją koleżankę Huck.

Wszyscy, nawet Ur-ronn, jesteśmy zaskoczeni tym, jak rozrzutnie Uriel zaczęła nagle używać środków na naszą "małą przygodę" Podczas ostatniego wieczoru spędzonego na Mount Guenn, po długim dniu spędzonym na pakowaniu skrzyń i sprawdzaniu spisów inwentarzowych, czekając, aż fabryka przerwie pracę przed zapadnięciem nocy, rozpoczęliśmy rozmowę o nagłej eksplozji życzliwości kowalicy.

– To musi się wiązać z gwiazdolotami – stwierdziła Ur-ronn, unosząc pysk znad słomy siennika, na którym spała.

Huck zwróciła w jej stronę dwie szypułki, pozostawiając tylko jedną zagłębioną w lekturze porządnie wyczytanego egzemplarza Zamku Lorda Yalentine'a.

– Znowu to samo! – jęknęła. Co, u licha, może nasza mała, kretyńska podwodna wycieczka mieć wspólnego z przybyciem na Jijo galaktycznych krążowników? Czy nie sądzisz, że Uriel musi mieć na głowie ważniejsze problemy?

– Ale Gyfz fowiedział w zeszłym tygodniu...

– Dlaczego nie przyznasz, że źle zrozumiałaś słowa Gybza? Spy-

taliśmy dziś er-go o to i ten traeki nie pamięta, żeby widział jakieś statki kosmiczne.

– To nie ten traeki – poprawiłem. – Nie mieliśmy okazji zapytać o nic Gybza przed wlenowaniem. To Tyug powiedział, że nic takiego nie pamięta.

– Tyug, Gybz. Różnica nie może być taka wielka. Nawet zwleno-wany traeki nie zapomnieliby czegoś takiego!

Nie byłem tego taki pewien. Słyszałem, że traeki wosk pamięci potrafi płatać figle.

Z drugiej strony, rzadko bywam pewien czegokolwiek tak mocno, jak Huckjest pewna wszystkiego.

Oczywiście była jeszcze jedna osoba, którą mogliśmy zapytać, ale podczas ładowania ekwipunku i przygotowywania planów stara, poryw-cza kowalica oszołomiła nas tak, że nie poruszyliśmy tego tematu. Lepiej może byłoby powiedzieć "onieśmieliła", choć nie jestem tego pewien, bo piszę teraz przy świetle świecy, bez podręcznego słownika. W ciągu ostatnich kilku dni Uriel opuściła swoje zwykłe obowiązki, by rozmawiać z ludzkim gościem, opiekować się salą pełną cennych krążków oraz zasypywać nas masą szczegółów, o których ani razu nie pomyśleliśmy podczas długich miesięcy planowania podmorskiej przygody, której spełnienia się nikt z nas naprawdę nie oczekiwał. W całym tym zamieszaniu nigdy jakoś nie było czasu, by zadać inne pytania. Czasem też Uriel stwierdzała

jasno, że niektóre sprawy nie powinny nas obchodzić.

W pewnej chwili spróbowałem ją zapytać o wszystkie zmiany, jakie wprowadziła do naszych planów.

– Zawsze mieliśmy zamiar rozpocząć od badania płycizn leżących niedaleko od domu, a potem przebudować batyskaf i przywrócić go do stanu używalności, nim spróbujemy zanurzyć się głębiej z łodzi. Może na dziesięć albo dwadzieścia sznurów. A teraz mówisz, że mamy od razu zaliczyć trzydzieści!

– Trzydzieści sznurów to nie tak dużo – odparła Uriel z lekceważącym parsknięciem. – Och, zgadzan się, że wasze stare cyrkulatory fowietrza nie wytrzymałyby tego. Dlatego właśnie zastał ten system lefszyn, który nieliśny na składzie. Ponadto wasze uszczelnienia frze-ciekaływy. Jeśli chodzi o sań kadłuw, wasza konstrukcja jest w forządku.

Nie mogłem się nadziwić skąd wziął się cały ten sprzęt. Na przykład, nie pomyśleliśmy, że potrzebny nam będzie regulator ciśnienia gazu.

Całe szczęście, że Uriel wskazała nam ten błąd. Tak też się złożyło, że miała w magazynie piękny regulator ręcznej roboty. Ale dlaczego go miała? Po co nawet kowalicy z Mount Guenn podobna rzecz?

Huck przyznała, że wsparcie, jakie zapewniała kompetencja Uriel, nie szkodzi naszym szansom. Niemniej byłem zaniepokojony. Nasze przedsięwzięcie otaczała aura tajemnicy.

– Wszystko stanie się jasne, gdy dotrzecie do skały i wędzie nożna frzystąfić do akcji. Sfrzwdzę sfrzęt oswiście, a foten wyjaśnię wan, w czyn nożecie ni fonóc.

Pomijając nie trwające dłużej niż dzień wypadki do Wuphonu, Uriel niemal nigdy nie opuszczała kuźni. A teraz chciała wyjechać na dwa tygodnie, by towarzyszyć nam w naszej przygodzie? Nigdy w życiu żadna wiadomość nie podziałała na mnie tak jak ta: uspokajająco i przerażająco zarazem. Być może człowiek, na którego cześć wybrałem sobie przezwisko, czuł się tak samo, gdy badając głębokie katakumby pod Diaspar odnalazł coś niewyobrażalnego, tajemniczy tunel prowadzący do dalekiego Lys.

Byliśmy więc tam – Huck, Ur-ronn i ja – spakowani i gotowi wyruszyć rankiem na wyprawę, która miała uczynić nas sławnymi, bądź przyprawić o śmierć. Pozostała jednak jeszcze pewna sprawa, którą musieliśmy załatwić wcześniej. Czekaliśmy, aż nad Mount Guenn zapadnie ciemna noc, a blask słońca przestanie wypełniać setkę sprytnie rozmieszczonych świetlików, nie pozostawiając nic, co mogłoby rywalizować z jeziorkami lawy i żarzącymi się piecami. Czerpaki rudy i piece odlewnicze zamarły, a robotnicy zostawili narzędzia. Wkrótce po wieczornym posiłku zabrzmiało siedem gongów wzywających uryjskie pracownice na rytualne iskanie przed położeniem się spać.

Ur-ronn nie lubiła być na nogach o tej godzinie – która ursa lubi? – ale wiedziała, że nie ma wyboru. Ruszyliśmy gęsiego z magazynu, w którym zakwaterowała nas Urdonnol, znajdując drogę bez pomocy lamp. Huck prowadziła. Wyciągnęła dwie szypułki przed siebie, mknąc szybko wzdłuż opadającej w dół kamiennej rampy. Za każdym razem, gdy przejeżdżała pod przewodem świetlikowym, wydawało się, że zwrócone do tyłu oczy, w których odbijał się blask księżyców, przeszywają nas gniewnym spojrzeniem.

– No jazda! Jesteście tak dzikijsko powolni!

– A kto nusiał frzez trzy dni frzenosić ją frzez skalne fola, kiedy

wymszyliśmy zwadać Yootirskie Jaskinie? Do dziś nań na wokach wlizny fo szfrychach.

Przesadzała. Wiedziałem, jak odporna jest uryjska skóra. Niemniej Huck często pamięta tylko to, co wydaje się jej w danej chwili wygodne.

Na skrzyżowaniach musiała zatrzymywać się i czekać, sapiąc niecierpliwie, aż Ur-ronn wskaże jej

drogę. Wkrótce opuściliśmy labirynt podziemnych korytarzy i ścieżką z tłuczonego pumeksu zaczęliśmy się poruszać po skalistej równinie, która nocą wydawała się jeszcze bardziej niesamowita, obca, posępna i niejijańska niż za dnia. W gruncie rzeczy, wędrowaliśmy po terenie przypominającym oglądane kiedyś przeze mnie obrazki ziemskiego Księżyca.

Skoro już mowa o księżycach, znajomy, czerwony sierp olbrzymiej Loocen, największej z satelitów Jijo, wisiał nisko na zachodzie. W tej chwili jednak większa część zwróconej ku nam strony była ciemna, co powodowało, że światło słońca nie odbijało się od budowli zimnych, martwych miast, które Buyurowie pozostawili tam nienaruszone, jakby nam na urągowisko.

Gwiazdy lśniły nad naszymi głowami jak... no więc, nim to napisałem, łamałem sobie głowę, by przypomnieć sobie porównanie wywodzące się z jakiejś książki, którą czytałem, ale ziemscy autorzy nigdy nie mieli na swym niebie nic podobnego do Gromady Dmuchawca, ogromnej, zajmującej prawie jedną czwartą nieba, złożonej ze lśniących punktów kuli dotykającej południowego horyzontu. Wiem o tym, bo w przeciwnym razie rywalizowaliby ze sobą, opisując to raz za razem na milion różnych sposobów. Goście z zatłoczonej północnej części Stoku zawsze są zdumieni, gdy ujrzą ją w pełnej krasie. Myślę sobie, że Gromada ta jest jedyną zaletą mieszkania w południowym grajdołku.

Jest ona także głównym powodem, dla którego poprzedniczka Uriel zbudowała w tym miejscu teleskop oraz kopułę chroniącą go przed częstymi minierupcjami staruszka Mount Guenn.

Ur-ronn mówi, że tylko na jednej części góry obserwatorium może zrobić użytek z morskiej bryzy, dzięki której prądy termiczne nie rujną obrazu. Na Stoku można zapewne znaleźć znacznie lepsze miejsca do uprawiania astronomii, ale ten punkt ma jedną zaletę: mieszka tu Uriel. Kto inny ma czas, bogactwo i wiedzę, których wymaga podobne hobby? Nikt oprócz uczonych z Wielkiego Biblos, być może.

Masywna budowla z żuźlowych bloków wznosząca się na tle oszalałej gromady gwiazd przypominała mi pysk glawera odgryzającego kęs wielkiej guczelowej gruszki. Od tego widoku zjeżyły mi się łuski na plecach. Oczywiście, na tej wysokości, bez chmur na niebie, powietrze było przenikliwie zimne.

Gwiżdżąc na znak trwogi, Ur-ronn zatrzymała się, wzbijając nagły pióropusz pyłu. Wskutek tego Huck wpadła na mnie. Jej szypułki sterczały na zewnątrz, spoglądając we wszystkich kierunkach jednocześnie. Mała Huphu zareagowała w ten sposób, że wbiła pazury w moje ramię, gotowa zeskoczyć i uciec wobec pierwszych oznak niebezpieczeństwa.

– Co jest... – wyszeptałem niespokojnie.

– Dach jest otwarty – odparła Ur-ronn, przechodząc na drugi galaktyczny. Jej zastrzony pysk węszył chciwie. – Woń rtęci przepływającej w łożysku -wyczuwam, zatem teleskop (prawdopodobnie) jest w użyciu. Musimy teraz spróbować (szybko) wrócić do łóżek, bez wzbudzania podejrzeń.

– Nie pierdziel – mruknęła Huck. – Jestem za tym, żeby się tam zakraść.

Obie popatrzyły na mnie, oczekując decyzji. Wzruszyłem ramionami, jak to robią ludzie.

– Skoro już tu jesteśmy, powinniśmy przynajmniej się przyjrzeć. Ur-ronn obróciła głowę o sto osiemdziesiąt stopni. Parsknęła głośno.

– W takim razie idźcie za mną. I w próżnej nadziei na łut szczęścia Ifni zachowajcie ciszę!

Podeszliśmy więc do kopuły i dostrzegliśmy miejsce, w którym linia dachu rozszczepiała się, odsłaniając bryłowate kształty widoczne pod usianym migotliwymi gwiazdami niebem. Ścieżka kończyła się przy znajdujących się na poziomie ziemi drzwiach. Były one lekko uchylone i odsłaniały kryjący się wewnątrz mrok. Huphu zadrżała na moim ramieniu, z niecierpliwości albo lęku. Zaczynałem już żałować, że ją zabrałem.

Ur-ronn była tylko zarysem. Przycisnęła się do muru i wsunęła głowę i przez drzwi.

– Ze wszystkich superdzikijskich rzeczy nic nie mogłoby być gorsze niż wysłanie jej na zwiady nocą – poskarżyła się Huck. – Ursy nie widzą po ciemku lepiej niż glawery w południe. Ja powinnam to zrobić.

Aha – pomyślałem. A budowa g'Keków ułatwia im skradanie się.

Zachowałem jednak milczenie, wydając tylko cichy burkot mający powstrzymać Huphu przed zeskokowaniem.

Nerwowo wymachując spletanym w warkocz ogonem, Ur-ronn wsadziła szyję do środka. Za nią podążyło całe długie ciało, które wśliznęło się zgrabnie przez drzwi. Huck jechała tuż za ursą. Wszystkie szypułki miała wyprostowane i drżące. Ja ruszyłem ostatni. Wciąż oglądałem się za siebie, by sprawdzić, czy nikt nie skrada się za nami, choć oczywiście nie było powodu sądzić, by ktoś zechciał to zrobić.

Główne piętro obserwatorium wyglądało na opuszczone. Wielki teleskop połyskiwał blado w świetle gwiazd. Na pobliskim stole stała lampa z kołpakiem. Jej czerwonawy blask padał na przypiętą do tablicy mapę nieba oraz notatnik pokryty czymś, co mogło być matematycznymi symbolami: mnóstwem cyfr oraz jakimiś znakami nie wchodzącymi w skład żadnego alfabetu... choć, jeśli się nad tym zastanowić, być może pan Heinz demonstrował niektóre z nich naszej klasie w nadziei, że wzbudzi czyjeś zainteresowanie.

– Słuchajcie i zapamiętajcie – powiedziała Ur-ronn. – Silnik kompensujący obroty Jijo, by umożliwić śledzenie obiektów; to urządzenie nadal jest włączone.

Faktycznie, z obudowy teleskopu dobiegało niskie, przypominające głos hoona dudnienie. Czułem też słabą woń pochodzącą od maleńkiego, napędzanego ogniwem paliwowym silnika. Była to kolejna ekstrawagancja nie spotykana niemal nigdzie na Stoku, lecz tutaj zalegalizowana, gdyż Mount Guenn jest świętym miejscem, które z pewnością samo oczyści się ze wszystkich zabawek, błahostek i pozbawionych czci marności, jeśli nie jutro, to kiedyś w ciągu najbliższych stu lat.

– To znaczy, że może być jeszcze skierowany w miejsce, które obserwowali przed wyjściem! – zawołała podniecona Huck.

Miałem ochotę dodać: "A kto powiedział, że wyszli?" Odwróciwszy się raz jeszcze, zauważyłem zamknięte drzwi otoczone bladą obwódką światła. Huck jednak nie przestawała gadać.

– Alvin, podsadź mnie, żebyśmy mogła zobaczyć!

– Hr-r-rmPAle...

– Alvin!

Koło dotknęło jednej z moich łap, ostrzegając mnie, bym robił, co mi każą.

– Co? Podsadzić?

Nie widziałem żadnej rampy ani nic innego, co mogłoby umożliwić Huck osiągnięcie okularu teleskopu, pomijając stojące przy stole krzesło. Niemniej lepiej było jej ustąpić, tak szybko i bezgłośnie, jak to tylko możliwe, zamiast wszczynać kłótnię.

– Hrm... No dobra. Ale bądź cicho, zgoda?

Zaszedłem Huck od tyłu, złapałem ją obiema rękoma za ramę osi i dźwignąłem z chrząknięciem w górę, umożliwiając jej uniesienie jednej szypułki do poziomu okularu.

– Nie ruszaj się! – syknęła.

– Hrm-rm... staram się...

Pozwoliłem, by moje kości ramieniowe osunęły się lekko, co zablokowało stawy łokciowe. Słyszałem, że ludzie i ursy zazdroszczą nam tej sztuczki. Gdyby nawet najsilniejszy człowiek spróbował dźwignąć taki ciężar, musiałby używać wyłącznie siły mięśni. Niemniej jednak Huck

przybrała na wadze i żeby utrzymać ją w miejscu, musiałem stanąć w pochylonej pozycji półkucznej. Za każdym razem, gdy chrząkałem, odwracała wolną szypułkę, by popatrzeć na mnie wściekle z odległości szerokości dłoni od mojej twarzy, całkiem jakbym celowo próbował ją zdenerwować.

– Trzymaj, ty niepolerowany hoonie!... Dobra, teraz widzę... całe mnóstwo gwiazd... i znowu gwiazdy... Hej, tu nie ma nic oprócz gwiazd!

– Huck – wyszeptalem. – Czy nie prosiłem cię, żebyś była cicho?

Ur-ronn wydała z siebie gwizdzące westchnienie.

– No fewnie, że tan są tylko gwiazdy, ty frześnierdnięta do kofyt g'Keczko! Czy ny siałaś, że na ty n nałyn teleskofie nożna foliczyć ilunatory orwitującego gwiazdolotu? Na tej wysokości wędzie nrugał jak każde inne źródło funktowe.

Byłem pod wrażeniem. Wszyscy wiedzą, że Ur-ronn jest najlepszym mechanikiem w naszej grupie, ale kto by pomyślał, że zna się i na astronomii?

– No dowra, daj ni fofatrzeć. Noże uda ni się określić, która gwiazda nie jest gwiazdą, jeśli jej fozycja wędzie się znieniać w stosunku do innych.

Huck ze złością zakręciła kołami w powietrzu, lecz nie mogła

zaprzeczyć słuszności propozycji Ur-ronn ani przeszkodzić mi w postawieniu jej na podłodze. Wyprostowałem się z ulgą i lekkim trzaśnięciem chrząstek. Huck odtoczyła się, utyskując głośno. Ur-ronn musiała oprzeć oba przednie kopyta na krzesła, by móc sięgnąć do okularu.

Przez kilka chwil nasza uryjska koleżanka milczała, po czym wydała z siebie tryl frustracji.

– To nafrawdę tylko gwiazdy, o ile fofatnię to określić. Zresztą zafoniałan, że gwiazdolot na orwicie zniknąłwy z fola widzenia już fo kilku durach, nawet gdy urządzenie śledzące jest włączone.

– No to chyba na tym koniec – powiedziałem, tylko w połowie rozczarowany. – Lepiej już wracajmy...

Wtedy właśnie zauważyłem, że Huck zniknęła. Odwróciwszy się błyskawicznie, dostrzegłem, iż kieruje się prosto ku drzwiom, które widziałem przedtem!

– Pamiętacie, o czym rozmawialiśmy? – zawołała w naszą stronę, gnając w kierunku podświetlonego prostokąta. – Prawdziwy dowód będzie na tych fotograficznych płytkach, o których według was mówił Gybz. To je przyszliśmy tutaj obejrzyć. Chodźcie!

Przyznaję, że gapiłem się na nią niczym wyrzucona na brzeg ryba, a mój worek rezonansowy pobekiwał bezproduktywnie. Tymczasem Huphu przeorała pazurami skórę mojej głowy, szykując się do skoku, Ur-ronn zaś pomknęła za Huck jak opętana, próbując złapać ją za szprychy, nim zdąży dotrzeć do drzwi...

...które otworzyły się, dając słowo, w tej samej chwili. Rozbłysła w nich sprawiająca ból jasność, na tle której rysowała się sylwetka człowieka. Niskiego mężczyzny o szerokich ramionach. Okalające mu głowę włosy zdawały się płonąć w świetle kilku lamp palących się za jego plecami. Gdy zamrugałem powiekami i uniosłem dłoń, by osłonić oczy, dostrzegłem w pomieszczeniu niewyraźny zarys półek, na których znajdowały się mapy, linijki i gładkie, szklane płytki. Więcej płytek spoczywało na szafkach ustawionych gęsto wzdłuż ścian pokoiku.

Huck stanęła z piskiem tak nagle, że jej osie rozjarzyły się. Ur-ronn omal na nią nie wpadła, wyhamowawszy z gorączkowym pośpiechem. Wszyscy zamarliśmy, złapani na gorącym uczynku.

Tożsamość człowieka nietrudno było odgadnąć, gdyż na górze przebywał w tej chwili tylko jeden przedstawiciel jego gatunku. Był on szeroko znany jako najzdolniejszy przedstawiciel swego rodzaju, mę-

drzeć, którego umysł sięgał daleko – nawet jak na Ziemiannina – i odgadywał wiele tajemnic znanych ongiś naszym przodkom. Przed jego intelektem skłaniała głowę nawet potężna, pewna siebie

Uriel.

Kowalica z Mount Guenn nie będzie zadowolona, że przeszkodził jej gościowi.

Mędrzec Purofsky przez długi czas wpatrywał się, mrugając powiekami, w mrok za drzwiami, po czym uniósł rękę i wskazał nią prosto na nas.

– Towy! – burknął dziwnie roztargnionym tonem. – Zaskoczyliście mnie.

Huck pierwsza odzyskała rezon.

– Urn, przepraszam... uch, mistrzu. Chcieliśmy tylko, hm... Człowiek przerwał jej, lecz bez śladu złości.

– No i bardzo dobrze. Właśnie miałem zamiar po kogoś zadzwonić. Czy będziecie tak uprzejmi i zaniesiecie te notatki Uriel?

Wyciągnął złożony plik papierów, które Huck złapała jedną, drżącą mackoręką. Oczy na wciągniętych do połowy szypułek zamrugały z zaskoczenia.

– Dobry z ciebie chłopak – zakończył uczony roztargnionym tonem, po czym odwrócił się, by wrócić do pokoiku. Nagle zatrzymał się i ponownie zwrócił w naszą stronę.

– Aha, powiedzcie też proszę Uriel, że jestem już tego pewien. Oba statki zniknęły. Nie wiem, co stało się z tym pierwszym, większym, bo uchwyciliśmy go tylko szczęśliwym trafem na jednym, wcześniej wykonanym zestawie zdjęć, nim ktokolwiek mógł się domyślić, że należy go szukać. Jego orbity nie da się wyliczyć. Mogę co najwyżej przypuszczać, że mógł wylądować. Nawet jednak przybliżone rachunki oparte na ostatniej serii wskazują, że drugi statek schodził z orbity, by wejść po spiralnej trajektorii w atmosferę Jijo. Zakładając brak późniejszych odchyień bądź poprawek kursu, powinien wylądować kilka dni temu, na północ od nas, w samych Górach Obrzeźnych. Jego uśmiech był pełen smutku i ironii.

– Inaczej mówiąc, ostrzeżenie, które wysłaliśmy na Polanę, może się okazać zbyteczne. – Purofsky, wyraźnie zmęczony, potarł powieki i westchnął. – W tej chwili nasi koledzy na zgromadzeniu zapewne wiedzą o tym, co się dzieje, znacznie więcej od nas.

Daję słowo, że wydawał się raczej rozczarowany niż zaniepokojony zdarzeniem, którego wygnańcy na Jijo obawiali się przez dwa tysiące lat.

Wszyscy, nawet Huphu, wytrzeszczaliśmy oczy przez długi czas, nawet po tym, jak podziękował nam raz jeszcze, odwrócił się i zamknął za sobą drzwi, pozostawiając nam jako towarzystwo jedynie miliony gwiazd rozsianych niczym ziarenka pyłku na błyszczącym oceanie rozciągającym się nad naszymi głowami. Morzu ciemności, które nagle wydało się przerażająco bliskie.

XII

KSIĘGA STOKU

Legandy

Istnieje pewne słowo. Proszą nas, żebyśmy nie powtarzali go zbyt często. A jeśli już to robimy, to tylko szeptem.

Proszą nas o to tracki, odwołując się do naszej uprzejmości, szacunku i przesądów.

Jest to nazwa – złożona tylko z dwóch sylab – którą obawiają się jeszcze kiedyś usłyszeć.

Nazwa, którą ongiś określali samych siebie.

Nazwa zapewne wciąż jeszcze używana przez ich kuzynów na gwiazdnych szlakach Pięciu Galaktyk.

Kuzynów, którzy są potężni, przerażający, zdecydowani, bezlitośni i mają tylko jeden umysł.

Jak bardzo odmienny wydaje się w świetle tego opisu nasz szczep złożonych z pierścieni istot od tych, którzy wciąż wędrują po kosmosie niczym bogowie. Od tych Jophurów.

Z gatunków przybyłych na Jijo w skradaczach, niektóre, jak ludzie i aheueni, były niemal nieznane w Pięciu Galaktykach. Inne, jak g'Ke-kowie i gławery, zdobyły sławę o skromnym zasięgu wśród tych, którzy potrzebowali ich wyspecjalizowanych umiejętności. Hoonowie i ursy wywarli pewne wrażenie, do tego stopnia, że Ziemianie, którzy znali ich przed lądowaniem, poczuli się zaniepokojeni.

Powiadają jednak, że wszystkim tlenodysznym klanom gwiazdnych wędrowców znany jest kształt ułożonych w stosy pierścieni, wysokich, złowieszczych i potężnych.

Gdy zjawił się traECKi skradacz, g'Kekowie popatrzyli na przybyszy tylko raz, po czym ukryli się na kilka pokoleń, trzęsąc się ze strachu, dopóki wreszcie nie dotarło do nich, że to są inne pierścienie.

Kiedy aheueńscy osadnicy zobaczyli, że tracki już tu są, omal nie odlecieli z powrotem, nie wychodząc ze swego skradacza, a nawet nie lądując.

Jak to możliwe, że nasi ukochani przyjaciele zasłużyli sobie na podobną opinię? Jak to się stało, że są tak odmienni od tych, którzy wciąż podróżują przez kosmos, używając tej straszliwej nazwy?

Refleksje na temat Sześciu. Wydawnictwo Ovoom. Rok Wygnania 1915

Asx

Albo najeźdźcy starają się zbić nas z tropu, albo też jest w nich coś dziwnego.

W pierwszej chwili – jak można by tego oczekiwać – ich moce i wiedza wydawały się przerastać nasze tak dalece, że byliśmy przy nich niczym dzikie zwierzęta. Czy mogliśmy się ważyć na porównywanie naszej skąpej mądrości, naszych prostych zwyczajów z ich wspaniałymi, niepowstrzymanymi maszynami, ich sztuką uzdrawiania, a zwłaszcza ze świadczącymi o niezwyklej erudycji przenikliwymi pytaniami na temat jijańskiego życia? Erudycji zdradzającej wielki zakres i głębię danych, które mieli do dyspozycji, z pewnością skopiowanych z relacji z ostatnich badań tego świata przeprowadzonych przed milionem lat. A jednak...

Wydaje się, że nic nie wiedzą o lomikach czy zookirach.

Nie potrafią ukryć podniecenia, gdy poddają badaniom schwymane gławery, całkiem jakby dokonali wielkiego odkrycia.

Wygłaszają zastanawiające, nonsensowne uwagi na temat szympansów.

A teraz chcą się dowiedzieć wszystkiego o mierzwopająkach. Zadają naiwne pytania, na które potrafiłby odpowiedzieć nawet ten nie będący specjalistą stos różnobarwnych pierścieni. Nawet gdyby wszystkie na-sze-moje torusy rozumności zostały wywlenowane, nie pozostawiając nic poza instynktem, pamięcią i siłą rozpędu.

Na dziobie ogromnego statku, który pozostawił tu ich bazę, brak było godła Wielkiej Biblioteki. Sądziłyśmy, że jest to jedynie oznaka ich kryminalnego statusu. Negatywny symbol czegoś w rodzaju skrywanego wstydu.

Czy może to oznaczać coś więcej? Znacznie więcej?

Sara

Ze sklepu Engrii leżącego nad kanałem Pimmin był tylko kawałek drogi do kliniki, do której Pzora zabrał wczoraj nieznanomego. Engrii zgodziła się, że spotka się tam z Sarą w towarzystwie Bloora Portrecisty. Czasu mieli niewiele. Być może jej pomysł był głupi lub niepraktyczny, lecz nie znajdzie ani lepszej okazji, by go przedstawić, ani też bardziej do tego odpowiedniej osoby niż Ariana Foo.

Trzeba było podjąć decyzję. Jak dotąd znaki nie były korzystne. Emisariusze z Dolo spotkali się ostatniej nocy w tawernie nieopodal Uryjskiej Dzielnicy, by przedyskutować to, czego się dowiedzieli od chwili zawinięcia "Hauph-woa" do portu. Sara pokazała kopię raportu mędrców,

świeżo odbitą w pracowni Engrii. Spodziewała się, że przyprawi to pozostałych o szok, lecz do wieczora nawet Pzora zdążył już poznać większą część opowieści.

– Widzę trzy możliwości – oznajmił z determinacją farmer Jop, trzymając w ręku kubek maślanki.
– Pierwsza to taka że cała opowieść jest przeklętym przez Jajo kłamstwem. Statek naprawdę przysłały wielkie Instytuty, mamy zostać osądzeni, tak jak mówią zwoje, ale mędracy udają, że wbili sobie kamyk w kopyto. Rozpowiadają bajeczkę, że to bandyci, by usprawiedliwić powołanie milicji i przygotowania do walki.

– To absurd! – wykrzyknęła Sara.

– Naprawdę? W takim razie dlaczego zmobilizowano wszystkie jednostki? Ludzie musztrują się w każdej wiosce, uryjska kawaleria biega we wszystkie strony, a hoonowie oliwią stare katapulty, całkiem jakby mogli kamiennymi pociskami zestrzelić gwiazdolit.

Potrząsnął głową.

– Co będzie, jeśli mędracy myślą o stawianiu oporu? To nie byłby pierwszy przypadek, że przywódcy popadli w obłęd na wieść o zbliżającym się kresie ich nędznej władzy.

– Ale co z tymi rysunkami? – zapytał tancerz-skryba, Fakoon. g'Kek dotknął jednej z reprodukcji Engrii wyobrażającej parę ludzi w jednoczęściowych kombinezonach, którzy spoglądali bezczelnie na widoki całkiem dla nich nowe, lecz zarazem ocenione przez nich jako żalosne.

Jop wzruszył ramionami.

– Od razu widać, że to śmieszne. Skąd mogliby się tu wziąć ludzie?

Gdy nasi przodkowie opuszczali Ziemię w starej balii, którą kupili z trzeciej ręki, żaden ludzki uczoney nie rozumiał, jak ona działa. Nasi ziomkowie nie mogliby dorównać standardowemu poziomowi galaktycznej techniki szybciej niż za dziesięć tysięcy lat.

Sara zauważyła, że Brzeszczot i hooński kapitan zareagowali zaskoczeniem. To, co powiedział Jop na temat poziomu ludzkiej techniki w chwili wygnania, nie było tajemnicą, lecz musiało im być trudno to sobie uzmysłwić. Na Jijo to Ziemianie byli inżynierami, tymi, którzy najczęściej znali odpowiedzi.

– A któż chciałby dofuścić się takiego oszustwa? – zapytała Ulgor, opuszczając stożkową głowę. Sara wyczytała napięcie w postawie ursy.

Masz ci los – pomyślała.

Jop uśmiechnął się.

– Może jakaś grupa, która dostrzegła w tym chaosie powód do tego, by zniesławić nasze imię i wykorzystać ostatnią sposobność zemsty przed nadejściem Dnia Sądu.

Człowiek i ursa spojrzeli na siebie. Oboje uśmiechali się, odsłaniając rzędy jasnych zębów, co można było interpretować zarówno jako wyraz przyjaźni, jak i agresji. Choć raz Sara błogosławiła chorobę, która sprawiła, że niemal u wszystkich rewqi zwinęły się i zapadły w hibernację. Nie byłoby żadnych dwuznaczności, gdyby symbionty przetłumaczyły uczucia kryjące się w sercach Jopa i Ulgor.

W tej samej chwili między tych dwoje wytrysnął strumień różowa-wej pary, kłębiącego się dymu o dławiającej, słodkiej woni. Jop i Ulgor cofnęli się od chmury na boki, zasłaniając nosy.

– Oj. "Ja" wyrażam skruchę z powodu naszego-mojego zachowania. Torus trawienny tego stosu wciąż zatrzymuje, przerabia, wydała bogactwo sławetnego hoońskiego wikt pokładowego.

– Masz szczęście, Pzora– odezwał się kapitan "Hauph-woa", nie przejęty tymi słowami. – Wracając do omawianej kwestii, musimy jeszcze zdecydować, jaką poradę wysłać do Dolo oraz osad Górnej Roney. Pozwólcie więc, bym zapytał Jopa... Hrrrm... A może byśmy rozważyli prostszą teoę: że czcigodni mędracy nie dopuścili się oszustwa, hrr?

Jop nie przestawał kasłać i wymachiwać dłonią przed twarzą.

– To doprowadza nas do możliwości numer dwa. Że jesteśmy

poddawani próbie. Dzień wreszcie nadszedł, lecz szlachetni Galaktowie nie zdecydowali, co z nami zrobić. Może wielkie Instytuty wynajęły ludzkich aktorów, by odegrali tę rolę, dając nam szansę, byśmy przeważyli szalę w jedną stronę przez właściwe uczynki bądź też w drugą, dokonując błędnego wyboru. Co zaś do rady, którą mamy wysłać w górę rzeki, sugeruję, że powinniśmy zalecić, by burzenie przebiegało zgodnie ze starożytnym planem!

Brzeszczot, młody qheueński delegat, dzwignął się na trzy nogi, pochylając niebieską skorupę. Zaczął się jąkać i syczeć, przez co jego początkowe próby przemówienia w anglicu były niezrozumiałe. Przeszedł na drugi galaktyczny.

– Szaleństwo okazujesz! Tę (obłąkaną) tezę, jak mogłeś wygłosić? Nasza potężna tama (wspaniała dla wzroku i węchu) musi runąć? Z jakiego powodu, jeśli nasze (nielegalne) bytowanie na Jijo zostało już odkryte?

– To prawda, że nie możemy ukryć zbrodni naszej kolonizacji – wyjaśnił Jop. – Możemy jednak rozpocząć proces usuwania naszych dzieł z tego zranionego świata. Okazując dobre intencje, udowodnimy, że zasługujemy na łagodny wymiar kary. Czego nie wolno nam zrobić – a obawiam się, że nasi mędrcy dadzą się oszukać – to zgodzić się na jakąkolwiek współpracę z tymi ludźmi, którzy udają genowych rabusiów. Nie możemy przyjmować łapówek ani świadczyć im usług, gdyż to również musi stanowić część próby.

Ulgor parsknęła na znak powątpiewania.

– A trzecia nożliwość? Co jeśli się okaże, że to nafrawdę frzestęf-cy?

Jop wzruszył ramionami.

– Należy zastosować to samo rozwiązanie. Bierny opór. Zniknąć w terenie. Zburzyć nasze miasta... ; – Spalić biblioteki – wtrąciła Sara. Jop spojrział na nią i skinął głową.

– Przede wszystkim. To korzenie zarozumiałości. Naszych absurdalnych pretensji do cywilizacji. – Zatoczył krąg ręką, wskazując starą buyurską komnatę, którą przerobiono na tawemę, i na jej pokryte plamami sadzy ściany ozdobione włóczniami, tarczami i innymi pamiątkami po krwawym oblężeniu Tarek. – Cywilizacji! – Jop roześmiał się raz jeszcze. – Jesteśmy jak papugokleszcze. Recytujemy werset,

których nie rozumiemy. Żałośnie imitujemy zwyczaje potężnych. Jeśli faktycznie przybyli piraci, te wszystkie marności mogą jedynie zmniejszyć nasze umiejętności ukrywania się. Jediną szansą ocalenia będzie roztopienie się wśród zwierząt Jijo. Przerodzenie się w niewiniątka, którymi są gławery w swym błogosławionym zbawieniu. Zbawieniu, które my również mogliśmy już osiągnąć, gdyby ludzie nie stanęli na drodze naturze swym Wielkim Drukowaniem. Widzicie więc, że to na jedno wychodzi – zakończył wzruszając ramionami. – Bez względu na to, czy goście z kosmosu są szlachetnymi przedstawicielami Instytutu Migracji czy też najohydniejszymi zbrodniarzami grasującymi w przestrzeni, oznaczają, że sąd wreszcie nadszedł. Nadal dostępna jest dla nas tylko jedna opcja.

– Zaczynasz gadać jak Lark – skomentowała Sara, potrząsając z oszołomieniem głową.

Jop jednak nie dostrzegął w tym żadnej ironii. Jego radykalizm pogłębiał się z każdym dniem od chwili, gdy ogluszające, przerażające widmo wstrząsnęło nadrzewnymi farmami, pozostawiając za sobą ślad hałasu i gorąca, który osmalił niebo.

– Nie jest dobrze – powiedział do Sary Brzeszczot późnym wieczorem, gdy Jop udał się na spotkanie z przyjaciółmi i współwyznawcami. – Wydaje się pewien słuszności swego rozumowania oraz swej cnotliwości całkiem jak szara królowa niewzruszenie przekonana o własnej prawości.

– Wiara we własną doskonałość jest plagą gnębiącą wszystkie gatunki oprócz trackich – odparł Fakoon, pochylając dwie szypułki ku Pzorze. – Wasz lud ma szczęście, że oszczędzono mu klątwy egotyzmu.

Farmaceuta z Dolo wydał z siebie ciche westchnienie.

– Ja-my ostrzegamy was przed uleganiem uproszczeniom, drodzy towarzysze. Powiadają, że my również posiadaliśmy ongiś ten talent, którego partnerem jest dar, a zarazem przekleństwo ambicji. By usunąć go ze swej natury, musieliśmy porzucić niektóre z naszych największych skarbów, naszych najwspanialszych pierścieni. Musiało to być niełatwe. Jedną z największych obaw, jakie my-ja żywimy z powodu odnowienia kontaktu z Galaktami, jest coś, czego inne gatunki i istoty mogą nie zrozumieć. Boimy się pokusy, nęcącej propozycji. Lękamy się oferty połączenia w całość.

W klinice roiło się od kół należących do g'Keckich chirurgów oraz pacjentów na wózkach. Wielu traeckich farmaceutów używało hulajno-gowych wózków, dzięki którym mogli poruszać się szybciej niż na piechotę. Nic dziwnego, że gładkie płaszczyzny charakterystyczne dla miejskiego życia podobały się dwóm spośród Sześciu.

Pokój nieznanego znajdował się na czwartym piętrze. Okna wychodziły na miejsce zlania się rzek Roney i Bibur. Widać było oba parowe promy przycumowane pod zapewniającymi osłonę drzewami. Kursowały obecnie tylko nocą, gdyż grupy straży obywatelskiej groziły, że je spalą, jeśli ruszą się z miejsca za dnia. Tego ranka zaś nadeszło potwierdzenie z Polany. Najwyżsi mędrcy również nie chcieli, by Sześciu bez potrzeby ujawniało posiadaną technikę: "Nie niszczyć niczego. Ukryjcie wszystko".

Zwiększyło to tylko narastającą dezorientację wśród zwykłych obywateli. Czy był to Dzień Sądu, czy też nie? Ze wszystkich stron miasta dobiegały ochryple głosy kłócących się.

Potrzebujemy jakiegoś celu, który by nas zjednoczył – pomyślała Sara – albo zacniemy się rozpadać na części: skóry i futra, skorupy i szprychy.

Traeckiego pracownika wskazał Sarze drogę do izolátky, którą przydzielono nieznanemu. Gdy weszła, ciemnowłosa mężczyzna podniósł wzrok i uśmiechnął się, wyraźnie zachwycony jej widokiem. Odłożył ołówek i blok jasnego papieru, na którym Sara zauważyła scenę widoczną za oknem: jeden z parowych promów oddany z subtelnymi półcieniami. Do ściany przypięto drugi szkic przedstawiający koncert na eliptycznej rufie "Hauph-woa", łagodne interudium pośród rozszalałej burzy kryzysu.

– Dziękuję, że przyszedł – odezwała się postarzała kobieta o pożółkłej twarzy siedząca przy łóżku nieznanego. Zaskakująco przypominała g'Kecka z uwagi na kolor zdumiewająco niebieskich oczu, a także wózek, na którym spoczywała jej spowita w koc postać. – Czynimy postępy, ale są pewne rzeczy, których nie chciałam próbować przed twoim przybyciem.

Sara wciąż zastanawiała się, dlaczego sama Ariana Foo zainteresowała się rannym mężczyzną. Ponieważ Lester Cambel wyjechał wraz z większością pozostałych mędrców, była najstarszym ranga ludzkim uczonym przebywającym na północ od Biblos. Można by się spodzie-

wać, że będzie miała w tej chwili na głowie ważniejsze sprawy niż skupianie swego bystrego intelektu na problemie pochodzenia nieznanego.

Podleczył się do niej g'Kecki lekarz, przemawiający aksamitnym głosem i wyrażający się bardzo kulturalnie.

– Po pierwsze, Saro, powiedz nam, proszę, czy przypominałaś sobie coś na temat wyglądu pacjenta tego dnia, gdy wyciągnęliście go z bagna, poparzonego i poranionego?

Potrząsnęła w milczeniu głową.

– Czy nic nie odzyskano z jego ubrania?

– Miał na sobie tylko łańchmany, w dodatku nadwęglone. Wyrzuciliśmy je, gdy opatrywaliśmy jego poparzenia.

– Czy te łańchmany trafiły do beczek z odpadami? – zapytał z podnieceniem. – Tych samych, które są teraz na pokładzie "Hauph-woa"?

– Nie było żadnych ornamentów ani guzików, jeśli tego właśnie szukasz. Szczątki ponownie wprowadzono do obiegu, co w przypadku starych ubrań oznacza, że trafiły do holendra mojego ojca. Czy by w czymś pomogły?

– Być może – odpowiedziała stara kobieta, wyraźnie rozczarowana. – Próbujemy rozważyć wszystkie możliwości.

Nieznajomy trzymał ręce złożone na kołdrze. Strzelał oczyma we wszystkie strony, skupiając je na twarzach, jak gdyby fascynowały go nie słowa, a same dźwięki.

– Czy... – przełknęła ślinę – ...czy możecie coś dla niego zrobić?

– To zależy – odparł doktor. – Wszystkie poparzenia i urazy goją się dobrze. Ale nawet nasze najlepsze maści nic nie pomogą w przypadku uszkodzeń strukturalnych. Nasz tajemniczy gość utracił część lewego płata skroniowego, całkiem jakby wyszarpnął mu go jakiś straszliwy drapieżca. Sądzę, że wiesz, iż w tym właśnie obszarze ludzie przetwarzają mowę.

– Czy jest jakaś szansa...

– By odzyskał to, co utracił? – g'Kecki odpowiednik wzruszenia ramionami, owinięcie wokół siebie dwóch szypulek, nigdy nie stał się modny wśród innych gatunków. – Gdyby był bardzo młody, albo był kobietą, mogłoby dojść do częściowego przeniesienia zdolności mowy

do prawego płata. Tak się czasem dzieje u ofiar wylewu. Niestety, u dorosłych mężczyzn o bardziej sztywnej strukturze mózgu należy to do rzadkości.

Światło w ciemnych oczach nieznajomego było zwodnicze. Uśmiechnął się przyjacielsko, całkiem jakby mówiono o pogodzie. Jego dobry humor rozdzierał Sarze serce.

– Nic nie da się zrobić?

– Być może w galaktyce.

Było to stare wyrażenie, niemal przysłowiowe, którego używano po wyczerpaniu wszelkich możliwych na Stoku prymitywnych umiejętności.

– Ale my nie możemy dokonać nic więcej. Nie tutaj. W głosie lekarza brzmiało coś dziwnego. Jego poczwórne oczy spoglądały do wewnątrz; człowiek w takiej sytuacji mógłby przyglądać się własnym paznokciom, czekając aż ktoś inny powie to, czego dotąd nie powiedziano. Sara popatrzyła na opanowaną twarz Ariany Foo. Zbyt opanowaną. Sara znów zwróciła się do lekarza.

– Chyba nie zamierzasz na tym poprzestać. Uczona zamknęła na chwilę oczy. Gdy otworzyła je ponownie, widniał w nich śmiały błysk.

– Nadchodzą wieści, że najeźdźcy zabiegają o masowe poparcie, zdobywając neofitów za pomocą lekarstw, eliksirów i cudownych uzdrowień. Już w tej chwili karawany chorych i kalek wyruszyły z Tarek i innych osad, wlokąc się po trudnych szlakach w rozpaczliwym poszukiwaniu pomocy medycznej. Muszę dodać, że mnie również przyszła do głowy taka myśl – uniosła cienkie jak patyki ręce, odsłaniając kruche ciało. – Wielu umrze podczas wędrówki, ale jakie ma znaczenie podobne ryzyko wobec pokusy nadziei?

Sara odczekała chwilę.

– Sądysz, że przybysze mogliby mu pomóc? Ariana zareagowała hoońskim odpowiednikiem wzruszenia ramion, wydymając policzki.

– Któż to wie? Szczerze mówiąc, wątpię, by Galaktowie potrafili naprawić tego typu uszkodzenia. Mogą jednak dysponować środkami paliatywnymi, które polepszą jego sytuację. Zresztą, jeśli moje

podejrzenia są prawdziwe, nie sposób czegokolwiek przewidzieć. Jakie podejrzania?

– Że nasz nieznajomy nie jest bynajmniej biednym barbarzyńcą. Sara wytrzeszczyła oczy, po czym zamruła powiekami.

– Ifni-wydyszała.

– W rzeczy samej – Ańana Foo skinęła głową. – Przekonajmy się, czy naszego gościa faktycznie sprowadziła tu bogini szczęścia i zmiany.

Sara kiwnęła głową i pogрузzyła się w myślach, podczas gdy stara kobieta szukała czegoś w swej teczce.

To na pewno dlatego wszyscy darzyli ją taką czcią, gdy była głównym ludzkim mędrcom przed Cambelem. Mówią, że geniusz to talent dostrzegania rzeczy oczywistych. Teraz wiem, że to prawda.

Jak mogłam być tak ślepa!

Ariana wzięła do ręki kilka kartek niedawno skopiowanych przez maszynę Engril.

– Zastanawiałam się, czy nie zaprosić tu uwrażliwionego, ale jeśli mam rację, będziemy chcieli zachować to w tajemnicy. Zadowolimy się obserwowaniem reakcji nieznajomego. Zauważcie, że jest zapewne jedyną osobą w Tarek, która jeszcze nie widziała tych rysunków. Proszę, by wszyscy uważnie się mu przyglądali.

Podleczyła się bliżej do pacjenta, który przyglądał się z uwagą, jak Ariana kładzie na narzucie pojedynczą kartkę.

Jego uśmiech zbladł stopniowo, gdy wziął w rękę rysunek, dotykając cienkich, wprawnie nakreślonych linii. Góry otaczały przypominającą misę dolinę usianą zwalonymi drzewami stanowiącymi wyściółkę gniazda dla czegoś, co wyglądało jak gruby oszczep ozdobiony sterczącymi kolcami. Sara po raz pierwszy dostrzegła jego zarysy, gdy przemknął ponad jej domem, wstrząsając nim w posadach. Koniuszki palców przebiegły z drzeniem po ukośnych krzywiznach. Uśmiech zniknął, zastąpiony pełnym cierpienia zakłopotaniem. Sara wyczuła, że mężczyzna usiłuje coś sobie przypomnieć. Wyraźnie było widać, że ten obraz jest mu znany, nawet bardzo.

Ranny podniósł wzrok na Arianę Foo. W jego oczach był ból i pytania, których nie potrafił postawić.

– Czego może to dowodzić? – zapytała Sara.

– Widok statku sprawia mu przykrość – odpowiedziała Ariana.

– Sprawiłby ją każdemu myślącemu członkowi Sześciu – zauważyła Sara.

Starsza kobieta skinęła głową.

– Spodziewałam się bardziej radosnej reakcji.

– Sądzisz, że jest jednym z nich, prawda? – zapytała Sara. – Że rozbił się na bagnach na wschód od Dolo na pokładzie jakiejś latającej maszyny. Że jest Galaktem. Przystępcą.

– Wydaje się to najprostszą hipotezą, biorąc pod uwagę zgodność czasową. Ktoś zupełnie nieznajomy, poparzony na wilgotnym bagnie, pojawiający się z obrażeniami niepodobnymi do żadnych, jakie dotąd widzieli nasi lekarze. Spróbujmy następnego rysunku.

Drugi szkic ukazywał tę samą małą dolinę, lecz gwiazdolit zastąpiło to, co mędracy nazywali "stacją badawczą", której przydzielono zadanie analizy jijańskiego życia. Nieznajomy popatrzył na czarny sześcian, zaintrygowany i być może lekko przestraszony.

Na koniec, Ariana przedstawiła rysunek ukazujący dwie postacie, z których twarży biła wielka pewność siebie. Parę, która przeżyła sto tysięcy lat świetlnych, by dopuścić się rabunku.

Tym razem z ust wyrwał mu się ostry krzyk. Nieznajomy popatrzył na ludzkie postacie i dotknął opatrzonych symbolami naszywek na ich jednoczęściowych kombinezonach badawczych. Nie potrzeba było nadnaturalnej wrażliwości, by odczytać rozpacz w jego oczach. Z nieartykułowanym

wrzaskiem zmiął rysunek i cisnął go, po czym zakrył oczy ramieniem.

– Interesujące. Bardzo interesujące – wyszeptała Ariana.

– Nie rozumiem – doktor westchnął. – Czy to znaczy, że jest spoza Jijo, czy też nie?

– Obawiam się, że jest za wcześnie, by udzielić odpowiedzi na to pytanie – potrząsnęła głową. –

Załóżmy jednak, że okaże się, iż faktycznie pochodzi z Pięciu Galaktyk. Jeśli łupieżcy poszukują zaginionego współnika, a my będziemy w stanie go im zwrócić, może się to okazać dla nas korzystne.

– No do jasnej... – zaczęła Sara, lecz starsza kobieta kontynuowała niewzruszona, myśląc na głos.

– Niestety, jego reakcji nie nazwałabym chęcią połączenia się z utraconymi towarzyszami. Czy sądzicie, że może być ich zbiegłym wrogiem? Że w jakiś sposób przeżył uwięzienie, a nawet próbę morderstwa, na jakiś dzień przed lądowaniem statku łupieżców? Jeśli tak, to jakąż ironię stanowi rana, która uniemożliwia mu zdradzenie tak wielu

tajemnic! Zastanawiam się, czy zrobili mu to celowo... tak jak barbarzyńscy królowie na Starej Ziemi wyrywali nieprzyjaciółom języki. Jakie to okropne, jeśli to prawda!

Hipotezy przedstawione przez uczoną przyprawiły Sarę o chwilowe oszołomienie. Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Wreszcie lekarz odezwał się raz jeszcze.

– Twoje spekulacje intrygują mnie i przerażają, stara przyjaciółko, ale teraz muszę cię prosić, byś nie narażała już mojego pacjenta na wzruszenia.

Ańana Foo potrząsnęła jednak tylko głową, pogrążona w posępnych rozmyślaniach.

– Chciałam go natychmiast wysłać na Polanę. Pozwolić, by Vub-ben i pozostali sami zdecydowali, co robić dalej.

– Naprawdę? Nigdy bym nie pozwolił przenosić tak poważnie...

– Oczywiście, zaoferowanie mu galaktycznej terapii byłoby wspaniałym przykładem połączenia pragmatyzmu z dobrocią.

Ustna kłapa g'Keckiego medyka otworzyła się i zamknęła, gdy usiłował zaprzeczyć logice Ariany. Wreszcie skurczył ze smutkiem szypułki.

Emerytowana mędrzyni westchnęła.

– Niestety, wydaje się to nierealne. Sądząc po tym, co widzieliśmy, bardzo wątpię, by nasz gość chciał się tam udać.

Sara miała już zamiar powiedzieć starej kobiecie, dokąd ona może się udać ze swymi zamiarami ingerowania w jego życie. Wtedy nagle nieznajomy opuścił rękę. Popatrzył na Arianą i Sarę, po czym podniósł jeden z rysunków.

– T...ta?

Przełknął ślinę. Jego czoło zmarszczyło się w wyrazie intensywnej koncentracji.

Wszystkie oczy skierowały się na niego. Mężczyzna uniósł jeden z rysunków, ukazujący gwiazdolot spoczywający w altance ze zwalonych drzew. Dźgnął obrazek palcem wskazującym.

T...t...t...am!

Spojrzał błagalnie w oczy Sary. Jego głos opadł do szeptu.

– Tam.

Po tym wydarzeniu dyskusja na temat planu Sary była niemal rozczarowaniem.

A więc nie wrócę do Dolo następnym statkiem! Wyruszam na spotkanie z obcymi.

Biedny ojciec. Wszystko, czego zawsze pragnął, to wychować bezpiecznie gromadkę małych papierników. A teraz wszyscy jego dziedzice gnają prosto w szpony niebezpieczeństwa, tak szybko, jak tylko mogą nas nieść nogi!

Przybyli Engrii i Bloor Portrecista, którzy dźwigali przenośne narzędzia swej pracy.

Bloor był niskim, jasnoskórym mężczyzną z żółtymi kędziorami opadającymi na ramiona. Jego ręce

szpeciły liczne plamy wywołane wieloletnim fabrykowaniem delikatnych emulsji potrzebnych do uprawiania jego sztuki. Uniósł szeroką jak jego dłoń metalową płytkę, na której lśniły delikatnie wytrawione linie i zagłębienia. Gdy się patrzyło na nie pod pewnym kątem, te powstałe wskutek działania kwasu kształły zlewały się, tworząc ostre profile światła i cienia.

– To się nazywa proces Daguerre'a – wyjaśnił. – W gruncie rzeczy to całkiem prosta metoda tworzenia trwałych obrazów. Jedna z pierwszych technik fotograficznych wynalezionych przez ludzkich dzikusów na Starej Ziemi. Tak przynajmniej piszą w naszych książkach. W dzisiejszych czasach nie używamy tej procedury do tworzenia portretów, bo przy zastosowaniu papieru można to robić szybciej i bezpieczniej.

– A do tego papier się rozkłada – dodała Ariana Foo, obracając płytkę w rękach. Na wytrawionym metalu przedstawiona była uryjska wojowniczką wysokiej rangi z obydwoma mężami siedzącymi na jej grzbiecie w ceremonialnych pozach. Kręta szyja samicy była pomalowana w jaskrawe, zygzakowate pasy. W rękach trzymała kuszę, jak gdyby była to ukochana zapachowa córka.

– W rzeczy samej – przyznał portrecista. – Znakomity papier produkowany przez ojca Sary daje gwarancję, że rozłoży się w ciągu niespełna stulecia, nie pozostawiając żadnych śladów, które zdradziłyby naszych potomków. Ten wzór dagerotypu jest jednym z nielicznych nie wysłanych do odpadowych śmietnisk, odkąd nasza wzmocniona Wspólnota zaczęła krzewić większy szacunek dla prawa. Mam specjalne pozwolenie na zachowanie tego wspaniałego przykładu. Widzicie jak drobne szczegóły ukazuje? Pochodzi sprzed trzeciej wojny uryjsko-lu-dzkiej. Wydaje mi się, że przedstawia naczelniczkę jednego z plemion

z Sool. Zwróćcie uwagi na blizny tatuaży. Cudowne. Równie ostre i wyraźne, jak w dniu wykonania zdjęcia.

Sara pochyliła się do przodu, gdy Ańana podała jej cieką płytkę.

– Czy od owych czasów ktoś na Jijo wykorzystywał tę technikę? Bloor skinął głową.

– Każdy członek naszego cechu tworzy jeden dagerotyp, jako dowód swych umiejętności. Niemal wszystkie wysyła się potem do Śmietniska albo oddaje do kuźni w celu przetopienia, ale nadal posiadamy tę zdolność – uniósł tornister, czemu towarzyszył cichy brzęk butelek. – Jest tu wystarczająco wiele kwasu i utrwalacza, by wykonać i wywołać kilka tuzinów płytek. Samych płytek mam jednak tylko około dwudziestu. Jeśli będziemy potrzebować więcej, trzeba je zamówić w Ovoom albo w jednej z kuźni na wulkanach.

Sara poczuła, że ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się i zobaczyła, że to nieznajomy wyciągnął rękę. Podała mu małą fotografię. Przebiegł koniuszkami palców po delikatnie wytrawionych rowkach.

Odkąd jej umysł przestawił się na nowe tory, ogarniając teoń Ariany, wszystko, co robił ranny, odbijało się w jej myślach w inny sposób. Czyjego uśmiech wyrażał teraz lekceważenie dla prymitywnej techniki fotograficznej, czy też oczarowanie jej doskonałością? A może zachwyty iskrzący się w jego oczach był reakcją na wyobrażenie dzikiej wojownicy, której kusza i lanca siały tak straszliwy postrach podczas epoki heroicznych walk, dziesięć pokoleń temu?

Ariana Foo potarła podbródek.

– Dwadzieścia płytek. Powiedzmy, że uda ci się uzyskać dobry obraz tylko na połowie...

– To optymistyczna ocena, moja mędrzyni, gdyż ta metoda wymaga długiego czasu wytwarzania. Ariana chrząknęła.

– No to pół tuzina udanych. A kilka trzeba będzie wręczyć łupieżcom, by groźba stała się wiarygodna.

– Można zrobić kopie – wtrąciła Engril.

– Nie będą nam potrzebne – stwierdziła Sara. – Piraci muszą sądzić, że wykonaliśmy mnóstwo obrazów. Rozstrzygające znaczenie ma kwestia, czy mogą one przetrwać milion lat?

Portrecista dmuchnął na kosmyk żółtych włosów. Z jego gardła

wydobył się cichy, zdławiony dźwięk przypominający qheueńskie westchnienie.

– Jeśli przechowuje się go w odpowiednich warunkach, ten metal utlenia się, wytwarzając znakomitą warstwę ochronną... – Roześmiał się nerwowo, przenosząc wzrok z Sary na Arianę. – Nie mówicie poważnie, prawda? To blef. Jesteśmy wystarczająco zdesperowani, by chwycić się brzytwy, ale czy naprawdę sobie wyobrażacie, że zdołacie gdzieś przechować dowody aż do czasu następnej galaktycznej kontroli?

g'Kecki lekarz obrócił dwie szypułki, by popatrzeć w przeciwnych kierunkach.

– Wygląda na to, że wkroczyliśmy do królestwa zupełnie nowych herezji.

Asx

Mogło być błędem, że tak bardzo staraliśmy się stłumić wśród Sześciu zdolności psioniczne.

Przez większą część długich tysiącleci naszego wygnania wydawało się to najmądrzejszym kierunkiem. Czyż naszym podstawowym celem nie było pozostanie w ukryciu? Musieliśmy budować na niewielką skalę, w harmonii z naturą i pozwolić, by prawo odwrotności kwadratów załatwiło resztę.

Ale psioniczne kanały są niezwykle, nieliniowe. Tak przynajmniej twierdzą wydrukowane przez ludzi książki, które przyznają, że ten gatunek nie wiedział wiele na ów temat, kiedy jego przedstawiciele uciekli na Jijo.

Gdy Świąte Jajo dało nam pierwsze rewqi, niektórzy spośród Sześciu wyrażali obawy, że symbionty używają zdolności psionicznych, co może uczynić naszą enklawę uchodźców łatwiejszą do wykrycia. Mimo zadowalających dowodów, że tak nie jest, owo stare oszczerstwo teraz powróciło, raz jeszcze wywołując wśród nas napięcia.

Niektórzy twierdzą nawet, że samo Świąte Jajo stało się przyczyną naszej zguby! Ostatecznie, dlaczego piraci przybyli akurat teraz, zaledwie sto lat po błogosławionym dniu, w którym się wyłoniło? Inni wskazują, że moglibyśmy dowiedzieć się znacznie więcej na temat

najeźdźców, gdybyśmy wyhodowali własnych adeptów, zamiast garstki uwrażliwionych i wykrywaczy prawdy, których mamy teraz.

Żale są czymś głupim i bezużytecznym. "Ja" mógłbym równie dobrze usychać z tęsknoty za pierścieniami, które nasi przodkowie podobno porzucili, tylko dlatego, że owe toroidy były skażone grzechem.

Och, jak wiele rzeczy według legend pozwalały nam ongiś robić! Biec na skrzydłach wiatru z chyżością najszybszej ursy. Pływać jak qheueni i chodzić po morskim dnie. Dotykać świata i manipulować nim na każdym poziomie jego ziarnistej struktury. A nade wszystko stawiać czoło okrutnemu, niosącemu strach wszechświatu z egocentryczną pewnością siebie, absolutnym spokojem o biologicznym charakterze. Żadnych wątpliwości dręczących naszą skomplikowaną wspólnotę jaźni. Jedynie wyniosły egotyzm centralnego, pewnego siebie ja.

Dwer

Niebiescy qheueni z gór hołdowali innym tradycjom niż ich kuzyni mieszkający za potężną Tamą Dolo. W domu rytuały wylinki zawsze wydawały się mało uroczyste. Ludzkie dzieciaki z pobliskiej wioski biegały swobodnie w towarzystwie swych pokrytych chityną przyjaciół, podczas gdy dorośli pili wspólnie nektarowe piwo, by uczcić osiągnięcie dojrzałości przez kolejne pokolenie.

W tym wysokogórskim sanktuarium hymny i syczące rytuały sprawiały bardziej podniosłe wrażenie. Wśród zaproszonych gości znajdowali się miejscowy g'Kecki lekarz, garstka traeckich

szabrowników oraz tuzin ludzkich sąsiadów. Wszyscy po kolei stawali przed wypukłą szybą, by obserwować wydarzenia rozgrywające się w żłobku dla larw, który znajdował się w sąsiednim pomieszczeniu. Hoońscy rybacy z jeziora za tamą jak zwykle przysłali wyrazy ubolewania. U większości przedstawicieli tego gatunku qheueński sposób rozmnażania się wzbudzał nieprzezwyciężony niesmak.

Do przyjscia skłoniła dwera wdzięczność. Gdyby nie ten gościnny kopiec, mogłyby mu zostać tylko kikuty zamiast niemal wszystkich palców u rąk i nóg, wciąż obolałych, lecz gojących się. Dało mu to też szansę na chwilę odpoczynku od pełnych napięcia przygotowań, jakie prowadził z Danelem Ozawą. Gdy Rzeźbiąca Językiem, miejscowa

matriarchini, wezwała ich skinieniem do okna, Dwer i Danel pokłonili się jej, a także ludzkiemu nauczycielowi, panu Shedowi.

– Gratuluję wam obojgu – powiedział Ozawa. – Życzę wspaniałego wylęgu absolwentów.

– Dziękuję, czcigodny mędrce.

W westchnieniu Rzeźbiącej Językiem słyszało się podenerwowanie. Jako naczelna samica złożyła więcej niż połowę jaj. Wiele drżących kształtów za drzwiami było jej potomstwem, przygotowującym się do wyklucia. Po dwudziestu lub więcej latach oczekiwania należało się spodziewać pewnego napięcia.

Pan Shed nie dokonał genetycznej inwestycji w młodych qheuenów przekształcających się w sąsiednim pomieszczeniu, lecz na wychudłej twarzy instruktora widać było niepokój.

– Tak, to wspaniały wyląg. Kilkoro z nich będzie znakomitymi uczniami w drugim etapie, kiedy przyjmą imiona i ich skorupy stwardnieją.

– Dwoje zdążyło już przedwcześnie zostać przeżuwaczami drewna, choć sędzę, że nasz nauczyciel miał na myśli inne talenty – dodała Rzeźbiąca Językiem.

Pan Shed skinął głową.

– W dole zbocza jest szkoła, do której miejscowe plemiona wysyłają swe najzdolniejsze dzieci. Elmira powinna się tam dostać, jeśli uda jej się...

Matriarchini wybuchnęła ostrzegawczym sykiem.

– Nauczycielu! Zachowaj swoje prywatne przezwiska dla siebie. Nie przynoś larwom pecha w tym świętym dniu! Pan Shed nerwowo przełknął ślinę.

– Przepraszam, matrono.

Kołysał się na boki niczym qheueński chłopiec przyłapany na kradzieży raków ze stawów wylęgami.

Na szczęście zjawił się traECKI wytwórca z kotłem welowego nektaru. Ludzie i qheueni zaczęli się tłoczyć wokół stołu. Dwer jednak zauważył, że Ozawa jest tego samego zdania co on. Obaj nie mieli czasu na wprowadzanie się w euforyczną ekstazę. Przygotowywali się do śmiertelnie poważnej misji.

Wielka szkoda – pomyślał Dwer, obserwując, jak traeki doprawia każdy puchar gatunkowo specyficzną cieczą rozpylaną przez jego pier-

ścień chemosyntezy. Nastrój w pomieszczeniu poprawił się wkrótce, w miarę spożywania środków rozweselających. Rzeźbiąca Językiem przyłączyła się do tłumu zgromadzonego wokół kotła, pozostawiając trzech ludzi samych przy oknie.

– Tak jest, moje piękne. Róbcie to delikatnie – szeptał uczony wynajęty do uczenia qheueńskich dzieci czytania i matematyki, co było długotrwałym, wymagającym cierpliwości zadaniem, biorąc pod uwagę dziesięciolecia spędzane przez larwy w jednym, błotnistym miejscu na pożeraniu wjəców i powolnym przyswajaniu mentalnych zwyczajów istot rozumnych. Ku zaskoczeniu Dwera Shed

nasunął sobie na twarz funkcjonującego rewqa. Większość symbiontów zapadła ostatecznie w śpiączkę lub nawet padła martwa.

Dwer wyrzął przez okno, czyli przez pokrytą zmarszczkami, wypukłą soczewkę ze złamaną podporą w środku. Środek sąsiedniego pomieszczenia zajmowała mazista sadzawka, przez którą przesuwaly się niewyraźne kształty miotające się na lewo i na prawo, jak gdyby nerwowo czegoś szukały. Kilka dni temu mogły być ulubionymi uczniami pana Sheda. Niektóre z nich będą nimi znowu, po tym jak dokonają wylinki i przeobrażą się w dorastających qheuenów. Rozgrywający się obecnie dramat wywodził się jednak sprzed milionów lat, z czasów poprzedzających ingerencję opiekunów, która przekształciła ich gatunek w gwiezdnych wędrowców. W procesie tym była specyficzna, krwawa logika.

– Dobrze, dzieci, róbcie to spokojnie...

Pełne nadziei westchnienie Sheda przerodziło się w skowyt, gdy staw eksplodował pianą. Z wody wyskoczyły robakowate postacie, które utworzyły kotłujące się kłębowisko. Dwer zauważył jedną, która osiągnęła już niemal pięciokątny kształt. Pod połyskującą skorupą barwy akwamaryny wierzgały trzy nogi. Na nowym pancerzu widniały sine ślady niedawnych zadrapań. Z tyłu wlokły się strzępy białej, larwalnej tkanki, którą trzeba było zrzucić.

Zgodnie z legendą, qheueni, którzy wciąż wędrowali między gwiazdami, znali sposoby na ułatwienie tego przekształcenia – maszyny i sztuczne środowiska – ale naJijo wylinka wyglądała mniej więcej tak samo jak wtedy, gdy byli oni bystrymi zwierzętami polującymi na płycznach świata, który ich zrodził.

Dwer przypomniał sobie, że gdy pierwszy raz ją zobaczył, wrócił do domu zapłakany, szukając pocieszenia i zrozumienia u starszego brata. Już wtedy Lark był poważny, uczony i odrobinę pedantyczny.

"Rozumne gatunki mają wiele stylów rozmnażania się. Niektóre koncentrują wszystkie swe wysiłki na nielicznym potomstwie, pielęgnowanym od samego początku. Każdy dobry rodzic jest gotów zginąć, by uratować swe dziecko. Hoonowie i g'Kekowie przypominają pod tym względem ludzi. Nazywa się to metodą wysokiego K. Ursy rozmnażają się mniej więcej tak, jak ryby w morzu – to jest niskie K – produkując hordy potomstwa, które żyje w buszu w dzikim stanie, aż do chwili, gdy ci, co przetrwają, wywęszą drogę do swych krewnych. Wczesnym ludzkim osadnikom uryjskie metody wydawały się nieczułe, podczas gdy wiele urs uważało nasze zwyczaje za paranoidalne i ckiwe. Qheueni zajmują pośrednie miejsce. Dbają o swe dzieci, ale wiedzą, że w każdym wylęgu wiele musi umrzeć, by pozostałe mogły żyć. Zrodzony stąd smutek dodaje siły wyrazu qheueńskiej poezji. W rzeczy samej sędzę, że najmądrzejsi z nich pojmują życie i śmierć lepiej niż potrafią to ludzie".

Larka czasem ponosiło, ale Dwer dostrzegał prawdę w tym, co powiedział jego brat. Wkrótce nowe pokolenie opuści wilgotny żłobek, wylaząc na świat, który wysuszy im skorupy i uczyni ich obywatelami. Albo też nie ocaleje nikt. Tak czy inaczej, połączenie goryczy ze słodyczą było tak intensywne, że każdy kto nosił rewqa, jak pan Shed, musiał być wariatem albo masochistą.

Ktoś dotknął jego ramienia. Danel skinął dłonią. Należało teraz wyjść, nim rytuały zostaną wznowione. Czekala ich robota. Musieli przygotować zapasy i broń, a także wszystkie dobra, które mieli zabrać za góry.

Rankiem Lena Strong wróciła z Polany w towarzystwie drugiej młodej kobiety. Dwer skrzywił twarz, rozpoznając Jenin, jedną z wielkich, mocno zbudowanych sióstr Worley. Przyprowadziły ze sobą pięć osłów obładowanych książkami, nasionami i szczelnie zapieczętowanymi rurami o złowieszczym wyglądzie. Spodziewał się zobaczyć również Rety, lecz Lena poinformowała go, że mędrscy chcą jeszcze trochę porozmawiać z przedterminową osadniczką.

Nieważne. Bez względu na to, czy będą ją mieli za przewodniczkę, Dwer był tym, który odpowiadał za dotarcie, małej ekspedycji do celu.

A gdy już tam się znajdą? Czy dojdzie do aktów przemocy? Czy padną zabici? A może zaczną się coś wspaniałego?

Z westchnieniem podążył za Ozawą.

Teraz już nigdy się nie dowiemy, kto miał rację: Sara czy Lark. Czy Sześciu czekała droga sukcesów, czy też przeciwnie.

Od tej chwili chodzi tylko o ocalenie.

Za jego plecami pan Shed wsparł dwie dłonie o wypukłą szybę. Jego głos ochrypl z trwogi o małe istnienia, których nie powinien miłować ani nie miał prawa oplakiwać.

Nieznajomy

Zastanawia się, skąd wie to, co wie.

Kiedyś było to bardzo łatwe. Wiedza przychodziła do niego w zwartych pakietach zwanych słowami. Każde z nich niosło ze sobą cały zakres znaczeń, skomplikowanych i pełnych subtelnych odcieni. Połączone w szeregi przekazywały niezliczone pojęcia, plany, uczucia...

I kłamstwa.

Mruga powiekami, gdy to jedno słowo dociera gładko do jego umysłu, tak jak ongiś działało się to z wieloma. Obraca je na języku, rozpoznając jednocześnie brzmienie i sens. Wywołuje to przyływ radości pomieszanej z zachwytem. Zachwytem spowodowanym myślą, że ongiś robił to niewyobrażalnie wiele razy podczas każdego oddechu. Znał i rozumiał niezliczone słowa.

Napawa się tym jednym, powtarzając je raz za razem.

Kłamstwa... kłamstwa... kłamstwa.

I cud powtarza się, gdy zjawia się drugi, pokrewny wyraz...

Kłamcy... kłamcy...

Na swych kolanach widzi zmięty szkic, teraz niemal wygładzony na nowo. Przedstawia on ze szczegółami ludzkie postacie o pełnych wyrazu twarzach, spoglądające pogardliwie ponad wielogatunkowym tłumem prymitywnych istot. Przybysze noszą mundury z jasnymi emblematami, które wydają mu się z jakiegoś powodu znajome.

Znał kiedyś słowo określającą takich ludzi. Słowo i powody, dla których należy ich unikać.

Dlaczego więc zaledwie chwilę temu tak bardzo pragnął ich zobaczyć? Dlaczego tak nalegał? Miał wówczas wrażenie, że coś wezbrało w głębi jego jaźni. Nagła potrzeba. Żądza wyruszenia, bez względu na

koszt, do odległej górskiej doliny przedstawionej na rysunku. Konfrontacji z tymi, których wyobrażono na zmiętej kartce białawego papieru. Zamiar ten wydawał się niezwykle istotny, choć obecnie nie potrafi sobie przypomnieć dlaczego.

Większość jego wspomnień spowija gęsta mgła. To, co lśniło jaskrawo, gdy dręczyła go gorączka, teraz dostrzega tylko jako ulotne obrazy...

.. Jak gwiazda, która wydaje się małeńka przy otaczającej ją strukturze, sztucznej konstrukcji złożonej z niezliczonych kątów i rozszczepionych krawędzi, zamykającej wątki blask czerwonego słońca w labiryncie płaskich powierzchni.

.. albo pokryty wodą świat, na którym metalowe wysepki wyrastają w górę niczym grzyby, a morze jest zabijającą powoli przy dotyku trucizną.

.. albo pewne płytkie miejsce w kosmosie, daleko od głębokich oaz, w których z reguły skupia się życie. W tej płyciźnie, leżącej z dala od lśniącego spiralnego ramienia, nie ma nic żywego, lecz wśród dziwnej płaskości zebrała się tam olbrzymia formacja kulistych kształtów, niezwykle jasnych,

unoszących się bez końca w przestrzeni niczym flota księżyców...

Jego umysł ucieka od tej ostatniej wizji, ukrywa ją razem z innymi na wpół rzeczywistymi wspomnieniami. Gubi ją wraz z jego przeszłością i niemal na pewno również przyszłością.

xm KSIĘGA MORZA

Istoty rozumne często czują pokusę, by wierzyć w celowość. W to, że istnieją we wszechświecie z jakiegoś powodu.

By służyć czemuś większemu:

gatunkowi lub klanowi;

opiekunom lub bogom;

bądź celom estetycznym.

Albo też zmierzają do indywidualnych celów:

bogactwa i władzy, rozmnażania bądź doskonalenia osobistej duszy.

Wnikliwi filozofowie nazywają to poszukiwanie celu, niczym więcej niż marnością, gorączkową potrzebą uzasadnienia wrodzonego popędu istnienia.

Po cóż jednak nasi przodkowie przywiedli nas tutaj, tak daleko od gatunku, klanu, opiekunów, bogów, bogactwa i władzy, jeśli nie dlatego, byśmy służyli celowi większemu niż wszystkie te rzeczy?

Zwój Kontemplacji

Opowieść Alvina

Zawsze uważałem się za chłopaka z miasta. Ostatecznie Wuphonjest największym portem na południu i ma niemal tysiąc mieszkańców, jeśli liczyć też pobliskich farmerów i szabrowników. Wychowałem się wśród nabrzeży, magazynów i podnośników.

Niemniej żuraw masztowy to naprawdę coś. Długi, pełen gracji kształt wykonany z setek rur z rozwierconego i utwardzonego busa złożyła w całość w ciągu kilku dni ekipa qheueńskich cieśli, którzy uprzejmie wszystkiego wysłuchiwali za każdym razem, gdy Urdonnol wymyślała im za to, że odeszli od wzoru przedstawionego na stronie pięćset dwunastej jej cennego tekstu Przedkontaktowa terrańska maszyna, tom VIII: Podnoszenie ciężkich ładunków bezpomocy antygrawitacji. Następnie, obracając z szacunkiem kopuły, qheueni wracali do wiązania i sklejanie żurawia w ich własny sposób, z wykorzystaniem tego, czego nauczyła ich praktyka.

Urdonnol powinna być bardziej elastyczna – pomyślałem, przyglądając się, jak pozbawiona poczucia humoru pomocnica Uriel robi się coraz bardziej sfrustrowana. To prawda, że w książkach kryje się wielka mądrość. Ale ci faceci nie używają tytanu. Jesteśmy wyrzutkami, którzy muszą się zaadaptować do wymogów swej epoki.

Z radością dostrzegłem, że nasza koleżanka Ur-ronn sprawiała wrażenie usatysfakcjonowanej tym co dotąd wykonano, gdy już obejrzała i obwąchała każdą zworę, rozpórkę i krążek. Wolałbym jednak, by była przy tym, Uriel, która nadzorowała prace w ciągu pierwszych dwóch dni po rozbiciu przez naszą grupę obozu w głębokim cieniu Krańcowej Skały. Kowalska mistrzyni była wybrednym, wymagającym nadzorcą. Często żądała, by robotę wykonywano od nowa, dopóki nie wykonano jej bezbłędnie.

Myślę sobie, że nasza czwórka mogłaby mieć jej za złe fakt, że przejęła szefostwo nad naszym prywatnym projektem. Tak jednak nie było. A przynajmniej w niewielkim stopniu. Zwracała uwagę na szczegóły w sposób przyprawiający o rozstrój nerwów, ale za każdym razem, gdy w końcu przyznała, że coś zrobiono jak należy, moje przekonanie, że naprawdę możemy wyjść z tego z życiem, odrobinę wzrastało. Jej niespodziewane odejście było ciosem.

Do obozu wpadła uryjska kurierka – zdyszana, wycieńczona, a nawet spragniona, na Ifni. Trzymała kopertę, którą Uriel niecierpliwie rozerwała. Przeczytawszy wiadomość, odciągnęła na bok trackiego, Tyuga, i wyszeptła coś do niego gorączkowo. Następnie pogalopowała do swej drogocennej kuźni.

Po jej odejściu właściwie nie nastąpiło rozprężenie. Realizacja planu posuwała się naprzód etap za etapem. Nie mogę jednak powiedzieć, by

nasz nastrój był taki sam jak przedtem. Zwłaszcza po tym, gdy pierwsze próbne zanurzenie o mało nie skończyło się utonięciem pasażera.

Żuraw masztowy był już wówczas piękną konstrukcją sterczącą wysoko nad głębokimi, błękitnymi wodami Rozpadliny, ramieniem tak pełnym gracji, że nikt by się nie domyślił, iż do skalnej krawędzi przytwierdzało je szesnaście stalowych sworzni grubości mojego nadgarstka. Na wielki bęben nawinięte było ponad trzydzieści kabli najlepszej liny holowniczej Uriel zakończone naszym szarobrazowym statkiem, któremu nadaliśmy nazwę "Marzenie Wuphonu" w nadziei, że zjednamy sobie naszych rodziców, a także tych członków miejscowej społeczności, którzy sądzą, że dopuszczamy się bluźnierstwa.

Obok pierwszego stoi drugi żuraw połączony z jeszcze większym bębniem. Nie musi on dźwigać ciężaru batyskafu, lecz jego zadanie jest równie istotne. Chroni przed splątaniem podwójny wąż, dzięki któremu, świeże powietrze napływa do środka statku, a zużyte wydostaje się na zewnątrz. Nigdy nie miałem okazji zapytać, z czego zrobiono te przewody, ale materiał ten jest znacznie mocniejszy niż pozszywane pęcherze scynków, których nasza czwórka zamierzała użyć, gdy zaczęliśmy myśleć o tej wyprawie.

Uriel wprowadziła też inne modyfikacje: wielki regulator ciśnienia, wysokonapężeniowe uszczelki oraz parę eikowych świateł, których jasne wiązki docierają tam, gdzie nigdy nie sięga blask słońca.

Ponownie zadałem sobie pytanie, skąd to wszystko się bierze.

Zaskoczyło nas, że Uriel nie ingerowała zbyt w konstrukcję samego batyskafu. Wykonano go z pojedynczego wydrążonego pnia gam. Jeden z końców zamykało piękne okno Ur-ronn. Z przodu zainstalowaliśmy dwa umocowane na zawiasach chwytaki, które nasza uryjska koleżanka skopiowała z książki. Mały stateczek miał również koła, w sumie cztery, które zamontowano po to, by "Marzenie Wuphonu" mogło się toczyć po mulistym dnie morza.

Nawet gdy wyposażono je już w superszerokie obręcze, koła wyglądały znajomo. Zwłaszcza dla Huck. Zatrzymała je jako osobiste pamiątki po zniszczeniu jej domu i śmierci prawdziwych, g'Keckich rodziców w straszliwej lawinie. Z typowym dla siebie makabrycznym humorem nadała im nazwy Ciotka Rooben, Wujek Jovoon Lewy i Wujek Jovoon Prawy. Czwarte było po prostu Tata. Wreszcie nakazałem jej skończyć z tym przerażającym żartem i nazwać je po prostu numerami od jednego do czterech.

W normalnych warunkach wykorzystanie kół nie byłoby możliwe bez pomocy galaktycznej techniki. Obracająca się oś rozerwałaby na części wszelkie uszczelki. Jednak rozwiązaniem stała się upiorna kolekcja części zapasowych Huck. Cudowne g'Keckie magnetyczne piasty i wrzeczona napędowe można było umieścić po obu stronach kadłuba, nie robiąc dziury w drewnie. Huck będzie sterowała pierwszą parą kół, podczas gdy ja, posługując się korbą, będę poruszał drugą, napędzaną.

To już wszystkie nasze zadania podczas zanurzenia, pomijając "kapitana", Koniuszka Szczypiec, dzięki któremu świat jasných, błękitnych wód przemkniemy po drodze ku głębinom, jakich nie widział żaden qheuen od chwili, gdy przed tysiącem lat zatopili swój skradacz. Jego miejsce jest w wyposażonym w osłonę kroplową dziobie. Będzie się zajmował eikowymi lampami i wołał, jak

mamy sterować, w którą stronę kierować statek lub gdzie pobierać próbki.

Dlaczego to on ma być dowódcą? Z pewnością nikt nigdy nie uważał go za najinteligentniejszego członka naszej bandy.

Po pierwsze, od początku był to jego pomysł. Własnoręcznie – czy raczej własnoustnie – wyrzeźbił większą część "Marzenia Wuphonu" w krótkich wolnych chwilach między szkołą a pracą w zagrodach dla skorupiaków.

Co ważniejsze, jeśli to piękne okno – albo jakaś inna uszczelka – zacznie przeciekać, to on ma największe szansę uniknąć paniki, gdy do kabiny zacznie przedostawać się słony pył wodny. Jeśli do tego dojdzie, zadaniem Koniuszka będzie wydostać nas jakoś na zewnątrz. Wszyscy czytaliśmy wystarczająco wiele morskich i kosmicznych opowieści, by wiedzieć, że to całkiem niezła definicja kapitana: ten, którego wszyscy powinni słuchać w chwili, gdy sekundy decydują o życiu bądź śmierci.

Musi jednak trochę zaczekać, nim obejmie dowództwo. W naszym pierwszym próbnym zanurzeniu przewidziano udział tylko jednego pasażera, ochotnika, który dosłownie "urodził" się do tego zadania.

Rankiem traeki Tyug zostawił ślad zapachomonów, by przyciągnąć mały, cząstkowy stos imieniem Ziz z zagrody do miejsca, gdzie czekało "Marzenie Wuphonu", lśniąca w blasku słońca. Wypolerowane drewno gam tworzące kadłub naszego dzielnego statku było jasne i piękne. Szkoda, że czyste, błękitne niebo na ogół uważa się za zły znak.

Takim właśnie znakiem wydawało się gapiom obserwującym naszą ekipę z pobliskiego urwiska. Byli tam hoonowie z Wuphonu i garstka

miejscowych czerwonych oraz ursy o bokach pokrytych pyłem, który zebrały, wędrując w karawanie, a także troje ludzi, którzy musieli odbyć trudną, trzydniową wycieczkę z Doliny. Nikt z nich nie miał nic lepszego do roboty niż wymienianie pogłosek o statku czy statkach, jakie podobno wylądowały na pomocy. Jedna z plotek mówiła, że wszyscy, którzy przebywali wówczas na Polanie, już nie żyją, straceni na miejscu przez gniewnych galaktycznych sędziów. Inna twierdziła, że Święte Jajo przebudziło się wreszcie całkowicie, a światła przez pewne osoby widziane na niebie były duszami tych, którzy mieli szczęście przebywać na zgromadzeniu w chwili, gdy sprawiedliwi spośród Sześciu ulegli transformacji i zostali odesłani jako duchy do swych starożytnych domów wśród gwiazd.

Niech mi ogolą nogi, jeśli niektóre z tych historii nie były tak piękne, że żałowałam, iż sam ich nie wymyśliłam.

Nie wszyscy gapie byli protestującymi. Niektórzy przyszli z ciekawości. Huck i mnie ubawił Howerr-phuo, który jest przez adopcję bratankiem drugiego stopnia młodszej półmatki burmistrza, ale mimo to rzucił szkołę, twierdząc, że nie podoba mu się zapach pana Heinza. Wszyscy jednak wiedzą, że Howerr-phuo jest leniwy, a poza tym kto jak kto, ale on nie ma prawa uskarżać się na higieniczne obyczaje innych.

W pewnej chwili podkradł się do nas, by zapytać o "Marzenie" i jego misję. Miło i uprzejmie. Niemniej wydawało się, że niemal nie słucha naszych odpowiedzi.

Potem prześliznął się jakoś do pytań o trackich, wskazując palcem na Tyuga, który karmił Ziza w er-jego zagrodzie.

Co prawda mieliśmy w Wuphonie farmaceutę, lecz mimo to pierścieniowe istoty nadal otacza pewna tajemnica. Oczywiście oboje z Huck szybko się połapaliśmy, do czego zmierza Howerr-phuo. Założył się z paroma swymi cofniętymi koleżkami o życie płciowe trackich i wybrano go, by zapytał o to nas, jako miejscowych ekspertów!

Wymieniwszy znaczące mrugnięcia, oboje z Huck szybko opróżniliśmy mu głowę ze wszystkich nonsensów, jakimi ją wypchano, a potem równie szybko wypełniliśmy ją na nowo wersją wymyśloną przez nas. Po chwili Howerr wyglądał jak marynarz wyrznięty w łeb przez urwane koło wielokrążka. Oddalił się pośpiesznie, spoglądając ukradkiem na swe stopy, niewątpliwie w poszukiwaniu "zarodników pierścieni", dręczony obawą, że w miejscach, których z niedbalstwa nie umył, zaczną mu wyrastać mali tracki.

Nie czuję się zbyt winny z tego powodu. Każdy, kto od tej chwili zatrzyma się pod wiatr od Howerr-phuo, powinien nam podziękować.

Miałem zamiar zapytać Huck, czy my też byliśmy kiedyś takimi tępakami, lecz nagle przypomniałem sobie, że pewnego razu przekonała mnie, iż g'Kek potrafi zostać własnym ojcem i matką jednocześnie. Daję słowo, że w jej ustach brzmiało to wiarygodnie, choć za lichy nie potrafię zrozumieć, jak udało się jej tego dokonać.

Przez pierwszych parę dni widzowie czaili się za linią nakreśloną na piasku przez Urieijej buławą mędrzczyń. Nikt zbyt wiele nie mówił, gdy mistrzyni kowalska przebywała na miejscu. Po jej odejściu niektórzy zaczęli jednak wyrzaskiwać slogany, akcentując głównie to, że Śmietnisko jest święte i zarozumiali maniacy połysku nie powinni urządzać do niego wycieczek. Gdy przybyli ludzie z Doliny, protesty stały się lepiej zorganizowane. Pojawiły się transparenty i chóralnie wykrzykiwane hasła.

Wydawało mi się to bardzo ekscytujące, niczym scena z Lata miłości czy Roku 2000 ukazująca sprawiedliwą walkę o sprawę. Dla takiego człekonaśladowcyjakja, nic nie mogłoby być bardziej polerowane niż wyruszenie na wyprawę na przekór opinii ogółu. Wydaje mi się, że niemal wszystkie romantyczne opowieści, jakie czytałem, mówiły o nieustraszonych bohaterach, którzy nie schodzili z wytyczonej drogi mimo wątpliwości pozbawionych wyobraźni rodziców, sąsiadów czy osób sprawujących władzę. Przypomniało mi to książkę, z której pochodzi mój przydomek: okoliczności, w jakich ludzie z Diaspar próbowali powstrzymać Alvina przed nawiązaniem kontaktu z dawno utraconymi kuzynami z odległego Lys. Albo kiedy Lysjanie nie chcieli, by wrócił do domu z wieściami o ich ponownie odkrytym świecie.

Pewnie, że wiem, iż to fikcja literacka, ale podobieństwo sytuacji powiększyło jeszcze moją determinację. Huck, Ur-ronn i Koniuszek twierdzili, że czują to samo.

Co zaś do tłumu, cóż, wiem, że ci, którzy czują strach, zachowują się nierozsądnie. Próbowałem nawet raz czy dwa spojrzeć na sprawę z ich punktu widzenia. Daję słowo.

Do licha, cóż za rozdęty torus dzikijskich, osmarkanych przez Ifni wwiórek. Mam nadzieję, że wszyscy usiądą na złej mierzwie i dostaną krętowaporów.

XIV

KSIĘGA STOKU

Legandy

Powiadają, że ludzie na Ziemi przez niezliczone pokolenia żyli w zwierzęcym strachu, wierząc w niezliczone rzeczy, których żadna rozsądna osoba nie mogłaby sobie nawet wyobrazić. A już z pewnością nie ktoś, komu podano prawdę na srebrnym talerzu, tak jak stało się to Z niemal każdym rozumnym gatunkiem w Pięciu Galaktykach.

Ziemianie musieli we wszystkim połapać się sami. Powoli, boleśnie, ludzie nauczyli się, jak działa wszechświat, porzucając większość dziwacznych przekonań, które wyznawali w długich, ciemnych wiekach samotności. W ich skład wchodziła wiara w:

- boskie prawa egoty'stycznych królów;
- umysłową niesprawność kobiet;

– pogląd, że mądre państwo wie wszystko;

– pogląd, że jednostka ma zawsze rację;

– chore, słodkie uzależnienie przekształcające doktrynę ze zwykłego modelu świata w coś świętego, za co warto zabijać.

Te szalone wyobrażenia, a także wiele innych, wylądowały po pewnym czasie razem ze skrzatami i UFO w kufrze, w którym ludzie schowali wreszcie wszystkie podobne rzeczy.

Bardzo wielkim kufrze.

Mimo to Galaktowie wkrótce po Kontakcie widzieli w Ziemianach przesądne, prymitywne plemię, dzikusów skłonnych do ulegania dziwnym porywom entuzjazmu oraz hołdujących osobliwym, niemożliwym do udowodnienia poglądom.

Jakaż więc ironia kryje się w odwróceniu ról, które obserwujemy na Jijo, gdzie Ziemianie znaleźli pozostałych pięciu głęboko już cofniętych na drodze, którą sami pokonali przedtem, ulegających niezliczonym bajkom, fantazjom, resentymentom i jaskrawię absurdalnym przekonaniom. W ten wir przesądów osadnicy, którzy świeżo zeszli z pokładu " Tabe macie ", wrzucili coś więcej niż papierowe książki. Sprowadzili ze

sobą również instrumentarium logiki i dowodzenia – te właśnie rzeczy, o których opanowanie musieli najciężej walczyć u siebie.

Ponadto, mając w pamięci własną historię. Ziemianie stali się nienasyconymi kolekcjonerami folkloru. Wypytywali dokładnie pozostałych pięciu, by zarejestrować każdą opowieść, każde wierzenie, nawet te, których fałszywość sami udowodnili.

To z ich przeszłości dzikusów wywodzi się ta dziwna mieszanka:

rozumny sceptycyzm i głębokie uznanie dla tego, co osobliwe, dziwaczne i ekstrawagancko jaskrawe.

Ludzie wiedzieli, że w ciemności bardzo łatwo jest zgubić drogę, jeśli zapomni się, jak odróżniać prawdę od fałszu.

Ale równie ważne jest, by nigdy nie utracić zdolności do marzeń. Tworzenia iluzji, które pomagają nam przetrwać tę tak ciemną noc.

ze Sztuki wygnańców autorstwa Auph-hu-Phwuhbhu

Asx

Małeńki robot stanowił zdumiewający widok. Był nie większy od gałki ocznej g'Keka. Leżał na podłodze unieruchomiony przez hordę atakujących os tajności, pokryty gęstwiną ich poruszających się skrzydeł.

Gdy minęło zaskoczenie, Lester był pierwszym z mędrców, który zdobył się na komentarz.

– Cóż, wreszcie wiemy, dlaczego nazywają je osami tajności. Widzieliście, jak opadły to diabelstwo? Gdyby nie one, nigdy nie zauważylibyśmy jego obecności.

– Urządzenie do szpiegowania – stwierdziła Lśniąca Jak Nóż Wnikliwość, pochylając skorupę, by lepiej przyjrzeć się maszynie. – Małeńkie i ruchome, wysłane, by podsłuchiwać nasze obrady. Gdyby nie osy, bylibyśmy bezradni. Wszystkie nasze plany zostałyby odkryte.

Phwhoon-dau wydał niski burkot który oznaczał zgodę.

– Hr-rm... Jesteśmy przyzwyczajeni traktować te owady jako irytujące drobiazgi, których obecności przy pewnych ceremoniach wymaga tradycja. Buyurowie jednak musieli zaplanować je w takim właśnie

celu. By patrolowały ich miasta i domy, stając na przeszkodzie kandydatom na podsłuchiowaczy.

– Wykorzystanie (specjalnie) zaplanowanej formy życia, by uporać się z (irytującą) groźbą – to w rzeczy samej byłoby typowe dla Buyurów – dodała Ur-Jah.

Lester nachylił się nad osami, by się im przyjrzeć. Ich skrzydełka falowały przed maleńkimi oczyma robota, tworząc plataninę kolorów przypominającą mnie-nam rewqą.

– Ciekawe, co mu pokazują – wyszeptał nasz ludzki mędrzec. Wtem odezwał się Yubben, po raz pierwszy od chwili, gdy osy zaatakowały intruza.

– Zapewne dokładnie to, co chce zobaczyć – oznajmił z przekonaniem.

Czy pamiętacie, moje pierścienie, jak wszyscy pokiwaliliśmy głowami, westchnęliśmy lub zaburkotaliśmy na znak pełnej szacunku zgody? Yubben wyrzekł te słowa tak sugestywnie, zabrzmiały tak mądrze i wiarygodnie. Dopiero później przyszło nam-nam do głowy, by zadać sobie pytanie:

Co?

Co u licha właściwie chciał przez to powiedzieć?

Lark

Lark nie był bynajmniej pierwszym przedstawicielem Sześciu, który wzbił się nad ziemię w ciągu dwóch tysięcy lat nielegalnego osadnictwa. Nawet nie pierwszym człowiekiem.

Wkrótce po tym, jak skradacz "Tabemacie" zatonął na zawsze we wsysających objęciach Śmietniska, ludzie unosili się w powietrzu niczym latawce, wykorzystując stały wiatr od lądu wiejący na obszarze ciągnącym się od błękitnego oceanu aż po białe szczyty Gór Obrzeż-nych. W owych dniach koronkowe płaty skrzydeł chwytaly podniebne prądy, pozwalając odważnym pilotom badać ich nowy świat z wysokości.

Ostatni atlasowy szybowiec spoczywał teraz pod szkłem w muzeum w Biblos. Stanowił cudowny widok. Zbudowano go z mistycznych materiałów zwanych węglem monomolekularnym oraz odpornym na

naprężenia tkanym polimerem. W dzisiejszych czasach nie potrafiliby ich już wyprodukować najzdolniejsi geniusze z cechu chemików, nawet gdyby mędrzy na to pozwolili. Czas i nieszczęśliwe wypadki zniszczyły na koniec wszystkie pozostałe egzemplarze, zmuszając późniejsze pokolenia ludzi do chodzenia po twardej ziemi, tak jak wszyscy, i eliminując kolejny powód do zazdrości wśród Sześciu. Ostatnio jednak, odkąd nastał Wielki Pokój, grupy ambitnych młodzieńców zaczęły korzystać z prymitywnej wersji tej rozrywki, ryzykując czasem życie na wrzecionowatych szkieletach z pustych w środku busów pokrytych ręcznie tkanymi płachtami z wikowej bawełny. Uryjskie średniaczki latały też brzuchatymi balonami unoszonymi w górę przez gorące prądy powietrzne. Zdarzało się niekiedy, że sukces powodował miejscową sensację, lecz żadna z prób nie przyniosła trwałych rezultatów. Dostępne materiały były za ciężkie, za słabe lub nazbyt porowate, a wiatr zdecydowanie za silny.

Niektórzy z żarliwą pobożnością twierdzili, że to dobrze. Niebo nie było miejscem, w którym można znaleźć odkupienie. Nie miało go też przynieść kurczowe trzymanie się minionych marności. Lark z reguły zgadzał się z ortodoksyjnymi poglądami, ale w tym przypadku zastanawiał się:

To takie skromne marzenie. Unosić się przez kilka mil w dolnych warstwach atmosfery. Czy to tak wiele, skoro kiedyś mieliśmy gwiazdy?

Nie miał jednak zwyczaju marnować czasu na jałowe fantazje. Z pewnością nigdy nie spodziewał się, że osobiście ujrzy jijańskie góry z wielkiej wysokości.

Ale spójrzcie na mnie teraz!

Ling z wyraźną przyjemnością obserwowała jego minę, gdy przekazywała mu aktualny plan.

| – Wyruszymy na większą część dnia, by zebrać próbki złapane w pułapki przez nasze roboty. Później, gdy sondy zapuszczą się dalej w teren, będziemy dokonywać kilkudniowych wypadów.

Lark gapił się na maszynę latającą przybyszów, smukłą strzałę o krótkich, szerokich skrzydłach, które wysunęły się, gdy wynurzyła się przez wąski tunel z zakopanej pod ziemią stacji. Rozwarty

właz przypominał parę żarłocznych szczęk.

Jakie to podobne do Ling, że naraziła go na coś takiego bez ostrzeżenia!

Podczas gdy Besh ładowała zapasy, potężny blondyn, Kunn, krzyknął:

– No jazda, Ling! Nie mamy czasu. Namów swojego pieszczocha, żeby wszedł do środka, albo znajdź sobie innego.

Lark zacisnął zęby, zdecydowany nie okazywać żadnych emocji. Podążył za kobietą w górę rampy. Spodziewał się, że wewnątrz maszyny będzie przypominało jaskinię, lecz okazało się jaśniej oświetlone niż jakakolwiek widziana dotąd zamknięta przestrzeń. Nie było potrzeby czekać, aż oczy mu się przyzwyczają.

Nie chcąc gapić się jak kmiotek, skierował się ku wyściełanemu siedzeniu obok okna. Plecak postawił tuż obok. Usiadł z wielką ostrożnością. Zmysłowa miękkość fotela nie wydała mu się wygodna ani uspokajająca. Odnosił wrażenie, że spoczął na kolanach czegoś mięsistego i być może skłonnego do zboczonych amorów. W chwilę później jego niepokój się zwiększył, gdy Ling zapięła mu pas na brzuchu. Syk zamykającego się wjazdu wywołał dziwne odczucie w uszach, co pogłębiło dręczącą go dezorientację. Gdy zawarczały silniki, Lark poczuł dziwne łaskotanie u podstawy szyi, całkiem jakby jego włosami poruszał oddech jakiegoś małego zwierzątka. Nie mógł się powstrzymać przed uniesieniem dłoni, by strącić wyimaginowane stworzonko.

Start był zaskakująco łagodny. Podniebna łódź uniosła się delikatnie w powietrze i obróciła, a potem pomknęła naprzód tak szybko, że nie zdążył przyjrzeć się Polanie i otaczającym ją terenom, ani odszukać ukrytej doliny Jaja. W chwili gdy odwrócił się i przycisnął twarz do szyby, przemykał już pod nimi kontynent. Polecieli na południe wielokrotnie szybciej niż wyrzucony z katapulty kamień. W kilka minut później opadli sponad wysokich wzgórz i pomknęli nad szeroką, otwartą równiną porośniętą stepową trawą, która pochylała się i falowała niczym wiecznie zmieniająca się powierzchnia fosforyzującego morza. W pewnej chwili Lark zauważył stado galopujących lodygożujów -jijańskich kopytnych. Zwierzęta zatrąbiły na znak trwogi i stanęły dęba na widok cienia przelatującej powietrznej łodzi. Grupa uryjskich pasterek wyciągnęła kręte szyje w wyrazie ciekawości zmieszanej z lękiem. W pobliżu dorosłych widać było grupę wczesnych średniaczek, które podskakiwały i kłapały szczękami w udawanej walce, ignorując pełne niepokoju zainteresowanie starszych niebem.

– Wasi wrogowie z pewnością są pełni gracji – zauważyła Ling.

Lark odwrócił się i wbił w nią wzrok. Co ona znowu gada?

Musiała źle zinterpretować wyraz jego oczu. Podjęła pośpieszną próbę ugłaskania rozmówcy.

– Oczywiście, mówię to w takim sensie, tak jak w odniesieniu do konia czy innego zwierzęcia.

Lark zastanowił się głęboko, nim udzielił odpowiedzi.

– Hrm. Szkoda, że wasza wizyta przerwała zgromadzenie. W normalnych warunkach w tej chwili trwałyby igrzyska. Wtedy zobaczyłabyś prawdziwą grację.

– Igrzyska? Aha. Wasza wersja legendarnej olimpiady. Mnóstwo biegania i skakania, jak sądzę? Skinął ostrożnie głową.

– Rozgrywamy zawody w szybkości i zręczności. Inne natomiast pozwalają najlepszym i najodważniejszym spośród nas sprawdzić swą wytrzymałość, odwagę i zdolność adaptacji.

– Wszystko to są cechy wysoko cenione przez tych, którzy obdarzyli ludzkość istnieniem – stwierdziła Ling. Jej uśmiech był pobłażliwy, lekko protekcyjny. – Członkowie sześciu gatunków nie rywalizują chyba ze sobą bezpośrednio, mam rację? Chodzi mi o to, że trudno sobie wyobrazić, żeby g'Kek prześcignął urseę albo qheuen skakał o tyczce!

Roześmiała się.

Lark wzruszył ramionami. Mimo aluzji Ling do sprawy o wielkiej wadze – kwestii pochodzenia ludzkości – zaczął tracić zainteresowanie rozmową.

– Tak. Chyba rzeczywiście. Trudno sobie wyobrazić. Odwrócił się, by popatrzeć na wielką równinę przemykającą za oknem: fale uginających się traw, urozmaicone ciemnymi gajami busów albo oazami kołyszących się łagodnie drzew. Odległość, której pokonanie wymagałoby kilku dni podróży karawaną, została za nimi po niewielu durach beztróskiego lotu. Następnie w polu widzenia pojawiły się dymiące szczyty południowego łańcucha.

Besh, pilotka piratów, zatoczyła krąg, by przyjrzeć się bliżej Płomiennej Górze, lecąc pod takim kątem, że okno Larka było dokładnie na wprost rozległej płyty lawy, co przyprawiało go o zawrót głowy. Dawne warstwy erupcji pokrywały okolicę spustoszoną, lecz zarazem

w posępny sposób odnowioną. Dostrzegł na chwilę piece do wytapiania, które skupiły się na środku potężnej wyniosłości. Ukształtowana tak, by przypominała miejscowe kanały i tafle magmy kuźnia wypuszczała z siebie parę i dym, które nie różniły się od tych pochodzących z pobliskich naturalnych otworów. Oczywiście kamuflażu nie zaprojektowano z myślą o badaniu z tak bliska.

Lark zauważył, że Besh wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Kunnem, który włączył jeden ze swych magicznych ekranów. Spośród kilkudziesięciu jarzących się czerwienią światła widocznych na konturze góry, jedno było zaznaczone wyraźnymi symbolami i lśniącymi strzałkami. Kropkowane linie oznaczały podziemne przejścia i pracownie, w których sławne uryjskie kowalce wyrabiały narzędzia ze specjalnych stopów usankcjonowanych przez mędrców, ustępujące jakością jedynie produkowanym dalej na południu, w pobliżu wyniosłego szczytu Mount Guenn.

Niewiarygodne – pomyślał Lark. Starał się zapamiętać nawet najdrobniejsze szczegóły pokazywane na ekranie Kunna, by złożyć raport Lesterowi Cambelowi. Było oczywiste, że monitor ma niewiele wspólnego z rzekomym celem wyprawy: poszukiwaniem zaawansowanych form życia będących "kandydatami". Z kilkakrotnej wymiany przelotnych uwag Lark wywnioskował, że Kunn nie jest biologiem. Coś w jego postawie i sposobie poruszania się przypominało skradającego się przez las Dwera. Wydawał się jednak groźniejszy. Nawet po kilku pokoleniach względnego spokoju niektórzy mężczyźni i kobiety na Stoku nadal poruszali się w ten sposób – eksperci, których najważniejszym zadaniem było wędrowanie każdego lata od wioski do wioski i szkolenie miejscowej ludzkiej milicji.

Na wszelki wypadek.

Każdy z pozostałych pięciu gatunków miał podobnych specjalistów. Była to rozsądna polityka, gdyż nawet obecnie regularnie dochodziło do drobnych kryzysów: tu jakieś przestępstwo, ówdzie zbiegłe plemię przedterminowych osadników, a do tego przyływy gwałtownych napięć między osadami. Wystarczy, by pojęcie "wojownik okresu pokoju" nie było antynomią.

To samo mogło też dotyczyć Kunna. Sprawiał wrażenie groźnego i kompetentnego, ale to nie musiało znaczyć, że jest napięty niczym struna i, w każdej chwili gotowy popełnić morderstwo.

Po co tu przybyłeś, Kunn? – zastanawiał się Lark, obserwując yskające na ekranie symbole, których odbicia tworzyły siatkę krzyżujących się linii na twarzy cudzoziemca. Czego właściwie szukasz?

Płomienna Góra została za nimi. Wydawało się, że mały stateczek moczył teraz naprzód w innym kierunku, przemykając nad lśniąca bielą laną jako Równina Ostrego Piasku. Przez długi czas mijali niskie ydmy, fale ułożone przez wiatr z doskonałą regularnością. Lark nie luwazył żadnych karawan wlokących się przez połyskującą pustynię pocztą czy towarami handlowymi dla odosobnionych osiedli Doliny. drugiej strony nikt zdrowy na umyśle nie podróżował przez to spalone ońcem pustkowie za dnia. Były tam ukryte schronienia, w których ędrowcy oczekiwali na zachód słońca.

Nawet promienie Kunna pra-dopodobnie nie powinny ich wykryć wśród osłepiającego ogromu.

Ten błady połysk był niczym w porównaniu z następną nagłą zmianą, rzejściami od oceanu piasku do Tęczowego Wycieku, przestworu za-lazanych, ciągle zmieniających się kolorów, od których Larka szczy-ały oczy. Ling i Besh próbowały spoglądać na to osłaniając oczy tołmi, nim wreszcie dały za wygraną, Kunn zaś mamrotał z niezado-'oleniem, rozzłoszczony zakłóceniami pokrywającymi ekran. Lark himił naturalną chęć przymrużenia oczu. Spróbował zamiast tego eupiac wzrok mniej niż zwykle. Dwer tłumaczył mu kiedyś, że to idyny sposób, by coś zobaczyć w tym królestwie, w którym egzotyczne ryszały lśniły szaloną, ciągle zmieniającą się luminacją.

Było to wkrótce po tym, jak jego brat zdobył status mistrza myśliwskiego. Przygnał wtedy do domu, by dołączyć do Larka i Sary u łoża łatki, podczas choroby, która na koniec ją zabrała, zamieniając Nela iemal z dnia na dzień w starego człowieka. Podczas ostatniego tygo-nia Melina nie przyjmowała żadnych pokarmów i bardzo niewiele apojów. Wydawało się, że nie potrzebowała już niczego od dwojga tarszych dzieci, na których umysły wpływała codziennie od chwili, dy została ich matką jako przebywająca od niedawna w Dolo młoda, ona papiernika. Chłoneła jednak opowieści najmłodszego syna o tym, o widział, słyszał i poznał w dalekich zakątkach Stoku, do których iewielu kiedykolwiek dotarło. Lark przypominał sobie, że poczuł [klucie zazdrości, ujrzawszy zadowolenie, jakie historie Dwera spra-yiły jej w ostatnich godzinach życia. Czynił sobie potem wyrzuty za ak niegodne myśli.

Teraz to wspomnienie przemknęło przez jego umysł, najwyraźniej przywołane drażniącymi kolorami.

Łatwowieczne osoby spośród Sześciu utrzymywały, że te warstwy trującej skały mają magiczne właściwości, które zawdzięczają nakładającym się na siebie przez eony wulkanicznym efuzjom. Nazywali je "krwią Matki Jijo". W owej chwili Lark był pod tak uderzającym wpływem niesamowitych fal odczucia powtarzalności, że mógłby niemal uwierzyć w ten przesąd. Całkiem jakby kiedyś, dawno temu, już tu był.

Gdy to pomyślał, jego oczy przystosowały się. Wydało mu się, że się otworzyły, pozwalając, by zamęt wirujących barw przerodził się w fantasmagoryczne kaniony, wymaginowane doliny, widmowe miasta, a nawet całe urojone cywilizacje rozleglejsze niż największe buyur-skie ruiny...

Wtem, gdy już zaczął pogrążyć się całkowicie w tym doświadczeniu, plama iluzji skończyła się nagle jak odcięta, gdy Tęczowy Wyciek opadł urwiskiem w morze. Besh raz jeszcze zawróciła samolot. Wkrótce rozległa domena barw zniknęła niczym sen, zastąpiona po lewej stronie przez pustynię z owiewanymi wiatrem wulkanicznymi skałami.

Linia uderzających o brzeg fal przypominała legendarną autostradę wiodącą ku nieznanym krainom. Lark rozpiął pas i przeszedł na drugą stronę wehikułu, by popatrzeć na wielki ocean.

Jaki ogromny – pomyślał. Morze było jednak niczym w porównaniu z przestrzeniami, które Ling i jej towarzysze przemierzali niemal bez zastanowienia. Wyteżał wzrok w nadziei, że zauważy zamaskowany odpadowiec o szarzielonych, przecinających wiatr żaglach, niosący święte szkatułki ku miejscu ostatecznego spoczynku. Z tej wysokości mógł nawet dostrzec samo Śmietnisko, ciemnoniebieskie wody zapomnienia kryjące rów tak głęboki, że mógł w sobie pomieścić wszystkie aroganckie nadużycia tuzina potężnych cywilizacji i pobłogosławić je swego rodzaju rozgrzeszeniem – zapomnieniem.

Dolecieli już dalej, niż Lark zapuścił się kiedykolwiek dotąd w poszukiwaniu danych dla swych wiecznie głodnych tablic. Nawet spoglądając doświadczonego okiem, dostrzegał tylko niewiele rozproszonych śladów obecności istot rozumnych: hoońską wioskę rybacką, czy kolonię czerwonych qheuenów ukryte w skalnych rozpadlinach albo pod baldachimami korzeni w bagnistych

odgałęzieniach rzek. Oczywiście przy tej prędkości coś ważnego mogło umknąć jego uwagi w chwili, kiedy przechodził od jednego okna do drugiego, co robił często, podczas gdy Besh kreśliła beczki, kierując instrumenty zarówno na brzeg, jak i na morze.

Nawet te nieliczne ślady osadnictwa zniknęły, gdy dotarli do Rozpadliny, przelatując kilkaset strzałów z łuku na zachód od odległej, ostrej i wąskiej Krańcowej Skały.

Teren przecinało w tym miejscu wiele wyniosłych urwisk i głębokich, podmorskich kanionów. Wyszczerbione przylądki pojawiały się na przemian z pozornie bezdennymi wypustkami ciemnego morza, całkiem jakby jakieś olbrzymie szpony wyżłobiły równoległe rowki biegnące niemal prosto na wschód, by stworzyć nieprzebytą naturalną barierę. Ten, kto zamieszkał za tą granicą, stawał się osobnikiem wyjętym spod prawa, przeklętym przez mędrców i Święte Jajo. Maszyna latająca szybko jednak minęła królestwo rozpadlin i przepaści o ostrych zarysach, całkiem jakby były małymi koleinami na ruchliwej drodze.

Miła za miłą piaszczystych, porośniętych zaroślami terenów zostawały szybko z tym, z rzadka urozmaicane ostro zarysowanymi fragmentami starożytnych miast zniszczonych przez wiatr, sól i deszcz. Wybuchy i zamieniające w pył promienie musiały zburzyć potężne wieże wkrótce po tym, jak ostatni buyurski lokator zgasił światło. Z czasem nieustanny wpływ Śmietniska i zrodzonych przez nie wulkanów nawet te niebosiężne kikuty obróci w nicość.

Podniebna łódź wkrótce oddaliła się na dobre od kontynentu, przelatując nad archipelagami spowitych mgłą wysepek.

Nawet Dwerowi nigdy się nie śniło, że zapuści się tak daleko.

Lark zdecydował, że nie wspomni chłopakowi o tej wycieczce, nie omówiwszy przedtem sprawy z Sarą, która sprawy taktu i urażonych uczuć rozumiała lepiej niż obaj bracia.

Nagle poraziła go myśl.

| Sara jest w Dolo. Dwera mogli wysłać na wschód, by polował na glawery i przedterminowych osadników. A gdy obcy zakończą swe badania, wszystkich nas może czekać kres, z dala od tych, których kochamy.

Zagłębił się z westchnieniem w fotelu. Przez jakiś czas naprawdę było mu przyjemnie. Niech szlag trafi pamięć, za to, że przypomniła mu, jak wygląda sytuacja!

Przez resztę podróży był spokojny i rzeczowy, nawet gdy na koniec

wylądowali w pobliżu lasów w niesamowity sposób odmiennych od tych, które znał, czy wtedy, gdy pomagał Ling wnosić do środka klatki pełne dziwnych, cudownych stworzeń. Profesjonalizm był jedyną przyjemnością, na jaką jeszcze sobie pozwalał – upodobanie do studiowania natury. Nie czuł już zachwyty na myśl o lataniu.

Lark dowłókł się do swego sfatygowanego namiotu w pobliżu Polany dopiero po zachodzie słońca. Zastał tam Harullena, który czekał na niego z wieściami.

Niska, masywna postać zajmowała połowę schronienia. Gdy Lark stanął w wejściu, a bijący zza jego pleców blask księżyca był jedynym źródłem światła, pomyślał, że to Uthen, jego przyjaciel, również przyrodnik. Pokrywającej tego queuena skorupy barwy popiołu nie szpeciły jednak blizny, które Uthen zawdzięczał życiu spędzonemu na odkopywaniu przeszłości Jijo. Harullen był moim książkowym, mistykiem, który przemawiał arystokratycznym tonem przywodzącym na myśl szare królowe z dawnych czasów.

– Gorliwcy przysłali wiadomość – oznajmił złowieszczym tonem przywódca heretyków, nie pytając nawet Larka, jak spędził dzień.

– Tak? Nareszcie? I co mają do powiedzenia?

Lark postawił plecak przy wejściu i osunął się na łóżko.

– Tak jak przewidywałeś, domagają się spotkania. Wyznaczono je dziś o pomocy.

Echoszepty ostatniego słowa wymknęły się z otworów mownych qheuena, gdy ten zakołysał się na nogach. Lark stłumił jęk. Musiał jeszcze przygotować raport dla mędrców, zawierający streszczenie wszystkiego, czego się dziś dowiedział. Do tego Ling chciała, by zerwał się wcześniej rano i pomógł jej w ocenie nowych próbek.

I teraz jeszcze to?

A czego możesz się spodziewać, jeśli próbujesz dochować wierności kilku stronom? Stare powieści opisują, do jakich komplikacji potrafi doprowadzić służba więcej niżjednemu'panu.

Wydarzenia nabierały tempa. Znana tylko z pogłosek tajna organizacja rebeliantów wystąpiła wreszcie z propozycją rozmów. Jaki miał wybór?

– Zgoda – powiedział Harullenowi. – Przyjdź po mnie, kiedy nadejdzie pora. Na razie mam jeszcze robotę.

Szary qheuen oddalił się, nie wydając żadnego dźwięku, jeśli pomi-łąć cichy stukot szczypiec o skalistą ścieżkę. Lark zapalił zapałkę. trysnęły z niej cuchnące opary. Dopiero po chwili przygasła na tyle, by nóg rozpalić swą maleńką lampkę oliwną. Rozłożył przenośne biurko, ^óre podarowała mu Sara, gdy ukończył Szkołę Roneyską. Miał wra-:enie, że od tego czasu minęła już cała geologiczna epoka. Wyciągnął Lartkę najlepszego produkowanego przez jego ojca papieru, po czym do glinianego mózdzierza zdrapał czarny proszek z na wpół zużytej sztabki uszu, zmieszał go z płynem z małej buteleczki i zaczął ucierać mieszankę tłuczkiem, dopóki nie zniknęły wszystkie bryłki. Zaostrzył scyzory-dem pióro drzewnego zwlekacza. Na koniec zanurzył je w atramencie,)dczekał chwilę i zaczął pisać raport.

To była prawda, co zrozumiał później, podczas pełnego napięcia spotkania w bladym świetle Torgen, drugiego księżyca. Gorliwcy – Aoć niepewnie i podejrzliwie – rzeczywiście proponowali sojusz Kierowanemu przez Harullena luźnemu stowarzyszeniu heretyków.

Dlaczego? Cele obu grup są odmienne. My dążymy do ograniczenia, i potem zakończenia naszej nielegalnej obecności na tym kruchym kwiecie. Gorliwcy chcą tylko powrotu dawnego status quo, naszego ukrycia z czasów poprzedzających przybycie pirackiego statku. Być może pragną też spłacić przy okazji stare długi.

Mimo to emisariusze obu grup zebrali się w samym środku nocy, obok fumaroli buchającej nieopodal krętej ścieżki wiodącej ku milczącemu gniazdu Jaja. Większość spiskowców nosiła grube płaszcze, by ukryć swą tożsamość. Harullena-jednego z nielicznych, którzy wciąż posiadali funkcjonującego rewqa – poproszono, by zdjął wijącego się symbionta z kopuły zmysłowej, gdyż delikatne stworzenie mogłoby się wypalić w atmosferze pełnych napięcia intryg. Rewqi należały do epoki Wielkiego Pokoju i nie były przystosowane do czasów wojny.

A może to dlatego, że gorliwcy nie chcą, byśmy dostrzegli zbyt wiele – zastanowił się Lark. Nie na darmo rewqom nadano nazwę maski, która odslania. Ich niemal powszechna hibernacja była źródłem równie wielkiego zakłopotania, jak głębokie milczenie samego Jaja.

Nim gorliwcy przystąpili do rzeczy, otworzyli kilka dzbanów, wypuszczając na zebranych roje os tajności. Początki tego starożytnego ytuału zostały zapomniane, lecz po odkryciach ostatnich kilku dni nabrał on istotnego sensu. Następnie wystąpiła reprezentująca grupę ursa, która przemówiła w drugim galaktycznym.

– Wasze stowarzyszenie dostrzega szansę w (bardzo nieszczęśliwym) przybyciu tych przestępców – oznajmiła. Gwizdy i mlaski tłumił kaptur, zasłaniający wszystko poza czubkiem jej pyska, Lark jednak potrafił rozpoznać, że jeszcze przed kilkoma porami roku była średnia-czką, a w torbie pod pachą ma co najwyżej jednego męża. Jej dykcja sugerowała, że odebrała wykształcenie, być może w

jednej z równinnych akademii, gdzie młode ursy, które świeżo opuściły stado, zbierały się w odległości zasięgu wzroku od jakiegoś dymiącego wulkanu, by uczyć się sztuk, w których celowały.

A więc to intelektualistka. Pełna książkowej wiedzy i przejęta ważnością swych idei.

Aha – odpowiedziała szczerze część jego jaźni. Inaczej mówiąc, nie różni się zbyt od ciebie.

Harullen odpowiedział na wyzwanie rebeliantki. Ze względów politycznych przemówił w anglicu.

– Co ma znaczyć ta dziwna teza?

– To że dostrzegacie w tych (nie lubianych-niepożądanych) obcych szansę na zrealizowanie swych ostatecznych celów!

Ursa tupnęła przednią nogą. Jej insynuacja wywołała gniewne szepty wśród delegacji heretyków. Lark jednak to przewidywał.

Szara skorupa Harullena zakołysała się, zataczając falujący krąg. Był to traECKI gest zwany przez złożone z pierścieni istoty Sprzeciwem Wobec Niesprawiedliwego Oskarżenia.

– Sugerujesz, że popieramy zamordowanie nas samych. A także każdej istoty rozumnej na Jijo.

Uryjska konspiratorka odpowiedziała naśladownictwem tego samego gestu, lecz w przeciwnym kierunku: Powtórzenie Zarzutu.

– To właśnie (stanowczo) sugeruję. To wiośnie (z brutalną szczerością) chcę stwierdzić. Wszyscy wiedzą, że tego pożądamy (zbląkami) heretycy.

Lark wystąpił naprzód. Jeśli wśród szeptów gorliwców słyhać było jakieś antyludzkie uwagi, zignorował je.

– Nie tego (powtórzone zaprzeczenie) pożądamy! – odparł oskarżenie Lark, odzywając się tak pośpiesznie, że zniekształcił trylową frazę kwalifikatora. – Z dwóch przyczyn – kontynuował, wciąż męcząc się

z dmgim galaktycznym. – Pierwszy z. naszych motywów (odrzućenia) wygląda tak: obcy (chciwi w maksymalnym zakresie) muszą nie tylko wyeliminować wszystkich rozumnych świadków (zbrodni-kradzieży), którzy mogliby złożyć zeznania przed galaktycznym sądem, lecz również wytepić miejscowych przedstawicieli każdego (pechowego) gatunku, który ukradną z Jijo! W przeciwnym razie, jakże kłopotliwa sytuacja mogłaby pewnego dnia zaistnieć, gdy (głupi) złodzieje ogłoszą adopcję nowego gatunku podopiecznych po to tylko, by przedstawiono im dowody, że ukradziono go z tego świata? Z tego powodu muszą eksterminować oryginalną populację, nim odlecą. Na to (w prawości) nie możemy pozwolić! Zagłada niewinnego życia jest zbrodnią, do walki z nią zaś powołano (w bezinteresownej prawości) naszą grupę!

Harullen i pozostali heretycy krzyknęli na znak aprobaty. Larkowi zbyt zaschło w gardle, by mógł dalej przemawiać w drugim galaktycznym. Wykonał już ten gest, przeszedł więc na anglic.

– Istnieje jednak też inny powód, by opierać się wymordowaniu przez obcych. Po prostu paść ofiarą zabójstwa nie przynosi żadnego zaszczytu. Celem naszej grupy jest poszukiwanie zgody, konsensusu, by Sześciu uczyniło to, co właściwe, powoli, bezboleśnie, dobrowolnie, za pomocą kontroli urodzin, jako szlachetny akt poświęcenia dla świata, który kochamy.

– W ostateczny n rozrachunku skutek wędzie taki sań – zauważyła ursa, przechodząc na ten sam język, którego używał Lark.

– Nie, jeśli prawda zostanie w końcu ujawniona! A któregoś dnia zostanie, gdy ten świat będzie miał nowych legalnych lokatorów, którzy poświęcą się powszechnie uprawianemu hobby, jakim jest archeologia.

Jego stwierdzenie wywołało pełną konsternacji ciszę. Nawet Harullen obrócił swą kopułę, by popatrzeć na Larka.

– Wyjaśnij to, froszę – uryjska rebeliantka ugięła przednie nogi, skłaniając go, by mówił dalej. –

Jaką różnicę dostrzeże archeologia, gdy nas i naszych fotonków dawno już nie wędzie, a kości naszych kofyt usieją podnorskie niejsca do tarzania?

Lark wyprostował się, walcząc ze zmęczeniem.

– Prędej czy później, mimo wszystkich naszych wysiłków, by żyć w zgodzie ze zwojami i nie zostawić trwałych śladów, nasza historia zostanie opowiedziana. Za milion lat, czy za dziesięć, wyjdzie na jaw, że mieszkało tu kiedyś społeczeństwo przedterminowych osadników,

potomków samolubnych durniów, którzy z dawno już zapomnianych powodów dokonali inwazji na Jijo. Społeczeństwo istot, które jednak przewyciężyły głupotę swych przodków i zrozumiały, w czym leży prawdziwa wielkość. Na tym właśnie polega różnica między dążeniem do godnego wymarcia a przyzwoleniem na ohydne morderstwo. W imię honoru i wszystkich błogosławieństw Jaja, sami musimy dokonać wyboru, każdy z osobna. Nie możemy pozwolić, by zmusiła nas do tego banda zbrodniarzy!

Harullen i pozostali przyjaciele Larka byli wyraźnie poruszeni. Krzyczeli, syczeli i burkotali na znak gorączkowego poparcia. Lark usłyszał nawet trochę szeptów aprobaty wśród zakapturzonych gorliwców. Nie potrzebował rewqą, by zdać sobie sprawę, że jego głos zabrzmiał przekonująco, choć w głębi duszy nie bardzo wierzył we własne słowa.

Banda Ling nie sprawia wrażenia obawiającej się archeologicznych hobbystów z jakiegoś przyszłego eonu.

W gruncie rzeczy Larka również guzik obchodziło, czy w jakiejś zapoznanej historycznej notatce w dalekiej przyszłości znajdą się pozytywne opinie na temat Sześciu.

Dobre prawa nie potrzebują nagrody ani uznania, by być słusznymi. Same z siebie są czyste oraz sprawiedliwe i powinno się ich przestrzegać, nawet jeśli się wie, że nikt się nie przygląda. Nawet jeśli nikt nigdy się o tym nie dowie.

Mimo wszystkich wielokrotnie wytykanych wad galaktycznej cywilizacji Lark wiedział, że prawa chroniące pozostawione odłogiem światy są słuszne. Choć już jego narodziny były ich złamaniem, nadal miał obowiązek dopilnować, by ich przestrzegano.

Wbrew własnym słowom w zasadzie nie miał nic przeciwko temu, by banda Ling wyeliminowała miejscowych świadków, pod warunkiem, że środki będą łagodne.

Na przykład stworzona drogą inżynierii genetycznej epidemia, która pozostawi wszystkich zdrowymi, lecz bezpłodnymi. To mogłoby za jednym zamachem rozwiązać ich problem ze świadkami oraz kwestię Jijo.

Miał jednak również obowiązek przeciwstawić się planom kradzieży genów. To też było nadużycie Jijo, przypominające gwałt. Ponieważ mędrcy najwyraźniej ograniczali się do giedzenia, konspiracyjna orga-

nizacja gorliwców wydawała się jedyną siłą gotową walczyć z obcym zagrożeniem.

Stąd wzięła się pełna afektacji, kłamliwa przemowa Larka mająca zbudować zaufanie między dwiema bardzo różnymi radykalnymi grupami. Pragnął koalicji z gorliwcami z jednego prostego powodu. Jeśli przygotowywano jakąś akcję, Lark chciał mieć w tej sprawie coś do powiedzenia.

Na razie współpracujmy – pomyślał. Mówił dalej, wykorzystując wszystkie swe oratorskie umiejętności, by uspokoić podejrzenia. Argumentował przekonująco na rzecz sojuszu.

Współpracujmy, ale miejmy oczy otwarte.

Kto wie? Może znajdzie się sposób, by osiągnąć oba cele za jednym zamachem?

Asx

Wszechświat domaga się od nas ironii.

Na przykład, wszelkie wysiłki i dobra wola, które wykuły Wielki Pokój, były warte zachodu. My,

członkowie Wspólnoty, staliśmy się dzięki nim lepsi i mądrzejsi. Sądziłiśmy również, że będą one świadczyły na naszą korzyść, jeśli – czy kiedy – galaktyczni inspektorzy przybędą, by nas osądzić. Wojujące ze sobą plemiona przynoszą światu więcej szkód niż te, które spokojnie dyskutują o tym, jak uprawiać wspólny ogród. Z pewnością będzie dla nas lepiej, jeśli będziemy uprzejmymi i łagodnymi, a nie zachłannymi zbrodniarzami.

Tak właśnie rozumowaliśmy. Nieprawdaż, moje pierścienie?

Niestety, z nieba nie spadli sędziowie, lecz złodzieje i kłamcy. Nagle jesteśmy zmuszeni do knucia śmiertcionośnych intryg, a nie mamy już w tej dziedzinie takich umiejętności, jak w dniach przed nastaniem Wspólnoty i Jaja.

O ile więcej byśmy potrafili, gdyby nie pokój!

Dziś z ostrym ukłuciem bólu odkryliśmy tę prawdę na nowo, gdy pojawiła się zdyszana galopantka niosąca depesze z połączonej z gabinetem kuźni Uriel Kowalicy. Zawierały one słowa ostrzeżenia. Złowieszcze upomnienia mówiące o znakach na niebie, nakazujące nam przygotować się na odwiedzin gwiazdolotu!

Ach, nierychłe przestrogi! Przybyły zdecydowanie zbyt późno. Ongiś na przejmująco zimnych szczytach – od terenów położonych na północ od Biblos aż po tropikalne osady doliny – wznosiły się kamienne cytadele przekazujące za pomocą zmyślnie wykonanych luster wiadomości, które prześcigały najszybsze uryjskie kurierki czy nawet wyścigowe ptaki. Dzięki swym semaforom ludzie i ich sojusznicy szybko mobilizowali siły przed bitwą, nadrabiając tym szczupłość wojsk. Z czasem ursy i hoonowie stworzyli własne systemy, każdy na swój sposób pomysłowy. Nawet my, tracki, utworzyliśmy sieć ostrzegających przed ewentualnym niebezpieczeństwem czujników śledzących zapachowe zarodniki.

Żadne z tych osiągnięć nie przetrwało pokoju. Porzucono semafony i pozwolono, by system rakiet sygnalizacyjnych uległ zniszczeniu. Do niedawna sam handel po prostu nie usprawiedliwiał utrzymywania tak kosztownych środków komunikacji, choć, o ironio, w zeszłym roku wynalazcy zaczęli mówić o ponownym obsadzeniu personelem tych lodowatych, skalnych gniazd i uruchomieniu sieci błyskowego przekazywania informacji.

Czy otrzymalibyśmy wiadomość na czas, gdyby szybciej przystąpili do działania?

Czy jej otrzymanie w jakikolwiek sposób odmieniłoby nasz los? Ach, moje pierścienie. Jakże czcze jest rozmyślanie o niespełnionych ewentualnościach. Poza solipsyzmem może być to najbardziej szalone zajęcie, na jakie marnują swój czas jednostkowe istoty.

Rety

– Czy masz coś dla mnie?

Rann, wysoki, srogo wyglądający przywódca ludzi z nieba, wyciągnął ku niej dłoń. W półmroku późnego wieczoru, gdy wiatr szeleścił w pobliskim gąszczu jasnych busów. Rety odnosiła wrażenie, że każdy z jego pokrytych stwardnieniami palców jest grubości jej nadgarstka. Księżycowy blask rzucał cienie na jego twarz o wydatnych rysach oraz na klinowaty tułów. Starła się nie okazywać tego po sobie, ale czuła się w jego obecności zupełnie pozbawiona znaczenia.

Czy wśród gwiazd wszyscy mężczyźni są tacy jak on? Ta myśl sprawiła, że poczuła się dziwnie, tak jak wcześniej, gdy Besh powiedziała, że będzie można wygładzić jej blizny.

Najpierw usłyszała złą wiadomość.

– Nie możemy nic na to poradzić tutaj, w naszej małej klinice – powiedziała piratka, podczas krótkich odwiedzin Rety w otwartej przez obcych izbie chorych położonej obok ich zakopanej w ziemi bazy.

Stała w kolejce przez połowę ranka. Czekanie było okropne. Przebierała nogami między g'Kekiem ze świszczącym, koślawym kołem a postarzałą ursą, z której nozdrza skapywał ohydny, szary płyn. Za każdym razem, gdy ogonek przesuwał się do przodu. Rety bardzo się starała nie wdepnąć w tę ciecz. Gdy wreszcie mogła poddać się badaniom pod jasnymi lampami i przenikliwymi promieniami, jej nadzieje uleciały pod niebo, a potem runęły gwałtownie na ziemię.

– W domu łatwo moglibyśmy naprawić takie uszkodzenia skóry – mówiła Besh, prowadząc Rety w kierunku wyjścia z namiotu. – Biorzeźbiarstwo to zaawansowana sztuka. Specjaliści potrafią uzyskać przyjemny dla oka kształt nawet z prymitywnego materiału.

Rety nie poczuła się urażona.

Prymitywny materiał. Zgadza się. Tym właśnie jestem.

Zresztą czuła się wówczas oszołomiona myślą o tym, że galaktyczne czary mogłyby ją obdarzyć twarzą i ciałem takimi, jakie miały Besh albo Ling.

Zaparała się nogami i nie ustąpiła, dopóki Besh nie pozwoliła jej się odezwać.

– Mówią... mówią, że kiedy będziecie odlatywać, możecie zabrać trochę ludzi ze sobą.

Besh popatrzyła na nią oczyma koloru złocistobrązowych klejnotów.

– Kto opowiada takie rzeczy?

– Słyszałam... coś podobnego. To pewnie plotki.

– Nie powinnaś wierzyć we wszystkie plotki. Czy położyła szczególny nacisk na słowo "wszystkie"? Rety chwyciła się każdego okruchu nadziei.

– Słyszałam też, że dobrze płacicie tym, którzy przynoszą wam potrzebne rzeczy. Albo informacje.

– To akurat jest prawdą.

Wydało się jej, że oczy Besh zalśniły lekko. Z rozbawienia? Czy chciwości?

– A jeśli informacja jest naprawdę, naprawdę cenna? Jaka byłaby wtedy nagroda?

Kobieta z gwiazd odpowiedziała przyjaznym, obiecującym uśmiechem.

– Zależy od tego, jak bardzo wartościowa czy przydatna się okaże. Górną granicą jest niebo.

Rety przeszył dreszcz. Zaczęła sięgać do torby u pasa. Besh powstrzymała ją jednak.

– Nie teraz – powiedziała cicho. – Tu nie jest bezpiecznie. Rozejrzawszy się w lewo i w prawo. Rety zdała sobie sprawę, że w pobliżu są inni pacjenci, a także osoby zatrudnione przez piratów – członkowie Sześciu służący pomocą w ich różnorodnych poczynaniach. Każdy z nich mógł być szpiegiem mędrców.

– Dziś w nocy – poinformowała ją Besh cichym głosem. – Rann każdego wieczoru odbywa spacer wzdłuż strumienia. Czekaj przy gaju żółtych busów. Tych, które właśnie rozkwitają. Przyjdź sama i nie rozmawiaj z nikim, kogo spotkasz po drodze.

Świetnie! – pomyślała z radością Rety wychodząc z namiotu. Są zainteresowani! Na to właśnie liczyłam. I to w ostatniej chwili.

Wszystko mogłoby być stracone, gdyby nawiązanie kontaktu zajęło jej więcej czasu. Naczelný ludzki mędrzec zarządził, że Rety musi wyjechać jutro, towarzysząc małej karawanie osłów kierującej się w góry wraz z dwoma milczącymi mężczyznanami i trzema roslými kobietami, których nigdy dotąd nie spotkała. Nic nie powiedziano, ale wiedziała, że mieli dogonić Dwera, a potem wyruszyć z powrotem na pustkowie, z którego przybyła.

Nie ma mowy! – pomyślała, uradowana z umówionego z piratami spotkania. Dwer może się bawić w myśliwego. Podczas gdy on będzie szukał czegoś do zjedzenia wśród Szarych Wzgórz, ja będę sobie żyła w bogactwie i luksusie na Ogonie Delfina.

To był gwiazdozbiór, z którego – według pogłosek – przybyli łupieżcy, choć krabokształtna mędrzyni. Lśniąca Jak Nóż Wnikliwość, próbowała opowiedzieć Rety o galaktykach i "punktach

transferowych", tłumacząc jej, że droga powrotna do cywilizacji jest kręta jak pnącze mierzwopająka. Nic z tego nie miało sensu i Rety doszła do wniosku, że

stara qheuenka zapewne kłamie. Zdecydowanie bardziej podobał się jej pomysł podróży do gwiazdy, którą wyraźnie widziała, gdyż znaczyło to, że pewnego dnia ujrzy Jijo z pięknego, galaktycznego miasta, w którym zamieszka, i co noc będzie pokazywać język Jassowi, Bomowi i całemu ich śmierzącemu plemieniu. A także Dwerowi i mędrcom, jeśli już o tym mowa, razem ze wszystkimi innymi na tej cuchnącej planecie, którzy kiedykolwiek byli dla niej źli.

Po spotkaniu z Besh przez cały dzień unikała mędrców i ich sług. Powędrowała na polany położone w odległości kilku strzałów z łuku na zachód, gdzie niektórzy z pielgrzymów próbowali wznowić choć część uroczystości zgromadzenia. Rozebrane w przypływie paniki namioty postawiono ponownie. Wiele osób wyszło z ukrycia. Wciąż panowało silne napięcie, lecz niektórzy sprawiali wrażenie zdecydowanych dalej prowadzić normalne życie, choćby tylko przez krótki czas.

Odwiedziła namiot, w którym rzemieślnicy wystawiali na sprzedaż towary sprowadzone z całego Stoku. Jeszcze wczoraj wywarłyby one na Rety wielkie wrażenie, dzisiaj jednak uśmiechała się pogardliwie. Widziała już lśniące maszyny, których używali ludzie z nieba. Obserwowała, jak podczas jednej z dyskusji panelowych hoońscy, g'Keccy i ludzcy specjaliści debatowali na temat udoskonalonych metod splatania sznurów. Audytorium było wyciszone. Tylko nieliczni zadawali pytania.

W pobliżu traeki hodowca pierścieni oferował sflaczałe obwarzanki ze smukłymi ramionami, pączkami oczu albo krótkimi i grubymi stopami. W pobliżu zagrody stała trójka dojrzałych trackich. Być może zastanawiali się, co dodać do nowo narodzonego stosu, który budowali w domu, albo też po prostu się przyglądali.

Dalej, na usianej drobnymi plamami cienia polanie, szympansy --akrobaci występowały przed tłumem dzieci, a wszystkogatunkowy sekstet grał przy kipiącym gorącym źródle. Mogłoby to sprawiać wrażenie wielkiej wesołości, gdyby Rety nie wyczuwała psującego nastroj przygnębienia. I gdyby nie znieczuliła już swego serca na wszystko, co jijańskie.

Tym Stekowcom wydaje się, że są czymś znacznie lepszym niż banda brudnych przedterminowych osadników. Może i tak. Ale wszyscy na Jijo są przedterminowymi osadnikami, zgadza się?

Odlatuję daleko stąd i nie muszę już się tym przejmować.

Większą część popołudnia spędziła na wyboistej polanie, obserwując ludzkie dzieciaki i uryjskie średniaczki rywalizujące ze sobą w grze w wyzwanie Drake'a.

Arenę stanowił pas piasku. Jedną jego granicę tworzył strumień, drugą zaś długi wykop wypełniony węgielkami, które tliły się pod pokrywą szarego popiołu. Kosmyki gorącego dymu sięgnęły twarzy Rety, przywołując bolesne wspomnienia Jassa i Borna. Jej blizny ściągnęły się. Przeniosła się wyżej i usiadła w cieniu karłowatego gam.

Zjawiała się dwójka zawodników: ludzki chłopak, który zaczął od północnego krańca pola, oraz krzepka uryjska średniaczka, startująca od południowego. Szli powoli, obrzucając się obelgami w miarę, jak zbliżali się do środka, gdzie czekała dwójka sędziów.

– Hej, mulico! Przygotuj się na kąpiel! – urągał chłopak. Starał się zachowywać buńczuczną postawę, lecz utrudniała mu to lewa ręka przywiązana do pleców pasami tkaniny. Od krocza aż po brodę pokrywała go skórzana osłona, lecz nogi miał nagie, a stopy bose.

Młodą ursę również wyposażono w zabezpieczenia i utrudnienia. Twarde, przezroczyste, mocno napięte dżunurowe błony okrywały szczelnie jej delikatne torby oraz gruczoły zapachowe. Gdy średniaczka się zbliżyła, spróbowała stanąć groźnie dęba. Ku rozbawieniu widzów omal się nie przewróciła. Rety dostrzegła powód. Tylną parę nóg miała spętana.

– Głufia wwiórka! – krzyknęła ursa na przeciwnika, odzyskawszy równowagę, by raz jeszcze skoczyć naprzód. – Nała wwiórka zaraz się fofarzy!

Wzdłuż obu granic – za rowem z węgielkami i na drugim brzegu strumienia – zebrały się tłumy młodzieży obserwującej pojedynki. Wielu nosiło osłony ze skóry lub błon, które zwisały beztrzesko otwarte, podczas gdy ich właściciele czekali na swój występ na arenie. Inni chłopcy i dziewczęta smarowali jakimiś maściami sinoczerwone smugi na łydkach, udach, a nawet twarzach. Rety skrzywiła się. Lecz żadne z poparzeń nie wyglądało na tak głębokie czy okaleczające, jak jej własne. Nie było pęcherzy ani okropnych fragmentów zwęglonej skóry. Dlaczego jednak narażali się na działanie ognia?

Ta myśl wywoływała w Rety mdłości połączone z dziwną fascynacją.

Czy było to aż tak bardzo różne od tego, co przytrafiło się jej?

Wiedziała, że będzie musiała zapłacić za przeciwstawienie się Jassowi, ale i tak to zrobiła.

Czasami po prostu trzeba walczyć i tyle.

Uniosła na chwilę dłoń, by dotknąć twarzy. Nie żałowała niczego. Niczego.

Niektóre z obecnych urs również były poznaczone śladami niedawnej walki, zwłaszcza na nogach, gdzie całe poacie futra sparszywiały bądź zlazły całkowicie. Co dziwne, nie dostrzegało się wyraźnego podziału według gatunków. Nie było rywalizujących ze sobą grup ludzkich i uryjskich kibiców, lecz mnóstwo wzajemnych spotkań, wstępnych sparringów i przyjaznego porównywania technik oraz rzutów. Rety zobaczyła, jak jakiś ludzki chłopak wymienia żarty z uryjską średniaczką, śmieje się, wspierając ramię na jej lśniącej grzywie.

Tworzące sporą gromadkę zookiry i szympany skrzeczały do siebie podekscytowane, zakładały się o kulki piu i waliły dłońmi w ziemię.

W pewnej odległości za pasem węgla Rety dostrzegła drugą prowizoryczną arenę, na której młodociani traeki o świeżo połączonych pierścieniach uprawiali jakiś inny sport wraz z g'Keckimi młodzieńcami, tak lekkimi i zwinnymi, że zawracali w pędzie o sto osiemdziesiąt stopni, a nawet unosili w górę oba koła, by kroczyć na tylnych, popychających nogach. Te zawody zdawały się polegać na swego rodzaju tańcu składającym się z toczenia i wirowania. Rety nie mogła się połapać, o co właściwie chodzi. Z pewnością była to jednak rozrywka mniej gwałtowna niż wyzwanie Drake'a.

Para qheueńskich sędziów – jeden szary i jeden niebieski – czekała na dwoje rywali na środku pasa piasku. Starannie sprawdzili rękaw człowieka w poszukiwaniu ukrytej broni, a potem zęby średniaczki, by się przekonać, czy na przypominających kosy siekaczach nie ma ostrych nasadek. Następnie niebieski qheuen wycofał się do strumienia, a szary wyciągnął opancerzone nogi i – ku zdumieniu Rety, która aż zamrugnęła powiekami – wszedł zgrabnie do rowu z dymiącymi węgielkami! Od tej chwili nieustannie przestępował z nogi na nogę. Unosił dwie zakończone szczypcami kończyny wysoko nad kopczą się powierzchnię, potem zamieniał je na następną parę i tak dalej.

Pokłoniwszy się sobie rytualnie – i ostrożnie – chłopak i średniaczka zaczęli okrążyć się nawzajem w poszukiwaniu słabych punktów.

Nagle skoczyli ku sobie i wzięli się za bary. Oboje starali się popchnąć, obrócić bądź rzucić przeciwnika w kierunku, w którym miał najmniejszą ochotę się udać. Rety zrozumiała teraz, czemu służą utrudnienia. Mając tylne nogi spętane, ursa nie mogła stratować przeciwnika ani przepchnąć używając tylko siły. Mocne, zręczne ręce chłopaka mogłyby natomiast zadławić średniaczkę, gdyby jedna z nich nie była przywiązana do boku.

– wyzwanie draka! wyzwanie draka! jippi jej!

Cichutki, piskliwy głos przestraszył Rety. Dobiegał z miejsca znacznie bliższego niż tłum

krzyczących kibiców. Odwróciła się w poszukiwaniu jego źródła, lecz nie dostrzegła w pobliżu nikogo, dopóki szarpnięcie za bluzę nie sprawiło, że popatrzyła w dół.

– torba bezpieczna? yee mówić! ty mnie torba bezpieczna i yee mówić ty!

Rety wytrzeszczyła oczy. To był maleńki ursik! Nie większy niż jej stopa. Tańczył delikatnie na czterech miniaturowych kopytach, nie przestając ciągnąć jej ubrania. Stworzonko potrząsnęło grzywą i obróciło wężową szyję, oglądając się nerwowo za siebie.

– yee potrzebować torby! potrzebować torby!

Rety odwróciła się, by podążyć wzrokiem za spojrzeniem istoty. Zobaczyła przyczynę jej przerażenia. Wśród podszycia przycupnął gładki, czarny kształt, który dyszał lekko. Wywalony ozór zwisał między szeregami ostrych, białych zębów. W pierwszej chwili Rety doznała szoku, sądząc, że to Skarpetka, zabawny towarzysz z gór tego starego zrzędy Dwera. Potem zauważyła, że zwierzę nie ma brązowych plam na łapach. A więc był to inny noor.

Drapieżnik uniósł głowę i wyszczerzył zęby do maleńkiego ursika. Postąpił krok naprzód, a potem drugi.

Pod wpływem impulsu Rety złapała drżącą zdobycz i wsunęła do skórzanej torby u pasa.

Noor obrzucił ją zdumionym, rozczarowanym spojrzeniem, po czym odwrócił się i zniknął w krzakach.

Okrzyki, gwizdy i podekscytowane parsknięcia sprawiły, że podniosła wzrok akurat na czas, by zobaczyć, jak ludzki zawodnik runął na ziemię w obłoku kłębiącego się popiołu. Ku zdumieniu Rety chłopaka nie ogarnęły natychmiast płomienie. Przetoczył się i stanął prosto. Tańczył na gorących węglach, przestępując z nogi na nogę. Szybko, lecz spokojnie strącał żarzące się ogniki z fałd skózanego stroju. Odesłał

gestem szarego qheuena, który pognał opiekuńczo do jego boku. Raz jeszcze przesunął dłoń wzdłuż kołnierza, po czym przeszedł powoli po rozżarzonych popiołach na piaszczystą arenę.

Rety była pod wrażeniem. Stokowcy byli twardsi, niż jej się zdawało.

– gorąco-gorąco, ale nie za wielki żar! – pisnął cichy głosik z jej torby, całkiem jakby ursika uradowało zaskoczenie Rety. Wydawało się, że całkowicie zapomniał o ucieczce przed głodnym noorem. – chłopak zrobić ba-bach. pośliznąć się i upaść, ale nie drugi raz, nie ten chłopak! on wygrywać! patrz, jak głupia mulica się zmoczyć!

Rety walczyła z własnym zdumieniem, niezdolna zdecydować, co wprawiają w większe osłupienie: walka tocząca się na dole, czy siedzące w jej torbie jestestwo, które komentowało na bieżąco pojedynek.

Zainteresowała się starciem od nowa, gdy młody człowiek raz jeszcze zaatakował przeciwniczkę. Bez względu na to, jaki błąd popełnił za pierwszym razem, sprawiał wrażenie zdecydowanego go naprawić. Kołysał się i kluczył, a potem skakał naprzód, by pochwycić w garść grzywę średniaczki. Ta parsknęła i kłapała zębami, odpychając bezskutecznie jego kończynę obiema szczupłymi rękami manipulacyjnymi, by wyrwać się z uścisku. Spróbowała unieść przednią nogę i pociągnąć przeciwnika swą krótką i grubą łapą chwytającą, ale doprowadziła do tego tylko, że zachwiała się niebezpiecznie.

– wyzwanie draka! – krzyknął radośnie maleńki urs. – drak powiedziec Ur-choon. ty-ja mocować się. mocować się zamiast zabić!

Rety zaparło dech.

Aha. Teraz sobie przypominam.

Słyszała tę legendę, kiedy była mała. Opowiadał ją przy ognisku jeden ze starych dziadków. Umarła razem ze staruszką, gdyż Jass i młodzi myśliwi woleli przesadne relacje o własnych

wyczynach od historii o życiu za górami.

O ile Rety pamiętała, żył ongiś mężczyzna imieniem Drak – albo Drake – który był bohaterem potężniejszym i odważniejszym niż jakikolwiek człowiek przed nim czy po nim. Pewnego razu, gdy Ziemianie byli jeszcze nowi na Jijo, olbrzymia uryjska naczelniczka stoczyła z nim zapaśniczy pojedynek. Walczyli ze sobą trzy dni i trzy noce, okładając się i szarpiąc. Ziemia drżała, rzeki wysychały, a cała okolica leżąca między ognistą górą a morzem została przeorana. Na koniec zarówno wulkan, jak i ocean zniknęły w kłębach pary. Gdy chmury

wreszcie się rozstały, obszar od horyzontu aż po horyzont lśnił jasno i wszystkimi kolorami, jakie można uzyskać mieszając ludzką i uryjską krew.

Nagle, z mgły i dymu, wyłoniło się dwoje bohaterów – on bez ręki, a ona bez nogi – wspierających się na sobie i od tego dnia nierozłącznych.

Choć miało jeszcze dojść do dalszych wojen między plemionami, od tego dnia wszystkie toczono honorowo, na pamiątkę Draka i Ur-choon.

– uwaga! – zawołał ursik.

Chłopak udał, że pochyła się w lewo, po czym oparł mocno prawą stopę i dźwignął przeciwniczkę. Ursa parsknęła zatrwożona, lecz ponieważ była cięższa, nie mogła uniknąć przetoczenia się przez jego biodro, przekoziółkowania w powietrzu i wylądowania w pobliskim strumieniu. Rozległo się przenikliwe westchnienie, gdy brnęła, ślizgając się, przez błoto. Wreszcie tuż obok niej wynurzył się niebieski qheuen, który pośpieszył jej z pomocą, popychając ją jedną skurczoną stopą. Średnia-czka runęła na piasek z krzykiem wdzięczności, wzbijając w górę obłoki pyłu.

– hi! idź się wytarzać w gorącym popiele, głupia mulico! piasek za wolny! włosy zgnić!

Rety popatrzyła z góry na ursika. Nie był dzieckiem, jak w pierwszej chwili sądziła. Przypominała sobie, że gdzieś słyszała, iż uryjskie noworodki przebywają przez kilka miesięcy w torbach matek, które wyrzucają je potem tuzinami w wysoką trawę, żeby radziły sobie same. Zresztą niedawno narodzeni przedstawiciele tego gatunku nie umieli mówić.

To na pewno samiec! Zauważyła, że jego gardło i pysk wyglądają inaczej niż u samicy. Brak było jaskrawych kolorów na szyi, a także zwisającej, rozszczepionej wargi, co tłumaczyło, dlaczego potrafił wymówić angielskie dźwięki niedostępne dla samic.

Tymczasem na arenie chłopiec przykucnął w oczekiwaniu na trzecią rundę, lecz młoda ursa opuściła głowę na znak poddania. Człowiek uniósł pokrytą czerwonymi pręgami rękę w geście zwycięstwa, po czym pomógł sprowadzić z areny utykającą rywalkę. Tymczasem rozgrzewkę rozpoczęła nowa para zawodników. Pomocnicy krępowali im kończyny.

Rety obserwowała tęsknym wzrokiem ludzkie dzieci żartujące z przyjaciółmi z innych szczepów. Zastanawiała się, w jaki sposób chłopcu udało się tylko lekko poparzyć węglami, lecz nie potrafiła zdobyć się na

to, by podejść i kogoś zapytać. Mogliby po prostu wyśmiać jej rozczochrane włosy, nieokrzesałą mowę i blizny.

Lepiej o nich zapomnieć – pomyślała z goryczą. Całe to suche gorąco i dym sprawiały, że twarz ją piekła. Tak czy inaczej, miała do załatwienia ważną sprawę. Musiała coś zabrać z namiotu, nim zapadnie zmrok. Coś, co wykorzysta jako zaliczkę na bilet do odległego miejsca, którego żaden z tych wyrosniętych, przystojnych dzieciaków nigdy nie zobaczy, mimo całej ich dumy, umiejętności i puszenia się. Miejsca, w którym nikt wywodzący się z jej przeszłości nie będzie jej niepokoił. To było znacznie istotniejsze niż przyglądanie się barbarzyńcom oddającym się gwałtownym zabawom przy użyciu ognia i wody.

– Posłuchaj, muszę już iść – powiedziała małemu uryjskiemu samcowi, podnosząc się na nogi i rozglądając wokół. – Ten stary paskudny noor chyba już sobie poszedł, więc ty też możesz zmykać.

Małeńkie stworzonko popatrzyło na nią; miało opuszczony ogon i pochylony pysk. Rety odkaslnęła.

– Hm, czy mogę cię gdzieś wysadzić? Czy twoja... hm... żona czasem się o ciebie nie martwi? Ciemne oczy załśniły smutno.

– Uf-rohojuż nie potrzebować yee. torbodom pełen śliskich nowo-bachorów. prawa torba wciąż pełna męża. yee musisz znaleźć nową toroę. albo zagrzebać się w trawie, żeby w niej żyć lub zginąć, ale w górach nie być słodkiej trawy! tylko skały!

Końcowe słowa zaśpiewał na żalobną nutę. Wydawało się, że małego, bezradnego faceta potraktowano okropnie. Na samą myśl o tym Rety poczuła wściekłość.

– ta torba ładna, ta – zanucił dziwną, niosącą się echem melodię, zaskakująco niską, jak na tak małe stworzenie. Rety czuła mrowienie skóry w miejscach, które były najbliżej niego.

– yee dobrze służyć nowej żonie, robić dobre rzeczy, jakie tylko żona zechce.

Rety wpatrzyła się w niego, oszołomiona jego propozycją. Potem wybuchnęła śmiechem. Oparłszy się o drzewo, rechotała, aż zaboląły ją boki. Przez zamglone oczy widziała, że yee również się śmieje, na swój sposób. Wreszcie otarła twarz i uśmiechnęła się.

– Już coś dla mnie zrobiłeś. Nie wiem, kiedy ostatnio tak się uśmieiałam. I wiesz co? Jeśli się nad tym zastanowić, naprawdę jest coś,

w czym mógłbyś mi pomóc. Coś, co uczyniłoby mnie jeszcze szczęśliwszą.

– yee zrobić wszystko! nowa żona karmić yee. yee uczynić ją szczęśliwą!

Rety potrząsnęła głową, raz jeszcze zdumiona niespodziankami, jakie życie szykowało nieostrożnym. Jeśli jej nowy pomysł przyniesie rezultaty, to spotkanie może się okazać diabelnie szczęśliwym trafem.

– Czy masz coś dla mnie?

Rann wyciągnął olbrzymią dłoń. W ciemnym półmroku, obok szeleszczących żółtych busów. Rety gapiła się na jego pokryte stwardniałą skórą palce, każdy szerokości jej nadgarstka. Jego wyraziste rysy i masywny tułów – znacznie potężniejszy niż u największego z chłopców, którzy brali dziś udział w wyzwaniu Drake'a – sprawiały, że czuła się smarkata i pozbawiona znaczenia.

Czy wśród gwiazd wszyscy mężczyźni są tacy jak on? – zastanowiła się. Czy kiedykolwiek mogłabym zaufać komuś o takich dłoniach na tyle, by poddać się jego męzowskiej władzy?

Zawsze uważała, że wolałaby umrzeć niż wyjść za męża.

Teraz jednak miała męża, który mruczał obok jej brzucha. Poczowała ciepły język yee na swej dłoni, kiedy pogłaskała go po jedwabistej szyi.

Rann najwyraźniej zauważył jej ironiczny uśmieszek. Czy wydawała się dzięki temu bardziej pewna siebie?

Sięgnęła pod yee, by wydobyć smukły przedmiot, miękki i puszysty z jednej strony, z drugiej ostry. Położyła pióro na otwartej dłoni Ranna. Zdziwiony mężczyzna wydobył jakiś instrument i oświetlił przedmiot z kilku stron, podczas gdy Rety wspominała wydarzenia, które doprowadziły ją do tej pełnej nadziei chwili.

Gdy szła na miejsce spotkania mijala innych członków Sześciu. Każdy z nich oczekiwał samotnie w pobliżu jakiegoś punktu orientacyjnego obok trasy cowieczomej przechadzki Ranna. Zgodnie z instrukcją nikt się nie odzywał ani nie spoglądał innym w oczy. Rety zauważyła jednak obserwatorów – g'Keka, dwóch hoonów i człowieka – którzy patrząc z oddali, prowadzili notatki.

Guzik ją obchodziło, co opowiedzą Lesterowi Cambelowi o jej "zdradzie". Gdy minie dzisiejsza

noc, mędracy nie będą już układać dla niej planów.

Przybywszy pod gaj żółtych busów, czekała nerwowo, głaszcząc yee i obgryzając paznokcie. Na kilka dur przed przybyciem Ranna cichy jęk oznajmił zjawienie się jednego z potężnych robotów. Był on ośmioboczny i onieśmielający. Fala straszliwych wspomnień przywołała do jej umysłu innego unoszącego się w powietrzu potwora, który ostrzeliwał z furją legowisko mierzwopajaka... i Dwera odciągającego ją mocnymi rękoma z trasy palącej wiązki, trzymającego ją mocno, by nie spadła i osłaniającego własnym ciałem.

Rety przygryzła wargę, tłumiąc wszelkie myśli i wspomnienia, które mogłyby osłabić jej determinację. Nie było czasu na słabość i rozrzewnianie się. Tego właśnie życzyliby sobie mędracy.

Tak jak robiła to niezliczoną ilość razy w domu – gdy przeciwstawiała się Jassowi mimo okrutnych kar – przestała kulić się ze strachu przed mrocznym robotem, stanęła prosto i zmusiła się do wysunięcia brody.

Nie możesz zrobić mi krzywdy – pomyślała wyzywająco. Nie odważyłbyś się!

Z głębi jej jaźni wynurzyła się jednak niepożądana myśl.

Jeden z nich zabił ptaka.

Ptaka walczył i zginął.

Przyptyw poczucia winy sprawił, że mało brakowało, a odwróciła by się i uciekła. Robot jednak skręcił nagle w bok i zniknął w ciemności. Jego miejsce zajął Rann, który wyciągnął masywną dłoń.

– Czy masz coś dla mnie? – zapytał. Uśmiechał się aż do chwili, gdy Rety wręczyła mu pióro.

Teraz przyglądała się, jak jego podniecenie narasta. Nakierował instrumenty na podarunek, który ongiś był najcenniejszym z posiadanych przez nią przedmiotów. Zaciśnęła wargi i spuściła wzrok, by dodać sobie odwagi.

Tak jest, mam coś dla ciebie, mój panie z gwiazd. Założę się, że bardzo byś chciał to zdobyć.

Rzecz w tym, że lepiej, byś ty też miał coś dla mnie!

XV

KSIĘGA MORZA

Ścieżka wymaga czasu, musicie więc go kupić za każdą cenę.

Gdy stróże prawa będą was szukać – ukryjcie się. Gdy was znajdą – bądźcie dyskretni. Gdy będą was sądzić – nie lękajcie się.

To, co próbowaliście zrobić, słusznie jest zabronione. Gdy jednak dokona się tego należycie, jest w tym piękno.

Większość zgadza się z tą opinią.

Zwój Odkupienia

Opowieść Alyina

Mam w tej chwili ze sobą słownik anglicy, a także drugi, frazeologiczny, spróbuję więc pewnego eksperymentu. By wyrazić choć w części dramatyzm tego, co wydarzyło się później, poddam swe narracyjne umiejętności próbie pisania w czasie teraźniejszym. Wiem, że w opowieściach ze Starej Ziemi, które czytałem, nie używa się go zbyt często, ale sądzę, że gdy robi się to we właściwy sposób, nadaje się relacji polerowane wrażenie bezpośredniości. Zaczynam.

Wychodzę z małym Zizem – traeckim częstokowcem, którego wy-wlenowanie wszyscy widzieliśmy przed tygodniem, w dniu, gdy Gybz zamienił się w Tyuga i całkowicie zapomniał o gwiazdolotach. Ziz pełźnie ze swej zagrody do żurawia, przy którym mamy po raz pierwszy wypróbować batyskaf. Ostatni tydzień spędził żartując bogatą mieszankę odżywczą i okropnie urósł. Mimo to nadal jest bardzo niskim stosem. Nikt nie oczekuje cudów siły czy inteligencji po niewyrośniętym traekim,

który ledwie sięga mi do dolnej pary kolan.

Ziz podąża zostawionym przez Tyuga zapachomonowym szlakiem prawie do krawędzi urwiska. Można stamtąd spojrzeć prosto w dół na Wielkie Śmietnisko, które tworzy tu ostry hak, zadając kontynentowi ranę tak głęboką i szeroką, że nasi przodkowie wybrali ją na naturalną granicę osadnictwa na Jijo.

Strzelisty ogrom Krańcowej Skały rzuca rankiem długi cień, lecz "Marzenie Wuphonu", nasza дума i radość, zwisa tuż za jego granicą, połyskując w blasku słońca. Zamiast popełznąć wzdłuż rampy do zamkniętego wjazdu kabinowego, Ziz wślizguje się do małej klatki zamontowanej pod wypukłym oknem, przed osiemnastoma ciężkimi kamieniami stanowiącymi balast. Gdy mija Tyuga, Ziz i pełnowymiarowy tracki wymieniają kłęby oparów. Innym członkom Sześciu brak wyposażenia do tego, by mogli próbować zrozumieć ten język.

Klatka zamyka się. Urdonnol daje gwizdem sygnał. Grupy hoonów i qheuenów zabierają się do roboty. Najpierw odsuwają batyskaf, kołysząc nim delikatnie, a potem opuszczają go ku morzu, rozwijając zarówno napiętą linę holowniczą, jak i podwójny przewód powietrzny. Bęben obraca się w powolnym, miarowym rytmie, śpiewając raz za razem:

– Rumba-dum-dumba-um-rumba-dum-dumba-um...

Dajemy się temu wciągnąć. Hoonów na całym płaskowyzu – nawet protestujących – pochłania przypominający tętno takt radosnego wysiłku. Rytm wspólnego działania, pot i wykonywana robota.

Huphu, jako jedyna obecna przedstawicielka gatunku noorów, uważa, że ma obowiązek biegać jak szalona, przysiadając wysoko na żurawiach, jakby były statkowymi masztami, wyginać grzbiet i przeciągać się, jak gdyby burkot śpiewano specjalnie dla niej. Jakby był dłonią głaszczącą jej grzbiet i nastroszoną szczecinę na głowie. Jej oczy lśnią, gdy obserwuje, jak nasz batyskaf opuszcza się coraz niżej, a Ziza już prawie nie widać poza jedną mackę zwisającą z drucianej klatki.

Przychodzi mi do głowy, że może Huphu myśli, iż mały traeki służy jako przynęta na końcu naprawdę długiej linki! Może ciekawi ją, co mamy zamiar złapać.

To z kolei przypomina mi szalone opowieści Koniuszka o "potworach", które widział w głębinie. Ani on, ani Huck nie wspomnieli o nich ani słowem od chwili naszego przybycia. Myślę sobie, że oboje mają jakieś powody. A może ja jestem jedynym, który o tym nie zapomniał w tym całym podnieceniu, jakie ostatnio przeżyliśmy?

"Marzenie Wuphonu" opuszcza się powoli z urwiska. Gnamy nad brzeg skarpy, by nie stracić batyskafu z oczu. Qheueni nie lubią wysokości. Reagują na nią w taki sposób, że przysiadają i drapią brzuchami o ziemię. Ja zachowuję się podobnie. Leżę twarzą w dół i próbuję zebrać się na odwagę, żeby prześliznąć się naprzód. Z drugiej strony Huck podtacza się do samej skalnej krawędzi i przechyla, wysuwając popychające nogi do tyłu, żeby zachować równowagę, a potem wyciąga dwie szpułki tak daleko, jak tylko się da.

Co za dziewczyna. I kto to mówił, że g'Kekowie są ostrożnymi istotami o wysokim K? Patrząc na nią, zdaję sobie sprawę, że nie mogę być gorszy, wystawiam więc głowę nad krawędzią i zmuszam się do rozchylenia powiek.

Gdy spoglądam na zachód, ocean jest rozległym dywanem ciągnącym się aż do dalekiego horyzontu. Tam, gdzie zaledwie kilka kabli morskiej wody pokrywa kontynentalny szelf, dominują jasne kolory. Pasma ciemnej, niebieskoszarej barwy informuje nas jednak o kanionie, który biegnie ku nam od potężnej planetarnej blizny zwanej Śmietniskiem. Ten niezwykle głęboki jar przebiega niemal na wprost pod naszym powietrznym gniazdem, a potem prowadzi dalej na wschód, przecinając ład niczym szczelina w zakładkowym poszyciu skazanego na zagładę statku. Przeciwnieległy

brzeg leży w odległości zaledwie około stu strzałów z łuku, lecz szeregi ostrych jak brzytwy turni oraz niemal bezdennych wąwozów biegnących równolegle do Rozpadliny czynią z niego trudną do przebycia barierę dla każdego, kto chciałby złamać prawo.

Niestety, nie jestem uczonym. Brak mi do tego zdolności umysłowych. Jednak nawet ja potrafię określić, że te wyszczerbione szczyty muszą być nowe, gdyż w przeciwnym razie wiatr, fale i deszcz zdążyłyby już je wygładzić. Podobnie jak Mount Guenn, jest to miejsce, w którym Jijo dokonuje aktywnej samoodnowy. (Odkąd rozbiliśmy tu obóz, wyczuliśmy dwa małe trzęsienia.) Nic dziwnego, że niektórzy uważają Krańcową Skałę za świętą.

Gdzie indziej efektowne, spienione fale uderzają z hukiem o brzeg, tutaj jednak morze uspokaja się w tajemniczy sposób. Jest gładkie jak szkło. Lekki odbój cofa się delikatnie spod urwiska. Idealne warunki do naszego eksperymentu – o ile możemy mieć pewność, że się utrzymają. Nikomu dotąd nie przyszło do głowy, by sondować Rozpadlinę, ponieważ odpadowce nigdy tu nie przyplývają.

"Marzenie Wuphonu" opuszcza się niżej niczym pajęczka mucha ciągnąca za sobą parę bliźniaczych włókien. Zaczynają się trudności z określeniem, jak wielki dystans dzieli je jeszcze od powierzchni. Szypułki Huck są rozstawione tak szeroko, jak to tylko możliwe, by zmaksymalizować postrzeganie głębi. Szepcze:

– Dobra, włączmy do wody... teraz! Wstrzymuję oddech, ale nic się nie dzieje. Z wielkich bębnow wciąż odwijają się lina i przewody. Batyskaf staje się coraz mniejszy.

– Teraz! – powtarza Huck.

Mija kolejna dura, a "Marzenie Wuphonu" pozostaje suche.

– W dół jest naprawdę daleko... eko... eko -jaka się Koniuszek.

– Nożesz to fowiedzieć jeszcze raz – dodaje Ur-romn, tupiąc nerwowo.

– Ale proszę cię, nie mów – warczy urażona Huck. W szóstym galaktycznym dodaje: – Rzeczywistość stapia się z oczekiwaniami, gdy...

Plusk przerywa głęboką myśl, którą miała zamiar się z nami podzielić nasza koleżanka. I dobrze jej tak. Pieśń wielkiego bębna staje się wolniejsza i niższa. Wpatruję się w wielką, mokrą, nieruchomą taflę, pod którą zniknęło "Marzenie".

– Rumba-dum-dumba-um-rumba-dum-dumba... Brzmi to jak największy hoon na świecie. Taki, który nigdy nie musi odpoczywać ani zaczerpnąć oddechu. Dzięki temu burkotowi wielki żuraw mógłby zdobyć tytuł honorowego kapitana południa, gdyby urządzono głosowanie w tym miejscu i czasie.

Huphu dociera już do samego końca konstrukcji. Wygina grzbiet z przyjemności. Tymczasem, ktoś odlicza:

– Jeden kabel czterdzieści...

– Jeden kabel sześćdziesiąt...

– Jeden kabel osiemdziesiąt...

– Dwa kable!

– Dwa kable dwadzieścia...

Ta recytacja przypomina mi opowiadania Marka Twaina o pilotach rzecznych na romantycznej Missisipi, a zwłaszcza scenę, gdy wielki, czarny człowiek płci męskiej na dziobie "Delta Princess" sonduje za pomocą liny z ciężarkiem, wykrywa mielizny w zdradzieckiej mgle i ratuje życie wszystkim na pokładzie.

Jestem hoonem oceanicznym. Moi krewni żeglują na statkach, a nie na śmiesznych łodziach. Niemniej były to jedne z najbardziej ulubionych opowiadań ojca. Również Huck, gdy była jeszcze małą sierotką raczkującą na popychających nogach, wybałuszała wszystkie cztery oczy z zachwytem,

kiedy tata recytował opowieści rozgrywające się na świecie dzikusów, który nie znał dławiącej mądrości galaktycznych zwyczajów. Panująca na nim ignorancja mogła nie być szlachetna, lecz miała jedną zaletę: dawała szansę zobaczenia, nauczenia się i dokonania rzeczy, których nikt dotąd nie widział, nie uczył się ani nie dokonał.

Ludzie mieli taką możliwość na Ziemi.

A teraz my mamy ją tutaj!

Nie zdążywszy zdać sobie sprawy z tego, co robię, siadam na wyposażonych w podwójne fałdy pośladkach, odchylam głowę do tyłu i wydaję z siebie burkot radości. Potężny, niosący się echem okrzyk, który rozchodzi się po całym płaskowyzu, uderza w mruczący sprzęt i płynie nad wyszczerbione kamienie Wielkiej Rozpadliny.

Z tego, co wiem, może się nad nimi unosić do dzisiaj.

Słoneczny blask dociera w spokojnych wodach na głębokość przynajmniej dwudziestu kabli. Wyobrażamy sobie, jak "Marzenie Wupho-nu" opuszcza się coraz niżej, najpierw przez obłok pęcherzyków, a potem przez nabrzmiąły ślad torowy ciszy, podczas gdy docierające z góry światło staje się coraz słabsze, aż wreszcie znika całkowicie.

– Sześć kabli sześćdziesiąt...

– Sześć kabli osiemdziesiąt...

– Siedem kabli!

Gdy będziemy schodzić w dół, w tym właśnie miejscu włączymy eikowe światła i za pomocą kwasowych akumulatorów wyślemy iskry wzdłuż liny holowniczej, by poinformować tych, którzy są na górze, że wszystko w porządku. Ziz jednak nie ma światła ani żadnego sposobu na przekazywanie sygnałów. Mały stos jest tam na dole zupełnie sam, chociaż myślę sobie, że żaden traeki nigdy nie czuje się całkowicie samotny. Ostatecznie pierścienie mogą bez końca spierać się między sobą.

– Osiem kabli!

Ktoś przynosi dzban wina dla mnie i trochę ciepłej krwi simii dla

Ur-ronn. Huck popija galukadę o ostrym zapachu przez długą, zakrzywioną słomkę, a Koniuszek spryskuje sobie grzbiet słoną wodą.

– Dziewięć kabli!

Ten eksperyment ma zakończyć się na dziesięciu, zaczynają więc delikatnie zwiększać nacisk na hamulec. Wkrótce zmieniają kierunek obrotu bębnow, by sprowadzić "Marzenie Wuphonu" z powrotem do świata powietrza i światła.

Wtem coś się dzieje: rozlega się nagły brzdęk przypominający szarpnięcie struny wiolusa, głośny niczym grom.

– Zwolnić hamulec! – krzyczy kierujący zanurzeniem. Operator skacze ku dźwigni... za późno. Żurawiem masztowym wstrząsa gwałtowna konwulsja przypominająca szarpnięcie wędką w chwili, gdy zrywa się z niej wielka ryba. Jest jednak potężna, niepowstrzymana.

Wszyscy wciągamy powietrze albo wurtujemy na widok Huphu, której maleńka, czarna postać trzyma się najbardziej wysuniętego drzewca miotającego się w przód i w tył żurawia.

Jedna łapa traci uchwyt, potem następna. Huphu skrzeczy głośno. Maleńka noorka spada wirując w dół. Mija o włos cyklon utworzony przez linę holowniczą na pokrytej pianą powierzchni morza. Patrzymy bezradni i zatrwożeni, jak nasza maskotka pogrąża się w otchłani, która pochłonęła już Ziza, "Marzenie Wuphonu" oraz wszystkie nadzieje i całą ciężką pracę dwóch długich lat.

Legendy

Ursy opowiadają nam o kryzysie dotyczącym rozmnażania.

Wśród gwiazd osiągały podobno bardziej zaawansowany wiek niż na Jijo. Ich życie znacznie przedłużały sztuczne środki. Ponadto, ursa nigdy nie przestaje pragnąć pełnej torby, zamieszkaney przez męża albo przez miot młodych. Istnieją sztuczne sposoby na duplikację owego wrażenia, ale dla wielu to po prostu nie jest to samo.

Galaktyczne społeczeństwo surowo traktuje tych, którzy nadmiernie się rozmnażają, tworząc w ten sposób zagrożenie dla miliardoletniej równowagi. Istnieje nieustanna obawa przed kolejnym "pożarem" – wybuchem populacji przypominającym ten, który spustoszył prawie połowę światów w Trzeciej Galaktyce jakieś sto milionów lat temu.

Zwłaszcza te gatunki, których rozród jest powolny, jak hoonowie, zdają się odczuwać głęboko zakorzeniony lęk przed szybko rozmnażającymi się istotami o "niskim K", takimi jak ursy.

Legenda mówi o konflikcie dotyczącym tej sprawy. Czytając między wierszami kwiecistych aryjskich przekazów ustnych, można dojść do wniosku, że bajarki opowiadają o procesie, w którym wyrok zapadł na wysokich szczeblach galaktycznego społeczeństwa.

Ursy przegrały sprawę, a także zawziętą, mającą na celu narzucenie przestrzegania wyroku wojnę, która nastąpiła później.

Niektóre z pokonanych nie chciały ulec nawet wtedy. Skierowały swój statek ku zakazanym przestrzeniom w poszukiwaniu dzikiej prerii, którą mogłyby zwać domem.

Miejsca, w którym usłyszałyby stukot niezliczonych, maleńkich uryjskich kopytek.

Asx

Z dalekiego Tarek dotarła do nas dziwna wiadomość, nadesłana przez Arianę Foo, emerytowaną najwyższą mędrzynię ludzkiego szczepu.

Wyczerpana uryjska biegaczka padła na kolana. Galop pod górę z Równiny Warrilskiej zmęczył ją do tego stopnia, że naprawdę pragnęła napić się wody, surowej i nierozcieńczonej.

Skoncentrujcie się teraz, moje pierścienie. Skupcie swą wiecznie niepewną uwagę na opowieści Ariany Foo, tak jak odczytał ją na głos Lester Cambel, jej następca. Czyż wiadomość, że pewnego dnia w okolicach Górnej Roney pojawił się tajemniczy, ranny cudzoziemiec, nie sprawiła, że mój-nasz rdzeń wypełniły opary zachwyty? Nieznajomy mogący być zaginionym towarzyszem gwiazdnych bogów, którzy zakłócili nasze wspólne wygnanie! Albo też, spekuluje Ańana Foo, mogący być zbiegiem, który uciekł od owych awanturników z dalekich światów? Czy jego rany stanowią dowód obustronnej nie-przyjaźni?

Ariana sugeruje nam, członkom rady, byśmy zbadali dyskretnie tę sprawę, być może przy pomocy wykrywaczy prawdy, podczas gdy ona dokona następnych eksperymentów w Biblos.

Rzeczywiście, wydaje się, że piraci interesują się również innymi kwestiami poza poszukiwaniem przedrozumnych gatunków, które mogliby porwać ze spokojnej, pozostawionej odłogiem Jijo. Udają nonszalancję, lecz nieustannie przepytują naszych obywateli, oferując nagrody i pochlebstwa w zamian za relacje o "dziwnych rzeczach".

Jakże ironicznie brzmią te słowa w ich ustach.

Jest jeszcze ptak.

Z pewnością przypominacie sobie metalowego ptaka, moje pierścienie? W normalnej sytuacji uznalibyśmy go za kolejny buyurski zabytek wydobyty z wnętrzości martwego czy umierającego mierzwopajaka. Młoda przedterminowa osadniczka przysięga jednak, że widziała, jak się poruszał! Jak pokonał wielką odległość, a potem walczył z rotheńską maszyną i zabił ją!

Czy nie tego samego wieczoru piraci zakopali swą stację, całkiem jakby teraz oni zaczęli się bać

straszliwego nieba?

Nasi najlepsi technicy badają ptakopodobną maszynę, lecz mają niewiele narzędzi i nie dowiadują się za dużo, pomijając fakt, że w metalowej piersi wciąż pulsuje energia. Być może kontyngent wysłany przez Lestera na wschód, by zgodnie z naszym prawem sprowadzić z powrotem bandę ludzkich przedterminowych osadników, odkryje coś więcej.

Tak wiele pytań. Czy jednak nasza okropna sytuacja zmieniłaby się choć trochę, gdybyśmy znali odpowiedzi?

Gdyby był na to czas, „ja” nakazałbym różnym moim-naszym pierścieniom zająć odmienne stanowiska i rozpocząć debatę na temat tych tajemnic. Każde pytanie wydzielałoby odrębne zapachy, które spowiłyby nasz wilgotny rdzeń, ociekając sylogizmami niczym woskiem, aż wreszcie prawda zaślśniłaby pod warstewką forniru. Nie ma jednak czasu na skorzystanie z traeckiej metody rozwiązywania problemów. Dlatego my, mędrcy, debatujemy w suchym powietrzu, nie mając nawet rewqów, które złagodziłyby niedoskonałości języka. Każdy dzień spędzamy na kupowaniu bezużytecznej zwłoki w wypełnieniu się naszego przeznaczenia.

Co zaś do drugiej sugestii Ariany, korzystaliśmy już z pomocy wykrywaczy prawdy podczas rozmów z ludźmi z nieba. Według uczonych ksiąg ta pasywna postać psioniki powinna być trudniejsza do wykrycia niż inne metody.

– Czy szukacie kogoś konkretnego? – To pytanie zadaliśmy im wczoraj. – Czy istnieje osoba, istota albo grupa, którą powinniśmy odnaleźć w waszym imieniu?

Ich przywódca – ten, który reaguje na imienne określenie Rann – zdradził napięcie, lecz szybko odzyskał równowagę i pewność siebie, uśmiechając się na sposób swego gatunku.

– Naszym pragnieniem jest zawsze poszukiwanie osobliwości. Czy zaobserwowaliście coś osobliwego?

Jedna z naszych wykrywaczek twierdziła, że w owym momencie ujawnionego napięcia coś odebrała. Krótki rozblýsk koloru. Odcienia ciemnej szarości przywodzącego na myśl skorupę wysoko urodzonego qheuena. Tyle że ta powierzchnia wydawała się bardziej miękka. Jej giętka gibkość falowała sprężysto, nie ozdobiona włosami, łuskami, piórami czy torgami.

Obraz zniknął szybko. Wykrywaczka twierdziła jednak, że wyczuła skojarzenie z wodą.

Cóż jeszcze opisała, moje pierścienie, podczas tej krótkiej, niesamowitej chwili?

Aha. Wir pęcherzyków powietrza.

Rozproszonych w formacjach, licznych niczym gwiazdy.

Pęcherzyków przeradzających się w kule wielkości księżyców Jijo. Połyskujących. Starożytnych. Odwiecznych.

Pęcherzyków wypełnionych wydestylowanym zdumieniem... zapieczętowanych przez czas.

A potem już nic.

No cóż, niestety, lecz czego więcej można by pragnąć? Czyż nie jesteśmy w tej grze jedynie amatorami? Phwhoon-dau i Lśniaca Jak Nóż Wnikliwość zwracają uwagę, że nawet ta wątła "wskazówka" mogła być sprytnie umieszczona w umyśle wykrywaczki celem odwrócenia naszej uwagi za pomocą paradoksu.

Niemniej w chwilach jak ta, gdy nasze rewqi i Święte Jajo najwyraźniej nas opuściły, tylko takie cienkie słomki oferują tonącym cień nadziei.

W swym przekazie Ariana obiecuje przysłać pomoc innego rodzaju. Specjalistę, którego umiejętności mogą dać nam haka na naszych wrogów, co może wystarczyć, by skłonić najeźdźców do układow.

Och, ArianoJak bardzo nam-mnie brakowało twego chytrego optymizmu! Gdyby z nieba spadł

ogień, dostrzegłabyś w tym szansę, by wypalać garnki. Gdyby cały Stok zadrżał, a potem runął w straszliwą głębinę Śmietniska, uznałabyś to wydarzenie za powód, by krzyknąć:

"Sposobność!"

Sara

Mimo usilnych rozkazów, by za dnia się ukrywać, parowiec "suseł" pobił swój dawny rekord, gnając w górę rzeki z Tarek pod prąd wezbranych wiosennych wód Bibur. Kotły jęczały, gdy tłoki uderzały w osłony z potężną mocą nie mającą sobie równej na Jijo, pomijając bliźniaczy statek "susła" o nazwie "kret". Do tych wspaniałych osiągnięć ludzkiej techniki nie potrafiły się zbliżyć nawet zręczne uryjskie kowalice pracujące wysoko na wulkanach.

Sara przypomniała sobie swój pierwszy rejs. Miała wtedy piętnaście

lat. Świeżo przyjęto ją na zaawansowane studia w Biblos. Czuła nieprze- | partą dumę ze swych nowych umiejętności, zwłaszcza zdolności odczy- | tywania każdego brzęku i sapnięcia warczącego silnika parowego | w kategoriach temperatury, ciśnienia i siły. Wydawało się, że równania oswoiły syczącą bestię, zmieniając jej zatrwazający ryk w swego rodzaju muzykę.

Teraz popsuto jej całą przyjemność. Nitowane zbiorniki i poruszają- | ce się rytmicznie wahacze zdemaskowano jako prymitywne zabawki, niewiele tylko przewyższające kamienny topór.

Nawet jeśli gwiazdni bogowie odlecą, nie popełniwszy żadnej z okropnych rzeczy, które przewiduje Ariana Foo, już teraz wyrządzili nam szkodę, okradając nas z naszych złudzeń.

Tylko jedna osoba sprawiała wrażenie, że się tym wszystkim nie przejmuje. Nieznajomy przesiadywał w pobliżu sapiącej, pracującej ze wszystkich sił maszynierii, zapuszczał spojrzenie pod wahacze oraz domagał się gestami, by główny mechanik otworzył skrzynkę przekładniową i pozwolił mu zajrzeć do środka. Z początku ludzkich członków załogi niepokoiły te błazeństwa, wkrótce jednak, mimo jego niemej bezradności wobec słów, wyczuli w nim pokrewną duszę.

Sara doszła do wniosku, że ruchami rąk można wyrazić bardzo wiele. Kolejny przykład adaptacji języka do potrzeb chwili. Podobnie każda kolejna falajijańskich kolonistów pomagała w przekształceniu znanych im formalnych języków galaktycznych. Zjawisko to osiągnęło kulminację, gdy ludzie wprowadzili pół miliona tekstów wydrukowanych, głównie w anglicu, języku sprawiającym wrażenie chaotycznego, pełnego slangu, żargonu, kalamburów i dwuznaczności.

Było to odbicie w krzywym zwierciadle tego, co wydarzyło się na Ziemi, gdzie miliardoletnie gramatyki popychały ludzką kulturę w kierunku ładu. W obu przypadkach siłę napędową stanowił niemal całkowity monopol na wiedzę.

To była łatwo dostrzegalna ironia, Sara jednak знаła też inną: swą niezwykle teorię na temat języka i Sześciu, tak heretycką, że poglądy Larka wydawały się w porównaniu z nią wręcz ortodoksyjne.

Może już najwyższa pora, bym wróciła do Biblos złożyć sprawozdanie ze swej pracy i stawić czoło wszystkiemu, czego się boję.

Nieznajomy sprawiał wrażenie szczęśliwego. Zachwycili go jego koledzy inżynierowie. Ariana Foo obserwowała go uważnie z fotela na

kółkach. Sara opuściła hałaśliwe sąsiedztwo silnika i przeszła na dziób, którym gnający na złamanie karku "suseł" przecinał gęstą mgłę. Widoczne w niej postrzępione prześwity ukazywały brzask wstający nad szczytami Gór Obrzeźnych, na południowym wschodzie, gdzie miał się rozstrzygnąć los Sześciu.

Czyż Lark i Dwer nie zdziwią się na mój widok?

Och, zapewne będą wrzeszczeć, że powinnam siedzieć bezpiecznie w domu. Odpowiem im, że mam do wykonania zadanie równie ważne jak oni i że nie powinni być takimi płciowymi

segregacjonistami. I wszyscy będziemy się starali nie okazywać, jak bardzo się cieszymy z tego spotkania.

Mędrzyni Foo chciała jednak najpierw odbyć ten wypad, by sprawdzić pewien pomysł dotyczący nieznanego, nie zważając na instynkty Sary nakazujące jej chronić rannego przed dalszymi wpływami.

Te instynkty sprawiły mi już wystarczająco wiele kłopotów. Czy nie czas utemperować je za pomocą rozumu?

Pewien starożytny tekst nazywał to "manią opiekuńczą". Mogło to się wydawać miłe, kiedy była dzieckiem i opiekowała się rannymi zwierzętami z lasu. Być może nie przysporzyłoby jej problemów, gdyby wiodła normalne dla jijańskich kobiet życie, z dziećmi i zmęczonym mężem farmerem, z rodziną, która czepiałaby się jej, domagając się uwagi. Po cóż byłyby jej wtedy sublimacja macierzyńskich instynktów? Skąd miałyby brać czas na inne zajęcia, nie mając wszystkich ułatwiających życie narzędzi, które tak irytująco opisywano w terrańskich książkach? Choć nie wyróżniała się urodą, nie miała wątpliwości, że poradziłaby sobie z taką skromną egzystencją i uszczęśliwiła jakiegoś prostego, uczciwego mężczyznę.

Gdybym pragnęła nieskomplikowanego życia.

Spróbowała zbyć falę introspekcji wzruszeniem ramion. Powód jej obaw był oczywisty.

Biblos. Centrum ludzkich nadziei i lęków, ośrodek władzy, dumy i wstydu, miejsce, gdzie ongiś znalazła miłość – albo jej iluzję – a potem ją utraciła. Gdzie perspektywa "drugiej szansy" skłoniła ją do panicznej ucieczki. Nigdzie indziej nie zdarzyło jej się odczuwać podobnych wahań między uniesieniem a klaustrofobią, między nadzieją a strachem.

Czy będzie jeszcze stało, kiedy miniemy ostatni zakręt?

Jeśli dach z kamienia już runął...

Jej umysł uciekł przed tą niemożliwą do zniesienia myślą. Wyciągnęła z przewieszanej przez ramię torby brudnopis swej drugiej pracy na temat języka jijańskiego. Był już najwyższy czas zastanowić się nad tym, co powiedzieć mędrcom Bonnerowi i pozostałym, jeśli dojdzie do konfrontacji.

Co chciałam osiągnąć? Udowodnić na papierze, że chaos może być formą postępu. Że szum może stanowić źródło informacji.

Równie dobrze mogłabym ich przekonywać, że czarne jest białe, a góra to dół!

Materiał dowodowy sugeruje, że dawno temu, gdy terrańskie plemiona wiodły koczowniczy bądź przedrolniczy tryb życia, większość grup językowych miała strukturę sztywniejszą niż później. Na przykład ziemscy uczeni próbowali odtworzyć język praindoeuro-pejski, cofając się od łaciny, sanskrytu, greki i niemieckiego. Otrzymali w ten sposób ściśle zorganizowany język macierzysty o wielu przypadkach i deklinacjach. Opartą na regułach strukturę, która mogłaby być dumą każdej galaktycznej gramatyki.

Na marginesie Sara zanotowała fakt, o którym niedawno wyczytała:

że język jednego z plemion rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej, Czirokezów, posiadał aż siedemdziesiąt zaimków – sposobów, by powiedzieć „ja”, „ty” czy „my” – używanych w zależności od kontekstu i wzajemnego pokrewieństwa. Cechę tę dzielił z szóstym galaktycznym.

Niektórzy uważają to za dowód, że ludzkość musiała ongiś mieć opiekunów, którzy wspomogli ziemskie małpoludy. Nauczycieli, którzy zmienili nasze ciała i mózgi, a także nauczyli nas surowej logiki za pomocą języków specjalnie przystosowanych do naszych potrzeb.

A potem utraciliśmy tych przewodników. Z własnej winy? Opuścili nas? Nikt tego nie wie.

Następnie, zgodnie z teorią, wszystkie ziemskie języki wyrodziły się, cofając się po spirali ku

małpim chrząknięciom, jakich używali praludzie, nim poddano ich wspomaganie. W chwili, gdy nasi przodkowie wyruszyli z Ziemi na Jijo, galaktyczni doradcy zalecali porzu-

cenie anglicu i innych języków "dzikusów" na rzecz kodów stworzonych dla istot myślących.

Ilustracją ich argumentów może być zabawa w głuchy telefon. Weźmy tuzin graczy i usadźmy ich w kręgu. Wyszepczmy skomplikowane zdanie do ucha jednego z nich, który drugiemu powtórzy je w ten sam sposób, a ten następnemu i tak dalej. Pytanie: Jak szybko oryginalny przekaz zaginie wskutek nieporozumień i przejęzyczeń? Odpowiedź: W anglicu szum może się wdać już od samego początku. Po kilku powtórzeniach zdanie może ulec śmiesznemu wypaczeniu. Ten eksperyment daje inne wyniki w rossicu i nihanicu, ludzkich gramatykach, które nadal wymagają końcówek czasowników, rzeczowników i przymiotników zależnych od rodzaju gramatycznego, posiadania czy innych czynników. Jeśli podczas zabawy w głuchy telefon w rossicu do przekazu wkradnie się błąd, zmienione słowo często jaskrawo rzuca się w oczy. Bystry słuchacze nierzadko są w stanie poprawić je automatycznie. W czystych językach galaktycznych można by grać w głuchy telefon przez cały dzień bez jednego błędu. Nic dziwnego, że w Pięciu Galaktykach nie znano tej zabawy przed przybyciem ludzi.

Sara szybko rozpoznała wersję kodu Shannona, nazwanego tak na cześć ziemskiego pioniera informatyki, który zademonstrował, w jaki sposób specjalnie zakodowane informacje można odzyskać nawet z całkowitego chaosu zakłóceń. W przedkontaktowym społeczeństwie ludzkim miało to podstawowe znaczenie dla cyfrowego zapisu mowy oraz transmisji danych.

Indoeuropejski był logiczny i odporny na błędy, podobnie jak galaktyczne języki, które nadają się dla komputerów znacznie lepiej niż chaotyczny anglic.

Wielu uważało to za dowód, że Ziemianie musieli w spowitej mgłą przeszłości mieć opiekunów. Gdy jednak Sara obserwowała, jak nieznamy porozumiewa się radośnie z innymi inżynierami w improwizowanym języku złożonym z chrząknięć i gestów, o czymś sobie przypomniała.

To nie ludzie mówiący po indoeuropejsku wynaleźli komputery. Ani też użytkownicy któregoś z pedantycznych języków Galaktów. Gwiazdni bogowie otrzymali swe wielkie moce w spadku.

W całej współczesnej historii Pięciu Galaktyk tylko jeden gatunek samodzielnie wynalazł komputery, a także niemal wszystko inne, co jest potrzebne do życia gwiazdnych wędrowców.

Te istoty używały rossicu, nihanicu, francuskiego, a zwłaszcza poprzednika anglicu, dzikiego, niedyscyplinowanego angielskiego.

Czy udało im się to osiągnąć mimo chaotycznego języka?

Czy dzięki niemu?

Mistrzowie jej cechu uważali, że uganiania się za złudą, oddaje się tej rozrywce, by wymigać się od innych obowiązków.

Sara jednak miała przecucie. W przeszłości i teraźniejszości krył się klucz do przeznaczenia oczekującego Sześciu.

O ile ich los już nie został przesądzony.

Świt szybko spływał w dół z Gór Obrzeźnych. Fakt, że "suseł" płynął dalej, stanowił jaskrawe pogwałcenie rozkazów, lecz nikt nie odważył się wspomnieć o tym kapitanowi, w którego oczach czaiło się szaleństwo.

To pewnie dlatego, że spędza zbyt wiele czasu z ludźmi – pomyślała Sara. Załogi parowców liczyły tyle samo mężczyzn i kobiet – którzy obsługiwali maszyny – co hoońskich marynarzy. Grawph-phu, pilot i kapitan, znał rzekę z instynktowną pewnością wywodzącą się z jego dziedzictwa. Przyswoił również sporo ludzkich manierizmów. Na przykład, nosił na porośniętej futrem głowie zrobioną na drutach czapeczkę oraz pykał z fajki, która dymiła niczym komin parowca. Gdy

wpatrywał się w poranną mgłę, jego twarz o wyrazistych rysach sprawiała wrażenie pochodzącej z ilustracji na wyklejce jakiejś wybranej z półek Biblioteki Biblos opowieści o morskich przygodach. Przypominał starego pirata promieniującego pewnością siebie i dobrze wiedzącego, co to niebezpieczeństwo.

Grawph-phu odwróciwszy głowę zauważył, że Sara patrzy na niego i mrugnął do niej chytrze.

– Oszczędź mi tego – westchnęła, na wpeł spodziewając się, że hoon splunie za burtę i zawoła:

– Hej, majtki! Piękny dzionek na żeglugę. Cała naprzód! Zamiast tego kapitan "susła" wyciągnął z ust fajkę i wskazał palcem przed siebie.

– Biblos – oznajmił niskim, hoońskim warknięciem zabarwionym pikantnym, nosowym akcentem. – Tuż za drugim zakrętem przed nami. Hr-rm... o dzień szybciej, niż się spodziewaliście.

Sara raz jeszcze popatrzyła przed siebie.

Powinam się cieszyć – pomyślała. Czasu jest mało.

Z początku dostrzegła niewiele poza nieprzebytym Wiecznym Bagnem ciągnącym się na lewym brzegu aż do Roney, olbrzymim obszarem pokrytym ruchomymi piaskami, który zmuszał podróżujących z Tarek do znacznego nadłożenia drogi. Po prawej stronie zaczynała się rozległa Równina Warrilska. Kilku pasażerów wysiadło wcześniej, by ruszyć przez nią drogą lądową. Wśród tych, którzy wybrali krótszą podróż karawaną, byli Bloor Portrecista oraz niewielkiego wzrostu wysadza-czka, która miała dostarczyć depesze członkom swego cechu. Oboje byli wystarczająco szczupli, by jechać na osłach i jeśli będzie im sprzyjało szczęście, mieli szansę dotrzeć na Polanę w ciągu trzech dni. Prity i Pzora również zeszli na ląd w Przystani Kandu, by wynająć wozy na wypadek, gdyby trzeba było zabrać nieznanego przed oblicze najwyższych mędrców. Decyzja w tej sprawie miała zapaść podczas podróży do Biblos.

Kiedy mgła się rozproszyła, po prawej stronie ukazała się skalna ściana wznosząca się od samej tafli wody. Z każdą durą stawała się coraz wyższa. Migoczące urwisko gładkością niemal dorównywało szkłu. Sprawiało wrażenie niepodatnego na erozję czy czas. Toczono zawzięte spory o to, czy jest to naturalna formacja czy też buyurski zabytek.

Ulgor twierdziła, że mieszkańcy Dolo mogą w tych zwierciadlanych ścianach dostrzec odbicie ognia trawiącego książki. Przed dwoma stuleciami osadnicy rzeczywiście byli świadkami podobnego wydarzenia. Widok był straszliwy, nawet z daleka. Do dzisiejszego dnia nic nie było równie groźne, nawet masakra pod Tolonem czy bitwa u Krwawego Brodu, gdzie Uk-rann wciągnęła w zasadzkę Drake'a Starszego.

Ale nie zobaczyli płomieni.

Niemniej napięcie utrzymywało się aż do chwili, gdy parowiec minął ostatni zakręt...

Sara wydała z siebie niespokojne westchnienie.

Archiwum... nadal stoi...

Wytrzeszczała oczy przez pewien czas, napięta i rozemocjonowana, po czym przeszła pośpiesznie na rufę, by zawołać nieznanego i Arianę Foo. Oboje z pewnością chcieliby to zobaczyć.

Był to zamek, twardy jak diament, nieugięty, wyrzeźbiony narzędziami, które już nie istniały. Boskimi przyrzadami, które oddano głębinie wkrótce po tym, jak stworzyły tę twierdzę. Cytadelę wiedzy.

Pierwotna granitowa wychodnia wciąż wbijała się niczym palec w biegnącą po łuku rzekę, oparta grzbietem o gładkie i lśniące urwisko. Z góry zapewne wyglądała mniej więcej tak samo jak zawsze. Gęste zagajniki maskowały atria, a przefiltrowany przez wejścia do nich blask słońca padał na dziedzińce i gaje czytelnicze znajdujące się niżej. Gdy jednak "suseł" przycumował, z jego pokładu

można było dostrzec imponujące obronne blanki, a za nimi szereg za szeregiem masywne, rzeźbione kolumny, które podtrzymywały naturalny płaskowyż, podkopany, czyniąc z niego dach osłaniający przed niebem.

Wewnątrz tej sztucznie utworzonej jaskini drewniane budynki chroniły swą ceną zawartość przed deszczem, wiatrem i śniegiem. Wszystkim oprócz piekła, które ongiś wstrząsnęło południowym krańcem, pozostawiając gruz i ruiny. Jednej nocy trzecia część mądrości pozostawionej przez Wielkie Drukowanie zniknęła wśród dymu i rozpacz.

Działy, które byłyby teraz najbardziej użyteczne. Poświęcone galaktycznemu społeczeństwu, jego licznym gatunkom i klanom.

To, co pozostało, dawało jedynie pobieżne wyobrażenie na temat skomplikowanych biosocjopolitycznych powiązań przepływających przez Pięć Galaktyk.

Mimo kryzysu o świcie popłynął strumień pielgrzymów z zajazdów w pobliskiej ukrytej pod drzewami wiosce, uczonych, którzy wraz z pasażerami "susła" rozpoczęli wspinaczkę po zygzakowatej rampie wiodącej do bramy głównej. Traeki i g'Kekowie odpoczywali po drodze na podestach. Czerwoni qheueni z odległego morza zatrzymywali się od czasu do czasu, by spryskać swe kopuły słoną wodą. Ulgor i Brzeszczot omijali ich szerokim łukiem.

Procesję gości minęła schodząca w dół karawana osłów. Zapieczętowanie woskiem skrzyń świadczyło o cennej zawartości.

Kontynuują ewakuację – zdała sobie sprawę Sara. Wykorzystują fakt, że mędrcy grają na zwłokę.

Czy wewnątrz, jak okiem sięgnąć, znajdzie pusty półki?

Nieemożliwe! Nawet gdyby w jakiś sposób zdołali przenieść tak wiele tomów, gdzie by je wszystkie schowali?

Nieznajomy uparł się, że będzie pchał fotel na kółkach Ariany. Być może była to oznaka szacunku albo też chciał zademonstrować, jak dobrze się już czuje. Jego śniada skóra faktycznie nabrała zdrowego połysku, a głęboki śmiech był pełen wigoru. Mężczyzna gapił się z zachwytem na potężne skalne ściany, a potem na zwodzony most, opuszczaną kratę i strażników z milicji. Zamiast symbolicznego oddziały, który pamiętała Sara, balkony patrolował teraz cały pluton uzbrojony we włócznie, łuki i arbalety.

Ariana sprawiała wrażenie zadowolonej z reakcji nieznajomego. Obrzuciła Sarę spojrzeniem wyrażającym satysfakcję.

Nigdy dotąd tu nie był. Nawet tak ciężkie obrażenia nie mogłyby wymazać wspomnienia równie wyrazistego, jak Biblos. Albo jest kmiotkiem z najdalszych, najbardziej prowincjonalnych ludzkich osad, albo też...

Minęli ostatnie blanki. Nieznajomy popatrzył ze zdumieniem na samo archiwum. Drewniane budowle wzorowane na kamiennych zabytkach otoczonej czią przeszłości Ziemi: Partenon, Zamek Edo, a nawet miniaturowy Tadź Mahal, którego minarety przechodziły w cztery ciężkie kolumny podtrzymujące część dachu z kamienia. Budowniczości najwyraźniej gustowali w dramatycznej ironii, gdyż wszystkie starożytne oryginały zbudowano z myślą o trwałości i miały one przeciwstawić się upływowi czasu, natomiast przeznaczenie tych budynków było odmienne. Miały spełnić swe zadanie, a potem zniknąć, jak gdyby nigdy nie istniały.

Dla niektórych jednak nawet tego było za wiele.

– Arogancja! – mruknął Jop, nadrzewny farmer, który postanowił wyruszyć z ekspedycją, gdy tylko się o niej dowiedział. – Wszystko to musi zniknąć, jeśli mamy kiedykolwiek zostać pobłogosławieni.

– Z czasem musi.

Ariana Foo skinęła głową, nie wyjaśniając, czy "z czasem" znaczy za tydzień czy za tysiąc lat.

Sara dostrzegła świeżą glinę zakrywającą dziury u podstawy kilku wielkich kolumn.

Całkiem jak w domu – wywnioskowała. Wyszczepki pilnują, by wszystko było gotowe.

Nie mogła się nie odwrócić i nie spojrzeć za plecy Jopa. Z tyłu posuwała się ostatnia dwójka pasażerów "susła", młody Jomah, syn Henrika, oraz jego stryj Kurt. Starszy wyszczepacz schylał się, by wska-

zywać chłopcu elementy struktury budynków, wykonując przy tym gesty, które kazały Sarze myśleć o spadających w dół odłamkach starożytnego granitu. Zastanowiła się, czy nieznajomy, który rozglądał się wokół siebie z wyraźnym zachwytem, miał jakiegokolwiek pojęcie, jak mało by trzeba, żeby obrócić to wszystko w gruzy niemożliwe do odróżnienia od setek innych obiektów zniszczonych przez Buyurów przed opuszczeniem przez nich mającej powrócić do stanu natury planety.

Znowu poczuła znajomy ucisk między łopatkami. Gdy rozpoczęła naukę w Biblos, nie było jej łatwo. Nawet jeśli zabierała książki do rosnącego na górze lasu, by czytać w cieniu gani, przywodzącego jej na myśl dom, nigdy nie potrafiła uwolnić się od wrażenia, że cały płaskowyż może zadrzeć i zawalić się pod nią. Przez pewien czas te nerwowe fantazje stanowiły zagrożenie dla jej studiów – dopóki nie zjawił się Joshu.

Skrzywiła się. Wiedziała, że gdy tu wróci, znowu zacznie się to samo. Wspomnienia.

– Nic nie trwa wiecznie – dodał Jop, gdy zbliżali się do ateńskiego portyku Centralnego Pałacu, nieświadomy tego, jak boleśnie jego słowa współbrzmiały z myślami Sary.

– Ifni nalega, by tak było – zgodziła się Ariana. – Nic nie może się oprzeć bogini zmiany.

Jeśli uwaga starszej mędrzyni miała być ironiczna, Sara nie zrozumiała jej znaczenia. Była zbyt pogrążona we wspomnieniach, aby cokolwiek ją obchodziło. Nie zwróciła też uwagi na olbrzymie dwuskrzydłowe wrota wyrzeźbione z najlepszego gatunku drewna – dar od gatunku qheuenów – wyposażone w okucia z uryjskiego brązu, polakierowane traeckimi wydzielinami i pomalowane przez g'Keckich artystów. Całość miała dziesięć metrów wysokości i przedstawiała za pomocą artystycznych symboli to, co wszyscy cenili najwyżej, ostatnie, najwspanialsze i uzyskane kosztem największego wysiłku osiągnięcie Jijańskiej Wspólnoty Wygnańców.

Wielki Pokój.

Tym razem Sara nawet nie zauważyła, że nieznajomy aż westchnął na znak podziwu. Nie mogła podzielać jego przyjemności. Jedyńm, co czuła przebywając w tym miejscu, był smutek.

Asx

Portrecista nie chciał nawet odpocząć po długiej i trudnej podróży z Przystani Kandu. Natychmiast przystąpił do pracy, przygotowując materiały: żrące chemikalia i twarde metale; ich niepodatność na upływ czasu czyniła je podejrzanymi w obliczu praw Wspólnoty, lecz zarazem idealnymi do celów szantażu.

Inni członkowie jego cechu już przyjechali. Przybyli na zgromadzenie, by sprzedawać papierowe zdjęcia gości, cechmistrzów czy zwycięzców zawodów: każdego, kto był wystarczająco próżny, by pragnąć, żeby jego wizerunek zachowano na okres trwania jednego życia albo nawet dwóch. Kilku spośród tych zdolnych sprzedawców podobizn proponowało, że sporządzą potajemnie wizerunki najeźdźców, lecz jaki miałby być tego cel? Papierowe portrety mają zgnić i zniknąć bez śladu, a nie przetrwać eony. Lepiej nie ryzykować, by obcy złapali ich na gorącym uczynku i w ten sposób odkryli niektóre z naszych tajnych umiejętności.

Wydaje się jednak, że Ariana, Bloor i młoda Sara Koolhan wpadli na inny pomysł, nieprawdaz, moje pierścienie? Mimo wyczerpania spowodowanego podróżą Bloor stawił się natychmiast przed nami, by zademonstrować dagerotyp. Niewiarygodnie precyzyjny obraz utrwalony na wytrawionym metalu, liczący sobie całe stulecia. Ur-Jah zadrzała, głaszcząc wierną podobiznę wielkiej,

wytatuowanej naczelniczki z dawnych dni.

– Jeśli spróbujemy to zrobić, największe znaczenie ma dochowanie tajemnicy. Nasi wrogowie nie mogą wiedzieć, jak niewiele podobizn wykonano – rzekł z naciskiem Phwhoon-dau. W naszym ukrytym namiocie narad roіło się od os tajności rozpryskujących kropelki ostrych barw z lśniących skrzydełek.

– Bogowie z nieba muszą sądzić, że sporządziliśmy setki płytek i schowaliśmy je już daleko stąd, w tak wielu głęboko ukrytych miejscach, że nigdy nie zdołają odnaleźć wszystkich.

– To prawda – dodał Vubben. Jego szypułki wykonały taniec ostrożności. – Jest jednak coś jeszcze. Żeby plan się udał, portrety nie mogą pokazywać jedynie twarzy ludzkich najeźdźców. Jaki byłby pożytek z takiego dowodu za milion lat? Muszą się na nich znaleźć maszyny obcych, charakterystyczne elementy krajobrazu Jijo, a także

miejscowe zwierzęta poddawane badaniom jako kandydaci do zniewolenia.

– I ich kostiumy, ich jaskrawe stroje – dodał z naciskiem Lester Cambel. – Wszystko, co zidentyfikuje ich jako ludzkich renegatów nie reprezentujących naszego szczepu na Jijo ani na Ziemi.

Wszyscy wyrażamy zgodę na tę ostatnią prośbę, choć próby jej spełnienia wydają się jałowe. Jak kilka wytrawionych płytek zdoła przekazać oskarżycielom tak subtelną różnicę w czasach, gdy nas już dawno nie będzie?

Poprosiliśmy Bloora, by skonsultował się z naszymi agentami, pamiętając o wszystkich tych wymaganiach. Jeśli cokolwiek z tego wyjdzie, będzie to prawdziwy cud.

Wierzymy w cuda, nieprawdaż, moje pierścienie? Dzisiaj rewq w naszej-mojej torbie wyszedł ze stanu uśpiania. To samo zrobił sym-biont Yubbena, naszego Mówcy Zapłonu. Inni meldują o poruszeniach.

Czy rokuje to jakąś nadzieję? A może po prostu zaczęły się budzić, co rewqi niekiedy robią w ostatnich stadiach choroby, wkrótce przed tym, nim zwiną się w kłębek i umrą?

Dwer

Szlak wiodący przez Góry Obrzeżne był stromy i wyboisty. Podczas poprzednich podróży Dwera na wschodnie pustkowia – zwiadowczych wypadów usankcjonowanych przez mędrców – nigdy nie miało to znaczenia. Niósł wtedy tylko kuszę, mapę i trochę niezbędnych przedmiotów. Za pierwszym razem, wkrótce po tym, jak stary Fallon przeszedł w stan spoczynku, był tak podniecony, że pobiegł w dół, ku spowitym mgłą równinom, pozwalając, by grawitacja ciągnęła go naprzód, wrzeszczał i przeskakiwał z jednego chwiejnego punktu oparcia na drugi.

W tej chwili nic podobnego nie czuł. Żadnego podniecenia. Żadnej walki młodości i umiejętności z gorącym uściskiem Jijo. To była poważna sprawa. Musiał przeprowadzić dwanaście ciężko objuczonych osłów przez niebezpieczne odcinki, z cierpliwością przewyciężając częste u tych zwierząt napady uporu. Zastanawiał się, jak uryjskim

handlarkom udaje się z taką łatwością kierować jucznymi karawanami za pomocą przenikliwych, urywanych gwizdów.

Czy to prawda, co mówią, że te bydlaki pochodzą z Ziemi? – zapytał sam siebie, wyciągając z kłopotów kolejnego osła. Nie radowała go myśl, że jest bliskim genetycznym kuzynem podobnych stworzeń.

Dochodzili jeszcze jego ludzcy podopieczni, których również musiał zaprowadzić na pustkowia.

Szczerze mówiąc, mogło być gorzej. Danel Ozawa był doświadczonym podróżnikiem, a obie kobiety były silne i również posiadały potrzebne umiejętności. Niemniej niczego na cywilizowanym Stoku nie dawało się porównać z tą wędrownką. Dwer często był zmuszony przemieszczać się w górę i w dół karawany, by pomagać towarzyszom wydostać się z tarapatów.

Nie był pewien, co bardziej wyprowadza go z równowagi, flegma-tyczna obojętność Leny Strong czy gamoniowata przyjacielskość Jenin Worley, która często spoglądała mu w oczy z nieśmiałym uśmiechem. Obie stanowiły oczywiste kandydatki na członków ekspedycji, gdyż przebywały już na zgromadzeniu, gdzie szukały poparcia dla swego pomysłu organizowania "turystyki". Miały nadzieję uzyskać pomoc Dwera oraz aprobatę mędrców i rozpocząć prowadzenie grup "zwiedzających" na drugą stronę Gór Obrzeźnych.

Inaczej mówiąc, inteligentne osoby mające za dużo wolnego czasu i nazbyt przejęte pomysłami, które wyczytały w starych ziemskich ksiązkach.

Miałem zamiar sprzeciwić się temu. Nawet jednopłciowe grupy niosły ze sobą ryzyko pogwałcenia przymierza przeciw przedterminowym osadnikom.

Ale teraz sam stałem się częścią spisku mającego na celu złamanie prawa, którego poprzysiągłem bronić.

Nie mógł nie spoglądać co rusz na obie kobiety w ten sam sposób, w jaki one z pewnością zerkały na niego.

Niewątpliwie wyglądały... zdrowo.

Stałeś się teraz prawdziwym dzikim człowiekiem. Umiesz docenić uczciwe zalety dzikich kobiet.

Wśród Szarych Wzgórz również miał spotkać kobiety, ale Rety mówiła, że większość z nich zaczyna rodzić dzieci w wieku czternastu lat. Po trzydziestce tylko nieliczne miały więcej niż połowę zębów.

Za grupą dobrowolnych wygnańców ze Stoku, jaką byli oni, miała podążać druga. Ze względu na tę drugą grupę co jakieś pół midury zostawiał w rzucających się w oczy miejscach plamy perłowej pasty, aby stanowiły punkty orientacyjne. Każdy w miarę kompetentny mieszkaniec Jijo potrafiłby odnaleźć ten błyszczący szlak, lecz powinien OB' być niewykrywalny dla galaktycznych piratów czy ich wszyszkowidzą-i cej maszynarii.

Dwer wolałby być w domu, czekać na gorzki koniec i przygotowywać się do beznadziejnej walki z obcymi wraz z resztą żołnierzy milicji Sześciu. Nikt jednak nie miał większych kwalifikacji, by poprowadzić tę ekspedycję do Szarych Wzgórz, no a poza tym dał Danelowi słowo.

A więc jednak zostałem przewodnikiem wycieczek – pomyślał.

Gdyby tylko czuł pewność, że postępuje słusznie.

Co właściwie robimy? Uciekamy w inne miejsce, w którym nie powinno nas być, tak jak nasi grzeszni przodkowie? Dwera bolała głowa od podobnych myśli. Żeby tylko Lark się nie dowiedział, co robię. To by mu złamało serce.

Podróż stała się nieco łatwiejsza, gdy zeszli z gór na wyżynny step. Inaczej niż w poprzednich wyprawach, tym razem Dwer skręcił na południe, ku obszarom porośniętym gorzką, żółtą falującą trawą. Wkrótce wędrowali już przez prerię sięgających do łydek pędów, których ostro zakończone kwiatki zmuszały ludzi, a nawet osły, do noszenia skórzanych nogawic ochronnych.

Nie było słyhać żadnych skarg ani nawet szeptów niezadowolenia. Danel i obie kobiety wykonywali jego polecenia bez sprzeciwu. Ocierali pot z potników kapeluszy oraz z kołnierzy, wlokąc się obok flegmatycz-nych osłów. Całe szczęście, że rzadko rozsiane oazy prawdziwego lasu pomagały Dwerowi prowadzić ekipę od jednego źródła wody do drugiego. Zostawiał po drodze znaki dla następnej grupy.

Rety musiała być bardzo wytrwała, aby przejść przez to wszystko w pogoni za swym cholernym ptakiem.

Dwer sugerował, by zaczekali na dziewczynę.

– To ona jest waszą prawdziwą przewodniczką – powiedział Danelowi.

– Nieprawda – sprzeciwił się Ozawa. – Czy zaufałbyś jej radom"! Mogłaby wskazać nam błędny kierunek, aby wbrew rozsądkowi ochronić tych, których kocha.

Albo uniknąć ponownego spotkania z nimi. Niemniej Dwer wolałby, żeby Rety wróciła na czas i wyruszyła z ich grupą. Było mu trochę brak dziewczyny z jej marudnym usposobieniem i całą resztą.

Na ponad godzinę przed zachodem słońca zarządził postój w wielkiej oazie.

– Góry szybko zakryją słońce – wyjaśnił pozostałym. Widoczne na zachodzie szczyty otaczał już żółtopomarańczowy nimb. – Oczyszćcie wodopój, zadbajcie o zwierzęta i rozbijcie obóz.

– A ty gdzie się wybierasz? – zapytała ostrym tonem Lena Strong, ocierając czoło.

Dwer zapiął kołczan u biodra.

– Ustrzelić coś na kolację. Wskazała ręką na ziejący pustką step.

– Co, tutaj?

– Warto spróbować, Leno – odezwał się Danel, uderzając kijem pędy żółtej trawy. – Osły nie mogą jeść tego zielska, musi więc nam wystarczyć ziarna, dopóki nie dotrzemy do wzgórz, gdzie będą mogły się paść. Odrobina mięsa dla nas czworga bardzo by się przydała.

Dwer nie zadał sobie trudu, by coś do tego dodać. Ruszył na skrót, wąską ścieżką wydeptaną przez zwierzęta w kłującej trawie. Pokonał znaczną odległość, nim zostawił za sobą odór osłów, a także przenikliwe szepty swych towarzyszy.

To kiepski pomysł być hałaśliwym, podczas gdy wszechświat pełen jest istot twardszych od ciebie. Ale ludzi to nigdy nie powstrzymywało, prawda?

Wciągnął powietrze, żeby wyczuć zapachy. Popatrzył, jak ugina się sięgająca mu do ud trawa. Na tego rodzaju prerii szczególnie ważne było, by polować pod wiatr, nie tylko ze względu na zapach, lecz również na fakt, że mogło to utrudnić zwierzynie usłyszenie hałasu wywołanego krokami myśliwego. W tym przypadku zwierzyną było stado stepowych przepiórczyc. Wyczuł, jak dziobią i drapią ziemię w odległości jakichś dwunastu metrów przed nim.

Nałożył strzałę na cięciwę i zbliżył się do nich tak ostrożnie, jak tylko potrafił. Oddychał płytko, dopóki nie usłyszał wśród kołyszących się źdźbeł delikatnego świergotu... cichutkiego skrobienia pazurków o piaszczystą glebę... ostrych dziobów poszukujących nasion... łagodnego, macierzyńskiego gdakania... odpowiadających mu piśnięć małych po-

szokujących opierzonej piersi... lekkich sapnięć młodych dorosłych! osobników, przekazujących z obwodu wieści, że wszystko w porządku. Wszystko w porządku.

Jeden ze strażników zmienił nagle ton swego stłumionego meldunku. Próbny alarm. Dwer pochylił się, by mniej się rzucać w oczy i nie;

spłoszyć zwierzyny. Na szczęście wieczorne cienie były najgłębsze za] jego plecami. Gdyby tylko udało mu się nie przestraszyć ptaków przez' jeszcze kilka...

Coś nagle poruszyło się z trzaskiem. Czteroskrzydły kształt wzbił się w powietrze.

Inny drapieznik – zdał sobie sprawę Dwer, unosząc kuszę. Podczas gdy większość przepiórczyc rozpięzchła się szybko wśród źdźbeł trawy i zniknęła, kilka zawróciło po spirali, by przelecieć nad intruzem i odciągnąć go od kwoki oraz piskląt. Dwer szybko wypuścił strzały, strącając jednego, a potem drugiego wartownika.

Zamieszanie skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Gdyby nie zdeptana trawa, step wyglądałby tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Dwer zarzucił kuszę na plecy i wyciągnął maczetę. W zasadzie nic, co potrafiło ukryć się w trawie, nie powinno być dla niego zbyt groźne, oprócz być może korzeniowego skorpiona. Krążyły jednak legendy o niezwykłych, złośliwych zwierzętach zamieszkujących ten położony na południowy wschód od spokojnego Stoku obszar. Nawet śmiertelnie wygłodzony Iwotygrys potrafił być

piekielnie uciążliwy.

Pierwszą ofiarę znalazł w miejscu jej upadku.

To powinno uszczęśliwić na jakiś czas Lenę – pomyślał, zdając sobie sprawę, że może będzie musiał poświęcić temu zadaniu całe życie.

Trawa zakołysała się raz jeszcze, w pobliżu miejsca, gdzie spadł na ziemię drugi ptak. Dwer pognął naprzód z uniesioną maczetą.

– O nie, ty złodzieju!

Zahamował nagle, gdy pojawiło się poruszające się chyłkiem zwierzę o czarnym futrze trzymające w zębach drugą przepiórczycę. Zakrwawiona strzała wlokła się po piasku.

– To ty – westchnął Dwer, opuszczając broń. – Powinienem być się domyślić.

Ciemne oczy Skarpetki zaśniły tak wymownie, że Dwer wyobraził sobie słowa.

Zgadza się, szefie. Cieszysz się z mojego widoku? Nie trudź się

podziękowaniami za wypłoszenie ptaków. Zatrzymam w charakterze zapłaty tę soczystą sztukę.

Wzruszył z rezygnacją ramionami.

– No dobra. Ale strzałę chcę dostać z powrotem, słyszysz?

Noor uśmiechnął się, jak zwykle niczym nie zdradzając, czy wiele czy niewiele zrozumiał.

Gdy szli spokojnym krokiem w stronę oazy, zapadła noc. Pod drzewem, które stanowiło osłonę, buzowały płomienie. Zmieniający kierunek wietrzyk przynosił wonie osłów, ludzi i gotującej się na wolnym ogniu owsianki.

Lepiej, żeby ognisko było małe i wyglądało na naturalnie tłący się płomień – uświadomił sobie.

Nagle przyszła mu do głowy inna myśl.

Rety mówiła, że noory nigdy nie zapuszczają się poza góry. Co więc robi tu ten łobuz?

Młoda przedterminowa osadniczka nie kłamała, opowiadając o tym, że na południowy wschód od Gór Obrzeżnych spotyka się stada glawe-rów. Po dwóch dniach szybkiej wędrówki, biegu półtruchtem u boku truchtających osłów, Dwer i jego towarzysze znaleźli wyraźne znaki obecności tych stworzeń: charakterystyczne kopce, w których z reguły zakopywały one swój kał.

– Cholera... masz rację... – zgodził się Danel, sapiąc z rękoma wspartymi na kolanach. W przeciwieństwie do niego obie kobiety prawie wcale nie były zdyszane.

– Wygląda na to... że sprawy... trochę się skomplikowały. Można by tak to ująć – pomyślał Dwer. Lata pilnego stróżowania, ciężkiej pracy myśliwych takich jak on, poszły na marne. Zawsze , sądziliśmy, że żółtą trawę mogą przebyć tylko dobrze wyekwipowani wędrowcy, a w żadnym wypadku nie glawery. Dlatego kierowaliśmy większość wypraw zwiadowczych dalej na północ.

Nazajutrz Dwer zarządził postój, choć właśnie pędzili truchtem. Zauważył w oddali tabun glawerów kręcących się przy końcu porośniętego zaroślami, wyschniętego koryta rzeki. Czworo ludzi przyjrzało się im po kolei przez stanowiącą własność Danela Ozawy lornetkę uryjskiej produkcji. Jasne stworzenia o wyłupiastych oczach zdawały się pożerać stepowego galeatera, krzepkie, długonogie zwierzę występujące w tej

okolicy. Jego ciało leżało na połaci zdeptanej trawy. Ten widok zdumiał wszystkich z wyjątkiem Jenin Worley.

– Czy sam nie mówiłeś, że tak trzeba postępować, by przeżyć na równinach? Jeść zwierzęta, które mogą strawić to świństwo – Trąciła żdźbło ostrej, żółtej trawy. – A więc glawery przystosowały się do nowego sposobu życia. Czy my również nie będziemy musieli tak uczynić?

W przeciwieństwie do Danela Ozawy, którego ich misja napełniała markotną rezygnacją, Jenin sprawiała wrażenie niemal podekscytowanej przeżywaną przygodą, a zwłaszcza świadomością, że ich przeznaczeniem może stać się zachowanie ludzkiego życia na Jijo. Widząc w jej oczach tę

gorliwą chęć, Dwer odnosił wrażenie, że więcej go łączy z silnie zbudowaną Leną Strong o kwadratowej szczęce. Przynajmniej spoglądała ona na to wszystko mniej więcej tak samo jak on: kolejny obowiązek do wykonania w świecie, który nie dbał o czyjekolwiek pragnienia.

– To... raczej zaskakujące – odparł Danel, opuszczając z zaniepokojoną miną lornetkę. – Myślałem, że glawery nie mogą jeść czerwonego mięsa.

– Zdolność przystosowania – skomentowała opryskliwie Lena. – Jedno ze znamion przedrozumności. Może to oznacza, że po długim upadku w dół rozpoczęły ponowną wspinaczkę w górę.

Danel zastanowił się poważnie nad tym przypuszczeniem.

– Tak szybko? To by było ciekawe. Czy mogłoby to znaczyć... Dwer przerwał mędrcom, nim ten zdążył wdać się w filozoficzne rozważania.

– Daj mi to – powiedział, biorąc do ręki przyrząd ze szkła i łądyg busa. – Za chwilę wrócę.

Ruszył naprzód skulony. Rzecz jasna. Skarpetka postanowił mu towarzyszyć. Wybiegał naprzód, a po chwili zawracał, udając, że zastawia na niego zasadzki. Dwer zacisnął szczęki, lecz nie zamierzał sprawić zwierzęciu satysfakcji i nie reagował.

Ignoruj go. Może sobie pójdzie.

Jak dotąd nie okazało się to skuteczne. Jenin wydawała się podekscytowana myślą, że Skarpetka stał się ich maskotką, Danela zaś zafascynowała jego wytrwałość. Lena ich poparła, a tym samym pragnienie Dwera, żeby przegonić go do diabła, spaliło na panewce.

– Nie waży prawie nic – powiedziała. – Niech jedzie na osle, pod warunkiem, że sam zdobędzie dla siebie pożywienie i nie będzie nam wchodził w drogę.

Skarpetka dostosował się do ich życzeń. Skrupulatnie unikał Leny, wytrzymywał w skupieniu oględziny Danela i mrucał z zadowoleniem, gdy Jenin głaskała go każdego wieczoru przy ognisku.

W stosunku do mnie zachowuje się tak, jakbym niczego nie pragnął bardziej niż tego, by mnie irytowano. Czołgając się w stronę wyschniętego koryta, Dwer starał się zapamiętać topografię terenu, konsystencję trzeszczących źdźbeł trawy i kierunek kapryśnego wietrzyku. Robił to z zawodowego nawyku, a także na wypadek, gdyby któregoś dnia konieczny stał się poważny pościg za stadem glawerów, ze strzałą założoną na cięciwę. O ironio, mogło się to zdarzyć jedynie wtedy, gdyby otrzymali dobre wieści. Jeśliby ze Stoku nadeszła wiadomość, że wszystko jest w porządku. Że genowi rabusie odlecieli, nie dopuściwszy się spodziewanej masakry. Ich ekspedycja przerodziłaby się wtedy w tradycyjną akcję wyłapującą, wyprawę milicji mającą na celu oczyszczenie tego regionu ze wszystkich glawerów i ludzi, najlepiej przez ich schwytanie, lecz w ostatecznym rozrachunku pozbycie się ich wszelkimi środkami, jakie okażą się konieczne.

Z drugiej strony, zakładając, że na zachodzie wydarzy się najgorsze i wszyscy członkowie Sześciu Gatunków zostaną zgładzeni, ich grupka stanie się wygnańcami na pustkowiu, dołączy do rodziny renegatów, z której pochodziła Rety, i stworzy proste, mądre obyczaje, które pozwolą im żyć w harmonii ze swym nowym domem.

Jedna z tych tradycji raz na zawsze zakazuje przedterminowym osadnikom polować na glawery i je zjadać.

Dwerowi trudno było znieść tę okrutną sprzeczność, która pozostawiała mu niewiele możliwości wyboru. Dobre wieści uczynią z niego masowego zabójcę, straszliwe natomiast nieszkodliwego sąsiada dla glawerów i ludzi.

Po jednej stronie obowiązek i śmierć. Po drugiej śmierć i obowiązek. Czy utrzymanie się przy życiu jest warte aż tyle? – zadał sobie pytanie.

Wszedł na niskie wzniesienie i uniósł lornetkę. Dwie rodziny glawerów zdawały się pożerać

galeatera, podczas gdy inne osobniki stały na straży. W zwykłej sytuacji podobnie smakowitą padlinę ogryzłyby do białego szkieletu najpierw Iwotygrysy czy inne wielkie drapieżniki,

potem hikale o potężnych szczękach służących do miażdżenia kości, na koniec zaś latający padlinożercy znani po prostu jako sępy, choć w niczym nie przypominali stworzeń przedstawionych na wywodzących się ze Starej Ziemi obrazkach.

Nawet w tej chwili sfera hikali kręciła się w oddali, na granicach polany. Jedna z glawerzyc uniosła się na tylne łapy i cisnęła w zwierzęta kamieniem. Te rozpierzchły się, skowycząc żałośnie.

Aha. Teraz wiem, jak to robią.

Glavery znalazły oryginalny sposób życia na stepie. Nie potrafiły żywić się trawą ani busami i nie mogły jeść czerwonego mięsa, najwyraźniej więc wykorzystywały padlinę, by przyciągnąć z okolicy hordy owadów, które bez pośpiechu spożywały, podczas gdy inni członkowie stada odganiaли konkurentów.

Sprawiły wrażenie, że dobrze się bawią. Unosiły wijące się insekty przed kuliste oczy, kwiliły z aprobatą, a potem z cmokaniem wkładały je do pyska. Dwer nigdy nie widział u nich podobnego entuzjazmu. Nie na Stoku, gdzie traktowano ich jak świętych prostaczków i pozwalano do woli grzebać w śmietnikach Sześciu.

Skarpetka popatrzył na Dwera z niesmakiem w oczach.

Ifni, co za świnię! Czy możemy je teraz pogonić? Dokopie im zdrowo, szefie. A potem zapędzimy z powrotem do cywilizacji, czy tego chcą czy nie.

Dwer dał sobie słowo, że powściągnie wyobraźnię. Zapewne nooro-wi po prostu nie spodobał się zapach.

Mimo to zganił cicho Skarpetkę.

– Kto ci dał prawo uważać innych za odrażających, skoro sam cały się wylizujesz? No, chodź. Powiedzmy reszcie, że glavery nie stały się jednak drapieżnikami. Czeka nas dalszy bieg, jeśli mamy przed zachodem słońca wydostać się z tej kłującej trawy.

Asx

Z dalekiego południa docierają nowe wieści, pochodzące od kowa-licy z kuźni na Mount Guenn.

Wiadomość była krótka i zniekształcona. Część drogi przeniosły ją kurierki, część zaś pokonała między górskimi szczytami, przekazywana

przez niedoświadczonych operatorów luster częściowo odbudowanego systemu semaforów.

Najwyraźniej obcy piraci zaczęli odwiedzać po kolei wszystkie sioła rybackie i kolonie czerwonych qheuenów, zadając dociekliwe pytania. Wylądowali nawet na morzu, daleko od brzegu, by zawracać głowę załodze odpadowca, która wracała do domu, wypełniwszy święte zadanie na Śmietniku. Najwyraźniej intruzi uważali, że mogą swobodnie spadać naszym obywatelom na głowy w miejscu ich zamieszkania i poddawać ich przesłuchaniom, pytając o "dziwne widoki, dziwne stworzenia albo światła na morzu".

Czy powinniśmy wymyślić jakąś historyjkę, moje pierścienie? Stworzyć bajeczkę o oceanicznych potworach, by zaintrygować naszych niechcianych gości i być może odwlec na jakiś czas nasz los?

Zakładając, że odważymy się to uczynić, co z nami zrobią, gdy poznają prawdę?

Lark

Przez cały ranek Lark pracował u boku Ling pogrążony w nerwowym napięciu, które pogarszał fakt, że nie mógł się odważyć go okazać. Jeśli będzie mu sprzyjało szczęście, wkrótce nadejdzie najlepsza okazja, by zaaranżować wszystko we właściwy sposób. Zadanie jednak nie należało do łatwych. Musiał szpiegować na rozkaz mędrców, poszukując jednocześnie informacji, których potrzebował dla własnych celów.

Wszystko będzie zależało od wyliczenia czasu.

Namiot Oszacowań tętnił życiem. Całą jego tylną połowę zajmowały klatki wykonane przez g'heueńskich rzemieślników z miejscowych bu-sów. Wypełniały je próbki sprowadzone ze wszystkich stron tej półkuli \ Jijo. Personel złożony z ludzi, urs i hoonów pracował na okrągło przez całą dobę, pilnując, by zwierzęta były nakarmione, napojone i zdrowe. Niektórzy z tutejszych g'Keków okazali godny podziwu talent do przegania różnych stworzeń przez labirynty czy wykonywania innych testów pod nadzorem robotów, które zawsze wypowiadały swe instrukcje w pedantycznym, bezbłędnym drugim galaktycznym. Larkowi jasno powiedziano, że praca pod bezpośrednim kierownictwem jednego z ludzi z gwiazd jest wielkim wyróżnieniem.

Jego druga powietrzna wyprawa była jeszcze bardziej wyczerpująca

od pierwszej. Trzydniowa podróż rozpoczęła się wypadem po zygzakowatej, spiralnej trasie daleko nad morze. Unosili się tuż nad ciemnoniebieskimi falami rozległego Śmietniska, a potem przeskakiwali od jednej do drugiej wyspy długiego, przybrzeżnego archipelagu, pobierając próbki licznych, szalenie zróżnicowanych form życia, których Lark nie znał. Ku jego zaskoczeniu, wycieczka okazała się znacznie przyjemniejsza od poprzedniej.

Po pierwsze, odkąd zaczęli pracować razem i docenili nawzajem swe' umiejętności, Ling stała się cokolwiek mniej protekcyjna. Ponadto Larka ekscytował widok postępów ewolucji w ciągu tylko miliona lat swobodnego życia. Każda wysepka stała się miniaturowym biologicznym reaktorem tworzącym zachwycające wariacje. Były tam ptaki-nie-loty, które wyrzekły się powietrza, oraz szybujące nibygady sprawiające wrażenie, że są na granicy wykształcenia skrzydeł. Ssakokształtne formy, których włosy tworzyły zrogowaciałe kolce ochronne oraz zille, których puszyste torowe okrycia lśniły kolorami nigdy nie widzianymi u ich bezbarwnych kuzynów z kontynentu. Dopiero później doszedł do wniosku, że część tej różnorodności mogli spowodować ostatni legalni lokatorzy Jijo. Być może Buyurowie przed odejściem zasiedlili każdą wyspę odmienną genetycznie populacją w ramach eksperymentu o bardzo długiej skali czasowej.

Ling i Besh często musiały wręcz go odciągać, gdy nadchodził czas opuszczenia miejsca pobierania próbek. Kunn mamrotał coś ze złością za swym pulpitem. Najwyraźniej czuł się zadowolony jedynie wtedy, gdy byli w powietrzu. Kiedy lądowali, Lark zawsze wybiegał przez właz pierwszy. Wszystkie posępne myśli przenikające jego marzenia tłumiła na chwilę pasja odkrywca.

Lecz gdy podczas ostatniego etapu podróży powracali do domu i znowu z nie wyjaśnionych powodów krążyli nad morzem w różnych kierunkach, Lark zaczął się zastanawiać.

Wycieczka była cudowna, ale po co ją urządzono? Co mieli nadzieję osiągnąć?

Nawet gdy ludzie nie opuścili jeszcze Ziemi, biolodzy wiedzieli, że do powstania wyższych form życia potrzebna jest przestrzeń, najlepiej wielkie kontynenty. Mimo szalonej różnorodności, jaką odnaleźli na archipelagu, nie natrafili na żadne zwierzę, które ludzie z gwiazd mogliby uznać za kandydata do wspomagania.

I rzeczywiście, gdy następnego dnia przyszedł do Ling, ta oznajmiła, że po obiedzie wróć do analizowania skalnych zwłokaczy. Besh zdążyła już wznowić intensywne badania nad glawerami. Była wyraźnie zadowolona, że ponownie podjęła pracę nad najlepszymi kandydatami.

Glawery. Larka uderzyła ukryta w tym ironia. Powstrzymał się jednak od zadawania pytań, czekając na właściwy moment.

Wreszcie Ling odłożyła tabelę, nad którą pracowali – w znacznej mierze powielając to, co już pokrywało ściany jego gabinetu w Dolo – i poprowadziła go do stołu, na którym maszyny oferowały posiłki ludzi z nieba. Oświetlenie było tu bardzo dobre, Lark skinął więc ukradkiem głową na niskiego mężczyznę zajętego czyszczeniem klatek. Blondyn zbliżył się do stołu drewnianych skrzyń

używanych do transportu pokarmu dla skrzeczącego ochryple zoo.

Lark zajął miejsce przy południowy m końcu stołu, żeby nie zasłaniać tamtemu Ling, Besh i wszystkiego, co znajdowało się za nimi. Zwłaszcza Ling. Aby próba się powiodła, musiał sprawić, żeby kobieta jak najdłużej się nie poruszała.

– Besh zapewne sądzi, że znaleźliście pierwszorzędnych kandydatów.

-He?

Ciemnooka kobieta podniosła wzrok znad skomplikowanej maszyny marnotrawnie przeznaczonej do produkcji tylko jednego napoju – gorzkiego płynu zwanego kawą, którego Lark skosztował tylko raz.

– Co znaleźliśmy?

Ling zamieszała parującą ciecz w kubku i ponownie oparła się o krawędź stołu.

Lark wskazał na badane przez Besh zwierzę, które spokojnie przeżuwało kulę żywicy, podczas gdy na jego głowie przysiadło urządzenie poddające dokładnemu przeglądowi neurony. Chwilę wcześniej zapanowało nagłe podniecenie. Besh przysięgała, że słyszała, jak gławer "imituje" dwa wypowiedziane przez nią słowa. Teraz sprawiała wrażenie skupionej. Siedziała nieruchomo jak głaz i patrzyła w mikroskop, kierując sondą mózgową za pomocą delikatnych ruchów dłoni.

– Rozumiem, że gławery są tym, czego szukacie? – ciągnął Lark. Ling uśmiechnęła się.

– Zdobędziemy większą pewność, gdy wróci statek i przeprowadzi się bardziej zaawansowane testy.

Kącikiem oka Lark zobaczył, że niski mężczyzna zdjął pokrywę z otworu w boku skrzyni. Dostrzegł lekki błysk szkła.

– A kiedy statek wróci? – zapytał, by przyciągnąć uwagę Ling. Uśmiechnęła się szerzej.

– Chciałabym, żebyście przestali już o to pytać. Można by pomyśleć, że macie powód się tym interesować. Co to ma dla was za znaczenie?

Lark wydał policzki na hooński sposób, przypomniał sobie jednak, że ten gest nie będzie dla niej nic znaczył.

– Po prostu byłoby miło, gdybyście nas uprzedzili. Potrzeba trochę czasu, żeby upiec naprawdę wielki tort.

Zachichotała, żywiej niż zasługiwał na to jego żart. Lark uczył się powoli nie czuć urazy za każdym razem, gdy podejrzewał, że traktuje się go protekcyjnie. Zresztą Ling przestanie się śmiać, kiedy pokładowe archiwa ujawnią, że gławery – ich pierwszoplanowi kandydaci do wspomaganiania – są już galaktycznymi obywatelami, zapewne nadal krążącymi po swym cichym zakątku przestrzeni w kupionych okazjnie statkach.

A może nawet pokładowe rejestry gwiazdowego krążownika im tego nie powiedzą? Według najstarszych zwojów gławery były gatunkiem słabo znanym wśród niezliczonych rozumnych klanów Pięciu Galaktyk. Niewykluczone, że – podobnie jak g' Kekowie – wymarły już i pamięć o nich zaginęła wszędzie poza chłodnymi niszami największych sektorowych filii Biblioteki.

Mogła to nawet być chwila dawno temu, przed przybyciem ludzi na Jijo, przepowiedziana przez ostatniego gławerskiego mędrca. Czas, w którym odzyskana niewinność mogłaby rozgrzeszyć ich gatunek, oczyścić go i dać mu drogocenną drugą szansę. Nowy początek.

Jeśli tak jest, zasługują na lepszy los niż adopcja przez bandę złodziei.

– Założmy, że okażą się doskonałe pod każdym względem. Czy zabierzecie je ze sobą, kiedy odleciecie?

– Zapewne. Rozpłodową grupę. Około setki.

Kącikiem oka dostrzegł, że niski mężczyzna zakrył obiektyw kamery. Uśmiechając się z

satysfakcją, Bloor Portrecista dźwignął od niechcenia skrzynkę i wyniósł ją na zewnątrz tylnym wyjściem. Napięcie, które odczuwał Lark, zelżało. Twarz Ling mogła wyjść na fotografii

trochę niewyraźnie, lecz istniały spore szanse, że strój i ciało będą dobrze widoczne mimo długiego czasu naświetlania. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Besh, glawer, robot i śpiący skalny zwlekacz przez cały czas pozostawali nieruchomi. Łańcuch górski, widoczny przez otwarte wejście, umożliwił określenie lokalizacji i pory roku.

– A co z resztą? – zapytał, czując ulgę, że ma teraz na głowie tylko jedną sprawę.

– O co ci chodzi?

– O to, co stanie się z glawerami, które tu zostawicie? Przymrużyła ciemne oczy.

– Dlaczego coś miałoby się z nimi stać?

– No właśnie, dlaczego?

Lark poruszył się, zakłopotany. Mędrcy chcieli jeszcze przez pewien czas utrzymywać atmosferę napięcia i niejednoznaczności, zamiast wprost zapytać obcych o ich plany. Wykonał już jednak polecenia rady, pomagając Bloorowi, a Harullen i inni heretycy naciskali go, chcąc usłyszeć odpowiedzi. Musieli szybko podjąć decyzję, czy zaangażować się w tajny plan gorliwców.

– Jest... jeszcze kwestia pozostałych.

– Pozostałych? Ling uniosła brwi.

– Nas, członków Sześciu. Kiedy już znajdziecie to, czego szukacie, i odleciecie, co się stanie z nami? Jęknęła.

– Nie potrafię policzyć, ile razy mnie o to pytano! Lark wytrzeszczył oczy.

– Kto...

– A kto nie? – Westchnęła zbyt ostentacyjnie. – Co najmniej jedna trzecia pacjentów, którym codziennie udzielamy pomocy w klinice, podkrada się potem do nas, by z nas wyciągnąć, w jaki sposób to zrobimy. Jakich środków zamierzamy użyć, gdy wreszcie zaczniemy mordować wszystkie rozumne istoty na planecie! Czy będziemy humanitarni? Czy też zagłada nadejdzie w postaci błyskawic z nieba w dniu naszego odlotu? Powtarza się to tak często, że czasem mam ochotę... uch!

Zacisnęła pięść. Na jej z reguły spokojnej twarzy pojawił się wyraz frustracji.

Lark zamrugał powiekami. Miał zamiar powoli nakierować rozmowę na te właśnie pytania.

– Są przestraszeni – zaczął. – Logika sytuacji...

– Tak, tak, wiem – przerwała niecierpliwie Ling. – Jeśli przybyliśmy tu ukraść przedrozumne formy życia, nie możemy zostawić żadnych świadków. A zwłaszcza nie możemy pozwolić, by przetrwała miejscowa populacja gatunku, który ukradniemy! Szczerze, skąd zaczerpnęliście takie pomysły?

Z książek – omal nie odpowiedział Lark. Z ostrzeżeń przodków.

Do jakiego stopnia można było jednak ufać tym przekazom? Najbardziej szczegółowe wkrótce po przybyciu tu ludzi pochłonał ogień. Czy zresztą sami ludzie nie byli w owych czasach naiwnymi nowicjuszami na galaktycznej scenie, zaniepokojonymi aż do granic paranoi? I czy to nie najbardziej podejrzliwi z nich wsiedli na pokład "Tabemacie" i wymknęli się na odległy, zakazany świat, by się tam ukryć?

Czy zagrożenie mogło być wyolbrzymione?

– Poważnie, Lark, dlaczego mielibyśmy się bać tego, co może o nas powiedzieć banda przedterminowych osadników? Szansę, że następna ekipa inspektorów Instytutów przybędzie na Jijo przed upływem stu tysięcy lat, są bardzo niewielkie. Jeśli nawet wasi potomkowie przetrwają tak długi czas, po naszej wizycie z pewnością pozostaną wówczas tylko niejasne legendy. Nie musimy popełniać masowego mordu, nawet zakładając, że potrafilibyśmy zdobyć się na tak straszliwy

uczynek, choćby i z najpoważniejszych powodów!

Po raz pierwszy Lark ujrzał Ling bez maski cierpkiej ironii. Albo głęboko wierzyła w wypowiedane słowa, albo też była bardzo dobrą aktorką.

– Jak więc planujecie dokonać adopcji przedrozumnych gatunków, które ewentualnie tu znajdziecie? Z pewnością nie możecie się przyznać, że zabraliście je z zamkniętego świata.

– Nareszcie inteligentne pytanie. – Chyba poczuła ulgę. – Muszę wyznać, że to nie będzie łatwe. Na początek trzeba je będzie umieścić w innym ekosystemie, wraz ze wszelkimi symbiontami, jakich mogą potrzebować, a także innymi dowodami, które wskażą, że żyły tam już od jakiegoś czasu. Potem trzeba odczekać pewien okres...

– Milion lat?

Na twarz Ling powrócił blady uśmiech.

– Nie aż tak długo. Widzisz, istnieją dwa czynniki działające na naszą korzyść. Jednym z nich jest fakt, że na większości planet biorejery stanowią chaos filogenetycznych anomalii. Mimo zasad mających minimalizować szkodliwy przepływ krzyżowy za każdym razem, gdy owy klan gwiazdnych wędrowców zdobywa prawa dzierzawne do któregoś świata, nieuchronnie sprowadza ze sobą swe ulubione rośliny zwierzęta, a także cały zastęp pasożytów i innych pieczeniarzy. Na rzykład gławery – wskazała głową na poddawane badaniom zwierzę.

– Jestem pewna, że znajdziemy świadectwa z miejsc, w których 'przeszłości przepływały podobne geny.

Teraz Lark mógł się przelotnie uśmiechnąć.

Nie wiesz nawet połowy.

– Widzisz więc – ciągnęła Ling – że nie ma większego znaczenia, czy resztkowa populacja zostanie na Jijo, pod warunkiem, że będziemy mieli czas, by zmodyfikować pożyczoną grupę, sztucznie zwiększając pozorne tempo dywergencji genetycznej. To zresztą i tak ię stanie, kiedy rozpoczniemy proces wspomaganiania.

Jeśli więc nawet piraci przekonają się wreszcie, że gławery się nie iadają, mogą odlecieć z jakimś innym obiecującym gatunkiem i mieć dezły zysk ze swej zbrodni – Lark wszystko już teraz rozumiał.

Lecz oni sprawiali wrażenie całkowicie z siebie zadowolonych, jak ;dyby w żadnym wypadku nie uważali tego za zbrodnię.

– A ten drugi czynnik? – zapytał.

– Ach, to jest prawdziwa tajemnica. – W ciemnych oczach kobie-y pojawił się błysk. – Widzisz, tak naprawdę cała sprawa polega na umiejętnościach.

– Umiejętnościach?

– Umiejętnościach naszych błogosławionych opiekunów – w jej

•łowach pojawił się ton uszanowania. – Widzisz, Rotheni są nieprze-Scignionymi mistrzami tej sztuki. Spójrz tylko na ich największy dotąd sukces. Ludzkość.

i Znowu wspomniała o tajemniczym klanie otaczanym najwyższą czią przez nią. Ranna i pozostałych. Ludzie z gwiazd z początku byli iowściągłiwi. Ling powiedziała nawet kiedyś jasno, że "Rotheni" to nie est prawdziwa nazwa. Z czasem jednak i ona, i pozostali okazali się ardziej rozmowni, całkiem jakby nie potrafili ukryć dumy. Bądź też nie obawiali się, że wieści się rozejdą.

– Wyobraź to sobie. Zdołali wspomóc ludzkość w całkowitej tajemnicy, zmieniając subtelnie rejestry Instytutu Migracji w ten sposób, żeby nasz ojczysty swat. Ziemia, pozostał nietknięty, leżący odłogiem przez niewiarygodnie długi okres pół miliarda lat! Ukrywali swe dyskretne przewodnictwo nawet przed naszymi przodkami, pozwalając im wierzyć w fantastyczną, lecz użyteczną iluzję, że wspomagają się sami!

– To zdumiewające – zauważył Lark. Nigdy dotąd nie widział, by Ling była tak ożywiona. Miał ochotę ją zapytać: "Jak można dokonać czegoś podobnego?" Sugerowałoby to jednak, że wątpi w jej słowa, a chciał, by pozostała otwarta. – Oczywiście, samowspomaganie jest niemożliwe – powiedział.

– Absolutnie. Wiadomo o tym już od legendarnych dni Przodków. Ewolucja może doprowadzić gatunek do stadium przedrozumności, ale ten ostatni skok wymaga pomocy innych istot, które już go dokonały. Ta zasada jest fundamentem cyklu życiowego wszystkich tlenodysz-nych gatunków w Pięciu Galaktykach.

– Dlaczego więc nasi przodkowie wierzyli, że sami wzniesli się na wyższy poziom?

– Och, najbardziej domyślni zawsze podejrzewali, że otrzymaliśmy pomoc z zewnątrz. Tłumaczy to głębię uczuć leżących u podstaw większości religii. Ale prawdziwe źródło naszego daru rozumności pozostawało tajemnicą przez większą część okresu, w którym naszą wędrówką kierowały ukryte dłonie. Jedynie Dakkinowie – pierwotni prekursorzy naszej grupy – przez cały czas znali prawdę.

– Nawet Rada Tergeńska...

– Rada Terrageńska -jej głos zabrzmiał kwaśno. – Idioci kierujący Ziemią i jej koloniami w tych niebezpiecznych czasach? Ich upór nie ma większego znaczenia. Nawet ta afera ze "Streakerem", przez którą połowa fanatyków we wszechświecie wpadła w szal, domagając się z głośnym wyciem krwi Ziemi, nawet to zakończy się dobrze, bez względu na głupców z Rady Terrageńskiej. Rotheni wszystkiego dopilnują. Nie przejmuj się.

Lark się nie przejmował. Nie wydarzeniami o takiej skali. Nie do tej chwili. Jej słowa jednak bynajmniej go nie uspokoiły.

Mędracy odgadli już z wypowiedzianych przez intruzów aluzji, że jakiś potężny kryzys wywołał chaos w Pięciu Galaktykach. Mogło to nawet

tłumaczyć, dlaczego genowi rabusie przybyli akurat teraz. Wykorzystali zamieszanie, by dopuścić się drobnego włamania.

Co mógł zrobić słabiutki klan Ziemi, by wywołać podobne poruszenie? – zastanowił się Lark.

Z pewnym wysiłkiem odepchnął tę myśl od siebie. Temat był zbyt szeroki, by zastanawiać się nad nim w tej chwili.

– A kiedy Rotheni objawili prawdę tym... Dakkinom?

– Dawniej, niż mogłoby ci się zdawać, Lark. Zanim jeszcze wasi przodkowie odlecieli swym rozklekotanym, nabytym po cenie złomu gwiazdolotem, by podjąć głupie, szalone ryzyko przybycia na ten świat. Wkrótce po tym, jak ludzkość dotarła w przestrzeń międzygwiazdną, Rotheni wybrali garstkę mężczyzn i kobiet, by przekazać im swe słowo. Tych, którzy już przedtem dochowywali wiary i pełnili niezachwianą straż. Niektórzy z nich pozostali na Ziemi, by pomagać z ukrycia w kierowaniu gatunkiem, inni zaś odlecieli, by zamieszkać w radości wśród Rothenów i wspierać ich w ich pracy.

– A na czym polega ta praca?

Jej twarz przybrała wyraz, jaki Lark czasem widywał u tych, którzy wracali z pielgrzymki do Jaja, w tych błogosławionych chwilach, kiedy święty kamień wyśpiewywał swe pogodne harmonie. Wyraz twarzy tych, którzy doświadczyli czegoś wspaniałego.

– Na ratowaniu zaginionego, rzecz jasna. I pielęgnowaniu tego, co może jeszcze zaistnieć.

Lark obawiał się, by nie popadła w kompletny mistycyzm.

– Czy zobaczymy kiedyś jakichś Rothenów? Jej oczy zaszyły mgłą, gdy dumiała o rozległych połaciach przestrzeni i czasu. Teraz zwróciły się ku niemu i zaśniły ostro.

– Niektórzy z was mogą ich zobaczyć, jeśli im się poszczęści. W gruncie rzeczy, niektórych z was może spotkać szczęście, o jakim nie śnili.

Jej słowa sprawiły, że zakręciło mu się w głowie. Czy mogły one oznaczać to, co mu się zdawało?

Wieczorem, przy świetle świec, raz jeszcze powtórzył swe obliczenia.

O ile nasze pomiary były dokładne, gwiazdolit ma objętość około pół miliona metrów sześciennych. Jeśli zamrozić wszystkich ludzi na

Jijo i upchać ich ciasno niczym drewno na opał, moglibyśmy nawet się zmieścić, pod warunkiem, że nie zostawi się miejsca na nic innego.

Gdy liczył to po raz pierwszy, miał zamiar jedynie zdezwuować krążące wśród niektórych młodszych wiekiem urs i qheuenów pogłoski, że ludzcy osadnicy wkrótce opuszczą Jijo. Udowodnił, że jest fizycznie niemożliwe, by najmłodszy szczep porzucił Wspólnotę w zamian za bilet powrotny do gwiazd. Przynajmniej nie tylko na tym statku.

Ale Ling powiedziała: "niektórych z was".

Nawet po załadowaniu na pokład setek wuanków, długoryjów czy glawerów, znajdzie się jeszcze miejsce dla garstki utraconych kuzynów. Tych, którzy okazali się użyteczni.

Lark potrafił rozpoznać próbę przekupstwa, gdy się z nią spotkał.

Choć potępiał swych przodków za decyzję przybycia na ten świat, kochał go. Gdyby go kiedykolwiek opuścił, cierpiałby i to aż do kresu swych dni.

Ale jeśli sytuacja wyglądałaby inaczej, poleciałbym natychmiast. Kto by nie poleciał?

Gorliwcy mają rację. Nie można teraz całkowicie ufać żadnemu z ludzi. Każdego z nas mogą skorumpować. Przekupić propozycją uczynienia z niego boga.

Nie miał pojęcia, co planują gorliwcy. Wiedział tylko, że uważają, iż mają prawo działać bez porady czy aprobaty roztrzęsionych mędrców. Wśród spiskowców byli rzecz jasna również ludzie. Cóż można by osiągnąć bez umiejętności i wiedzy Ziemiaków? Nie dopuszczano ich jednak do wewnętrznego kręgu.

Czego więc się dowiedziałem?

Opuścił wzrok ku czystej kartce. Z pewnością mędrzy i gorliwcy wypuścili też inne czułki. Nawet Harullen nie mógł polegać jedynie na nim. Lark wiedział jednak, że jego opinia ma swoją wagę.

Jeśli Ling mówi prawdę i gorliwcy w to uwierzą, mogą odwołać zaplanowaną akcję. Co ich obchodzi fakt, że intruzi zabiorą z planety garstkę glawerów czy skalnych zwłokaczy, pod warunkiem, że zostawią nas w spokoju i pozwolą żyć tak, jak dotąd?

A jeśli Ling kłamała? Czy mogli wobec tego zmarnować najlepszą sposobność ataku?

Z drugiej strony, przypuśćmy, że nikt nie uwierzy Ling, choć jej słowa są jednak prawdziwe? Gorliwcy mogli zaatakować bez powo-

dnia i w ten sposób sprowokować dokładnie taką reakcję, jakiej się obawiali!

Na drugim biegunie radykalizmu, niektórzy z najsłabszych heretyków naprawdę chcieli, by ich unicestwiono, razem z całą resztą Sześciu. Część hoonów i urs należących do stowarzyszenia Harullena pragnęła nadejścia transcendentnego końca: uryjskie apostatki z uwagi na swą gorącą krew, hoonowie zaś właśnie dlatego, że ich namiętności rozbudzały się powoli, lecz gdy już poderwali się do czynu, nie cofali się przed niczym.

Jeśli nasi ekstremiści uznają, że pobratymcom Ling brak odwagi, by dopuścić się tego czynu, mogą uknuć spisek, który sprowokuje masakrę!

I to mimo jego przemowy nakłaniającej, by Sześciu wyrzekło się swego miejsca na Jijo poprzez konsensus i kontrolę urodzin.

Istniał jeszcze plan zaszantażowania piratów. Lark pomógł Bloorowi wykonać zdjęcia ukrytą

kamerą, ale czy mędrcy zdawali sobie sprawę, że cała ta intryga może spowodować skutki przeciwne do oczekiwanych?

Czy uważali, że nie mają nic do stracenia?

Lark potarł porośnięty szczeciną podbródek. Czuł się bardziej zmęczony, niżby wskazywał na to jego wiek.

Jakże splątana pajęczynę pleciemy – pomyślał. Następnie oblizał koniuszek pióra, zanurzył je w atramencie i zaczął pisać.

Nieznajomy

To miejsce sprawia, że chce mu się śmiać. Sprawia, że chce mu się płakać.

Tak wiele książek – pamięta nawet słowo na ich określenie – leży wszędzie wokół niego w wysokich stosach: jeden ogromny szereg za drugim znikają za narożnikami lub w górze, na krętych, spiralnych rampach. Tomy oprawne w skóry nieznanych zwierząt wypełniają powietrze niezwykle zapachami, zwłaszcza gdy otwiera jeden z nich, przypadkowo wybrany z półki i wdycha zapach papieru oraz farby drukarskiej.

Porusza to coś w głębi jego jaźni, wyławiając z niej wspomnienia skuteczniej niż cokolwiek innego od chwili, gdy odzyskał przytomność.

Nagle przypomina sobie szafkę pełną książek podobnych do tych, w jego pokoju, kiedy był jeszcze małym dzieckiem... a to przywołuje pamięć dotyku i szelestu papierowych kart pokrytych jaskrawymi rysunkami. Pamięta, że dorośli nie korzystali z książek zbyt często. Potrzebowali nieustannego błysku i brzęczenia maszyn, które mówiły szybciej, niż dziecko było nauczone słuchać albo rzucały migoczące wiązki wprost do gałki ocznej, wypełniając ją faktami, które znikwały w chwili mrugnięcia. To był jeden z powodów, dla którego wołał solidność papieru. Zapisana na nim ulubiona opowieść nie mogła ulotnić się na podobieństwo dymu, ani zniknąć z chwilą zgaśnięcia infoekranów.

Pojawia się kolejny obraz z dzieciństwa. Trzymając matkę za rękę, spaceruje w publicznym miejscu, gdzie jest dużo ważnych, zajętych ludzi. Kilka ścian pokrywają półki zastawione oprawnymi tomami bardzo podobnymi do książek otaczających go w tej chwili. Wielkie księgi bez obrazków, pełne czarnych, nieruchomych punktów. Wypełnione słowami i niczym więcej. Matka tłumaczyła mu, że prawie nikt już do nich nie zagląda. Miały jednak istotne znaczenie. Służyły jako dekoracje w wielu miejscach uważanych przez ludzi za najświętsze lub najważniejsze.

Stanowiły pamiętki czegoś... nie potrafi sobie w tej chwili dokładnie przypomnieć czego. Musiało to jednak być coś ważnego. Tyle wie.

Czeka cierpliwie, aż obie kobiety – Sara i Arianafoo – zakończą swe spotkania i wrócą do niego. Dla zabicia czasu zaczyna szkicować na bloczku z połyskującego, niemal świecącego papieru. Najpierw próbuje udoskonalić niektóre ze swych rysunków przedstawiających maszynę parowca, a potem stara się uchwycić niezwyklej perspektywę kamiennej groty kryjącej przed niebem wszystkie te dziwaczne drewniane budynki – jaskini, której dach podtrzymują niewiarygodne, masywne, kamienne kolumny.

Niektóre imiona sprawiają mu teraz mniejszą trudność. Wie, że to Prity przynosi mu kubek wody, a potem sprawdza jego bandażę, by się upewnić, czy dobrze trzymają. Jej dłonie trzepoczą i tańczą. Nagle jego ręce zaczynają robić to samo. Patrzy zafascynowany na własne palce, które wykonują ruchy niezależnie od jego woli. Mógłby to być przerażający widok... gdyby nie fakt, że Prity uśmiecha się nagle szeroko

i klepie w kolano, wybuchając ochrypłym, fukającym szympansim śmiechem.

Bardzo go cieszy, że dowcip jej się spodobał. Czuje się jednak zdziwiony i lekko poirytowany

tym, że jego dłonie nie uważały za stosowne podzielić się żartem z nim samym.

No dobra. Wygląda na to, że ręce wiedzą, co robią. Ich praca sprawia mu niejaką satysfakcję. Teraz ponownie ujmują ołówki. Pozwala czasowi upływać. Koncentruje się na ruchach przyboru oraz rozkładzie linii i cieni. Gdy Sara wróci po niego, będzie gotowy na wszystko, co wydarzy się później.

Może nawet okaże się, że jest jakiś sposób na ocalenie kobiety i jej rodaków.

Może to właśnie jego dłonie powiedziały Prity przed krótką chwilą.

Jeśli tak, to nic dziwnego, że mała szympanśca wybuchnęła wymuszonym, pełnym powątpiewania śmiechem.

XVII

KSIĘGA MORZA

Gdyby udało się wam podążyć Ścieżką Odkupienia:

zostać ponownie adoptowanymi i wspomozonymi, otrzymać drugą szansę, nie będzie to jeszcze końcem waszych wysiłków.

Wpierw musicie dowieść, że jesteście szlachetnymi podopiecznymi, posłusznymi i wiernymi nowym opiekunom, którzy was wybawili.

Potem zdobędziecie wyższy status i wychowacie własnych podopiecznych, wielkodusznie przekazując im błogosławieństwa, które zdobyliście.

Z czasem jednak na horyzoncie gatunkowego życia nierzadko pojawia się światło mówiące o innych królestwach, wzywające zmęczonych i godnych.

Powiadają, że to drogowskaz. Niektórzy zwą go Pokusą albo też Przynętą.

Eon za eonem, stare gatunki odchodzą, szukając ścieżek, których młodsze nie potrafią dostrzec.

Ci, którzy znajdują owe szlaki, opuszczają nas.

Niektórzy nazywają to transcendencją. Inni zwą to śmiercią.

ZWÓJ Przeznaczenia

Opowieść Alvina

To, jak się opowiada historie w anglicu albo innych ziemskich językach, których się nauczyłem, interesowało mnie głównie z jednego powodu. Był to problem utrzymywania napięcia.

Niektórzy ludzcy autorzy z dwudziestego czy dwudziestego pierwszego wieku byli w tym prawdziwymi mistrzami. Bywały wypadki, że siedziałem przez trzy noce z rzędu, pochłonięty lekturą Conrada czy Cunina. Odkąd przyszło mi do głowy, by samemu zostać literatem, frapowało mnie pytanie, w jaki sposób ci dawni pisarze osiągnęli swój cel.

Weźcie na przykład tę relację, którą ostatnio prowadzę, gdy tylko mam okazję położyć się na tym twardym pokładzie z notesem w ręku. Jego rogi są całkiem wystrzępione, gdyż brałem go w różne miejsca. Gryzmołę w nim niezgrabne literzyska hoońskiej wielkości ogryzkiem ołówka, który trzymam w zaciśniętej pięści. Od samego początku zastosowałem narrację w pierwszej osobie – tak jak w pamiętniku, tylko z różnymi fajnymi, połyskliwymi ozdobnikami, których nauczyłem się w ciągu lat lektury.

Dlaczego w pierwszej osobie? Cóż, zgodnie z Dobrym pisarstwem Andersena ten sposób znacznie ułatwia zaprezentowanie czytelnikowi jednolitego, opartego na solidnej podstawie punktu widzenia, choć oznacza to, że moją książkę trzeba będzie przetłumaczyć, żeby mógł ją zrozumieć traeki.

Kłopot z kroniką prowadzoną w pierwszej osobie jest jednak taki, że bez względu na to, czy historia jest autentyczna czy wymyślona, czytelnik wie, że bohater nie zginie!

Z tego powodu wy, czytając moje relacje (mam nadzieję, że po tym, jak będę miał szansę go poprawić, dać ludzkiemu ekspertowi, by sprawdził gramatykę, a potem opłacić jego wydrukowanie), wiecie już, że ja, Alvin Hph-wayuo, syn Mu-phauwq i Yowg-wayuo z Wuphonu, śmiały badacz i podróżnik, po prostu muszę wyjść z życiem ze wszystkich perypetii, jakie opiszę, a także ocalić przynajmniej jeden mózg, jedno oko i jedną rękę, żeby to wszystko zanotować.

Spędziłem bezsenne kilka nocy, próbując znaleźć rozwiązanie tego problemu przy użyciu jakiegoś innego języka. Istnieje na przykład tryb niepewny siódmego galaktycznego, ale nie używa się go w czasie kategoriycznie przeszłym. Jest też deklinacja kwantowej nieoznaczono-

ści w buyurskim dialekcie trzeciego galaktycznego, ale to po prostu zbyt dziwaczne. Zresztą dla kogo miałbym pisać? Oprócz mnie jedyną znaną mi osobą czytającą w trzecim galaktycznym jest Huck, a usłyszeć pochwały od niej to trochę tak, jak całować własną siostrę.

Tak czy inaczej, w chwili, gdy przerwałem naszą opowieść, wody Rozpadliny pokryła piana. Długi i wąski cień Krańcowej Skały padał na ocean w miejscu, gdzie lina holownicza i przewód powietrzny wirowały jeszcze i burzyły spokojną zazwyczaj powierzchnię, kręcąc się pod wpływem energii rozciągania uwolnionej przed kilkoma chwilami przez katastrofę.

Aż nazbyt łatwo można było sobie wyobrazić, co się stało z "Marzeniem Wuphonu", naszym małym stateczkiem, który miał zbadać wielką, nieznaną głębię. Z niechęcią przedstawiłem sobie, jak pusta w środku drewniana rura – której koła poruszają się bezużytecznie, a wypukły szklany nos jest stłuczony – pada w czarną pustkę z zerwaną smyczą ciągnącą się z tyłu i unosi ze sobą ku zatraceniu Ziza, mały traacki cząstkowy stos.

Jakby tego nie było dosyć, wszyscy mieliśmy świeżo w pamięci widok Huphu, naszej noorskiej maskotki, która – strącona przez szarpnięcie żurawia – koziółkowała ze skrzekiem, dopóki jej maleńka czarna postać nie zniknęła w błękitnych wodach Rozpadliny. Jak mógłby powiedzieć ziemski imiennik Huck: "Nie ciesz się, zem się na to patrzył".

Przez długi czas wszyscy tylko wytrzeszczali oczy. No wiecie, co więcej mogliśmy zrobić? Nawet protestujący z Wuphonu i Doliny milczeli. Nawet jeśli niektórzy z nich czuli zadowolenie z powodu zasłużonej kary, jaka spotkała heretyków, uznali, że rozsądniej będzie powstrzymać się od triumfowania.

Cofnęliśmy się od krawędzi. Jaki był sens patrzeć na gładki jak aksamit grób?

– Wciągnijcie linę i frzewód – rozkazała Urdonnol. Po chwili bębny zaczęły się obracać w przeciwną stronę, z powrotem nawijając to, co przed kilkoma durami z taką nadzieją rozwinięto. Ten sam hoonński głos podawał zanurzenie, lecz tym razem liczby stawały się coraz mniejsze, a w gardłowym barytonie nie było słycać potężnego, grzmiącego entuzjazmu. Wreszcie, przy głębokości dwóch i pół kabla, z morza

wynurzył się wystrzępiony koniec liny holowniczej ociekający wodą niczym zwisająca bezwładnie, raniona macka trackiego białym płynem limfatycznym. Ci, którzy obracali bęben, zwiększyli tempo, pragnąc przekonać się, co się stało.

– Ślad fo kwasie! – zawołała wstrząśnięta Ur-ronn, gdy oderwany koniec wpadł na skały urwiska. – Sawotaż! – wy sepleniła gniewnie.

Urdonnol sprawiała wrażenie, że nie chce wyciągać zbyt pochopnych wniosków, lecz druga uryjska techniczka przesuwiała węzowym ruchem wąską, nisko opuszczoną głowę to w przód, to w tył, od przeżartego kabla ku tłumowi protestujących, którzy stali na urwisku, gapiąc się na naszą tragedię. Uryjska uczennica cechowa nie ukrywała podejrzliwości.

– Zjeżdżajcie stąd! – krzyknęła gniewnie Huck, tocząc się ku dysydemtom. Żwir tryskał spod obręczy jej kół. Zakręciła, o włos mijając palce stóp kilku ludzi i hoonów, którzy cofnęli się

wystraszeni. Nawet para czerwonych cofnęła swe opancerzone, uzbrojone w szczypce nogi, nim przypomnieli sobie, że wymachująca na oślep szypułkami g' Keczka nie stanowi większej fizycznej groźby dla qheuena. Ponownie ruszyli naprzód, sycząc i klekocząc.

Koniuszek i ja pognaliśmy do Huck. Mogłoby się zrobić paskudnie, gdyby nie to, że pobiegła za nami banda krzepkich kowalic oraz wielkich szarych z kuźni na Mount Guenn. Niektórzy członkowie grupy nieśli pałki, gotowi poprzeć żądanie Huck siłą. Motłoch zauważył ich i opuścił nasze miejsce pracy, cofając się ku swemu prowizorycznemu obozowi.

– Łobuzy! – przeklinała ich Huck. – Wstrętni, dzikijscy mordercy!

Nie w oczach prawa – pomyślałem, nadal odrętwiałały z powodu szoku. Ani Huphu, ani mały Ziz nie byli obywatelami Wspólnoty. Nawet nie honorowymi, jak gławery czy przedstawiciele wszystkich zagrożonych gatunków. Właściwie więc nie było to morderstwo.

Ale – moim zdaniem – czyn bardzo do niego podobny. Zacisnąłem dłonie. Poczulem, że coś we mnie pęka, gdy mój grzbiet zgiął się pod wpływem hormonów walki. U hoonów gniew rozpała się powoli, lecz kiedy już zapłonie, trudno go zgasić. Gdy wspominam swe ówczesne emocje, ogarnia mnie lekki niepokój, chociaż mędracy powiadają, że zło nie kryje się w tym, co się czuje, ale w tym, co się w tej sprawie robi.

Nikt nie powiedział ani słowa. Musieliśmy na chwilę poddać się przygnębieniu. Urdonnol i Ur-ronn sprzeczały się, jaką wiadomość wysłać do Uriel.

Nagle naszą otchłań żałoby przeszył urywany gwizd. Jego źródło znajdowało się za naszymi plecami, bliżej morza. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Koniuszka Szczypiec, który chwiał się odważnie na samej krawędzi urwiska. Piszczął przenikliwie trzema otworami nogo-wymi, wzbijając w górę pył, a jednocześnie kiwał na nas parą odnóży, byśmy się zbliżyli.

– Patrzcie... cię... cię! -jąkał się z przydechem. – Huck, Alvin, szybko!

Huck twierdziła później, że natychmiast domyśliła się, co zobaczył Koniuszek. Sądzę, że spoglądając wstecz wydaje się to oczywiste, ale w owej chwili nie miałem pojęcia, co mogło go aż tak podekscytować. Zbliżywszy się do krawędzi, mogłem tylko gapić się ze zdumieniem na to, co wyłoniło się z brzucha Rozpadliny.

To był nasz batyskaf! Nasze piękne "Marzenie Wuphonu" płynęło w pozycji pionowej. W jasnym blasku słońca sprawiało niemal idylliczne wrażenie. Na jego łukowatym szczycie siedziała mała, czarna postać, mokra i zszargana od nosa do ogona. Nie trzeba było g'Keckiego wzroku, by zobaczyć, że fakt, iż ocalała, zdumiewa naszą małą noorkę w równym stopniu, jak nas jej widok. Aż do nas docierał jej cichy skowyt pełen skargi.

– Ale w jaki sfosów... – zaczęła Urdonnol.

– Oczywiście – przerwała Ur-ronn. – Walast się zwolnił! Zamrugalem parę razy powiekami.

– Aha, balast! Hr-rm, Tak, bez niego "Marzenie" utrzymuje się na powierzchni wody. Ale nie było nikogo, kto pociągnąłby za dźwignię, chyba...

– Chyba że zrobił to Ziz! – dokończyła za mnie Huck.

– Niewystarczające wyjaśnienie – wtrąciła Urdonnol w drugim galaktycznym. – Gdy osiem kabli (ciężkiej, ciągnącej w dół) metalowej liny holowniczej obciążało urządzenie nurkujące, (maleńka) kieszeń powietrzna wewnątrz naszego statku powinna zostać (zdecydowanie) przeciążona.

– Hrm-rm. Chyba rozumiem, co przechyliło szalę – zasugerowałem, osłaniając oczy obiema dłońmi. – Huck, co to za... przedmiot wokół batyskafu?

Nasza zaopatrzona w koła przyjaciółka raz jeszcze zachybotwała się na krawędzi. Rozstawiła szeroko dwie szypułki i wysunęła na dodatek jeszcze trzecią.

– Wydaje się, że to jakiś balon, Alvin. Rura otaczająca "Marzenie" jak kamizelka ratunkowa.

Określony... Ziz!

To zgadzało się z moimi domysłami. Traecki torus, rozdęty bardziej, niż moglibyśmy to uznać za możliwe.

Wszyscy popatrzyli na Tyuga, mistrza mieszanek z Mount Guenn. Pełnowymiarowy traeki zdrzął, wypuszczając z siebie barwny obłok pachnący ulgą.

– Środek ostrożności, który ja-my rozważaliśmy w konsultacji z naszą władczynią, Uriel. Zabezpieczenie o nieznannej, nie wypróbowanej skuteczności. My-ja cieszymy się, że wywlenowaliśmy udany stos. Te pierścienie, jak i tamte na dole, spodziewają się radować ostatnimi wydarzeniami. Wkrótce. W retrospekcji.

– Inaczej mówiąc... ąc – przetłumaczył Koniuszek. – Przestańcie wytrzeszczać gały jak banda oślepionych światłem dnia glawerów. Chodźmy ich stamtąd wyciągnąć... ąc... ąc!

XVIII

KSIĘGA STOKU

Legandy

Powiadają, że dawne pokolenia interpretowały zwoje w sposób całkiem odmienny niż czynimy to teraz, w obecnej Wspólnocie.

Bez wątplenia każda fala imigrantów wywoływała na Stoku nowy kryzys wiary, który przetwarzał i odmieniał nasze przekonania.

Każda z nowo przybyłych grup początkowo zdobywała na krótko przewagę dzięki boskim narzędziom pochodzącym z Pięciu Galaktyk. Przybysze zachowywali te moce na okres od kilku miesięcy do ponad ośmiu lat. Pomagało to ich szczepom ustanowić bezpieczną bazę dla swych potomków, tak jak ludzie zrobili to w Biblos, hoonowie na wyspie Hawph, a g'Kekowie na Płaskowyżu Doodeńskim.

Każdy gatunek zdawał też jednak sobie sprawę ze swych słabych stron: małej populacji założycielskiej oraz nieumiejętności prowadzenia prymitywnego życia na nieznanym świecie. Nawet wyniosłe szare królowe przyznały, że muszą zaakceptować pewne zasady albo narazić się na wendetę połączonych sił wszystkich pozostałych osadników. Przymierze Wygnania ustaliło zasady kontroli populacji, ukrywania się i ochrony Jijo, a także odpowiednie reguły postępowania z odpadami. Te podstawowe nakazy obowiązują po dziś dzień.

Zbyt łatwo się zapomina, że inne sprawy rozstrzygnięto dopiero po zażartej walce.

Na przykład, zawzięty opór przed ponownym wprowadzeniem metalurgii przez uryjskie kowalice tylko częściowo wywodził się z faktu, że qheueni chcieli bronić swego monopolu na narzędzia. Wielu hoonów i trackich było szczerze przeświadczone, że owa innowacja stanowi świętokradztwo. Do dziś niektórzy na Stoku nie chcą dotknąć przekutej buyurskiej stali ani nie dopuszczają jej do swych wiosek czy domów, bez względu na to, ile razy mędrcy oświadczają, że jej "tymczasowe" użycie jest bezpieczne.

Inne zanikające wierzenie można znaleźć wśród tych purytanów, którzy gardzą książkami. Podczas gdy samego papieru raczej nie można

winić – rozkłada się dobrze i można na nim drukować zwoje – nadal istnieje dysydencka mniejszość, która zwie bibloski skarbiec w najlepszym razie marnością i przeszkodą dla tych, którym celem powinna być błogosławiona ignorancja. We wczesnych dniach osadnictwa ludzi na Jijo podobne opinie często wygłaszali ich aryjscy i qheueńscy wrogowie – do chwili, gdy wielkie kowalice odkryły w produkcji czcionek źródło zysku i nałóg czytelnictwa rozprzestrzenił się niepowstrzymanie w całej Wspólnocie.

Dziwne, lecz po ostatnim kryzysie wiary pozostało do dziś najmniej śladów. Gdyby nie pisemne relacje, trudno byłoby uwierzyć, że przed zaledwie stuleciem wielu na Stoku nienawidziło i bało się świeżo przybyłego Świętego Jaja. A przecież w owym czasie usilnie żądano, by Cech Wysadzaczy je zniszczył! Unicestwił kamień, który śpiewa, zęby nie zdradził naszego miejsca ukrycia albo – co gorsza – nie odwiódł Sześciu od podążenia ścieżką wytyczoną już przez glawery. "Jeśli nie mówią o nim zwoje, nie może być święte ". Tak zawsze, od niepamiętnych czasów, twierdzili ortodoksi. Do dziś dnia nie sposób też zaprzeczyć, że w zwojach nie ma najmniejszej wzmianki o czymś, co choć w najmniejszym stopniu przypominałoby Jajo.

Rety

Ciemno, mokro i duszno.

Rety nie podobała się jaskinia.

To na pewno od stęchłego, przesyconego kurzem powietrza tak waliło jej serce. Powodem mogły też być bolesne zadrapania na nogach pozostałe po ześlizgnięciu się krętą rynną wiodącą do tej podziemnej groty od wąskiego wejścia znajdującego się w skrytej w cieniu busów szczelinie.

A może niepokoiły ją kształty, które otaczały ją ze wszystkich stron. Za każdym razem, gdy Rety, z pożyczoną lampą w dłoni, odwracała się gwałtownie, niesamowite cienie okazywały się wypiętrzonymi zimnej, martwej skały. Zdawało się jej jednak, że słyszy cichy głos mówiący:

"Teraz... tak! Ale za następnym zakrętem może się czaić prawdziwy potwór".

Zacisnęła szczęki i przestała go słuchać. Każdy, kto powiedziałby, że jest wystraszona, byłby kłamcą!

Czy ktoś, kto jest wystraszony, zakrada się nocą w ciemne miejsca? Albo robi rzeczy, których zabronili mu wszyscy wielcy, tłuści szefowie Sześciu?

Brzemie w torbie u pasa poruszyło się. Rety sięgnęła pod obszytą futrem klapę, by pogłaskać wijące się stworzenie.

– Nie płosz się, yee. To tylko wielka dziura w ziemi. Wąska głowa i kręta szyja wysunęły się w jej stronę. Troje oczu zalśniło w łagodnym blasku płomieni. Piskliwy głosik wyraził protest.

– yee nie spłoszony! ciemność dobra! na równinach mały urs-facet kochać kryjówki, dopóki nie znaleźć ciepłej żony.

– Dobra, dobra. Nie chciałam...

– yee pomagać nerwowej żonie!

– Ja ci dam nerwowej, ty mały...

Rety przerwała. Może powinna pozwolić, by yee czuł się potrzebny, jeśli pomagało mu to zapanować nad strachem.

– oj! nie tak mocno!

Samiec zaskomlał. Echa poniosły się wzdłuż mrocznego korytarza. Rety zwolniła szybko uścisk. Pogłaskała zmierzwioną grzywę yee.

– Przepraszam. Posłuchaj, założę się, że jesteśmy już blisko, więc nie mówmy za dużo, dobra?

– dobra, yee się zamknąć, żona też!

Zacisnęła wargi. Lecz gniew przerodził się nagle w pragnienie śmiechu. Ten kto mówił, że uryjscy samcy nie są inteligentni, na pewno nigdy nie spotkał jej "męża", yee zmienił nawet ostatnio akcent, imitując sposób mówienia Rety.

Uniosła lampę i ponownie ruszyła krętą jaskinią, otoczona połyskiem dziwnych mineralnych formacji, w których niezliczonych, lśniących powierzchniach odbijał się blask płomieni. Mógłby to być ładny widok, gdyby jej myśli nie zaprzętało tylko jedno. Przedmiot, który miała odzyskać. Coś, co kiedyś, przez krótki czas, było jej własnością.

Mój bilet z tej kuli błota.

Wydawało się, że ślady jej stóp są pierwszymi, jakie kiedykolwiek tu pozostawiono. Nie było to dziwne, gdyż jedynie qheueni – oraz garstka ludzi i urs – mieli smykałkę do podziemnych wędrówek, a Rety ustępowała większości wzrostem. Jeśli będzie miała szczęście, ten tunel

zaprowadzi ją do znacznie większej jaskini. Kilkakrotnie widziała, jak wchodził do niej Lester Cambel. Jej głównym zajęciem było śledzenie najważniejszego z ludzkich mędrców, lecz jednocześnie musiała unikać grupy sfrustrowanych mężczyzn i kobiet, którzy chcieli, by była ich przewodniczką w wyprawie przez góry. Gdy tylko się upewniła, gdzie Cambel spędza wieczory, wysłała yee na zwiady w zarośla, gdzie znalazł to boczne odgałęzienie omijające strzeżone główne wejście.

Mały facecik okazał się diabelnie użyteczny. Ku zaskoczeniu Rety, życie małżeńskie nie było takie złe, gdy już się do niego przyzwyczaiła.

Wicie się i skręcanie w ciasnej torbie nie ustawało. Niekiedy musiała przeciskać się bokiem albo ześlizgiwać w dół wąskimi rynkami i yee skarżył się, gdy go ściśnięto. Poza zasięgiem bladożółtej plamy rzucanego przez lampę światła słyszała cichy, szmer wody, która sączyła się do czarnych sadzawek, rzeźbiąc powoli niesamowite, podziemne kształty z surowych mineralnych soków Jijo. Z każdym krokiem Rety walczyła z uciskiem w piersi, usiłując ignorować roz hulana wyobraźnię, która podpowiadała jej, że znajduje się w krętych wnętrznościach jakiejś olbrzymiej, drzemiącej bestii. Skalna macica nieustannie groziła, że zaciśnie się ze wszystkich stron, zamykając wejścia, a potem zmiażdży ją na proch.

Wkrótce droga zwęziła się do spiralnej, poziomej rury, która była ciasna nawet dla Rety. Musiała wysłać yee naprzód, nim spróbowała pokonać zakręcający korytarz, pchając lampę przed sobą.

Małe kopytka yee zastukały o pokryty piaskiem wapień. Wkrótce z radością usłyszała ochrypły szept.

– być dobrze! dziura się otwiera, niedaleko żona iść, szybciej!

Ponaglenie sprawiło, że omal nie parsknęła gniewnie, co nie byłoby mądrym pomysłem w sytuacji, gdy jej policzek, nos i usta skrobały po szorstkim piasku. Wyginając się, by minąć następny narożnik, poczuła, że ściany się ruszają!

Przypomniała sobie, co opowiadał o tej okolicy brat Dwera, kiedy prowadził ją przez ostatni odcinek drogi do Polany, obok buchających parą siarkowych otworów termicznych. Lark powiedział, że to kraina trzęsień i uważał, że to dobrze!

Wyginała się niespokojnie, z biodrem uwieczonym w skalnej rozpadlinie.

Ugrzęzłam!

Myśl o pułapce sprawiła, że z jej ust wyrwał się jękliwy skowyt. Miotając się, uderzyła się boleśnie w kolano! Świat naprawdę zamykał się wokół niej!

Walnęła czołem o kamień, aż z bólu zobaczyła gwiazdy. Lampa ze świecą w środku wypadła z brękiem z jej zaciskających się palców i jakimś cudem się nie przewróciła.

– żona, spokój! stać! nie ruszać się!

Słowa odbiły się od krzywego zwierciadła jej paniki. Rety uparcie szarpała się z zimnym kamieniem, jęcząc i pchając bezowocnie... aż...

Coś wewnątrz niej strzeliło. Jej ciało zwiotczało w jednej chwili. Z nagłą rezygnacją postanowiła pozwolić górze zrobić z nią, co tylko zechce.

W chwilę po tym, jak przestała się opierać, ruch ścian w cudowny sposób ustał. A może to przez cały czas była tylko ona?

– teraz lepiej? dobrze, dobrze, teraz poruszyć lewą nogą... lewą! dobrze, teraz nie ruszać, w

porządku, przetoczyć się w drugą stronę. doooooobra żona!

Jego cichutki głosik był liną ratowniczą, której trzymała się kurczowo przez kilka dur – przez wieczność – potrzebnych jej, by wydostać się na swobodę. Wreszcie uchwyt kamiennego korytarza zelżał i Rety wypełzła na piaszczysty nasyp ciągłym, niemal płynnym, przynoszącym wyzwolenie ruchem, który przywodził jej na myśl narodziny.

Gdy podniosła wzrok, yee otoczył lampę ramionami i pokłonił się jej, uginając przednie nogi.

– dobra odważna żona! żadna żona nigdy nie być jak zdumiewająca żona yee!

Tym razem Rety nie mogła się powstrzymać. Zakryła usta obiema dłońmi, lecz śmiech, który się z nich wyrwał, odbił się od pokrytych wyżłobieniami ścian. Przeczesany przez stalaktyty, powrócił jako setka cichych ech radości z ocalonego życia.

Mędrzec dumiał nad jej ptakiem.

Spoglądał na niego, zapisywał coś na bloczku, a potem stukał w urządzenie jakimś lśniącem narzędziem.

Rety kipiała złością. Złotozielona maszyna należała do niej. Do niej! Ściagała ją od południowych bagien aż po Góry Obrzeżne, ocaliła przed chciwym mierzwopajakiem, zdobyła ją własnym trudem, cierpieniem

i marzeniami. To ona zadecyduje, kto -jeśli ktokolwiek – będzie ją badał.

Zresztą co prymitywny szaman mógł osiągnąć ze swymi marnymi szklanymi soczewkami i podobnymi rzeczami? Narzędzia leżące obok ptaka mogłyby zaimponować Rety dawniej, kiedy uważała myśliwską kuszę Dwera za coś wspaniałego. Wszystko się jednak zmieniło, odkąd spotkała Besh, Ranna i innych ludzi z gwiazd. Teraz wiedziała, że mimo wszystkich swych póz Lester Cambel jest taki sam, jak Jass, Bom czy cała reszta idiotów z Szarych Wzgórz. Głupie samochwały. Brutale. Zawsze zabierają sobie rzeczy, które do nich nie należą.

W jasnym blasku zwierciadlanej lampy oliwnej Cambel kartkował jakąś książkę. Jej strony obracały się z suchym szelestem, jak gdyby nie otwierano jej od bardzo dawna. Rety nie była w stanie dostrzec wiele ze swego punktu obserwacyjnego znajdującego się w rozpadlinie, wysoko na jednej z urwistych ścian grotu. I tak zresztą nie umiała czytać. Wydawało się, że większą część każdej ze stron pokrywają rysunki złożone z mnóstwa krótkich, krzyżujących się linii. Nic z tego raczej nie przypominało ptaka.

No jazda, yee – pomyślała niespokojnie. Liczę na ciebie.

Podejmowała wielkie ryzyko. Mały samiec zapewnił ją, że da sobie radę z tym zadaniem, co jednak będzie, jeśli się zgubi, przekradając się na drugą stronę? Albo zapomni tekstu? Byłaby wściekła, gdyby faceci-kowi stała się krzywda!

Asystent Cambela wstał z miejsca i wyszedł z pomieszczenia. Być może miał coś do zrobienia albo też poszedł już spać. Tak czy inaczej, chwila była idealna. No jazda, yee!

Rety tak długo przeciskała się przez mroczne przejścia w nieustannej obawie, że mała świeczka zgaśnie, iż chłodny blask lampy mędrca raził jej oczy. Czołgając się przez kilka ostatnich metrów z niechęcią zdmuchnęła własne światło, w obawie, że jego blask przyciągnie uwagę. Teraz tego żałowała.

Co będzie, jeśli będę musiała wrócić tą samą drogą, którą przy szłam?

Nie chciałyby z własnej woli wracać tą trasą, ale jeśli nie będzie innego wyjścia, jeśli ktoś będzie ją ściagał...

Szkoda, że nie miała od czego zapalić płomienia świecy.

Może trzeba się było nauczyć, jak się zapala jedną z tych "zapalek", którymi Stokowcy tak się chwala.

Była zbyt przerażona nagłą eksplozją żaru, by przyglądać się uważnie, kiedy Dwer, a potem Ur-Jah próbowali jej zademonstrować, jak się nimi posługiwać. Wszystko to oczywiście była wina Jassa i Borna, którzy nie lubili, gdy kobiety umiały panować nad ogniem.

Ale ogień świetnie się nadaje do straszenia kobiet albo ich przypiekania, co? – pomyślała gniewnie, dotykając swej twarzy. Może któregoś dnia wrócę, Jass. Może przyniosę ze sobą inny ogień.

Ponownie pogрузzyła się w swym ulubionym marzeniu o tym, jak odlatuje z ludźmi z nieba, by zamieszkać na ich ojczyściej gwieździe. Och, z początku byłaby czymś w rodzaju zwierzątka domowego czy maskotki. Ale dajcie jej czas! Nauczy się wszystkiego, co będzie potrzebne, by zdobyć wyższą pozycję, aż wreszcie stanie się taka ważna...

Taka ważna, że jakiś wielki rotheński książę wyśle na jej rozkaz statek – flotę statków! – by odwieźć ją z powrotem na Jijo.

Fajnie było wyobrazić sobie wyraz twarzy zrozumiątego, przystojnego Jassa, gdy niebo nad Szarymi Wzgórzami pociemnieje w południe, a z góry zagrzmią jej słowa...

– ty być wielki mądry pan człowiek?

Cichutki głosik przywołał ją z powrotem do chwili obecnej. Spojrzała w dół i zobaczyła yee, który truchtał nerwowo obok nogi krzesła Lestera Cambela!

– He? Kto mówi? – zapytał Cambel. yee podskoczył w górę, gdy mędrzec cofnął ze skrzypieniem krzesło i rozejrzał się wokół zdezorientowany.

– wiadomość dla mądrego człowieka! wiadomość od mądrej babki ursy, Ur-Jah!

Cambel spojrzał w dół, najpierw zdumiony, a potem zaintrygowany.

– Tak, malutki? A jak udało ci się minąć strażnika?

– strażnik szukać niebezpieczeństwa, on popatrzeć prosto na yee. czy yee być niebezpieczny?

Małeńki ursik roześmiał się, imitując nerwowy chichot Rety. Miała nadzieję, że Cambel nie zauważy podobieństwa.

Mędrzec skinął z powagą głową.

– Nie wydaje mi się. Chyba żeby ktoś cię rozgniewał, mój przyjacielu. Postaram się tego nie zrobić. No więc, co to za wiadomość przynosisz tak późną nocą?

yee wykonał krótki taniec kopytkami i wznosił ramiona w dramatycznym geście.

– trzeba pilnie pogadać, później patrzeć na martwego ptaszka! pójść do Ur-Jah zaraz, zaraz!

Rety obawiała się, że taka natarczywość wzbudzi podejrzenia. Łysiejący człowiek odłożył jednak natychmiast narzędzia i wstał z miejsca.

– No to w takim razie chodźmy.

Rety poczuła nagły przyływ nadziei, który opadł, gdy Cambel wziął ptaka w rękę.

Nie! Zostaw go!

Całkiem jakby powstrzymał go jej pełen napięcia mentalny nakaz, mędrzec zatrzymał się, potrząsnął głową i odłożył maszynę na miejsce, zabierając zamiast niej notes.

– Odstap, Makdufie – powiedział do yee, wykonując zamaszysty gest.

– co mówić wielki mędrzec? Ursik przechylił głowę.

– Powiedziałem... och, nieważne. To mało zrozumiała aluzja. Chyba jestem po prostu zmęczony.

Czy mam cię ponieść, mój panie?

– nie! yee poprowadzić mądrego człowieka, pójść tędy! tędy!

Pognał ochoczo naprzód, zatrzymując się niecierpliwie, a kilkakrotnie też cofając, gdy mędrzec włókł się powoli za nim.

Kiedy obaj zniknęli już w tunelu prowadzącym do głównego wejścia, Rety, nie marnując czasu,

ześliznęła się w dół po pochyłej kruszącej się wapiennej ścianie i grzmotnęła tyłkiem o podłogę jaskiniowego laboratorium. Dźwignęła się z wysiłkiem na nogi i podbiegła ku stołowi, na którym leżał jej ptak. Od czasu walki z obcym robotem nie miał głowy.

Jego pierś była szeroko otwarta niczym tusza zabitego zwierzęcia podanego na ucztę. Odsłonięte wnętrzości nie przypominały żadnych, jakie Rety dotąd widziała. Lśniły niczym klejnoty.

Co ten śmierzdel zrobił, wypatroszył go jak kurzę stadną? Z wysiłkiem zapanowała nad gniewem. Rann może mi nie zapłacić, jeśli ci dumie zniszczyli go, grzebiąc w jego wnętrzu!

Przyjrzała się dokładniej. Otwór był zbyt regularny, aby wyróżniło go nożem. W gruncie rzeczy, gdy z wahaniem dotknęła żeber ptaka, odniosła wrażenie, że obracają się one gładko wokół linii, wzdłuż której

wciąż były połączone z tułowiem, całkiem jak zawiasowe drzwi wielkiej szafki, których widok zdumiał ją podczas odwiedzin w medycznym namiocie piratów.

Rozumiem. Po prostu się go zamyka... w ten sposób.

Uniosła mniejszy fragment, który zatoczył łuk i zamknął się z wyraźnym trzaskiem.

Pożałowała swego pośpiechu. Nie będzie już miała szansy, by przyjrzeć się bliżej słabym błyskom wewnątrz.

No dobra. Zresztą to nie mój interes – pomyślała. Złapała swą zdobycz. Przynajmniej nie udaję, że jestem czymś więcej niż barbarzyńską przedterminową osadniczką.

Ale nie na zawsze. Gdy już opuścę Jijo, będę się uczyć. Nauczę się wszystkiego!

Ptak ważył więcej, niż to pamiętała. Jej serce nasyciło się na chwilę. Odzyskała swój skarb! Wepchnęła ciężkie urządzenie do torby, omijając rozrzucone na stole książki, po czym umknęła tą samą trasą, którą odeszli yee i Lester Cambel, łatwym, nie zmuszającym do schylania się szlakiem wiodącym ku zewnętrznemu światu.

Drogę oświetlały małe lampki zwisające z przebiegającej wzdłuż korytarza cienkiej busowej rury. Migotliwe płomienie miały niesamowitą, niebieską barwę. Między jasnymi obszarami ciągnęły się rozległe plamy cienia. Również z kilku bocznych komór sączyło się słabe światło. Większość pracowników była nieobecna, gdyż na zewnątrz panowała noc. Mimo to jedna z cel płonęła wręcz od dużych lamp. Nim Rety minęła ją na palcach, przyjrzała się z uwagą dwóm znajdującym się wewnątrz ludziom, którzy na szczęście byli odwróceny. Szeptali do siebie cicho. Na kilkunastu sztalugach umieszczono rysunki przedstawiające gwiazdnych bogów, ich samolot oraz inne narzędzia. Stacja w kształcie sześcianu – której Rety nigdy nie widziała na powierzchni – była oddana z drobnymi szczegółami, wspanialsza niż jakieś stare buyurskie ruiny. Wydawała się jednak maleńka w porównaniu z wyobrażoną na następnym szkicu monstrualną rurą unoszącą się nad lasem.

Mój gwiazdolot – pomyślała, choć onieśmiewała ją sama myśl o wejściu na pokład olbrzymiego statku, gdy ten już wróci po łupieżców. Musi pamiętać, by tego dnia trzymać brodę wysoko i nie okazywać strachu.

Rysownicy uchwycili nieobecny, rozbawiony wzrok Ranna i ostry, typowy dla myśliwego wyraz oczu Kunna, który ustawiał uzbrojone w szpony ramię unoszącego się w powietrzu robota. Błada, skupiona twarz Besh kontrastowała z na wpół cyniczną miną śniadej Ling. Rety wiedziała, że to tylko rysunki, podobne do tych, które starcy wydrapywali czasami na urwisku nad zimową jaskinią wśród Szarych Wzgórz. Były jednak tak dokładne, że wyglądały jak żywe i była w nich jakaś niesamowita magia.

Stokowcy studiują ludzi z gwiazd. Co to może znaczyć? Rety umknęła stamtąd tak szybko, że omal się nie potknęła. Bez względu na to, co planują, niewiele z tego wyniknie. Ponownie skupiła całą uwagę, by wydostać się stąd i zdążyć na spotkanie.

Zapach stęchlizny zaczął słabnąć. Po chwili usłyszała przed sobą głosy... Lester Cambel rozmawiał z innym człowiekiem. Rety podeszła na palcach do następnego zakrętu i wyrzała zza niego. Widać tam było ludzkiego mędrca rozmawiającego ze strażnikiem jaskini, który spoglądał ze zmartwioną miną na yee.

– Osy tajności mogą powstrzymać najmniejsze roboty – mówił Cambel. – Ale co z czymś wielkości tego facecika?

– Daję słowo, sir, nie potrafię sobie wyobrazić, jak się przemknął...

Cambel zbył jego przeprosiny machnięciem ręki.

– Tym razem nic złego się nie stało, synu. Przede wszystkim chroni nas ich pogarda. Przekonanie, że nie mamy nic, co warto by wyszpiegować. Po prostu bądź od tej chwili ostrożniejszy, he?

Poklepał młodego mężczyznę po ramieniu, odwrócił się i podążył za yee, który pognął na zewnątrz. Ścieżka wydawała się jasno oświetlona blaskiem księżyca przedzierającym się między kołyszącymi się łagodnie leśnymi gałęziami. Wciąż wyraźnie zakłopotany strażnik zacisnął szczęki i złapał za broń – coś w rodzaju tyczki z ostrym, przypominającym nóż końcem. Stał w samym środku wejścia. Gdy szuranie kroków Cambela ucichło. Rety odliczyła dwadzieścia dur, po czym przystąpiła do akcji. Udając spokój, podeszła niespiesznie do młodego strażnika, który odwrócił się ku niej, gdy się zbliżyła.

Uśmiechnęła się i pomachała niefrasobliwie ręką.

– Chyba już na dzisiaj skończyłam.

Minęła z ziewnięciem potężnego mężczyznę, wyczuwając jego zaskoczenie i niezdecydowanie.

– Chłopcze, mówię ci, ta nauka to kawał ciężkiej roboty! No to dobranoc.

Znalazła się na zewnątrz. Z radością wciągnęła w płuca świeże górskie powietrze. Usiłowała nie zerwać się do biegu, zwłaszcza gdy mężczyzna krzyknął: – Hej, stój natychmiast!

Rety obróciła się, lecz wciąż oddalała się tyłem wzdłuż ścieżki, j Powstrzymała go jeszcze na kilka sekund, uśmiechając się szeroko.

– Słucham? Czy o coś chodzi?

– Kim ty jesteś?

– Mam tu coś, co mędrzec pewnie chciałby zobaczyć – odparła zgodnie z prawdą, lecz myśląco. Poklepała torbę u pasa, nie przestając się cofać.

Strażnik ruszył w jej stronę.

Rety odwróciła się z radosnym krzykiem i umknęła w las, wiedząc, że pościg jest już w tej chwili beznadziejny. Przegapił swą szansę, śmierdziel!

Mimo to trochę ją ucieszyło, że próbował.

Spotkała się z yee w umówionym miejscu, przy moście z kłód, w połowie drogi do punktu, w którym miał na nią czekać Rann. Ujrzawszy Rety, ursik zaskomlał i wręcz pofrunął w jej ramiona.

Był mniej zadowolony, gdy spróbował zagrzebać się w swym zwykłym miejscu i przekonał się, że torbę wypełnia twardy, zimny przedmiot. Rety wsadziła go za pazuchę. Po chwili najwyraźniej to zaakceptował.

– yee mówić żonie, yee widzieć...

– Udało się!

Rety zarechotała, niezdolna zapanować nad eksplozją radości wywołaną tak szczęśliwie zakończoną przygodą. Pościg stanowił idealne zamknięcie wyprawy. Skakała i śmiała się, biegnąc przez las. Zostawiła z tyłu wielkiego niezdare, który brnął przez mrok, podczas gdy ona zatoczyła krąg, przemknęła się tuż obok hałaśliwego strażnika i wróciła na Polanę.

– Ty też byłeś świetny – powiedziała do yee, oddając mu część zasługi. – Bez ciebie trudniej by to

było zrobić.

Uściskała jego małe ciało tak mocno, że aż poskarżył się kilkoma krótkimi chrząknięciami.

– Czy miałeś jakieś kłopoty z ucieczką przed Cambelem? – zapytała.

– mądry mężczyzna człowiek nie problem, yee uciec łatwo, ale potem...

– Świetnie, a więc z tym koniec. Lepiej już chodźmy. Jeśli Rann będzie musiał czekać, może nie być w takim dobrym nastroju, jak...

– ale wtedy yee zobaczyć coś po drodze na spotkanie z żoną! całe stado urs... qheuenów... hoonów... ludzi... wszyscy skradać się po ciemku i nieść wielkie skrzynie!

Rety pędziła boczną ścieżką wiodącą ku miejscu spotkania.

– He? Słucham? To pewnie jedna z tych głupich pielgrzymek. Szli się modlić do tej wielkiej skały, którą uważają za boga.

Czuła jedynie pogardę dla przesądów przedterminowych osadników. Wszystkie opowieści o legendarnym "Jaju" Stekowców, które słyszała, były dla niej jedynie bajeczkami mającymi wystraszyć niegrzeczne dzieci, tak jak historyjki o duchach, wielkich bestiach i widmach glawerów, które z upodobaniem opowiadano przy ognisku wśród Szarych Wzgórz, zwłaszcza od chwili, gdy władzę nad plemieniem przejęli Jass i Bom. Gdy nadchodziły ciężkie czasy, myśliwi spierali się do późna w nocy, szukając jakiejś przyczyny, z powodu której zwierzyna może się gniewać, a także sposobów, by ją przebłagać.

– banda skradaczy nie wybierać się do świętej skały! – zaprotestował yee. – iść w złym kierunku! nie mieć białych szat, nie śpiewać pieśni! tylko się skradać, mówię! skradać się ze skrzyniami do innej jaskini!

Retyomal nie poczuła zainteresowania, yee zdawał się uważać, że to ważne...

W tej samej chwili jednak szlak zakręcił i ujrzała dolinę, w której mieszkali ludzie z nieba. Światło księżyca padało na namioty. Teraz, w jaskrawym półmroku, wydawały się one z jakichś dziwnych powodów słabiej zamaskowane.

Z zachodu dobiegło ciche brzęczenie. Jej spojrzenie przyciągnął błysk. Ukazał się sunący w powietrzu lśniący przedmiot w kształcie kropli. Opuszczając się w dół, złożył parę delikatnych skrzydeł. Rety poczuła dreszcz, rozpoznawszy małą latającą łódź łupieżców, która wracała z kolejnej tajemniczej ekspedycji. Przyglądała się w osłupieniu, jak śliczny wehikuł osiadł z gracją w dolinie. Pojawił się otwór, który go pochłoniął.

Płuca Rety wypełniło podniecenie. Było jej lekko na sercu. – Cisza, mężu – powiedziała yee, gdy ten poskarżył się, że go

ignoruje. – Czekają nas targi. Teraz musimy dopilnować, by zapłacili obiecaną cenę.

Asx

Moje pierścienie, niepotrzebna wam ta informacja z moich chaotycznych rozważań. Z pewnością wszystkie musicie to czuć w głębi oleistych rdzeni swych torusów.

Jajo. Powoli, jakby wyrywało się z głębokiego odrętwienia, budzi się!

Być może teraz Wspólnota wróci znowu do przyjaźni, duchowej jedności, która ongiś scalała w jedno nasze pragnienia.

Och, oby tak się stało!

Jesteśmy tak podzieleni, tak dalece niegotowi. Tak dalece niegodni.

Och, oby tak się stało.

Sara

Regały były zarażone pszczołami polerkami, a w pokojach muzycznych roiło się od głodnych, gryzących papugokleszczy, lecz szympansi konserwatorzy byli zbyt zajęci, by przeprowadzić odymianie celem wytepienia drobnych szkodników.

Gdy Sara wyszła do zachodniego atrium, by zaczerpnąć trochę powietrza, zauważyła kilku kudłatych robotników, którzy pomagali ludzkiemu bibliotekarzowi pakować cenne tomy do wyściełanych wełną skrzyń, a potem zapieczętowali je woskiem ściekającym z wielkiej, czerwonej świecy. Jego bryłki przywierały do skołtunionego futra szympansów, które wymieniały skargi ukradkowym miganiem.

To nie jest w porządku – przetłumaczyła w myśli serię gestów i ochryplych chrząknięć jednego z robotników. W tym nieumiarkowanym pośpiechu robimy godne pożałowania błędy.

Czysta prawda, mój kolego! – odpowiedział drugi. Ten tom Audena nie powinien się znaleźć między greckimi klasykami! Nigdy potem nie uporządkujemy tych książek jak należy, kiedy kryzys wreszcie się skończy, co z pewnością musi nastąpić.

Cóż, może jej tłumaczenie było zbyt pochlebne dla szympansów, lecz te, które pracowały w tych uświęconych salach, należały do szczególnego rodzaju. Niemal tak szczególnego jak Prity.

Nad nimi wznosiło się atrium Pałacu Literatury. Przebiegały przez nie mosty i rampy łączące ze sobą czytelnie i galerie pełne półek jęczących pod ciężarem książek, które pochłaniały dźwięk, a jednocześnie emitowały woń farby drukarskiej, papieru, mądrości i zakurzonego czasu. Tygodnie gorączkowej ewakuacji, wysyłania na osłach pak do odległych jaskiń nie uczyniły w skarbcu widocznego uszczerbku. Nadal był zapchany tomami wszelkich kolorów i rozmiarów.

Mędrzec Plovov nazywał ten gmach – poświęcony legendom, magii i zmyśleniom – Domem Kłamstw. Sara jednak zawsze odnosiła wrażenie, że jest to miejsce mniej obciążone brzemieniem przeszłości niż pobliskie budynki poświęcone nauce. Ostatecznie, co mogli barbarzyńcy z Jijo dodać do góry faktów usypanej tu przez ich podobnych bogom przodków? Góry, która w porównaniu z Wielką Biblioteką Galaktyczną przypominała ponoć ziarenko piasku. Wiarygodność opowieści przechowywanych w tym pałacu nie mogła być zakwestionowana przez jakiś starożytny autorytet. Dobre czy złe, wielkie czy łatwe do zapomnienia, żadne dzieło literatury nigdy nie było w możliwy do udowodnienia sposób "fałszywe".

Plovov mówił: "Łatwo jest być oryginalnym, kiedy nie trzeba przejmować się tym, czy się mówi prawdę. Magia i sztuka wywodzą się z uporu egomaniaka twierdzącego, że artysta ma rację, a wszechświat się myli".

Rzecz jasna, Sara zgadzała się z nim. Z drugiej jednak strony sądziła też, że Plovov jest zazdrosny.

Gdy ludzie przybyli na Jijo, wpływ, jaki to wywarło na pięć pozostałych gatunków, musiał przypominać skutki spotkania Ziemi z kulturą galaktyczną. Po całych stuleciach, podczas których mieli jedynie garstkę rytych zwojów, ursy, g'Kekowie i pozostali zareagowali na zalew papierowych książek z podejrzliwością połączoną z żarłocznym apetytem. W przerwach między krótkimi gwałtownymi wojnami nieładnie pochła-

niali terrańskie bajki, dramaty i powieści. Kiedy tworzyli własne dzieła, naśladowali ziemskie gatunki literackie: były to na przykład namiastki elżbieteńskich romansów, których bohaterkami czynili królowe o szarych skorupach albo legendy rdzennych północnych Amerykanów przerobione na użytek uryjskich plemion.

Ostatnio jednak rozpoczął się rozkwit nowych stylów, od heroicznych opowieści przygodowych aż po epickie poematy o niezwykłych metrach i rymach, odzierające z ostatnich strzępów porządku dialekty! siódmego, a nawet drugiego galaktycznego. Drukarze i introligatorzy! mieli tyle samo zamówień na nowe tytuły, co na wznowienia. Uczni debatowali nad tym, co to może oznaczać:

wybuch herezji czy wyzwolenie ducha?

Tylko niewielu ważyło się używać słowa "renesans".

A wszystko to może się skończyć za kilka dni albo tygodni – pomyślała ze smutkiem Sara. Wieści z Polany – przyniesione przez pilota, który miał odwagę pokonać kajakiem bystrza Bibur – mówiły, że mędrzy nie zmienili swej pesymistycznej oceny obcych genowych rabusiów oraz ich zamiarów.

Cóż, Bloor powinien być już na miejscu.

Plan Sary mógł nie powstrzymać ludzi z nieba przed masowym mordem, ale istoty tak bezbronne jak Sześciu musiały próbować wszelkich sposobów.

Łącznie z szalonym pomysłem Ariany. Nawet jeśli to okrutne.

Głos starej mędrzyni dobiegał z pokoju za plecami Sary.

– Daj spokój, mój drogi. Już wystarczająco długo się z tym męczysz. Zobaczmy, co zrozumiesz z tej fajnej książeczki. Czy już kiedyś widziałeś takie słowa i symbole?

Sara westchnęła i odwróciła się, by przejść do Skrzydła Literatury Dziecięcej.

Nieznajomy siedział obok fotela na kółkach Ariany Foo, otoczony książkami pełnymi jaskrawych kolorów, z prostym tekstem wydrukowanym wielką, łatwą do odczytania czcionką. Choć na jego twarzy dostrzegało się wyczerpanie, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna z rezygnacją wziął w rękę kolejny tom i przebiegł palcami po kropkach, pochyłych kreskach i paskach rymowanek do nauki drugiego galaktycznego. Był to elementarz przeznaczony dla młodych uryjskich średniaczk. Sara nie czuła się zaskoczona, gdy nieznajomy wydymał wargi i mlaskał języ-

kiem, przedzierając się z wysiłkiem przez stronę. Jego oczy rozpoznawały symbole, lecz najwyraźniej nie był w stanie zrozumieć samych fraz zdaniowych.

Podobnie wyglądały sprawy w przypadku książek w anglicy, szóstym i siódmym galaktycznym. Sara z rozdartym sercem przyglądała się, jak jego frustracja przeradza się w udrękę. Być może ranny dopiero teraz zaczynał w pełni pojmować, co mu odebrano. Co utracił na zawsze.

Natomiast Ariana Foo sprawiała wrażenie absolutnie usatysfakcjonowanej. Spojrzała rozpromieniona na Sarę.

– To nie jest prostak z jakiegoś daleko położonego sioła – stwierdziła stara kobieta. – Był wykształconą osobą, znającą wszystkie języki, jakich używa się obecnie wśród Sześciu. Jeśli będzie na to czas, musimy go zabrać do Skrzydła Lingwistyki, żeby sprawdzić kilka zapomnianych dialektów! Dwunasty galaktyczny rozstrzygnąłby sprawę. Tylko trzech uczonych na Jijo zna go dziś choć w niewielkim stopniu.

– Ale po co? – zapytała Sara. – Dowiodłaś swego. Czemu nie zostawić go w spokoju?

– Za minutkę, moja droga. Jeszcze jeden czy dwa teksty i skończymy. Najlepsze zachowałam na koniec.

Dwóch pracowników biblioteki przyglądało się nerwowo, jak Ariana sięgnęła do stosu książek leżących u jej boku. Niektóre z nich były bezcenne. W grzbiety miały wprawione pierścienie służące do umocowania łańcuchów, którymi z reguły przytwierdzone były do półek. Archiwistom wyraźnie nie podobało się, że bierze je w łapy nie umiejący mówić barbarzyńca.

Nie chcąc na to patrzeć, Sara odwróciła wzrok.

W pozostałej części Skrzydła Literatury Dziecięcej panował spokój. Nie było tam wiele dzieci. Uczni, nauczyciele i wędrowni bibliotekarze ze wszystkich sześciu gatunków przybywali tu, by studiować i przepisywać książki lub wybierać te, które chcieliby pożyczyć. Transportowali swój cenny ładunek wozami, łodziami bądź na grzbietach osłów do osad rozsianych po całym Stoku. Sara zauważyła czerwoną qheuenkę, która ostrożnie wybrała kilka ciężkich, oprawnych w mosiądz albumów, jakich potrzebował jej gatunek. Asystowały jej dwa lomiki wyszkolone na pomocników i

nauczone przewracania stron. Jeden z nich pacnął pszczołą polerkę, która posuwała się po okładce książki, ocierając się

o nią miłośnie brzuchem, co nadawało jej wspaniały połysk, a jedno – i cześnie usuwało fragmenty tytułu. Nikt nie wiedział, jaki pożytek przynosiły te owadopodobne stworzenia Buyurom, lecz w dzisiejszych czasach były diabelnie uciążliwe.

Widziała też innych przedstawicieli każdego z gatunków, wychowawców, którzy nie pozwalali, żeby byle kryzys przeszkadzał im w poważnym zadaniu kształcenia następnego pokolenia. Za qheuenką stał starszy tracki wybierający tomy impregnowane w ten sposób, by były odporne na fluidy emitowane przez nowe stopy pierścieni, zbyt jeszcze niezgrabne, by panować nad swymi procesami wydzielania.

Sara usłyszała cichy jęk i obejrzała się. Nieznajomy trzymał przed sobą długą, wąską książkę, tak starą, że kolory na niej wyblakły i poszarzały. Jego ciemna twarz zachmurzyła się pod wpływem sprzecznych emocji. Sara nie zdążyła przeczytać tytułu. Udało się jej jedynie dostrzec na okładce chudego, czarnego, kota w wysokim cylindrze w czerwono--białe paski na głowie. Nagle, ku zdziwieniu bibliotekarzy, nieznajomy przycisnął mocno książkę do piersi i zaczął kołysać się w przód i w tył z zamkniętymi oczyma.

– Gwarantuję, że zna to z dzieciństwa – postawiła diagnozę Ariana Foo, notując coś na bloczku. – Według indeksów, wśród dzieci północno-zachodniej ziemskiej cywilizacji ta bajka cieszyła się szeroką popularnością niemal nieprzerwanie przez ponad trzy stulecia. Możemy więc tytułem próby określić kulturę, z której się wywodzi...

– Jak miło. To znaczy, że skończyłaś? – zapytała uszczypliwie Sara.

– He? Tak. Chyba tak. Na razie. Uspokój go, kotku. A potem przyprowadź. Będę czekała w głównym salonie muzycznym.

Powiedziawszy to, Ariana skinęła krótko głową szympansowi wyznaczonemu do pchania jej fotela i zostawiła Sarę samą z podenerwowanym nieznajomym.

Ten mruczał coś do siebie, jak zwykł to robić od czasu do czasu, powtarzając raz za razem tę samą krótką frazę. Coś, co przebiło się na zewnątrz przez uszkodzenie jego mózgu. W tym przypadku był to niewątpliwie nonsens, spowodowany przez intensywne emocje.

– ..okropnie lepkie lepiszcze... – powtarzał w kółko, rechocząc z żalem – ..okropnie lepkie lepiszcze...

Delikatnie, lecz zdecydowanie Sara zdołała wyrwać starożytny tom z jego drżących dłoni. Oddała skarb przyglądającym się temu z dezaprobatą bibliotekarzom. Cierpliwie skłoniła rannego, by wstał. Jego ciemne oczy zamgliło cierpienie, które rozumiała. Ona również utraciła kogoś bliskiego.

Tyle że nieznajomy opłakiwał sam siebie.

Przy wejściu do salonu muzycznego czekała na nich dwójka greckich uczonych, specjalistów od medycyny, którzy zbadali nieznajomego wkrótce po jego przybyciu do Biblos. Jeden z nich ujął go teraz za rękę.

– Mędrzyni Foo prosi, byś przeszła do pokoju obserwacyjnego. Następne drzwi – powiedział drugi. Jedną szypułką wskazał na wejście widoczne dalej w korytarzu. Gdy nieznajomy popatrzył pytająco na Sarę, skinęła głową, by dodać mu odwagi. Jego ufny uśmiech pogorszył tylko jej samopoczucie.

W pokoju obserwacyjnym panował półmrok. Światło dostawało się do środka przez dwa okrągłe okna – wspaniałe płyty włókna szklanego pozbawionego skaz poza charakterystycznym centralnym trzpieniem. Wychodziły one na drugie pomieszczenie, w którym dwójka g'Keckich lekarzy sadzała

właśnie nieznanego przed wielkim pudłem, które po jednej stronie miało korbę, a po drugiej przypominający trąbę róg.

– Wejdz, kotku. I zamknij, proszę, drzwi.

Minęło kilka dni, nim oczy Sary zaadaptowały się na tyle, by mogła dojrzeć, kto siedzi obok Ariany. A wtedy było już za późno na ucieczkę.

Obecna była cała grupa z Tarek, a także dwóch ludzi w szatach uczonych. Ulgor i Brzeszczot mieli oczywiście powody, by tu przyjść. Brzeszczot pomógł uratować nieznanego z bagna, a Ulgor była honorową delegatką z Dolo. Nawet Jop miał oficjalny pretekst, by się tu znaleźć. Ale dlaczego w pokoju przebywali Jomah i Kurt Wysadzac? Bez względu na to, jakie tajemnicze cechowce sprawy przywiodły ich z Tarek, stary mężczyzna i chłopiec przyglądali się wydarzeniom z milczącym skupieniem charakterystycznym dla ich rodziny i rzemiosła.

Ludzcy uczeni zwrócili się w jej stronę.

Bonner i Taine. Właśnie te osoby, których miała nadzieję podczas obecnej wizyty uniknąć.

Obaj mężczyźni wstali.

Sara zawahała się, a potem pokłoniła głęboko.

– Mistrzowie.

– Moja droga Saro. – Bonner westchnął. Łysiejący topolog wspierał się na lasce i bardziej jej potrzebował, niż wtedy, gdy Sara widziała ostatnio. – Bardzo nam cię brakowało w tych zakurzonych salach.

– Ja też za tobą tęskniłam, mistrzu – odparła, zaskoczona, że to prawda. Być może otępienie wywołane śmiercią Joshu sprawiło, że zamknęła się nie tylko na złe wspomnienia, lecz również na zbyt wiele dobrych. Ciepło dłoni starego uczonego na jej ramieniu przywołało pamięć wielu wspólnych spacerów, dyskusji o tajemniczych, nieskończone fascynujących zwyczajach kształtów. Takich, które można było opisać symbolami, ale nie można było zobaczyć na własne oczy.

– Proszę cię, nie mów już do mnie "mistrzu" – odparł. – Jesteś teraz adeptką, albo wkrótce nią zostaniesz. Chodź, usiądź między nami jak za dawnych czasów.

Aż zanadto jak za dawnych czasów, stwierdziła, gdy spojrzała w oczy drugiego mędrca, matematyka. Wysoki, srebrnowłosego algebraik w ogóle się nie zmienił. Nadal był zdystansowany i tajemniczy. Taine skinął głową i wypowiedział jej imię, po czym znowu usiadł i zwrócił się w stronę okna. Jak zwykle wybrał miejsce najdalsze od znajdujących się w pokoju ludzi.

Skrepowanie, jakie odczuwał mędrzec Taine w obecności przedstawicieli innych szczepów, nie należało do rzadkości. W każdym gatunku istniała podobnie czująca mniejszość. Reakcja ta była głęboko zakorzeniona w starożytnych popędach. Ważne było, jak ktoś sobie z tym radził, a Taine był nienagannie uprzejmy dla uryjskich czy g'Keckich nauczycieli, którzy zwracali się do niego z pytaniami dotyczącymi wzoru dwumianowego. Biorąc pod uwagę to obciążenie, szczęśliwie się złożyło, że wysoki mężczyzna mógł prowadzić klasztorne życie uczonego... takie, jakie spodziewała się wieść Sara...

– do chwili, gdy przyjezdny introligator przerodził się w nieoczekiwanego zalotnika i wypełnił jej serce niespodziewanymi możliwościami;

– do chwili, gdy śmiało oznajmiła swym zbitym z tropu kolegom, że nowym przedmiotem jej badań będzie – ni mniej, ni więcej tylko język;

– do chwili, gdy Joshu zapadł na szalejącą w dolinie Bibur pieprzową ospę, zarazę, która powalała swe ofiary z przerażającą szybkością,

a Sara musiała patrzeć, jak inna kobieta wykonuje żałobne rytuały, wiedząc, że wszyscy przyglądają się jej, ciekawi jak zareaguje;

– do chwili, gdy po pogrzebie mędrzec Taine zwrócił się do niej zachowując sztywne formy, i powtórzył swe poprzednie oświadczenia;

– do chwili, gdy pod wpływem impulsu uciekła z tego miejsca, pełnego kurzu i wspomnień, do domku na drzewie rosnącym obok wielkiej tamy, przy której się urodziła.

Wszystko to zatoczyło krąg i wróciło teraz do niej. Taine wydawał się jej tak ascetycznie piękny, gdy przybyła do Biblos jako nastolatka. Wysoka, niezmiernie imponująca postać. Lecz jej uczucia zmieniły się od tego czasu. Wszystko się zmieniło.

Taine'a nagle opuściło arystokratyczne opanowanie. Zaklął i pacnął się w szyję. Następnie popatrzył na własną dłoń i rozczarowany zmarszczył brwi. Sara spojrzała na Bonnera. Ten wyszeptał:

– Papugokleszcze. Piekielnie uciążliwe. Niech cię Ifni ma w swej opiece, jeśli któryś dostanie ci się do ucha. Przez tydzień słyszałem wszystko podwójnie, dopóki Vorjin nie wyłowił tego cholerstwa.

Ariana Foo odkaszlnęła z emfazą, przyciągając ich uwagę.

– Saro, tłumaczyłam już pozostałym, że jestem przekonana, iż twój nieznajomy jest człowiekiem z gwiazd. Dalsze badania wyjaśniają naturę jego obrażeń.

Jej szympansi pomocnik podał pozostałym kartki papieru pokryte paskami będącymi efektem pośpiesznej pracy napędzanej korbą fotokopiarki. Widniał na nich stylizowany profil męskiej głowy. Strzałki i podpisy wskazywały na różne jej części. Większość słów wydawała się Sarze bełkotem, choć dla Larka mogłyby brzmieć znajomo.

– Pamiętałam, że kiedyś o tym czytałam. Miałam szczęście, że udało mi się szybko znaleźć odpowiednie informacje. Wygląda na to, że gdy nasi przodkowie opuszczali Ziemię, prowadzono eksperymenty i mające na celu stworzenie bezpośredniego połączenia między komputerem a żywym ludzkim mózgiem.

Sara usłyszała za sobą czyjś pełen zachwyty syk. Wielu członków Sześciu przypisywało słowu "komputer" magiczną moc. Załogi wszystkich skradaczy, które dotarły na Jijo, przetopiły swe cyfrowe maszyny obliczeniowe, łącznie z najmniejszymi, nim oddały swe gwiazdne krą-towniki głębi Śmietniska. Żadne inne należące do nich przedmioty nie

do tego stopnia nie groziły zdradzeniem nielegalnej obecności rozumu;
na zakazanym świecie.

Sara czytała kilka barwnych książek z ziemskich czasów, w których autorzy opisywali połączenie mózgu z komputerem. Zawsze dotąd uważała to za metaforę, tak jak legendy o latających ludziach z piórami przyklejonymi do rąk. Ariana jednak twierdziła, że kiedyś traktowano ów pomysł poważnie.

– Ta ilustracja pokazuje niektóre z obszarów mózgu rozważanych jako miejsca neuroelektronicznego złącza w czasach odlotu naszych przodków. W ciągu minionych trzystu lat badania z pewnością posunęły się naprzód – ciągnęła Ariana. – W gruncie rzeczy, jestem przekonana, że nasz nieznajomy posiadał podobne urządzenie: otwór pozwalający mu obcować z komputerami i innymi urządzeniami, wbudowany tuż nad lewym uchem.

Teraz z kolei Sara wciągnęła głośno powietrze.

– A więc jego... Ariana uniosła dłoń.

– Można śmiało uznać, że poparzenia i drobniejsze obrażenia powstały w chwili, gdy statek czy samolot, którym leciał, rozbił się na Wiecznym Bagnie, niedaleko od miejsca, w którym znalazła go Sara wraz z przyjaciółmi. Niestety, jego cudowne ocalenie przed śmiercią w płomieniach złączyło się z pechowym przypadkiem. Sztuczny łącznik przytwierdzony do głowy został gwałtownie

wyrwany wraz z fragmentami lewego płata skroniowego. Nie potrzebuję dodawać, że jest to część ludzkiego mózgu najściślej powiązana ze zdolnością mowy.

Sara mogła tylko zamrużyć powiekami. Widziała przez szybę człowieka, o którym mówiła Ariana Foo. Jego oczy lśniły zainteresowaniem, gdy przyglądał się, jak g'Keccy lekarze przygotowywali urządzenie.

– Sądziłem, że podobne uszkodzenia powinny być śmiertelne – odezwał się Bonner, wyrażając tym samym również i jej zaskoczenie.

– W rzeczy samej, wydaje się, że wrócił do zdrowia w nadzwyczajnym stopniu. Gdyby nie był dorosłym mężczyzną o sztywnej strukturze synaptycznej, może zdołałby przebudzić zdolność mowy w na wpół uśpionym prawym płacie skroniowym, jak udaje się to niekiedy dzieciom i kobietom z uszkodzeniami po lewej stronie. W jego sytuacji, pozostaje tylko jedna moż... przerwała, zauważywszy, że szy pułki w sąsiednim pokoju zakołysały się.

– Widzę, że nasi dobrzy lekarze są gotowi. Możemy zaczynać. Ariana otworzyła otwór podsluchowy pod bliższą z szyb. Niemal

w tej samej chwili Sara poczuła ostre ukłucie w udo, a Taine raz jeszcze plasnął się w szyję.

– Cholerne szkodniki! – mruknął. Spojrzał z ukosa na Sarę.

– Wszystko tu idzie w diabły i to pod wieloma względami.

Dobry, stary, wesoły Taine – pomyślała, tłumiąc pragnienie, by potrzeb własną szyję. Papugokleszcze były na ogół nieszkodliwe. Stanowiły kolejną tajemniczą pozostałość po buyurskich czasach. Któż mógłby pragnąć "symbiozy" ze zwierzęciem, które wczepiało się w jedną z żył i wynagradzało gospodarza powtarzaniem wszystkich dźwięków, które słyszał? Buyurowie musieli być doprawdy dziwnymi istotami.

W sąsiednim pokoju jeden z g'Kieckach lekarzy otworzył wielki album, w którego grubych kieszeniach kryło się kilka tuzinów cienkich, czarnych krążków. Medyk wyjął delikatnie jeden z nich i położył go na okrągłej platformie, która zaczęła się obracać.

– Elenentame urządzenie nafędzane struną – wyjaśniła Ulgor. – Łatwo je zwudować ze złonu i fiatów wusa.

– Prymitywny, ale efektywny analogowy system przechowywania i wyszukiwania danych – naświetlił sprawę Taine.

– Bezpiecznie niecyfrowy – dodał Bonner.

– Takjessst – syknął na znak zgody Brzeszczot, niebieski qheuen.

– I słyszałem, że gra muzykę. Swego rodzaju.

g'Kecki lekarz opuścił delikatnie drewniany twomik. Cienki rylec dotknął krawędzi obracającego się krążka. Niemal natychmiast z przypominającego kształtem róg głośnika popłynęły niskie tony melodii. Miały dziwnie blaszane brzmienie. Towarzyszył im akompaniament cichych trzasków. Sarze wydawało się, że dźwięki łaskoczą cebulki jej włosów.

– To są oryginalne płyty – oznajmiła Ariana Foo. – Wytłoczone przez kolonistów z "Tabemacie" w czasach Wielkiego Drukowania. Obecnie odtwarza je jedynie garstka ekspertów. Ziemskie formy muzyczne nie są popularne w dzisiejszej Wspólnocie, ale założę się, że nasz nieznajomy będzie innego zdania.

Sara słyszała o urządzeniu do odtwarzania płyt. Słuchanie muzyki bez żywego wykonawcy wydawało się czymś dziwnym. Niemal równie dziwnym, jak sama muzyka, która nie przypominała niczego,

co w życiu słyszała. Szybko rozpoznała niektóre instrumenty: skrzypce, perkusję i rogi. Było to

naturalne, ponieważ instrumenty strunowe i dęte | wprowadzili na Jijo Ziemianie. Szyk dźwięków był jednak osobliwy. | Sara szybko zrozumiała, że najbardziej niesamowite wrażenie wywiera jego uporządkowanie.

Współczesny jijański sekstet stanowił połączenie sześciu solistów, z których każdy spontanicznie mieszał swe tony z produkowanymi przez pozostałych. Połowę zabawy zawdzięczano oczekiwaniu na nieprzewidywalne, szczęśliwe połączenia harmonii, pojawiające się i znikające, całkiem jak samo życie. Nigdy się nie zdarzało, by dwa występy były takie same.

Ale to jest czysto ludzka muzyka. Skomplikowane akordy wirowały w krąg, tworząc sekwencje powtarzające się z absolutną, zdyscyplinowaną precyzją. Jak w nauce, chodzi o to, by stworzyć coś powtarzalnego, weryfikowalnego.

Popatrzyła na pozostałych. Ulgor wyglądała na zafascynowaną. Zginała kiść lewej dłoni – tę, którą dotykało się strun wiolusa. Oszołomiony Brzeszczot kołysał ciężką skorupą, a młody Jomah siedzący obok swego flegmatycznego stryja wydawał się niespokojny, zbity z tropu i znudzony.

Choć Sara nigdy w życiu nie słyszała nic podobnego, coś w uporządkowanym rozmachu i przepływie harmonii wydawało się w niewyraźalny sposób znajome. Nuty przywodziły na myśl... liczby, a frazy figury geometryczne.

Gdzie znaleźć lepszy dowód na to, że muzyka może przypominać matematykę?

Nieznajomy również zareagował. Pochylił się do przodu i poczerwieniał. W jego przymrużonych oczach widać było wyraźne oznaki rozpoznania. Sarę zalała fala troski. Dalsze pobudzenie emocjonalne mogło przekroczyć granice wytrzymałości nieszczęśnika.

– Ariano, czy to wszystko do czegoś zmierza? – zapytała.

– Jeszcze chwilę, Saro – mędrzyni raz jeszcze uniosła dłoń. – To była tylko uwertura. Teraz pora na część, która nas interesuje.

Skąd to wie? – zastanowiła się Sara. Najwyraźniej zakres eklektycznej wiedzy Ariany obejmował nawet zapomnianą starożytną sztukę.

I rzeczywiście, po chwili instrumentalny fragment zakończył się crescendo i ucichł. Potem pojawił się nowy element: łatwy do rozpoznania ton ludzkich głosów. Kilka pierwszych strof umknęło Sarze.

Pochyliła się do przodu i skupiła, by zrozumieć dziwacznie akcentowane słowa.

Dzisiaj właśnie nasz uczeń piracki Wreszcie skończył swój okres terminu. Mocne ramię ma i węż ma chwacki, Jest już gotów do pirackich wyczynów.

Wywarło to na nieznanym głębokie wrażenie. Podniósł się z drżeniem. Uczucie, które rozlało się na jego twarzy, nie było zwykłym rozpoznaniem, lecz radosnym zaskoczeniem.

Nagle – co jego samego wyraźnie zdumiało nie mniej niż Sarę – otworzył usta i sam zaczął śpiewać!

Nalej, nalej pirackiego sherry i napełnij pirackie kielichy. By entuzjazm ogarnął nas szczery, Wnieśmy puchar piracki kielichy!

Sara również zerwała się z miejsca, gapiąc się na niego z osłupieniem. Ariana Foo wydała z siebie okrzyk satysfakcji.

– Aha! Trafienie za pierwszym strzałem! Nawet mając wskazówkę odnoszącą się do kultury, spodziewałam się, że będziemy musieli spróbować wielu melodii, nim znajdziemy jakąś, którą będzie znał.

– Ale jego rana! – sprzeciwił się Taine. – Zdawało mi się, że mówiłaś...

– Zgadza się – wtrącił Bonner. – Jeśli nie może mówić, to jak może śpiewać?

– Ach, o to chodzi – Ariana zlekceważyła cud machnięciem ręki. – To inne funkcje. Inne części

mózgu. Medyczne źródła podają precedensy. Słyszałam, że nawet tu, na Jijo, zaobserwowano to raz czy dwa. Mnie zdumiewa co innego – kulturowa trwałość, jakiej dowiódł ten eksperyment. Upłynęło trzysta lat. Sądziłabym, że do tej pory galaktyczne wpływy wyeliminują wszelkie rodzime ziemskie... – Stara kobieta przerwała, jakby zdała sobie sprawę, że zbacza z tematu. – No, ale mniejsza o to. W tej chwili liczy się fakt, że nasz pozaplanetarny gość znalazł jednak sposób na porozumienie z nami.

Nawet w półmroku uśmiech Ariany wydawał się szeroki i absolutnie wyprany z pokory.

Sara położyła dłoń na szkle. Poczowała, jak jego chłodna gładkość wibruje pod wpływem granej w sąsiednim pokoju muzyki. Zaczęła się nowa piosenka. Rytm stał się wolniejszy, melodia się zmieniła, lecz temat najwyraźniej pozostał ten sam.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w ochrypy, radosny głos nieznanego, który tak gorąco pragnął, by wreszcie go usłyszano, że wyprzedzał nagranie.

Ty odejdziesz do kłamliwego świata, Gdzie dostatnie jest życie pirata. Lecz ja, wierny piosence tej jak pies, Będę królem piratów aż po kres.

J

XIX

KSIĘGA MORZA

Zwoje

Galaktyk, jak powiadają, było ongiś siedemnaście, połączonych i związanych kanałami skupionego czasu.

Jeden po drugim te kruche przewody pękaly, gdy wszechświat rozciągał się w starzejących się szwach. Galaktyk Przodkowie znali jedenaście.

Sześć jeszcze poszło odrębną drogą, w wiekach, które minęły od tej pory, pozostawiając dalekich kuzynów nieznanemu losowi. Galaktyk nasi bezpośredni protoplasci znali pięć.

Lecz czy zdarzy się to ponownie, w czasie gdy szukamy odkupienia w tej leżącej odłogiem spirali? Czy ktoś po nas przybędzie, kiedy nasza niewinność się odrodzi?

Na naszym niebie galaktykę widzimy tylko jedną.

Zwój Możliwości

Opowieść Alyina

Nie chcę zbyt długo się rozwodzić nad moją rolę w tym, co zaszło potem. Powiedzmy tylko, że jako młody hoon płci męskiej zostałem uznany za najlepiej nadającego się do zwisania na końcu ponownie założonej liny kotwicznej. Siedziałem w prowizorycznych szelkach, podczas gdy obsługa opuszczała mnie ku ciemnoniebieskim wodom Rozpadliny.

Gdy opadłem poniżej krawędzi, widziałem tylko kilka hoońskich i uryjskich twarzy oraz jedną parę g'Keckich szypulek, które gapiły się na mnie z góry. Potem nawet one stopiły się ze skalnym tłem. Zostałem sam, zwisając niczym przynęta nadziana na umocowany do liny haczyk. Starłem się nie patrzeć w przepaść, lecz porywisty wiatr wkrótce sprawił, że lina zakołysała się, przypominając mi, jak wątłe mam oparcie.

Podczas samotnego zjazdu w dół miałem czas zadać sobie pytanie:

"Co u licha tutaj robię?"

Stało się ono swego rodzaju mantrą. (O ile dobrze pamiętam to słowo. Nie ma go w słowniku, który mam ze sobą w tym zimnym, twardym miejscu.) Gdy powtórzyłem to zdanie wiele razy, przestało mnie przerażać i fascynować. Nabrało dziwnie przyjemnego rytmu. W połowie drogi w dół burkotałem już:

– Co u licha. Tutaj. Robię!

Inaczej mówiąc, wykonywane jest jakieś zadanie i wykonującym je jestem ja, dlaczego więc nie zrobić tego jak należy? Anglicki sposób na wyrażenie bardzo hoońskiej myśli.

Zresztą chyba udało mi się skutecznie przekonać samego siebie, bo kiedy pod koniec opuścili mnie zbyt nisko, nie wpadłem w panikę. Moje kudłate nogi zanurzyły się głęboko, nim hamulce zaskoczyły i lina przestała podskakiwać. Potrzebowałem dłuższej chwili, by zaczerpnąć oddechu i zacząć burkotać do Huphu, wzywając ją, by popłynęła do mnie z "Marzenia Wuphonu", które było odległe niemal o strzał z łuku. Pośpiech miał istotne znaczenie, ponieważ batyskaf powoli znosiło ze spokojnych wód pod Krańcową Skałą. Wkrótce stateczek miał ogarnąć Prąd Rozpadlinowy i mogliśmy go już nigdy nie zobaczyć.

Tym razem Huphu nie kazała mi czekać. Zanurkowała i popłynęła ku mnie niczym mała, czarna strzałkoryba. Upadek z urwiska najwyraźniej nie wyrządził jej szkody.

Jak brzmi ten niesmaczny kawał, który opowiadają o noorach? Jeśli już koniecznie musisz zabić jednego z nich, będziesz potrzebował kwarty traeckiej trucizny, qheueńskich szczypiec, ludzkiej strzały i serii uryjskich obelg. Nawet wtedy uda ci się jedynie pod warunkiem, że hoon odciągnie wpięrow uwagę zwierzęcia pierwszorzędnym burkotem, a potem g'Kek przetoczy się kilka razy po trupie, dla pewności.

Przyznaję, że to szczeniacki dowcip, ale wyraża też swego rodzaju szacunek. Nie mogłem nie śmiać się z niego kręgowo, gdy czekałem na naszą niezniszczalną Huphu. Wreszcie wdrapała mi się po nodze i spoczęła w moich ramionach, napawając się moim uradowanym burkotem. Wyczułem, że wciąż jest wystraszona, gdyż choć raz nie starała się być nonszalancka, czy ukrywać, jak się cieszy z mojego widoku.

Czasu było jednak mało. Tak szybko, jak tylko mogłem, założyłem jej uprzęż z mocnego sznura i kazałem wrócić do morza.

Plan Urdonnol wydawał się dobry... pod warunkiem, że Huphu zrozumie moje instrukcje... "Marzenia" nie zniosło jeszcze poza jej zasięg... noorce uda się zahaczyć koniec liny o pierścień uszczelniający batyskafu... podtraeki Ziz zdoła jeszcze przez jakiś czas zachować swą potężnie rozdętą postać i utrzymać na powierzchni całą tę masę metalu... a na nowo spleciona lina kotwiczna wytrzyma ciężar, podczas gdy obsługa będzie go wciągać na górę...

Wątpliwości było bardzo wiele. Kapryśne zachcianki ziemskiej bogini szczęścia i przypadku, Ifni, kołyszą się w obie strony niczym wahadło. Tak jak owego dnia, gdy najpierw przekłęta nasze przedsięwzięcie katastrofą, a potem cisnęła kośćmi po raz drugi, odmieniając sytuację. Przez pełną napięcia midurę wszyscy niepokoiliśmy się i zastanawialiśmy, co przyniesie jej następny grzechoczący rzut. Wreszcie oboje z Huphu stanęliśmy, ociekając wodą, na krawędzi urwiska tuż obok pięknej burty "Marzenia Wuphonu". Gapiliśmy się ze zdumieniem, jak Tyug ostrożnie wypuścił powietrze z Ziza i zaopiekował się nim. Tymczasem Koniuszek i Huck krążyli wokół batyskafu, poszukując nerwowo uszkodzeń, a Ur-ronn nadzorowała robotników wciągających resztę zwisającej liny.

Po chwili oba jej końce spoczęły obok siebie na kamiennym płaskowyżu, przezarte, wystrzępione i przerwane.

– To się już nie fowtórzy! – szepnęła nasza uryjska przyjaciółka tonem, jakiego ursa używa, gdy wypowiada przepowiednię, ślubuje. Oznacza to, że urwie głowę każdemu, kto spróbuje jej przeszkodzić.

Następnego dnia wróciła Uriel. Przygalopowała do obozu w towarzystwie uzbrojonych pomocnic i orszaku jucznych osłów. Wraz z nią przybyły wiadomości przekazane przez sztafetę semaforów i gońców z dalekiej północy. Wieczorem odczytała je na głos na migotliwym de

Gromady Dmuchawiec widocznej ponad lśniącymi wodami Rozpadliny. Odziana w szaty młodszego mędrca kowalica podsumowała to, co wydarzyło się na zgromadzeniu: przyłot nie tylko gwiazdolotów, lecz również gwiazdnych przestępców. Istot zdolnych położyć kres Wielkiemu Pokojowi, Wspólnocie i być może uśmiercić wszystkich członków Sześciu.

Nie dostrzegłem reakcji Huck w chwili, gdy Uriel napomknęła przelotnie, że gatunek g'Keków jest wśród gwiazd wymarły, a jego ostatni żywi członkowie spadli do poziomu barbarzyńców toczących się po prymitywnych szlakach w pyle Jijo. Mój tunel uwagi był nadal skupiony na innej zdumiewającej wiadomości.

Łupieżcy byli ludźmi!

Wszyscy wiedzą, że zaledwie trzysta lat temu Ziemianie byli w oczach boskich galaktycznych klanów niewiele więcej niż zwierzętami. Jak więc nędzni ludzie mogli porwać się na dokonanie skomplikowanej kradzieży w takiej odległości od domu?

Nagle zdałem sobie sprawę, że ponieważ Uriel zwracała się do nas w formalnym drugim galaktycznym, ja również myślałem w tym języku, patrząc na wydarzenia na sposób Galaktów. Sprawy wyglądały zupełnie inaczej, gdy sformułowałem to samo pytanie w anglicu.

Trzysta lat? To wieczność! W ciągu takiego okresu ludzie przeszli od żaglowców do pierwszych gwiazdolotów. Któż może wiedzieć, co wydarzyło się do dziś? Może są już właścicielami połowy wszechświata!

Fakt, że pewnie przeczytałem za dużo książek Doca Smitha i Star--Smasher Fenga. Choć jednak większość osób obecnych tej nocy na urwisku okazała szok na wiadomość, że mądre, kulturalne istoty, jakimi są ludzie, mogły się dopuścić podobnych rzeczy, ja się nie zdziwiłem, bo znam ukrytą prawdę o nich. Przewija się ona przez całą ziemską literaturę niczym nigdy nie znikający burkotliwy ton.

Tak długo, jak przetrwa ich gatunek, niektórzy z nich będą wilkami.

Zdumiało nas wszystkich, gdy Uriel oznajmiła, że projekt będzie kontynuowany.

Mówiono o mobilizacji milicji, awaryjnych naprawach kamuflażu i ewentualnej konieczności walki na śmierć i życie z nieprzyjacielem, który miał przygniatającą przewagę, spodziewałem się więc, że kowa-

lica każe nam wszystkim natychmiast wracać do Wuphonu i na Mount Guenn, byśmy zabrali się do roboty dla wspólnego dobra. Wytrzeszczyliśmy oczy, gdy zaczęła się zachowywać tak, jakby to nasza głupia podwodna ekspedycja była naprawdę ważna. Powiedziałem jej to nawet prosto w twarz.

– Dlaczego się tym zajmujesz? – zapytałem następnego dnia, gdy Uriel nadzorowała ponowne zespalenie liny kotwicznej i doprowadzającego powietrze przewodu. – Czy nie masz na głowie ważniejszych zmartwień?

Jej szyja wyciągnęła się ku górze, unosząc środkowe, pozbawione źrenicy oko niemal do poziomu moich.

– A co twoin zdaniem fowinniśny rowić? Produkować wron? Za-nienić naszą kuźnię w fawrykę śnierci?

Jej pojedyncze nozdrze rozděło się, odsłaniając skręcone błony, które zatrzymują wilgoć, sprawiając, że uryjski oddech jest tak suchy, jak wiatr wiejący od Równiny Ostrego Piasku.

– Ny, ursy, dowrze znany śnierć, nłody Hph-wayuo. Nazwyt szyw-ko fokrywa ona łuskani nasze nogi i wysusza nężowskie torwy. Alwo też frzyśfieszany ją walkani i wendetani, całkien jakwy chwała nogła wynagrodzić szywkie nadejście kresu. Wardzo wiele urs niło wsfonina dni, gdy Zienianie wyli naszyni najwsfanialszyni wrogani, a fo frerii wuszowały wohaterki dokonujące wrawuowych szarż. Ja również czuję ten zew. Fodownie jak inne, ofieran się nu. Nasz czas wynaga

innego rodzaju wohaterów, nodzieńcze. Wojowników, którzy unieją nysleć.

Wróciła do swych zadań. Kierowała robotnikami, poświęcając bardzo dużo uwagi wszystkim szczegółom. Usłyszawszy jej odpowiedź, poczułem się zbity z tropu i nie usatysfakcjonowany... lecz również – z jakiegoś powodu, którego nie potrafiłem zgłębić – trochę bardziej dumny niż uprzednio.

Remont i trzykrotne sprawdzenie wszystkich systemów zajęło dwa dni. Przez ten czas skład tłumu gapiów uległ zmianie. Wielu z tych, którzy byli tu na początku, pognało do domów, usłyszawszy wieści przyniesione przez Uriel. Niektórzy służyli w milicji lub gorąco pragnęli dokonać niszczycielskich sakramentów przepisanych przez najstarsze zwoje. Inni chcieli ratować swą własność przed przedwczesnym przerobieniem na odpady przez gorliwych lub po prostu być z tymi, których kochali, podczas spodziewanych ostatnich dni.

Tych, którzy odeszli, zastąpili inni, jeszcze bardziej rozgniewań albo przestraszeni rzeczami, które widzieli. Nie dalej jak wczoraj obse watorzy od Wuphonu aż po zatokę Finaltown ujrzeli wąskie, uskrzy< lone widmo – jasny statek powietrzny – które zatrzymało się m bezużytecznymi kamuflażowymi kratownicami, jak gdyby chciało pi wiedzieć: "Widzę was", a następnie zakosami poleciało wzdłuż wybrzi za, nim oddaliło się nad morskie fale.

Nikt nie musiał tego mówić głośno. Bez względu na to, co Uri chciała tu osiągnąć, nie mieliśmy wiele czasu.

XX

KSIĘGA STOKU

Legendy

Pierwsze gatunki przedterminowych osadników przybyły na Jijo posiadając wiedze, lecz nie dysponowały bezpiecznymi sposobami jej przechowywania. Zachowały się nazwy wielu narzędzi archiwizacji, jak płytki danych, łuski pamięci czy infopył, lecz wszystkie trzeba było oddać głębi.

Ziemiańskie posiadali bezpieczny, niewykrywalny sposób zapisu informacji. Tajemnica produkcji papieru – roztwarzania i przesiewania włókien roślinnych z domieszką gliniek oraz produktów zwierzęcych – była unikalnym wynalazkiem dzikusów. Załoga " Tabemacie " opuściła jednak Ziemię tak szybko po Kontakcie, że książki opublikowane podczas Wielkiego Drukowania zawierały bardzo niewiele danych na temat galaktologii, a zwłaszcza innych "zakażeń przedterminowymi osadnikami ", do których doszło w Pięciu Galaktykach.

Wskutek tego trudno jest nam patrzeć na Jijariską Wspólnotę z właściwej perspektywy. Pod jakim względem różnimy się od innych przypadków nielegalnego osadnictwa na pozostawionych odłogiem światach ? Czy udało nam się skuteczniej zminimalizować wyrządzane szkody? Jakie mamy szansę na uniknięcie wykrycia? Jakiego rodzaju sprawiedliwość wymierzano innym nielegalnym lokatorom, których schwytano? Jak daleko musi się posunąć gatunek na Ścieżce Odkupienia, by jego członkowie ze zbrodniarzy przerodzili się w błogosławionych ?

Zwoje udzielają pewnych informacji na te tematy. Ponieważ jednak większość z nich wywodzi się z pierwszych dwóch czy trzech lądowań, rzucają niewiele światła na jedną z największych tajemnic.

Dlaczego tak wielu przybyło na ten mały skrawek gruntu w tym samym, krótkim odcinku czasu ?

W porównaniu z pięćsetleciem, które upłynęło od odejścia Buyurów, dwa tysiąclecia nie są zbyt długim okresem. Ponadto istnieje mnóstwo pozostawionych odłogiem światów. Dlaczego więc Jijo? Na naszej planecie jest wiele regionów. Dlaczego więc Stok?

Na każde z tych pytań istnieją odpowiedzi. Wielka, rzygająca węglem gwiazda Izmunuti zaczęła osłaniać okoliczną przestrzeń dopiero przed kilkoma tysiącletkami. Mówią nam, że to zjawisko w

jakiś sposób obezwładniło strażnicze roboty patrolujące szlaki wiodące do tego układu, co ułatwiło zadanie skradaczom. Istnieją także niejasne wzmianki o znakach przepowiadających "czas zaburzeń", który wkrótce ma wywołać chaos w Pięciu Galaktykach. Jeśli zaś chodzi o Stok, występująca tu kombinacja silnej biosfery z wysoką aktywnością wulkaniczną daje pewność, że stworzone przez nas dzieła zostaną zniszczone, pozostawiając tylko niewiele śladów po naszej obecności.

Niektórzy uważają te odpowiedzi za wystarczające. Inni nie przestają się zastanawiać.

Czy jesteśmy jedyni w swoim rodzaju?

W niektórych językach galaktycznych sama gramatyka demaskuje to pytanie jako świadczące o obłąkaniu. W miliardoletnich archiwach wszystko ma swój precedens. Oryginalność jest iluzją. Wszystko co jest, już kiedyś było.

Być może jest to charakterystyczne dla naszego nędznego stanu – niecywilizowanego poziomu świadomości, jeśli porównać nas z wyżynami naszych protoplastów – bliskimi boskim – lecz nie opuszcza nas pokusa, by zadawać sobie pytanie:

Czy może się tu dziać coś niezwykłego?

Spensir Jones, Homilia na dzień lądowania

Asx

My, mędrcy, nauczamy, że głupotą jest czynić nieuzasadnione założenia. Mimo to podczas tego największego z naszych kryzysów często okazywało się, że najeźdźcy wiedzą o wielu rzeczach, które uważaliśmy za bezpiecznie ukryte.

Czy powinno nas to zaskakiwać, moje pierścienie? Czyż nie są gwiazdnymi bogami z Pięciu Galaktyk?

Co gorsza, czy byliśmy zjednoczeni? Czyż liczni członkowie Sze-

ściu nie skorzystali nieroztropnie z prawa do odmiennej opinii, wbrew naszym radom przypochebiając się ludziom z nieba? Niektórzy z nich po prostu zniknęli, w tym również młoda przedterminowa osadniczka, która tak poirytowała Lestera swą niewdzięcznością, gdy odważyła się ukraść przyniesiony przez siebie skarb, nad którym ludzki mędrzec dumiał przez długie dni. Czy mieszka ona teraz w ukrytej pod ziemią stacji, rozpieszczana niczym ulubiony zookir g'Keka? Czy też przestępcy z nieba po prostu usunęli, tak jak traeki opróżnia swój rdzeń ze zużytej mierzwy albo jak ziemscy tyrani eliminowali quislingów, którzy spełnili już swoje zadanie?

Na każdą tajemnicę odkrytą przez piratów przypada jakaś kwestia świadcząca o ich szokującym, jak na bogów z nieba, nierozeznaniu.

Jest to dla nas źródłem zdumienia, lecz również przynosi nam odrobinę pociechy w sytuacjach takich jak ta, gdy obserwujemy dumnego, onieśmielającego gościa, który dziś rano złożył wizytę Radzie Mędrców.

Moje pierścienie, czy wspomnienie tego wydarzenia otuliło już wasze woskowe rdzenie? Czy przypominacie sobie, jak człowiek z gwiazd, Rann, wypowiedział swe życzenie? Jak zwrócił się do nas, by kilku członków jego grupy zaproszono na naszą najbliższą komunię ze Świętym Jajem?

Prośba była uprzejma, lecz brzmiała w niej nuta rozkazu.

Nie powinniśmy być zaskoczeni. Jak obcy mogliby nie zauważyć, co się dzieje?

Drżenia, z początku wyczuwalne tylko dla najbardziej wrażliwych, nasilały się, aż wreszcie przeniknęły cały ten zakątek naszego świata,

- skłębiając mgły, które wznoszą się z gejzerów i gorących sadza-i wek,
- kierując stadami przelatujących ptaszków,
- przebudzając śpiące rewqi zarówno w jaskiniach, jak i w naszych torbach,
- a nawet wypełniając sobą niezliczone błękitne odcienie nieba.

– Wiele słyszeliśmy o waszym świętym kamieniu – powiedział Rann. – Jego aktywność wzbudza fascynację naszych układów zmysłowych. Chcielibyśmy zobaczyć ten cud na własne oczy.

– Proszę bardzo – odpowiedział Yubben w imieniu Sześciu, owijając wokół siebie trzy szypułki w wyrażającym zgodę geście. Jak zresztą moglibyśmy odmówić?

– Powiedz proszę, ilu członków będzie liczyć wasza grupa? Rann pokłonił się raz jeszcze. Wyglądał imponująco, jak na człowieka. Nie ustępował wzrostem trackim, a w barach był szeroki niczym

młody hoon.

– Będzie nas troje. Mnie i Lingjuż poznaliście. Co zaś do trzeciego, jego czcigodne imię brzmi Rokenn. Jest konieczne, byście zrozumieli, jak wielki zaszczyt was spotka. Naszemu panu trzeba okazać wszelkie należne wyrazy uprzejmości i szacunku.

My, mędracy, zamrugaliśmy i poruszyliśmy na znak zdumienia naszymi różnorodnymi oczyma, przesłonami i plamami wzrokowymi. Wszyscy, oprócz stojącego obok naszego trackiego stosu Lestera Cam-bela, który mruknął cicho:

– A więc cholerni Dakkinowie przez cały czas chowali jednego pod ziemią.

Ludzie są zaskakującymi istotami, lecz nietaktowne zachowanie Lestera tak oszołomiło nasze pierścienie, że „ja” poczułem się jednomyślnie zdumiony. Czy nie obawiał się, że zostanie podsłuchany?

Najwyraźniej nie. Za pośrednictwem naszego rewqa „ja” odczytałem odczuwaną przez Lestera pogardę dla stojącego naprzeciw nas człowieka i przyniesionej przez niego wiadomości.

Pozostali członkowie rady płonęli z ciekawości i nie trzeba było rewqa, by to zauważyć.

Wreszcie mieliśmy spotkać Rothena.

Lark

Droga Saro,

Karawana niosąca Twój list potrzebowała trochę czasu, by tu dotrzeć, z uwagi na trudności na równinach. Jakże jednak się cieszę, że ujrzałem Twe znajome bazgrały i dowiedziałem się, że czujesz się dobrze! Podobnie jak ojciec, w chwili gdy widziałas go po raz ostatni. W dzisiejszych dniach jest bardzo niewiele powodów do uśmiechu.

Gryzmołę to szybko w nadziei, że złapię następnego odważnego kajakowego posłańca ruszającego w dółBibur. Jeśli list dotrze do Biblos przed Twoim odjazdem, mam nadzieję, że zdołam Cię przekonać, byś tu nie przyjeżdżała! Sytuacja jest okropnie napięta. Pamiętasz te historyjki o tamie, które kiedyś sobie opowiadaliśmy? Nie spałbym w tej chwili w tym pokoiku na poddaszu, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Proszę Cię, zaczekaj w jakimś bezpiecznym miejscu, dopóki się nie dowiemy, co się dzieje.

Zgodnie z Twą prośbą, zadałem kilka dyskretnych pytań o tego tajemniczego nieznajomego. Obcy niewątpliwie chcą odnaleźć kogoś lub coś, pomijając to, że chcą nielegalnie dokonać adopcji gatunku będącego kandydatem do wspomagania. Nie potrafię dowieść, że Twój tajemniczy ranny nie jest przedmiotem ich poszukiwań, ale idę o zakład, że stanowi co najwyżej drobny element całego obrazu.

Mogę się mylić. Niekiedy odnoszę wrażenie, że jesteśmy jak mrówki kuchenne zadzierające wzrok ku górze i usiłujące odcyfrować sens ludzkiej kłótni z ruchów cieni nad sobą.

Och, potrafię sobie wyobrazić, jaką masz teraz minę! Nie przejmuj się, nie zamierzam się poddać! W gruncie rzeczy, mogę Ci udzielić innej odpowiedzi na pytanie, jakie zawsze mi zadajesz... Tak, poznałem dziewczynę. Inie, nie sądzę, byś ją zaakceptowała. Nie jestem też pewien, czy ten chłopak ją akceptuje.

Uśmiechając się ironicznie, Lark skończył pierwszą stronę listu i odłożył pióro. Dmuchał na papier, po czym wydobył przenośny bibularz i przetoczył filc po jeszcze mokrych od atramentu liniach. Wyjął ze skórzanej aktówki następną kartkę, zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął pisać dalej.

Razem z tym listem otrzymasz odbitą na wałku kopię ostatniego raportu rozsyłanego przez mędrców na cały obszar Wspólnoty, wraz z poufnym dodatkiem przeznaczonym dla Ariany Foo. Dowiedzieliśmy się paru nowych rzeczy, choć jak dotąd niczego, co mogłoby nam zapewnić ocalenie po powrocie rotheńskiego statku. Jest tu Bloor. Pomogłem mu wprowadzić Twój pomysł w życie, choć dostrzegam niebezpieczeństwa, z jakimi może się wiązać próba zagrożenia obcym Zgodnie z Twoim poleceniem.

Lark zawahał się. Nawet tak zamaskowane aluzje mogły okazać się zbyt ryzykowne. W normalnych czasach byłoby nie do pomyślenia, żeby ktoś zaglądał do listów nie skierowanych do niego. Zgodnie jednak z historycznymi świadectwami, podczas starożytnych kryzysów na Ziemi rozgorączkowane stronnictwa dopuszczały się podobnych rzeczy. Po cóż zresztą Sara miałaby się martwić? Czując się jak marnotrawca, zmiął kartkę i zaczął od nowa.

Powiedz, proszę, męczycy Foo, ta młoda Shirl, córka Kurta, dotarła bezpiecznie, podobnie jak B...r, którego praca posuwa się naprzód dobrze, jak zresztą można było oczekiwać.

Tymczasem spróbowałem się czegoś dowiedzieć w innych kwestiach, o które pytałaś. Przepytanie ludzi z kosmosu jest trudnym zadaniem, gdyż zawsze każą sobie płacić informacjami przydatnymi dla ich zbrodniczych celów. Muszę też unikać wzbudzania podejrzeń w związku ze sprawami, o których chcę się czegoś dowiedzieć. Mimo to zdołałem wytargować kilka odpowiedzi.

O jedną było łatwo. Ludzie z gwiazd z reguły nie używają anglicu, rossicu ani żadnego z "barbarzyńskich języków dzikusów". Takiego właśnie sformułowania użyta Lingparę dni temu, całkiem jakby te języki były zdecydowanie zbyt wulgarne i nieregularne, by mógł się nimi posługiwać godny tego miana naukowiec. Och, i ona, i pozostali znają anglic na tyle dobrze, by móc w nim rozmawiać, lecz między sobą wolą siódmy galaktyczny.

Przerwał, by zanurzyć pióro w kałamarzu pełnym świeżego atramentu.

Zgadza się to z naszym przypuszczeniem, że ci ludzie nie pochodzą z głównego pnia gatunku! Inaczej mówiąc, nie reprezentują Ziemi, lecz wywodzą się z odrośli lojalnej wobec Rothenów, którzy podają się za dawno utraconych opiekunów ludzkości.

Pamiętasz, jak matka kazała nam prowadzić debaty o problemie pochodzenia? Jedno z nas przytaczało argumenty na rzecz daenikeni-stów, a drugie broniło stanowiska darwinistów? Wydawało się to wówczas interesujące, lecz pozbawione znaczenia, gdyż wszystkie znane nam fakty pochodziły z tekstów liczących sobie trzysta lat. Kto by pomyślał, że dożyjemy chwili, gdy ktoś ogłosi odpowiedź na Jijo, za naszego życia?

Co do prawdziwości twierdzeń Rothenów, nie mogę nic dodać do faktów zawartych w raporcie, poza tym, że Ling i pozostali wydają się namiętnie w to wierzyć.

Lark pociągnął łyk źródlanej wody z glinianego kubka. Raz jeszcze umoczył pióro.

A teraz wiadomość, która sprawiła, że wszyscy są podekscytowani. Wygląda na to, że mamy wreszcie ujrzeć owe tajemnicze istoty! Za kilka godzin jeden lub więcej Rothenów ma wyjść ze swej podziemnej stacji i przyłączyć się do pielgrzymki do budzącego się Jaja! Przez cały ten czas nie domyślaliśmy się, że gwiazdolot zostawił przedstawicieli tego gatunku razem z Rannem i resztą ludzi.

Wspólnota jest napięta niczym zbyt mocno naciągnięte struny wio-lusa. Atmosfera lęku stała się tak gęsta, że można by ją ciąć nadużywaną przenośnią.

Lepiej, żebym w coś zawinał te kartki, jeśli mam zamiar wrzucić je do paczki z listami.

Zaczekajmy. Pytałaś też o "neuropolączenia". Czy obcy używają podobnych rzeczy, by

komunikować się bezpośrednio z komputerami i innymi urządzeniami?

Miałem zamiar odpowiedzieć "tak" Ling i pozostali mają maleńkie urządzenia przekazujące głos i dane, które docierają z daleka w pozornie magiczny sposób.

Potem jednak przeczytałem ponownie Twój opis obrazów nieznanego i raz jeszcze rozważyłem sprawę. Piraci kierują swymi urządzeniami głosem i gestami. Nigdy nie widziałem niczego, co przypominałoby bezpośrednie łącze mózg-komputer albo "natychmiastową komunikację człowieka z maszyną", o której mówiła Ariana.

Gdy się już nad tym zastanowiłem...

Lark ponownie zanurzył pióro, uniósł rękę, by kontynuować pisanie, lecz zatrzymał się nagle.

Obok namiotu, na wysypanej żwirem ścieżce, słychać było kroki. Rozpoznał ciężkie, miarowe skrobanie szarego qheuena. Nie był to też swobodny, bezpretensjonalny rytm Uthena, lecz majestatyczna, rozkołysana kadencja stawianych na przemian stóp – trudny, arystokratyczny

krok, jakiego uczyły pokryte chityną matriarchinie, które niekiedy używały tytułu królowych.

Lark odłożył pióro i zamknął aktówkę. Na tle wejścia zamajaczyła niska, szeroka sylwetka. Głosowi Harullena towarzyszyły fletowe westchnienia trzech otworów mownych, z których każdy wyśpiewywał inny ton w arystokratycznym qheueńskim dialekcie szóstego galaktycznego.

– Przyjacielu Larku, czy jesteś w środku? Pozdrów mnie, proszę. Przynoszę ci cenne dary.

Lark uniósł połę namiotu. Przysłonił oczy, gdy wyszedł z półmroku prosto w promienie zachodzącego słońca, którego ostry blask przedzierał się między szeregami leśnych olbrzymów.

– Pozdrawiam cię, Harullenie, towarzyszu w wierze – odpowiedział w tym samym języku.

Harullen miał na pięciokątnej skorupie szaty pielgrzyma, które centralną kopułę pozostawiały odsłoniętą. Ozdobny, tkany strój g'Keckiej roboty połyskiwał w ukośnych promieniach słońca. Oczy Larka przyzwyczyły się do światła, więc dopiero po chwili zauważył drugi nowy szczegół: coś o barwie popiołu owiniętego wokół kopuły.

– Aha – skomentował, przechodząc na swobodniejszy dialekt siódmego. – A więc to prawda. Maska odnawia swą ofertę.

– Czerpania pożywienia z naszego ciała w zamian za odsłonięcie duszy. W rzeczy samej. Maska wraca pomiędzy nas. Jaskinie, które wydawały się jałowe, roją się teraz od młodych, labilnych rewqów. Jajo zaś ponownie podejmuje swą przynoszącą harmonię pieśń. Czyż nie są to dobre znaki? Czy mamy się radować?

Harullen strzelił jedną parą szczypiec, by dać znak lomikowi, który skrywał się skulony za swym panem. Mały sługa okrążył pośpiesznie potężny bok qheuena. Biegł, kołysząc się na czterech nogach, imitując jego stateczny krok. W małych, trójpalczastych dłoniach trzymał polerowaną drewnianą szkatułkę, na której widniały wyżłobione ślady osobistego zębowego rzeźbienia.

– Wśród tego plonu jaskiniowej młodzieży było wiele egzemplarzy dopasowanych kształtem do szlachetnych ludzkich czoł – ciągnął Harullen. – Przyjmij je jako wyraz najwyższego uznania i dokonaj spomiędzy nich wyboru.

Lark wziął szkatułkę od lomika. Wiedział, że płochliwemu stworzeniu nie należy dziękować ani nawet spoglądać w oczy. W przeciwieństwie do szympansów i zookirów, lomiki sprawiały wrażenie zdolnych połączyć się więzią jedynie z gatunkiem, który przed prawie tysiącem lat sprowadził ich przodków na Jijo.

Uniósł pokryte delikatnymi wyżłobieniami wieko szkatułki. Zgodnie z qheueńską tradycją wygryzł ją ofiarodawca i już nie można jej było nigdy użyć do żadnych innych celów. Wewnątrz, na podłożu z trocin garu, drżało kilka skupisk pokrytych brązowymi cętkami witek połączonych barwnymi taśmami przezroczystej błony.

Było tak mało czasu. Miałem tyle obowiązków. To naprawdę jest wspaniała przysługa...

Niemniej, w ostatecznym rozrachunku, Lark wolałby sam pójść do jaskini i znaleźć dla siebie następnego rewq, tak jak robił to już trzy razy, odkąd osiągnął dojrzałość. Wybieranie symbionta z pudełka wydawało się dziwne. Co miał zrobić z pozostałymi?

Kilka macek uniosło się niepewnie, sięgając ku światłu, a potem wygięło się, poszukując. Tylko jedna para nie okazywała niezdecydowania. Kołysała się delikatnie w kierunku Larka, rozsnuwając między nimi delikatną pajęczynę.

Cóż, to faktycznie jest rewq przystosowany do ludzi – pomyślał. Wygląda na młodego i silnego.

Nieśmiałość była w tym przypadku czymś naturalnym. Z reguły każdy zatrzymywał swego osobistego rewq na wiele lat. Lark czuł ból, gdy patrzył bezradnie, jak jego poprzedni usychał w wyściełanej mchem torbie, podczas wielu tygodni milczenia Jaja. Nie mógł też skorzystać z symbionta należącego do kogoś innego. Ludzie chętniej pożyczali sobie szczoteczki do zębów niż rewqi.

– Moja wdzięczność objawia się przyjęciem tego niezrównanego daru – podziękował. Choć czuł opory, uniósł wijącą się masę do czoła.

Jego poprzedni rewq przypominał parę starych butów albo ulubionych okularów słonecznych uryjskiej produkcji: wygodnych i łatwych w użyciu. Ten wił się i wyginał w ochoczym podnieceniu, dotykając jego skroni w gorączkowym poszukiwaniu bogatych żył podskórnych, z których mógłby czerpać pożywienie. Przejrzy sta jak mgielka błona rozciągnęła się nad oczyma Larka. Falowała pod wpływem odczuwanego przez rewq podniecenia, nie przekazując nic bardziej użytecznego niż zawroty głowy. By osiągnąć porozumienie z nowym symbiontem, trzeba było

czasu. Idealna sytuacja była wtedy, gdy uczył go starszy rewq, w okresie poprzedzającym jego śmierć.

Nie sposób nie widzieć ironii w tym, jak Ifni wybiera chwilę na swe cuda. Przez tak długi czas musieliśmy stawiać czoło obcym bez pomocy, jaką mogłyby nam dać rewqi. Teraz, w krytycznym momencie, zjawiają się tak nagle, że mogą się okazać jedynie odwracającym uwagę utrudnieniem.

Uprzejmość kazała jednak udać, że się cieszy. Pokłonił się i podziękował Harullenowi za ten piękny dar. Jeśli będzie mu sprzyjało szczęście, rewq qheuena również będzie hałaśliwy i nie przekaże mu mieszanych uczuć Larka.

Zadowolenie przywódcy heretyków dobitnie wyraziło drobiące, taneczne stukanie stopami i zwisającymi szczypcami. Błona przesłaniająca oczy Larka dodała do tego plamę iskiei, która mogła być tłumaczeniem qheueńskich uczuć albo po prostu efektem zakłóceń wywołanych podnieceniem niewprawnego rewq.

Harullen zmienił nagle temat, przechodząc na anglic.

– Czy wiesz, że pora pielgrzymki już niemal nadeszła?

– Właśnie pisałem list. Za midurę przywdzieję szatę i dołączę do naszej grupy pod Kolistym Kamieniem.

Częściowo ze względu na to, że Ling zażądała obecności Larka, mędrcy przyznali stronnictwu heretyków dwie szóstki z dwunastu dwunastek osób wybranych do pierwszej wspinaczki, wyruszających, by pozdrowić budzące się Jajo. Od chwili, gdy usłyszał tę wiadomość, Lark czuł znajome ciepło bijące od okruchu kamienia zawieszzonego na rzemieniu na szyi. Jego pamiątki i pokuty. Żadna pielgrzymka nie była dla niego łatwa, gdy nosił ten amulet.

– A więc dobrze – odpowiedział Harullen. – Przy Kolistym Kamieniu rozważymy ostatnią prośbę gorliwców, a potem przyłączymy się do...

Głos heretykaucichł stłumiony. Oheuen przycupnął, wciągając wszystkich pięć nóg pod skorupę i

dotknął swym wrażliwym językiem gruntu. Tym razem rewą Larka przekazał barwny obraz emocji – aureola wyrażająca niesmak pomieszany z dużą domieszką dezaprobaty.

– Na szlaku jest ktoś jeszcze – odezwał się Harullen. – Ktoś, którego twardemu jak kamień rodowodowi zadaje kłam nieporządny pośpiech stóp.

Ktoś, którego czemu zadaje kłam co? – zastanowił się Lark. Sposób, w jaki inne gatunki używały anglicu, przyprawiał go niekiedy o dezorientację. Fakt, że chaotyczny język ludzi zdobył na Jijo wielką popularność, nie był może aż tak korzystny.

Wkrótce on również poczuł drgania gruntu łechcące podeszwy stóp. Wibrację na pięć taktów, jeszcze lepiej mu znaną niż kroki Harullena, które wyczuł przedtem. Podobną do tamtego rytmu, lecz prostszą, mniej arystokratyczną. Krok zbyt pośpieszny i niecierpliwy, bez marnowania czasu na etykietę czy ostentację.

Wtem pojawiła się druga opancerzona postać, ciągnąca za sobą gałązki i liście.

Podobnie jak Harullen, Uthen Taksonomista miał na sobie strój pielgrzyma: niedbale zarzuconą, ongiś białą szatę, która powiewała za nim niczym stare prześcieradło. Jego skorupa miała odcień szarości nieco ciemniejszy niż u gardzącego nim kuzyna. Podobnie jak Harullen, Uthen nosił nowego rewą, co mogło tłumaczyć, dlaczego się potykał i dwukrotnie zboczył z trasy, jak gdyby jego uwagę odciągnęły roje brzęczących owadów. Lark ściągnął z oczu opornego symbionta. Nie potrzebował pomocy, by odczytać podniecenie swego kolegi.

– Larku... ku, Harullenie... nie – wyjąkał Uthen przez kilka otworów głosami o niedobranej barwie. Harullen odwrócił ze wzgardą kopułę. Przybysz wreszcie odzyskał oddech.

– Chodźcie obaj szybko! Wyszli!

– Kto wyszedł... – zaczął Lark, nim się zorientował, że Uthen może mieć na myśli tylko jedno. Skinął głową.

– Zaczekajcie durę.

Schylił się, cofnął do namiotu i poszukał swej szaty pielgrzyma, po czym zatrzymał się przy biurku. Wyjął spod aktówki nie ukończony list i wsunął go do rękawa razem z zaostrzonym ołówkiem. Atrament był bardziej elegancki i nie rozmazywał się, ale Sarze będzie wszystko jedno, jeśli list dojdzie i będzie zawierał najnowsze wieści.

– Chodź! – wykrzyknął niecierpliwie Uthen, gdy Lark wyszedł z namiotu. – Wskakuj na mój grzbiet i jazda!

Szary qheueński uczonego pochylił skorupę. Tym razem Harullen wyraził swą irytację jękiem. Oczywiście, dzieci robiły to nieustannie, ale noszenie człowieka na grzbiecie kłóciło się z godnością dorosłego

szarego qheuena, zwłaszcza gdy miał takich przodków jak Uthen. Niemniej mogli teraz ruszyć szybciej ku Łące Ukrytych Obcych, by obejrzeć cud, który wyłonił się na powierzchnię.

Nazywając ich pięknymi, Ling powiedziała za mało.

Lark nigdy sobie nie wyobrażał nikogo podobnego do nich: ani wtedy, gdy przerzucał kartki starożytnych ksiąg z obrazkami czy przedkontaktowych utworów science fiction, ani nawet we własnych snach.

Wśród wygnanych plemion Jijo wszystkich Galaktów często nazywano potocznie "gwiazdnymi bogami". Teraz jednak przez leśną polanę szły istoty przedstawiające sobą tak wspaniałą widok, że niemal dosłownie wydawały się godne tej nazwy. Lark mógł spoglądać na nie tylko przez krótką chwilę, nim został zmuszony do odwrócenia wzroku, gdyż oczy zachodziły łzami i zaczynał czuć dławienie w piersi.

Ling i pozostali ludzcy piraci utworzyli wokół swych szlachetnych opiekunów straż honorową. W górze unosiły się czujne roboty. Od czasu do czasu jeden z wysokich, przygarbionych Rothenów nakazywał gestem Rannowi lub Besh udzielić wyjaśnień, tak jak dzieciom każe się recytować to, czego nauczyły się na pamięć. Mogło chodzić o pobliskie drzewo, jeden z wielkich namiotów, stado klinowców albo nieśmiałe g'Keckie niemowlę.

Zebrały się tłumy. Porządkowi zgromadzenia uzbrojeni w pomalowane na czerwono pałki nie pozwalali masom zbliżyć się zbyt, lecz prawdopodobieństwo haniebnego wybuchu emocji wydawało się nikle. Atmosfera zachwytu była tak gęsta, że mało kto odważył się choćby szepnąć.

Wydawało się, że największe wrażenie Rotheni wywierali na ludziach. Większość z nich wytrzeszczała oczy w cichym zdumieniu połączonym z uczuciem, że oglądają coś znajomego. Rotheni byli w niesamowitym stopniu humanoidalni. Mieli wysokie, szlachetne czoła, wielkie, spoglądające z sympatią oczy, wyraziste nosy oraz obwisłe, miękkie, puszyste brwi, które marszczyli z wyrazem szczerzego, uważnego zainteresowania każdą osobą czy rzeczą, na jaką się natknęli. Lark przypuszczał, że te analogie nie są przypadkowe. Fizyczne i emocjonalne podobieństwa pielęgnowano by podczas długiego procesu wspomagania, dziesiątki tysięcy lat temu, gdy rotheńscy specjaliści poddawali

manipulacjom i przekształcali plemię pozbawionych wdzięku, lecz obiecujących małp zamieszkujących plioceńską Ziemię, zmieniając je stopniowo w istoty gotowe niemal do wyruszenia w gwiazdy.

Zakładając, że przybysze naprawdę byli od dawna ukrywającymi się opiekunami ludzkości, jak twierdziła Ling. Lark starał się zachować w tej sprawie ostrożną neutralność, lecz wobec podobnych dowodów przychodziło mu to z trudem. Jak ten gatunek mógłby być czymkolwiek innym?

Gdy parę dostojnych gości przedstawiono zebranim najwyższym mędrcom, Larka podbudował spokój zachowywany przez Vubbena, Phwhoon-dau i pozostałych. Nikt z nich nie założył na tę okazję rewqa. Nawet Lester Cambel był opanowany – przynajmniej na zewnątrz – gdy przedstawiano go Ro-kennowi i Ro-pol, których imiona Rann ogłosił publicznie, by wszyscy mogli je usłyszeć.

Według ludzkich standardów, Ro-kenn wyglądał na mężczyznę. Choć Lark starał się nie ulegać zbyt wpływowi analogii, mająca delikatniejsze rysy Ro-pol wydawała mu się kobieca. Przez tłum przeszedł szmer, gdy oboje się uśmiechnęli – odsłaniając drobne, białe zęby – by okazać, że cieszą się z tego spotkania. W twarzy Ro-pol ukazało się nawet coś, co można było nazwać dołeczkami. Gdy Lark próbował opisać uśmiechnięte oblicze mniejszej z postaci, czuł pokusę użycia słowa "miła". Nie byłoby trudno polubić podobną twarz, tak ciepłą, otwartą i pełną zrozumienia.

To ma sens -pomyślał. Jeśli Rotheni naprawdę są naszymi opiekunami, czyż nie zaszczepiliby takich właśnie odruchów szacunku?

Nie tylko Ziemianie odnosili podobne wrażenie. Ostatecznie Sześć Gatunków miało czas dobrze się poznać. Nie trzeba było być qheuenem, by dostrzec charyzmę majestatycznej królowej, dlatego więc ursa, hoon czy g'Kek nie mieliby poczuć tego potężnego humanoidalnego magnetyzmu? Nawet bez rewqów większość zebranych nie ludzi najwyraźniej poddała się wszechogarniającemu nastrojowi nadziei.

Lark przypomniał sobie zapewnienia Ling, że misja piratów odniesie sukces bez żadnych incydentów, a Jijańska Wspólnota będzie się musiała zmienić jedynie na lepsze. "Wszystko skończy się dobrze" – obiecała.

Powiedziała mu również, że Rotheni są szczególnymi istotami, nawet wśród wielkich galaktycznych klanów. Celowo zachowując tajemnicę, spowodowali po cichu, że Starą Ziemię pozostawiono odłogiem, że spadła z list

kolonizacyjnych na pół miliarda lat. Larkowi trudno było pojąć implikacje podobnego osiągnięcia. Rotheni nie potrzebowali flot ani broni. Byli wpływowi, mistyczni i tajemniczy, na wiele sposobów podobni bogom, nawet w porównaniu z istotami, których potężne armady krążyły po Pięciu Galaktykach. Nic dziwnego, że Ling i jej towarzysze uważali, że są ponad tak zwanymi "prawami" migracji oraz wspomagania i mogą przesiewać biosferę Jijo w poszukiwaniu jakiegoś gatunku godnego adopcji. Nic dziwnego, że nie okazywała obawy przed schwytaniem.

Świeżo wylęgte w jaskiniach rewqi również sprawiały wrażenie oszołomionych parą wysokich istot, które wynurzyły się z ukrytej pod ziemią stacji badawczej. Symbiont spoczywający na czole Larka drżał, otaczając oboje Rothenów plamistymi aurami, aż wreszcie musiał się zwinąć.

Lark usiłował odzyskać panowanie nad swymi myślami, zachować nutę sceptycyzmu.

Możliwe, że każdy z wysoko rozwiniętych gatunków uczy się robić to, co w tej chwili czynią Rotheni: wywierać wrażenie na tych, którzy mają niższy status. Być może wszyscy jesteśmy szczególnie podatni jako prymitywne istoty nie mające doświadczenia w kontaktach z Galaktami.

Trudno było jednak zachować sceptycyzm, gdy rotheńscy emisariusze rozmawiali z mędrkami głosami, które wydawały się ciepłe i pełne współczucia. Robot powtarzał dyskusję głośniejszym głosem, by wszyscy mogli ją usłyszeć.

– Oboje wyrażamy teraz, pełne wdzięczności i szacunku podziękowania za waszą gościnność – oznajmił Ro-kenn w bardzo pedantycznym, bezbłędnym gramatycznie szóstym galaktycznym.

– Ponadto wyrażamy też żal z powodu niepokoju, jaki nasza obecność mogła wywołać w waszej szlachetnej Wspólnocie – dodała Ro-pol. – Dopiero niedawno zdaliśmy sobie sprawę z głębokości waszych obaw. Przewyciężając naszą naturalną powściągliwość – jeśli wolicie, naszą nieśmiałość – wyszliśmy na zewnątrz, by uspokoić wasze całkowicie nieuzasadnione lęki.

Wśród tłumu ponownie rozległy się szepty, które świadczyły o budzącej się, niepewnej nadziei. Nie było to uczucie, które przychodziło jijańskim wygnańcom z łatwością.

Ro-kenn wznowił przemowę.

– Teraz, wyrażamy radość i wdzięczność z powodu faktu, że zaproszono nas do uczestnictwa w waszych świętych rytuałach. Jedno z nas będzie wam towarzyszyć w ten wieczór, by być świadkiem cudu, który nieodłącznie wiąże się z waszym sławnym i świętym Jajem, stanowiącym jego znakomity wyraz-

– Tymczasem – kontynuowała Ro-pol – drugie z nas wróci do ukrycia, by medytować, jak najlepiej nagrodzić waszą Wspólnotę za wasze wysiłki, zmartwienia i ciężkie, pustelnicze życie.

Ro-pol zadumała się na chwilę nad tym problemem, starając się dobrać odpowiednie słowa.

– Niektóre dary potrafimy przewidzieć. Niektóre dobrodziejstwa, jakie pomogą wam w nadchodzących wiekach, gdy każdy z waszych żyjących w związku gatunków będzie szukać zbawienia na długiej, wymagającej odwagi ścieżce znanej jako powrót do niewinności.

Przez szeregi gapiów przetoczył się szept wywołanego tą zaskakującą wiadomością zadowolenia.

Każdy z mędrków wygłosił powitalną przemowę. Pierwszy był Vubben, którego wiekowe koła skrzypiały, gdy potoczył się naprzód, by wyrecytować fragment jednego z najstarszych zwojów. Coś odpowiedniego do chwili, co mówiło o niewysłowionej naturze miłosierdzia, które wypływa z ziemi w najmniej spodziewanej chwili, chwili łaski, na którą nie można sobie zapracować, czy nawet zasłużyć, a jedynie zaakceptować ją z miłością, gdy nadchodzi.

Lark pozwolił, by niedoświadczony rewq ześliznął mu się z powrotem na oczy. Parę Rothenów wciąż otaczał nimb mieszających się ze sobą barw. Vubben kontynuował przemowę, Lark odwrócił się więc i przyjrzał zgromadzonym gapiom.

Rzecz jasna, rewqi nie zapewniały magicznego okna do wnętrza duszy. W zasadzie pozwalały

tylko zniwelować fakt, że wszystkie gatunki były wyposażone w tkankę mózgową specjalnie przystosowaną do odczytywania emocjonalnych wskazówek z zachowania swych współplemieńców. Najskuteczniejsze były wtedy, gdy miały do czynienia z inną wyposażoną w rewqa istotą, zwłaszcza gdy oba symbionty wymieniły wcześniej hormony empatii.

Czy to dlatego mędracy nie założyli swych rewqów? By ukryć tajemne myśli?

W tłumie wykrywał fale nieśmiałego optymizmu i mistycznego zachwycenia, które tu i ówdzie spiętrzały się, tworząc niemal religijni uniesienie. Można też jednak było dostrzec inne kolory. Od kilku tuzi' nów qheuenów, hoonów, urs i ludzi -porządkowych i członków milicji – biły chłodniejsze odcienie obowiązku. Niezgody na to, by ich uwag< odwróciło cokolwiek mniej istotnego niż poważne trzęsienie ziemi.

Dostrzegł też mrugnięcie innego poblasku, który szybko rozpozna jako odmienny rodzaj obowiązku: bardziej skomplikowanego, wyma gającego skupienia i daremnego. Towarzyszyły mu krótkie rozbłysk światła odbijającego się w szklanych obiektywach.

Bloor i jego towarzysze przy pracy – domyślił się. Zajęci wiec nianiem tej chwili.

Jego symbiont pracował teraz sprawniej. W gruncie rzeczy, cha brak mu było wprawy, mógł już nigdy później nie osiągnąć podobne wrażliwości. W tej chwili niemal każdy rewq w dolinie był w takin samym wieku, świeżo wydobyty z jaskiń, w których do niedawna owi stworzenia łączyły się ze sobą w wielkich stosach, wymieniając enzym;

jedności. Każde z nich było wyraźnie świadome obecności pozostałych z zachowaniem większego niż zwykle dystansu.

Muszę ostrzec Bloora. Jego pracownicy nie powinni nosić rewqów Jeśli ja potrafię dzięki nim ich dostrzec, mogą w tym pomóc równie robotom.

Jego wzrok przyciągnęło kolejne zawirowanie, połyskujące ostryii lśnieniem na przeciwległym końcu Polany. Kontrastowało z nastrojem który powszechnie dominował niczym ognisko rozpalone na polu lodc wym. Nie sposób było nie rozpoznać płomienia zażartej nienawiści.

Po chwili dostrzegł kudłatą, węzową szyję widocznego z profil małego centaury. Przekazywane przez rewqa kolory przypominając kulę wydestylowanej odraży przesłaniały samą głowę.

Nagle nosicielka owego odległego, potężnego symbionta naj wyraźniej zauważyła skupienie Larka. Oderwała wzrok od obcych ora mędrców i odwróciła się, by spojrzeć prosto na niego. Obserwowa nawzajem swe kolory ponad tłumem poruszających się i wzdychających obywateli. Następnie jednocześnie ściągnęły swe rewqi.

W jasnym świetle Lark popatrzył w jej nie mrugające oczy. Była t uryjska przywódczyni sprawy gorliwców. Lark nie zdawał sobie dotą sprawy, że buntowniczką żywi do najeźdźców aż tak silną niechęć. Gd

troje gorejących oczu zwróciło się w jego stronę, nie potrzebował symbionta, by przetłumaczył uczucia, jakimi darzy go ursą.

Jej szyja wygięła się w blasku zachodzącego słońca. Fanatyczka wyszczerzyła zęby w uryjskim uśmiechu czystej, absolutnej pogardy.

Pielgrzymkę wznowiono o zmierzchu, gdy długie cienie leśnych drzew wskazywały w stronę ukrytej górskiej przełęczy. Dwanaście dwunastek wybranych obywateli reprezentowało całą Wspólnotę. Towarzyszyło im dwoje ludzi z gwiazd, cztery roboty i jedna wysoka, starożytna istota, której posuwisty krok sugerował, że pod lśniącymi, białymi szatami ukrywa wielką siłę.

Sądząc po bardzo ludzkim uśmiechu, Ro-kenna zachwycaly niezliczone rzeczy, zwłaszcza rytmiczne śpiewy, do których wokalny wkład wносиły wszystkie gatunki. Grupa posuwała się obok buchających parą szczelin i stromych rozpadlin, zbliżając się powoli, krętą ścieżką, do ukrytej,

owalnej Doliny Jaja. Długie palce Rothena głaskały smukłe pnie welpalów, których kołysanie się tworzyło rezonans z emanacjami pochodzącymi z owej sekretnej kotliny. Większość ludzi nie miała usłyszeć nic, dopóki nie dotrą znacznie bliżej.

W sercu Larka kłębiły się mroczne uczucia. Nie był w tym osamotniony. Wielu, zwłaszcza ci, którzy znajdowali się najdalej od promieniującego radosną charyzmą Ro-kenna, wciąż czuli niepokój związany ze wskazaniem obcym drogi w to święte miejsce.

Procesja maszerowała, toczyła się i pełzła, zapuszczając się coraz wyżej między wzgórza. Wkrótce na nieboskłonie zalśniły formacje mrugających światełek – rzadkie, jasne gromady i mgławice – przedzielone ciemnym pasem galaktycznego dysku. Ten widok wzmocnił tylko wrażenie drastycznej niesprawiedliwości porządku życia, gdyż dzisiejsi goście mieli wkrótce przemierzyć ten gwiazdny krajobraz, bez względu na to, czy odlecą w pokoju czy jako zdrajcy. Jijo stanie się dla nich kolejnym malowniczym, dzikim, być może odrobinę interesującym miejscem, które odwiedzili w ciągu swego długiego, ubóstwionego życia.

Gdy Lark wspinał się tą ścieżką poprzednim razem – szczerze przejęty swą samozwańczą misją ratowania Jijo przed najeźdźcami takimi jak on sam – nikt nawet nie myślał o gwiazdolotach krążących pojjajańskim niebie.

A przecież już tam były. Przygotowywały się do lądowania.

Co jest bardziej przerażające? Niebezpieczeństwo, którego już sv boisz, czy też to, co wszechświat ma dla ciebie w zanadru, coś, cfi sprawi, że wszystkie poprzednie troski wydadzą się nieważne?

Lark miał nadzieję, że nic z jego ponurego nastroju nie przemknęło do listu do Sary, który skończył, gryzmołając pośpiesznie ołówkiem, nad górnym biegiem Bibur, gdy Rotheni wyszli już na powierzchnię. Kajakowy pilot dołączył jego pismo do ciężkiego pakunku wysyłanego prze;

Bloora, po czym wystartował, błyskając wiosłami i przemknął przei pierwsze spienione bystrza, gnając na łeb na szyję ku odległemu o dwi dni ciężkiego wiosłowania Biblos.

Wracając do miejsca zbiórki heretyków, zatrzymał się, by popatrzeć* na obcy statek powietrzny, który wynurzył się z mrocznego tuneli niczym widmo i wzbił się w górę z pomrukiem silników. Lark dostrzeg przez moment małą ludzką sylwetkę, która przyciskała dłonie i twarz d< owalnego okna, napawając się widokiem. Postać wydała mu się znajo ma... lecz nim zdążył wydobyć kieszonkowy okular, maszyna odleciał;

na wschód, w stronę rozpadliny, w której lśnił największy z księżyców wschodzący nad Górami Obrzeźnymi.

Gdy wieczorna procesja wkroczyła do ostatniego, krętego kaniom wiodącego ku Jaju, Lark spróbował odłożyć na bok doczesne troski, b;

przygotować się do komunii.

To może być ostatnia okazja – pomyślał, w nadziei, że tym razei będzie mógł bez reszty uczestniczyć w jedności, którą zgodnie z opc wieściami innych przynosiło Jajo, gdy dzieliło się pełnym dobrodziejstwem swej miłości.

Wsunąwszy prawe ramię do rękawa, złapał kamienny okruch, ni zważając na żar, który od niego bił. Przypomnił mu się fragment Zwój Wygnania: angielska wersja zmodyfikowana na użytek Ziemi przez jednego z pierwszych ludzkich mędrców.

Dryfujemy bez steru w dół strumienia czasu,

zdradzeni przez przodków, którzy nas tu zostawili,

ślepi na wiele spraw z trudem poznanych w innych wiekach,

obawiający się światła i prawa,

lecz nade wszystko lękający się w naszych sercach,
że może nie być Boga,
nie być Ojca,
nie być pomocy nieba,
albo że jesteśmy już straceni dla Niego,
dla losu,
dla przeznaczenia.

Gdzież się zwrócimy w męce wygnania,
gdy utraciliśmy naszą świątynię,
a wiarę przeważała perfidia ?

Jakie pocieszenie mogą znaleźć istoty zagubione w czasie?

Jedno źródło odnowy
nigdy nie zawodzi.

Jego rytmy są długotrwałe,
jego metody to ogień i deszcz,
lód i czas.

Jego nazwy są niepoliczone.

Dla biednych wygnańców jest to dom.

Jijo.

Fragment kończył się osobliwą nutą łączącą szacunek z wyzwaniem.

Jeśli Bóg jeszcze nas chce, niech znajdzie nas tutaj.

Do tego czasu stańmy się częścią
naszego przybranego świata.

Nie po to, by przeszkadzać w cyklu jego życia, lecz by mu służyć.

Wyhodować skromne dobro z ohydnych nasienia zbrodni.

Pewnego zimowego dnia, niedługo po tym, jak zwój ten uzyskał akceptację w ludzkim szczepie.

Stokiem wstrząsnęły drżenia gruntu. Padały drzewa, pękały tamy i dał straszliwy wicher. Od gór aż do morza zapanowała panika. Towarzyszyły jej meldunki o nadejściu Dnia Sądu.

Zamiast niego z chmury połyskującego pyłu wyłoniło się Jajo. Dar zrodzony z serca Jijo.

Dar, którym dzisiejszej nocy musieli podzielić się z obcymi.

Co będzie, jeśli im się uda osiągnąć to, co jemu zawsze się wymykało? Albo jeszcze gorzej, jeśli zareagują wzgardliwym śmiechem i oz-

najmnią, że Jajo to zwykła zabawka, którą jedynie prostytutki mogli potraktować poważnie – jak ziemscy tubylcy z legendy, oddający cześć pozytywce, którą znaleźli na brzegu?

Starł się odepchnąć od siebie małostkowe myśli, dostroić się do basowego dudnienia hoonów, brzęącego jak organy parowe pisku qheuenów, brzdąkania osi g'Keków i wszystkich innych wkładów w rozbrzmiewającą pieśń jedności. Pozwolił, by owładnęła ona miarowym rytmem jego oddechu. W tej samej chwili ciepło kamiennego odłamka rozprzestrzeniło się na jego dłoń i ramię, a potem na pierś,;

powodując, że poczuł się zrelaksowany i zarazem pełen dystansu.

Blisko – pomyślał. W jego umyśle zaczął kształtować się ornament delikatnych regularności. Przypominająca pajęczynę siateczka niewyraźnych spiral, złożona częściowo z obrazów, a częściowo z dźwięku.

Całkiem jakby coś próbowało...

– Czyż to nie jest ekscytujące? – rozległ się głos po prawej stronie Larka, roztrzaskując jego

koncentrację na drobne odłamki. – Jestem przekonana, że teraz naprawdę coś czuję! To w niczym nie przypomina żadnego z psionicznych zjawisk, jakich doświadczałam dotąd. Motyw jest wysoce niezwykły.

Ignoruj ją – pomyślał Lark, trzymając się regularności. Może sobie pójdzie.

Ling jednak nie przestawała gadać. Kierowała swe klekoczące słowa drogami, które nie pozwalały mu ich nie słyszeć. Im mocniej starał się skupić, tym szybciej opuszczało go poczucie dystansu. Jego dłoń ścisnęła teraz wilgotną grudkę kamienia na sznurku rozgrzaną jedynie ciepłem jego ciała. Wypuścił ją z niesmakiem.

– Nasze instrumenty już kilka dni temu wykryły pewne drżenia. Od jakiegoś czasu cykle przybierały na sile i stawały się coraz bardziej skomplikowane.

Ling sprawiała wrażenie beztrzesko nieświadomej tego, że uczyniła coś złego. To z kolei sprawiało, że kipiąca złość wydała się Larkowi małosłowna i niepotrzebna. Zresztą uroda kobiety była w świetle księżycy jeszcze bardziej niepokojąca niż zwykle. Przebijała się przez jego gniew, dosięgając ukrytej w sercu samotności.

Lark westchnął.

– Czy nie powinnaś strzec swojego szefa?

– Tak naprawdę pilnują go roboty. Zresztą czego mielibyśmy się obawiać? Ro-kenn pozwolił mnie i Rannowi się rozejrzeć, podczas gdy on będzie rozmawiał z mędrkami, by przygotować ich na to, co ma się wydarzyć.

Lark zatrzymał się tak nagle, że idący za nim pielgrzym potknął się, chcąc go ominąć. Złapał Ling za łokieć.

– O czym mówisz? Co ma się wydarzyć? W jej uśmiechu pojawił się ślad dawnej ironii.

– Chcesz powiedzieć, że dotąd się tego nie domyśliłeś? Och, Lark. Pomyśl o tych wszystkich zbiegach okoliczności. Przez dwa tysiące lat przedterminowi osadnicy z rozmaitych gatunków mieszkali na tym świecie, żrąc się ze sobą i powoli wyradzając. Potem przybyli ludzie i wszystko się zmieniło. Choć na początku byliście nieliczni i bezradni, wkrótce wasza kultura stała się najbardziej wpływowa na planecie. A w kilka pokoleń po waszym przybyciu wyłonił się nagle spod ziemi cud, ten duchowy przewodnik, którego wszyscy czcicie.

– Masz na myśli Jajo – stwierdził. Na jego czole pojawiły się bruzdy.

– Tak jest. Czy naprawdę sądziłeś, że pojawiło się w przypadkowej chwili? Albo że wasi opiekunowie o was zapomnieli?

– Nasi opiekunowie... – Lark zmarszczył brwi. – Chcesz powiedzieć... dajesz do zrozumienia, że Rotheni cały czas wiedzieli...

– O podróży "Tabemacie"? Tak jest! Ro-kenn wyjaśnił nam to dziś rano. Wszystko teraz nabrało sensu! Nawet nasze przybycie na Jijo nie jest przypadkiem, mój drogi Larku. Och, w skład odbywanej przez nas misji wchodzi też odnalezienie istot przedrozumnych zasługujących na to, by dołączyć do naszego klanu. Jest jednak jeszcze coś więcej. Przybyliśmy po was. Dlatego, że eksperyment dobiegł końca!

– Eksperyment?

Mimo woli poczuł dezorientację.

– Ciężka próba dla waszego małego odgałęzienia ludzkości, porzuconego i zapomnianego – jak sądziliście – na dzikim świecie. Brzmi to okrutnie, ale droga wspomagania jest trudna, jeśli przeznaczeniem gatunku są wyżyny, zaplanowane dla nas przez opiekunów.

Larkowi zakręciło się w głowie.

– Chcesz powiedzieć, że zakradnięcie się naszych przodków na Jijo było zaplanowane? Jako część

próby, która ma... w jakiś sposób nas przeobrazić? Że Jajo było... jest... częścią czegoś, co uknuli Rotheni...

– Zaplanowali – poprawiła go Ling. W jej głosie pojawiło się coś w rodzaju uniesienia. – To wielki plan, Lark. Test, z którym, ja słyszałam, twoi ziomkowie uporali się znakomicie. Staliście się silniejsi inteligentniejsi i szlachetniejsi, choć to straszliwe miejsce starało się wa zmiażdżyć. A teraz nadszedł czas przeszczepienia tej udanej odrośl z powrotem na główny pień, by pomóc całej ludzkości rosnąć, rozkwita i lepiej stawiać czoło wyzwaniom niebezpiecznego wszechświata.

Jej uśmiech był radosny, promienny.

– Och, Lark, gdy rozmawiałam z tobą poprzednio, sądziłam, że gdj będziemy odlatywać, zabierzemy ze sobą garstkę ludzkich wyrzutków. Teraz jednak wieści są wspaniałe, Lark. Nadlatują statki. Tak wiele statków! Nadszedł czas, by zabrać was wszystkich do domu.

Asx

Zdumienie!

Ta wiadomość wypełnia rykiem nasze woskowe jamy, zastępując rezonansowe regularności Jaja gryzącymi oparami zaskoczenia.

My-ja-my-ja-my... nie możemy połączyć się jako Asx. Ani rozważyć owych wieści z choćby najśłabszym poczuciem jedności.

Najgorsze wieści z ostatnich miesięcy – szerzone przez separaty styczne uryjskie naczelniczki i rozgoryczone szare królowe – był] takie, że ludzie mogą opuścić Jijo, odlecieć ze swymi kuzynami z nieba pozostawiając pozostałą piątkę, by zgniła w potępieniu.

Lecz nawet ta mroczna fantazja pozostawiała reszcie jedno pocie szenie.

Jedną osłodę.

Jajo.

A teraz mówią nam... (nie uwierzmy w to!) (ale jak?)

...że święta bryła nigdy nie należała do nas! Że przez cały czas była wyłączną własnością ludzi! Że jej celem było prowadzenie Ziemian ku wielkości, a jednocześnie uspokojenie i udomowienie pozostałych Pięciu!

Oswojenie innych szczepów, by zapewnić ludziom bezpieczeństwo podczas ich krótkiego pobytu na Jijo.

Jeszcze gorsza jest obelżywa "łaskawość", z jaką Ro-kenn zapowiada, że Jajo zostanie tu jako dar pożegnalny.

Jako prezencik, błahostka, napiwek za nasze wysiłki.

Symbol wstydu nas wszystkich!

Zatrzymajcie się, moje pierścienie. Zatrzymajcie. Zapewnijcie bezstronność. Rozprowadźcie opary po ściekającym wosku. Pamiętajcie.

Czyż Lester Cambel nie wydawał się równie przerażony jak reszta?

Czyż wszyscy mędrcy nie postanowili ukryć tej wiadomości, by pogłoski nie wyrządziły wielkich szkód?

To nic nie da. Już w tej chwili podsłuchujący obywatele uciekają, by rozpowszechnić przesadne wersje tego, co dotarło do ich uszu, przekazują truciznę w górę i w dół szeregu pielgrzymów, rozpraszając rytmy, które nas jednoczyły.

U majestatycznego Rothena wyczuwamy jednak beztronską nieświadomość tego, że coś jest nie w porządku!

Czy to właśnie oznacza być bogiem? Nie zdawać sobie sprawy, jakie szkody się wyrządza?

Fale infekcji rozprzestrzeniają się wzdłuż krętego szlaku. Śpiewający hymny chór cichnie,

rozpadając się na liczne dwunastki mamroczących osób.

Nagle z mojego-naszego najwyższego szczytu dostrzegamy drugie zaburzenie, rozchodzące się od czoła procesji! Obie fale spotykają się, całkiem jak na powierzchni wzburzonego jeziora, i przewalają przez siebie z potężnym hukiem.

– Droga jest zablokowana! – krzyczy galopująca wysłanniczka niosąca tę wiadomość dalej. – Ścieżkę prze grodzą sznur, na którym wisi transparent!

PRECZ Z NIEWIERNYMI PROFANAMI NIE WPUSZCZAĆ ŚMIERDZIELI Z NIEBA JIJO NIE POZWOLI Z SIEBIE DRWIĆ!

Może to być tylko dzieło gorliwców.

Wokół naszego rdzenia wiruje frustracja. Fanatycy wybrali znakomity moment na zademonstrowanie swoich poglądów!

My, mędrcy, musimy pójść to zobaczyć. Nawet Yubben się śpieszy. Moje podstawne segmenty wyężdżają siły, by dotrzymać mu kroku. Ro-kenn kroczy z pełną gracji swobodą. Nie wygląda na zaniepokojonego.

A jednak, moje pierścienie, czyżbyśmy obserwowali w jego aurze jakąś niespójność? Za pomocą naszego rewqa wykrywamy sprzeczność między różnymi fragmentami jego twarzy, całkiem jakby okazywany na zewnątrz spokój maskował wrzód kipiącej wściekłości.

Czy rewq potrafi wyczytać tak wiele z obcej formy, którą po raz pierwszy spotkaliśmy dopiero dzisiaj? Czy to dlatego, że "ja" posiadam jednego z nielicznych starszych symbiontów ocalałych z poprzednich dni? A może zauważamy to dzięki temu, iż traeki są szczególnie wyczuleni na rozbrat w jaźni?

Z przodu – wyzywający sztandar.

Na górze – przycupnięci na urwiskach, krzyczący młodzieńcy wymachujący głupio (lecz odważnie!) bronią.

Na dole – Phwhoon-dau woła do nich grzmiącym głosem, by sformułowali swe żądania.

Ich odpowiedź? Niosące się echem przez kaniony i buchające fuma-role żądanie, by obcy odeszli! I nigdy nie wrócili. Gdyż w przeciwnym razie czeka ich zemsta najpotężniejszej mocy na Jijo.

!?!?

Gorliwcy grożą Rothenom Jajem?

Ale czy Ro-kenn nie twierdził przed chwilą, że to on rozkazuje wielkiej bryle?

Przez oblicze Rothena przepływa coś, co „ja” interpretuję jako chłodne rozbawienie. Sprawdza blef gorliwców.

– Czy przekonamy się, kto jest władny potwierdzić swe pretensje ? – pyta gwiazdny bóg. – Tej nocy Jajo, a także cała Jijo, zaśpiewają naszą prawdę.

Lester i Vubben błagają o umiar, lecz Ro-kenn ignoruje ich. Nie przestając się uśmiechać, nakazuje robotom, by przeszły na obie strony wąwozu i wyrwały śruby kotwowe utrzymujące linę. Na górze przywódczyni buntowników wyciąga długą szyję i zawodzącym głosem wypo-

wiada w równinnym dialekcie klątwę wzywającą świętą moc odnawiania Jijo, by ogniem usunęła zuchwałę odpady.

Młoda fanatyczka jest znakomitą aktorką. Tupie kopytami, zapowiadając straszliwą karę. Nasze bardziej łatwowierne pierścienie są skłonne przez chwilę uwierzyć...

...uwierzyć...

...uwierzyć...

Co się dzieje? Co... się... dzieje? Jakie wrażenia napływają

teraz

do środka
szybciej, niż
wosk może się topić?

A potem penetrują
świadomość
pierścień po
pierścieniu

w sposób, który
sprawia, że
wszystkie wydarzenia
wydają się jednoczesne
i jednakowo ważne? Co się dzieje?

– na tle bliźniaczych błyskawic widać wiele dwunastek pielgrzymów, których cienie umykają przed białym płomieniem...

– skwierczący metal skarży się... rozpada... nie może latać... pada spopielony na ziemię...

– powidok zniszczenia... dwa stosy złomu tłą się... kolejne odpady, które trzeba zebrać i wysłać do morza...

Innymi plamami wzrokowymi my-ja dostrzegamy wyraz przerażenia i zaskoczenia na twarzy Ranna, człowieka z nieba.

– otaczająca Ro-kenna schizma sprzeczności... jak u trackiego

rozdartego między jednym pierścieniem, który jest radosny, a jego sąsiadem, wypełnionym gniewem...

I wtem, choć przesyleni wrażeniami, nagle dostrzegamy więcej!

– dzięki plamom ocznym po naszej przeciwnej stronie pierwsi zauważamy ognisty szpic...
i

– paląca jasność wspina się po zachodnim niebie... wznosząc się < z Polany Zgromadzeń...
\\

– grunt pod nami trzęsie się...

– sam dźwięk potrzebuje trochę więcej czasu na przybycie, przedziera się ku górze przez rzadkie powietrze, aby przynieść nam cichy jęk przypominający grzmot!

Tempo wydarzeń wreszcie staje się wolniejsze i nasze wirujące opary mogą dotrzymać mu kroku.

Wypadki zachodzą kolejno. Nie chaotycznie i równolegle.

Zróbcie przegląd, moje pierścienie!

Czy widzieliśmy, jak dwa roboty zniszczono w chwili, gdy usuwały wzniesioną przez gorliwców barierę?

I czy potem nie oszołomiła nas jakaś potężna eksplozja, do której doszło za nami? Bliżej Polany Zgromadzeń?

Ci, którzy byli pielgrzymami jedności, stają się motłochem. Małe grupki gnają w dół, ku rozświetlonemu blaskiem księżyców całunowi pyłu pozostałemu po owym na moment rozpalonym płomieniu. Ludzie zbijają się w ciasne grupy, dla ochrony, trzymając się blisko wiernych im hoońskich i qheueńskich przyjaciół, podczas gdy inni qheueni i wiele urs przemyka ze stukotem nóg obok nich, wyrażając swym zachowaniem powściągliwość, wzgardę, a nawet groźbę.

Ro-kenn nie kroczy już dostojnie, lecz siedzi na wyściełanej płycie między dwoma robotami, jakie mu pozostały. Mówi coś pośpiesznie do trzymanego w dłoni urządzenia. Z każdą chwilą staje się coraz bardziej podniecony. Jego ludzie słudzy wyglądają na porażonych szokiem.

Kobieta, Ling, trzyma się ramienia Larka, naszego młodego ludzkiego biologa. Uthen proponuje, że ich podwiezie. Włazą na jego szeroki, szary grzbiet. Wszyscy troje znikają na ścieżce w ślad za Rokennem.

Lśniaca Jak Nóż Wnikliwość składa odważnie taką samą propozycję temu stosowi pierścieni, temu Asxowi!

Czy ja-my możemy odmówić? Phwhoon-dau dźwiga już Yubbena w swych mocnych, pokrytych łuską ramionach. Hooński mędrzec taszczy g'Keka, by obaj mogli dotrzeć szybko na dół i zobaczyć, co się stało.

Głosem większości nasze pierścienie decydują, że przyjmą propozycję. Po kilku durach trzęsącego qheueńskiego pośpiechu pojawiają się jednak opinie żądające ponownego głosowania! Jakoś udaje nam się utrzymać na rogowej skorupie, choć żałujemy, że nie poszliśmy na piechotę.

Czas płynie przez żelatynę napięcia, drażniąc nas jałowymi spekulacjami. Mrok pochłania mądrość. Lśniące gwiazdy zdają się nam urągać.

Wreszcie, na górującym nad Polaną urwisku, przepychamy się, by coś zobaczyć.

Czy to wyczuwacie, moje pierścienie?

Zjednoczony teraz pod wpływem szoku, ja" widzę dymiący krater wypełniony pogiętym metalem. Sanktuarium, w którym Ro-kenn i ludzie z nieba mieszkali wśród nas przez wiele tygodni. Ich zagrzebaną w ziemi placówkę – teraz płonąca ruinę.

Działając z wielkim zdecydowaniem, Ur-Jah i Lester wzywają ochotników, by skoczyli w ową dymiącą czeluść, nie zważając na własne życie, i podjęli bohaterską próbę ratowania. Lecz czy ktokolwiek mógł ocaleć wewnątrz zniszczonej stacji? Czy można będzie odnaleźć kogoś żywego?

Wszyscy dzielimy tę samą myśl. Wszyscy członkowie Sześciu. Wszystkie moje pierścienie.

Któż może wątpić w potęgę Jaja? Albo w furję wzgardzonej planety?

Nieznajomy

Wydaje się, że z każdą piosenką, którą odkrywa na nowo, otwierają się kolejne drzwi, całkiem jakby stare melodie były kluczami mogącymi odsłonić całe połacie czasu. Im dawniejsze wspomnienie, tym silniej wydaje się związane z daną muzyczną frazą lub urywkiem tekstu. Zwłaszcza dziecinne rymowanki szybko prowadzą go trasami wiodącymi z powrotem do pierwszych lat życia.

Potrafi teraz przywołać obraz matki, śpiewającej mu w ciepłym,

bezpiecznym pokoju słodkie ballady, które kłamały, że świat pełen jest sprawiedliwości i miłości. Te miło brzmiące bujdy pomogły ukształtować jego charakter, zanim poznał prawdę o pełnym goryczy, śmiertelnie groźnym wszechświecie.

Niektóre dziwaczne śpiewki wywołują w pamięci obraz brodatych bliźniaków, dwóch braci, którzy przez wiele lat wspólnie pełnili w jego rodzinnej sieci rolę ojcowską, parę nieuleczalnych żartownisiów nieodmiennie wywołujących u całej szóstki młodszego sieciowego rodzeństwa ataki niepowstrzymanego chichotu swymi dykteryjkami i dobrodusznymi wygłupami. Recytując raz za razem niektóre z mniej skomplikowanych tekstów, przekonuje się, że niemal rozumie prymitywne pointy. To prawdziwy postęp. Wie, że to dziecinny, infantylny humor, lecz mimo to nie przestaje się śmiać ze starych komicznych piosenek, aż łzy spływają mu po policzkach.

Arianafoo puszcza mu kolejne nagrania. Kilka z nich wywołuje niezwykle podniecenie, gdy na nowo przeżywa operetki i musicale, które uwielbiał jako młodzieniec. Ten ludzki gatunek sztuki pomagał łagodzić napięcie dręczące go, gdy usiłował – wraz z milionami innych młodych, przejętych swą rolą mężczyzn i kobiet – pojąć coś z niebosiężnej nauki cywilizacji starszej niż większość z najjaśniej świecących gwiazd.

Czuje przejmujący ból, gdy zaczyna przypominać sobie, kim ongiś był. Większość słów i faktów

nadal pozostaje obca, nieosiągalna. Nawet imię jego matki albo i jego własne, jeśli już o tym mowa. Przynajmniej jednak zaczyna się czuć jak żywa istota, osoba mająca przeszłość. Człowiek, którego uczynki miały kiedyś znaczenie dla innych. Ktoś, kogo kochano.

Muzyka nie jest przy tym jedynym kluczem! Papier oferuje mu kilka innych. Gdy nawiedza go odpowiedni nastrój, łapie za ołówek i z szaloną pasją szkicuje. Zużywa stronę za stroną. Czuje przymus rysowania, mimo że wie, iż każda kartka musi drogo kosztować te ubogie istoty.

Gdy dostrzega, jak Prity machinalnie kreśli proste równanie liniowe, zauważa z zachwytem, że je rozumie! Matematyka nigdy nie była jego ulubionym językiem, lecz teraz odkrywa w sobie świeżą miłość do niej. Najwyraźniej liczby nie opuściły go całkowicie, tak jak zrobiła to mowa.

Istnieje jeszcze jeden środek łączności, który odkrywa, gdy opatruje go Pzora, chlupoczący stos obwarzankowatych pierścieni, którego ongiś

tak bardzo się bał. Jest to dziwna więź, tak obca słowom, jak dzień jest obcy nocy. Obrabowany z mowy, wydaje się lepiej dostrojony do używanych przez Pzorę niuansów zapachu i dotyku. Ciało przeszywają mu łechcące dreszcze wywoływane przez nieustannie zmieniające się opary uzdrowiciela. Raz jeszcze wygląda na to, że jego dłonie zaczynają się poruszać z własnej inicjatywy, odpowiadając na zapachowe pytania Pzory na poziomie, który postrzega jedynie niejasno.

Nie potrzeba słów, by dostrzec zawartą w tym ironię. Istoty ukształtowane bardzo podobnie do tej były ongiś jego śmiertelnymi wrogami. Wie to, choć nie przypomina sobie skąd. Były nieprzyjaciółmi całego jego rodzaju. Jakie to dziwne, że zawdzięcza tak wiele łagodnemu stosowi pierdzących pierścieni.

Wszystkie te triki i niespodzianki przeszywają jego rozpacz wątlymi promieniami nadziei, lecz to muzyka wydaje się najdogodniejszą trasą powrotu w miejsce, gdzie kiedyś był. Kiedy Arianafoo daje mu do wyboru instrumenty zamknięte w szklanej gablocie, decyduje się na ten, który wydaje się na tyle prosty, by mógł z nim eksperymentować, wykorzystać go do połowu kolejnych melodii, kolejnych kluczy do zamkniętych drzwi.

Jego pierwsze, nieudolne próby gry na wybranym instrumencie sprawiają, że kręte korytarze tej dziwnej świątyni książek ukrytej w skalnej jaskini wypełniają głośnie brzęki. Przykłada się pilnie do pracy i udaje mu się przywołać więcej wspomnień z dzieciństwa, wkrótce jednak przekonuje się, że te późniejsze trudniej jest wyszarpnąć. Być może w następnych okresach życia miał mniej czasu, by uczyć się nowych piosenek, mniej ich więc kojarzy się z niedawnymi wydarzeniami.

Wydarzeniami, które doprowadziły do płomiennej katastrofy na tym okropnym bagnie.

Wie, że te wspomnienia tam są. Wciąż kłębią się w jego snach, tak i jak kiedyś wypełniały majaczenia. Wizje rozległych, próżniowych panoram. Ważnych misji, których nie wykonał. Towarzyszy, których, ku swemu wstydu, zapomniał.

Nachylony nad instrumentem o czterdziestu sześciu strunach wygrywa jeden czy dwa tony jednocześnie, poszukując jakiejś wskazówki, jakiejś melodii lub frazy, która mogłaby przedrzeć się przez zator w jego umyśle. Im bardziej klucz mu się wymyka, tym większą czuje pewność, że gdzieś tam się kryje.

Zaczyna podejrzewać, że nie szuka ludzkiej pieśni, lecz czegoś' całkiem innego. Czegoś' jednocześnie znajomego i na zawsze obcego.

Tej nocy nawiedzają go sny o wodzie. Wydaje się to naturalne, gdyż Sara wyraźnie dała do zrozumienia, że jutro odpływają parowcem. Opuszczą wielki pałac pełen papierowych książek i ruszą ku górze, pod którą wylądował gwiazdolot.

Kolejna podróż statkiem mogła wyjaśniać niejasne wizje wody.

Później zrozumiał, że to nie tak.

Wędrując wiodącą w dół Ścieżką Odkupienia, nie zapominajcie, co jest waszym celem.

Porzucenie swego gatunkowego przeznaczenia, dawnego klanu, dawnych związków, opiekunów, którzy obdarzyli wasz gatunek mową, rozumem i gwiazdami.

Twierdźcie, że ich pierwsza próba była nieudana. Że ktoś inny powinien otrzymać nową szansę, by adoptować wasz ród i spróbować raz jeszcze.

W tym ryzykownym przedsięwzięciu jest szlachetność. Szlachetność i odwaga.

Ale nie oczekujcie wdzięczności od tych, którymi wzgardziliście.

Zwój Wygnania

Opowieść Alvina

Wreszcie nadszedł wielki dzień. Po wszystkich rojeniach, przygotowaniach i sprawdzaniu niezliczonych szczegółów nasza czwórka stanęła przy otwartym wlocie "Marzenia Wuphonu".

– Trzeba było zbudować tratwę – mruknęła podenerwowana Huck. Pisk wydawany przez jej bliższą piastę sprawił, że włosy na nogach stanęły mi dęba. – Jest mnóstwo rzek, które moglibyśmy badać przez całe lato, zupełnie sami. I do tego połowić sobie w spokoju ryby.

Hiperwentylowałem swoje worki rezonansowe, całkiem jakby naładowanie ich sinych tkanek czystym tlenem miało mi wiele pomóc tam, gdzie się udawaliśmy! Na szczęście Tyug zaopatrzył każde z nas w łagodne środki uspokajające, co mogło tłumaczyć swobodne i opanowane zachowanie Ur-ronn.

– Nie nogławyn foftynać tratwą – wtrąciła się nasza uryjska koleżanka bezbarwnym, wypranym z emocji głosem. – Znoczyławyn się.

Wszyscy odwróciliśmy się i wbiliśmy w nią wzrok. Następnie – każde na swój sposób – wybuchnęliśmy śmiechem. Koniuszek gwizdał, Huck rechotała, a ja burkotałem aż do bólu. Och, Ur-ronn! Cóż za charakter!

– Masz rację – dodał Koniuszek Szczypiec. – Balon napełniony gorącym powietrzem bardziej się nadawał. Namówmy Uriel na przebudowę... we.

– Zamknijcie się oboje! – skarciła ich Huck, odrobinę niesprawiedliwie, jako że sama zaczęła. Wszyscy odwróciliśmy się, gdy nadeszła Uriel. Tyug podążył dwa kroki za nią. Mały traeki cząstkowiec, Ziz, wrócił już do siebie po ciężkiej próbie rozděcia. Spoczywał w wyznaczonej dla niego klatce pod wypukłym oknem "Marzenia".

– Wzięliście nafy?

Uriel sprawdziła torbę Koniuszka, by się upewnić. Wykonane z laminowanego tworzywa wynalezioną przez ludzi metodą arkusze map były mocne i trwałe, a w związku z tym niezupełnie legalne. I tak jednak kierowaliśmy się na Śmietnisko, czy więc wszystko nie było w porządku? Przystudiowaliśmy wybrany przez Uriel kurs, którym mieliśmy podążyć, gdy tylko koła "Marzenia" dotkną mulistego dna.

– Konfas?

Zarówno Koniuszek, jak i Ur-ronn posiadali to urządzenie. Magnetycznie napędzane osie Huck nie powinny zbytnio przeszkadzać, jeśli nie ogarnie jej nadmierne podniecenie.

– Onówiliśny flany alamowe i frzećwiczyliśny wszystko, co tylko się dało, wiorąc fod uwagę fośfiech. Frzynajmniej nań taką nadzieję. -

Uriel potrząsnęła głową tak, jak robią to ludzie, gdy wyrażają żal. – Została do onówienia jeszcze jedna rzecz. Frzedniot, którego nacie foszukać, gdy wędziecie na dole. Coś, co nusicie dla mnie

znaleźć. Huck obróciła szypułkę, by wykorzystać ją jako semafor. Widzisz.? A nie mówiłam! – przekazała w wizualnym drugim galaktycznym. Od wielu dni utrzymywała, że musi istnieć jakiś przedmiot, który Uriel rozpaczliwie pragnie zdobyć, coś, co jest przyczyną wsparcia, które nam daje. Coś, co tylko my, z naszym amatorskim batyskafem, byliśmy w stanie odnaleźć. Zignorowałem jej zarozumiałą przechwałkę. Problem z Huck polega na tym, że ma rację tak często, iż może się jej wydawać, że to prawo natury.

– Tego właśnie szukacie – oznajmiła Uriel, unosząc szkicownik w ten sposób, że nikt poza naszą czwórką nie mógł go zobaczyć. Rysunek ukazywał wyposażony w sześć kolców przedmiot przypominający rekwizyty używane w dziecinnej grze w Jacka. Z dwóch ramion sterczały witki czy długie liny sięgające gdzieś poza przeciwległe końce strony. Zadałem sobie pytanie, czy to może być jakiegoś rodzaju żywa istota.

– Ten przedmiot jest nań dość filnie fotrzewny – ciągnęła Uriel. – Jeszcze ważniejszy jest jednak wiegnący od niego kawel. To jego właśnie szukacie. To jego nacie frzytwierdzić do liny ratowniczej, wyśny nogli go wyciągnąć na fowierzchnię.

O kurczę – pomyślałem. Wszyscy czworo byliśmy nowoczesnymi maniakami połysku, którzy z radością poszukaliby w Śmietniku skarbów, nawet jeśli zwoje tego zabraniały. Ale żeby kazała nam to zrobić mędrzyni? Nic dziwnego, że wołała nie wtajemniczać miejscowych obywateli w tę herezję!

– Rozkaz! – zawołał Koniuszek. Zachwiał się przez moment na dwóch nogach, by zasalutować trzema pozostałymi. Reszta naszej grupy, stała już na rampie. Co mogliśmy zrobić? Wykorzystać to jako pretekst, by się wycofać?

No, dobra, rozważyłem tę możliwość. Przywiążcie mnie do Jaja i śpiewajcie, dopóki nie wyznam swych win.

Wszedłem na pokład ostatni, chyba żeby liczyć Huphu, która przemknęła mi między nogami w chwili, gdy miałem już zamiar zamknąć właz. Zacisnąłem koło. Uszczelki z pęcherzy scynków spłaszczyły się. Wilgoć sączyła się z nich niczym ze spoiny odpornościowej między

traeckimi pierścieniami składowymi. Zamknięta kłapa odcięła nas o(niemal wszystkich dźwięków, pomijając syczenie, bulgotanie, burczę nie i wzdychanie czwórki wystraszonych dzieciaków, które właśnie zaczęły rozumieć, w jaką kabałę wpakowały je ich człekonaśladowcz marzenia.

Upewnienie się, że system doprowadzania powietrza i odwilżaca działają, zajęło pół midury. Koniuszek i Ur-romn sprawdzili wszystkie z przodu, Huck wypróbowała drążki sterowe, ja zaś przykucnąłem na samym tyle, nie mając do roboty nic poza głaskaniem korby, którą miałem się posługiwać, gdy tylko "Marzenie" będzie potrzebowała pomocy "silnika". Dla zabicia czasu burkotałem do Huphu. Jej pazury odciągały moją uwagę od nerwowego swędzenia, jakie odczuwałem na zewnętrznej powierzchni wyrostka sercowego.

Jeśli zginiemy, to niech przynajmniej Uriel wyciągnie nasze ciała na powierzchnię – myślałem. Być może była to modlitwa, do jakiej – zgodnie z czytаныmi przeze mnie książkami – ludzie często uciekają się w trudnych sytuacjach. Niech moi rodzice mają przynajmniej kość życia do zwufynowania, by pomogła im w ich żałobie i rozczarowaniu tym, jak znamotrawiłem inwestycję ich miłości.

Wszyscy, którzy podróżują rzecznyymi statkami i słuchają przykuwającego uwagę basu hoońskiego sternika, wiedzą coś na temat procesu, który ongiś uczynił owe istoty gwiazdnymi wędrowcami.

Na przykład, nazwa gatunku z pewnością wywodzi się od tego dźwięku. Zgodnie z legendą, jego opiekunowie, Guthatsa, którzy adoptowali i wspomogli przedrozumnych hoonów, byli oczarowani ową cechą muzykalności. Obdarzając ich mową, rozumem i innymi drobiazgami, postarali się również wzmocnić przenikliwy, wibrujący dźwięk emitowany przez hooński worek rezonansowy, by mógł wzbogacić dorosłe tycie ich podopiecznych, gdy już podejmą oni obowiązki dojrzałych członków galaktycznego społeczeństwa.

Guthatsa przewidywali, że pomoże to uczynić hoonów lepszymi opiekunami, gdy na nich przyjdzie kolej, by przekazując dar mądrości, kontynuowali miliardoletni krąg intelektu w Pięciu Galaktykach.

Dzisiaj znamy naszych hoońskich sąsiadów jako cierpliwy, przyzwoity gatunek, trudno popadający w gniew, lecz dzielny, gdy przychodzi co do czego. Trudno jest pogodzić ten obraz z reakcją uryjskich, a potem ludzkich osadników na wieść, że na Jijo mieszkają Wysokie Istoty: z wrogością i strachem.

Bez względu na to, jakie były j ej przy czyny, owa niechęć wkrótce osłabła, a za życia jednego pokolenia zniknęła całkowicie. Bez względu na to, jakie spory dzieliły naszych przodków, gwiazdnych bogów, nas na Jijo one nie dotyczą. W dzisiejszych dniach trudno jest znaleźć wśród Sześciu kogoś, kto twierdziłby, że nie lubi hoonów.

Pozostaje jednak nie wyjaśniona tajemnica, dlaczego w ogóle znaleźli się oni na Jijo? W przeciwieństwie do innych gatunków Sześciu, nie opowiadają o przesładowaniach ani nawet poszukiwaniu miejsca, gdzie mogliby się rozmnażać. Zapytani, dlaczego ich skradacz naraził się na wielkie ryzyko, by odnaleźć ten ukryty azyl, wruszają ramionami i nie potrafią odpowiedzieć.

Jedyną wskazówkę zawiera Zwój Odkupienia, gdzie czytamy o tym, jak ostatni glawerski mędrzec zapytał hooriskiego osadnika z pierwszego pokolenia, dlaczego jego pobratymcy tu przybyli, i otrzymał tę głęboko wyburkotaną odpowiedź-

"Do tej (ukrytej) przystani przybyliśmy, by (z nadzieją) poszukiwać.

Jest to (płynąca z głębi serca) misja mająca odzyskać (nieodżałowane) kolce (utraconej) młodości.

Przysłano nas tu za radą (mądrych, tajemnych) wyroczni.

Ta (pełna niebezpieczeństw) podróż nie była też daremna.

Spójrzcie bowiem, co już z (pełnym zachwytem) zdumieniem zdobyliśmy!"

Powiedziawszy to, hooński kolonista wskazał podobno na prymitywną tratwę wykonaną z busowych kłód sklejonych żywicą, prekur-sorkę wszystkich późniejszych statków pływających po rzekach i morzach Jijo.

Z naszej o tysiąc lat późniejszej perspektywy trudno jest zinterpretować znaczenie tego wszystkiego. Czy ktokolwiek z nas może dzisiaj wyobrazić sobie naszych kudłatych przyjaciół bez łodzi? Jeśli próbujemy sobie przedstawić, jak wędrują przez kosmos w gwiazdo-lotach, to czy również przed naszymi oczyma nie pojawia się obraz statków niesionych przez sztormy i pływy, znajdujących drogę międzyplanetarni za pomocą stępek, sterów i żagli?

Zgodnie z tą logiką, czyż ursy nie powinny ongiś "galopować" po galaktycznych preriach, z ogonami kołyszącymi się na gwiazdnych wiatrach? Albo czy każdy gwiazdolot skonstruowany przez ludzi nie powinien przypominać drzewa ?

Ur-Kinton i Herman Chang-Jones. Z Ponownej oceny jjariskiego folkloru. Wydawnictwo Tarek. Rok Wygnania 1901

Dwer

Była midura po zachodzie słońca, gdy po niebie przemknął węgielek, iskierka, która na chwilę stała się większa, kiedy mignęła nad nimi, by spaść w dół na południowym wschodzie. Dwer wiedział, że nie był to meteor, gdyż iskra posuwała się poniżej poziomu chmur.

Dopiero gdy już zniknęła, opadając za następny szereg porośniętych lasem wzgórz, usłyszał cichy, huczący pomruk, ledwie przebijający się przez szum drzew.

Mógłby jej w ogóle nie zauważyć, gdyby obiad mu posłużył. Jego kiszki nie funkcjonowały jednak zbyt dobrze od chwili, gdy czwórka ludzi zaczęła uzupełniać swe skąpe zapasy zdobytą po drodze żywnością. Dlatego siedział nad prowizoryczną latryną w rozpadlinie między dwoma wzgórzami, czekając, aż jego wnętrzności zdecydują, czy przyjąć czy odrzucić z trudem zdobyty wieczorny posiłek.

Pozostali nie byli w lepszym stanie. Danel i Jenin nigdy się nie uskarżali, ale Lena o burczenie w jelitach obwiniła Dwera.

– Też mi wielki myśliwy. Byłeś za przełęczą tuziny razy i nie wiesz, co jest trucizną, a co nie?

– Proszę cię, Leno – wtrąciła się Jenin. – Wiesz, że Dwer nigdy nie wędrował przez Trującą Równinę. Może tylko szukać rzeczy, które przypominają to, co zna.

Danel spróbował swych sił jako rozjemca.

– W normalnej sytuacji zjadalibyśmy osły, w miarę, jak ich juki stają się lżejsze. Zwierzęta są jednak słabe po niedawnych przeprawach przez strumienie i nie możemy poświęcić żadnego z powodu naszego dodatkowego ładunku.

Myślał o ciężkich książkach, narzędziach i specjalnych pakunkach, które miały uczynić ludzkie życie za Górami Obrzeźnymi nieco mniej i dzikim. Jeśli ostatecznie zdecydują, że tam zostaną. Dwer wciąż żywił nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Jedno wiemy na pewno – ciągnął Danel. – Ludzie mogą żyć wśród Szarych Wzgórz i to bez wszystkich kadziowych procesów, których używaliśmy w domu. Jestem pewien, że obecnie przystosujemy się do jakichś miejscowych mikrobow. Jeśli banda przedterminowych osadników przyzwyczała się do nich, my również możemy to zrobić.

Tak, ale ocalenie życia nie oznacza jeszcze wygody – pomyślał Dwer. Jeśli opinie Rety uznać za miarodajne, ci przedterminowi osadnicy to zrzędlive towarzystwo. Może właśnie zaczynamy rozumieć, skąd się to u nich wzięło.

Sytuacja mogła się poprawić z chwilą, gdy Danel zbuduje własne kadzie, w których będzie hodował drożdżowe kultury, czyniące wiele jijańskich potraw strawnymi dla ludzi. Nie znajdują jednak substytutów dla oczyszczanych przez trackich enzymów, które przetwarzały gorzkie owoce ping i jogurt były w soczyste smakołyki. W pierwszej kolejności Dwer i pozostali przybysze oczekiwali od przedterminowych osadników wskazówek, czego w tej okolicy nie należy jeść.

Zakładając, że będą skłonni do współpracy. Krewnym Rety mogło się nie spodobać, że narzuca się im nowy porządek życia. Mnie również by się nie spodobało na ich miejscu. Danel posiadał uzdolnienia do negocjacji i perswazji, rolę Dwera zaś miało być wsparcie słów mędrca i nadanie im mocy prawnej.

Według świadectwa Rety, jej plemię zapewne liczyło nie więcej niż czterdzieści dorosłych osób. Struktura społeczna przypominała typową, opartą na machismo, hierarchiczną grupę łowiecką. Był to standardowy przebieg procesu wyradzania się ludzi. Stary Fallon już dawno nauczył Dwera go rozpoznawać. Ranga zależała od indywidualnego zastraszenia, przemocy i przechwalania się.

Najskuteczniejsza metoda wyłapania podobnej grupy, wypracowana przez poprzedników Dwera, polegała na szybkim nawiązaniu kontaktu i oszołomieniu przedterminowych osadników darami, nim

szok zdąży się przerodzić w nieprzyjaźń, w celu kupienia czasu potrzebnego do sporządzenia mapy sojuszków i wrogości wewnątrz bandy. Dalszy ciąg procedury polegał na wybraniu garstki obiecujących mężczyzn o średniej randze i dopomożeniu tym kandydatom w dokonaniu przewrotu, obaleniu dominującej dotąd grupy brutalni, których interes polegał na zachowaniu dotychczasowego stanu rzeczy. Nowych przywódców łatwo było później namówić do "powrotu do domu".

Była to sprawdzona metoda, z powodzeniem wykorzystywana przez innych, których zadaniem było sprowadzenie na miejsce zbłąkanych ludzkich klanów. W idealnej sytuacji można było się obejść bez zabijania kogokolwiek.

W idealnej sytuacji.

Szczerze mówiąc, Dwer nienawidził tej części swej roboty.

Wiedziałaś, że może do tego dojść. Teraz płacisz za całą tę wolność, którą się cieszyłeś.

Jeśli łagodna perswazja nie skutkowałą, następnym krokiem było wezwanie milicji i wyłowienie wszystkich zbiegów. Każdy ze szczepów godził się płacić tę surową cenę – alternatywę wojny i potępienia.

Ale tym razem sytuacja wygląda inaczej.

Tym razem nie mamy po swej stronie żadnego prawa, chyba że prawo przetrwania.

Zamiast sprowadzać nielegalnych osadników z powrotem na Stok, Ozawa miał zamiar przejąć władzę nad hordą Rety. Pokierować ją ku innemu stylowi życia, nadal jednak prowadzonego w ukryciu.

Tylko wtedy, gdy wydarzy się najgorsze. Jeśli okażemy się ostatnimi ocalałymi ludźmi na Jijo.

Dwerowi zakręciło się w głowie od tej straszliwej myśli, podczas gdy jego wnętrzności szarpały się z resztkami posiłku.

Jeśli tak dalej pójdzie, będę za słaby, żeby zwyciężyć w walce zapaśniczej, czy jak tam Jass i Bom określają zmagania o miejsce w hierarchii plemiennej. Wszystko może ostatecznie zależeć od Leny i jej narzędzi.

Przez całą drogę krępa blondynka uważnie pilnowała osła niosącego przyrzady związane z jej osobistym "hobby" – ludzką techniką przekazywaną z pokolenia na pokolenie od chwili lądowania na Jijo pierwszych przodków. Była ona tak brutalna, że uciekano się do niej rzadko, nawet podczas wojen uryjskich.

– Moje wyrównywacze – mówiła Lena o zapieczętowanych woskiem drewnianych skrzyniach. Miała na myśli to, że ich zawartość umożliwi jej wymuszanie przestrzegania werdyktów Danela równie skutecznie, jak Dwerowi mięśnie i sprawność fizyczna.

Nie dojdzie do tego! – poprzysiągł, nakazując swemu ciału wrócić do formy. Dotknął koniuszków palców, kiedyś odmrożonych, lecz bez poważniejszych skutków. Zawsze miałem więcej szczęścia niż na to zasługiwałem.

Według słów Sary, która wiele czytała na temat przeszłości Ziemi, to samo można było powiedzieć o całym cholernym gatunku ludzkim.

W tej właśnie chwili lśniący węgielek przemknął po niebie nad głową siedzącego nad prowizoryczną latryną Dwera. Z pewnością by go

nie zauważył, gdyby spoglądał w inną stronę albo był zajęty czynnością wymagającą większego natężenia uwagi. Gapił się ponuro na opadającą* w dół iskierkę, a głuchy grzmot towarzyszący jej przelotowi przemyśla wzdłuż pobliskich kanionów, wypełniając noc szemrzącymi echemi.;

Następnego dnia musieli sforsować kolejny strumień.

Była to niedostępna okolica, co przodków przedterminowych osadników skłoniło zapewne do udania się w tę stronę. Osłonięte najpierw przez Trującą Równinę, a potem przez wąwozy i rwące

potoki Szare Wzgón były tak odpychające, że zwiadowcy sprawdzali te tereny tylko raz i pokolenie. Można było sobie łatwo wyobrazić, jak Fallon i pozostali mogli przeoczyć jedno małe plemię na straszliwych pustkowiach, przez które Dw prowadził grupę. Było to królestwo siarkowych gejzerów oraz drzew, kto w miarę jak zapuszczali się dalej, były coraz bardziej powykręcane. Nisł wiszące chmury sprawiały wrażenie nadąsanych i spoglądających spod siebie. Tylko z rzadka ustępowały miejsca przeblaskom słońca. Ze szczelin skalnych zwisały brody zielonego mchu, a oleista woda skapywała z nich do pokryty algami sadzawek. Zwierzęce formy życia były płochliwe i trzymały się dystansu, pozostawiając jedynie niewyraźne ślady, które Dw mógł wąchać i zastanawiać się nad nimi.

Podczas przeprawy przez kolejny wartki potok stracili kilka osł. Chociaż przeciągnęli między brzegami linę, a Lena i Dw stanęli po prostu w lodowatej wodzie, by służyć pomocą zmęczonym zwierzętom, trze z nich nogi omsknęły się ze śliskich głazów. Jeden zaplątał się w sznurek kwicząc i wierzgając. Zginął, nim zdążyli go uwolnić. Dwa dalsi porwał prąd. Musieli przez długie godziny brodzić po płycznach, nie odzyskali bagaży. Palce rąk i nóg Dwera przez cały czas płonęły dziwnym lodowato-gorącym odrętwieniem.

Wreszcie, susząc się przy ognisku na drugim brzegu, ocenili szkoc

– Brakuje czterech ksiąg, młotka i trzynastu paczuszek prochu;

– oznajmił Danel, z żalem potrząsając głową. – Do tego część inny się uszkodziła, gdy rozerwały się wodoszczelne opakowania.

– Nie wspominając o reszcie zapasów paszy dla zwierząt – dodał Jenin. – Od tej chwili muszą się paść, czy chcą czy nie.

– Cóż, jesteśmy już prawie na miejscu. Mam rację? – wtrącił Lena Strong. Choć raz była w pogodnym nastroju. Ćwiartowała właśnie

osła, który się udusił. – Ma to ten plus, że przez pewien czas będziemy się lepiej odżywiać.

Nocą wypoczęli. Zmiana diety poprawiła im nastrój, choć dręczyło ich też lekkie poczucie winy. Następnego ranka, gdy idąc na wschód, pokonali zaledwie odległość strzału z łuku, stanęli przed potężnym wąwozem o stromych ścianach, wzdłuż którego płynął rozszalały potok.

Dw skierował się w górę strumienia, Lena zaś ruszyła na południe, pozostawiając Jenin i Danela, by zaczekali z wyczerpanymi osłami. Uzgodnili, że poszukiwania potrwać dwa dni i tyle samo zajmie powrót. Jeśli żadne ze zwiadowców nie znajdzie do tego czasu drogi, mogą być zmuszeni do zbudowania tratwy i podjęcia próby pokonania bystrza. Ta perspektywa zbytnio Dwera nie cieszyła.

Czy nie mówiłem Danelowi, że powinniśmy poczekać na Rety? Mogę być tropicielem, ale ona przebyła to pustkowie zupełnie sama.

Odwaga i zawziętość dziewczyny w pokonywaniu przeszkód robiły na nim coraz większe wrażenie.

Jeśli wysłano drugą grupę i Rety jest z nią, pewnie chichocze na myśl, że wpadłem w tę pułapkę. Jeśli zna jakiś tajemny skrót, mogą dotrzeć do plemienia przed nami. Niewiele by wtedy zostało z planów Danela!

Nawet posuwanie się wzdłuż rzeki było trudne i niebezpieczne. Musiał się wdrapywać na strome urwiska, a potem schodzić w dół po śliskim brzegu jednego lodowato zimnego dopływu po drugim. Ku jego zaskoczeniu. Skarpetka mu towarzyszył, porzuciwszy ognisko Danela i pieścizny Jenin. Droga była zbyt trudna, by mógł sobie pozwalać na zwykłe wygłupy: zastawiać pułapki na Dwera czy starać się podcinać mu nogi. Po pewnym czasie zaczęli nawet pomagać sobie nawzajem. Przenosił zwierzę przez zdradliwe, pienne strumienie. Skarpetka zaś i wybiegał niekiedy naprzód,

by zameldować za pomocą pisków i otrząsania się, która z dwóch ścieżek wygląda na lepszą.

Rzeka i jej kanion dręczyły ich jednak. Niekiedy wydawało się niemal, iż wąwóz się otwiera, lecz potem zamykał się nagle, węższy i bardziej stromy niż przedtem. W południe drugiego dnia Dwer uzalał się sam przed sobą na upartą złośliwość terenu.

Fallon ostrzegał mnie przed Szarymi Wzgórzami. Zawsze jednak uważałem, że będę mógł sobie pomagać notatkami i mapami starego. Wybrać trasę, kierując się wskazówkami dawniejszych myśliwych.

Żaden z nich nie znalazł jednak nawet śladu bandy, do której należała! Rety, możliwe więc, że zbytnio polegali na radach kolegów i krok po kroku przemierzali tę samą trasę wiodącą na pustkowiach i z powrotem, przedterminowi osadnicy zaś wiedzieli, że należy unikać tej marszruty. Być może cała ta straszliwa niedostępność była znakiem, że grupa Danela zbliżała się już do bazy plemienia.

Tak jest, chłopcze. Myśl tak dalej, jeśli poczujesz się z tego powodu; lepiej.

Czy nie byłoby świetnie, gdyby po całej tej morderczej wędrówce dowiedział się, że Lena znalazła już dogodny bród, niedaleko w dole rzeki? Ta myśl dręczyła Dwera, gdy dzielił się jedzeniem ze Skarpetką. Dalsze posuwanie się naprzód zdawało się bezsensowne. Za kilka godzin i tak będzie musiał spisać całą podróż na straty. Bolały go palce dłoni i stóp, a także przeciążone ścięgna nóg i pleców. Lecz prawdziwe wyczerpanie powodował grzmiący ryk pędzącej wody. Czuł się tak, jakby od paru dni słyszał w głowie nieustanne stukanie zegarowej cikory.

– Czy sądzisz, że powinniśmy zawrócić? – zapytał noora. Skarpetka przechylił gładką głowę, obrzucając Dwera zwodniczo inteligentnym spojrzeniem, które przypominało mu legendy mówiące, że te zwierzęta mogą spełniać życzenia – o ile pragnie się czegoś tak mocno, że nie dba się o koszt. Wśród robotników używano powiedzenia:

"Poradźmy się noora", co oznaczało, że problemu nie da się rozwiązać i pora porządnie się napić, by złagodzić frustrację.

– No dobra. – Dwer westchnął, podnosząc plecak i kuszę. – Chyba nie zaszkodzi, jak przejdziemy jeszcze kawałek. Czułbym się głupio, gdyby się okazało, że przeoczyliśmy dobry bród znajdujący się tuż za następnym wzniesieniem.

Trzydzieści metrów później Dwer wdrapał się na porośnięte ciernistymi krzewami zbocze. Przeklinał rośliny, śliskość oraz wilgoć pokrywająca skórę. Żałował, że nie wyrusza właśnie z powrotem ku gorącemu posiłkowi i suchemu kocu. Wreszcie dotarł na miejsce, w którym mógł stanąć, ssąc krew sączącą się ze skaleczenia na grzbiecie dłoni.

Odwrócił głowę i spojrzał przez mgłę na to, co widniało przed nim. Grzmiący wodospad, którego huk zagłuszała burzliwa dotąd rzeka, ciągnął się od odległego lewego brzegu aż po daleki prawy. Szeroka zasłona piany i pyłu wodnego.

To nie on jednak sprawił, że Dwer wytrzeszczył oczy.

Tuż przed ryczącą kaskadą znajdowała się biegnąca od jednego do drugiego brzegu szeroka połać skalnych płycizn. Wydawało się, że woda w żadnym miejscu nie jest głębsza niż do kostek.

– To chyba odpowiedź na pytanie, czy powinniśmy iść dalej.

Dwer westchnął.

Po chwili obaj ze Skarpetką znaleźli się wreszcie na drugiej stronie. Przedostali się bez trudu, co dowodziło, że bród jest bezpieczny. Wyraźnie widoczna, wydeptana przez zwierzynę ścieżka wiodła z tego punktu zygzakami przez las, oddalając się od kanionu w kierunku wschodnim.

Wracając w dół rzeki, poszukam łatwiejszego szlaku dla Danela i pozostałych. – Sukces zmniejszył nieco dokuczliwość bólów, które odczuwał. – Istnieje prawdopodobieństwo, że Lena znalazła przejście szybciej. Ale to ja natrafiłem na to miejsce. Niewykluczone, że jestem pierwszy! Jeśli cała ta głupota z obcymi się skończy i uda nam się wrócić do domu, sprawdzę na mapie Fallona, czy od czasu odejścia Buyurów ktoś nadał mu jakąś nazwę.

Szeroki wodospad przywiódł mu na myśl spływ w Dolo. To skojarzenie wydało mu się słodkie, lecz zarazem przypomniało mu gorzko, dlaczego znalazł się tutaj, tak daleko od Sary i wszystkich, których kochał.

Jestem tu, by przetrwać. Moim zadaniem jest ukryć się i mieć dzieci z kobietami, które ledwie znam, podczas gdy ci, którzy zostali na Stoku, będą cierpieć i umierać.

Przyjemność wywołana odkryciem ulotniła się. Wstyd zastąpił nieustępliwą determinacją, by wykonać zadanie, które mu zlecono. Zaczął wracać przez płycizny... lecz zatrzymał się jak wryty, zdawszy sobie nagle sprawę z mrowienia w plecach.

Coś tu nie grało.

Zmarszczył brwi, ściągnął z pleców kuszę i naciągnął dźwignią cięciwę. Nałożywszy na nią strzałę, rozdał nozdrza, by wciągnąć w nie wilgotne powietrze. Z powodu stęchlizny trudno było cokolwiek wyczuć. Sądząc jednak z nastroszonych kolców Skarpetki, noor również coś zwęszył.

Ktoś tu jest – pomyślał Dwer. Przemieścił się szybko w głąb łądu, by skryć się za pierwszym szeregiem drzew. – Albo niedawno był.

Dalej od brzegu okolica cuchnęła, emitując straszliwą mieszaninę zapachów. Było to naturalne w pobliżu jedyne go brodu w promieniu wielu mil. Zwierzęta przychodziły tu, by się napić, a potem oznaczały swe terytorium. Dwer jednak wyczuwał coś jeszcze, co wprowadzało niepokojącą świadomość zagrożenia.

Zdając sobie boleśnie sprawę z faktu, że za plecami ma otwartą wodę, zagłębił się dalej w las.

Czuję zapach... spalonego drewna. Ktoś palił tu ognisko. Niezbyt dawno.

Zbadał okolicę. Węchem i wzrokiem.

Było... tam.

Wśród cieni, w odległości połowy rzutu kamieniem, dostrzegł resztki pozostałe na niewielkiej polanie. Wielki dół pełen czarnych popiołów.

Ktoś z hordy Rety? – zaniepokoił się. Czy Jass i Bom mogli obserwować go nawet w tej chwili, przymierzając się do oddania celnego strzału do intruza ze wzbudzającego lęk zachodu?

Wskazówki kryły się zwykle w szeleście wiatru w gałęziach, w ukradkowych poruszeniach owadów i ptaków. Ta okolica i jej fauna były mu jednak obce, a łoskot wodospadu mógłby zagłuszyć odgłosy wydawane przez kompanię milicji podczas manewrów.

Skarpetka wydał z siebie niskie, fukające warknięcie. Zaczął węszyć nisko nad gruntem, podczas gdy Dwer wpatrzył się w tajemniczy mrok za następnym szeregiem drzew.

– Co to jest? – zapytał, klękając w miejscu, gdzie Skarpetka rozkopał warstwę świeżo spadłych liści.

Znajomy smród uderzył z pełną mocą jego nozdrza.

– Ośle gówno?

Zaryzykował szybkie spojrzenie. Drugie nie było już potrzebne. Osły? Ale Rety mówiła, że przedterminowi osadnicy ich nie mają! Gdy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważył ślady juczych zwierząt na całej polanie. Odciski kopyt i odchody przynajmniej dwunastu sztuk. Palik, do którego przywiązano ograniczającą wybieg linę. Połacie zgniecionej trawy, na której musiały leżeć dźwigające bagaże zwierzęta.

Opuścił kuszę. A więc druga ekspedycja jednak wyruszyła i wyprzedziła pierwszą, wybrawszy lepszą trasę. Niewątpliwie jej przewodniczką była Rety.

Cóż, przynajmniej przedterminowi osadnicy nie będą mieli tak wielkiej przewagi liczebnej, nawet jeśli do kontaktu nie dojdzie w sposób zaplanowany przez Danela.

W uldze, którą czuł, było też coś bardziej osobistego, choć niezbyt szarmanckiego.

Będę miał do wyboru jako przyszłą partnerkę nie tylko Jenin, Lenę czy jakąś opryskliwą kuzynkę Rety.

Coś jednak nadal niepokoiło Dwera, sprawiając, że nie miał ochoty opuścić kuszy. Policzył wygniecione przez leżące zwierzęta zagłębienia w trawie i zdał sobie sprawę, że jest ich po prostu zbyt wiele. Czy raczej, były dwa różne rodzaje zagłębień. Bliżej ognia były one mniejsze i bardziej skupione...

Nie. To niemożliwe.

W każdym innym miejscu ten zapach już dawno przyciągnąłby jego uwagę. Nos Dwera zaatakowała ostra, znajoma woń. Nachylił się, by podnieść kłębuszek ciągnącej się sierści, wciąż pokrytej popiołem, w którym jej właścicielka wytarzała się po nieprzyjemnie mokrej przeprawie przez rzekę.

Lśniące kosmyki z uryjskiej grzywy.

Od ostatniej wojny upłynęły całe pokolenia. Bez względu na ten fakt, w piersi Dwera wezbrał instynktowny strach. Przyprawiający o bicie serca przyływ niepokoju.

Uryjska karawana podróżująca w tych okolicach nie mogła mieć dobrych zamiarów.

Tutaj, na pustkowiu, daleko od ograniczeń narzuconych przez mędrców i Wspólnotę, gdy inni przedstawiciele Sześciu mogli już wyginąć, wszystkie dawne zasady z pewnością straciły znaczenie. Jak w dniach przed nastaniem Wielkiego Pokoju. Dwer wiedział, jak niebezpiecznymi wrogami potrafią być te istoty.

Cichy jak duch, odczołgał się od polany, a potem pokonał rzekę, poruszając się szybkim zygzakami. Krył się, skacząc za głazy, poczym odwracał się, by spojrzeć na przeciwległy brzeg. Skarpetka posuwał się z pluskiem za nim. Najwyraźniej pragnął się stąd oddalić równie szybko jak człowiek.

Dwer pełnił czujną straż przez całą midurę, długo jeszcze po tym, jak jego walące serce wreszcie się uspokoiło.

Na koniec, gdy wydawało się, że jest bezpiecznie, zarzucił kuszę na plecy i ruszył w dół rzeki. Kiedy tylko było to możliwe, biegł, by jak najszybciej zanieść wieści na południe.

Asx

Czy widzicie dym, o moje pierścienie? Bijący w górę spiralą z nowej jamy w pękniętej glebie Jijo? Błede promienie dwóch księżyców przebijają się przez całun sadzy, wnikając do krateru, w którym błyszczą i płoną powyginane metalowe kształty.

Z drugiego z naszych torusów poznawczych dobiegaj ą rozpraszaj ące uwagę myśli.

Co mówisz, mój pierścieniu? Że to bardzo wiele odpadów? Odpadów, które nie wrócą samoistnie do naturalnego obiegu?

W rzeczy samej. Czy mamy nadzieję, że obcy sami posprzątają po sobie? Potrzeba by stu oślich karawan, by odwieźć tak wiele toksycznych pozostałości do morza.

Inny pierścień sugeruje, by zmienić bieg strumienia i utworzyć jezioro. Przeszczepiony mierzwopajak mógłby z biegiem stuleci rozpuścić grzeszne szczątki.

Drogą powszechnego głosowania odsyłamy te myśli do woskowej pamięci, celem późniejszego rozpatrzenia. Na razie obserwujemy przebieg wypadków w czasie rzeczywistym.

Na zboczach wznoszących się nad spustoszoną dolinką kłębi się gęsty tłum gapiów powstrzymywany przez oszołomionych, przepracowanych porządkowych. Wyżej, na osłoniętych drzewami wzgórzach, dostrzegamy przelotnie ciemne szeregi zdyscyplinowanych sylwetek, które dokonują zwrotów i manewrują: zajmujące pozycje jednostki milicji. Z tego miejsca nie potrafimy odgadnąć ich zamiarów. Czy przygotowują się do beznadziejnej obrony Wspólnoty przed zemstą przemożnej siły? Czy też międzyszczepowe resentymenty rozdarły w końcu Wielki Pokój i przyspieszamy zagładę, rozszarpując się nawzajem zakrwawionymi rękami?

Być może nawet dowódcy owych ciemno odzianych batalionów nie mają jeszcze w tej sprawie pewności.

Tymczasem, bliżej żaru, Ur-Jah i Lester Cambel kierują ekipami odważnych urs, ludzi, hoonów i szarych qheuenów, którzy zstępują do czeluści uzbrojeni w sznury i narzędzia z buyurskiej stali.

Ro-kenn z początku się sprzeciwia, nieprawdaż, moje pierścienie? W pośpiesznym siódmym galaktycznym rotheński emisariusz gardłuje przeciwko tym, których nazywa "rozwydrzonymi grabieżcami". Jeden z ocalałych robotów wznosi się w górę, odsłaniając kolczaste narzędzia ataku.

Yubben nalega, by Ro-kenn przyjrzał się uważniej. Czy nie potrafi rozpoznać szczerych prób niesienia ratunku? Przez dwie pełne napięcia dury kołyszymy się na krawędzi przepaści. Wreszcie – z pomrukiem niechęci – Rothen odwołuje swą śmiercionośną maszynę. Na razie.

Na charyzmatycznej, po ludzku przystojnej twarzy Ro-kenna nasz stary, solidny rewq odkrywa odcienie żałoby i wściekłości. Co prawda, ten gatunek jest dla nas nowy i symbionta można oszukać. Czegóż jednak powinniśmy oczekiwać od osoby, której będący domem obóz leży w gruzach? Której towarzysze leżą, martwi lub umierający, w powyginanej płataninie skrytej pod ziemią stacji?

Mężczyzna z nieba, który leci na drugim robocie, Rann, otwarcie okazuje udękę. Wykrzykuje do tych, którzy pracują wśród gruzów, kieruje ich wysiłkami. Pełna napięcia, lecz zachęcająca oznaka współpracy.

Ling, dziewczyna z nieba, wygląda na pogrążoną w szoku. Opiera się o młodego Larka, który grzebie stopą w szczątkach na krawędzi krateru. Pochyla się, by podnieść tłącą się deskę i wachają podejrzliwie. Zauważamy, że jego głowa odchyła się do tyłu z okrzykiem zaskoczenia.

Ling odsuwa się od niego, żądając wyjaśnień. Za pośrednictwem naszego rewqa dostrzegamy niechęć, z jaką Lark pokazuje jej dymiącą deszczułkę, fragment spalonego drewna pochodzący z jijańskiego pudełka bądź skrzyni.

Ling zdejmuje dłoń z jego ramienia. Odwraca się i biegnie ku unoszącemu się w powietrzu mechanicznemu wierzchowcowi Ranna.

Znacznie bliżej tego stosu pierścieni Ro-kenn daje się wciągnąć w spór. Rotheńskiego emisariusza dopada delegacja, która domaga się od niego odpowiedzi.

Dlaczego wcześniej twierdził, że ma prawo i moc, by rozkazywał Świętemu Jaju, podczas gdy teraz jest oczywiste, że uświęcony kameleń gwałtownie odrzuca jego i jego pobratymców?

Co więcej, dlaczego chciał siać niezgodę wśród Sześciu, rzucając pozbawioną podstaw kalumnię na ludzki szczep? Wygłaszając gołosłowne kłamstwo, jakoby nasi ziemscy bracia nie byli potomkami grzeszników, tak jak pozostała Piątka.

– Wy, Rotheni, możecie być lub nie być szlachetnymi opiekunami ludzkości – mówi rzecznik grupy. – Ale to niczego nie ujmuje naszym przodkom, którzy przybyli tu na pokładzie "Tabemade". Ich zbrodni, ani ich nadziei, z jaką skierowali nas na Ścieżkę Odkupienia.

W głosie ludzkiego orędownika słychać gniew. My-ja wykrywamy jednak również grube pociągnięcia pędzla o charakterze teatralnym. Próbę stłumienia ognia dysharmonii, który Ro-kenn rozniecił swą opowieścią. I rzeczywiście dają się słyszeć uryjskie głosy aprobujące jego gniew.

Nagle nasz drugi torus poznawczy wypuszcza z siebie jeszcze jedną myślohipotezę.

Cóż to, mój pierścieniu? Sugerujesz, że intencją Ro-kenna od początku było wprowadzenie rozdźwięku? Że był to świadomy plan mający na celu wywołanie walk wśród Sześciu?

Nasz czwarty pierścień zbija to twierdzenie. Czemu mogłaby służyć podobnie dziwaczna intryga? Temu, by Pięciu zjednoczyło się przeciw Jednemu? Sprowokowaniu wendety przeciwko szczepowi, którego przedstawiciele są podobno ukochanymi podopiecznymi Rothenów?

Zachowajcie i skryjcie pod tamponem ten dziwaczny postulat, o mo je pierścienie. Przedyskutujmy go później. Na razie Rothen przygoto wuje się do odpowiedzi. Prostuje się i przygląda tłumowi z mim wzbudzającą cześć zarówno u ludzi, jak i u tych, którzy ich znają mających rewq i nie mających ich.

W jego wyrazistym spojrzeniu widać wyrozumiałość. Poddaną nad miernej próbie cierpliwość i miłość.

– Drogie, zbłąkane dzieci. To gwałtowne zjawisko nie było wyrazem odrzucenia przez Jijo czy Jajo. To raczej jakaś awaria potężnicy mocy zawartych w naszej stacji musiała spowodować...

Przerywa nagle. Zbliżają się do niego Rann i Ling. Oboje siedzą na robotach. Ich twarze są mroczne i zagniewane. Szepczą coś do swych urzędzeń. Rothen wbija w nich wzrok, nasłuchując. Raz jeszcze mój rewq odkrywa dysonans na jego obliczu. Wreszcie zastyga ono w wyrazie oszalałej furii.

Ro-kenn mówi:

– A więc (straszliwa) prawda została odkryta. Poznana. Zweryfikowana!

Nie była wypadkiem ta (zabójcza) eksplozja.

Nie była (nieprawdopodobną) awarią ani odrzuceniem przez wasze (przesadnie wychwalane) Jajo.

Teraz jest to wiadome. Potwierdzone. Było to (ohydne, nie sprowokowane) morderstwo.

Morderstwo dokonane przez podstęp, wybieg.

Przez podziemne użycie środków wybuchowych. Przez ukradkowy atak.

Przez was!

Wskazuje na nas długim, smukłym palcem. Tłum cofa się na chwiejnych nogach przed okrutnym gniewem Ro-kenna i przed tą wiadomością.

Natychmiast staje się jasne, co uczynili gorliwcy. Potajemnie, wykorzystując naturalne jaskinie wypełniające te wzgórza, musieli z wysiłkiem wykonać głęboki podkop pod stacją, by umieścić w nim skrzynie wybuchowego prochu – środek prymitywny, lecz użyty w wielkiej obfitości – który eksplodował w dobrze wybranej symbolicznej chwili, siejąc zniszczenie i grozę.

– Dzięki nastawionym na chemiczne węszenie skanerom wykrywamy teraz głębię perfidii was wszystkich. Jakże niezasłużone były nagrody, którymi zamierzaliśmy obsypać krwiożercze półzwierzęta!

Mógłby powiedzieć więcej do rzucającego się na ziemię tłumowi, dodać jakieś straszliwe groźby, lecz w owej chwili nowe zakłócenie przyciąga ognisko naszej uwagi ku tłącej się czeluści. Tłum rozstępuje się, by zrobić przejście dla falgangi usmarowanych sadzą ratowników, którzy kaszlą i wciągają głośno powietrze, dźwigając godne politowania brzemia.

Rann krzyczy głośno i zeskakuje ze swego wierzchowca, by przy j-

rzec się zmiętej postaci niesionej na noszach. To Besh, druga kobid z nieba. W jej zmasakrowanej sylwetce nasz rewq nie dostrzega zadra iskiejki życia.

Tłum rozstępuje się ponownie. Tym razem to Ro-kenn wydad z siebie zdecydowanie nie ludzki

lament. Na noszach, które przed nim postawiono, spoczywa druga przedstawicielka jego rasy, Ro-pol. Jak się domyślaliśmy, płci żeńskiej. (Jego partnerka?)

Tym razem w bliskiej podczerwieni widać wydobywający się z uwa' lanej sadzą, lecz wciąż wspaniałej twarzy ofiary wąty ślad oddechu Ro-kenn nachyla się nad nią nisko, jak gdyby chciał dokonać jakiejś osobistej komunii.

Chwytająca za serce scena trwa zaledwie kilka chwil. Potem trzcim żywego napięcia znika. W kotlinie, pod jarzącymi się boleśnie gwiaz darni, leżą drugie zwłoki.

Żywy Rothen prostuje się. Promieniuje gniewem. Jest to straszliwa widok.

– Teraz nadchodzi odpłata, na jaką zasłużyła (ohydna) zdrada! -krzyczy, kierując rękę ku niebu. Jego głos niesie się echem gniewu tal wielkiego, że każdy rewq w dolinie drży. Niektórzy ludzie padają n;

kolana. Czyż nawet szare królowe nie gwizdzą z lęku i trwogi?

– Od bardzo dawna obawialiście się (sprawiedliwego) osądu z nie ba. Teraz ujrzycie jego wcieloną postać!

Razem z pozostałymi my-ja podnosimy wzrok. Nasze spojrzeni podąża za wyciągniętą ręką Ro-kenna.

Dostrzegamy pojedynczą, jarzącą się iskrę, która przesywa niebc Bezlitosny błysk porusza się ociężale, przechodząc z Pajęczej Sieci d gwiazdozbioru zwanego przez ludzi Mieczem.

Wielki statek wciąż jest odległym punktem, lecz nie mruga ani ni migocze. Wydaje się, że raczej pulsuje z intensywnością sprawiającą N tym, którzy przyglądają mu się przez dłuższy czas.

Trzeba przyznać, że gorliwcy świetnie wybrali moment – zauważ nasz wiecznie pogrążony w myślach drugi torus poznawczy. Jeśli ic celem było położenie kresu pozorom, nie mogli wybrać lepszego sposc bu.

Sara

Mędrzec Taine chciał z nią porozmawiać przed jej wyjazdem do Przystani Kandu. Ariana Foo również. Oboje pragnęli, by odłożyła podróż, lecz Sara wolała wyruszyć jak najszybciej.

Mimo to zaledwie na midurę przed odbiciem "susła" od brzegu postanowiła pod wpływem impulsu odwiedzić swój dawny gabinet umiejscowiony wysoko w katedralnej wieży, w której znajdowała się Biblioteka Nauk Materialnych.

Na zachód od Wielkich Schodów trasa prowadziła najpierw między olbrzymimi, bezładnymi regałami mieszczącymi dzieła z zakresu fizyki i chemii. Niedawna ewakuacja pozostawiła tam widoczne ślady. W labiryncie półek widać było liczne przerwy. Na miejscu nieobecnych tomów umieszczono skrawki papieru, które miały pomóc personelowi w ponownym ustawieniu wszystkiego, jeśli obecny kryzys minie. Gdzieniegdzie drewniana powierzchnia wyglądała niemal na nową. Oznaczało to, że książkę zdjęto z półki po raz pierwszy od czasów Wielkiego Drukowania.

W jednym z krętych przejść Sara dostrzegła młodego Jomaha. Chwiejący się pod brzemieniem ciężkich tomów chłopak włókł się dzielnie za stryjem, by przystąpić do uroczystych rytuałów wypożyczania. Najwyższy czas, jeśli mieli zamiar zdążyć na "susła". Wysadzacze, podobnie jak liczna grupka innych, wybierali się w tę samą stronę, co Sara: najpierw statkiem, a potem ośłą karawaną na Polanę Zgromadzeń.

Kręty labirynt wywoływał mieszane uczucia. W pierwszych dniach często tu błędziła, lecz była tak uszczęśliwiona faktem, że mieszka w tym wspaniałym miejscu, tej świątyni mądrości, iż nigdy się tym nie przejmowała.

Mały gabinet niemal się nie zmienił w ciągu długiego roku jej nieobecności. Wąskie okna wychodziły na Bibur o zielonych brzegach. Wszystko wyglądało mniej więcej tak, jak to pozostawiła,

pomijając kurz.

Cóż, sądziłam, że wrócę szybciej.

Wielu rywalizowało o to, by ludzki szczep wybrał ich do takiego życia, subsydiowanego przez ten gatunek farmerów i szabrowników, dla którego jedynym istotnym źródłem grzesznej pychy były jego książki.

Do przeciwległej ściany przypięto diagram obrazujący "wyradzanie się" rozmaitych dialektów, którymi mówiono na Stoku. Liczne biegnące w dół gałęzie reprezentujące wszystkie używane tu obecnie języki galaktyczne przypominały odrośle oddzielające się od macierzystych korzeni. Ten starszy obraz ukazywał nastawienie uczonych w Katedrze Językoznawstwa. Jego podstawę stanowił niezaprzeczalny fakt, że mi-liardoletnie języki galaktyczne były ongiś doskonałymi, wydajnymi kodami łączności. Odchylenia widziano jako część spirali, która według przypuszczeń schodzi w dół ku niewinności zwierzęcych chrząknięć, Ścieżki Odkupienia wytyczonej już przez gławery. Mieszkańcy Stoku lękali się owego losu bądź modlili o niego, w zależności od stopnia swej religijnej żarliwości.

Odtworzono również historię ludzkich języków, liczącą sobie nie miliard, lecz dziesięć tysięcy lat. Ziemskie autorytety, takie jak Childe, Schraeder czy Renfrew odbudowały pieczołowicie wyjściowe języki. Ich gramatyki nierzadko okazywały się bardziej pedantycznie skonstruowane, lepiej radzące sobie z korekcją błędów niż "zanieczyszczone" żargony, które zjawily się później. Jakież mógł być lepszy dowód na to, że wyradzanie się ludzi zaczęło się na długo przed lądowaniem na Jijo? Czy we wszystkich ziemskich kulturach nie istniały legendy o utraconym złotym wieku?

Narzucal się jeden wniosek: nieobecny opiekunom Ziemi przerwano pracę i zmuszono ich do porzucenia ludzkości na wpół ukształtowanej. Co prawda upadek, do którego doszło, maskowała garstka efektownych sztuczek przedwcześnie rozwiniętej techniki. Mimo to wielu uczonych wierzyło, że Ziemianie mają wiele do zyskania, jeśli podążą drogą wiodącą do ponownej adopcji i drugiej szansy, zwłaszcza że wyglądało na to, iż i tak zmierzają w tym kierunku.

To jest ortodoksyjny pogląd. Mój model wykorzystuje te same dane, lecz przewiduje odmienny rezultat.

Jej najnowszy diagram przypominał ten, który wisiał na ścianie, lecz odwrócony do góry nogami. Uciekające od światła korzenie przeobrażały się w drzewa. Sześciu na tym wykresie zmierzało w nowym kierunku.

W wielu kierunkach.

Jeśli nikt nie będzie ingerował.

Wczoraj pokazała swe najnowsze dzieło mędrcom Bonnerowi. Jego entuzjazm spowodował, że znowu poczuła przyjemność towarzyszącą pochwałom kolegów.

– Cóż, moja droga – powiedział najstarszy matematyk na Jijo, głaszcząc się po łysinie. – Wydaje się, że coś w tym jest. Wyznaczmy termin seminarium! Oczywiście interdyscyplinarnego.

Podkreślił swój entuzjazm niedbałym emocjonalnym trybem oczekiwania w drugim galaktycznym.

– Zaprosimy tych nadętych pedantów z Katedry Językoznawstwa. Zobaczymy, czy są w stanie wysłuchać dla odmiany nowego, śmiałego pomysłu. Hę. Hę do szczęścianu!

Bonner zapewne nie zrozumiał zbyt wiele z jej wywodu o "redundantnym kodowaniu" i chaosie w teorii informacji. Stary topolog cieszył się po prostu perspektywą ożywionej debaty, która mogła w dodatku obalić jakiś ugruntowany pogląd.

Gdybyś tylko wiedział, jak znakomity przykład mojej tezy stanowisz – pomyślała ciepło. Była bardzo niezadowolona, że musi go rozczarować.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, możemy je zorganizować, kiedy wrócę ze zgromadzenia.

Niestety, z podróży, w którą wyruszyła, mogło nie być powrotu. Albo też wróciwszy, mogła się przekonać, że wysadzacze wykonali wreszcie swój obowiązek i zwalili kamienny dach, sprowadzając w ten sposób przepowiadany wiek ciemności i czystości. Odwracała się już, by odejść, gdy głuchy odgłos poinformował ją, że na biurku wylądowała kulka depeszowa. Nad przeznaczonym na przesyłki pudełkiem mięsista rura odskoczyła w górę, wypluwszy ładunek, który przemierzył labirynt przewodów przenikających kompleks budynków Biblos.

O nie. Sara cofnęła się, w nadziei, że zdąży się wymknąć, nim pokryte futrem stworzonko się rozwinie. Jeśli posłaniec nie zostanie w domu nikogo, wejdzie po prostu z powrotem do rury i zamelduje o tym fakcie nadawcy.

Kulka jednak rozprostowała się szybko. Maleńka, przypominająca mysz postać wylazła z pudełka, zobaczyła Sarę i pisnęła z zachwytu, że udało się jej spełnić jedno z zadań, dla których wyhodowali ją starożytni Buyurowie: dla przekazywania krótkich wiadomości za pomocą sieci krzyżujących się ze sobą tuneli i pnączy. Sara wyciągnęła z westchnie-

niem rękę. Posłaniec wypluł jej na dłoń ciepłą drobinę, która zaczęła się wić.

Tłumiąc niesmak, kobieta uniosła małego symbionta – większego kuzyna papugokleszcza – i pozwoliła, by wcisnął się jej do ucha.

Po chwili, tak jak się tego obawiała, zaczął on przemawiać głosem mędrca Taine'a.

– Saro, jeśli ta wiadomość do ciebie dotrze, chciałbym z tobą porozmawiać, nim odjedziesz... Jest konieczne, byśmy wyjaśnili nieporozumienia między nami.

Nastąpiła długa przerwa, po czym głos oznajmił pośpiesznie:

– Zastanawiałem się nad tym i doszedłem ostatnio do wniosku, że ta sytuacja to w wielkiej części moja wi...

Wiadomość urwała się nagle. Owad zapisujący osiągnął granice swych możliwości. Zaczął powtarzać przekaz od początku.

Wina? Czy to właśnie słowo zamierzałeś wypowiedzieć?

Sara pochyliła głowę. Owad zdał sobie sprawę, że nie jest już potrzebny i wypelzł z jej ucha. Głos Taine'a stał się odległy i nabrał płacznego brzmienia. Rzuciła insekta małemu, kudłatemu posłańcowi. Ten ścisnął stworzenie w ostrych szczękach, uwrażliwiając je na odpowiedź Sary.

Mało brakowało, by powiedziała na głos:

"Przepraszam. Powinnam była wziąć pod uwagę okoliczności. Byłeś nietaktowny, zbyt wyniosły, ale chciałeś dobrze. Powinnam była poczuć się zaszczycona twoją propozycją, nawet jeśli początkowo złożyłeś ją z poczucia obowiązku. Złe to przyjąłem, gdy ponowiłeś ją na pogrzebie Joshu. Miesiąc temu zastanawiałam się nad tym, czy nie powiedzieć wreszcie »tak«. Na Stoku może trafić się los znacznie gorszy niż ten, który mi oferowałeś".

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Postarali się o to obcy. Do ery, która miała nadejść, świetnie pasuje Dwer. Jeśli rzeczywiście zbliża się wiek niewinności, będzie w nim świetnie prosperował i spłodzi pokolenia znakomitych łowców-zbieraczy.

A jeśli obcy planują dla nas śmierć? Cóż, Dwer oszuka ich i ocali życie.

Ta myśl sprawiła Sarze bolesną radość.

Tak czy inaczej, jaki pożytek przyniosą Jijo intelektualiści tacy jak my, Taine?

Wkrótce, nim nadejdzie koniec, zatrą się między nimi różnice, lecz jednocześnie staną się beużyteczni i anachroniczni.

W końcu Sara nie powiedziała nic. Kulka depeszowa wydała z siebie pisk zawodu. Wsadziła owada pod policzek, wpadła z powrotem do rury i zniknęła w labiryncie przewodów, który przebiegał przez Biblos niczym system tętnic i żył.

Nie jesteś w tym sama – pomyślała Sara do sfrustrowanego stworzonka. Rozczarowań wystarcza dla wszystkich.

Gdy Sara wpadła pośpiesznie na nabrzeże, z komina "susła" buchał już dym. Ariana Foo czekała w pobliżu. Półmrok spowijał jej fotel na kółkach, przez co przypominała jakąś ludzko-g'Kecką hybrydę.

– Żałuję, że nie mogłam z nim spędzić jeszcze kilku dni – powiedziała, ujmując dłoń Sary.

– Dokonałaś cudów, ale nie mamy już czasu.

– Następny kajakowy pilot może przynieść informacje o podstawowym znaczeniu...

– Wiem. Oddałabym też wszystko, żeby otrzymać wiadomość od Larka. Ale rozumując w ten sposób, będziemy tylko kręcić się w kółko. Jeśli wydarzy się coś pilnego, możesz wysłać za nami galopantkę. Tymczasem mam... wrażenie, że powinniśmy się śpieszyć.

– Znowu sny?

Sara skinęła głową. Przez kilka nocy jej spoczynek zakłócały niejasne wizje górskiego pożaru, a potem duszenia się w wodzie. Mógł to być jedynie nawrót klaustrofobii, którą odczuwała przed laty, jako młoda nowicjuszka pod wiszącym w górze dachem z kamienia. Niewykluczone jednak, że jej koszmary stanowiły odzwierciedlenie czegoś rzeczywistego. Nadchodzącej kulminacji.

Matka wierzyła w sny – przypomniawszy sobie. Choć wpajała im i Larkowi miłość do książek i nauki, to Dwera słuchała, gdy tylko budziły go jego potężne wizje: kiedy był jeszcze mały i potem, na tydzień przed jej śmiercią.

Pocztowy parowiec zasyczał. Jego kotły były przeciążone. Dwa tuziny osłów tupały i rżały cicho, przywiązane na rufie obok zapieczętowanych skrzyń pełnych książek.

Z dzioba, jakby dla kontrastu, dobiegał zupełnie inny dźwięk. Deli-

katna, melodyjna muzyka złożona z niepewnych tonów o lekkim brzmieniu. Sara przechyliła głowę.

– Szybko się uczy.

– Ma motywację – odpowiedziała mędrzyni. – Spodziewałam się, że wybierze prostszy instrument, jak flet albo wiolus, ale ściągnął z półki w muzeum cymbały. Odniosłam wrażenie, że policzenie ich strun sprawiło mu głęboką satysfakcję. Łatwo jest nauczyć się na nich grać i może sobie przy tym śpiewać, jeśli melodia pobudzi jakieś wspomnienie. Jest gotów do podróży. Proszę cię – zaczerpnęła głęboko tchu; wyglądała teraz na starą i zmęczoną – pozdrów ode mnie Lestera i resztę Ich Znakomitości, dobrze? Powiedz im, żeby się dobrze sprawowali.

Sara pochyliła się, by pocałować Ariana w policzek.

– Zrobię to.

Emerytowana mędrzyni złapała ją za ramię z nieoczekiwaną siłą

– Bezpiecznej podróży, dziecko. Niech Ifni rzuca ci same szóstki.

– Bezpiecznego domu – odwzajemniła błogosławieństwo Sara. – Niech ci wyrzuci długie życie.

Szympan! pomocnik Ariany popchnął jej wózek w górę zbocza, na wypoczynek przy wieczornym ogniu. Sara przyzwyczała się już prawie do wątpienia w to, że jeszcze kiedyś zobaczy swych rozmówców.

Kapitan wydał rozkaz odbicia od brzegu, z wielką ostrożnością wyprowadzając swój cenny statek spod osłony kamuflażu. Jop i Ulgor dołączyli do Sary przy relingu, wraz z kilkoma bibliotekarzami o ponurych twarzach, których wyznaczono, by przetransportowali wartościowe tomy do niepewnego schronienia na pustkowiach. Wkrótce mącący wodę rytm kół łopatkowych stał się spokojniejszy. Współpracując z prądem Bibur, niósł ich w dół rzeki.

Człowiek z kosmosu grał na cymbałach w absolutnym skupieniu. Przygarbiony nad niewielkim, klinowatym instrumentem, uderzał w jego struny dwiema małymi, zakrzywionymi pałeczkami. Często się mylił, lecz promieniował pasją. Muzyka przywoływała słodko-gorzkie wspomnienia, gdy Sara

przyglądała się potężnej fortecy z komnatami o licznych oknach, którą mijali. Kamienny baldachim zdawał się unosić w powietrzu niczym cierpliwa pięść Boga.

Ciekawe, czy jeszcze tu wrócę.

Wkrótce minęli najdalej wysuniętą na zachód krawędź ciętej lasero-

wym promieniem skały – tereny mierzwowania. Dziś nie było żadnych sztandarów, żałobników czy małych, pracowitych podtraekich pochłaniających ciało, by przygotować białe kości na podróż do morza. W półmroku dostrzegła jednak samotną postać spoglądającą na rzekę. Wysoki człowiek o prostych plecach, z lśniącą, srebrnosiwą czupryną, wspierał się lekko na lasce, choć bynajmniej nie wydawał się słaby. Sara wstrzymała oddech, gdy "suseł" przepływał obok niego.

Mędrzec Taine skinął głową, co, jak na tak nieśmiałą osobę, stanowiło przyjazną, a nawet gorącą reakcję. Wtem, ku zaskoczeniu Sary, uniósł rękę w geście nie skrywanej dobrej woli.

W ostatniej chwili poddała się, także unosząc dłoń.

Zawrzyjmy pokój – pomyślała.

Biblos zostało za sapiącym parowcem, pochłonięte przez gęstniejącą noc. W pobliżu rozległ się głos nieznanego, który zaczął śpiewać pieśń o podróży bez powrotu. Choć wiedziała, że wyraża ona jego własne poczucie utraty i bolesnej przemiany, odzwierciedlała również, słodko i dotkliwie zarazem, konflikty istniejące w jej sercu.

Albowiem wyruszam za mroczny horyzont I zapomnę na zawsze twe imię...

XXIII

KSIĘGA MORZA

g 'Kecki kolowcu, czy potrafisz, galopować po wyboistym gruncie? Traeckie stosie, czy potrafisz, utkać gobelin albo opanować sztukę rozpalania ognia? Królewski qheuenie, czy umiesz zbierać plony na leśnych wyżynach? Czy potrafisz uzdrawiać dotykiem? Hooński marynarzu, czy zniesiesz cierpliwie równiny albo wespnieiesz się po sięgającej wysoko linie? Uryjska mieszkanko równin, czy pozeglujesz na morze albo wyprodukujesz piękne arkusze z przerobionych na zapraw szmat?

Ludzki przybyszu, czy znasz ten świat? Czy potrafisz tkać, prząć lub śledzić pieśń Jijo? Czy ktokolwiek bądź wszyscy z was podążą ścieżką wytyczoną przez glawery? Ścieżką wybaczenia poprzez zapomnienie? Jeśli tak, zostawcie miejsce, by zapamiętać to jedno:

Byliście ongiś częścią całości większej niż jej elementy.

ZWÓJ Jaja (nieoficjali

Opowieść Alvina

Nie miałem im za złe, że muszę siedzieć w ciasnocie, upci z tyłu, daleko od okna. Przynajmniej nie podczas długiego opusa się z urwiska, gdy morze majaczyło coraz bliżej. Ostatecznie ten łęk widziałem już przedtem, a inni nie. Gdy jednak się zanurz;

i moi przyjaciele zaczęli ochać i achać nad tym, co dostrzegali wypukłą szybę z przodu, zacząłem mieć do nich lekkie pretens,

domiar stawiało mnie to w trudnej sytuacji jako pisarza, który miał później zrelacjonować opuszczanie batyskafu swym czytelnikom. Nad plecami moich towarzyszy widziałem co najwyżej skrawek błękitu.

Spoglądając wstecz, dochodzę do wniosku, że mogłem rozwiązać ten problem na kilka sposobów.

Po pierwsze, mogłem kłamać. To znaczy, nie zdecydowałem jeszcze, czy zrobić z tej relacji powieść, a zgodnie ze słowami pana Heinza, literatura piękna to swego rodzaju kłamstwo. W późniejszej wersji po prostu dodałbym okno na rufie. W ten sposób przedstawiająca mnie postać mogłaby opisywać wszystkie rzeczy, o których tylko słyszałem od pozostałych. Albo też udałbym, że

przez cały czas przebywałem z przodu. W literaturze możesz zostać kapitanem, jeśli tylko zechcesz.

Niewykluczone też, że powinienem napisać to ponownie z punktu widzenia Koniuszka. Ostatecznie statek należał do niego w większym stopniu niż do kogokolwiek innego. Do tego on najlepiej widział to, co wydarzyło się później. To oznaczałoby, że musiałbym oddać wiarygodnie perspektywę qheuena. Sądzę, że nie jest tak obca, jak w przypadku trackiego, niemniej chyba nie jestem jeszcze gotowy sprostać tego rodzaju wyzwaniu.

Wszystko to wymaga przyjęcia założenia, że ocaleę życie, by przerobić mój utwór oraz że uda się to przynajmniej jednej osobie, na której zależałoby mi jako na czytelniku.

Tak czy inaczej, na razie zadowolę się tą formą półprawdziwego dziennika, a więc będę zapisywał tylko to, co naprawdę widziałem, czułem albo słyszałem.

Bębny przekazywały w dół po linii nieustanną wibrację. Obok mojego lewego ucha syczał i bulgotał wlot świeżego powietrza. Nie przypominało to bynajmniej tego, co wyobrazałem sobie jako spokojne zejście w milczącą głębinę. Ur-ronn od czasu do czasu pytała z westchnieniem: "Co to było?" i Koniuszek identyfikował jakąś rybę, rybow-ca bądź ślizgacza – stworzenie, które hoon z reguły widywał martwe w sieci, a ursa zapewne nigdy. Nie było jednak fantastycznych potworów. Ani baśniowych minaretów podmorskich miast. Jak dotąd.

W miarę, jak się opuszczaliśmy, dość szybko robiło się ciemno. Wkrótce dostrzegałem już tylko cienkie smugi fosforu, które Tyug rozsmarował w newralgicznych punktach kabiny, takich jak końcówki moich korb silnikowych, głębokościomierz i dźwignie zwalniające ba-

last. Nie mając nic innego do roboty, skatalogowałem wydzielane przez moich przyjaciół zapachy. Znałem te wonie, lecz nigdy dotąd nie wydawały się one tak intensywne. A był to dopiero początek.

Mamy powód, by się cieszyć, że nie towarzyszy nam człowiek – pomyślałem. Jednym z licznych czynników wywołujących napięcie między ursami i Ziemianami było to, jak oba gatunki reagowały na swój zapach. Nawet dziś, bez względu na Wielki Pokój, nie sądzę, by członkowi któregoś z tych szczepów sprawiło zbytnią przyjemność zaniknięcie na długi czas w wielkiej trumnie z przedstawicielem drugiego.

Ur-ronn zaczęła podawać głębokość odczytywaną z pęcherzowego ciśnieniomierza. Gdy osiągnęliśmy siedem kabli, przekręciła wyłącznik. Rozbłysło eikowe światło. Jego bliźniacze snopy przeszyły chłodne, ciemne wody. Spodziewałem się, że ponownie usłyszę podekscytowane okrzyki tych, którzy siedzieli z przodu, lecz najwyraźniej na tej głębokości było mniej do oglądania. Tylko raz na kilka dur Koniuszek identyfikował jakieś stworzenie. W jego głosie brzmiało rozczarowanie.

Zanurzysz się na dziewięć kabli, wszyscy poczuliśmy napięcie, bo właśnie na tej głębokości za pierwszym razem doszło do kłopotów. Minęliśmy jednak ten feralny punkt bez żadnych incydentów. Tak też powinno się stać, jako że Uriel osobiście sprawdziła każde kopyto liny holowniczej.

Na głębokości jedenastu i pół kablaabinę ogarnął nagły chłód, który sprawił, że na chwilę pojawiła się mgła. Wszystkie twarde powierzchnie raptownie pokryła wilgoć. Huck zakręciła korbą odwilżacza. Wyciągnąłem rękę, by dotknąć kadłuba z drzewa garu, który wydawał się wyraźnie chłodniejszy. "Marzenie Wuphonu" odwróciło się i pochyliło lekko, poczuwszy szarpnięcie nowego prądu. Sondowanie powiedziało nam, że musimy się spodziewać przejścia do lodowatego prądu głębinowego. Niemniej odbierało to odwagę.

– Przesuwam balast w celu wyważenia – oznajmiła Huck. Znajdowała się najbliżej punktu martwego, więc to ona przemieszczała wodę między trzema zbiornikami za pomocą sprytnych pomp Uriel, tak by alkoholowe poziomnice pokazywały, że stępka zachowuje poziome położenie. Miało to istotne znaczenie w procesie schodzenia na dno, gdyż w przeciwnym razie przewrócilibyśmy się dokładnie w chwili przejścia do historii.

Zastanowiłem się nad tym, co robiliśmy. W kategoriach galaktycznych był to rzecz jasna totalny prymityw. W ziemskich dziejach można znaleźć bez porównania bardziej pochlebne porównania, co może być jednym z powodów, dla których wydawały się one nam czworgu tak atrakcyjne. Na przykład w czasie, gdy Veme pisał Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi, żaden człowiek nie zapuścił się w otchłań oceanów Terry tak głęboko, jak my teraz. My, barbarzyńcy z Jijo.

– Patrzcie! – krzyknęła Huck. – Czy tam na dole coś widać? Te jej oczy. Nawet spoglądając ponad Koniuszkiem i Ur-ronn, dostrzegła dno pierwsza. Ur-ronn obróciła eikowe światła i wkrótce wszyscy troje zaczęli znówu. Doprowadzali mnie do szału, powtarzając z zachwytem "och", "ach" i "k... k... k... k". Sfrustrowany zakręciłem korbą, z trzaskiem wprawiając w ruch tylne koła. Zaczęli wrzeszczeć, żebym przestał i zgodzili się opisywać mi wszystko, co widzą.

– Rosną tu takie falujące rośliny – powiedział Koniuszek głosem, w którym nie było już słycać jąkania. – I inne, które są cienkie i chude. Nie wiem, jak mogą żyć, skoro tu na dół nie dociera światło. Tych drugich jest mnóstwo. Tak jakoś się kołyszą... czy co. Widać też kręte ślady w błocie i takie dziwaczne ryby, które chowają się między te chude rośliny i wypadają spośród nich...

Po chwili czegoś takiego z radością wróciłbym do trzasków zachwytu. Nie odezwałem się jednak.

– .. Jest też trochę kurtlowych krabów. Sajasnoczerwone. Nigdy nie widziałem takich wielkich! A co to jest, Ur-ronn, błotny robak? Tak myślisz? Co za błotny robak! Hej, co to za stwór? Czy to dro...

– Pół kawła do dna – przerwała mu Ur-ronn. – Sygnalizuję naziemnej ekifie, zewy zwolniła ofuszczenie.

Ostre, elektryczne iskry zmały ciemność kabiny, gdy Ur-ronn dotknęła kontaktowego klucza, by wysłać zakodowane impulsy z naszej baterii przez izolowany przewód wpleciony w linię holowniczą. Minęło kilka dur, nim głęboki łoskot bębnow opuszczających zmienił tonację na skutek uruchomienia hamulców. "Marzeniem Wuphonu" szarpnęło, aż wszyscy się wzdrygnęliśmy. Pazury Huphu przeorały mój bark.

Opuszczanie stało się wolniejsze. Było to szczególnie dokuczliwe dla mnie. Nie wiedziałem, jak daleko jeszcze do dna, ani kiedy i z jaką siłą dojdzie do kontaktu. Oczywiście nikt nie chciał tego zdradzić dobremu, staremu Alwinowi!

– Hej, koledzy – odezwał się znówu Koniuszek. – Chyba wla[^] nie widziałem...

– Poprawiam wyważenie! – oznajmiła Huck, spoglądając jedynym okiem na każdą z alkoholowych poziomnic.

– Ustawian światła – dodała Ur-ronn. – Ziz fokazuje z frawe wurty jedną żółtą nackę. Frąd flynie w tantyn kierunku z frędkościs fięciu węzłów.

– Koledzy? – wyszeptał Koniuszek. – Chyba przed chwilą widziałem. .. och, nieważne. Dno najwyraźniej opada w lewo pod kątem jakichś dwudziestu stopni.

– Obracam przednimi kołami, żeby to zrekompensować – odpowiedziała Huck. – Alvin, może lepiej pokręć powoli napędzanymi kołami do tyłu.

To wybiło mi z głowy wszelkie pretensje.

– Tak jest – odpowiedziałem i zakręciłem znajdującą się przede mną wygiętą sztabą, sprawiając, że tylne koła zaczęły się obracać. Miałem przynajmniej nadzieję, że zareagowały. Nie mogliśmy uzyskać pewności do chwili zetknięcia się z gruntem.

– Zbliżamy się – ogłosiła Huck. Nagle najwyraźniej przypomniała sobie swe błędne oceny podczas próbnego opuszczania, gdyż dodała:

– Tym razem na pewno. Przygotować się!

Gdy będę któregoś dnia to opisywał, kierując się tymi notatkami, być może uwzględnię tumany błota, które wzbiły się nagle, gdy wryliśmy się w dno oceanu, złościąc w nim głęboką bruzdę,

wyrywając roślinność i zmuszając ślepe, podmorskie stworzenia do panicznej ucieczki. Może dorzucę też gwałtowny wytrysk słonej piany wodnej ze zniszczonej uszczelki albo i dwóch, które w ostatniej chwili załatała gorączkowe bohaterska załoga.

Zapewne jednak nie przyznam w druku, że nawet nie wiedziałem w którym dokładnie momencie nasze koła dotknęły dna. Ta chwila była cóż, raczej trudna do określenia, a całe wydarzenie niejasne. Całkiem jak wtedy, gdy zapuszcza się widelec sondujący w skórkę owocu szuro nie wiedząc, czy dotknęło się już ukrytego w środku orzecha.

Słowo "niejasne" nadaje się również do opisanie otaczającej na scenie. Obłoki mułu opadały powoli, odsłaniając nieprzeniknioną czarny świat urozmaicony jedynie dwoma korytarzami oślepiającego

błękitu rzucanego przez eiki. W tych wąskich tunelach dostrzegałem pochylą błotną równinę porośniętą tu i ówdzie jasnymi "roślinami" o cienkich pniach. Nie potrzebowały one do życia blasku słońca, choć nie potrafię sobie wyobrazić, czym go zastępowały. Ich liście kołysały się niczym na wietrze. W świetle naszych reflektorów nie widzieliśmy żadnych zwierzęcych form życia, co nie było zaskakujące. Czy my, mieszkańcy wierzchu, nie ukrylibyśmy się, gdyby z góry opadł między nas jakiś dziwny pojazd hałasujący i świecący ślepiami?

Podążając dalej za tym porównaniem, zadałem sobie pytanie, czy jacyś podoceaniczni tubylcy nie uważają, że właśnie nadszedł dla nich dzień sądu.

Za pomocą swego telegraficznego klucza Ur-ronn przekazała wiadomość, którą bardzo chcieli usłyszeć na górze.

„Jesteśmy na dole. Wszystko w porządku”.

Tak jest, brak w tym podniosłych symboli – zatykanych flag, lądujących orłów czy śmiałego wędrowania gdzieś tam. Nie powinienem się jednak skarżyć. Nie wszystkie ursy rodzą się z umiejętnością recytowania na żądanie epickich sag. Niemniej sądzę, że w drugiej wersji to zmienię, o ile będę miał taką szansę, co w tej chwili wydaje się raczej nieprawdopodobne.

Iskierki raz jeszcze przeskoczyły przez wąską przerwę, tym razem bez dotyku Ur-ronn. Odpowiedź z góry.

„To wspaniała wiadomość. Kontynuujcie”.

– Gotowy, Alvin? – zawołał Koniuszek. – Jedną czwartą mocy naprzód.

– Jedną czwartą mocy naprzód, tak jest, kapitanie – odpowiedziałem.

Napiąłem mięśnie ramion i pleców. Korba z początku była oporna. Potem poczułem, jak zaskoczyło magnetyczne sprzęgło. Starałem się nie myśleć o owym dziwnym poczuciu więzi z częściami ongiś żywych g'Keków. Specjalne błotne bieżniki zadziałały. Poczulem opór. "Marzenie Wuphonu" z drzeniem ruszyło przed siebie.

Skoncentrowałem się na utrzymaniu miarowego tempa. Koniuszek wykrzykiwał rozkazy siedzącej za sterem Huck, posługując się trzymaną w szczypcach mapą Uriel. Ur-ronn sprawdzała nasze położenie za pomocą kompasu. Lina holownicza i przewód powietrzny zaczęły ponownie przekazywać odległy odgłos bębnow opuszczających, które

poluzowały nam smycz, byśmy mogli oddalić się jeszcze bardziej od bez piecznych okolic. Zamknięta przestrzeń rezonowała moim niskim roboczym burkotem, nikt jednak się nie uskarżał. Dźwięk owijał się wokół mnie, aż wreszcie wydało mi się, że otaczają mnie hoońscy towarzysze z załogi, c(uczyniło ciasnotę łatwiejszą do zniesienia. Tak jak statek płynący po dalekim morzu, byliśmy zupełnie sami. Tylko szczęście Hhi i własna pomysłowość mogły nam umożliwić powrót do domu.

Czas upływał. Popadliśmy w rytmiczną rutynę. Ja kręciłem, Huck sterowała, Ur-ronn kierowała

reflektorami, a Koniuszek był pilotem. Wkrótce zaczęliśmy odnosić wrażenie, że jesteśmy weteranami w tej robocie.

– Co mówiłeś tuż przed lądowaniem. Koniuszek? – zapytała Huck. – Czy coś zauważyłeś?

– Idę o zakład, że coś z mnóstwem zewów! – prowokowała go Ur-ronn. – Czy to nie mniej więcej w tym miejscu powinniśmy zowaczyć fotwory?

Potwory – pomyślałem. Mój burkot wzbogacił się o tryl śmiechu.

Koniuszek dobrze zniósł te żarty.

– Dajcie mi czas, koledzy. Nigdy nie wiadomo, kiedy... tam! Po lewej. To właśnie widziałem poprzednio!

Huck i Ur-ronn pochyliły się do przodu, a razem z nimi pochyliło się "Marzenie", co spowodowało, że tylne koła straciły połowę siły przyczepności.

– Hej!-poskarżyłem się.

– Niech mi połamią szprychy... – wyszeptała Huck.

– A mnie niech znoczą – dodała Ur-ronn. No cóż, mogłem tylko trochę pomarudzić.

– Co jest, bando obżartych trawą, kwaśnomierzwowych... W tej samej chwili grunt pochylił się nieco mocniej i moje wąskie, tunelowe pole widzenia objęło scenę, na którą wszyscy się gapili.

– Hr-rm-rm! – zawołałem. – A więc to was tak podnieciło? Kupa odpadowych trumien?

Leżały rozsypane na dnie oceanu, pochylone pod najróżniejszymi kątami, często na wpół zagrzebane w błocie. Wiele dziesiątek trumien Na ogół podłużne i prostokątne, choć kilka było beczułkowatych. Wszy stkie ślady po zdobiących je ongiś wstążkach upamiętniających kości

wrzeciona czy zużyte narzędzia wyrzucone przez poprzednie pokolenia przedterminowych osadników rzecz jasna zniknęły.

– Ale odpadowce nigdy nie pływają do Rozpadliny – poskarżyła się Huck, zbliżając dwie szypułki do mojej twarzy. – Czy nie mam racji, Alvin?

Wykręciłem ciało, by zobaczyć coś za jej cholernymi, sterczącymi w górę oczyma.

– Nie pływają. Niemniej Rozpadlina oficjalnie jest częścią Śmietniska. Inną sekcją tej wielkiej, wsysającej wszystko...

– Strefy tektonicznej suwdukcji – wtrąciła Ur-ronn.

– Aha. Dziękuję. Dlatego zrzucanie tu odpadów jest absolutnie legalne.

– Ale jeśli nie przyplływają tu żadne statki, to skąd się to wszystko wzięło?

Staralem się dostrzec, jakiego rodzaju trumny tam były, a jakich brakowało. Mogło to pomóc ustalić okres dokonania zsypania. Nie było tu widać skrzyń w ludzkim stylu ani uryjskich trzciniowych koszy, co nie zaskakiwało. Jak dotąd widziałem tylko pojemniki g'Keckiej i qheueń-skiej roboty, co mogło oznaczać, że to miejsce jest piekielnie stare.

– Pudła przybyły tu w ten sam sposób co my, Huck – wyjaśniłem. – Ktoś zrzucił je z urwiska przy Krańcowej Skale.

Huck wciągnęła powietrze. Zaczęła coś mówić, lecz przerwała. Niemalże słyszałem obracające się w jej głowie tryby. Odpadów po prostu nie zrzuca się z lądu. Musiała już jednak dojść do wniosku, że to miejsce stanowi akceptowany wyjątek. Jeśli odcinek Śmietniska naprawdę przebiegał tuż pod Krańcową Skałą, a w pobliżu rzeczywiście znajdowały się kiedyś osady, musiał to być tańszy sposób na pochowanie dziadka niż wysyłanie jego trumny statkiem na morze.

– Ale w takim razie jak skrzynie mogły się aż tak bardzo oddalić od brzegu? Przebyliśmy już wiele kabli.

– Pływy, osunięcia się błota – odpowiedział Koniuszek. Ja jednak zaburkotałem przecząco.

– Zapominasz, w jaki sposób podobno działa Śmietnisko. Ono wsysa wszystko do środka. Mam

rację, Ur-ronn?

Zapytana dała gwizdem wyraz rozpaczy wywołanej moim uporczywym zwyczajem upraszczania. Poruszyła dwiema dłońmi.

– Jedna tektoniczna fłyta wślizguje się pod drugą, tworząc rów i wciągając za sobą stare dno norweskie.

– Które znika pod ziemią, topi się i odnawia, wpycha się pod Stok i tworzy wulkany. Aha. Kapuję. – Huck obróciła melancholijnie wszystkie cztery szypułki ku przodowi. – Upłynęły setki lat, odkąd wrzucono tu te odpady, a oddaliły się od miejsca upadku tylko na tak małą odległość?

Zaledwie kilka sekund temu zdumiewała się tym, jak wielki dystans od urwiska pokonały skrzynie! Myślę sobie, że to ukazuje, jak różnie wygląda upływ czasu, gdy przechodzi się od perspektywy jednostki do cykli życiowych świata. Nie sądzę więc, by ludzie mieli wiele powodów do przechwałek, nawet jeśli żyją dwa razy dłużej niż ury. Wszystkich nas wkrótce pochłonie powolny układ trawienny Jijo, bez względu na to, czy obcy najeźdźcy zostawią nas w spokoju czy nie.

Koniuszek i Ur-ronn zasięgnęli rady swych map. Po chwili ponownie ruszyliśmy w drogę, opuszczając cmentarz, na którym kolejne pokolenie grzeszników posuwało się powoli ku wybaczeniu w stopionej skale.

W jakieś pół godziny później, z poczuciem wielkiej ulgi, znaleźliśmy "złączkę" Uriel.

Ręce i nogi bolały mnie już, gdyż obróciłem uchwytem korby przynajmniej dwa tysiące razy, w reakcji na nagłe rozkazy Koniuszka "szybciej!", "wolniej!" albo "czy nie możesz przyśpieszyć?" Z naszej czwórki on jeden sprawiał wrażenie, że dobrze się bawi, nie czując żadnego niepokoju czy fizycznych dolegliwości.

My, hoonowie, wybieramy naszych kapitanów, a potem słuchamy ich, nie zadając pytań, gdy dochodzi do krytycznej sytuacji – a cała ta podróż była w mojej opinii jedną wielką krytyczną sytuacją – schowałem więc pretensje na później, wyobrażając sobie bardzo plastycznie, jak odegram się na Koniuszku na wiele sposobów. Może następnym projektem naszej bandy faktycznie powinien być balon wypełniony gorącym powietrzem. To uczyniłoby go pierwszym latającym qheue-nem od czasu, gdy jego gatunek wyrzekł się gwiazdolotów. Wtedy dostałby za swoje.

Kiedy Huck wreszcie wrzasnęła: "Eureka!", moje biedne mięśnie i czopy czuły się tak, jakbyśmy pokonali całą szerokość Rozpadliny, a potem jeszcze kawałek.

Nic dziwnego, że Uriel dostarczyła tak wiele liny holowniczej i przewodu powietrznego! – brzmiała moja pierwsza, pełna ulgi myśl.

Dopiero później zadałem sobie pytanie: Skąd wiedziała, gdzie kazać nam szukać tej dziwijskiej rzeczy?

Przedmiot stał na wpół zagrzebany w błocie w odległości jakichś dwunastu kabli na południe od miejsca, w którym dotknęliśmy dna. Sądząc po fragmencie widocznym z mojego położonego daleko z tyłu "punktu obserwacyjnego", składał się z długich kolców. Każdy z nich był skierowany w innym kierunku, jakby ku sześciu ścianom sześcianu. Wszystkie miały na końcu wielkie wypukłości, jak się domyślałem, puste w środku, które chroniły przed zapadnięciem się w muł. Niewątpliwie miał być łatwy do odnalezienia, gdyż pomalowano go w jaskrawe, czerwono-niebieskie wzory. Czerwone po to, by rzucał się w oczy z bliska, bo pod wodą niemal nigdy nie spotyka się tego koloru, a niebieskie, by był dostrzegalny z daleka, gdyby snop światła przypadkowo padł na niego w głębokiej ciemności. Mimo to trzeba się było znaleźć bliżej niż kabel od niego, żeby w ogóle go zauważyć. Nigdy byśmy go nie odszukali, gdyby nie wskazówki Uriel. I tak musieliśmy dwukrotnie zatoczyć spiralę, nim natrafiliśmy na złączkę.

Była najdziwniejszą rzeczą, z jaką zetknęliśmy się w życiu. A nie zapominajcie, że słyszałem

g'Kocki burkot i byłem świadkiem traeckie-go wlenowania.

– Czy to buyurskie... urskie? – zapytał Koniuszek. Jego otwory głosowe zaraził przesądny zachwyty, któremu towarzyszył powrót jąkania.

– Założę się o stos oślej mierzwy, że to nie jest buyurskiej produkcji – stwierdziła Huck. – A co ty sądzisz, Ur-ronn?

Nasza uryjska koleżanka wyciągnęła szyję nad Koniuszkiem. Jej pysk osuszył fragment wypukłego okna.

– Nienożliwe, zewy Wuyurowie zwudowali coś tak strasznie okrofnego – zgodziła się. – To nie w ich stylu.

– Oczywiście, że to nie w ich stylu – ciągnęła Huck. – Wiem, w czym stylu to jest.

Wszyscy popatrzyliśmy na nią. Oczywiście, wykorzystwała ten moment. Zwlekała tak długo, aż poczuliśmy ochotę, by jej przygrzmocić.

– W uryjskim – zakończyła zadowolona z siebie.

– W uryjskim! – syknął Koniuszek. – Skąd możesz...

– Wyjaśnij to – zażądała Ur-ronn. Wygięła szyję, by popatrzeć na Huck. – To frodukt zaawansowanej techniki. Uriel nie nogławy zwu-dować niczego w tyn rodzaju. Nawet Zienianie nie nają fotrzewnych uniejętności.

– Zgadza się! To nie jest buyurskie i nikt żyjący obecnie na Stoku nie mógł tego wyprodukować. Zostaje tylko jedna możliwość. Musiał to tutaj zostawić gwiazdolot przedterminowych osadników, gdy jeden z Sześciu Gatunków – siedmiu, jeśli liczyć gławery – przyleciał na Jijo, nim przybysze zatopili swój statek i dołączyli do pozostałych, by żyć w prymitywnych warunkach. Ale który gatunek to był? Wykluczyłabym nas, g'Keków, ze względu na to, iż jesteśmy tu tak długo, że mogę się założyć, iż złączka zdążyłaby się już zagłębić znacznie dalej w Rozpadlinę. To samo zapewne dotyczy gławerów, qheuenów i trackich. Zresztą rozstrzygający jest fakt, że Uriel dokładnie wiedziała, gdzie to znaleźć!

Sierść otaczająca nozdrze Ur-ronn nastroszyła się. Jej głos stał się zimniej szy niż otaczający nas ocean.

– Sugerujesz sfisek.

Szypułki g'Keczki okręciły się wokół siebie w geście stanowiącym odpowiednik wruszenia ramion.

– Nic okropnie złowieszczonego – zapewniła Huck. – Może po prostu rozsądny środek ostrożności. Pomyślcie o tym, koledzy. Powiedzmy, że przybyliście na zakazany świat, żeby założyć kolonię przedterminowych osadników. Musicie się pozbyć wszystkiego, co odkryłyby pobieżne badania jakiegoś zwiadowcy Instytutów, a więc wasz statek i skomplikowany sprzęt muszą zniknąć. Kosmos gdzieś w pobliżu się nie nadaje. To pierwsze miejsce, które sprawdziłyby gliny. Zatapiacie więc to razem ze wszystkimi materiałami, które pozostawili Buyurowie, gdy opuszczali Jijo. Jak dotąd brzmi nieźle – Ale potem zadajecie sobie pytanie, co będzie, jeśli kiedyś dojdzie do nieprzewidzianej sytuacji? Jeśli któregoś dnia wasi potomkowie będą potrzebowali jakichś zaawansowanych technicznie urządzeń, żeby ocalić życie?

Ur-ronn opuściła stożkowatą głowę. W półmroku nie potrafiłem określić, czy oznacza to niepokój czy narastający gniew. Wtrąciłem się pośpiesznie.

– Hr-rm. Implikujesz długą perspektywę. Sekret zachowywany przez pokolenia.

– Przez stulecia – zgodziła się Huck. – Uriel niewątpliwie zosta-

ła wtajemniczona przez jej mistrzynię i tak dalej, aż do najdawniejszych uryjskich przodków. I nim Ur-ronn odgryzie jedną z moich głów, pozwólcie mi szybko dodać, że uryjskie mędrzynie okazały w

ciągu lat wielką powściągliwość, nigdy nie próbując wykorzystać tych ukrytych zapasów podczas wojen z qheuenami, a potem z ludźmi, nawet kiedy dostawały po ogonach.

I to miało uspokoić Ur-ronn? Musiałem szybko ratować Huck przed okaleczeniem.

– Być może... hrm... ludzie i qheueni mieli własne skrytki, więc doszło do pata. – Nagle dotarł do mnie sens własnych słów. – Może w tej samej chwili szuka się tamtych kryjówek, podczas gdy Uriel zamierza wyciągnąć z wody uryjską naszymi szczypcami.

Zapadła długa cisza.

Później odezwał się Koniuszek.

– Jejku... ku... ku. Ci obcy z Polany musieli naprawdę wystraszyć dorosłych.

Nastąpiła kolejna przerwa, po czym Huck wznowiła przemowę.

– Mam nadzieję, że o to właśnie w tym wszystkim chodzi. O obcych. O wspólny wysiłek Sześciu, połączenie zasobów, a nie o coś innego.

Szyja Ur-ronn wygięła się nerwowo.

– Co nasz na nyśli?

– To, że chciałabym mieć słowo honoru Uriel, iż zstąpiliśmy tu na dół w poszukiwaniu mocy dla obrony całej Wspólnoty.

A nie tylko po to, żeby uzbroić uryjską milicję do odwetowych walk, o czym pogłoski słyszeliśmy – pomyślałem, kończąc rozumowanie Huck. Nastąpił pełen napięcia moment i trudno było przewidzieć, co wydarzy się za chwilę. Czy nerwy, niepokój i medykamenty Tyuga doprowadziły naszą uryjską przyjaciółkę do stanu, w którym prowokujące słowa Huck mogły wywołać eksplozję?

Ur-ronn wyprostowała powoli szyję z wysiłkiem, który dostrzegałem w bladym świetle fosforu.

– Nasz... – zaczęła, dysząc ciężko. – Nasz frzysięgę tej ursy, że tak się stanie.

Powtórzyła przyrzeczenie w drugim galaktycznym, po czym z wysiłkiem spróbowała splunąć na podłogę, co nie jest łatwe dla przedstawicielki jej gatunku. Była to oznaka szczerości.

– Hr-rm, cóż, to świetnie – odezwałem się, wzywając burkotem do zawarcia pokoju. – Co prawda, nikt z nas nigdy nie sądził, że jest inaczej. Mam rację, Huck? Koniuszek?

Oboje zgodzili się pośpiesznie. Napięcie częściowo ustąpiło. Pod powierzchnią zasiano jednak ziarna niepokoju.

Huck – pomyślałem. Przyniosłabyś do łodzi ratunkowej słoik pełen skorpionów, a potem stłukła go tylko po to, żeby się przekonać, kto jest najlepszym pływakiem.

I znowu ruszyliśmy w drogę, a wkrótce byliśmy już wystarczająco blisko, by się przekonać, jak wielka jest złączka. Każda z cebulastych, balonowatych wyrosła na jej końcach była większa niż "Marzenie Wup-honu".

– Tu mamy jeden z kabli, o których mówiła Uriel – oznajmił Koniuszek, wymachując szczypcami w kierunku kolca, od którego po względnie prostej linii, choć gdzieniegdzie znikając w mule, biegł czarny, połyskujący przewód, w stronę, z której przybyliśmy, na północ.

– Założę się, o co tylko chcecie, że gdzieś między tym miejscem a urwiskami lina jest przzerwana – odezwała się Huck. – Zapewne biegła aż do jakiejś tajemnej rozpadliny albo jaskini w pobliżu Krańcowej Skały. Stamtąd można było wciągnąć skrytkę na powierzchnię tak, by żadna ursa nie musiała nawet zamoczyć sobie kopyt. Kabel mógł zostać przecięty podczas jakiejś lawiny albo trzęsienia ziemi, takiego jak to, które zabiło moją rodzinę. Złączka stanowi element rezerwowy umożliwiający odnalezienie liny, nawet jeśli jej początek zaginął.

– Słuszne rozumowanie. To wyjaśnia jedną rzecz, która mnie dziwiła: dlaczego Uriel miała pod ręką tak dużo sprzętu, który okazał się przydatny do nurkowania. W gruncie rzeczy, dziwię się, dlaczego w ogóle byliśmy jej potrzebni. Czemu nie miała gdzieś ukrytego własnego batyskafu?

Ur-ronn mijała już złość.

– W magazynie kuźni regularnie frzefrowadza renanent g'Kecki księgowy. Zwróciłwy na to uwagę, gdywy coś tak nieuryjskiegojak łódź fodwodna leżało sownie gotowe do użycia.

W jej głosie brzmiała ironia, lecz Huck zgodziła się z nią.

– Najtrudniejsze do wykonania części znajdowały się na miejscu. Pompy, zawory i uszczelki. Jestem pewna, że Uriel i jej poprzedniczki sądziły, iż potrafią zmontować kadłub i resztę w ciągu paru miesięcy.

Kto by się spodziewał, że kryzys rozwinię się tak szybko? Poza tym nasza banda szalonych dzieciaków stanowiła znakomitą zasłonę dymną. Nikt nas nigdy nie skojarzy z boskimi skrytkami z galaktycznej przeszłości.

– Wolę uważać – przerwał jej Koniuszek poirytowanym tonem – że prawdziwym powodem, dla którego Uriel błagała tak uprzejmie, byśmy pozwolili się jej przyłączyć do ekipy, był fakt, że projekt i wykonanie naszego statku nie mają sobie równych.

Przerwaliśmy spory, by pogapić się na niego przez chwilę. Potem maleńką kabinę wypełnił śmiech, który sprawił, że kadłub zawibrował, a także obudził Huphu z drzemki.

Nasza czwórka poczuła się od tego lepiej. Byliśmy gotowi wznowić misję. Wyglądało na to, że najtrudniejszą część mamy za sobą. Musieliśmy jeszcze tylko rozkazać Zizowi zacisnąć klamrę na sznurze po drugiej stronie złączki, i przesłać do Uriel sygnał, by wyciągnęła nas na górę. Potem miało nastąpić długie oczekiwanie. Musieliśmy wznosić się ku powierzchni powoli, jako że g'Kekowie i ursy jeszcze łatwiej niż ludzie dostają choroby kesonowej, jeśli ciśnienie powietrza zmienia się zbyt szybko. Z książek wiedzieliśmy, że to straszliwa śmierć, zaakceptowaliśmy więc konieczność nudnego powrotu na górę. Wszyscy zabraliśmy przekąski, a także osobiste rzeczy, które miały nam pomóc spędzić wolny czas.

Niemniej gorąco pragnąłem mieć to już za sobą. Klaustrofobia była niczym w porównaniu z męczarniami, jakie nas czekały, gdy wszyscy na pokładzie – każde na swój specyficzny sposób – zaczęły odczuwać potrzebę, jak to uprzejmie określały niektóre ziemskie książki, "udania się do toalety".

Wyglądało na to, że w przyczepieniu klamry do drugiego kabla może nam przeszkodzić pewien drobiazg.

Dostrzegliśmy problem natychmiast, gdy tylko ominęliśmy złączkę, by spojrzeć na nią z przeciwnej strony.

Drugiego kabla nie było.

Czy raczej go przecięto. Wyglądające na świeżo odsłonięte metalowe włókna zwisały z jednego z kołców złączki niczym nie spleciony w warkocz uryjski ogon, kołysząc się łagodnie na podmorskich prądach.

Lecz na tym nie koniec. Gdy Ur-ronn oświetliła naszymi reflektorami dno oceanu, ujrzeliśmy w mule kręty ślad w kierunku południow

Najwyraźniej tam właśnie zawleczono sznur. Nikt z nas nie potia określić, czy zrobiono to kilka dni, kilka jador czy kilka lat temu. Jedn na myśl przychodziło słowo "niedawno". Nikt nie musiał wypowiadać go głośno.

Rozbłysły elektryczne iskry. Ur-ronn złożyła raport tym, którzy oczekiwali w świetle powietrza i światła. Długa zwłoka stanowiła oczywisty dowód, że są zaskoczeni. Wreszcie przez wążutką przerwę iskrową przeskoczyły impulsy oznaczające odpowiedź.

, Jeśli jesteście zdrowi, podążajcie za śladem przez dwa kable, a potem złóżcie meldunek".

– Całkiem jakbyśmy mieli wybór – mruknęła Huck. – Przecież to Uriel kieruje dźwigiem. Można

by pomyśleć, że lekki przypadek śpiączki albo trzęsionki zrobiłby jej jakąś różnicę.

Tym razem Ur-ronn nie odwróciła się, lecz oba ogony zamiotły ostro tułów Huck tuż poniżej linii odgraniczającej głowę od tułowia.

– Połową mocy naprzód, Alvin – rozkazał Koniuszek. Pochyliłem się z westchnieniem i zacząłem od nowa.

Ruszyliśmy więc przed siebie, koncentrując jeden snop światła na węzowym śladzie biegnącym przez muł. Drugi reflektor Ur-ronn kierowała w lewo i w prawo, do góry i na dół. Co prawda, dostrzeżenie groźby na czas na nic by się nam nie zdało. Żaden statek nigdy nie był tak nieuzbrojony, powolny i bezradny, jak „Marzenie Wuphonu”. Ten przecięty kabel, który widzieliśmy, wykonały istoty używające galaktycznej techniki. Miał przetrwać pod wodą tysiąclecia, zachowując potężną siłę. Nie chciałem rozgniewać tego, co go uszkodziło.

Gdy wlekliśmy się naprzód, w kabinie zapanował skupiony, bardziej poważny nastrój. Już przez ponad midurę poruszałem korbą, walcząc z ciągle zmieniającym swą śliskość mułem. Na ramionach i plecach zaczynałem odczuwać palące mrowienie zmęczenia drugiej fazy. Byłem zbyt wyczerpany, żeby burkotać. Za moimi plecami Huphu dawała wyraz swemu znudzeniu, szperając w moim plecaku. Rozerwała opakowanie kanapek z fujrybą. Część zjadła, resztę zaś rozsypała po zęzie. Chlupoczące dźwięki oraz wilgoć łaskocząca przyłgi na palcach moich stóp mówiły mi, że gromadzi się tam woda. Nie miałem ochoty zgadywać, czy jest to efekt nadmiernej wilgoci, jakiegoś drobnego przecieku, czy naszych odrażających wydaliny. Woń wypełniająca wnętrze zaczy-

nała się robić złożona, a zarazem diabelnie intensywna. Walczyłem właśnie z kolejnym atakiem lęku przed zamknięciem, kiedy Koniuszek wydał z siebie przenikliwy wrzask.

– Alvin, stop! Do tyłu! To znaczy, silnik cała wstecz! Chciałbym móc przekazać, co wywołało ten nagły wybuch, lecz widok zasłaniaли mi podekscytowani towarzysze. Poza tym ręce miałem zajęte walką z impetem korby, która chyba nie miała zamiaru, bez względu na moje starania, przestać się obracać dalej w tym samym kierunku i popędzać koła wciąż naprzód. Zaciśnąłem dłonie na drewnianych uchwytach niczym dusiciel i popchnąłem ze wszystkich sił. Poczułem, że coś strzeliło mi w grzbiecie. Wreszcie zdołałem spowolnić obrót osi, a na koniec zatrzymać je. Mimo wszelkich wysiłków i stękania nie zdołałem jednak sprawić, by zaczęły się obracać w przeciwnym kierunku.

– Mam przechył! – oznajmiła Huck. – Do przodu i na lewą burtę.

– Nie widziałem tego! – krzyknął Koniuszek. – Wspinaliśmy się na małe wzniesienie i nagle wyskoczyło znikąd. Daję słowo!

Teraz ja również poczułem przechył. „Marzenie” zdecydowanie pochylało się do przodu, choć Huck gorączkowo przepompowywała balast ku rufie. Snopy eikowego światła miały się bezładnie w ciemności przed nami, ukazując niepokojący obraz pustej otchłani w miejscu, gdzie przedtem ciągnęła się nachylona łagodnie równina.

Wreszcie udało mi się zmusić korbę do obracania się do tyłu, lecz poczucie zwycięstwa trwało krótko. Jedno z magnetycznych sprzęgieł

-jak mi się zdaje przytwierdzone do koła pochodzącego od ciotki Huck

– zerwało się. Obręcz wbiła się głęboko w muł, co spowodowało, że przechylił się gwałtownie na bok.

Snopy światła biegły teraz wzdłuż krawędzi przepaści, nad którą się zatrzymaliśmy. Najwyraźniej to, co uważaliśmy za właściwe dno Rozpadliny, było jedynie półką biegnącą brzegiem prawdziwego rowu. Teraz rozwarła się przed nami prawdziwa jama, gotowa nas przyjąć, tak jak przyjęła wiele innych rzeczy, które nigdy już nie miały wrócić na górę, gdzie jasno lśniły gwiazdy.

Tak wiele martwych rzeczy, a my mieliśmy do nich dołączyć.

– Czy mam zwolnić balast? – zapytała gorączkowo Huck. – Mogę zwolnić balast. Pociągnąć za linkę sygnalizacyjną i kazać Zizowi się rozdać. Mogę to zrobić! Czy mam to zrobić?

Wyciągnąłem rękę i ująłem ją za dwie szypułki, głaszcząc je delikatnie w uspokajającym geście, którego nauczyłem się w ciągu lat. Gadali od rzeczy. Długi odcinek stalowej liny holowniczej, który ciągnęliśmy za sobą, ważył więcej niż odrobina cegieł umocowanych pod brzuchem "Marzenia Wuphonu". Gdybyśmy przecięli i linę, moglibyśmy rzeczywiście się wynurzyć. Co jednak powstrzymałoby przewód doprowadzający powietrze przed splątaniem się i przerwaniem, gdy statek będzie obracał się i koziołkował? Nawet gdyby w cudowny sposób ocalał i nie zapętlił się, wystrzelilibyśmy na powierzchnię niczym kula armatnia w Pierwszych ludziach na Księżycu Veme'a. Nawet Koniuszek umarłby zapewne na chorobę kesonową.

Bardziej praktyczna w obliczu zagrażającej śmierci, Ur-ronn wysłała szybką seńę impulsów, nakazując Uriel bez zwłoki wciągnąć nas z powrotem. Dobry pomysł. Zadałem sobie jednak pytanie, ile czasu będzie potrzebowała ekipa na górze, żeby nawinać cały zwis liny? Jak szybko mogli tego dokonać, nie ryzykując pofałdowania się przewodu powietrznego? Jak głęboko mogliśmy runąć, nim dwa przeciwstawne impulsy spotkają się w nagłym szarpnięciu? Ta chwila prawdy powie nam, jak dobrze zbudowaliśmy "Marzenie".

Bezradny poczułem, że koła straciły kontakt z pokrytą mułem półką i nasz mały, dzielny batyskaf ześliznął się z krawędzi, rozpoczynając długi, ospały upadek w ciemność.

Myślę sobie, że runięcie naszych bohaterów w czarną głębinę byłoby fajnym, dramatycznym momentem zakończenia rozdziału. Urwanie akcji w naprawdę najbardziej emocjonującym momencie.

Czy członkowie załogi zdołają wrócić do domu?

Czy ocala życie?

Tak jest, nieźle byłoby tu przerwać. Co więcej, jestem zmęczony i obolały. Muszę poprosić o pomoc, by zdołać dotrzeć do wiadra stojącego w kącie tego wilgotnego pomieszczenia i ulżyć sobie trochę.

Nie zatrzymam się jednak w tym punkcie. Znam lepszy, leżący tylko odrobinę dalej w dół strumienia czasu, gdy "Marzenie Wuphonu" opadało powoli, obracając się wokół osi, my zaś przyglądaliśmy się, jak eikowe światła omiatają powierzchnię urwiska wznoszącego się obok nas niczym ściana ciągnącego się bez końca grobowca. Naszego grobowca.

Wyrzuciliśmy połowę balastu, co pomogło spowolnić upadek, do chwili, gdy "Marzeniem" szarpnął prąd, który zaczął wciągać nas szybciej. Wyrzuciliśmy resztę, wiedzieliśmy jednak, iż nasza jedyna szansa leży w tym, że Uriel zareaguje bezbłędnie, a potem sto innych rzeczy ułoży się szczęśliwiej, niż można liczyć.

Każde z nas na swój sposób przygotowywało się na śmierć, stawiając w samotności czoło zbliżającemu się końcowi swego osobistego dramatu.

Tęskniłem za rodzicami. Razem z nimi przeżywałem żalobę, gdyż strata była pod wieloma względami równie bolesna dla mnie, jak dla nich, choć nie czekały mnie lata smutku, który będą musieli znosić przez moją głupią żądzę przygód. Głaskałem Huphu i burkotałem do niej, Ur-ronn gwizdała lament z równin, Huck zaś splotła razem wszystkie cztery oczy, spoglądając, jak sądzę, na swe życie.

Nagle, ni stąd, ni zowąd. Koniuszek wykrzyknął jedno słowo, które zagłuszyło tren naszych lęków. Słowo, które słyszeliśmy już przedtem z jego otworów zbyt wiele razy, lecz nigdy w podobnej sytuacji. Nigdy z takim tonem zachwytu i zdumienia.

– Potwory... ory... ory! – wrzasnął.

Potem, z narastającym przerażeniem i radością, krzyknął jeszcze raz.

– Potwory!

Nikt nie zareagował na moje wołania. Muszę tu leżeć, nie mogąc zgiąć pleców i czując straszliwą potrzebę udania się do tego wiadra. Ołówek mi się kończy i prawie już nie mam papieru... mogę więc podczas oczekiwania dojechać do naprawdę dramatycznego momentu naszego upadku.

Gdy runęliśmy na spotkanie zagłady, wewnątrz "Marzenia Wupho-nu" zapanowało totalne zamieszanie. Przewracaliśmy się w lewo i w prawo, uderzając o kadłub, korby, uchwyty, dźwignie i o siebie nawzajem. Na zewnątrz, o ile mogłem to dostrzec między moimi gestykulującymi szaleńczo towarzyszami, widać było dziki chaos fosforyzujących punktów złapanych przez snopy eikowego światła oraz od czasu do czasu wznoszącą się w górę powierzchnię urwiska, a przelotnie także coś innego.

Jakiś kształt czy wiele kształtów. Lśniący i szary. Zwinne, szybkie ruchy. A potem zaciekawione dotknięcia, pocieranie naszego kadłuba, po których następowały ostre szturchnięcia i pacnięcia w całą powierzchnię naszej skazanej na zagładę jednostki.

Koniuszek wciąż bredził o potworach. Byłem szczerze przekonany, że zwariował, ale Ur-ronn i Huck zmieniły tonację swych zawodzeń i pochyliły się ku szybie, jakby sparaliżowało je to, co ujrzały. Hałas był okropny, a do tego Huphu wbijała pazury w moje obolałe plecy w przerwach między oszalałymi atakami na ściany.

Byłem pewien, że dosłyszałem, jak Huck mówi coś w rodzaju:

– Co – albo kto – to może być?

Wtedy właśnie wirujące postacie rozdzieliły się i oddaliły w dwie strony. Pojawiło się nowe jestestwo. Wszyscy wciągnęliśmy głośno powietrze na jego widok.

Było ogromne, wielokrotnie większe od naszego batyskafu. Płynęło ze swobodną gracją, emitując po drodze warkot. Ze swego uciążliwego więzienia w tyle statku nie mogłem dostrzec wiele, pomijając dwoje wielkich oczu, które zdawały się świecić znacznie jaśniej niż nasze psujące się eikowe reflektory.

I jego paszczę. Pamiętam, że ją zobaczyłem aż za dobrze, gdy rozwarła się szeroko, mknąc nam na spotkanie.

Kadłub zatrzeszczał. Rozległy się kolejne ostre uderzenia. Ur-ronn zaskomlała, gdy do środka wdarła się ostra jak igła strużka pyłu wodnego, która odbiła się rykoszetem w moją stronę.

Odrętwiały ze strachu, nie mogłem zatrzymać mojego skotłowanego mózgu na chwilę wystarczającą, by przez burzę zwariowanych wyobrażeń przedarła się choć jedna jasna myśl.

To duchy Buyurów, snułem domysły, przybyłe, by ukarać żywych głupców, którzy odważyli się wdrzeć do ich królestwa.

To maszyny powstałe ze szczątków i pozostałości wrzuconych do Rozpadliny w czasach na długo przed Buyurami, epokach tak dawnych, że nawet Galaktowiejuż ich nie pamiętają.

To nasze rodzime morskie potwory. Dzieci Jijo. Produkty najsekretniejszego miejsca tego świata.

Te i inne fantazje przemknęły przez mój zmacony umysł w chwili, gdy patrzyłem na zbliżającą się straszliwą paszczę, niezdolny oderwać od niej wzroku. "Marzenie" pochyliło się z gwałtownym szarpnięciem. Teraz sądzę, iż przyczyną był prąd morski, wówczas jednak wydawało mi się, że batyskaf usiłuje się wyrwać.

Paszczę nas pochłonięła. Nagła fala cisnęła nami w bok. Walnęliśmy w wewnętrzną ścianę paszczy wielkiej bestii z taką siłą, że nasza piękna, wypukła szyba pękła. Od punktu uderzenia rozbiegły się matowe wzory. Ur-ronn zawyła, a Huck skręciła szypułki ciasno, jakby były chowanymi do szuflady skarpetkami.

Złapałem Huphu, ignorując jej ostre pazury, i zaczerpnąłem głęboki haust stęchłego powietrza.

Było okropne, ale pomyślałem, że to ostatnia szansa.

Okno ustąpiło w tej samej chwili, gdy zerwał się przewód powietrzny.

Ciemne wody Rozpadliny szybko znalazły drogę do wnętrza naszego rozbitego statku.

XXIV

KSIĘGA STOKU

Legandy

Potrzeba było dwudziestu lat, by wyłapać pierwszą ludzką bandę przedterminowych osadników: sporą grupę, która uciekła na porośnięte krzewami tereny leżące na południe od Doliny, odrzucając podpisane przez swych przywódców Przymierze Wygnania, na krótko przed tym, nim "Tabemacie" pochłonęły głębiny. By uciec, narazili się na życie na pustkowiu oraz zemstę prawa. Trzeba ich było, dygoczących ze strachu, sprowadzić siłą. A wszystko dlatego, że nie potrafili zaufać hoonom czy trackim.

Spoglądając wstecz, wydaje się to paradoksem, gdyż to aheueni i ursy wyrządzili wiele szkód ludzkim osadnikom w ciągu dwóch stuleci wojen, które nastąpiły później. Dlaczego tak wielu Ziemiaków bało się pokojowo nastawionych pierścieniowych istot albo naszych wesołych przyjaciół o szerokich barach i grzmiących głosach? Gwiazdniczy kuzyni trackich i hoonów musieli wyrzucić na naszych przodkach całkiem inne wrażenie w czasie, gdy ich statki po raz pierwszy wychynęły na szlaki Czwartej Galaktyki.

Niestety, większość galaktologicznych materiałów spłonęła w Wielkim Pożarze. Inne relacje mówią jednak o nieprzejednanej wrogości potężnych, tajemniczych gwiazdniczych władców zwanych się Jophurami. To oni odegrali główną rolę w Konfiskacie Mudaun. Owo straszliwe wydarzenie bezpośrednio doprowadziło do exodusu "Tabemacie". Ten akt okrucieństwa przeprowadzono z absolutną precyzją i bezwzględną stanowczością. Tu, na Stoku, rzadko obserwuje się u trackich podobne cechy.

Powiadają też, że na Mudaun byli również hoonowie. Relacje przedstawiają ich jako ponure, nadgorliwe, nieszczęśliwe istoty. Gatunek surowych księgowych zajętych kontrolą populacji oraz układaniem diagramów szybkości rozmnażania się innych; osobnicy nieczuli na żadne błagania o miłosierdzie bądź wyrozumiałość.

Czy ktokolwiek mógłby rozpoznać w tych opisach dwóch najbardziej niefrasobliwych członków Sześciu?

Nic dziwnego, że hoonowie i tracki sprawiają wrażenie najmniej skłonnych do nostalgii za "dawnymi, dobrymi czasami", w których podróżowali po kosmosie jako bogowie.

Kromki Jijańskiej Wspólnoty

Sara

Gdy wschodnie niebo rozjaśniła jutrzienka, zmęczeni wędrowcy – gęsty tłum spragnionych osłów i simii, ludzi i hoonów – dowlekli się do Oazy Uryutty po długim, całonocnym marszu przez wyschniętą Równinę Warrilską. Nawet pielgrzymujące ursy podeszły zgrabnie do błotnistego brzegu i zanurzyły wąskie głowy, krzywiąc się na gorzki, niczym nie poprawiony smak zwykłej wody.

Nad głęboki step nadciągnęło prawdziwe lato. Gorące wiatry podpałały kręgi rozłożystej trawy, powodując paniczną ucieczkę stad, które wzbijały w górę tumany kurzu. Nawet przed obecnym kryzysem wędrowcy unikali letniego słońca i woleli podróżować w chłodnym blasku księżyców. Uryjskie przewodniczki przechwalały się, że mogłyby wędrować po równinie z zawiązanymi oczyma.

Łatwo im mówić – pomyślała Sara, zanurzając obolałe stopy w bijącym w oazie źródle. Ursa nie

przewraca się na twarz, gdy potknie się przypadkowo o kamień. Osobiście wolę widzieć, dokąd idę.

W poprzedzającym świt blasku można było dostrzec na wschodzie potężne zarysy.

Góry Obrzeżne – pomyślała Sara. Międzygatunkowa ekspedycja posuwała się naprzód w dobrym tempie, śpiesząc się, by dotrzeć do Polany Zgromadzeń, nim wydarzenia osiągną punkt kulminacyjny. Cieszyła się z tego, bo gorąco pragnęła zobaczyć się z braćmi, a także dowiedzieć się, jak Bloorowi wychodzi wprowadzanie w życie jej pomysłu. Mogła też znaleźć pomoc medyczną dla nieznanego, którym się opiekowała, o ile okaże się, że można go bezpiecznie pokazać obcym, co wydawało się wątpliwe. Nie zrezygnowała też do końca

z pomysłu obejrzenia jednej z legendarnych konsoli bibliotecznyc wielkich Galaktów.

Było też wiele powodów do obaw. Jeśli gwiazdni bogowie mieli zamiar zlikwidować wszystkich świadków, z pewnością zaczną się to na Polanie. Przede wszystkim jednak Sara bała się, że prowadzi nieznanego wprost w ręce wrogów. Ciemnowłosa, zawsze wesoły mężczyzna sprawiał wrażenie, że pragnie się tam udać, czy jednak naprawdę rozumiał, o co chodzi?

Od pofałdowanego stożka Pzory dobiegło gwizdzące westchnienie. Tracki zasysał wodę ze stawu. Był zmęczony, mimo że całą drogę pokonał ciągniętym przez osły rydwanem. Jego pierścień sensoryczny ozdobił nowy rewiq, jeden z dwóch nabytych przez Sarę z nowej dostawy w Przystani Kandu. Zrobiła to, by pomóc traeckiemu farmaceucie opiekować się rannym nieznanym, choć zbytnio nie przepadała za sym-biontami.

W miejscu, w którym stała, pojawiły się pęcherzyki powietrza. W srebrzystym świetle Loocen Sara dostrzegła Brzeszczota z Dolo, który odpoczywał pod wodą. Pośpieszna podróż była trudna dla czerwonych qheuenów, podobnie jak niebieskich, takich jak Brzeszczot, a także tych spośród ludzi, którzy ważyli zbyt wiele, by mógł ich nieść osioł. Sarze pozwalano jechać na jednym z tych zwierząt podczas każdej parzystej midury. Mimo to całe ciało miała obolałe.

To słuszną karą za pustelniczy tryb życia mola książkowego – pomyślała.

Z miejsca, w którym uryjskie poganiaczki osłów gromadziły trawę i gnój, by rozpaść ognisko, dobiegł ochryply okrzyk radości. Wazę napełniono krwią simii, uzupełnioną kawałkami mięsa. Wkrótce ursy siorbały już ciepły, krwawy gulasz. Unosiły długie szyje, by przełykać, a potem pochylały się po więcej – węzowe sylwetki, których podnoszeniu się i opadaniu towarzyszyło niesamowite brzdąkanie cymbałów nieznanego. Tymczasem hoońska kucharka, dumna ze swej mię-dzygatunkowej kuchni, trzaskała garnkami i dosypywała do nich różnych proszków, aż wreszcie pikantne aromaty stłumiły odór pieczonej simii, przywracając apetyt nawet skłonnej do mdłości Sarze.

W krótką chwilę później świt odsłonił brunatnozielone góry wznoszące się na wschodnim horyzoncie. Nieznajomy roześmiał się. Zdjąwszy koszulę, pomagał Sarze i innym ludziom w zajęciu zwykle

przydzielanym przy rozbijaniu obozu Ziemianom: wznoszeniu schronień z g'Keckiego maskującego materiału, które podczas gorejącego dnia miały zapewnić cień wędrowcom i zwierzętom. Niemota człowieka z gwiazd nie utrudniała mu współpracy z innymi. Jego radość życia zarażała wszystkich wokół, gdy uczył ich pozbawionej słów pieśni pomagającej przetrwać.

Jeszcze dwa dni – pomyślała Sara, podnosząc wzrok ku przełęcz. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Oazie nadano nazwę na cześć koczowniczej wojowniczk, która żyła wkrótce po osiedleniu się urs na Jijo, gdy ich liczba wciąż była niewielka, a rzemiosła potrzebne do życia na powierzchni planety żałośnie prymitywne. W owych dawno minionych czasach Uryutta uciekła na wschód z bogatych pastwisk Znuniru, gdzie naczelniczki jej plemienia złożyły hołd lenny potężnym szarym królowym. Poprowadziła swe zbuntowane towarzyszk do tej pustynnej doliny leżącej na rozległej, suchej

równinie, gdzie miały wyleczyć się z ran i przygotować plan walki o wyzwolenie spod qheueńskiej dominacji.

Tak przynajmniej mówiła legenda, której Sara wysłuchiwała tego popołudnia, przespawszy najgorętszą część dnia. Podczas drzemki nawiedzały ją niejasne sny o wodzie, chłodnej i czystej, które wywoływały straszliwe pragnienie. Ugasiła je u źródła, po czym dołączyła do reszty wędrowców pod wielkim namiotem, by spożyć kolejny posiłek.

Ponieważ do zmierzchu zostało jeszcze kilka godzin, a na zewnątrz wciąż panował okrutny upał, majsterki i tragarki zebrały się wokół opowiadającej, akompaniując jej recytacji tupaniem kopyt i machaniem splecionymi w warkocze ogonami. Nawet gdy poznały już książki i druk, ursy nadal kochały ustną tradycję, jej pełne polotu improwizowane wariacje. Gdy pieśń bajarki zaczęła opiewać bitwę pod Znumirskim Punktem Handlowym, wydłużone głowy zakołysały się w jednym rytmie. Potrójne oczy spoglądały za pośrednictwem poetki ku minionym czasom.

Tak zdradziecka kawaleria rozpierzchła się. Dobrowolne, tchórzliwe niewolnice dały się wciągnąć w pułapkę zastawioną przez Uryuttę. Pognały z krzykiem przez Głęboką Cuchnącą Szczelinę,

By mieszać siarkowe wonie zagłady Z pełnym strachu przed śmiercią odorem swych suchych toreb.

Słuchaczki syknęły na znak pogardy dla pozbawionych śmiałości renegatek. Sara wyciągnęła notatnik i zaczęła zapisywać uwagi dotyczące używanego w opowieściach staroświeckiego dialektu, który wyrodził się z drugiego galaktycznego już na długo przed przybyciem ludzi.

Wtem zawróciła Uryutta, gotowa stanąć do boju

Ze straszliwą piechotą szarych qheueńskich matron,

Samcami w pancerzach, samcami z bronią

Z twardego, zaostzonego drewna, lśniącymi tak jaskrawo,

I klekoczącymi szczypcami gotowymi rozdzierać skórę,

Które czekały teraz, by rozerwać nas na strzępy dla swych matek.

Tym razem uryjskie słuchaczki po kilka razy wydały z siebie ciche chrząknięcia, wyraz uznania dla groźnego wroga. Ludzie po raz pierwszy usłyszeli ten dźwięk w trzecim pokoleniu po przybyciu na Jijo, gdy wywalczyli dla siebie miejsce w przedwspółnotowym chaosie.

Teraz nadszedł czas! Nasza naczelniczka daje znak. Wyciągnijcie bron, niedawno stworzone narzędzia. Wyciągnijcie długie drągi, ruszajcie naprzód, mocnogrzbiete. Uderzajcie, by chybić, lecz uderzajcie mocno w dół! Dźwignijcie teraz brzemień. Dźwignijcie je, mocnogrzbiete! Podnieście! Z błyskiem szczypiec się przewrócą!

Z początku Sarze trudno było śledzić akcję. Po chwili zrozumiała, na czym polegała taktyczna innowacja Uryutty – wykorzystanie "długich drągów", busowych prętów, by przewracać niezwyciężoną qhe-ueńską piechotę. Uryjskie ochotniczki posłużyły jako żywe punkty oparcia, narażając się na szczękające szczypcy i miażdżący ciężar, podczas gdy ich towarzyszkę podnosiły i przewracały jednego qheuena za drugim.

Choć tak podniośle brzmiała ekstatyczna pieśń opiewająca krwawą zemstę, Sara wiedziała, że zwycięstwa historycznej Uryutty nie trwały długo. Qheueni zmienili taktykę. Dopiero późniejszy ród bohaterów -

wojownicze kowalicy z Płomiennej Góry – zdołał wreszcie przepędzić szare ty ranki z wyżynnych równin. Królowe nadal jednak przeszkadzały w rozwoju Wspólnoty, aż do chwili, gdy ludzie wzbogacili sztukę wojenną o stare-nowe umiejętności.

Nie wszystkie ursy wysławiały dawne triumfy. Naczelniczka karawany i jej pomocnice uklęknęły na

dywaniku ze skóry peko, planując następny etap podróży. Sądząc z gestów, jakie wykonywały nad mapą, najwyraźniej zamierzały ominąć najbliższą oazę i o wschodzie słońca pognać z pełną szybkością ku wzgórzom.

O, moje obolałe stopy – pomyślała Sara.

Naczelniczka uniosła z sykiem stożkową głowę, gdy jeden z ludzkich pielgrzymów zbliżył się do wyjścia z namiotu.

– Muszę wyjść – wyjaśnił Jop, nadrzewny farmer z Dolo.

– Co, znowu przeciekasz? A może jesteś chory? Jop spędził większą część podróży pogrążony w lekturze Zwoju

Wygnańca, teraz jednak sprawiał wrażenie bardziej zainteresowanego otoczeniem. Roześmiał się.

– Oj, nie. Tylko żem wypił za dużo pięknej, źródlanej wody. Pora oddać ją Jijo. To wszystko.

Gdy poła uniosła się na chwilę, Sara raz jeszcze dostrzegła pęcherzyki powietrza na powierzchni stawu. Brzeszczot ponownie się zanurzył, by porządnie się namoczyć przed kolejnym odcinkiem trudnego marszu. A może chciał uniknąć słuchania peanu poetki opiewającej triumf nad qheuenami?

Poła opadła. Sara rozejrzała się po wielkim namiocie.

Kurt Wysadzacz pomagał sobie kompasem w rysowaniu zapętlo-nych łuków na arkuszach papieru milimetrowego, mrużąc przy tym gniewnie. Córka papiernika krzywiła twarz, gdy miał jedną kartkę za drugą. Siedząca bliżej Sary Prity również rysowała abstrakcyjne kształty, bardziej ekonomicznie, na piasku. Pociągając się za kosmyki na brodzie, sprawdzała coś w dotyczącym topologii tekście zabranym przez Sarę z Biblos.

Prawdziwa karawana intelektualistów – zauważyła z ironią kobieta. Kandydat na kapłana, budowniczy rzeczy, które robią "bum", szympan-sica z uzdolnieniami do geometrii oraz upadła matematyczka, wszyscy śpieszący się ku bardzo prawdopodobnej zagładzie. A to dopiero początek naszej listy osobliwości.

Siedzący po lewej stronie nieznajomy odstawił cymbały, by przyglądać się, jak bratanek Kurta, młody Jomah, gra w "Wieżę w Hajfongu" z czerwonym qheueńskim handlarzem soli, parą bibliotekarzy z Biblos i trójką hoońskich pielgrzymów. Gra polegała na przemieszczaniu różnokolorowych pierścieni po sześciokątnym zestawie wbitych w piasek słupków. Celem było ułożenie na słupku odpowiednio uporządkowanej piramidy pierścieni, największych na dole, najmniejszych na szczycie. W zaawansowanej wersji, w której kolory i wzory na pierścieniach symbolizowały traeckie atrybuty, trzeba było połączyć rozmaite cechy tak, by otrzymać idealny stos.

Pzora sprawiał wrażenie bardziej zafascynowanego opowieścią niż grą. Sara nigdy nie słyszała, by jakiś traeki czuł się urażony "Wieżą w Hajfongu", mimo że stanowiła ona imitację ich niepowtarzalnego sposobu rozmnażania.

– Widzisz? – tłumaczył chłopiec nieznajomemu. – Udało mi się już zdobyć bagienne płetwy, rdzeń mierzwiący, dwa pierścienie pamięci, Wąchacza, Myśliciela i Wzrokowca.

Człowiek z gwiazd nie okazywał nawet śladu frustracji z powodu szybkiej mowy Jomaha. Przyglądał się uczniowi wysadzacza z wyrazem inteligentnego zainteresowania. Być może szczebiotliwy głos Jomaha przypominał mu dźwięki muzyki.

– Mam nadzieję zdobyć lepszą podstawę, żeby mój traeki mógł się poruszać po lądzie. Ale Hormtuwoa capnął chodzący torus, który miałem na oku, więc wygląda na to, że jestem skazany na płetwy.

Hoon siedzący po lewej stronie chłopca wydał z siebie cichy, śpiewny burkot zadowolenia. Podczas gry w "Wieżę w Hajfongu" trzeba było myśleć szybko.

Zbuduj mi dom z marzeń, kochanie,

zęby miał trzynaście pięt. Piwnicę, kuchnię, sypialnię, łazienkę,
do śmierci kochał cię będę.

Jomah i pozostali zaniechali swych czynności, by wbić wzrok w nieznanego, który odchylił się do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Robi się w tym coraz lepszy – pomyślała Sara. Niemniej wywierało to niesamowite wrażenie, gdy człowiek z gwiazd przypominał sobie zwrotkę jakiejś piosenki, która doskonale pasowała do tego, co się akurat działo.

Nieznanomy zaczekał z błyskiem w oku, aż reszta graczy ponownie skupi uwagę na swych stosach, po czym trącił Jomaha łokciem, wskazując dyskretnie na pierścień, który można było dobrać z pudełka. Chłopiec popatrzył na rzadko spotykany torus zwany Biegaczem. Tak bardzo starał się stłumić okrzyk radości, że aż się rozkaślał. Ciemnowłosy nieznanomy klepnął go w plecy.

Skąd o tym wiedział? Czy wśród gwiazd grają w "Wieżę w Hajfon-gu?"

Wyobrażała sobie dotąd, że kosmiczni bogowie zajmują się... cóż, boskimi sprawami. Dodała jej odwagi myśl, że mogą uprawiać gry wymagające prostych rekwizytów: trwałych symboli życia.

Rzecz jasna, większość gier polega na tym, że są zwycięzcy... i pokonani.

Audytorium syknęło z uznaniem, gdy recytorka skończyła swą epopeję i opuściła niski pomost, by otrzymać nagrodę – dymiący kubek krwi.

Szkoda, że umknął mi koniec – pomyślała Sara. Zapewne jednak zdąży jeszcze usłyszeć tę opowieść, o ile świat przetrwa obecny rok.

Zanosilo się na to, że nikt już nie zechce wejść na scenę. Kilka urs przeciągnęło się i skierowało w stronę najbliższego wyjścia z namiotu. Chciały udać się na zewnątrz, by sprawdzić, co dzieje się ze zwierzętami i przygotować je do nocnej wyprawy. Zatrzymały się jednak, gdy na podwyższenie ze stukotem kopyt wskoczyła nagle kolejna ochotniczka. Nową bajarką była Ulgor, majsterka, która towarzyszyła Sarze od nocy, gdy obcy przelecieli nad Dolo. Audytorium skupiło się ponownie i Ulgor zaczęła recytować opowieść w dialekcie jeszcze starszym niż słyszany poprzednio.

Statki wypełniają wasze myśli Srogie, krążące
Statki wypełniają wasze sny Odległe od wszystkich
Statki przesłaniają krajobraz

już teraz, bezgłośnie. już teraz, wodnych mórz.
waszych umysłów teraz, 463

Niepoliczone są ich hordy.
Statki przysłuchają krajobraz waszych umysłów teraz.
Od gór nieporównanie większe.

Rozległ się pomruk konsternacji. Naczelniczka karawany zwinęła długą szyję w korkociąg. To był rzadko poruszany temat. Powszechnie uważano, że podejmowanie go w wielogatunkowym towarzystwie jest w złym guście. Kilku hoońskich pielgrzymów odwróciło się, chcąc się przysłuchać recytacji.

Statki
Klanu otaczanego
Statki

Klanu pragnącego

Urrish-ka wielką czią. aryjskiego zastępu. zemsty!

Była w złym guście czy nie – tocząca się opowieść uważano za świętość, dopóki nie dobiegła końca. Przywódczyni rozdeła nozdrze, by okazać, że nie ma nic wspólnego z tym naruszeniem dobrych obyczajów. Ulgor nie przestawała snuć opowieści o erze minionej na długo przed tym, nim uryjskie kolonistki postawiły kopyto na Jijo, o czasie kosmicznych armad, gdy boskie floty toczyły boje o niepojęte doktryny, używając broni posiadającej niewyobrażalną moc.

Gwiazdy wypełniają wasze myśli już teraz.

Statki wielkie jak górskie szczyty,

Sprawiające, że słońca drżą

Od wielkich niczym planety błyskawic.

Dlaczego się na to zdecydowała? – zadała sobie pytanie Sara. Ulgor zawsze była taktowna, jak na młodą ursę. Teraz sprawiała wrażenie, że chce sprowokować jakąś reakcję.

Hoonowie zbliżyli się niespiesznie, nadymając worki rezonansowe. Wciąż byli raczej zaciekawieni niż rozgniewani. Nie było jeszcze jasne, czy Ulgor faktycznie pragnęła obudzić archaiczne resentymen-ty, spory tak stare, że późniejsze zrodzone na Jijo właśnie z qheuenami i ludźmi wydawały się w porównaniu z nimi sprzeczkami o dzisiejsze śniadanie.

Na Jijo ursy i hoonowie żyją w odmiennych środowiskach i mają niewiele wspólnego. Brak powodów do konfliktu. Tmdno sobie wyobrazić, że ich przodkowie wyrzynali się nawzajem w kosmosie.

Porzucono nawet "Wieżę w Hajfongu". Nieznajomy obserwował falujące ruchy szyi Ulgor, poruszając do taktu prawą dłońią.

Och, wy tubylczy

Tak pewni siebie

Przykute do planety umysły,

Spróbować

Podobne globom Gdzie mieszkają Których przykute do planety Nie potrafią

słuchacze w ignorancji, czy odważycie się pojąć?

dziury w kosmosie, jestestwa, umysły jak wasze objąć?

Kilku hoonów zaburkotało na znak ulgi. Być może nie była to opowieść o archaicznych walkach między ich przodkami a ursami. Niektóre kosmiczne epopeje opiewały przeraźliwe przestrzenie czy widoki zbijające z tropu współczesnych słuchaczy, rzeczy utracone przez Sześciu, które jednak mogły kiedyś być odzyskane – o ironio – poprzez zapomnienie.

Skierujcie swe Do tych statków, Zmierzają ku Nie znając swego

pełne strachu myśli które zimno bramie chwały, przeznaczenia.

Poprzednia bajarka była żarliwa i śpiewała o krwawej chwale, Ulgor zaś miała charyzmę i wykorzystując ją, wprowadziła słuchaczy w trans kiwaniem głową i śpiewnym gwizdem, przywołując czyste esencje barw, mrozu, strachu. Sara odłożyła notatnik, oczarowana perspektywami

blasku i cienia, rozległymi połączeniami czasoprzestrzeni oraz lśnącymi statkami liczniejszymi niż gwiazdy. Powtarzana niezliczoną ilość razy opowieść z pewnością z czasem się rozrosła, lecz mimo to wypełniła serce Sary nagłą zazdrością.

My, ludzie, nigdy nie wspięliśmy się tak wysoko przed swym upad-

kiem. Nawet w szczytowym okresie nie posiadaliśmy flot potężnych! gwiazdolotów. Byliśmy dzikusami. Stosunkowo prymitywnymi.

Ta myśl umknęła jednak, gdy Ulgor wznowiła rytmiczną melorecy-tację, przywołując przebłąski nieskończoności. Ukształtował się portret wielkiej, zmierzającej na chwalebłą wojnę armady, którą los zwabił w pobliże mrocznego obszaru przestrzeni, tajemniczej, śmiertelnie groźnej niszy przypominającej okrutne dziuple legowiska mierzwopa-jąka. Miejsca omijanego przez rozważnych wędrowców, lecz nie przez admirała tej floty, która – przekonana o swej niezwyciężoności – wytyczyła kurs mający umożliwić jej runięcie na wrogów i odrzuciła wszelką myśl o nadłożeniu drogi.

jąder zły los,

pułapki wśród gwiazd...

Teraz z jednego z czarnych

Wypada po spirali

Zastawiając

Ciżby niespokojnych

Mocne szarpnięcie za rękę przywróciło nagle Sarę do rzeczywistości. Zamrugła powiekami. Prity objęła jej łokieć uściskiem wystarczająco silnym, by wywołać ból.

– Co się stało? – zapytała wreszcie kobieta.

Jej szympansia towarzyszka zwolniła uchwyt i zaczęła gestykulować.

Posłuchaj! Teraz!

Przecież słucham – miała już zamiar poskarżyć się Sara. Nagle jednak zrozumiała, że Prity nie chodzi o opowieść. Spróbowała przebić się przez hipnotyzujący, monotony głos Ulgor... i wreszcie usłyszała cichy pomruk dobiegający z zewnątrz namiotu.

Zwierzęta. Coś je zaniepokoiło.

Simie i osły miały w pobliżu własne, również zamaskowane schronienie. Sądząc po narastającym powoli pomruku, zwierzęta nie były jak dotąd przestraszone, nie czuły się też jednak zbyt pewnie.

Nieznajomy także zwrócił na to uwagę, podobnie jak paru bibliotekarzy oraz jeden czerwony qheuen. Wszyscy cofnęli się i zaczęli wokół nerwowo się rozglądać.

Naczelniczka karawany przyłączyła się już do tłumu w transie poruszających głowami urs zagubionych w odległym miejscu i czasie. Sara

ruszyła naprzód, by ją trącić – delikatnie, gdyż przestraszona ura mogła kłapać zębami – nagle jednak szyja dowodzącej ekspedycją zeszywniała, a przez jej brązową grzywę przeniknęły fale niepokoju. Uryjska matrona sykiem wyrwała z transu dwie pomocnice, trzecią zaś przywróciła do rzeczywistości ostrym ukąszeniem w bok. Wszystkie cztery wstały i pokłusowały w stronę wejścia do namiotu...

...nagle jednak stanęły jak wryte, gdy na zewnętrznej krawędzi schronienia zaczęły się podnosić widmowe kształty, niewyraźne, przypominające centaury sylwetki, które skradały się, uzbrojone w ostre narzędzia. Jedna z zastępczyń naczelniczki wydała z siebie zatrwożony skrzek na chwilę przed tym, nim wszędzie wokół zapanował kompletny chaos.

Audytorium ogarnęła panika. Oszołomieni pielgrzymi wydawali z siebie chrząknięcia i gwizdzące krzyki, gdy namiot w dwunastu miejscach rozpruły lśniące ostrza. Przez otwory wdarły się do środka pomalowane w wojenne barwy wojowniczkę, które wymierzyły swe miecze, piki i arbalety – broń wzmocnioną grotami z buyurskiego metalu o barwie brązu – w skłębioną masę przerażonych podróżnych, pędząc ich na środek namiotu, gdzie było wysypisko popiołu.

Ręce Prity otoczyły mocno talię Sary, podczas gdy młody Jomah przywarł do niej z drugiej strony. Objęła chłopca ramieniem, by dodać mu choć trochę otuchy.

Uryjska milicja? – zastanowiła się. Te wojowniczkę w niczym nie przypominały ciemnobrązowej kawalerii, która wykonywała efektowne manewry podczas obchodów Dnia Lądowania. Boki i kłęby miały ozdobione czarnymi jak sadza pręgami. Ich wijące się, kiwające głowy były szalone i wyrażały determinację.

Jedna z zastępczyń naczelniczki pognała ku stojakowi, w którym przechowywano broń służącą głównie do odstraszenia Iwotygrysów, khoobr i od czasu do czasu drobnych band złodziei. Szefowa karawany na próżno krzyczała na młodą ursę, która skoczyła ku naładowanej arbaletce i nie zatrzymując się, runęła na stojak, ślizgając się po śladzie skwierczącej krwi. Runęła, naszpikowana strzałkami, u stóp pomalowanej napastniczki.

Dowodząca ekspedycją przeklinała rozbójniczkę, naśmiewając się z ich odwagi, ich przodków, a zwłaszcza z własnej pewności siebie. Mimo pogłosek o kłopotach w dalekich zakątkach równin, trudno się

było uwolnić od wywodzących się z czasów pokoju nawyków, zwłaszcza na głównym szlaku. Teraz jej młoda, odważna koleżanka zapłaciła za to najwyższą cenę.

– Czego chcecie? – zapytała w drugim galaktycznym. – Czy macie naczelniczkę? Niech pokaże swój (zbrodniczy) pysk, jeśli odważy się odezwać!

Skrzydło najbliższego oazy wejścia do namiotu uniosło się. Do środka weszła krzepka uryjska wojowniczkę pomalowana w zygzakowate wzory, które sprawiały, że trudno było dostrzec zarys jej postaci. Naczelniczka napastniczek przeszła z uwagą, unosząc wysoko nogi, nad krwawymi śladami wokół zabitej i zatrzymała się tuż przed prowadzącą karawanę. Co zaskakujące, obie jej torby rozplodowe były pełne. W jednej miała męża, którego drobna główka spoglądała nad ramieniem wojowniczkę. Druga torba była niebieska, pokryta mlecznymi żyłami. Wypełniało ją niedojrzałe potomstwo.

Ursy, które osiągnęły status matrony, nie były z reguły skłonne do przemocy, chyba że zmuszały je do tego obowiązki bądź konieczność.

– Nie masz prawa osądzać naszej (chwalebnej) odwagi – syknęła przywódczyni rozbójniczek w staroświeckim, napuszonym dialekcie – Ty, która służysz, (niegodnym) klientom-panom mającym zbyt wiele lub za mało nóg, nie jesteś warta oceniać tej grupy sióstr. Twoim jedynym wyborem jest poddać się (uniżenie) zgodnie z (wielce czcigodnym) Kodeksem Równin.

Naczelniczka karawany wbiła w nią spojrzenie wszystkich trzech oczu.

– Kodeksem? Z pewnością nie masz na myśli (archaicznych, pozbawionych znaczenia) rytuałów używanych przez dawne (barbarzyńskie) plemiona, w czasach, gdy...

– Kodeksem wojny i wierności między (szlachetnymi, żyjącymi w zgodzie ze swą naturą) plemionami. Potwierdzam! Zwyczajami naszych (wielce czcigodnych) ciotek powstałymi na pokolenia przed tym, nim nastąpiło (niedawne, godne pogardy) zepsucie. Potwierdzam! Raz jeszcze pytam-żądam: czy się poddajesz?

Zbita z tropu i zaniepokojona naczelniczka karawany potrząsnęła głową na ludzki sposób, wydmuchując niepewnie powietrze niczym hoon. Z cichym przydechem wymamrotała w anglicu:

– Hr-r-r. Zewy dorosłe osowy zawijały się o takie dzikijskie wzdu-ry...

Wtedy napastniczka skoczyła na nią. Ich szyje owinięły się wokół siebie. Przepychały się splątanymi przednimi nogami, aż wreszcie naczelniczka karawany runęła na ziemię z jękiem bólu, charcząc pod wpływem szoku. Dla ziemskiego kręgowca mogłoby się to skończyć złamaniem kręgosłupa.

Agresorka zwróciła się ku pielgrzymom, wyciągając głowę daleko przed siebie, jak gdyby chciała chapnąć zębami każdego, kto znajdzie się w jej zasięgu. Przerażeni jeńcy zbili się w ciasną grupę. Sara objęła mocniej Jomaha, chowając chłopca za siebie.

– Ponownie pytam-żadam: kto (bez zastrzeżeń) podda się w imieniu tego (żałosnego, tak zwanego) plemienia?

Minęła dura. Nagle z kręgu wyszła na chwiejnych nogach ocalała zastępczyni naczelniczki. Być może wypchnięto ją od tyłu. Pokuśtykała do pomalowanej jaskrawo napastniczki, zwinęła ciasno szyję i rozwarła szeroko nozdrze ze strachu. Następnie młoda ursa przykucnęła z drzeniem i wysunęła powoli głowę naprzód po ziemi, aż wreszcie spoczęła ona między przednimi kopytami wojowniczkii.

– Dobra robota – skomentowała korsarka. – Zrobimy jeszcze c ciebie (marginalnie akceptowalną) mieszkankę równin. Jeśli chodzi o resztę, nazywam się UrKachu. W niedawnych (głupich) dniach byłam znana jako Najwyższa Ciotka-Władczyni Klanu Słonego Kopyta. Bezżyteczny, honorowy tytuł odarty z (prawdziwej) władzy i chwaty. Wygnana teraz z owej (niewdzięcznej) bandy, zostałam współnaczelniczką tej nowej kompanii kuzynek-towarzystek. Zjednoczone, wskrzesiłyśmy jedno z (wielkich, nieodżałowanych) stowarzyszeń wojowniczek: Urunthai!

Pozostałe napastniczki uniosły broń, wydając z siebie przeszywający ryk.

Zaskoczona Sara zamrugała powiekami. Tylko niewielu ludzi wychowało się nie słysząc tej nazwy, która w minionych dniach budziła grozę.

– Uczyniłyśmy to, ponieważ (tak zwane) ciotki i mędrzynie zdradziły nasz chwalebny gatunek i wpadły w (plugawą) ludzką pułapkę. Plan eksterminacji uknuty przez obcych zbrodniarzy.

Oderwanym kącikiem swego umysłu Sara zauważyła, że napastniczka traciła kontrolę nad swymi sztucznymi, staromodnymi drugogala-ktycznymi zwrotami, zastępując je nowocześniejszymi tonami, a nawet pozwalając, by zakradał się do nich znieawidzony anglic.

Pozostałe członkinie bandy stworzyły kontrpunkt, sykiem podtrzymując śpiewne frazy ich naczelniczki. UrKachu wyciągnęła głowę w kierunku pielgrzymów, i kręciła nią na wszystkie strony, dopóki nie zatrzymała się przed wysokim, ciemnowłosym mężczyzną – nieznanym.

– Czy to on? Demon z gwiazd?

Człowiek z kosmosu uśmiechnął się do niej, jak gdyby nawet krwawe morderstwo nie mogło zmącić jego dobrego humoru. Wydawało się, że na chwilę zbiło to z tropu pomalowaną urzę.

– Czy to (wybrany, poszukiwany) człowiek? – ciągnęła UrKachu. – Podniebny kuzyn dwunożnych diabłów, wśród których żyliśmy przez (cierpiące długo) pokolenia?

Całkiem jakby próbował poddać analizie po raz pierwszy spotkaną formę życia, gwiazdny obcy nasunął na oczy zasłonę swego nowego rewqa, a potem ją zdjął, porównując obie wizje uryjskiej rozbójniczki. Być może, gdy słowa docierały do niego odarte ze znaczenia, potrafił odnaleźć sens w orgii naładowanych emocjami kolorów.

Odezwał się inny głos, gładki, chłodny i przyciągający, zupełne przeciwieństwo głosu naczelniczki wojowniczek – ognistego i gorącego. Odpowiedź padła zza pleców zbitych w masę pielgrzymów.

– To on – zapewniła Ulgor. Wyszła zza gęstego, spoconego tłumu i zbliżyła się do UrKachu. Podobnie jak nieznanemu nie okazywała nawet cienia strachu.

– To (obiecana) zdobycz, sprowadzona z dalekiego Dolo. Ludzka mędrzyni potwierdziła niedawno, że nie narodził się na Jijo, lecz jest jednym z gwiazdnych demonów.

Pielgrzymi wydali z siebie pomruk, zatrwożeni zdradą Ulgor, UrKachu zaś zastukała kopytami na znak radości.

– Ci z kosmosu (drogo) zapłacą za odzyskanie go. Mogą za niego zaoferować coś cennego ponad wszystko: ocalenie dla niektórych (choć nie wszystkich) ursor na Jijo.

Wiele rzeczy stało się nagle zrozumiałe. Motywy tego napadu, podobnie jak hipnotyczny występ Ulgor na pomoście dla bajarek, który miał przykuć uwagę członków karawany, podczas gdy Urunthai zajmowały ukradkiem pozycje.

Między dwie uryjskie naczelniczki padł wąski cień. Ktoś nowy przemawiał w anglicu.

– Nie zapominajcie, przyjaciółki, że zamierzamy zażądać czegoś więcej.

W dziurze wyszarpanej w tkaninie namiotu stanęła ludzka postać. Kiedy oddaliła się od plamy późnopołudniowego blasku, okazało się, że to Jop, nadrzewny farmer z Dolo.

– Mamy całą listę rzeczy, które musimy dostać, jeśli chcą otrzymać swojego chłopaka całego i zdrowego-Jop spojrział na pokrytą bliznami czaszkę nieznajomego. – A przynajmniej na tyle całego, na ile to możliwe dla tego biednego półtrupca.

Wyszedł na zewnątrz, by dać napastnikom znak, podczas gdy Ulgor odwracała naszą uwagę – zdała sobie sprawę Sara.

Dziwny sojusz. Ludzki purysta pomagający uryjskim fanatyczkom, które nadały swej grupie nazwę starożytnego, nienawidzącego Ziemian Stowarzyszenia Urunthai.

Kruchy sojusz, o ile Sara dobrze usłyszała to, co UrKachu mruknęła na boku do Ulgor.

– Czy sprawy nie wyglądałyby prościej bez tego typka? Pomalowana wojowniczką skrzywiła się i zamknęła usta, gdy Ulgor wymierzyła jej ostrego kopniaka w nogę, poza zasięgiem wzroku pozostałych ursor. To wiele mówiło.

Sara odłączyła się od Jomaha i Prity, zostawiając ich ukrytych w tłumie, nim postąpiła krok naprzód.

– Nie możecie tego zrobić – oznajmiła. Uśmiech Jopa wyrażał zawziętość.

– A to czemu, mały molu książkowy? Sam fakt, że zdołała przemówić bez drżenia w głosie, stanowił zwycięstwo.

– Dlatego, że on może wcale nie być jednym z genowych złodziei! Mam powód, by sądzić, że tak naprawdę jest ich wrogiem. Ulgor obrzuciła nieznajomego spojrzeniem. Skinęła głową.

– Ta nożliwość nie ma najmniejszego znaczenia. Ważne jest, że nany towar na sfrzedaż i nożeny zażądać określonej ceny.

Sara potrafiła sobie wyobrazić tę cenę. Dla UrKachu był nią powrót do pełnych chwały dni krążących swobodnie po stepie wojowniczek, co nie pozostawało w sprzeczności z celem Jopa: zniszczeniem wszystkich

tam, maszyn i książek oraz przyśpieszeniem zejścia ludzkości po Ścieżce Odkupienia.

Żadne z nich najwyraźniej nie obawiało się możliwości ponownego wybuchu wojny, tak wielką była pogarda, którą się nawzajem darzyli. W tej chwili nie miało to zresztą większego znaczenia.

Jesteśmy w rękach szaleńców – pomyślała Sara. Głupców, którzy zgubią nas wszystkich.

Asx

A teraz wraca rotheński statek. Wraca ze swej tajemnej misji, która polegała na sondowaniu pobliskiego kosmosu w jakimś nieznanym, boskim celu.

Wraca, by zabrać stację, którą pozostawił, wraz z jej załogą biologicznych poszukiwaczy.

By zabrać skarbnicę skradzionych genów.

By zatrzeć ślady popełnionej zbrodni.

Owa do niedawna zagrzebana w ziemi stacja leży teraz przed nami jako pocięta ruina. Przedstawicielka Rothenów i kobieta z nieba spoczywają na prowizorycznych marach, obrabowane z życia, podczas gdy ocalali goście-najeźdźcy szaleją, zapowiadając zemstę. Jeśli ktoś wątpił dotąd w ich intencje, moje pierścienie, czyż zostało jeszcze miejsce na dwuznaczności? Czekala nas kara. Niejasne pozostawaly tylko jej rozmiary i sposob, w jaki bedzie wymierzona.

Tego wlasnie pragneli zbuntowani gorliwcy. Koniec z dezorientacja. Koniec z aluzjami i slodkimi, klamliwymi obietnicami. Tylko czystosc sprawiedliwego sprzeciwu, bez względu na nierownosc sil naszych i tych, ktorym musimy stawic opór. Niech podstawa osadu staną sie nasza odwaga i wiernosc, a nie nasze wahania, ządaja gorliwcy.

Goraca, nie mrugajaca gwiazda wędruje po niebie przed switem, orbitujac powoli coraz blizej. Aniol – albo demon – zemsty. Czy ci, ktorzy przebywaja na pokladzie, wiedza juz, co sie wydarzylo? Czy planuja juz rozpętanie burzy?

Gorliwcy utrzymuja, ze musimy pojmac pozostalych przy zyciu intruzow – Ro-kenna, Ling i Ranna – jako zakladnikow, dla ochrony zycia wszystkich czlonkow Wspolnoty. Podobnie jak ostatniego z ludzi z gwiazd, Kunna, kiedy jego samolot powroci do zniszczonej bazy.

Qheueńska najwyzsza mędrzyni. Lśniaca Jak Nóz Wnikliwosc jest przerazona rozumowaniem fanatykow.

– Chcecie dodac jedna zbrodnie do drugiej? Czy ci obcy wyrzadzili nam krzywdę? Czy pierwsi zadali cios, czy tez zaproponowali wam leczenie i dobrze platne zajecia? Zabiliście dwie osoby spośród nich tylko na podstawie domniemania zlych intencji! A teraz chcecie wziac pozostalych jako zakladnikow? Przypuscmy, ze ci, ktorzy przebywaja na statku, zgoda sie na wasze ządania i obiecaja, ze nie zaatakują Sześciu. Co ich powstrzyma przed zmianą zdania, gdy tylko zakladnicy odzyskaja wolnosc?

Naczelniczka gorliwcow odpowiada:

– Kto powiedzial, ze ja odzyskaja? Niech mieszkaja wśród nas przez reszte swego naturalnego zycia, a umkniemy podlości obcych.

– A co potem? Jaka to glupota myslec w kategoriach okresu zycia! Gwiazdni bogowie podejmują zamysly na dluga skale czasowa. Tworzą dlugozakresowe projekty. Czy zabija nas teraz, czy za piecdziesiat lat, cóz to za różnica w ogólnym planie wszechrzeczy?

Niektórzy z gapiow wyrazaja pomrukiem poparcie. Innym jednak sie wydaje, ze mędrzyni powiedziala swietny zart. Smieja sie na różne sposoby i krzyczą:

– To wielka różnica dla tych, ktorzy żyją teraz!

– Zreszta – dodala uryjska naczelniczka gorliwcow – mylisz sie sadzac, ze dotad nas nie zaatakowali, czy nie probowali wyrzadzic (zbrodniczej) szkody. Wprost przeciwnie, nasz (usprawiedliwiony) eks-plozywny czyn powstrzymal ich (podly) plan w ostatnim momencie!

Lester Cambel siedzi na pobliskim glazie, umazany sadza, zmeczony, podpierajac glowe dloni. Teraz podnosi ja i pyta:

– Co chcesz przez to powiedziec?

– To, ze ich (ohydny) zamiarem od poczatku bylo rozpoczecie programu unicestwienia przez wywołanie wśród Sześciu (bratobójczej) wojny!

Zebrani gapie przełykaja to w milczeniu.

– Czy potraficie tego dowiesc? – pyta Lśniaca Jak Nóz Wnikliwosc.

– Rzetelne (niezbite) dowody sa juz w drodze. Czy jednak nie powinniście najpierw wysluchac (wspierajacego) swiadectwa swego (wielce czcigodnego) wspolmędrca?

Nastaje zamieszanie, do chwili, gdy Phwhoon-dau występuje naprzód, by przemówić. Nasz hooński kolega zachowywał dotąd dziwnie milczenie, nie angażując się zbytnio w wypadki, poza chwilą, gdy przyniósł Yubbena z niefortunnej pielgrzymki. Jego długi, pokryty łuską grzbiet prostuje się teraz, jakby mędrzec cieszył się, że może zrzucić z siebie ciężkie brzemie.

– Miałem zbyt mało czasu, by medytować nad tymi sprawami – wymawia się.

– Medytowałbyś nad nimi całą geologiczną epokę, mój przyjacielu – żartuje łagodnie Lester Cambel. – Nawet twe najbardziej niepewne' przemyślenia są warte więcej niż mądrość kogokolwiek innego, poza Jajem. Proszę cię, podziel się nimi.

Ze zwisającego, wibrującego worka rezonansowego Phwhoon-dau wydobywa się niski, grzmiący dźwięk.

– Hr-r-r-rm... Przez prawie dwiejadury rejestrowałem z uwagą wszystkie wypowiedzi naszych gości z kosmosu, zwłaszcza te głoszone oficjalnie, sprawiające wrażenie przygotowanych wcześniej po to, aby ludzie z nieba mogli je w odpowiednim momencie wypowiedzieć. Miałem do dyspozycji kilka dzieł na temat językoznawstwa pochodzących z Biblos, do których niekiedy zaglądałem, gdy musiałem rozsądzać spory między członkami różnych gatunków, mówiących różnymi językami. Mimo że nasze miejscowe dialekty się wyrodziły, książki te zawierają użyteczne diagramy dotyczące składni i zmian znaczeniowych. Nie twierdzę, że poddając stwierdzenia obcych dokładnej analizie, wykazałem się wielkim znawstwem. Jestem co najwyżej prowincjonalnym praktykiem.

– Ale doszedłeś do jakichś wniosków?

– Hr-r. Nie wniosków. Być może dostrzegłem współzależności. Wskazujące na możliwy celowy zamiar.

– Zamiar?

– Zamiar... r-r-rm... wywołania podziałów.

Ur-Jah wygłasza komentarz z miejsca do tarzania, na którym zwinęła się wyczerpana po bezowocnej próbie ratowania i poszukiwania ofiary wśród dymiących ruin stacji obcych.

– Nie pierwszy raz wygłasza się fiodowne fodejzienie. Wszyscy nożeni ofowiedzieć anegdoty o niewinnie wrzniętych uwagach, które z fozątku kłują delikatnie, jak szedonucha składająca jaja, od których rana rofieje i nigdy się nie goi. A teraz mówisz, że kryje się za tym

świadomy zamiar? Że jest to częścią frzygotowanego z frenedytacją flanu? Dlaczego nie wsfoniałeś o tym wcześniej? Phwhoon-dau wzdycha.

– Dobry uczonec nie publikuje nie sprawdzonych wyników. Ponadto obcy sprawiali wrażenie nieświadomych, że nadal zachowaliśmy umiejętność sporządzania diagramów znaczenia zdań. Czy raczej że odzyskaliśmy ją podczas Wielkiego Drukowania. Nie widziałem powodu, by zdradzić ten fakt zbyt wcześnie.

Wykonuje traacki odpowiednik wzruszenia ramion: skręcenie ciała od lewej ku prawej.

– Całkowitą pewność uzyskałem w chwili, gdy Ro-kenn przemówił do nas wszystkich podczas pielgrzymki. Niewątpliwie niektórym z was przyszło do głowy, że celem jego wypowiedzi było skrzeseanie iskier niezgody?

– Pewnie, że przyszło! – warczy Lester Cambel. Wielu ludzi głośno wyraża poparcie, jak gdyby chcieli oni przekonać pozostałych o swej szczerości. Ursy tupią niepewnie kopytami. Wyraźnie widać, że długa, pozbawiająca sił noc źle wpłynęła na ich wybuchowe usposobienie. Jedyne z trudem przyswojone nawyki niedawno osiągniętego Pokoju pozwoliły wszystkim zachować dotąd opanowanie.

Phwhoon-dau kontynuuje.

– Formalny dialekt szóstego galaktycznego używany przez rotheń-skiego gwiazdnego boga nie

zostawia wiele miejsca na dwuznaczności. Niepokojące słowa Ro-kenna można zinterpretować tylko na dwa sposoby. Albo jest nietaktowny w stopniu przekraczającym wszelkie normy, albo jego celem było wywołanie eksterminacyjnej kampanii przeciw ludzkiemu szczepowi.

– Przeciw własnym ukochanym fiodoficznym? – pyta z niedowierzaniem Ur-Jah.

– To nie ma znaczenia. Nawet jeśli Rotheni naprawdę są opiekunami ludzi, dlaczego miałyby ich obchodzić mała, izolowana grupka ich zdziwiałych podopiecznych, od dawna odciętych od całości gatunku, zdegenerowanych przez wsobne krzyżowanie i o kilkaset lat zacofanych, a być może nawet obciążonych defektami, psychologicznie anachronicznych, skażonych przez...

– Uzasadniłeś już swoją tezę – przerywa mu z irytacją Lester. – Ale w takim razie dlaczego uwzięli się akurat na nas?

Phwhoon-dau zwraca się w stronę swego ludzkiego kolegi, burko-cząc przeproszająco.

– Dlatego, że ludzkie plemię przerasta pozostałych członków Sześciu swymi technicznymi umiejętnościami, niedoskonałą, lecz użyteczną pamięcią o galaktycznych zwyczajach oraz dobrze zapamiętaną znajomością sztuki wojny.

Wśród niektórych qheueńskich i uryjskich słuchaczy rozlega się pomruk, lecz nikt owym słowom głośno nie zaprzecza. Nikt, kto zna przekazy o Kanionie Bitwy, Zasadzce Townsenda czy oblężeniu Tarek.

– Wszystkie te czynniki sprawiają, że wasz gatunek jest oczywi-

stym kandydatem na pierwszą ofiarę. Dochodzi jeszcze jeden powód. Wpływ, jaki wywarliście na pozostałych. Jako nowi przybysze, gdy wasza ranga była najniższa, udostępniście wszystkim swój jedyny skarb, bibliotekę. Po późniejszych wielkich zwycięstwach, kiedy wasz status wzniósł się najwyżej, odrzuciliście liczne przywileje wiążące się z dominacją i uznaliście autorytet mędrców, akceptując ograniczenia, jakich wymagał Wielki Pokój. To ta tradycja umiarkowania czyni was niebezpiecznymi dla planów Rothenów. Cóż bowiem im przyjdzie z prowokowania wojny, jeśli ich ofiary nie zechcą walczyć?

Tak, moje pierścienie, zauważamy-zapamiętujemy reakcję tłumu. Ciszę, która zapada, gdy Phwhoon-dau przywołuje wizję pojednania, gasząc delikatnie tłące się jeszcze iskry resentymentów. To arcydzieło mediacji.

– Gdy ludzki szczep już zniknie – kontynuuje hooński mędrzec – łatwo będzie wzniecać niezadowolenie wśród pozostałych, udawać potajemne przyjaźnie i oferować pomoc. Na przykład, przekazywać specjalnie wyhodowane drobnoustroje i pozwalać, by każdy z gatunków sam wymyślał sposoby na podrzucanie swym wrogom śmiertelnych zarazków. W ciągu niespełna pokolenia zadanie zostałoby wykonane. Nieliczne świadectwa pozostałe w glebie Jijo wyjawiałyby tylko, że sześć gatunków przedterminowych osadników upadło tu ongiś nisko, nie osiągając odkupienia.

Reakcją na przedstawiony przez naszego hoońskiego mędrca scenariusz jest krępująca cisza.

– Oczywiście, nic z tego nie zostało udowodnione – kończy Phwhoon-dau, obracając się, by wskazać palcem na przywódczynię

gorliwców. – Nie usprawiedliwia to też okropności, jakie widzieliśmy tej nocy. Dopuszczono się ich pochopnie, bez konsultacji z mędrcami czy Wspólnotą.

Uryjska buntowniczka wznosi wysoko głowę, by popatrzeć nad tłumem ku wschodowi. Z parsknięciem zadowolenia zwraca się ponownie ku Phwhoon-dau.

– Oto przybywa dowód/

Ursa gwizdże radośnie, pomagając utworzyć przejście w szeregach gapiów. W blasku jutrzeńki można dostrzec pokryte pyłem postacie galopujące ścieżką prowadzącą od Świętej Polany.

– Jest to także nasze usprawiedliwienie.

Lark

Stojący na krawędzi krateru Harullen krzyknął do nich.

– Wy dwaj, lepiej tu chodźcie! – zawołał heretyk. – Ktoś was złapie, a to będzie oznaczało kłopoty. Poza tym mam wrażenie, że coś się dzieje e!

Na staranny zwykle akcent szarego arystokraty wywarło swój wpływ fizyczne i emocjonalne wyczerpanie. Jego głos wydawał się rozgorączkowany, całkiem jakby stanie na czatach, czego z niechęcią się podjął, było równie ryzykowne, jak grzebanie w niebezpiecznych szczątkach.

– Ale co? – odpowiedział również krzykiem Uthen. Choć był kuzynem stojącego na górze qheuena, biolog, kolega po fachu Larka, wyglądał jak przedstawiciel innego gatunku ze swą pokrytą bliznami i smugami kleistego popiołu skorupą. – Czy wysłali tu robota?

Nogowe otwory Harullena zagrały alikwoty niepokoju.

– Nie, maszyny wciąż unoszą się jako strażnicy nad Ro-kennem, dwoma ludzkimi sługami oraz trupami. Wszystkich otacza tłum miejscowych pochlebców. Chodzi mi o zamieszanie w miejscu, gdzie naradzali się mędrcy. Doszło do fermentu. Jestem pewien, że ominęły nas ważne wiadomości!

Harullen może mieć rację – pomyślał Lark. Niemniej jednak nie chciał stąd odejść. Chociaż wokół był smród, żar i poszarpane kikuty metalu – wszystko to jeszcze niebezpieczniej sze teraz, gdy był już bardzo zmęczony – świt sprawił, że łatwiej było grzebać w ruinach

zakopanej w ziemi stacji w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby zrozumieć przyczyny całego zamieszania.

Ileż razy widywał, jak Ling schodzi po rampie i znika w tajemnych pomieszczeniach? Zastanawiał się wówczas, co kryje się w środku. Teraz było tu poczerńiałe piekło.

Pomogłem gorliwcom – przypomniał sobie. Przekazałem im kopie swoich raportów. Wiedziałem, że mają zamiar coś zrobić.

Ale nie oczekiwałem czegoś tak brutalnego.

Podobnie jak gwiazdni bogowie, którzy najwyraźniej nawet się nie domyślali, że banda rozgniewanych prymitywów może jeszcze pamiętać, jak się robi "bum".

Nigdy nie zadali właściwych pytań.

– Mówiłem wam, że coś się dzieje! – ponownie krzyknął Harul-len, nie siląc się na oryginalność. – Mędrcy ruszyli naprzód... ku obcym!

Lark popatrzył na Uthena i westchnął.

– Tym razem chyba mówi poważnie.

Jego przyjaciel milczał przez pewien czas, stojąc nieruchomo nad jednym punktem. Gdy odpowiedział, mówił tak cicho, że jego oddech ledwo poruszał popiół pod stopami.

– Lark, czy zechciałbyś na to spojrzeć?

Człowiek znał ten ton z ich dawnych wypadów w teren w poszukiwaniu świadectw złożonej przeszłości życia Jijo. Skierował się ku qheuonowi, prześlizgując się z wielką ostrożnością między rozerwanymi metalowymi wiązaniami oraz osmalonymi, pokrzywionymi pancernymi płytami. Unosił wysoko stopy, by wzbijać w powietrze jak najmniej paskudnego, przypominającego pył popiołu.

– Co to jest? Czy coś znalazłeś?

– Nie... jestem pewien.

Uthen przeszedł na szósty galaktyczny.

– Wydaje mi się, iejut kiedyś to widziałem. Ten symbol. To wyobrażenie. Może mógłbyś to potwierdzić?

Lark pochylił się obok przyjaciela, zaglądając we wnękę nie oświetloną jeszcze przez wschodzące słońce. Ujrzał płataninę prostokątnych tabliczek. Każda z nich dorównywała grubością jego dłoni i

była od niej dwukrotnie dłuższa. By odsłonić stos, Uthen zdrapał część na wpół stopionej maszynerii. Jedna płytkę leżała wystarczająco blisko, by można było dostrzec symbol wytrawiony na jej ciemnobrązowej powierzchni. Podwójna spirala przeszycia poprzeczną linią. Gdzie widziałem... Dłoń Larka sięgnęła w miejsce niedostępne dla Uthena, pogłaskała prostokąt, a potem go podniosła. Wydawał się niewiarygodnie lekki, choć przyszło mu do głowy, że może to być najbardziej ważka rzecz, jakiej w życiu dotknął.

– Czy myślisz to samo co ja? – zapytał, obracając przedmiot w świetle dnia.

Uthen wyrwał płytkę z jego dłoni i ujął ją drżącymi szczypcami.

– Jak mógłbym nie myśleć? – odparł qheueński uczonek. – Nawet na wpół zwierzęce, cofnięte w rozwoju prymitywy powinny rozpoznać glif Wielkiej Biblioteki Galaktycznej.

"Dowody" leżały rozsypane na zdeptanej trawie. Przeszywający wzrok Ro-kenna omiół płataninę przewodów oraz połyskujących sferoid przyniesionych przed chwilą przez gorliwców z Doliny Jaja. Do złożonego z dziwnych elementów naszyjnika wciąż przylegały grudki ziemi, w której do niedawna spoczywał, tuż obok najświętszego miejsca na Jijo.

Dwa skupiska gapiów utworzyły osobne półkola. Jedno zebrało się za zgromadzonymi mędrkami, drugie zaś, w postawie wyrażającej cześć, stanęło za gwiazdnym bogiem. Wielu członków tej drugiej grupy było pacjentami w klinice piratów bądź wierzyło, że mają oni słuszość będącą ponad wszelkim prawem. Wśród skupionych po tej stronie ludzi jasno jarzyła się wiara w nowych opiekunów. Nowy rewq Larka oddawał ją jako intensywny, czerwony ogień otaczający ich twarze.

Zniknął gdzieś wściekły gniew Rothena. Jego humanoidalne rysy znów wyrażały charyzmatyczny spokój, a nawet pogodną pobłażliwość. Poświęcił jeszcze durę na przyglądanie się gmatwaniu części, po czym stwierdził w pedantycznie poprawnym siódmym galaktycznym:

– Nie widzę tu nic interesującego. Dlaczego pokazujecie mi te rzeczy?

Lark spodziewał się, że odpowie mu młoda uryjska ekstremistka – przywódczyni zbuntowanych gorliwców – grając rolę zarówno powoda, jak i adwokata, by usprawiedliwić akt przemocy, którego się dopu-

ściła jej grupa. Dysydentka trzymała się jednak z tyłu. Wmieszała się w tłum ludzi i urs, którzy zaglądali do jakichś tekstów.

Hooński mędrzec, Phwhoon-dau, wystąpił naprzód, by stanąć twarzą w twarz z rotheńskim emisariuszem.

– Chcemy się upewnić, czy te nadzwyczaj zaawansowane narzędzia są waszą własnością. Narzędzia odnalezione przez grupkę dzieci podczas ostatniego obrotu Jijo wokół osi. Narzędzia, które ktoś zakopał potajemnie w bezpośredniej bliskości naszego ukochanego Jaja.

Lark obserwował reakcję Ling. Jako że znał ją już dość dobrze, nie potrzebował rewq, by zinterpretował dla niego szok, jakiego doznała na ten widok. Lub wstyd, jaki poczuła później, gdy wszystko do niej dotarło.

Tego właśnie chciałem się dowiedzieć – pomyślał Lark.

Ro-kenn zachowywał się nonszalancko.

– Mogę tylko zgadywać, że ukrył je tam jakiś tubylec, tak jak wasi głupi buntownicy umieścili materiały wybuchowe pod naszą stacją.

Tym razem Ling nie mogła opanować zaskoczenia.

Nie spodziewała się usłyszeć z jego ust kłamstwa. Przynajmniej nie tak bezwstydne, gdy nie miał czasu na przygotowanie gładkiej przemowy.

Spojrząwszy w bok, kobieta z gwiazd zauważyła, że Lark przygląda się jej. Odwróciła pośpiesznie wzrok. Lark nie był dumny z satysfakcji, jaką sprawiła mu ta zmiana sytuacji. Teraz to ona musiała

się wstydzić.

– Użyj swych instrumentów – nakłaniał wysokiego Rothena Phwhoon-dau. – Poddaj te przyrządy analizie. Przekonasz się, że to wytwory techniki znacznie przewyższającej wszystko, co obecnie leży w możliwościach Sześciu.

Ro-kenn wzruszył ramionami w pełnym wdzięku geście.

– Może zostawili je Buyurowie.

– W tamtym miejscu? – W grzmiącym głosie Phwhoon-dau brzmiało rozbawienie, całkiem jakby Ro-kenn powiedział dobroduszny żart. – Przed zaledwie stuleciem cała dolina rozjarzyła się do białości wskutek wyjścia Jaja na podniebny świat. Te witki nie mogłyby ocaleć.

Tłum zaszemrał.

Lark poczuł szarpnięcie za rękaw. Rozejrzał się wokół i dostrzegł, że ktoś niski, jasnowłosy – Bloor Portrecista – podkraść się do niego od tyłu, niosąc skrzynkowy aparat fotograficzny oraz trójnóg.

– Daj mi zrobić zdjęcie pod twoją ręką! – wyszeptał nagłaco fotograf.

Lark poczuł dreszcz paniki. Czy Bloor oszalał? Chciał wykręcić taki numer na otwartej przestrzeni, w chwili gdy roboty zachowywały maksymalną czujność? Nawet jeśli ciało Larka osłaniało fotografującego od przodu, ci którzy stali po bokach, zauważą go. Bez względu na wymowę argumentów Phwhoon-dau, czy mogli liczyć na lojalność każdego w kłębiącej się ciżbie?

Z westchnieniem uniósł lewą rękę na tyle, by pozwolić Bloorowi wycelować aparat w trwającą na polanie konfrontację.

– W takim razie nie potrafię wytłumaczyć obecności tych przedmiotów – odrzekł Ro-kenn, mając na myśli splątaną masę sprzętu. – Możecie sobie snuć spekulacje, jeśli tak wam się podoba, dopóki nie przyleci nasz statek.

Hooński mędrzec zignorował ukrytą w słowach Rothena groźbę. Mówił dalej, spokojnie i rozsądnie. Ro-kenn sprawiał przy nim wrażenie podenerwowanego.

– Czy potrzebne są spekulacje? Zapewniano nas, że kilka zestawów oczu zaobserwowało wasze roboty, jak niedawno, podczas pewnej, mglistej nocy, celowo umieszczały te urządzenia pod naszym świętym kamieniem...

– Niemożliwe! – krzyknął Ro-kenn, znowu ogarnięty gniewem. – Żadne formy życia nie mogły tej nocy nic zobaczyć. Dokładne badania stwierdziły, że ani jedna istota rozumna nie przebywała w pobliżu podczas...

Rotheński emisariusz przerwał w środku zdania. Gapie wytrzeszczyli oczy, wstrząśnięci i zdumieni tym, że wytworny gwiazdny bóg dał się nabrać na tak prostą sztuczkę.

Musi być przyzwyczajony do tego, że wszyscy spełniają jego życzenia, jeśli wpadł w tak prostą pułapkę – pomyślał Lark.

Wtem przyszła mu do głowy dziwna myśl.

Wiele ziemskich kultur, od starożytnej Grecji i Indii aż po Górną Kalifornię, przedstawiało swych bogów jako rozwydrzonych, wybuchowych niedorostków.

Czy mogła to być pamięć gatunkowa? Może ci faceci faktycznie naszymi dawno zaginionymi opiekunami?

– Dziękuję za tę poprawkę – odpowiedział Phwhoon-dau z $p <$ nym wdzięku ukłonem. – Powiedziałem tylko, że tak nas zapewniali Skarcę tych, którzy zgłosili podobną sugestię. Uwierzę ci na słowo,;

owej nocy nie było świadków, skoro sam przyznajesz, iż to wasze robo[^] pozostawiły owe dziwne, obce urządzenia w sąsiedztwie naszego Jaj! Czy zostawimy już tę kwestię i rozważymy, w jakim celu

je tai umieszczono?

Wyglądało na to, że Ro-kenn przeżuwa swój błąd. Poruszał żuchw na sposób zgrzytającego zębami człowieka. Rewq Larka ukazywi odbarwiony obszar, który zdawał się falować na górnej części twarzy Rothena. Bloor szepnął z zadowoleniem, gdy udało mu się zrobi zdjęcia. Zasunął pokrywkę nad odsłoniętą płytką.

Odejdź – nakłaniał go bezgłośnie Lark, jednak bez rezultatu.

– Nie widzę powodu do dalszej debaty – oznajmił wreszcie obc Odwrócił się i zaczął odchodzić, lecz doszedłszy do ziejącego kralei w miejscu, w którym ongiś była jego stacja, zatrzymał się. Przypomni sobie, że nie ma dokąd pójść.

Mógł oczywiście wdrapać się na robota i po prostu odlecieć. Dupo jednak nie przybył samolot Kunna albo gwiazdolot, mógł uciec jedyn na pustkowia. Nie miał żadnego schronienia poza tą polaną pełń niewygodnych pytań.

W grupie urs i ludzi zgromadzonej po lewej stronie rozległ się krzy Zbiorowisko rozstało się, odsłaniając rozpromienionego Lestera Car bela. Obciążony kilkoma tomami wielkiego formatu mędrzec rusz pospiesznie naprzód.

– Chyba to znaleźliśmy! – oznajmił, przyklękając wraz z kilk ma pomocnikami przy jednej ze sferoidalnych brył leżących ob(splątanej masy kabli. Podczas gdy jeden z asystentów próbował otw rzyć pudełko, Lester przystąpił do wyjaśnień. – Nikt z nas nie r oczywiście najbledszego pojęcia, jak działa to urządzenie, lecz ga] ktyczna technika stała się po miliardzie lat tak wyrafinowana i uproś czona, że większość maszyn jest podobno całkiem prosta w użyci Ostatecznie, jeśli ludzie mogli dolecieć na zdezelowanym, kupiona z piątej ręki gwiazdolocie aż na Jijo, z tymi urządzeniami z pewność da sobie radę każdy idiota!

Ten żart z własnego gatunku wywołał śmiech po obu stronach tłumu. Gęstniejący tłum gapiów nie pozostawiał Ro-kennowi i jego sługom umożliwiającej zachowanie godności drogi ucieczki.

– W tym przypadku – ciągnął Cambel – sądzimy, że urządzenie miało zostać uruchomione w chwili, gdy wszyscy pielgrzymi przebywali blisko Jaja, kiedy byli najbardziej podatni na sugestie, być może po zakończeniu inwokacji. Najprawdopodobniejszą hipotezą jest mechanizm zegarowy albo jakiś zdalny wyzwalacz, być może sygnał radiowy.

Asystentowi udało się zerwać pokrywę z głośnym trzaskiem.

– Teraz zobaczymy, czy znajdziemy coś w rodzaju standardowego ręcznego przełącznika wyzwalającego, jaki jest przedstawiony na stronie tysiąc pięćset dwunastej – powiedział Lester. Nachylił się bliżej, by sprawdzić coś w jednym z otwartych tomów.

Ro-kenn gapił się na pełną czytelnych diagramów książkę, całkiem jakby przed chwilą zobaczył coś śmiertelnie groźnego, co wypełzło 7 jego pościeli. Lark zauważył, że Ling znowu spogląda na niego. Tym razem wyraz jej twarzy zdawał się mówić: "Co przede mną ukrywałeś?"

Choć nie miała rewqa, Lark uznał, że chytry uśmiech może być najwłaściwszą odpowiedzią.

Przyjęłaś zbyt wiele założeń, moja droga. To cię oślepiło i uniemożliwiło zadanie istotnych pytań. Do tego sprawiło, że zachowywałaś się protekcyjnie, podczas gdy mogliśmy zostać przyjaciółmi.

No dobrze, może to była zbyt skomplikowana myśl, by dało się ją wyrazić samą mimiką. Niewykluczone, że jego uśmieszek w rzeczywistości mówił: "Co za tupet! Oskarżasz mnie, że coś ukrywałem?"

– Protestuję^ – wtrącił mężczyzna z nieba, Rann. Wystąpił naprzód. Przewyższał wzrostem wszystkich poza hoonami i garstką trackich. – Nie macie prawa grzebać w cudzej własności!

– Hr-r – zanucił cicho Phwhoon-dau. – A więc przyznajesz, że ten oznaczający inwazję przedmiot umieszczony bez pozwolenia w naszym najświętszym miejscu jest waszą własnością?

Rann zamrugał powiekami. Wyraźnie było widać, że jest bardzo niezadowolony z niewygodnej sytuacji obcych, która zmusza ich do słownej szermierki z barbarzyńcami. Zbity z tropu, wysoki człowiek z nieba zwrócił się w stronę Ro-kenna w poszukiwaniu przewodnictwa. Podczas gdy się naradzali, zbliżywszy do siebie głowy, Lester Cambel mówił dalej.

– Na pewien czas powstrzymała nas kwestia przeznaczenia tego urządzenia. Na szczęście prowadziłem niedawno studia nad galaktyczną techniką, więc teksty były dla mnie w pewnym stopniu znajome. Wreszcie znalazłem owo urządzenie pod hasłem "emitery psioniczne"!

– Tu jest przełącznik, mędrze – oznajmił asystent. – Jestem gotowy na rozkaz.

Lester Cambel wstał, unosząc do góry obie ręce.

– Obywatele! To jest pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Nie mamy pojęcia, co za chwilę uruchomimy. Zakładam, że nie jest to nic groźącego śmiercią, gdyż nasi goście nie są przygotowani na natychmiastową ucieczkę. Niemniej, ponieważ nie mieliśmy czasu na wnikliwe badania, radzę, byście przynajmniej się cofnęli. Bardziej ostrożni spośród was mogą się wycofać na dalszą odległość, być może równą dwóm średnicom Jaja. Będę odliczał od dziesięciu wstecz.

Uthen chciał zostać, by się temu przyglądać – pomyślał Lark. Ale kazałem mu pójść ukryć te biblioteczne płytki, które znaleźliśmy.

Czyżbym w rzeczywistości wyrządził mu przysługę?

Cambel zaczerpnął głęboko tchu.

– Dziesięć!

– Dziewięć!

– Osiem!

Lark nigdy dotąd nie widział, by g'Kek prześcignął urzę. Gdy tłum się rozchodził, niektórzy spośród Sześciu robili to z zaskakującym pośpiechem. Inni pozostali na miejscu, pełni ciekawości.

Odwaga jest tą cechą, która spaja każdą prawdziwą unię – pomyślał z niejaka dumą.

– Siedem!

– Sześć!

I wtedy wysunął się naprzód sam Ro-kenn.

– Przyznaję, iż jestem właścicielem tego urządzenia, które...

– Pięć!

– Cztery!

Rothen zaczął mówić głośnie, by przebić się przez tumult.

– ...które składa się jedynie z instrumentów umieszczonych w niewinnych zamiarach...

– Trzy!

– Dwa!

Szybciej, gorączkowym tonem:

...badania regularności wywoływanych przez, wasze czcigodne, święte...

– Jeden!

– Teraz!

Niektórzy ludzie instynktownie osłonili uszy dłońmi, przykucnęli i przymrużyli oczy, jak gdyby chcieli je osłonić przed przewidywanym rozbłyskiem. Ursy zacisnęły ramiona na torbach, g'Kekowie wciągnęli szypułki, a qheueni i tracki przycupnęli nisko nad gruntem. Rewqi skuliły się, uciekając przed intensywnymi emocjami bijącymi od ich żywicieli. Bez względu na to, czym mógł być "emiter psioniczny", wszyscy zaraz mieli się tego dowiedzieć.

Lark próbował zlekceważyć instynkt, kierując się zachowaniem Ling. Jej reakcją na odliczanie była dziwna mieszanina gniewu i ciekawości. Splotła razem dłonie i odwróciła się, by spojrzeć mu

w oczy w tej samej chwili, gdy asystent Cambela dotknął ukrytego przełącznika.

Asx

Nasz centralny rdzeń wypełnia dezorientacja, która przecieka przez węzłowe pieczęcie łączące w całość nas-my-ja-mnie. Oszołomienie sączy się po naszych zewnętrznych krzywiznach niczym żywica ze zranionego drzewa.

Czy ten głos, ta rytmiczna recytacja, może być tym, czym – jak wiemy – nie jest?

Regularności Jaja głaskały nas na tak wiele sposobów. Ten hannider ma znajome elementy przypominające śpiew Świętej Bryły...

Jest w nim też jednak prostacki, metaliczny posmak, któremu brak śpiewnej tonacji i barwy dźwięku Jaja.

Jedna z podkadencji przywołuje nas ku sobie, klekocząc niczym śpieszący się kwintet szczypiec. Przyciąga naszą uwagę, całkiem jakby wsysała ją w mroczny, podziemny lej.

Ja-my scalamy się nagle, pogrążamy w dziwnej egzystencji zjednoczonej istoty. Istoty zamkniętej w twardej skorupie.

Wzbiera w nas pięciokątna złość. Ten "ja" jest pełen wściekłości.

Jak mogą mówić mi, że jestem wolny!

Cóż za nienaturalnym prawem jest ten Kodeks Wspólnoty! Ta zasa-

da, która "wyzwała" moje plemię od słodkiej dyscypliny, narzuconej przez nasze miłościwe królowe, którą ongiś znaleźliśmy?

My, którzy jesteśmy niebiescy – my, którzy jesteśmy czerwoni – Z pewnością w głębi naszych pulsujących węzłów żółciowych pragniemy służyć! Pracować i walczyć bezinteresownie, by wspomagać dynastyczne ambicje szarych! Czyż nie takie były nasze zwyczaje wśród gwiazd i wcześniej?

Wrodzone zwyczaje wszystkich qheuenów?

Kto ważył się położyć kres tym wspaniałym dniom, wciskając obce idee wyzwolenia pod skorupy zbyt sztywne dla śmiertelności narkotyku zwanego wolnością?

Ludzie ważyli się narzucić nam te myśli, zniszczyć jedność naszych dobrze zarządzanych kopców! Oni są winni. Muszą spłacić twardy jak pancerz dług.

I spłacą go!

Potem będą jeszcze inne rachunki do wyrównania...

Ja-my wijemy się, doświadczając tego, co znaczy przysiąść i biegać na pięciu mocnych nogach. Nogach stworzonych do służby. Nie zwykłemu gniazdu skrytemu za karłowatą tamą, czy jakiejś niezmiernie abstrakcji, takiej jak Wspólnota, lecz wielkim, szarym matronom, szlachetnym, przepięknym i silnym.

Dlaczego to jaskrawe wrażenie przepływa przez nasz oszołomiony rdzeń?

To z pewnością fortel Rothenów – ich psioniczne urządzenie – część planu wywarcia wpływu na każdy gatunek z Sześciu. Skłonienia nas oszustwem do spełnienia ich woli.

Nasze-moje pierścienie drżą z zaskoczenia. Mimo tak wielu lat przyjaźni ja-my nie zdawaliśmy sobie dotąd sprawy, że qheueński punkt widzenia jest tak dziwaczny!

Nie dziwaczniej szy jednak niż następne doznanie, które wdziera się do naszej wspólnej świadomości.

Tętent galopujących kopyt.

Gorący oddech suchych stepów.

Płonący ogień psychiki nie ustępującej egocentryzmem żadnemu z ludzi.

Teraz, ja jestem urrish-ka! Samotna i dumna, jak w dniu, gdy wychyńłam z trawy jako niewiele

więcej nit zwierzę. Niespokojna, lecz polegająca na sobie.

Mogę przyłączyć się do plemienia lub klanu, który adoptuje mnie na równinach.

Mogę słuchać naczelniczki, gdyż w życiu istnieją hierarchie, którym trzeba się podporządkować.

W głębi duszy jednak służę tylko jednej pani. Sobie!

Czy ludzie potrafią odgadnąć, jak ich wstrętny zapach drażni błony mego nozdrza? To fakt, że są dobrymi wojownikami i kowalami. Sprowadzili na Jijo piękną muzykę. Nie sposób temu zaprzeczyć.

Można jednak sobie wyobrazić, o ile lepszy byłby ten świat bez nich.

Przed ich przybyciem wywalczyliśmy sobie wysoką pozycję. Od równin aż po ogniste szczyty gór wyciągałyśmy nasze szyje wyżej niż cała reszta mieszkańców Jijo, aż te dwunogi ściągnęły nas w dół i zrobiły z nas jeden gatunek spośród Sześciu.

Co gorsza, ich wiedza przypomina nam – (mnie!) – jak wiele utraciliśmy. Jak wiele zapomniano.

Codziennie każą mi myśleć o tym, jak krótkie i nędzne musi być moje życie tutaj, na tej wirującej kuli błota, gdzie zewsząd otaczają mnie gorzkie oceany...

Pełna oburzenia narracja ucieka galopem poza nasz zasięg. Umyka nam jej rozszłoszczony wątek, lecz jego miejsce zajmuje inny, narzucony z zewnątrz przez siłę, której pulsowanie wypełnia małą górską dolinkę.

Ten rytm znacznie łatwiej jest śledzić. Jest to powolna kadencja, w której trudno jest wzbudzić gniew, lecz gdy już się to stanie, wydaje się, że powstrzymać go może tylko śmierć.

To rytm, którego nie powinno się przyspieszać. Niemniej wzywa nas on...

Wzywa, byśmy się zastanowili, jak często szybsze gatunki prowokują biednych, cierpliwych hoonów,

jak biegają wokół nas,

jak często wydaje się, że celowo mówią szybko,

jak przydzielają nam najniebezpieczniejsze zadania,

każą nam w samotności stawiać czoło morzu, choć każdy zaginiony statek odbiera nam setkę bliskich, rozdzierając nasze małe rodziny dręczącym bólem.

Ludzie i ich śmierzące parowce. Zachowali dla siebie swe umiejętności. Udawali, że się nimi dzielą, ale w rzeczywistości tego nie robili. Któregoś dnia zostawią nas tu, żebyśmy zgnili, a sami odlecą statkami zrobionymi z czystego, białego światła.

Czy powinno się na to pozwolić? Czy istnieją sposoby, by kazać im, żeby za to zapłacili?

Panuje zamieszanie.

Jeśli te zgubne przekazy były przeznaczone dla każdego gatunku oddzielnie – żeby wywołać w nich agresję – dlaczego my-ja je odbieramy? Czy Rotheni nie powinni wycelować ich tak, by każdy szczerp usłyszał tylko jeden temat?

Może ich maszyna jest uszkodzona albo słaba. A może to my jesteśmy silniejsi, niż im się zdawało. Uwolniwszy się od hoonńskiego rytmu, dostrzegamy, że zostały jeszcze dwie warstwy gorzkiej pieśni. Jedna jest niewątpliwie przeznaczona dla Ziemi. Jej tematem jest cześć. Cześć i duma.

Jesteśmy doskonalsi. Inni się specjalizują, ale my potrafimy wszystko! Wybrani i wychowani przez potężnych Rothenów, powinniśmy być najwięksi, nawet wśród rozbitków na tym stoku barbarzyńców.

Jeśli pokażemy im, gdzie jest ich miejsce, pozostali mogą się nauczyć służebnych ról...

My-ja przypominamy sobie pewien zwrot. "Bezpośrednia transmisja empatyczna". Metoda używana przez galaktyczną naukę od ponad pół miliarda lat.

Wiedza sprawia, że wieloczęściowy strumień głosów wydaje się nam bardziej sztuczny, blaszany, bliski nawet autoparodii. Rzecz jasna, przekaz miało wzmocnić nasze Święte Jajo, w chwili, gdy

byliśmy najbardziej podatni. Mimo to trudno sobie wyobrazić, by podobne bzdury znalazły podatny grunt.

Czy naprawdę sądzili, że damy się na to nabrać?

Do naszej świadomości dociera inny fakt: Nie ma warstwy przeznaczonej dla kołowców! Dlaczego? Czemu pominięto g'Keków? Czy ze względu na ich oczywistą nieprzydatność w programie eksterminacyjnej wojny?

Czy też dlatego, że wśród gwiazd są już wymarli? Pozostaje jeden rezonans. Perkusyjny rytm przypominający uderzenia młota o stopy sztywnych, okrągłych rur. Pogłos, którego wycie wydaje się tej złożonej jaźni niesamowicie znajome.

A jednak pod pewnymi względami ten przekaz jest najbardziej obcy ze wszystkich.

KAPLAŃSKA DEKLARACJA MAKROJESTESTWA PŁYNAĆCA WPROST Z ORACYJNEGO SZCZYTU WŚCIEKŁEJ WROGOŚCI ŚWIADOMEGO ID.

ODPOWIEDŹ = ZAPRZYSIĘŻONE POŁOŻENIE KRESU OSOBISTEJ ZNIEWADZE! NIECH SPRAWCÓW (ZIEMIAN) SPOTKA UNICESTWIENIE...

Kulimy się zatrwożeni. Ta egomania jest bez porównania większa niż w pozostałych przekazach, nawet tych, które były skierowane na ursy i ludzi! A przecież owa transmisja jest wymierzona w trackich!

Czy widzicie, co się dzieje, moje pierścienie? Czy to jest posmak dumnej samowoli, która płynęła ze zniewalających, despotycznych to-rusów? Tych tyrańskich psychik, które ongiś dominowały nad naszymi pierścieniami poznawczymi? Władczych kołnierzy, które założyciele kolonii trackich celowo porzucili, uciekając na Jijo?

Czy taki smak miała uraza dla tych wyniosłych Jophurów? (Tak, zadrżycie, słysząc tę nazwę!)

Potężnych istot, które wciąż krążą wśród gwiazd, podobne do nas. Pierścieniowych kuzynów, których woskowymi rdzeniami władają monomaniakalne bredzenia.

Jeśli tak, to dlaczego te tyrady tak mało znaczą dla naszych wielobarwnych segmentów? Gdy już wiemy, czym są, dlaczego wydają się tak banalne? Tak mało przekonujące?

Demonstracja dobiega końca. Wszystkie drażniące emisje cichną, gdy w obcym urządzeniu kończy się moc. Nie szkodzi. Znamy już przeznaczenie tej plątaniny kabli i kuł. Miała siać truciznę, którą wzmocniłoby i uwiarygodniło przetransformowanie przez Jajo.

Na całej łące kipi gniew wywołany tym bluźnierstwem, tym szczeniackim odwołaniem się do naszych najnędrniej szych resentymentów. Namiętności, które stały się archaiczne jeszcze przed pojawieniem się Jaja.

Czy macie o nas aż. tak złe zdanie, gwiezdni władcy? Czy sądzicie, że damy się napuścić na wykonanie za was brudnej roboty?

Dostrzegamy, że tłum skupia się ponownie – pomrukująca, gniewna ciżba gardząca kołyszającymi się z sykiem robotami. Ludzie, ursy i pozostali swobodniej mieszają się teraz ze sobą. Łączy ich oszałamiające uniesienie, całkiem jakby Sześciu przeszło pomyślnie przez strasz-1 liwą próbę, która uczyniła ich silniejszymi i bardziej zjednoczonymi niż' kiedykolwiek.

Czy to najgorsze, co mogą nam zrobić?

"Ja" kilkakrotnie usłyszałem, jak zadawano to pytanie.

Tak, moje pierścienie. Nasuwa nam się myśl, że Polana jest jedynie maleńką częścią Stoku, a my, tu obecni, stanowimy tylko fragment Wspólnoty.

Czy to najgorsze, co mogą nam zrobić?

Ach, gdyby tylko tak było.

Sara

Urunthai lubiły podróżować szybko i z niewielkim obciążeniem, nie objuczając swych osłów bardziej niż to konieczne. Do tego wierzyły w Ścieżkę Odkupienia i nie aprobowały ksiązek.

Bibliotekarze nie mieli szans.

Mimo to trójka odzianych na szaro archiwistów protestowała rozpaczliwie, ujrawszy późnym popołudniem ognisko. Dwaj ludzie i ich szympan! pomocnik szarpali gorączkowo więzy, błagali, prosili i próbowali rzucić się na zapieczętowane woskiem skrzynie, które mieli odwieźć w bezpieczne miejsce.

Sznury uratowały im życie. Pomalowane strażniczki Urunthai z naciągniętymi arbaletami nie zawahałyby się przed zastrzeleniem garstki ziemistoskórych dozorców ksiązek.

– Luwicie ogień? – szydziła z nich jedna z wojowniczek w mocno akcentowanym anglicu. – Ogień oczyszcza. Sfała offady. To sano noże zrowić z ciałen. Ludzkie ciało fali się wardze fajnie.

Bibliotekarzom pozostał tylko bezgłośny płacz, gdy płomienie ogarnęły wosk, a potem rozpadły się drewniane skrzynie, z których wysypały się tomy trzepoczące kartami jak umierające ptaki. Papierowe stronicy zapłonęły niczym przelotne meteory, oddając wypisaną farbą drukarską mądrość, którą przechowywały przez stulecia.

Sara cieszyła się, że nie widzą tego Lark ani Nelo.

Podczas Wielkiego Drukowania i później wykonano kopie wielu tekstów. Strata może nie być tak poważna, jak by się zdawało.

Jak długo jednak przetrwają owe duplikaty w epoce pełnej zaślepionych sekt i krucjat, z których każda przekonana jest o własnym monopolu na prawdę?

Nawet jeśli gwiazdni bogowie nie zburzą Biblos ani nie zmuszą wysadzaczy, by zrobili to za nich, w miarę dalszego rozpadu więzi społecznych fanatycy podobni do Jopa i UrKachu staną się coraz liczniejsi i śmielsi.

Całkiem jakby dla zilustrowania jej myśli, przed zachodem słońca do obozu wjechał szwadron towarzyszy Jopa: tuzin mężczyzn o surowym wyglądzie, uzbrojonych w łuki i miecze. Zmoczyli w oazie swe wysuszone gardła, nie odwracając się plecami do członkiń plemienia UrKachu. Z satysfakcją spoglądali na stos umierających ksiązek.

Obie grupy wiąże wspólny cel. Skończenie z literackimi "marnościami". Zastąpienie obecnych mędrców. Zbliżenie się do nakazów zwojów.

Później, gdy wszyscy zdecydowanie wkroczyliśmy na ścieżkę, będziemy mogli wrócić do wzajemnego wyrzynania się i zastawiania zasadzek, by określić, kto jest naczelnym drapieżnikiem w zapadającej się piramidzie odkupionych zwierząt.

Płomień przygasł, sypiąc skrami i zwiniętymi skrawkami papieru, które szybowyły unoszone wirującymi prądami powietrznymi. Stojący obok Sary nieznajomy pochwycił jakiś strzępek papieru w dłoń, jak gdyby chciał przeczytać, co ongiś było na nim napisane. Być może rozpoznał w tym coś, co w rozdzierający serce sposób było podobne do niego. Kiedyś wymowne, teraz utraciło magię języka.

Bibliotekarze nie byli jedynymi, którzy przyglądali się temu z przerażeniem na usmarowanych sadzą twarzach. Młoda para hoońskich pielgrzymów padła sobie w objęcia, burkocząc tren pogrzebowy, całkiem jakby wśród brudnych węgli leżał kolec sercowy kogoś bliskiego.

Kilku qheuenów patrzyło na zniszczenia z wyraźną zgrozą wraz z ^ o czym nie wolno zapomnieć – garstką pogrążonych w smutku uiy skich handlarek.

Smród dymu kazał jej pomyśleć o ciemności. Takiej, która ni kończy się świtem.

– No, dobra. Wszyscy słuchać! Oto plan! | To Jop zmaćił pełną przygnębienia ciszę. Zbliżył się w towarzystwa UrKachu, Ulgor oraz ponurego, spieczonego słońcem mężczyzny, którego

wyraziste rysy i twarde mięśnie sprawiały, że wydawał się niemal członkiem innego gatunku niż wydelikaceni, wiecznie pogrążeni w ksiąg, żkach bibliotekarze. Nawet Urunthai traktowały tego człowieka z nie chętnie okazywanym szacunkiem. Pomalowane wojowniczkami pośpiesz nie schodziły mu z drogi. Sarze wydawało się, że skądś go zna.

– Wyruszymy w dwóch grupach – ciągnął Jop. – Większa ud. się na Bagno Słonego Kopyta. Jeśli jakieś plutony milicji usłyszą o tę akcji i zechce im się urządzać pościg, to będzie pierwsze miejsce, któn sprawdzą, więc niektórzy z was mogą zostać za jakiś tydzień "uratowa ni". Nie mamy nic przeciwko temu. Mniejsza grupa będzie posuwa się szybciej. Ludzie ruszą wierzchem, zmieniając osły co pół midury Nie wywołujcie kłopotów i nawet nie myślcie o wymknięciu się p zmierzchu. Urunthai to znakomite tropicielki i nie zwiejecie daleko. S pytania?

Gdy nikt się nie odezwał, Jop wycelował palec w nieznanego.

– Hej, ty. Tam.

Wskazał na miejsce, w którym przy stawie przywiązano w pojedyn czym szeregu największe, najsilniejsze zwierzęta. Nieznajomy zawału się, spoglądając na Sarę.

– W porządku. Może pojechać z tobą. Nie wolno nam dopuści* żeby nasz zakładnik zachorował, he? – Jop zwrócił się w stronę Sar;

– Sądzę, że zechcesz opiekować się nim jeszcze przez pewien czas.

– Jeśli będę mogła zabrać moje bagaże. I oczywiście Prity. Czwooro przewodników naradziło się szeptem. UrKachu wyraziła s] kiem sprzeciw, lecz Ulgor opowiedziała się po stronie ludzi, nawet jeś oznaczało to poświęcenie części łupów zrabowanych handlarkom z k. rawany. Z grzbietów dwóch osłów zrzucono towary, żeby zrobić mię sce.

Kolejna scysja wybuchła z chwilą, gdy nieznanomy, który dosiai

przydzielonego mu zwierzęcia, niemal ciągnąc stopy po ziemi, odmówił oddania cymbałów. Ścisłał instrument pod pachą. Podenerwowana UrKachu parsknęła z niesmakiem, lecz ustąpiła.

Siedząca na silnym osiołku Sara obserwowała, jak mężczyzna o wydatnych rysach twarzy wskazał gestem na Kurta Wysadzacza, który siedział obok swego bratanka, w milczeniu przyglądając się biegowi wypadków.

– Co do ciebie, panie wysadzaczu – Jop zwrócił się do Kurta z pełnym szacunku ukłonem – obawiam się, że moi przyjaciele chcą ci zadać kilka pytań, a to nie jest odpowiednie miejsce, by skłonić cię perswazją do udzielenia na nie odpowiedzi.

Ignorując ukrytą groźbę, siwobrody mężczyzna z Tarek wziął swój tornister i podszedł do karawany osłów. Jomah podązał tuż za nim. Gdy dwie Urunthai sięgnęły po bagaż. Kurt ostrzegł je cichym, ochrypłym głosem:

– Zawartość jest... delikatna.

Cofnęły się. Nikt się nie wtrącał, gdy wysadzacz wybrał juczne zwierzę, zrzucił z jego grzbietu łupy i przywiązał na ich miejsce tornister.

Reszta "szybkiej grupy" składała się z równej liczby ludzkich radykałów i wojowniczek Urunthai. Mężczyźni prezentowali się na swych osiołkach niemal równie niezgrabnie jak wysoki nieznanomy. Czuli się na nich jeszcze gorzej od niego. Wielu z pewnością jechało pierwszy raz w życiu.

– A ty się z nami nie wybierasz? – zapytała Jopa Sara.

– Zbyt długo nie byłem na farmie – odpowiedział. – Poza tym mam jeszcze nie załatwioną sprawę w Dolo. Trzeba się zająć pewną tamą, im prędzej, tym lepiej.

Sara szarpnęła głową, lecz to nie niszczycielskie zamiary ujawnione przez Jopa sprawiły, że zamrugała nagle powiekami. Dostrzegła coś nad jego ramieniem: strumień pęcherzyków powietrza na powierzchni stawu.

Brzeszczot. Wciąż jest pod wodą i wszystko słyszy!

– Nie martw się, dziewczuszko – uspokoił ją Jop, źle rozumiejąc przelotny wyraz oszołomienia na jej twarzy. – Dopilnuję, żeby twój tata się wydostał, nim ta przeklęta budowla wyleci w powietrze.

Nim Sara zdążyła odpowiedzieć, wtrąciła się UrKachu.

– Nastal już (zdecydowanie najwyższy) czas, by skończyć ze zwlekaniem i przystąpić do akcji! Ruszajmy!

Jeden z jej ogonów omiółł zad pierwszego z osłów. Szereg ruszył z wysiłkiem naprzód.

Sara ześliznęła się nagle z siodła i zaparła nogami. Jej wierzchowiec potknął się zdezorientowany. W obie strony karawany przebiegła fala nagłych szarpnięć. Jeden z nieokrzesanych mężczyzn spadł na ziemię. Niektóre Umnthai parsknęły rozbawione.

– Nie! – oznajmiła z zawziętą determinacją Sara. – Najpierw chcę się dowiedzieć, dokąd jedziemy.

– Proszę, panno Saro – nalegał cichym głosem Jop. – Sam tego nie wiem...

Przerwał, zerkając nerwowo do tyłu, gdy zbliżył się łowca o twardym jak krzemień spojrzeniu.

– Na czym polega problem?

Jego niski głos brzmiał dziwnie kulturalnie, kontrastując z grubiańskim wyglądem. Sara spojrzała w jego spokojne, szare oczy.

– Nie wsiądę, dopóki mi nie powiecie, dokąd jadę. Łowca uniósł brwi.

– Możemy cię przywiązać do grzbietu. Sara roześmiała się.

– Tym małym osiołkom wystarczająco trudno jest udźwignąć dobrowolnego jeźdźca, a co dopiero takiego, który się rzuca i stara przewrócić biedne zwierzę. A jeśli spętacie mnie jak worek kartofli, wstrząsy połamią mi żebra.

– Być może jesteśmy gotowi podjąć to ryzyko – zaczął, lecz nagle zmarszczył brwi, gdy nieznajomy. Kurt i Prity również ześliznęli się z osłów i skrzyżowali ręce.

Wojownik westchnął.

– Co ci to da, że będziesz wiedziała z góry? Im więcej mówił, tym bardziej znajomy wydawał się jego głos. Sara czuła pewność, że już go kiedyś spotkała!

– Mój podopieczny wymaga pomocy medycznej. Jak dotąd udawało się nam powstrzymać infekcję za pomocą specjalnych maści produkowanych przez naszego traeckiego farmaceutę. Ponieważ nie planujecie dołączyć er-jego rydwanu do waszej "szybkiej grupy", lepiej żebyśmy poprosili Pzore, by dał nam zapas na drogę.

Mężczyzna skinął głową.

– To się da załatwić.

Gestem nakazał nieznajomemu, aby podszedł do Pzory.

Człowiek z kosmosu zdjął rewqa, którym niedawno zastąpił opatrunki z gazy. Odsłonił ziejącą ranę na skroni. Kilku pustynnych ludzi syknęło na jej widok i wykonało magiczne gesty, mające odegnać pecha. Symbiont nieznajomego połączył się z rewkiem Pzory w splątaną kulę, wymieniając enzymy, on sam zaś zaczął szybko gestykulować do trackiego – Sarze wydało się, że uchwyciła krótki fragment piosenki – nim pochylił się, by pozwolić na oczyszczenie i opatrzenie rany.

Przemówiła ponownie.

– Ponadto zapas dostarczony przez Pzore będzie się nadawał do użytku jedynie przez kilka dni, lepiej więc znajdźcie sposób, by zabrać nas w miejsce, gdzie przebywa inny specjalista od farmacji, gdyż w przeciwnym razie wasz zakładnik stanie się bezużyteczny. Gwiazdni bogowie nie zapłacą wiele za martwego człowieka, bez względu na to, czy jest ich przyjacielem czy wrogiem.

Renegat przyglądał się długo Sarze, poddając ją ocenie, po czym odszedł, by naradzić się z

UrKachu i Ulgor. Gdy wrócił, uśmiechał się półgębkiem.

– Będzie to oznaczało lekkie nadłożenie drogi, lecz niedaleko od miejsca naszego przeznaczenia znajduje się miasteczko dysponujące kimś takim. Postąpiłaś słusznie, zwracając na to uwagę. Następnym razem rozważ możliwość prostego wypowiedzenia na głos swych niepokojów bez przybierania podobnie konfrontacyjnej postawy.

Wbiła w niego wzrok, po czym parsknęła śmiechem. Wydawało się, że napięcie nieco osłabło, gdy mężczyzna zawtórował jej basowym chichotem, który przypominał Sarze jej pierwsze studenckie dni pod wiszącą w górze pięścią z kamienia.

– Dedinger – wydyszała bezgłośnie jego nazwisko. Uśmiech wciąż był blady, wzgardliwie gorzki.

– Zastanawiałem się, czy mnie rozpoznasz. Byliśmy zatrudnieni w różnych katedrach, choć śledziłem twoją pracę, odkąd wygnano mnie z rajy.

– Rajy, który -jak sobie przypominam – chciałeś zniszczyć. Wzruszył ramionami.

– Trzeba było przystąpić do działania, zamiast próbować najpierw osiągnąć konsensus. Tmdno jednak było złamać kolegialne nawyki. G(byłem już gotów, zbyt wiele osób znało moje przekonania. Obserwowi no mnie dzień i noc, aż do chwili wygnania.

– Uch, fatalnie. Czy w ten sposób chcesz uzyskać drugą szansę – Wskazała ręką na ognisko.

– W rzeczy samej. Po latach spędzonych w głuszy na nauczani! trzódki upadłych – ludzi, którzy posunęli się najdalej na ścieżce – zdobyłem wystarczająco wiele umiejętności...

Przenikliwy, niecierpliwy gwizd UrKachu nie kojarzył się z żadnym językiem, lecz jego nerwowa natarczywość była łatwa do zrozumienia Dedinger ponownie uniósł brwi.

– Czy możemy już ruszać?

Sara zastanowiła się, czy nie spróbować raz jeszcze nakłonić go d(głośnego podania nazwy miejsca, do którego się udawali. Dedinga jednak był obłąkany, a nie głupi. Jeśli będzie nalegała, może wzbudził podejrzenia albo nawet zdradzi Brzeszczota.

Z przyzwalającym wzruszeniem ramion wdrapała się z powrotem n< cierpliwego osiołka. Przyglądający się jej zmrużonymi oczyma niezna jomy zrobił to samo. Kurt i Prity poszli za jego przykładem.

Reszta rozbitków z pechowej karawany sprawiała wrażenie, że lituj się nad nimi, a zarazem czują ulgę, że są mniej ważni dla Urunthai. Gd szybka grupa opuszczała oazę, kierując się na południe, z gasnącym ogniska były gorzkie odory zmieszane z kurzem i ostrymi, zwierzęcyrr woniami.

Sara rzuciła spojrzenie do tyłu, na skąpany w księżycowym blask staw.

Czy słyszałeś coś z naszej rozmowy. Brzeszczot? A może spałeś Albo była to dla ciebie tylko zniekształconą plama nieokreślonego hałasu?

Czego zresztą mógł dokonać samotny niebieski qheuen w samy] środku spalonej słońcem równiny? Najwięcej szans dałoby mu zaczek< nie w pobliżu stawu na nadejście pomocy.

Za plecami Sary rozległ się pomruk zwierząt. Druga ekipa ruszyi w drogę, posuwając się wolniej tą samą trasą.

To ma sens. Większa banda zadcpcze ślady mniejszej. W pewny] punkcie UrKachu skręci, pozwalając, by ewentualni ścigający podąży za główną grupą.

Wkrótce znaleźli się sami na wyżynnym stepie. Urunthai kłusowały obok nich, zwinne i gardzące niezgrabnymi ludźmi, którzy krzywili się z bólu, wlokąc prawie nogi i szorując palcami po ziemi. Nie chcąc być przedmiotem drwin, ludzie zaczęli ześlizgiwać się ze swych wierzchowców, by przebiec miarowymi susami odcinek kilku strzałów z łuku, nim wskoczyli z powrotem na osły. To zamknęło usta drwiącym ursom. Ponadto wydawało się, że to dobry sposób na uniknięcie otarć od siodła.

Sara niestety wiedziała, że brakuje jej kondycji, by mogła spróbować czegoś w tym rodzaju.

Jeśli wyjdę z tego wszystkiego z życiem, będę musiała popracować nad formą – pomyślała nie po raz pierwszy.

Mężczyzna o oczach barwy łupku biegł obok Sary przez kilka dni, uśmiechając się do niej wymownie i z przekąsem. Był tak żylasty i silny, że zdumiewało ją, iż go rozpoznała. Gdy poprzedni raz widziała uczonego Dedingera, był on bladym intelektualistą w średnim wieku, z brzuszkiem, specjalistą od najbardziej starożytnych zwojów i autorem tekstu, który miała w swym lekkim podręcznym bagażu. Ongiś zaszczycono go wysokim statusem i zaufaniem, lecz jego ortodoksyjny fanatyzm stał się zbyt skrajny nawet dla tolerancyjnej Najwyższej Rady.

W tych czasach mędrcy głosili skomplikowane credo podzielonej lojalności, skierowanej w równej mierze pod adresem Jijo, jak i nielegalnego planu przodków. Równowaga była napięta. Niektórzy rozwi- kływali problem w ten sposób, że wybierali jedno rozwiązanie kosztem drugiego.

Brat Sary był całkowicie oddany planecie. Lark dostrzegał w miliard- doletnich kodeksach galaktycznych mądrość i sprawiedliwość. Żadna wyimaginowana "ścieżka odkupienia" nie była dla niego usprawiedliwieniem złamania tych zasad.

Dedinger reprezentował drugą skrajność. Mało go obchodziła ekologia czy ochrona gatunków. Dbał jedynie o ścieżkę zbawienia obiecaną przez zwoje. Poszukiwanie niewinnej czystości jako drogi ku lepszym dniom. Być może też obecny kryzys był dla niego sposobnością do odzyskania utraconych zaszczytów.

Sara obserwowała wygnanego mędrca w księżycowym blasku. Żylasty mężczyzna poruszał się z gracją, czujny, skupiony i silny – żywe świadectwo opłaczalności prostszego stylu życia, który propagował.

To pozorna prostota – pomyślała. Świat potrafi na niezliczone sposoby nie być tym, czym się wydaje.

Urunthai po chwili zwolniły, po czym zatrzymały się, by coś zjeść i odpocząć. Te, które miały w torbach męczów albo larwy, potrzebowały co jakąś midurę ciepłej krwi simii. Ludzcy łupieżcy irytowali się i skarżyli, gdyż woleli miarowe tempo od uryjskiej metody przeplatającej pośpiech z odpoczynkiem.

Chwilę po drugiej z tych przerw UrKachu skręciła i poprowadziła grupę na skalny występ, który biegł mniej więcej na południowy wschód niczym kręgosłup jakiegoś skamieniałego lewiatana. Trudniejszy teren zmusił ich do zwolnienia tempa. Sara wykorzystała to, by zsiąść z osioł-ka i dać szansę odpoczynku zwierzęciu oraz własnemu siedzeniu. Ponadto ruch mógł trochę pomóc jej zziębniętym, zeszywniałym stawom. Prawą rękę trzymała jednak opartą o siodło, na wypadek gdyby potknęła się w ciemności o jakiś niewidoczny kamień.

Gdy wzeszedł drugi księżyc, wędrownica stała się odrobinę łatwiejsza. Góry majaczące w srebrzystej poświacie Torgen wydawały się wyższe niż kiedykolwiek. Północne lodowce spijały padające z ukosa światło satelity, które odbijało się w nich osobiwą, błękitną luminancją.

Nieznajomy śpiewał przez chwilę delikatną, słodką melodię, która kazała Sarze pomyśleć o samotności.

Jestem wyspą osobną daleko na morzu odludnym i najbliższy lądu skraweczek to myśl o tobie, przecudna.

A gdybym tak był chondrytem co leci sam jeden swobodnie, czy byłabyś statkiem-zbieraczem i przyleciała tu po mnie?

Był to anglic, choć Sara nigdy nie słyszała podobnego dialektu, pełnego dziwnych słów. Było wątpliwe, czy człowiek z gwiazd sam rozumiał wiele. Niemniej śpiewane strofy z pewnością wywoływały w jego umyśle silne uczucia.

Czy jestem lodem, co gasi twe pragnienie i w twoich pierścieniach się jarzy? Twój pocałunek, anielski fantomie, planety skrzydłami obdarzy...

Recital dobiegł końca, gdy zbliżyła się kłusem UrKachu, by skrytykować tę nieznośną, ziemską kocią muzykę. Nozdrze miała rozwarłe. Sara uznała, że to jej osobista opinia, gdyż żadnej z pozostałych urs śpiew najwyraźniej nie przeszkadzał. Muzyka była jedną z nielicznych spraw, co do których oba gatunki na ogół się zgadzały. Niektóre ursy mawiały nawet, że za to, iż sprowadzili na Jijo wiolus, mogą niemal wybaczyć Ziemianom ich smród.

Jak na cioteczkę, UrKachu była wyjątkowo przewrażliwiona.

Człowiek z kosmosu umilkł. Grupa wędrowała dalej w posępnej ciszy, która mąciła tylko stukot kopyt o nagą skałę.

Następny postój celem pokrzepienia się krwią urządzono po osłoniętej przed wiatrem stronie wyniosłych płyt, które mogły być naturalnymi formacjami skalnymi, lecz w mroku wyglądały jak ruiny starożytnej fortecy zburzonej przez jakąś dawną katastrofę. Jeden z ogorzałych pustynnych ludzi dał Sarze kromkę zgrzytającego w zębach chleba oraz kawał sera z mleka zaroślowej krowy. Był on zleżały, lecz wystarczająco smaczny dla kogoś, kto przekonał się, że jest głodny jak wilk. Racja wody rozczarowała jednak Sarę. Ursy nie widziały powodu, by dźwigać jej zbyt wiele.

Okolo północy grupa musiała przeprowić się brodem przez szeroki, płytki strumień płynący suchą, pustynną doliną. Zawsze przygotowana Ulgor założyła wodoszczelne kaloszki i przeszła suchą nogą. Pozostałe uryjskie buntowniczkę przelazły przez potok u boku ludzi i zwierząt, po czym powycierały sobie nawzajem nogi szmatami. Potem Urunthai poczuły ochotę, by trochę pobiegać, aż całkowicie strzepnęły wilgoć z porastającego ich kostki włóknistego futra.

Gdy tempo ponownie spadło, Sara ześliznęła się z wierzchowca, by przejść kawałek na piechotę. Z jej prawej strony rozległ się cichy głos.

– Chciałem ci powiedzieć, że czytałem twoją pracę o wyradzaniu się języków pochodzących od indoeuropejskiego.

Był to zamieniony w myśliwego uczonego, Dedinger, który maszerował po drugiej stronie jej osła. Przyglądała mu się przez chwilę, nim odpowiedziała:

– Jestem zaskoczona. Miała pięćdziesiąt stron i mogłam sobie pozwolić na odbicie tylko pięciu fotokopii, z których jedną zatrzymałam dla siebie.

Dedinger uśmiechnął się.

– Mam jeszcze w Biblos przyjaciół, którzy od czasu do czasu przysyłają mi ujmujące prezenty. Co zaś do twojej pracy, to choć podobały mi się zawarte w niej pomysły odnoszące się do gramatycznego wzmocnienia w przedsięwziętych klanach kupieckich, obawiam się, że nie mógłbym zaakceptować twojej ogólnej teorii.

Sarze nie wydało się to zaskakujące. Wyciągnięte przez nią wnioski pozostawały w sprzeczności ze wszystkim, w co wierzył.

– Na tym polega nauka, na wzajemnych ustępstwach. Żadnych dogmatycznych prawd. Żadnej niezmiennej, przekazanej przez przodków mądrości.

– W przeciwieństwie do mojego niewolniczego posłuszeństwa kilku starożytnym zwojom, do których napisania nie przyłożył ręki żaden człowiek? -Mężczyzna o twardym spojrzeniu roześmiał się. – Sądzę, że cała sprawa polega na tym, w jakim kierunku chcemy zmierzać. Nawet wśród konserwatywnych Galaktów nauka polega na powolnym ulepszaniu modeli świata. Jest zorientowana na przyszłość. Twoje dzieci będą wiedziały więcej odciebie, więc prawdy, którą znasz, nigdy nie można nazwać "doskonałą". To jest w porządku, jeśli twe przeznaczenie leży w górze, S aro. Ale tradycja i niezmiennie credo są lepsze, jeśli zmierza się wąską, świętą ścieżką w dół, ku zbawieniu.

W tym przypadku spory i niepewność zdezorientują tylko twoją trzódkę.

– Twoja trzódka nie sprawia wrażenia zdezorientowanej – przyznała.

Uśmiechnął się.

– Odniosłem pewne sukcesy w nawracaniu tych twardych ludzi na prawdziwą ortodoksję.

Większość roku spędzają na Równinie Ostrego Piasku, gdzie zastawiają pułapki na dzikie kolcoleniwce żyjące w jaski niach pod wydmami. Większość członków plemienia nie umie czytać ani pisać, a swe nieliczne narzędzia wykonują ręcznie. Posunęli się już daleko na ścieżce. Inne grupy może być trudniej przekonać.

– Na przykład cech wysadzaczy? Były uczoney skinął głową.

– To tajemniczy klan. Fakt, że podczas obecnego kryzysu wahali się, czy wykonać swój obowiązek, budzi niepokój.

Sara podniosła wzrok ku Kurtowi i Jomahowi. Starszy wysadzacz chrapał na truchtającym swobodnie osiołku, a jego bratanek znów prowadził jednostronną konwersację z nieznanym, który uśmiechał się i kiwał głową do nie przestającego gadać młodzieńca. Człowiek z gwiazd stanowił idealne, bezkrytyczne audytorium dla nieśmiałego chłopca, który dopiero uczył się sprawnie wysławiać.

– Może uważają, że mogą wysadzić wszystko za jednym zamachem – zauważyła Sara. – Potem będą musieli pracować na swoje utrzymanie, tak jak wszyscy.

Dedinger chrząknął.

– Jeśli tak, to czas, by ktoś z całym szacunkiem przypomniał im o ich obowiązkach.

Przypomniała sobie, jak Jop mówił, że zabierze gdzieś Kurta, żeby skłonić go do czegoś "perswazją". W bardziej gwałtownych czasach słowo to miało mrozące krew w żyłach znaczenie.

Możliwe, że nadchodzą takie czasy.

Buntownik o twardym spojrzeniu potrząsnął głową.

– Ale mniejsza o to. Naprawdę chcę podyskutować o twojej fascynującej pracy. Czy masz coś przeciwko temu?

Gdy Sara wzruszyła ramionami, Dedinger mówił dalej przyjaznym tonem, całkiem jakby siedzieli w sali klubowej wydziału w Biblos.

– Przyznajesz, że protoindoeuropejski i wiele innych ludzkich języków macierzystych były bardziej rygorystyczne i racjonalne od dialektów, które rozwinęły się z nich. Jak dotąd się zgadza?

– Tak twierdzą książki dostarczone tu przez "Tabemacie". Dysponujemy jedynie odziedziczonymi danymi.

– A mimo to nie widzisz w tym trendzie oczywistej oznaki upadku? Utraty doskonałości pierwotnych gramatyk stworzonych dla nas przez gatunek opiekunów?

Westchnęła. We wszechświecie mogły istnieć dziwniej sze rzeczy niż abstrakcyjna pogawędka z porywaczem prowadzona pod pustynnym niebem, lecz nie przychodził jej na myśl żaden przykład.

– Struktura tych dawnych języków mogła być wynikiem selektyw-

nego nacisku działającego przez pokolenia. Prymitywne ludy potrzebują sztywnej gramatyki, ponieważ nie dysponują pismem ani innymi sposobami zapobiegania błędom oraz dryfowi językowemu.

– Ach, tak. Twoja analogia z grą w głuchy telefon, w której język o najwyższym stopniu kodu szamana...

– Kodu Shannona. Claude Shannon udowodnił, że każdy komunikat może zawierać środki niezbędne do naprawy błędów, które pojawiają się podczas przekazu. W mówionym języku ta redundancja często stanowi część zasad gramatycznych: przypadków, deklinacji, modyfikatorów i tak

dalej. Wszystko to są podstawy teorii informacji.

– Hm. Może dla ciebie. Muszę przyznać, że nie potrafiłem zrozumieć twoich matematycznych wywodów. – Dedinger zachichotał sucho. – Załóżmy jednak, że masz w tej sprawie rację. Czy taka sprytna, zdolna do autopoprawek struktura nie dowodzi, że owe dawne ludzkie języki zostały w inteligentny sposób zaplanowane?

– Bynajmniej. Tego samego argumentu używano przeciwko biologicznej ewolucji, a potem koncepcji spontanicznego pojawienia się inteligencji. Niektórym trudno jest uwierzyć, że złożoność może być rezultatem darwinowskiego doboru, lecz tak właśnie jest.

– A więc wierzysz...

– Że to samo zdarzyło się z przedpiśmiennymi językami na Ziemi. Kultury dysponujące silniejszymi gramatykami mogły zachowywać spójność na większą odległość i przez dłuższy czas. Według niektórych dawnych językoznawców Indoeuropejczycy zamieszkiwali tereny od Europy aż po Azję Środkową. Sztywna doskonałość ich języka podtrzymywała jedność kulturową i więzi handlowe na dystans znacznie większy od tego, jaki ktokolwiek mógł pokonać w ciągu całego życia. Wiadomości, plotki albo ciekawe opowieści mogły wędrować powoli, przekazywane ustnie, przez cały kontynent i dotrzeć do celu po stuleciach, niemal nie zmienione.

– Podobnie jak w grze w głuchy telefon.

– O to mniej więcej chodzi.

Sara złapała się na tym, że opiera się o osła. W udach i łydkach czuła dreszcze ze zmęczenia. Nie wiadomo było, co wybrać: obolałe mięśnie, jeśli będzie iść na piechotę, albo poobijanie kości ogonowej, gdy ponownie dosiądzie wierzchowca. Ze względu na dobro małego zwierzęcia wybrała to pierwsze.

Dedinger z pasją pograżył się w debacie.

– Jeśli wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą, jak możesz zaprzeczać, że te dawne gramatyki były doskonalsze od nieporządných, zdeorganizowanych dialektów, które nastąpiły później?

– Ale co to znaczy "doskonalsze"? Bez względu na to, czy mowa o protoindoeuropejskim, protobantu czy protosemickim, każdy z tych języków służył potrzebom konserwatywnej, praktycznie niezmiennej kultury nomadów w ciągu setek czy tysięcy lat. Te potrzeby zmieniły się jednak, gdy nasi przodkowie poznali rolnictwo, metale i pismo. Postęp zmienił wyobrażenie o celach języka.

Surowe rysy mężczyzny złagodził na chwilę wyraz szczerzej dezorientacji.

– A jakież mogłyby być cele języka, jeśli nie podtrzymywanie kulturowej spójności i ułatwianie porozumiewania?

To samo pytanie zadawali uczeni z byłej katedry Dedingera, którzy odrzucili teorię Sary po pierwszym wysłuchaniu, zawstydzając ją przed mędrkami Bonnerem, Taine^{em} i Purofskim. Czyż majestatyczna cywilizacja Pięciu Galaktyk nie udoskonalała swych około dwudziestu standardowych kodów od czasów legendarnych Przodków, mając na względzie jeden cel: ułatwianie przekazów informacji między niezliczonymi gatunkami jej obywateli?

– Istnieje jeszcze inna godna pożądanego cecha – odparła Sara. – Inny produkt języka, na dłuższą metę równie ważny jak spójność.

– A cóż to takiego?

– Kreatywność. Jeśli mam rację, wymaga ona innego rodzaju gramatyki. Całkowicie odmiennego spojrzenia na błąd.

– Takiego, które uważa go za coś pozytywnego. Pożądanego. – Dedinger skinął głową. – Trudno mi było zrozumieć tę część twojej pracy. Twierdzisz, że anglic jest lepszy, ponieważ brak w nim redundan-tnego kodowania. Dlatego w każdym zwrocie czy frazie zakradają się do niego błędy i

dwuznaczność. Jak jednak chaos może sprzyjać wynalazczości?

– Przez obalanie z góry wyrobionych sądów. Pozwalanie, by w rozsądnie brzmiących wypowiedziach pojawiały się nielogiczne, nedorzeczne lub wręcz niewątpliwie błędne stwierdzenia. Na przykład paradoks:

"To zdanie jest kłamstwem", którego nie można w zgodzie z gramatyką | wypowiedzieć w żadnym formalnym języku galaktycznym. Stawiając

ewidentne sprzeczności na równi z najbardziej uświęconymi i powszechnie wyznawanymi sądami, zwodzimy się i zbijamy z tropu. Nasze myśli wypadają z utartego rytmu.

– I to jest dobre?

– W ten sposób osiąga się kreatywność, zwłaszcza u ludzi. By trafić na jeden dobry pomysł, trzeba najpierw zgłosić, poddać dokładnemu badaniu, sprawdzić i odrzucić dziesięć tysięcy idiotycznych. Umysł, który boi się bawić tym, co śmieszne, nigdy nie stworzy nic błyskotliwie oryginalnego: jakiejś absurdalnej koncepcji, którą przyszłe pokolenia uznają za od początku "oczywistą". Jednym z rezultatów był zalew nowych słów. Zasób wyrazów bez porównania większy niż w starożytnych językach. Słowa oznaczające nowe rzeczy, nowe idee, nowe sposoby porównywania i rozumowania.

– I nowe katastrofy. Nowe nieporozumienia – mruknął Dedinger. Sara skinęła głową, przyznając mu rację.

– To niebezpieczny proces. Krwawa przeszłość Ziemi pokazuje, jak wyobraźnia i wiara stają się przekleństwem, jeśli nie towarzyszy im krytyczna ocena. Pismo, logika i eksperyment pomagają zastąpić część naprawiających błędy mechanizmów, które stanowiły element gramatyki. Nade wszystko, dojrzałe osoby powinny być zdolne wziąć pod uwagę najbardziej nieprzyjemną ze wszystkich możliwości: tę, że ich ulubione doktryny mogą okazać się błędne.

Popatrzyła na Dedingera. Czy zrozumie, że był to docinek pod jego adresem?

Były pedagog uśmiechnął się do Sary z przekąsem.

– Czy przyszło pani do głowy, panno Saro, że to ostatnie stwierdzenie można również odnieść do ciebie i twej ukochanej hipotezy? Teraz z kolei Sara skrzywiła się, a potem roześmiała w głos.

– Ludzka natura. Każdy z nas sądzi, że wie, o czym mówi, a ci, którzy się z nim nie zgadzają, są głupcami. Twórcze osoby dostrzegają w lustrze Prometeusza, nigdy Pandorę.

– Pochodnia, którą niosę, przypieka mi czasem palce – odparł ironicznym tonem Dedinger.

Sara nie potrafiła określić, w jakim stopniu ta uwaga miała być żartem. Często łatwiej było jej odczytać uczucia hoońskie czy g'keńskie niż niektórych przedstawicieli własnego gatunku. Niemniej jednak rozmowa

była sprawiała jej przyjemność. Nie prowadziła podobnych już od dosyć dawna.

– Jeśli chodzi o trendy dostrzegalne na Jijo, radzę spojrzeć na nowe rytmiczne powieści publikowane przez niektóre z północnych uryjskich plemion. Albo świeży zalew hoońskiej poezji romantycznej. Albo haiku w drugim galaktycznym pochodzące z Doliny...

Przerwał jej ostry gwizd. Gardłowy nakaz zatrzymania się, który wyrwał się z wyciągniętej do góry szyi UrKachu. Szereg zmęczonych zwierząt stanął nagle, gdy naczelniczka Urunthai wskazała na miejsce położone na północ od kamiennej iglicy. W jej zwężającym się cieniu poleciała wznieść zamaskowane schronienie.

W jej cieniu...

Sara rozejrzała się wokół, mrugając powiekami. Dostrzegła, że noc dobiegła końca. Nad szczytami przesączał się blask świtu przebijający się przez wczesnoporaną mgiełkę. Byli już w górach, a przynajmniej wśród skalistego podgórze. Zostawili za sobą spaloną słońcem Równinę Wamiską. Niestety, znaleźli się też daleko na południe od wydeptanego szlaku wiodącego na Polanę

Zgromadzeń.

Gdy Dedinger przeprosił Sarę i odszedł, by wydać rozkazy swym ludziom, jego dworne zachowanie kontrastowało z nieokrzesanym wyglądem.

– Podobał mi się ten pojedynek na umysły – oznajmił jej z ukłonem. – Być może będziemy mogli wznowić go później.

– Być może.

Choć dyskusja stanowiła przyjemne urozmaicenie, Sara nie wątpiła, że Dedinger poświęciłby ją wraz ze wszystkimi jej przekonaniem na ołtarzu swej wiary. Poprzysięgła sobie, że nie przepuści żadnej okazji, by pomóc swym przyjaciołom uciec od tych fanatyków.

Aha. Stary facet, chłopiec, szympanśica, ranny obcy i intelektualistka w kiepskiej formie. Nawet gdybyśmy zdobyli na starcie wielką przewagę, te ursy i pustynni ludzie złapałoby nas szybciej, niż przekształca się falę sinusoidalną.

Mimo to spojrzała na pomoc, ku wysokim szczytom, wśród których – w ukrytych dolinach – rozgrywały się doniosłe wydarzenia.

Lepiej żebyśmy szybko przeszli do czynu, bo w przeciwnym razie Ifni, Bóg i wszechświat z pewnością ruszą naprzód bez nas.

Asx

Teraz na nas przychodzi kolej, by grozić.

Porządkowi z wysiłkiem powstrzymują rozwścieczony tłum otaczający naszych niegdysiejszych gości kręgiem furii. Ci, którzy nadal kochają obcych, głównie ludzie, tworzą wokół istot z gwiazd ochronny pierścień, podczas gdy bliźniacze roboty unoszą się w powietrzu, wymuszając przestrzeganie strefy buforowej błyskawicami parzącego światła.

Lester Cambel występuje naprzód i gestem obu rąk nakazuje spokój. Hałas cichnie, gdy członkowie tłumy przestają napierać na przeciążonych porządkowych. Wkrótce zapada cisza. Nikt nie chce przeoczyć następnego ruchu w tej grze. Żetonami, które w zależności od naszego szczęścia i umiejętności możemy wygrać bądź przegrać, jesteśmy w niej my, mieszkańcy Jijo.

Lester kłania się rotheńskiemu emisariuszowi. W jednej ręce trzyma stos metalowych płytek.

– Odrzućmy wszelkie pozory – mówi gwiezdnemu bogowi. – Wiemy, kim jesteście. Nie możecie już oszustwem skłonić nas do zbiorowego samobójstwa, wykonania za was brudnej roboty. Gdybyście zaś spróbowali wykonać ją sami, unicestwić wszystkich świadków swej nielegalnej wizyty, nie uda wam się to. Powiększycie jedynie listę swych zbrodni. Radzimy, byście zadowolili się tym, co zabraliście z tego świata, i odlecieli.

Mężczyzna z gwiazd wybucha gniewem.

– Jak śmiesz tak się zwracać do opiekuna twojego gatunku! – krzyczy z poczerwieniałą twarzą. – Przepróż natychmiast za swą bezczelność!

Lester jednak ignoruje Ranna, którego znaczenie w oczach Sześciu wyraźnie zmalało. Sługus i pochlebca nie rozkazuje mędrcom, bez względu na to, jakimi boskimi mocami włada.

Nasz ludzki poseł podaje jedną z metalowych płytek Ro-kennowi.

– Nie jesteśmy dumni z tej formy sztuki. Wykorzystuje ona materiały, które się nie starzeją ani nie degradują, wracając do gleby matki Jijo. Są trwałe. Odporne na upływ czasu. Jeśli ukryć je w odpowiedni sposób, wizerunki te doczekają chwili, gdy na tym świecie ponownie zaroi się legalne rozumne życie. W normalnej sytuacji wysłalibyśmy

podobne odpady tam, gdzie Jijo może ponownie wprowadzić je do obiegu za pomocą swego ognia. W tym przypadku jednak zrobimy wyjątek.

Rotheński emisariusz obraca płytkę w świetle poranka. W przeciwieństwie do fotografii na

papierze, tego rodzaju obraz najlepiej ogląda się pod pewnym kątem. My-ja wiemy, co on przedstawia, nieprawdaż, moje pierścienie? Płytki ukazują Ro-kennajego towarzyszy na chwilę przed rozpoczęciem niefortunnej pielgrzymki. Podróży, której groza wciąż jeszcze ścieka dokuczliwie po naszym woskowym rdzeniu. Bloor Portrecista sporządził tę podobiznę, by służyła jako instrument szantażu.

– Inne obrazy przedstawiają waszą grupę w różnych pozach, gdy prowadzicie badania, testujecie będące kandydatami do wspomagania gatunki. Ich tło często jednoznacznie odtwarza to miejsce i ten świat. Kształt lodowców oraz erodujących urwisk pozwoli określić datę z dokładnością do stu lat. Być może większą.

Rewą pokrywający nasz-mój torus wizyjny ujawnia fale przebiegające po twarzy Ro-kenna. Ponownie jest to obraz skonfliktowanych emocji, ale jakich? Czy zdobywamy wprawę w odczytywaniu tej obcej formy życia? Drugi z naszych pierścieni poznawczych wydaje się głęboko zaciekawiony ścierającymi się kolorami.

Rothen wyciąga wysmukłą dłoń.

– Czy mogę zobaczyć pozostałe? Lester wręcza mu je.

– To tylko próbka. Rzecz jasna, w trwałym metalu wytrawiono również szczegółowy raport z naszego spotkania z waszym statkiem i załogą. Wyślemy go wraz z tymi płytkami w miejsce ukrycia.

– Oczywiście – odpowiada gładko Ro-kenn. Przygląda się uważnie płytkom, obracając je w blasku słońca. – Jak na przeklętych przez siebie samych przedterminowych osadników zachowaliście niezwykle umiejętności. Szczerze mówiąc, nie widziałem czegoś podobnego nawet w cywilizowanym kosmosie.

To pochlebstwo wywołuje w tłumie szepty. Ro-kenn ponownie chce nas oczarować.

– Każdy akt zemsty lub eksterminacji przeciwko Sześciu również zostanie uwieczniony w ten sposób – kontynuuje Lester. – Jest wątpliwe, byście zdążyli zlikwidować nas wszystkich, nim ukryci skrybowie ukończą ów protokół.

– W rzeczy samej, wątpliwe.

Ro-kenn przerywa, jak gdyby zastanawiał się nad dalszymi krokami. Biorąc pod uwagę okazywaną przez niego dotąd arogancję, spodziewaliśmy się wściekłości z powodu szantażu i oburzenia z powodu braku szacunku, o którym świadczył. Nie zaskoczyłby nas też widok otwartej pogardy dla półzwierząt próbujących grozić boskiej istocie.

Czy zamiast tego dostrzegamy teraz na jego twarzy coś w rodzaju ostrożnej kalkulacji? Czy zdaje sobie sprawę, że przyparliśmy go do muru? Ro-kenn wzrusza ramionami, jak czynią to ludzie.

– Cóż więc mamy uczynić? Jeśli zgodzimy się na wasze żądania, to skąd możemy mieć pewność, że te obrazy i tak nie pojawią się kiedyś ponownie, by prześladować naszych potomków? Czy sprzedacie nam je już teraz, w zamian za obietnicę, że odlecimy w pokój?

Teraz to Lester się śmieje. Wykonuje pół obrotu w stronę tłumy i macha jedną ręką.

– Gdybyście przybyli po tym, jak Wspólnota doświadczyła jeszcze stulecia czy dwóch pokoju, moglibyśmy wam zaufać. Któż jednak wśród nas nie słyszał opowieści powtarzanych przez starszków, którzy byli świadkami tego, jak Złamany Ząb oszukała Ur-xounę przy Fałszywym Moście, pod koniec dawnych wojen? Kto z ludzi nie czytał poruszających relacji jakiegoś pradziadka, który uciekł przed rzezią w Wąwozie Rozejmu podczas Roku Kłamstw?

Ponownie zwraca się w stronę Ro-kenna.

– Dobrze się nauczyliśmy, czym jest oszustwo. Ciężko było wywalczyć pokój i nie zapomnieliśmy związanych z tym lekcji. Nie, potężny Rothenie. Przykro nam, ale nie jesteśmy skłonni uwierzyć ci na słowo.

Tym razem oburzonego Ranna powstrzymał błyskawiczny ruch szczupłej dłoni, który zapobiegł kolejnemu wybuchowi. Sam Ro-kenn sprawia wrażenie rozbawionego, choć na jego obliczu raz jeszcze pojawia się dziwny wyraz.

– W takim razie jaką mamy gwarancję, że zniszczycie te przedmioty, zamiast ukryć je w miejscu, w którym mogą je odnaleźć przyszli mieszkańcy tego świata? Albo, co gorsza. Galaktyczne Instytuty, za nie więcej niż tysiąc lat?

Lester ma przygotowaną odpowiedź.

– Jest w tym ironia, o potężny Rothenie. Jeśli my, jako lud, będziemy was pamiętać, będą istnieć świadkowie mogący złożyć zeznania w sprawie waszej zbrodni. Dopóki zachowamy pamięć, będziecie mieli motyw do podjęcia działań przeciwko nam. Jeśli natomiast skutecznie zrealizujemy plan odkupienia i zapomnienia, za tysiąc lat możemy już przypominać nieszkodliwe dla was glawery. Nasze świadectwa przestaną być wiarygodne. W takim przypadku nie mielibyście powodu wyrządzać nam szkody. Byłby to uczynek bezsensowny, a nawet ryzykowny.

– To prawda, lecz jeśli do tej pory zapomnielibyście o naszej wizycie, czy nie to samo stałoby się z kryjówkami, w których schowalibyście te wizerunki? – Ro-kenn unosi w górę płytkę. – Będą czyhały niczym utajone pociski, czekając cierpliwie na jakąś przyszłą chwilę, w której będą mogły same naprowadzić się na nasz gatunek.

Lester skinął głową.

– Na tym właśnie polega ironia. Być może problem da się rozwiązać w ten sposób, iż złożymy przysięgę, że nauczymy swych potomków pieśni – czy raczej zagadki – czegoś prostego, co będzie się nieść rezonansem nawet wtedy, gdy ich umysły staną się znacznie mniej skomplikowane.

– A jaka miałaby być funkcja podobnej zagadki?

– Powiemy swym dzieciom, że jeśli kiedyś z nieba przybędą istoty, które będą znały jej rozwiązanie, mają wydobyć owe przedmioty ze świętych miejsc i wręczyć je gwiazdnym władcom, waszym spadkobiercom, o potężny Rothenie. Oczywiście, jeśli Sześciu zachowa dokładne wspomnienie o waszej zbrodni, mędrcy nie dopuszczą do oddania wam wizerunków, gdyż będzie jeszcze za wcześnie. Tej wiedzy nie będzie się jednak uczyć dzieci ani opatrywać jej taką uwagą, jak zagadkę. Albowiem pamiętać waszą zbrodnię znaczy trzymać w ręku truciznę, która może zabić. Wolelibyśmy zapomnieć, w jaki sposób i dlaczego przybyliście. Tylko wtedy będziemy bezpieczni przed waszym gniewem.

Lester proponuje bardzo skomplikowaną umowę. Podczas zebrania rady trzykrotnie zmuszano go, aby tłumaczył jej sens. Rozlega się teraz pomruk tłumu, pomysł jest analizowany punkt po punkcie, aż wreszcie przez krąg ciasno stłoczonych istot przepływa szept podziwu. W rzeczy samej, umowa cechuje się prawdziwą finezją.

– Skąd będziemy wiedzieć, czy uda nam się w ten sposób odzyskać wszystkie przedmioty? – pyta Ro-kenn.

– Musicie do pewnego stopnia zaufać szczęściu. Podjęliście przecież ryzyko, wyprawiając się z tą misją, nieprawdaż, potężny Rothenie? Mogę ci powiedzieć jedno. Nie zależy nam tak bardzo, by owe wizerunki przetrwały wieki i aby mogli nad nimi ślęczeć prawnicy Instytutów w poszukiwaniu powodów do ukarania naszych gatunkowych kuzynów wciąż wędrujących między gwiazdami. Ze względu na swą twardość i trwałość owe płytki stanowią obelgę dla celu naszego pobytu na tym świecie: uwolnienia się od grzechu i uzyskania niewinności. Zasłużenia sobie na drugą szansę.

Ro-kenn zastanawia się nad tymi słowami.

– Wygląda na to, że chyba przybyliśmy na Jijo kilka tysięcy lat za wcześnie. Jeśli uda się wam

podążyć waszą ścieżką, ten świat stanie się prawdziwym skarbcem.

Sens jego słów nie jest w pierwszej chwili jasny, potem jednak przez tłum przebiegają pomruki: uryjskie parsknięcia, qheueńskie syki, a na koniec grzmiący hooński śmiech. Na niektórych wrażenie zrobił dowcip Ro-kenna, na innych komplement, jaki stanowiła sugestia, że Rotheni zechcieliby adoptować przedrozumne gatunki, w które mogłoby się obrócić Sześciu. Ta reakcja nie jest jednak powszechna. Niektórzy z zebranych wrzą gniewem, odrzucając wszelką myśl o adopcji przez pobratymców Ro-kenna.

Czy my-ja nie uważamy tego gniewu za głupi, moje pierścienie? Czy gatunki podopiecznych mają jakąkolwiek kontrolę nad tym, kto zostanie ich opiekunem? Zgodnie z tym, co czytaliśmy, nie mają.

Owe księgi obrócą się jednak w pył na długo przed tym, nim dojdzie do wydarzeń, o których mowa.

– Czy złożymy przysięgę? – pyta Ro-kenn. – Tym razem opartą na najbardziej pragmatycznej ze wszystkich podstaw: wzajemnym odstraszaniu? Zgodnie z tą nową umową odlecimy naszym statkiem, zaraz po tym, jak nasz zwiadowczy samolot wróci ze swej ostatniej misji. Przełkniemy gorycz wywołaną ohydny pomordowaniem naszych towarzyszy. W zamian za to wszyscy poprzysięgniecie zapomnieć o naszym wtargnięciu i o głupiej próbie przemówienia głosem waszego Świętego Jaja.

– Zgadzą się – odpowiada Lśniąca Jak Nóż Wnikliwość, strzelając dwoma szczypcami. – Dziś w nocy odbędziemy naradę i wybierzemy zagadkę, do której sekretny klucz prześlemy wam. Gdy wasi

pobratymcy przybędą ponownie na Jijo, mogą znaleźć świat pełen niewiniątek. Ów klucz zaprowadzi was do kryjówki. Będziecie mogli wtedy usunąć odpadowe wizerunki. Nasza umowa zostanie wykonana.

Przez tłum przepływa nadzieja uderzająca w naszego rewqajako fala delikatnych, zielonych drzeń.

Czy możemy uwierzyć w tę możliwość, moje pierścienie? W to, że Sześciu doczeka szczęśliwego zakończenia? Dla gorliwców jest to najwyraźniej wszystko, czego pragnęli. Ich młoda przywódczyni tańczy z radości. Unikną teraz kary za swe gwałtowne uczynki. Wspólnota uzna ich zapewne za bohaterów.

Co mówicie, moje pierścienie?

Nasz drugi torus poznawczy przypomina, że niektórzy heretycy mogą chcieć, by gniewny ogień i epidemie uwolniły Jijo od plagi noszącej nazwę Sześciu. I, tak jest, istnieje też inny, jeszcze mniejszy, heretycki odłam. Ekscentrycy przewidujący, że nasze przeznaczenie jest gdzie indziej, o czym niemal nie wspominają święte zwoje. Dlaczego o tym napomykasz, mój pierścieniu? Jakie znaczenie może mieć podobny nonsens w tym czasie i miejscu?

Skrybowie zapisują szczegóły paktu. Wkrótce najwyżsi mędrcy będą musieli je poświadczyć i zaakceptować. (Przygotujcie się, moje dolne pierścienie!) Tymczasem ponownie zastanawiamy się nad anomalią, na którą zwrócił naszą woskową uwagę rewq nadal przekazujący przebiegające przez twarz Ro-kenna irytujące kolory. Czy mogą to być odcienie fałszu? Fałszu i rozbawienia? Chętnej gotowości zaakceptowania naszej propozycji, lecz tylko pozornie, by zyskać na czasie do chwili...

Przestań – rozkazujemy naszemu drugiemu pierścieniowi, który zbyt łatwo daje się ponieść. Naczytał się za dużo powieści. Nie znamy Rothena wystarczająco dobrze, by odczytać z jego obcego oblicza subtelne, skomplikowane znaczenia.

Poza tym, czyż nie złapaliśmy Ro-kenna w pułapkę? Czy nie ma powodu obawiać się obrazów uwiecznionych na tych płytkach z twardego metalu? Logicznie rzecz biorąc, nie może podjąć ryzyka, by obciążły one jego gatunek i jego linię.

A może wie coś, czego my nie wiemy?

Ach, cóż to za głupie pytanie, kiedy mowa o gwiazdnym bogu!

Podczas gdy przez tłum przepływa nadzieja, ja-my stajemy się z każdą durą coraz bardziej podenerwowani.

Co będzie, jeśli okaże się, że nic ich nie obchodzi fotografie? W takim przypadku Ro-kenn może się zgodzić na wszystko, gdy bowiem przyłeci już jego wszechmocny statek, nie będzie miało znaczenia, jakie przysięgi podpisano. Potem, gdy jego osobiste bezpieczeństwo będzie zapewnio-
ne...

Nie daje się nam szansy dokończyć tej kapiącej kontemplacji. Nagle wydarza się coś nowego! O wiele za szybko, by wosk zdążył się przesączyć,

1

Zaczyna się od przenikliwego ludzkiego krzyku...

Jeden z pochlebców, wiemy stronnik Rothenów, wskazuje na coś za plecami istot z gwiazd, ku wysokim marom, na których spoczywają ich dwie martwe towarzyszki...

Obie ofiary wybuchu owinięto w jedwabiste tkaniny. W tej chwili jednak widzimy, jak zdziera się owe okrycia, by odsłonić zmarłą Rot-henkę i ludzką kobietę z nieba...

Czy dostrzegamy teraz Bloora Portrecistę ze swym urządzeniem rejestrującym w rękach, jak usiłuje sfotografować twarze zabitych?

Bloor ignoruje pomruki gniewu tych, którzy uznali Rothenów za swych opiekunów. Spokojnie wyjmuje naświetloną płytkę i wkłada następną. Wydaje się pogrążony w transie, skupiony na swej sztuce, nawet gdy zwraca mu uwagę Rann, a potem rozwścieczony Ro-kenn, który krzyczy w związłym szóstym galaktycznym...

Bloor dostrzega opadającego w dół robota. Ma czas na wykazanie się profesjonalizmem jeszcze jeden, ostatni raz. Portrecista osłania kamerę swym kruchym ciałem i ginie.

Bądźcie cierpliwe, dolne pierścienie, które leżycie najdalej od zmysłów. Musicie poczekać, nim popieścicie owe wspomnienia swym wewnętrznym oddechem. Dla tych, które przysiadły wyżej na naszym zwężającym się stożku, wydarzenia wydają się szkwalem zamazanych obrazów.

Ujrzyjcie – wściekły gniew gwiazdnych bogów, ogarniętych apo-plektycznym szałem!

Zaobserwujcie – bezowocne krzyki Lestera, Vubbena i Phwhoon--dau, którzy błagają o umiar!

Zobaczcie – skurczone szczątki Bloora obrócone w tłący się stos!

Zauważcie -jak tłum cofa się przed przemocą, podczas gdy jakieś, ciemno odziane postacie gnają ku nam od strony lasu!

Skulcie się – przed ryczącymi robotami, które ładują baterie, by przystąpić do ataku, gotowe zabijać na rozkaz!

Nade wszystko zaś, wpatrzcie się – w widoczną tuż przed nami scenę, którą Bloor fotografował w chwili śmierci...

Obraz, który przetrwa tak długo, jak długo będzie stała ta wieża pierścieni.

Dwie istoty leżą bok przy boku.

Jedna z nich, ludzka kobieta, sprawia wrażenie spokojnej w śmierci. Jej świeżo umyta twarz jest pogodna i niezmacona.

Druga postać wydawała się spoczywać w równym pokoju, gdy widzieliśmy ją poprzednio, przed świtem. Oblicze Ro-pol przypominało ideał ludzkiej twarzy o imponująco wysokim i szerokim czole, silnych kościach policzkowych oraz takim ustawieniu brody, które za życia umożliwiało ujmujący uśmiech.

Teraz dostrzegamy coś innego!

Dygoczący stwór, targany śmiertelnymi drgawkami, spełza z twarzy Ro-pol, zabierając ze sobą większą jej część! Czoło, policzki i broda, które obserwowaliśmy, stanowią ciało stworzenia.

Musiałoby ono siedzieć na Rothence, tak jak rewq na jednym z członków Sześciu. Przyłgnęło do niej tak ściśle, że nie było dotąd widać żadnych spojzeń czy szwów.

Czy to tłumaczy dysonans? Skonfliktowane kolory przekazywane przez naszego doświadczonego rewq? Podczas gdy pewne części twarzy Ro-kenna wyrażały cierpkie emocje, inne zawsze wydawały się chłodne, wolne od niepokoju i przyjazne.

Stworzenie odpełza na bok. Gapie wciągają powietrze na widok tego, co pozostaje: węższej twarzy o ostrych rysach, pozbawionej brody i spiczastej, o kształtach czaszki zupełnie nie przypominających ludzkich

Zniknęło złudzenie niebiańskiej, według pojęć Ziemi, urody. Och, zasadniczy kształt jest humanoidalny, ale stanowi drapieżną karykaturę naszego najmłodszego szczepu.

– Hr-rm... Widziałem już tę twarz – mruży Phwhoon-dau, głaszcząc się po białej brodzie. – W jednej z książek, które czytałem w Biblos. To mało znany gatunek o opinii...

Rann ponownie zakrywa trupa. Ro-kenn przerywa hoonowi ochry płym wrzaskiem:

– To ostateczna zniewaga!

Nasz rewq wyraźnie ukazuje teraz Rothenajako dwie istoty, z kto rych jedna jest żywą maską. Zniknęło cierpliwe rozbawienie, pozór;

ustępowania przed szantażem. Do tej chwili nie mieliśmy czym id szantażować.

Do tej chwili.

Rothen rozkazuje Rannowi:

– Zlam ciszę radiową i przywołaj zaraz Kunna!

– To zaalarmuje zdobycz – sprzeciwia się wyraźnie wstrząśnięty Rann. – I myśliwych. Czy możemy podjąć ryzyko...

– Podejmiemy je. Natychmiast wykonaj rozkaz! Przywołajcie Kunna, a potem zlikwidujcie ich wszystkich,

Ro-kenn wskazuje na tłum, pochlebców i sześciu mędrców.

– Nikt nie może ocaleć, by o tym opowiedzieć.

Roboty zaczynają się podnosić, trzaskając straszliwą siłą. Ciżba wydaje z siebie jęk strachu.

I wtedy -jak czasem mówi się w opowieściach Ziemi - rozpętuje się piekło.

Nieznajomy

Uderza powoli w cymbały, wydobywając z nich pojedyncze, ciche tony. Czuje się podenerwowany tym, co zamierza uczynić, lecz jednocześnie cieszy się, że tak wiele pamięta.

Na przykład o ursach. Od chwili, gdy po raz pierwszy odzyskał świadomość na pokładzie rzeczno stateczku, usiłował odgadnąć, dla czego czuje tak wielką sympatię dla tych czworonożnych istot, mimc ich drażliwej, wybuchowej natury. W pustynnej oazie, przed krwaw* zasadzką, słuchał ballady recytowanej przez zdrajczynię Ulgor, cho< tylko od czasu do czasu udawało mu się zrozumieć nieliczne mlaskow< zwroty. Niemniej rytmiczna pieśń wydawała mu się dziwnie znajoma wywoływała w jego zmaltretowanym umyśle jakieś skojarzenia.

Wtem, w jednej chwili, przypomniał sobie, gdzie słyszał tę opo wieść. W barze na odległej...

...na odległej...

Nazwy nadal sprawiają mu trudność. Teraz jednak dysponuje przynajmniej obrazem wydobytym z uwięzionej pamięci. Sceną z tawemy dla gatunków istot rozumnych z niższej klasy, takich jak jego własny. Odwiedzali ją gwiazdni podróżnicy o pewnych wspólnych upodobaniach, jeśli chodzi o jedzenie, muzykę i rozrywki. W podobnych miejscach często przyjmowano jako zapłatę pieśni. Za dobrą można było nabyć wiele kolejek. On sam rzadko musiał płacić gotówką, tak bardzo poszukiwane były melodie śpiewane przez jego utalentowanych towarzyszy.

...towarzyszy...

Napotyka na kolejną barierę. Najwyższy i najbardziej niedostępny mur w jego umyśle. Podejmuje jeszcze jedną próbę, lecz nie udaje mu się znaleźć melodii, która by go zburzyła.

A więc z powrotem do baru. Wraz z tą wizją przypomina sobie wiele rzeczy, które ongiś wiedział o ursach. Zwłaszcza pewien figiel, który zwykł płać znajomym przedstawicielkom tego gatunku, kiedy zasypiały po obfitej, wieczornej biesiadzie. Brał czasem w rękę fistaszek, celował uważnie i...

Nieznajomy przerywa potok swych myśli, gdy zdaje sobie sprawę, że jest obserwowany. UrKachu spogląda na niego spode łba, wyraźnie poirytowana coraz głośniejszym brzdąkaniem cymbałów. Szybko uła-gadza naczelniczkę uryjskich rozbójniczek, uderzając w struny delikatniej. Mimo to nie przerywa. Cichszy, spokojniejszy rytm wywiera lekko hipnotyczne wrażenie, co jest zgodne z jego zamiarami.

Reszta napastników – zarówno ursy, jak i ludzie – kładzie się lub drzemie podczas upalnego południa. Tak samo postępuje Sara, razem z Prity i innymi jeńcami. Nieznajomy wie, że on również powinien wypocząć, lecz jest zbyt pobudzony -

Brakuje mu Pzory, choć wydaje się dziwne tęsknić za uzdrawiającym dotykiem Jophura...

Nie, to nie jest właściwe słowo. Pzora nie jest jedną z tych przerażających, okrutnych istot, lecz traekim, a to coś całkiem innego. Ponieważ zaczyna radzić sobie z nazwami trochę lepiej, będzie musiał to zapamiętać.

Zresztą ma do wykonania zadanie. W czasie, który mu pozostał, będzie musiał się nauczyć używać rewqa kupionego dla niego przez Sarę. Jest to dziwne stworzenie, którego błoniaste ciało zakrywa mu

oczy, sprawiając, że wszystkie ursy i ludzi otacza łagodna, barwna mgielka zamieniająca nędzny namiot w feerię odsłaniających wszystko odcieni. Niepokoi go to, jak rewqa drży na jego ciele, wykorzystując ssawkę, by czerpać pożywienie z żył przebiegających tuż obok ziejącej rany w głowie. Nie może jednak zrezygnować z szansy na zbadanie jeszcze jednego sposobu porozumiewania. Dezorientujące kolory zlewają się niekiedy, przypominając mu, jak ostatnio obcował z Pzorą w oazie. Nastąpił wtedy moment dziwnej jasności, gdy złączone rewqi zdawały się przekazywać dokładnie to, czego chciał.

Dar, który wręczył mu w odpowiedzi Pzora, kryje się w dziurze \ w jego głowie: jedynym miejscu, którego przeszukanie nigdy nie przy-szłoby napastnikom na myśl.

Opiera się pragnieniu wsunięcia ręki do środka i sprawdzeniu, czy jeszcze tam jest.

Wszystko we właściwym czasie.

Gdy tak siedzi i brzdąka, powoli narasta dręczący upał. Uryjskie i ludzkie głowy nachylają się niżej nad ziemią, gdzie pozostały po nocy chłód jest jeszcze lekko wyczuwalny. Czeka i próbuje przypomnieć sobie odrobinę więcej.

Największa z białych plam – pomijając utratę języka – pokrywa niedawną przeszłość. Jeśli dziesięć palców reprezentowałoby cały okres jego życia aż do obecnej chwili, większej części dwóch ostatnich brakuje. Pozostały mu jedynie strzępki czepiające się świadomości, gdy tylko budzi się ze snu. To wystarcza, by uświadamiał sobie, że ongiś wędrował po połączonych galaktykach i widział na własne oczy rzeczy, których nigdy dotąd nie oglądał żaden z jego współplemieńców. Pieczęcie zamykające te wspomnienia oparły się wszystkiemu, czego dotąd próbował: rysowaniu szkiców, matematycznym zabawom z Prity, nurzaniu się w produkowanej przez Pzorę bibliotecze zapachów. Nadal jest jednak pewien, że klucz można znaleźć w muzyce. Ale jakiej?

Sara pochrapuje cicho w pobliżu. Nieznajomy czuje w sercu przyływ pełnej wdzięczności sympatii... połączonej z dokuczliwym poczuciem, że istnieje ktoś inny, o kim powinien myśleć. Ktoś,

komu był wiemy, nim płonący los strącił go z nieba. Pod ostrym kątem do biegu jego myśli pojawia się przelotnie kobieca twarz, znika jednak zbyt szybko, by mógł ją rozpoznać. Czuje jedynie wywołaną tym obrazem falę silnych uczuć.

Tęskni za nią... choć nie potrafi sobie wyobrazić, by ona czuła to samo, bez względu na to gdzie jest.

Bez względu na to, kim jest.

Bardziej niż czegokolwiek pragnie szansy, by wyrazić swe uczucia w słowach, czego nigdy nie zrobił podczas wszystkich niebezpiecznych chwil, które przeżyli razem... chwil, gdy usychała z tęsknoty za innym... mężczyzną wartym więcej od niego.

Z pewnym podnieceniem zdaje sobie sprawę, że ten szlak myślowy dokądś prowadzi. Podąża nim z zapalem. Kobieta z jego snów... tęskni za mężczyzną... bohaterem, który zaginął dawno temu... przed rokiem albo dwoma... razem z towarzyszami z załogi... a także razem...

..razem z kapitanem...

Tak jest, oczywiście! Dowódcą, którego tak straszliwie im brakowało. Którego utracili po śmiałej ucieczce z tego nieszczęsnego wodnego świata. Świata katastrofy i triumfu.

Usiłuje przywołać obraz kapitana. Twarz. Przychodzi mu jednak na myśl tylko szary błysk, wir pęcherzyków powietrza, a na koniec lśnienie białych, ostrych jak igły zębów. Uśmiech nie przypominający żadnego innego. Mądry i pogodny.

Nieludzki.

Nagle, znikąd, pojawia się łagodny tryl. Dźwięk, jakiego nigdy dotąd nie słyszano na Stoku.

* Mój dobry milczący przyjacielu...

Zagubiony w strasznej zimowej chmurze burzowej...

Samotny... tak jak ja...*

Gwizdy, zgrzyty i trzaski wydostają mu się z ust, nim zdążył zdać sobie sprawę, że je wypowiada. Głowa odskakuje do tyłu, gdy odnosi wrażenie, że w jego umyśle pęka tama, uwalniając potop wspomnień.

Muzyka, której szukał, nie była dziełem ludzi, lecz współczesnym językiem trzeciego ziemskiego rozumnego gatunku. Ludziom bardzo trudno było nauczyć się tego języka, lecz tych, którzy tego próbowali, czekała nagroda. Troisty w niczym nie przypominał drugiego galaktycznego ani żadnej innej mowy, oprócz może jękliwych ballad śpiewanych przez ogromne wieloryby wciąż przemierzające beczasowe głębiny rodzinnego świata.

Troisty.

Mmgą powiekami zaskoczony, a nawet traci na chwilę rytm, grając na cymbałach. Kilka ursor podnosi głowy i gapi się na niego bez wyrazu, dopóki nie zaczyna grać miarowo. Kontynuuje grę odruchowo, medytując nad swym niezwykłym odkryciem. Znajomym, a zarazem niesamowitym faktem, który wymykał mu się do tej chwili.

Jego towarzysze, którzy być może wciąż na niego czekają w tym ciemnym, ponurym miejscu, w którym ich zostawił.

Jego towarzysze byli delfinami.

xxv KSIĘGA MORZA

Strzeżcie się, potępieni, którzy szukacie odkupienia. Czas jest waszym przyjacielem, lecz zarazem wielkim wrogiem.

Tak jak ognie Izmunuti, Może dobiec kresu, nim będziecie gotowi. Wpuszczając tu raz jeszcze Rzeczy, przed którymi uciekliście.

Zwój Niebezpieczeństwa

Opowieść Alvma

Próbowałem kiedyś przeczytać Finnegan 's Wake.

W zeszłym roku.

W zeszłym życiu.

Mówią, że żaden nie-Ziemianin nigdy nie zgrokował tej książki. W gruncie rzeczy, garstka ludzi, którym udało się tego dokonać, spędziła nad arcydziełem Joyce'a znaczną część życia, śledząc jedno niezrozumiałe słowo po drugim i pomagając sobie tekstami napisanymi przez innych ogarniętych obsesją uczonych. Pan Heinz mówi, że nikt na Stoku nie ma najmniejszych szans, aby zrozumieć to dzieło.

Rzecz jasna, potraktowałem to jako wyzwanie i gdy nasz nauczyciel wybierał się na kolejne zgromadzenie, namówiłem go, żeby przywiózł jeden egzemplarz.

Nie, nie mam zamiaru twierdzić, że mi się udało. Już po pierwszej stronie zrozumiałem, że jest to przedsięwzięcie literackie całkowicie odmienne od Ulissesa. Choć sprawia wrażenie napisanego w przedkos-micznym angielskim, Finnegan 's Wake wykorzystuje język stworzony przez Joyce'a z myślą o tym jednym dziele sztuki. Hoońska cierpliwość nie mogła tu wystarczyć. Żeby choć cokolwiek z niego pojąć, trzeba by poznać warunki, w jakich żył autor.

Jakie miałem szansę? Irlandzka wersja angielskiego nie jest moim ojczystym językiem. Nie jestem obywatelem Dublina z początków dwudziestego wieku. Nigdy nie byłem wewnątrz "pubu" ani nie widziałem z bliska „Jkwarka”. Mogę się jedynie domyślać, co się tam dzieje.

Przypominam sobie, że pomyślałem, może trochę pyszałkowato:

, Jeśli ja nie jestem w stanie przeczytać tej książki, wątpię, by udało się to komukolwiek na Jijo".

Tom nie był zniszczony i nie sprawiał wrażenia, by od czasów Wielkiego Drukowania ktoś podjął taką próbę. Dlaczego więc ludzie założyciele marnowali miejsce w Biblos na ten dziwaczny intelektualny eksperyment z minionych wieków?

Wtedy właśnie poczułem, że znalazłem klucz do rozwiązania zagadki i odgadnięcia celu, w jakim przybyła tu załoga "Tabemacie". Nie mogły to być powody, jakie podają nam w święta mędracy i kapłani czytający ze świętych zwojów. Nie po to, by odnaleźć mroczny zakątek wszechświata, w którym mogliby się oddać zbrodniczemu, samolubnemu rozmnażaniu, ani po to, by wyrzec się kosmosu w poszukiwaniu dróg niewinności. W obu tych przypadkach mógłbym sobie wyobrazić, że drukowaliby poradniki albo proste opowieści, które pomogłyby oświecić drogę. Z czasem owe książki skruszałyby i obróciły się w pył, gdy ludzie i inne gatunki staliby się gotowi, by z nich zrezygnować. Mniej więcej tak, jak Eloje w Wehikule czasu H. G. Wellsa.

W żadnym z tych przypadków nie miałoby sensu drukować Finne-gan 's Wake.

Gdy to zrozumiałem, sięgnąłem po tę książkę ponownie. Choć nie pojąłem fabuły ani aluzji lepiej niż za pierwszym razem, potrafiłem zachwycić się potokiem słów, ich rytmem i brzmieniem, ich niezwykłością. Nie było już ważne, bym stał się jedyną osobą, która to zgrokuje.

W gruncie rzeczy, ogarnęło mnie ciepłe uczucie, gdy przewracając strony pomyślałem: "Któregoś dnia ktoś inny zrozumie z tego więcej ode mnie".

Na Jijo przechowuje się rzeczy, które wydają się martwe, lecz w rzeczywistości jedynie śpią.

Tę właśnie myśl rozważałem, gdy leżałem tu dręczony nieustannym bólem. Usiłowałem zachować stoicyzm za każdym razem, gdy niezwykle, milczące istoty wpadały do mojej celi, by dręczyć mnie gorącym,

zimnym i drażniącym dotykiem. Czy powinienem czuć nadzieję, kiedy metalowe palce badają moje rany? Czy też ponure przygnębienie, gdy moi nadzorcy o pozbawionych wyrazu twarzach nie chcą

odpowiadać na zadawane pytania czy choćby się odezwać? Czy mam się rozwodzić nad tym, jak strasznie tęsknię za domem? Czy, wprost przeciwnie, zachwycać się, że odkryliśmy coś cudownie niezwykłego, czego istnienia nikt na Stoku nawet nie podejrzewał od chwili, gdy g'Kekowie pierwsi zatopili swój skradacz w głębinie?

Wreszcie zdałem sobie sprawę, że brak mi podstaw, by to rozstrzygnąć. Tak jak zwroty w książce Joyce'a, owe istoty wydają się jednocześnie dziwnie znajome i całkowicie niezgłębione.

Czy to maszyny?

Czy to obywatele jakiejś starożytnej podmorskiej cywilizacji?

Czy to najeźdźcy? Czy uważają nas za najeźdźców?

Czy to Buyurowie?

Unikałem myślenia o tym, co naprawdę mnie gryzie.

No jazda, Alvin. Staw temu czoło.

Przypominam sobie te ostatnie dury, gdy nasze piękne "Marzenie Wuphonu" roztrzaskało się na kawałki. Gdy jego kadłub uderzył w mój grzbiet. Gdy moi przyjaciele wpadli w paszczę potwora, pogrążeni w zimnej, zimnej, zimnej, okrutnej wodzie.

Wówczas jeszcze żyli. Byli poranieni i oszołomieni, ale żyli.

Żyli, gdy huragan powietrza wygnał na zewnątrz straszliwe, mroczne morze i runęliśmy, ranni i półmartwi, na twardy pokład. I wtedy, gdy jasne jak słońce światła na wpół nas oślepiły, a do pomieszczenia weszły niesamowite pająkowate stwory, by obejrzeć to, co złożyły.

W tym punkcie jednak pamięć się zaciera, ginąc w mglistym chaosie obrazów – aż do chwili, gdy ocknąłem się tutaj, samotny.

Samotny i zaniepokojony o swych przyjaciół.

XXVI

KSIĘGA STOKU

Legendy

Wiemy, że w Pięciu Galaktykach każdy gatunek gwiazdnych wędrowców bierze swój początek w procesie wspomagania, otrzymuje impuls wiodący ku rozumności od opiekunów, którzy go adoptowali. A owi opiekunowie otrzymali taki sam dar od wcześniejszych opiekunów i tak dalej: łańcuch dobroczynności ciągnący się aż do spowitych mgłą tajemnicy czasów, gdy połączonych galaktyk było więcej niż pięć. Czasów legendarnych Przodków, którzy w tej bardzo odległej epoce dali początek łańcuchowi.

Skąd jednak wzięli się sami Przodkowie?

Dla niektórych religijnych sojuszy, prowadzących gniewne awantury na gwiazdnych szlakach, samo to pytanie stanowi anatemę lub wręcz może sprowokować walkę.

Inni radzą sobie z tym problemem twierdząc, że owe starożytne istoty musiały przybyć " skądinąd", albo że Przodkowie byli transcendentnymi jestestwami, które łaskawie zstąpiły z wyższej płaszczyzny, aby pomóc rozwinąć się rozumnemu życiu.

Można oczywiście sugerować, że podobne uproszczone odpowiedzi opierają się na nieuzasadnionych przesłankach, lecz nie jest rozsądnie wspominać o tym zbyt głośno. Niektórzy z dostojnych Galaktów nie są zbyt zadowoleni, gdy wytyka się im sprzeczności w rozumowaniu.

Na koniec, istnieje pewien kult – Potwierdzający – który wyznaje pogląd, że Przodkowie musieli sami ewoluować na jakiejś planecie, wznosząc się do pełnej inteligencji bez niczyjej pomocy, co stanowi fantastyczny, niemal niewykonalny wyczyn. Można by sobie wyobrazić, że Potwierdzający będą odnosić się do Ziemiaków przyjaźniej niż większość sojuszy fanatyków. Ostatecznie wielu Terran

nadal wierzy, że nasz gatunek dokonał tego samego, wspomógł się samodzielnie, w izolacji, bez niczyjej pomocy.

Niestety, nie oczekujcie zbyt wiele sympatii od Potwierdzających, którzy uważają podobne pretensje zwykłych dzikusów za arogancją

pychę. Twierdzą, że samowspomaganie należy do najwyższej i najświętszej kategorii zjawisk, niedostępnych dla takich istot jak my.

Wstęp do galaktologn dla pragmatyków. Jacob Demwa. Wydrukowane na podstawie oryginału przez Cech Drukarski z Tarek. Rok Wygnania 1892

Dwer

Pokrzykiwanie na gławery, rzucanie w nie kamieniami nic nie pomagało. Para po prostu cofnęła się, by obserwować ich z oddali pozbawionymi wyrazu, kulistymi oczyma, a gdy grupa ludzi wznowiła marsz, ponownie ruszyła za nią. Dwer wkrótce zdał sobie sprawę, że nie uda mu się ich pozbyć. Musiał je albo zastrzelić, albo zignorować.

– Masz pod dostatkiem innych zajęć, synu – rozstrzygnął problem Danel Ozawa.

Było to niedopowiedzenie.

Gdy Dwer przeprowadził ostrożnie grupę Danela przez płytki bród, na polanie w pobliżu wodospadu wciąż unosiła się woń urs, osłów i simii. Od tej chwili zaczął stosować taktykę zapożyczoną z dawnych wojen. Każdej nocy wybierał się na rekonesans, by zbadać trasę, którą mieli pokonać za dnia, licząc na to, że dzienny tryb życia urs uchroni go przed zasadzką, choć owym istotom nieobca była umiejętność przystosowania. Potrafiły być śmiertelnie groźne nawet nocą, o czym ludzcy wojownicy nieraz przekonywali się na własnej skórze.

Dwer miał jednak nadzieję, że ta grupa po wiele pokoleń trwającym pokój zdażyła się rozłeniwić.

Wstawał o północy i ruszał na zwiady w blasku dwóch mniejszych księżyców, wachając wszystko wokół za każdym razem, gdy ślady kopyt zbliżały się do jakiegoś miejsca, które mogło się nadawać na zasadzkę. Potem, o świcie, wracał pośpiesznie, by pomagać Danelowi prowadzić karawanę osłów przy świetle dnia.

Ozawa uważał, że należy szybko dogonić uryjską bandę i wynegocjować z nią porozumienie. Dwer jednak był zaniepokojony.

Myśli, że jak zareagują? Przyjmą nas jak braci? To kryminalistki. Jak horda Rety. Jak my.

Trop stał się świeższy. Ursy wyprzedzały ich teraz tylko o tydzień, czy może jeszcze mniej.

Zaczął też zauważać inne ślady. Łagodne zarysy w piasku. Odłupane kawałki kamienia. Fragmenty sznurowadeł od mokasynów. Miejsca po ogniskach wypalone wcześniej niż przed miesiącem.

Horda Rety. Ursy kierują się w samo serce jej terytorium.

Danel przyjął tę wiadomość spokojnie.

– Na pewno rozumowały w ten sam sposób, co i my. Ludzcy przedterminowi osadnicy bardzo dużo wiedzą na temat życia wśród tych wzgórz. Ich doświadczenie jest cenne, bez względu na to, czy można je kupić, pożyczyć...

– Czy wydusić z nich torturami – dokończyła Lena Strong, ostrząc jeden ze swych noży przy żarzących się słabą czerwienią węglach wieczornego ogniska. -Niektóre uryjskie klany wykorzystywały ludzkich jeńców do pracy, dopóki nie oduczyliśmy ich tego zwyczaju.

– Który przejęły od królowych. Nie ma powodu zakładać, że czynienie z innych niewolników jest zachowaniem naturalnym dla urs. Skoro już o tym mowa, na Starej Ziemi ludzie...

– Aha, ale nadal mamy problem – przerwał mu Dwer. – Co mamy zrobić, kiedy je dogonimy.

– Zgadza się! – Lena przyjrzała się ostrzu noża. – Czy mamy rzucić się na ursy szybko i zaskoczyć

je wszystkie razem? Czy też zrobić to po hoońsku: wybierać jedną po drugiej?

Jenin westchnęła niepokieszona.

– Och, Leno. Proszę cię, przestań.

Przez całą podróż zachowywała wesoły nastrój, dopóki nie usłyszała wszystkich tych rozmów o walce. Jenin przyłączyła się do wyprawy, by zostać matką założycielką nowej rasy, a nie polować na istoty, które były ongiś jej sąsiadkami.

Dwer czuł w sercu ten sam ból, co Jenin, choć pragmatyczna strona jego osobowości zgadzała się z Leną.

– Jeśli będzie to konieczne, wolałbym zrobić to szybko – mruknął, spoglądając na osła, który dźwigał ich najtajniejsze, odrażające "narzędzia".

– Nie powinno do tego dojść – upierał się Danel. – Upewnijmy się najpierw, kim są i czego chcą. Niewykluczone, że będziemy mogli połączyć siły.

Lena zachnęła się.

– Wysłać posła? Zdradzić naszą obecność? Słyszałeś Dwera. Jest ich ponad tuzin!

– W takim razie, czy nie sądzisz, że powinniśmy zaczekać na drugą grupę? – zapytała Jenin. – Miała ruszyć tuż za nami. Lena wzruszyła ramionami.

– Kto wie, jak długo potrwa ich podróż? Albo czy nie zabłądzą? Ursy mogą znaleźć nas pierwsze. Nie można też zapominać o ludzkim pleminiu.

– Dawnej hordzie Rety.

– Tak jest. Chcesz, żeby jej członków zabito albo obrócono w niewolników? Tylko dlatego, że zbyt się baliśmy, żeby...

– Leno! – przerwał jej Danel. – Dość już tego. Zobaczmy, co się da zrobić, kiedy nadejdzie czas. Na razie biedny Dwer powinien trochę się przespać. Należy mu się od nas chwila odpoczynku.

– To nawet nie połowa tego, co mu się od nas należy – mruknęła Lena. Dwer popatrzył w jej stronę, lecz w poprzedzającym wschód księżyców mroku mógł dostrzec jedynie cienie.

– Dobranoc wszystkim – powiedział, po czym oddalił się, by poszukać swego posłania.

Skarpetka popatrzył na niego z koca. Zajazgotał rozzłoszczony tym, że musi się ruszyć. Zwierzak faktycznie pomagał nocą się ogrzać, co jego zwyczaj wylizywania potu z twarzy Dwera podczas snu czyniło trochę mniej irytującym.

Dwer położył się, odwrócił i zamrugnął ze zdumienia na widok dwóch par olbrzymich, okrągłych oczu, które gapiły się na niego z odległości zaledwie trzech metrów.

Dzikijskie gławery.

W normalnych okolicznościach po prostu ignorowało się te spokojne stworzenia. Dwer jednak wciąż nie mógł się uwolnić od wspomnienia ich stada skupionego chciwie wokół martwego galeatera.

Rzucił w ich stronę grudkę ziemi.

– No jazda! Sio!

Para odwróciła się w mroku i oddaliła niespiesznie. Dwer popatrzył na Skarpetkę.

– Dlaczego nie chcesz mi choć trochę pomóc i nie przeganiaasz tych utrapieńców?

Noor uśmiechnął się tylko.

Dwer naciągnął sobie koc na brodę, usiłując się uspokoić. Był zmęczony. Bolały go mięśnie i stłuczenia. Drzemka nadchodziła jednak powoli, obciążona niepokojącymi snami.

Obudził go delikatny dotyk, który poczuł na twarzy. Poirytowany, spróbował odepchnąć noora.

– Spływaj, ty kupo futra! Idź sobie polizać ośle łajno, jeśli tak bardzo potrzebujesz soli.

Po chwili ciszy pełnej zaskoczenia odpowiedział mu szept.

– Chyba nigdy nie witano mnie w łóżku mężczyzny nawet w połowie tak słodko.

Dwer obrócił się i wsparł na łokciu. Potarł jedno oko, by lepiej dojrzeć zamazaną sylwetkę. Była to kobieta.

– Jenin?

– Wolałbyś ją? Ja wygrałam losowanie, ale jeśli chcesz, mogę ją zawołać.

– Lena! Co mogę... dla ciebie zrobić?

Dwer dostrzegł biały błysk – rzadko u niej widywany uśmiech.

– Mógłbyś pozwolić mi się ogrzać. Jej głos brzmiał delikatnie, niemal nieśmiało. – Lena była gorąckrwistą kobietą o bujnych kształtach. Dwer nigdy dotąd nie kojarzył z nią słów "delikatność" i "nieśmiałość".

– Hm... jasne.

Czy nadal śnię? – zastanowił się, gdy położyła się obok, a jej mocne dłonie zaczęły rozpinąć jego ubranie. Gładka skóra kobiety zdawała się płonąć ognistym żarem.

Na pewno tak. Lena, którą znałem, nie pachniała tak ładnie.

– Masz napięte mięśnie – zauważyła, ugniatając jego szyję i plecy z niesamowitą, pełną siły dokładnością. W pierwszej chwili przyczyną westchnień Dwera było złagodzenie napięcia w mięśniach. W jakiś sposób jednak, za każdym razem, gdy stwardniałe palce Leny uciskały i gniotły jego ciało, doznawał wrażeń erotycznych.

Była już w połowie masażu, gdy Dwer osiągnął granice panowania nad sobą i odwrócił się, by łagodnie, lecz zdecydowanie odwrócić rolę. Wciągnął ją pod siebie, wynagradzając jej witalność wigorem nagromadzonym w ciągu tygodni powstrzymanego napięcia. Wydawało się,

że zasób niepokoju i zmęczenia eksplodował w powietrze, w las, w nią, gdy objęła go kurczowo i westchnęła, przyciągając bliżej.

Gdy już wymknęła się z jego postania, zagłębił się w mglistych rozmyślaniach.

Lena sądzi, że mogę zginąć, gdyż moim zadaniem jest być na czele podczas każdej walki. To mogła być ostatnia... jedyna szansa ...

Pograżył się w spokojnym, pozbawionym marzeń śnie, tak czystym i relaksującym, iż naprawdę czuł się wypoczęty w chwili, gdy na postanie obok wsunęło się drugie ciepłe ciało. W owym momencie jego podświadomość rozwiązała już problem, uznając, że kobiety wykazały się stuprocentowym pragmatyzmem.

Danel zapewne będzie jeszcze pod ręką, jest więc sens, żeby wykorzystać to, co ja mam do dania, nim to zniknie.

Nie miał prawa ich osądzać. Misja, jaką miały spełnić na pustkowiu, była trudniejsza. Jego powinność była prosta: polować, walczyć, a jeśli okaże się to potrzebne, zginąć. One musiały żyć dalej, bez względu na koszty.

Nie było nawet konieczne, by obudził się do końca. Jenin nie sprawiała też wrażenia urażonej, że jego ciało wykonało zadanie tylko na w pół przytomne. W najbliższych dniach czekały go najróżniejsze obowiązki. Jeśli chciał im sprostać, musiał po prostu wypoczywać w każdej dostępnej chwili.

Obudziwszy się, zauważył, że jest już midurapo północy. Choć czuł się teraz znacznie lepiej, musiał zwalczyć ogarniający go ospały letarg, by ubrać się i sprawdzić, czy ma ekwipunek: kuszę i kołczan, kompas, szkicownik oraz manierkę u pasa. Następnie zatrzymał się przy tłących się słabo węgielkach, aby podnieść owinięty w liście pakunek, który Jenin zostawiała dla niego każdej nocy: jedyny porządny posiłek, jaki mógł zjeść podczas drogi.

Przez większą część swego dorosłego życia podróżował w pojedynkę, ciesząc się spokojem i

samotnością. Musiał jednak przyznać, że przynależność do zespołu, wspólnoty, miała swoje zalety. Być może pod przewodnictwem Ozawy z czasem zaczęła przypominać rodzinę.

Czy złagodzi to trochę gorycz wywołaną wspomnieniem o dawnym życiu i bliskich pozostawionych w pięknych lasach Stoku?

Miał właśnie ruszyć w drogę, kierując się śladem ursa ku wschodzą cym księżycom, gdy jakiś cichy dźwięk kazał mu się zatrzymać. Kto nie spał i coś mówił. Minął już jednak obie kobiety, które pochrapywał} cicho i (jak sobie wyobraził) były szczęśliwe. Zsunął kuszę z ramienia i ruszył w stronę cichego głosu, raczej zaciekawiony niż niespokojny Wkrótce rozpoznał szept.

Był to rzecz jasna Danel. Z kim jednak mędrzec rozmawiał?

Ukryty za pnem wielkiego drzewa Dwer wyjrzał na małą polanę, gdzie atłasowe światło księżycy oblewało nieprawdopodobną parę. Danel przyklęknął nisko, patrząc prosto w twarz małemu, czarnemu zwierzęciu zwanemu Skarpetką. Dwer nie mógł zrozumieć słów, lecz po tonie i modulacji domyślał się, że Ozawa próbuje zadawać pytania we wszystkich językach po kolei.

Noor odpowiedział mu, wylizując się, a potem spoglądając przelotnie na Dwera, który stał skryty w mroku. Gdy Ozawa przeszedł na drugi galaktyczny. Skarpetka uśmiechnął się, a potem obrócił, by ugryźć się w swędzący bark. Gdy zwierzę ponownie spojrzało na mędrca, wynagrodziło jego wysiłki szerokim ziewnięciem.

Danel wydał z siebie ciche westchnienie, co wyglądało tak, jakb[^] spodziewając się niepowodzenia, uważał, że warto podjąć próbę.

Jaką próbę? – zastanowił się Dwer. Czy mędrzec poszukiwał po mocy magicznej, jak niekiedy próbowali to robić ciemni mieszkańca nizin, traktując noory niczym duszki z jakiejś bajki? A może Ozawa mia nadzieję, że oswoi Skarpetkę, tak jak hoonscy marynarze robili to z tym zwierzętami, które służyły im jako zręczni pomocnicy na rzece? Jedynt nielicznym nie-hoonom udawało się dokonać tej sztuki. Nawet jednał gdyby Danel odniósł sukces, jaki byłby pożytek z jednego noorskiego pomocnika? A może następnym zadaniem Dwera – po uporaniu si[<] z uryjskimi przedterminowymi osadniczkami, a potem hordą Rety – będzie zawrócenie po większą liczbę pobratymców Skarpetki?

To nie miało sensu. Jeśli jakimś cudem Wspólnota ocaleje, wyśle su wiadomość odwołującą ich wszystkich do domu. Jeśli dojdzie do naj gorszego, mieli się trzymać tak daleko od Stoku, jak tylko można.

Cóż, Danel powie mi to, co jego zdaniem powinienem wiedzieć Mam tylko nadzieję, że to nie znaczy, iż zwariował.

Dwer oddalił się ukradkiem i znalazł trop ursa. Ruszył przed siebiei susami. Wkrótce zaczął w to wkładać wszystkie swe siły. Pchało gi

naprzód mimowolne pragnienie zobaczenia tego, co kryło się za następnym cienistym wzniesieniem. Po raz pierwszy od wielu dni Dwer czuł się naprawdę silny. Nie chodziło o to, że wszystkie jego zmartwienia zniknęły. Byt nadal pozostawał czymś kruchym i zagrożonym, co aż nazbyt łatwo można było utracić. Niemniej, gdy przez tę krótką chwilę gnał naprzód, tętnił życiem.

Rety

Sen zawsze kończył się w ten sam sposób, na chwilę przed tym, nim budziła się rozdygotana, przyciskając do piersi miękkie koc.

Śniła o ptaku.

Nie takim, jak wyglądał, gdy widziała go po raz ostatni – bezgłowym, rozciągniętym na laboratoryjnym stole Ranna w podziemnej stacji – lecz takim, jakim go zobaczyła po raz pierwszy. Ruszającym się dziarsko, o upierzeniu przypominającym połyskliwe leśne liście, czujnym i lśniącym,

takim, że głaskało jej duszę.

Jako dziecko uwielbiała obserwować ptaki. Godzinami gapiała się, jak zataczały pętle. Zazdrościła im swobody latania, możliwości wzbicia się w powietrze i pozostawienia kłopotów daleko za sobą. Pewnego dnia jednak Jass powrócił z długiej podróży na południe, chełpiąc się tym, jak wiele zwierząt udało mu się dosięgnąć z łuku. Jednym z nich było fantastyczne, latające stworzenie, które zaskoczył, gdy wyłoniło się z zalewanego przez przypyływ bagna. Ledwie udało mu się umknąć, gdy strzała trafiła je w skrzydło. Oddaliło się trzepoczącym lotem na pomocny zachód, pozostawiając za sobą twardsze niż kamień pióro.

Tej samej nocy, narażając się na straszliwą karę, ukradła z namiotu, w którym chrapali myśliwi, twarde, metalowe pióro, po czym uciekła z plecakiem pełnym jedzenia, by odszukać ów legendarny cud. Szczęście jej sprzyjało. Jej domysł okazał się trafny. Przecięła trasę fruwającego stworzenia. Dostrzegła je, gdy posuwało się z wysiłkiem naprzód, szybując krótkimi zakosami. W ściskającej gardło chwili zrozumienia Rety pojęła, że ptak jest podobny do niej – zranił go ten sam, lubujący się w bezsensownej przemocy mężczyzna.

Patrząc, jak szybko ciągle na zachód, bez chwili odpoczynku, pomyślała, że mają jeszcze jedną wspólną cechę. Upór .

Chciała go dogonić, uleczyć, porozmawiać z nim. Poznać źródła jego mocy. Pomóc mu w osiągnięciu celu, trafieniu do domu. Nawet jednak okaleczony, ptak szybko ją prześcignął. Przez przyprawiającą o ból serca chwilę sądziła, że utraciła go na zawsze...

W tym momencie przykrych emocji, bez chwili przejścia, we śnie pojawiała się inna scena. Ptak znajdował się tuż przed nią, bliżej niż kiedykolwiek dotąd. Miotał się wewnątrz ozdobionej klejnotami klatki, uchylając się przed mgiełką złocistych kropelek o mdłym zapachu... a potem kulił się przed palącymi ostrzami płomieni!

Rety czuła rozpacz, że nie może udzielić mu pomocy, że nie może uratować go.

Wreszcie, gdy wszystko wydawało się stracone, ptak zrobił to, co uczyniłaby na jego miejscu sama Rety. Uderzył ze zrodzoną z desperacji siłą i zginął, by zniszczyć swego dręczyciela, przyczynę swych cierpień.

Przez kilka nocy z rzędu sen kończył się w ten sam sposób. Czyjeś wytrwałe ramiona obejmowały ją, przynosząc zawstydzające bezpieczeństwo, podczas gdy ptak wystrzeliwał własną głowę ku unoszącemu się w górze widmowemu kształtowi. Mrocznemu rywalowi o zwisających, śmiercionośnych kończynach.

Zanosilo się na to, że zemsta okaże się jeszcze jedną z tych rzeczy, które w rzeczywistości nie wyglądały tak, jak to sobie wyobrażała.

Przede wszystkim, w głębi duszy Rety nigdy nie sądziła, że Jass potrafi tak dobrze znosić ból.

Łowca był przywiązany do leżanki znajdującej się wewnątrz wywiadowczego samolotu. Jego wyrazista twarz o regularnych rysach wykrzywiała się, gdy Kunn dotrzymywał złożonej przez siebie obietnicy. Obietnicy, której Rety żałowała odrobinę bardziej za każdym razem, gdy Jass po raz kolejny tłumiał jęk, dławiąc go za zgrzytającymi zębami.

Trudno było przypuszczać, że okaże się odważny – myślała, przypominając sobie wszystkie okazje, gdy Jass puszył się, przechwalał i dręczył innych członków plemienia. Brutale mieli podobno być tchórzami. Tak przynajmniej zwykł mamrotać jeden z dziadków, gdy był pewien, że młodzi myśliwi go nie słyszą. Szkoda, że stary niedołęga nie będzie miał okazji się przekonać, jak bardzo się mylił. Sponiewierany patriarcha zmarł podczas nieobecności Rety wśród wzgórz.

Próbowała zahartować swe serce podczas pojedynku na siłę woli między Kunem a Jassem. Pojedynku, który Jass musiał przegrać.

Chcesz się dowiedzieć, skąd pochodzi ptak, prawda? – zapytała sama siebie. Zresztą, czy Jass nie zasługuje na to wszystko? Czy nie ściągnął tego na siebie własną zaciętością?

Prawdę mówiąc. Rety odegrała pewną rolę we wzmocnieniu oporu myśliwego, co przedłużyło jego męczarnie. Cierpliwe, dociekliwe pytania Kunna następowały na zmianę z chrząknięciami prawdziwie glawer-skiej nieustępliwości wydawanymi przez Jassa, który skręcał się i zlewał potem pod wpływem wstrząsów zadawanych przybyszowi przez partnerującego z gwiazd robota.

Gdy nie mogła już znieść więcej bez mdłości, wysliznęła się bezgłośnie przez właz. Jeśli zajdą jakieś zmiany, pilot będzie mógł ją wezwać przez maleńki guzik komunikacyjny, który ludzie z nieba zainstalowali pod skórą tuż obok jej prawego ucha.

Ruszyła w stronę obozu, starając się sprawiać wrażenie obojętnej, na wypadek gdyby ktoś z przedterminowych osadników obserwował ją z gęstych zarośli.

Tak właśnie o nich myślała. Przedterminowi osadnicy. Dzicy. Nie różniący się zasadniczo od tych nadętych barbarzyńców ze Stoku, którzy uważali się za tak cywilizowanych z tymi swymi wymyślnymi książkami, lecz mimo to byli niewiele więcej niż półzwierzętami uwięzionymi na brudnym świecie, którego nigdy nie będą mogli opuścić. Dla istoty z nieba, takiej jak ona, wszyscy byli tacy sami, bez względu na to, po której stronie Gór Obrzeźnych wiedli żywot ziemnych robaków.

Poczuła zapach obozu, nim zdążyła do niego dotrzeć. Znajoma stęchła mieszanina składała się z woni drzewnego dymu, ekskrementów i źle wygarbowanych skór, z domieszką odoru siarki bijącego z gorących sadzawek, które zawsze przyciągały plemię o tej porze roku: fakt, który ułatwił jej wskazanie Kunnowi drogi do tego miniaturowego kanionu położonego wysoko wśród Szarych Wzgórz. Zatrzymała się w połowie drogi do obozu, by wygładzić lśniący kombinezon, który dała jej Ling wkrótce po tym, jak Rety pierwsza z mieszkańców Jijo weszła na teren podziemnej stacji – bajkowej krainy luksusu i błyszczących cudów. Ling wykapała ją również, oczyściła skórę głowy i zastosowała eliksiry oraz promienie, po których dziewczyna poczuła się czystsza, silniejsza,

a nawet wyższa niż przedtem. Tylko sina blizna po jednej stronie twarzy nadal szpeciła widoczne w lustrze, przeobrażone odbicie, ale zapewniono ją, że ona również zostanie usunięta, gdy wszyscy polecą do "domu".

To teraz też i mój dom – pomyślała Rety. Ruszyła naprzód szybkim krokiem, aż wszelkie odgłosy towarzyszące cierpieniom myśliwego ucichły. Wygnała ze swych myśli wspomnienie wijącego się w męczarniach Jassa, wspominając obrazy, które pokazała jej czwórka z nieba:

wspaniałe, lśniące niczym klejnoty miasto skryte w dolinie o stromych zboczach. Gród baśniowych wież i unoszących się w powietrzu zamków, gdzie szczęśliwy odprysk ludzkości mieszkał w towarzystwie swych ukochanych opiekunów, mądrych, łaskawych Rothenów.

To akurat zbytnio do niej nie przemawiało: perspektywa, że będzie miała panów, którzy będą jej wydawać rozkazy. Nie spodobali się jej też szczególnie sami Rotheni, gdy spotkała dwoje żyjących na stacji. Wydali się jej zanadto ładni i wymuskani, stanowczo zbyt pełni szczęśliwego samozadowolenia. Jeśli jednak Ling i Besh ich kochały, ona chyba również mogła się przyzwycząić do tej myśli. Była zresztą gotowa zrobić bądź znieść wszystko, by dostać się do tego miasta światła.

Zawsze wiedziałam, że moje miejsce jest gdzie indziej – pomyślała, mijając zakręt leśnej drogi. Nie tutaj. Nie w takiej dziurze.

Przed nią rozciągała się zaśmiecona polana, na której wznosiło się pół tuzina nędznych schronień – na szeregi przygiętych do ziemi drzewek narzucono zwierzęce skóry – stłoczonych wokół wykorzystywanego do przygotowywania posiłków ognia, przy którym uwalane sadzą postacie przykucnęły nad martwym zwierzęciem. Dzisiejszy posiłek. Osioł z dziurą wypaloną w samym sercu. Podarunek od towarzyszącego Kunnowi robota, myśliwego i zabójcy.

Ludzie odziani w kiepsko wygarbowane skóry zajmowali się różnymi pracami bądź też po prostu wylegiwali się w samym środku dnia. Mieli brudną skórę, a większość również skołtunione włosy. Śmierdzieli. Po spotkaniu Stekowców – a potem Besh i Ling – trudno jej było sobie wyobrazić, że ci barbarzyńcy to członkowie jej gatunku, a co dopiero plemienia.

Kilka męskich postaci wałęsało się w pobliżu prowizorycznej zagrody. Stłoczono w niej niedawno pojmane obce, które prawie się nie poruszyły od chwili, gdy zagoniono je tam parę nocy temu. Niektórzy

mężczyźni rąbali pniaki drzew maczetami zwędzonymi z zapasów nowo przybyłych, dziwiąc się ostrości wykonanych z buyurskiego metalu narzędzi. Trzymali się jednak z daleka od stosu skrzyń, którego Kunn zabronił im dotykać, dopóki nie zdecyduje, co z tego zniszczyć.

Garstka chłopców siedziała okrakiem na świeżo wzniesionym płocie z ciętych laserem kłód. Zabijali czas, spluwając na uwięzione, a potem śmiejąc się z ich gniewnych skarg.

Nie powinno się im na to pozwolić – pomyślała Rety. Nawet jeśli cudzoziemki to wścibskie krety, które niepotrzebnie tu przyszły.

Kunn wyznaczył jej za zadanie, aby się przekonała, co spowodowało pojmane w te okolice, kazało im pogwałcić ich święte prawo. Rety jednak czuła niechęć, a nawet niesmak do tej roboty.

Ociągając się, spojrzała za siebie, by przyjrzeć się sposobowi życia, na który, jak dawniej myślała, była dożywotnio skazana.

Mimo zgiełku ostatnich kilku dni egzystencja plemienia toczyła się normalnie. Kallish, stary kulawiec, wciąż męczył się w korycie strumienia, obrabiając kamienie na groty do strzał i inne narzędzia, przekonany, że niedawny zalew żelaznych przyborów okaże się przemijającą modą. Zapewne miał rację.

W górze strumienia kobiety brodziły po płycznach w poszukiwaniu mających potrójne muszle sokowych ostryg, które o tej porze roku dojrzewały w wulkanicznym cieple, natomiast wyżej na zboczu, za gorącymi sadzawkami, grupa dziewcząt uderzała tyczkami w pnie iloe-sów, zbierając spadające cierpkie jagody w plecione koszyki. Jak zwykle, większość ciężkich prac wykonywały kobiety. Nigdzie nie było to łatwiejsze do zauważenia niż w pobliżu ogniska, gdzie stara, gderliwa Binni o rękach pokrytych krwią aż ponad łokcie kierowała przygotowaniami do upieczenia osła. Włosy przewodniczki były jeszcze bardziej siwe niż przedtem. Jej ostatnie dziecko umarło. Poirytowana z powodu obrzmiałych piersi Binni syczała na dwie młode pomocnice przez szerokie szpary między żółtobrązowymi zębami.

Mimo tych oznak normalności większość członków plemienia pozostawała w stanie ospałego roztargnienia. Każdy, kto spoglądał w stronę Rety, wzdrygał się, jak gdyby była ostatnią rzeczą na JijoJaką spodziewali się ujrzeć. Czymś bardziej szokującym niż stojący w pozycji pionowej gławer.

Bogini Rety.

Trzymała głowę wysoko.

Opowiadajcie o tym przy ognisku swym śmierdzącym bachorom ai po kres czasu. Opowiedzcie im o dziewczynie, która pyskowała na wielkich, złych myśliwych bez względu na to, co z nią robili. Dziewczynie, która miała już tego dość. Która odważyła się zrobić coś, czego nigdy byście sobie nie wyobrazili. Która znalazła sposób, by zwiąć z tego śmierdzącego piekła i zamieszkać na gwieździe.

Czuła dreszcz za każdym razem, gdy ktoś spoglądał jej przelotnie w oczy i odwracał pośpiesznie wzrok.

Nie jestem jedną z was. Nigdy nie byłam. Teraz wy też to wiecie.

Jedynie Binni nie sprawiała w najmniejszym stopniu wrażenia przytłoczonej widokiem boskiej istoty, którą stała się Rety. W jej metalicznie szarych oczach widniała ta sama stara pogarda i

rozczarowanie. Mająca dwadzieścia osiem lat Binni była młodsza od wszystkich piratów, nawet od Ling. Mimo to wydawało się, że nic na Jijo, czy nawet w niebie, nie mogłoby jej zaskoczyć.

Minęły lata, odkąd Rety ostatni raz nazwała tę starą kobietę "mamą". Nie czuła pokusy, by zrobić to teraz.

Minęła z wyprostowanymi plecami zajęte obrzydliwą robotą kucharki. W głębi duszy poczuła jednak wahanie.

Może to jednak nie był za dobry pomysł, żeby tu przyjść.

Po co spotykać się z tymi duchami, skoro mogła siedzieć w samolocie i radować się zwycięstwem nad odwiecznym wrogiem? Kara, którą otrzymywał Jass, wydawała się jej czymś sprawiedliwym i dobrym, gdy nie musiała już przyglądać się z bliska jego cierpieniom. Ta sprzeczność niepokoiła Rety. Miała wrażenie, że czegoś tu brakuje. Całkiem jakby próbowała nosić mokasyny bez sznurowadeł.

– żona! tu być żona! niedobra żona, zostawić yee samego na tak długo!

Kilku członków plemienia zeszło pośpiesznie z drogi czworonożnemu stworzeniu, które przemknęło galopem obok ich kostek niczym jakaś nietykalna, wszechpotężna istota. W pewnym sensie maleńki ursik faktycznie nią był, gdyż Rety głośno zapowiedziała, że każdego, kto ośmieli się tknąć jej "męża", czekają okropne rzeczy.

yee wskoczył jej w ramiona. Wił się z radości, mimo że czynił jej wymówki.

– żona za długo zostawić yee samego z wrogimi samicami! one proponować yee miękka, ciepłą torbę, kusicielki! Rety wybuchnęła zazdrością.

– Która proponowała ci torbę? Jeśli któraś z tych wywłok... Nagle zrozumiała, że się z nią drażni. Prawie ustąpiło napięcie

w barkach. Wybuchnęła śmiechem. Małe stworzonko wywierało na nią zdecydowanie korzystny wpływ.

– spokój, żona – zapewnił ją. – tylko jedna torba dla yee. teraz do środka?

– Teraz do środka – potwierdziła, odpinając pluszową torbę, którą dała jej Ling. yee wskoczył do środka, umościł się, po czym wystawił głowę i długą szyję, by spojrzeć na nią.

– iść teraz, żona. odwiedzić Ul-Tahni. ta mędrzyni już gotowa mówić.

– Och, naprawdę? Czy to nie sympatyczne z jej strony? Rety nie cieszyła się perspektywą spotkania z naczelniczką cudzoziemskiej grupy. Kunn jednak wyznaczył jej zadanie i ten moment był równie dobry, jak każdy inny.

– No dobra – rzekła. – Posłuchajmy, co ta mulica ma do powiedzenia.

Dwer

Wyglądało na to, że ursy wyrządziły maleńkiej ludzkiej ekspedycji przysługę. Ściągając na siebie śmierć i zniszczenie, zostawiły dla niej ostrzeżenie.

Historię bestialskiego mordu łatwo było odczytać, oglądając w świetle brzasku spalone i połamane drzewa, poczerniałe kratery i rozsypane szczątki niesione przez porywisty, suchy wiatr. Napaść, do której doszło – według oceny Dwera zaledwie kilka dni temu – musiała być krótka, ale straszliwa.

Tarasowe zarysy płaskowyżu nadal były widoczne, choć od wieków łagodziły je erozja i roślinność. Było to dawne buyurskie siedlisko pamiętające czasy ostatniego gatunku, któremu udzielono licencji na wykorzystanie tego świata: legalnych lokatorów mieszkających w niebiańskich wieżach, którzy wiedli swe codzienne życie bez obawy przed otwartym niebem.

Z pozostawionych śladów Dwer odtworzył okropności, do jakich niedawno doszło w tym miejscu. Aż nazbyt żywo wyobraził sobie ogarnięte paniką uryjskie osadniczki, które stawały dęba, kasłały ze

strachu, związały długie szyje i krzyżowały szczupłe ramiona, by osłonić swe cenne torby, gdy grunt wokół nich eksplodował. Słyszał niemal krzyki towarzyszące ich ucieczce z płonącego obozu stromą ścieżką prowadzącą do wąskiego jaru, w którym odciski uryjskich kopyt mieszały się ze śladami ludzkich stóp obutych w prymitywne mokasyny.

Zebrał strzępy ręcznie skręcanych sznurów oraz skórzanych rzemieni. Na podstawie niezliczonych znaków wyobraził sobie liny i sieci spadające na ursy, gdy je chwymano i brano do niewoli.

Czy nie potrafiły się zorientować, że to obława? Latająca maszyna strzelała na boki i wszędzie wokół, by je tu zapędzić. Dlaczego zamiast rozpiechnąć się, zbiły się w gromadę, co umożliwiło pojmanie ich?

Odpowiedź stanowiło kilka połaci lepkiego piasku. Zasadniczym zamiarem mogło być schwywanie, ale latający strzelec nie miał zbytnich skrupułów przed zabijaniem dla postrachu.

Nie osądzaj urs zbyt surowo. Skąd wiesz, jak sam byś zareagował, gdyby wszędzie wokół zaczęły padać błyskawice? Wojna to paskudna sprawa, a my wszyscy wyszliśmy z wprawy. Nawet Drake nigdy nie musiał się mierzyć z czymś takim.

– A więc mamy do czynienia z sojuszem między ludzkimi przedterminowymi osadnikami a obcymi – skonkludowała Lena. – To trochę zmienia sytuację, prawda?

Danel Ozawa miał ponurą minę.

– Cały region jest spalony. To samo, co czeka Stok, z pewnością wydarzy się i tutaj. Czy zrobią to za pomocą epidemii, ognia, czy też polując kolejno na swe ofiary przy użyciu maszyn, oczyszczą tę okolicę równie radykalnie, jak naszą.

Zadaniem Danela było przeniesienie na pustkowie dziedzictwa – zarówno wiedzy, jak i świeżych genów, które miały dodać wigoru mieszkającemu tu już plemieniu ludzi – zachowanie fragmentu życia Ziemi na wypadek, gdyby doszło do najgorszego. Nigdy nie był to spełniany z radością obowiązek. Przypominał raczej misję kapitana łodzi ratunkowej z jakiejś starodawnej opowieści o katastrofie statku.

Dotąd jednak jego podstawą była wątła nadzieja. Teraz w oczach mędrca nie było widać nawet śladu tego uczucia.

– Czy sam przed chwilą nie powiedziałeś, że przedterminowi osadnicy i obcy zawarli sojusz przeciw ursom? – sprzeciwiła się Jenin. – Gwiezdni bogowie nie zwrócą się chyba teraz przeciwko plemieniu?

Przerwała, gdy pozostali popatrzyli na nią. Wyraz ich twarzy był bardziej wymowny od słów.

Pobladała.

– Och.

W kilka chwil później raz jeszcze uniosła brodę.

– Ale nadal nie wiedzą o naszym istnieniu, prawda? Dlaczego więc po prostu nie uciekniemy? Tylko w czwórkę. Co powiesz o północy, Dwer? Już tam kiedyś byłeś. Chodźmy w tamtą stronę!

Danel kopnął jakieś szczątki pozostałe po panicznej ucieczce urs i plądrowaniu, do którego doszło później. Wskazał na wąską rozpadlinę wśród skał.

– Stos możemy urządzić tam.

– Co robicie? – zapytała Jenin, gdy Dwer poprowadził osły w miejsce wskazane przez mędrca i zaczął zdejmować juki.

– Przygotuję granaty – powiedziała Lena, odbijając wieko pojemnika. – Lepiej dołożymy trochę drewna. Przyniosę te porozbijane skrzynie.

– Hej! Pytałam was, o co w tym wszystkim chodzi? Danel ujął Jenin za ramię, podczas gdy Dwer odciągnął na bok część ich zapasów: jedzenie i ubrania oraz kilka podstawowych narzędzi, 7 których

żadne nie zawierało ani kawałka metalu. Na stosie pozostawiono wszystkie książki oraz zaawansowane techniczne urządzenia przyniesione przez nich ze Stoku. Mędrzec zaczął tłumaczyć.

– Sprowadziliśmy tutaj to dziedzictwo, aby zachować na wygnaniu choćby ślady ludzkiej kultury. Czworo ludzi nie może jednak założyć cywilizacji, bez względu na to, ile mają książek. Musimy się przygotować na ewentualność, że wszystko to trzeba będzie zniszczyć.

Ta perspektywa wyraźnie dręczyła Ozawę. Jego twarz, już wcześniej wynędzniała, wydawała się teraz napiętnowana bólem. Dwer odwrócił wzrok, koncentrując się na wybraniu najniezbędniejszych zapasów dla małej grupki ściganych uchodźców.

Jenin zastanowiła się nad tą informacją. Skinęła głową.

– Cóż, jeśli będziemy musieli żyć i zakładać rodziny bez książek, to znaczy, że po prostu wyprzedzimy plan, mam rację? Posuniemy się trochę dalej na Ścieżce...

Przerwała. Danel potrząsał głową.

– Nie, Jenin. Tak się nie stanie. Och, moglibyśmy próbować ocalić życie. Nawet jednak gdyby udało nam się dotrzeć do jakiejś odległej doliny leżącej poza zasięgiem zaplanowanej przez obcych zagłady, nie jest prawdopodobne, byśmy się zdążyli zaadaptować do obcego ekosystemu. Rety powiedziała nam, że liczebność jej hordy spadła w pierwszym pokoleniu o połowę z powodu wypadków i reakcji alergicznych. To typowe dla grup przedterminowych osadników, dopóki się nie nauczą, co można bezpiecznie jeść i czego dotykać. Śmiercionośny proces oparty na metodzie prób i błędów... Czworo ludzi to po prostu za mało.

– Myślałam...

– A pozostaje jeszcze kwestia kojarzenia wsobnego...

– Nie chcesz chyba powiedzieć...

– Nawet jednak gdybyśmy zdołali rozwiązać wszystkie te problemy i tak nic by z tego nie wyszło, ponieważ nie zostaniemy założycielami bandy upadłych barbarzyńców schodzących po spirali ku ciemności, nawet jeśli zwoje nadają owemu losowi najróżniejsze wymyślne nazwy. Ludzie nie przybyli na Jijo w poszukiwaniu Ścieżki Odkupienia.

Dwer podniósł wzrok znad swej pracy. Lena również zamarła w bezruchu, trzymając w ręku grubą rurę z zegarowym zapalnikiem na jednym końcu. Do tej chwili Danel mówił rzeczy, o których Dwer już wiedział. Teraz jednak zapanowała cisza. Czekali, nie śmiejąc się poruszyć, dopóki mędrzec nie wyjaśni swych słów.

Danel Ozawa po raz drugi westchnął głęboko.

– Tajemnicę przekazuje się w każdym pokoleniu tylko nielicznym. Nie widzę jednak sensu ukrywać jej przed waszą trójką. Uważam was za krewnych. Członków rodziny. Tak więc muszę wam powiedzieć, że niektórzy przedstawiciele pozostałych pięciu gatunków byli przerażeni, gdy zbudowaliśmy Biblos. Wielkie Drukowanie zdawało się sugerować, że nie mamy najmniejszego zamiaru zapomnieć. Nasi założyciele musieli się naprawdę gimnastykować, by wyjaśnić ten zalew książek. Nazwali to tymczasowym rozwiązaniem, które miało umożliwić wszy-

stkim gatunkom życie na tyle wygodne, by mogły się skoncentrować na doskonaleniu duszy, dopóki nie przygotujemy się duchowo do zejścia po ścieżce. Oficjalnie jest to długoterminowym celem wszystkich Sześciu gatunków. Założyciele z "Tabemacie" nigdy jednak nie pragnęli, by ich potomkowie wyrodzili się w pozbawionych zdolności mowy przedludzi przygotowanych do adopcji i wspomżenia przez jakiś gatunek gwiazdnych bogów.

Mędrzec przerwał, czekając, aż Dwer odważy się zapytać:

– A więc dlaczego tu jesteście? Danel wrzucił ramionami.

– Wszyscy wiedzą, że każdy gatunek miał ukryte motyw. Ci, którym w domu zabraniano się

rozmnażać, poszukiwali miejsca, w którym mogliby mieć dowolną ilość potomstwa. Albo na przykład g'Keko-wie, którzy opowiadają o prześladowcach ścigających ich po gwiazdnych szlakach.

– A więc ludzie przybyli na Jijo dlatego, że mieszkańcy Ziemi nie mieli pewności, że ocaleją? Ozawa skinął głową.

– Och, pozyskaliśmy garstkę przyjaciół, którzy pomogli Ziemi zdobyć filię Biblioteki. A ponieważ wspomogliśmy dwa gatunki podopiecznych, przyznano nam status opiekunów niskiego stopnia. Niemniej galaktyczna historia nie oferuje zbyt nadziei dla gatunku dzikusów, takiego jak nasz. Już wówczas mieliśmy wrogów. Rada Terrageńska wiedziała, że Ziemia jeszcze przez długi czas będzie podatna na atak.

– A więc załoga "Tabemacie" nie składała się z wyrzutków? Danel uśmiechnął się półgębkiem.

– To bajka wymyślona na wypadek, gdyby kolonistów złapano, żeby rada mogła się ich zaprzec jako renegatów. W rzeczywistości naszych przodków wysłano, by odnaleźli ukryty azyl dla ludzkiego gatunku. – Mędrzec wznosił ręce. – Ale gdzie? Wbrew pogłoskom, nie jest znana żadna trasa wiedząca poza Pięć Galaktyk, w nich zaś wszystkie gwiazdy są skatalogowane, a wiele ma dzierzawców, którzy nie spuszczają z nich oka. Rada Terrageńska przeszukała więc Wielką Bibliotekę, by się przekonać, jak postępowały w podobnej sytuacji inne gatunki. Mimo pewnych minusów, zjawisko "przedterminowych osadników" wydawało się obiecujące.

Lena potrząsnęła głową.

– Jest wiele rzeczy, które przemilczasz. Na przykład to, czym powinniśmy się zajmować podczas ukrywania się tutaj, jeśli naszą misją nie jest zejście w dół po ścieżce.

– Jeśli nawet Lester czy pozostali to wiedzą, mnie nic nie powiedzieli – przyznał Danel. – Może mamy tylko siedzieć cicho i czekać, by wszechświat się zmienił. To zresztą nie ma już większego znaczenia. Jeśli naszą kulturę czeka koniec, nie przyczynię się do tego, byśmy kontynuowali egzystencję jako nieszczęsne niedobitki i płodzili dzieciaki, które będą dzikimi barbarzyńcami.

Jenin chciała coś powiedzieć, lecz zacisnęła wargi.

– Wiemy przynajmniej, że Ziemia przetrwała te kilkaset lat – rzucił Dwer.

– Ale piraci mówią, że doszło do kryzysu – zauważyła Lena. – I że Ziemia jest w samym jego centrum. Danel odwrócił wzrok, zaciskając zęby.

– Hej – wtrącił Dwer. – Czy ludzie z nieba nie są dokładnie tym, czego chciała Rada Terrageńska? Odłamem ludzkości, który mieszka gdzieś daleko, zabezpieczony przed tym, co może wydarzyć się na Ziemi? Ci goście, których spotkaliście na Polanie, mają tych swoich Rothenów, którzy ich obronią.

Danel wypuścił powietrze z płuc.

– Być może. Któż jednak potrafi przewidzieć, czy poddani podobnemu wpływowi zachowają człowieczeństwo? Fakt, że mają nas zamordować kuzyni, jest stanowczo zbyt ironiczny.

Mędrzec otrząsnął się, jak gdyby strącał z siebie pajęczyny.

– Jte^P^ioy .ateS. JS&^ to wszystko nie bidzie mo^to służyć cywilizowanemu plemieniu wygnanych Ziemian, wykonajmy przynajmniej swój obowiązek wobec tego świata i nie pozostawmy odpadów. Leno, nastaw zegar na jeden dzień od dzisiaj, na wypadek, gdybyśmy nie wrócili.

– Wrócili? – Lena podniosła wzrok znad swej pracy. – Sądziłam, że dajemy za wygraną...

Odskoczyła do tyłu, gdy mędrzec odwrócił się błyskawicznie z odrobiną dawnego ognia w oczach.

– Kto mówił coś o dawaniu za wygraną! Co się dzieje z waszą trójką? Popatrzcie na swoje twarze! Czy załamięcie się z powodu drobnej komplikacji?.'

Drobna komplikacja? – zastanowił się Dwer, spoglądając na blizny po eksplozjach i zwalone drzewa otaczające uryjski obóz.

– Nie rozumiem. Mówiłeś, że nie możemy wykonać zadania.

– I co z tego? – zapytał Danel Ozawa. – Umiemy się przystosować. Zmienimy zadanie! Nie jesteśmy już kolonistami. No to co? Możemy być wojownikami.

Rety

Pograżone w rozpacz więźniarki leżały w błotnistych dołach. Spuściły szyje. Śmierdziały już, po dwóch dniach zamknięcia w wilgotnej zagrodzie. Trzynaście urs tęskniło za jałowym płaskowyzem, na którym się osiedliły, lecz bojowy statek powietrzny przeleciał z wizgiem nad ich obozem, ciskając bez ostrzeżenia błyskawice i zaganiając te, które ocalały, w stronę Jassa i innych myśliwych, czekających już z szorstkimi sznurami.

W ten sposób Kunn dotrzymał umowy i uwolnił wzgórze od nowej plagi znieawidzonych urs. Jass miał w zamian za to wskazać mu drogę do miejsca, w którym obaj z Bomem po raz pierwszy ujrzeli latające ptakopodobne urządzenie. Nikt nie wiedział, dlaczego później porozumienie zerwano, dlaczego Jass zmienił nagle zdanie, wołając poddać się "pieszczotom" robota, niż dać pilotowi to, czego ten chciał.

Nikt oprócz Rety.

Binni mawiała, że nie warto sprzeciwiać się mężczyznom, którzy mogą cię zbić, jeśli ich rozzłościysz. Lepiej kierować bydlakami za pomocą słów. Niech myślą, że to od początku był ich pomysł.

Ale ja nie przestawałam pyskować, prawda?

Cóż, w końcu spróbowałam twojej metody, Binni, i wiesz co? Miałaś rację. Nie mogłabym zrobić Jassowi większej krzywdy niż ta, którą ściąga teraz na siebie sam.

Wejścia do zagrody uwięzionych pilnował Bom. Krzepki myśliwy pośpiesznie otworzył bramę na rozkaz Rety, ani razu nie spoglądając dziewczynie w oczy. Wiedział, gdzie jest teraz jego koleżka. Z dwóch powodów nie podzielił jego losu. Po pierwsze, miał bardzo mamą

orientację w terenie. Sam nigdy nie odnalazłby miejsca, w którym obaj z Jassem po raz pierwszy ujrzeli metalowego ptaka.

Drugim powodem był kaprys Rety. Nikczemna uniżoność Borna sprawiała jej większą satysfakcję niż krzyki. Ten brutal bał się tak, że omal nie próbował wyskoczyć ze służącej mu za spodnie szmaty.

Gdy spojrzała spode łba na chłopców plujących na uwięzione, zeskoczyli z płotu i uciekli. Ściągał ich jej suchy śmiech. Dawniej dzieciaki z plemienia również się do niej nie odzywały.

Weszła do zagrody.

Ul-Tahni, naczelniczka pechowych urs, przywitała Rety zgrabnym pochyleniem długiej szyi. Z otoczonego posiwiąłą obwódka pyska popłynął strumień gwizdów i mlasków. Wreszcie Rety jej przerwała.

– Dość już tego! – nakazała. – Nie rozumiem tego szwargotu.

– Frzewraszan. Twój strój oszukuje oko, tworząc iluzję sfotkania zjestestwen na galaktycznym fozionie. Rety uniosła głowę.

– To nie ii... iluzja. Tym właśnie jestem.

Mam taką nadzieję – dodała w głębi ducha. Rann i pozostali mogli zmienić zdanie przed przybyciem statku, zwłaszcza że dała im już wszystko, co miała do zaoferowania. Gdyby jednak piraci dotrzymali słowa, i tak musiałyby się z czasem nauczyć wszystkich tych zwariowanych języków, których używano wśród gwiazd.

– Ponownie wyrażam żal, że cię uraziłam. A więc to frawdza? Nie-szkankę nieszczęsnej jijańskiej fustyńi adoftowano i frzyjęto do klanu gwiezdnych wiegaczy? Ależ z ciewie szczęśliwa nłódka.

– Aha – odparła Rety, zastanawiając się, czy to miał być sarkazm. – Słyszałam od yee, że jesteś

gotowa powiedzieć nam, co robi twoja banda za Górami Obrzeźnymi.

Z posiwiąłego pyska wydobyło się długie westchnienie.

– Frzywyłyśny tu, okrywając się hańwą, wy założyć kolonię, sekretny azyl dla naszego gatunku.

Rety chrząknęła.

– To oczywiste. Ale dlaczego tu? Dlaczego teraz?

– Wiadono już, że to niejsce nadaje się do zaniezkania... jest odfowiednie dla Zienian, a co za tyn idzie i osłów, od których jesteśny zależne. Sana to fotwierdziłaś.

– Aha. – Ul-Tahni musiała być wśród młodszych mędrców obe-

cnych w namiocie, gdy Rety składała relację Najwyższej Radzie. – Mów dalej.

– Co zaś do naszego fośfiechu, to chciałyśny uniknąć losu, który wkrótce czeka Stok: unicestwienia frzez gwiezdnych frzestęfców. Rety zareagowała gniewem.

– Słyszałam już to cholerne kłamstwo. Nigdy nie zrobiliby czegoś takiego!

Ul-Tahni zakołysała głową.

– Wyznaję swój wład. Tak wsfaniałe jestestwa z fewnością nie fonordowaływy istot, które nie wyrządziły in żadnej szkody, ani nie ciskaływy śnierci weź ostrzeżenia z fochurnego niewa.

Tym razem sarkazm był łatwy do rozpoznania. Rety spojrzeła na młodą uryjską średniaczkę o boku paskudnie poparzoną przez ciepłą wiązkę wystrzeloną przez latającego robota.

– To był po prostu wasz pech, że wpadliśmy tu z wizytą, aby zapytać o drogę, i akurat trafiliśmy na wojnę między wami a moją dawną rodziną.

– Nie wojnę. Przejściowy sfor. Nie ny go wy wołały sny. Twoi kuzyni frzeżyli rzecz jasna szok na nasz widok. Naszyn zaniaren wyło frzewyciężyć ich odruchową wrogość konsekwentną zyczliwością. Wzwudzić ich serdeczność darani i ofertani fonocy.

– No pewnie. – Rety wiedziała, jak dawne uryjskie klany traktowały wczesnych ludzkich osadników. – Założę się też, że liczyłyście na waszą broń, na to, że jest lepsza od tej, którą można znaleźć tutaj.

Znowu rozległo się westchnienie, które zabrzmiało jak parsknięcie.

– Tak jak twoi wsfólnicy zniazdzyli nas, używając fotęgi znacznie większej niż nasza? To wzwudza zaciekawienie, czy nożna wy dokonać ektrafolacji owego łańcucha nierównych sił?

Rety nie podobał się zamyślony wyraz paciorkowatych uryjskich oczu.

– Co mówiłaś?

– To donysł. Czy nie nogływy istnieć siły fotężniejsze od twoich nowych fanów w takin sanyn stofniu, w jakin oni są fotężniejsi od nas? Czy we wszystkich szerokich galaktykach nożna kiedykolwiek nieć fewność, że wywrało się właściwą stronę?

Te słowa sprawiły, że wzdłuż kręgosłupa Rety przebiegły ciarki. Przypomniały jej o niedawnych, niepokojących snach.

– Nic nie wiesz o galaktykach i takich rzeczach. Nie udawaj... W tej właśnie chwili przerwał jej nagły skowyt yee, który wystawił głowę z torby, kwiląc z niepokoju. Podobnie zareagowali mężowie uwięzionych, którzy wysunęli się z toreb i z wyciem zwrócili głowy na południe. Większe samice podążyły wkrótce za ich przykładem, gramoląc się na nogi.

Rety zaniepokoiła się. Czy to był bunt? Nie, najwyraźniej coś je denerwowało.

– Co słyszysz? – zapytała yee.

– silnik! – odpowiedział ursik, skręcając w korkociąg ruchliwą szyję.

W chwilę później Rety również wyczuła odległy dźwięk. Podniosła dłoń ku zgrubieniu w pobliżu ucha i nacisnęła je.

– Hej, Kunn! Co się dzieje?

Nastała długa przerwa, podczas której otwarta linia przekazywała słyszalne w kabinie odgłosy: trzask przełączników i obroty silnika. Wreszcie obok jej czaszki zabrzmiał głos pilota.

– Jass zdecydował się na współpracę, więc wyruszamy na poszukiwanie miejsca, skąd pochodzi twój metalowy ptak.

– Ale ja też chcę polecieć! Odpowiedź Kunna była chłodna.

– Jass wyznał mi wszystko, w tym również powód, dla którego tak mocno się opierał. Wygląda na to, iż przekonałaś faceta, że go wykończę, gdy tylko powie mi wszystko, co wie. Że będzie żył tylko do tego momentu. Dlaczego nagadałaś temu biednemu sukinsynowi takich rzeczy, Rety? To spowodowało niedogodności i niepotrzebny ból.

Niepotrzebny dla ciebie, ale diabelnie ważny dla mnie! – pomyślała Rety. Zemsta stanowiła jedynie częściowy motyw, dla którego podjęła próbę manipulacji Jassem. Sama z siebie byłaby jednak wystarczająca.

– Kunn, nie zostawiaj mnie. Jestem teraz jedną z was. Tak powiedzieli Rann i Besh, a nawet Ropol!

Poczuła się nagle mała i całkiem bezbronna. Z przodu były ursy, a z tyłu, za bramą. Bom. Otaczali ją też inni, którzy na pewno z zachwytem przyczyniliby się do jej upadku. Zakryła usta i ściszyła głos.

– Przedterminowi osadnicy zwrócą się przeciwko mnie, Kunn! – wyszeptała nagle do małego nadajnika. – Wiem to!

– Może trzeba było pomyśleć o tym wcześniej. – Znowu nastąpiła

długa przerwa. Nagle Kunn dodał: – Gdyby Rann nie nalegał na zachowanie dalekosiężnej ciszy radiowej, mógłbym obgadać to z pozostałymi przed podjęciem decyzji.

– Jakiej decyzji?

– Czy zabrać cię z powrotem, czy zostawić w miejscu, z którego wyszłaś.

Rety stłumiła drżenie, które po niej przebiegło, gdy usłyszała ostre słowa Kunna. Wydawało się, że jasna wieża nadziei za chwilę się zawali.

– Wiesz, co ci powiem. Rety. Zostawię tu robota, żeby cię pilnował. Dopóki nie wrócę, będzie robił wszystko, co mu każesz. Nie nadużywaj tego przywileju.

Serce zabiło jej szybciej, gdy usłyszała słowa: "Dopóki nie wrócę".

– Obiecuję!-wyszeptała gorąco.

– Możesz to uznać za drugą szansę. Przepytaj ursy. Zniszcz ich broń. Nie pozwól nikomu opuścić doliny. Jeśli wykonasz dobrą robotę, możemy, gdy wrócę, o wszystkim zapomnieć, pod warunkiem, że moje polowanie wypłoszy wreszcie zwierzynę. Bez odbioru.

Rozległ się trzask. Odgłosy z kabiny umilkły. Rety stłumiła pragnienie, by nacisnąć guzik i jeszcze raz wykrztusić prośbę, by zabrał ją ze sobą. Zaciśnęła z zawziętością zęby i wdrapała się na sztachety, by patrzeć, jak srebrzysta strzała wylatuje z wąskiego kanionu, zawraca w porannym świetle i mknie na południe, zostawiając ją z sercem zimnym i jałowym niczym lodowiec.

Dwer

Wioska przedterminowych osadników była gorącym miejscem, które przycupnęło u wejścia do kanionu wypełnionego gęstym, przesyconym siarką, znieruchomiałym powietrzem.

Piekielnym miejscem z uryjskiego punktu widzenia.

Z wysoko położonego punktu obserwacyjnego, w którym usadowił się Dwer, widać było uwięzione, które tłoczyły się w ciasnej zagrodzie. Opuściły długie szyje i leżały znieruchomiełe, całkiem jak atmosfera.

– Doliczyłam się około tuzina, nie włączając martwych. Tak jak mówiłeś – zauważyła Lena, spoglądając przez swój składany teleskop. – Chyba będzie jeszcze z ciebie tropiciel, mój drogi

koleżko.

– Dzięki, królowo zakazanych urządzeń – odparł Dwer. Zaczynał się już przyzwyczajać do sposobu bycia Leny. Jej wypowiedzi zawsze musiały brzmieć choć trochę kąśliwie, nawet gdy wypowiadała komplement. Była jak spoczywający na kolanach noor odplacający za pieszczoty zatapianiem na chwilę pazurów w udzie. Zabawne było to, że naprawdę zaczynał się już przyzwyczajać do myśli o spędzeniu reszty życia z obydwoma kobietami, Danelem i zaginionym plemieniem ludzkich wygnańców. Nawet odkrycie uryjskiej inwazji nie uczyniło tego pomysłu absurdalnym. Danel miał rację. Istniała możliwość połączenia wysiłków.

Teraz jednak podobne wizje stały się nieaktualne. Po lewej spoczywał powód tego faktu – srebrzystoszara maszyna przypominająca kształtem hoońskie cygaro z krótkimi, grubymi skrzydłami. Był to pierwszy wykonany przez obcych przedmiot, jaki ujrzał od owego wieczoru, gdy w legowisku mierzwopająka jego i Rety omal nie zabił unoszący się w powietrzu robot.

Podniebny wehikuł nie powinien był znaleźć się na tym pustkowiu.

Oznaczał on unicestwienie wszelkich planów.

Nie miał też prawa wyglądać tak pięknie.

Dwer był dumny z położonego wysoko na ścianie kanionu punktu obserwacyjnego. Widać z niego było wszystko od wioski poprzez gorące sadzawki aż po latającą maszynę siedzącą w gnieździe ze zmiążdżonej roślinności.

– Lepiej by było, gdyby te kmioty przestały się ruszać. Trudno jest ich policzyć jak należy – poskarżyła się Lena. – Dobrze chociaż, że dziewczynka mówiła, iż miejscowi brutalnie nie pozwalają kobietom używać broni, możemy więc nie brać ich pod uwagę, jeśli chodzi o walkę.

Pociągnęła pogardliwie nosem na myśl o podobnym marnotrawstwie zasobów.

Dwer wolałby nie walczyć z jijańskimi ludźmi, którzy na dodatek są w zмовie z obcymi. Zresztą ich jedyną realną szansą było całkowite zaskoczenie.

Dzielili ze sobą ciasną półkę skalną. Dwer poczuł, że pierś Leny przyciska się do jego ramienia, lecz nie wywołało to u niego podniecenia. Ich ciała zdawały się rozumieć, że zaszła zmiana. Skończyły się namiętne chwile, nie miało już być stanowiących afirmację życia ge-

stów. Seks i podział na płcie były ważne dla kolonistów zamierzających założyć rodzinę, lecz nie dla grupy napastników mających siał zniszczenie. Jedyną liczącą się teraz sprawą były umiejętności oraz możliwość liczenia na siebie nawzajem.

– Wygląda na standardowy atmosferyczny samolot wywiadowczy – stwierdził Danel Ozawa. – Z pewnością przystosowany do walki. Żałuję, że nie mamy chociaż jednej książki dotyczącej galaktycznej techniki. Podaj mi ten teleskop, dobrze?

Podobnie jak u Dwera i Leny, na twarzy Danela widniały teraz wymalowane węglem drzewnym zygzakowate smugi, które miały zmylić rozpoznające obrazy urządzenia optyczne śmiercionośnych obcych maszyn. Dwer wolał je uważać za barwy wojenne.

– A niech mnie... – mruknął Danel. – Popatrz no tam. Chyba już wiemy, w jaki sposób gwiazdni bogowie znaleźli to miejsce.

Gdy Dwer wziął w rękę teleskop, pierwszą rzeczą, którą zauważył, był uchylony lekko właz odsłaniający część wnętrza kabiny, w tym również szeregi urządzeń sterujących.

Gdybyśmy tylko byli wystarczająco blisko – pomyślał. Drzwi są otwarte i nigdzie nie widać pełniącego straż robota...

– Popatrz trochę na prawo, w górę ścieżki – nalegał Danel. Dwer zaczął przesuwając teleskop w tamtą stronę. Po chwili dostrzegł idącą w stronę obozu przedterminowych osadników małą postać odzianą w jeden z używanych przez obcych jednoczęściowych kombinezonów.

– Na Wielkie Jajo Ifni! -jęknął.

– Co jest? – zapytała Lena i wyrwała mu teleskop. Dwer przetoczył się na plecy i zaczął się gapić przez splątane gałęzie na pochmurne niebo.

– No, no – mruknęła Lena. – Wygląda na to, że jednak w końcu nas dogoniła.

– Trzeba ją było udusić, kiedy ukradła mi kuszę, albo zostawić temu cholernemu pajakowi.

– Wcale tak nie myślisz, synu – skarcił go Danel.

Dwer wiedział, że mędrzec ma rację. Mimo to zaczął utyskiwać.

– Tak ci się zdaje? Od początku były z nią tylko kłopoty. Teraz wszystko zepsuła.

– Może ją zmuszono.

W głosie mędrca nie było jednak przekonania. Gdy po kolei spoglądali przez teleskop, zauważyli ubranie dziewczyny, jej nową fryzurę i pewny krok. Weszła do obozu tak, jakby była jego właścicielką.

– Poszła zobaczyć się z uwięzionymi – zameldowała w chwilę później Lena. – Teraz rozmawia z jedną z nich... Te biedne ursy naprawdę wyglądają na umęczone.

Cmoknęła. Było widoczne, że w jej współczuciu kryje się coś więcej niż sarkazm.

– Szkoda, że nie widzę dokładnie...

Przerwała, gdy Dwer złapał ją nagle za ramię; słychać było jakieś irytujące wysokie zawodzenie, które drażyło wnętrze czaszki. Noor zajazgotał, potrząsając głową i kichając. Po chwili hałas stał się niższy i wystarczająco głośny, by usłyszeli go pozostali. Nawet Jenin, która trzymała straż na zboczu, syknęła zaniepokojona.

Jazgot dobiegał od samolotu. Dwer zacisnął zęby.

– Coś wylazi na zewnątrz! – zawołała Lena, obracając teleskop. – To robot!

Dwer ujrzał, jak znad statku, którego właz zaraz się zamknął, unióś się czarny punkt. W powietrze wzbil się kurz, gdy brzęczące silniki uniosły w górę wywiadowczą maszynę. Choć szary samolot o kształcie grotu strzały był większy niż dom, w którym wychowywał się Dwer, oderwał się od ziemi łagodnie i obrócił lekko, kierując dziób niemal wprost na południe. Niebiosa rozbrzmiały echem jego ostrego warkotu. Maszyna ruszyła naprzód, oddalając się szybciej niż cokolwiek, co widział w życiu.

– Cholera – zaklął Danel. – Umknęła nam najlepsza szansa. Lena nie patrzyła na odlatujący wehikuł. Jej oczy śledziły czarnego robota, który kierował się teraz ku plemiennej wiosce.

– Nie martw się – uspokoiła go. – Chyba będziemy mieli następną.

Gławery wróciły. Głupie zwierzaki nie mogły wybrać bardziej nie sprzyjającego momentu, by się przyczepić!

Musiały powoli podążać za nimi aż od wczorajszego obozu. Teraz kwiliły rozczarowane widokiem i zapachem cuchnącego parowu, lecz nie powstrzymało ich to przed ruszeniem za Dwerem, gdy ten wyszedł zza osłony lasu i skierował się w stronę skupiska prymitywnych chat.

Obejrzał się na Lenę Strong, która przysiadła na skraju ostatniej linii

drzew. Uniosła brwi, niemo pytając, czy chce, żeby zastrzeliła kretyńskie zwierzęta. Zaprzeczył potrząśnięciem głowy. Były niebezpieczne tylko dla człowieka, który chciał się ukrywać. W tej chwili jednak Dwer nie miał nic przeciwko temu, aby być widocznym. W gruncie rzeczy, o to mu właśnie chodziło.

Gdy jednak przechodził obok butwiejącej kłody, kopnął w nią szybko kilka razy i odsłonił skupisko rojących się wewnątrz robaków. Odwróciło to uwagę glawerów, które jęknęły z zachwytem i runęły na zdobycz.

Teraz irytował go tylko noor, który przemykał przez łąkę, czasem przebiegając mu między nogami.

Dwer starał się ignorować Skarpetkę. Zarzuciwszy sobie kuszę na ramię, szedł z udawaną

noszalancją przez zniszczony obszar pełen wyszczerbionych pniaków ku krzątającemu się plemieniu przedterminowych osadników. Zagroda uwięzionych leżała w odległości jednej czwartej strzału z łuku na lewo, chaty zaś znajdowały się po prawej. Na wprost przed nim ognisko buchało dymem, który kłębił się leniwie w powietrzu, jak gdyby nigdy nie miał się rozwiać.

No jazda, ludzie – pomyślał Dwer, gdy pokonał już ponad połowę miniaturowej łąki i nadal nikt go nie zauważał. Czy nie wystawiacie żadnych straży?

Wydał wargi i zaczął gwizdać Yankee Doodle – pierwszą melodię, jaka przyszła mu na myśl.

Wreszcie jeden z dzieciaków gapiących się na uwięzione ursy spojrział w jego stronę, wytrzeszczył oczy, gdy dotarło do niego, co widzi, po czym rozdarł się, wskazując na Dwera.

Cóż, wszystko dobre, co się okazuje skuteczne.

Jeszcze tydzień temu mogliby zareagować inaczej. Ludzie ci od pokoleń nie widywali nieznajomych. Teraz, po kontakcie z uryjską bandą, latającymi obcymi oraz zaginioną kuzynką przeobrażoną w boginię, znieśli jego przybycie całkiem nieźle. Tylko trzy czwarte uciekło, wrzeszcząc z przerażenia. Pozostali gapili się na niego, wybałuszając oczy. Gdy nie okazał agresji, ruszyli powoli naprzód, zbici w gromadę.

Dwer gestem przywołał jednego z chłopców.

– Tak jest, ty! Nie bój się, nie gryzę.

Przykucnął, by go bardziej ośmielić. Chłopak, brudny urwis, wyglądał na takiego, dla którego zademonstrowanie odwagi jest równie ważne, jak życie. Dwer znał ten typ. Gdy patrzyli na niego inni, dzieciak

wolałby raczej zginąć, niż okazać strach. Wypiął pierś i postąpił kilka kroków w stronę przybysza, oglądając się za siebie, by się upewnić, czy pozostali zauważają jego męstwo.

– Cóż za dzielny młody człowiek – powiedział Dwer. – A jak masz na imię?

Chłopak był zakłopotany, całkiem jakby nikt dotąd nie zadał mu tego pytania. Czyż wszyscy na świecie nie dorastali, znając nawzajem swe imiona?

– Dobra, nieważne – powiedział Dwer, zdając sobie sprawę, że tłum staje się gęstszy, w miarę jak ciekawość przewycięża strach. – Mam dla ciebie zadanie. Jeśli się z nim uporasz, dostaniesz ode mnie coś niezwykłego. Rozumiesz? Świetnie. Pójdź, proszę, do Rety. Powiedz jej, że ktoś, kogo zna, czeka na nią... – Odwrócił się i wskazał w kierunku, z którego przyszedł – ..tam. Przy drzewach. Dasz radę to zapamiętać?

Chłopak skinął głową. Chciwość zastąpiła już strach.

– A co dostanę?

Dwer wyciągnął z kołczana strzałę. Wykonali ją najlepsi rzemieślnicy w Ovoom. Była zupełnie prosta, a jej grot z ostrego jak brzytwa buyurskiego metalu lśnił w blasku słońca. Chłopak wyciągnął rękę, lecz Dwer szybko schował strzałę.

– Najpierw przyprowadź Rety.

Gdy spojrzeli na siebie przelotnie, w ich oczach było zrozumienie. Chłopak lekko wzruszył ramionami, po czym pobiegł do przodu, przeciskając się przez tłum i krzycząc ze wszystkich sił. Dwer wstał, mrugnął do gapiących się na niego członków plemienia i ruszył niespiesznie w kierunku lasu, gwizdząc od niechcenia. Obejrzawszy się za siebie, dostrzegł, że znaczna część klanu w bezpiecznej odległości podąża za nim. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem.

Do diabła – zaklął na widok glawerów. Zjeżdżajcie stąd, dobra?

Skończyły żerować przy zbutwiałej kłodzie i ruszyły niespiesznie w jego stronę. Dwer martwił się, że na widok mieszkańców wioski mogą wpaść w panikę i pognać w kierunku zagrody dla uwięzionych. Samica zwróciła jedno z kulistych oczu ku zbliżającemu się tłumowi, a zaraz podążyło

za nim drugie, co było niedwuznaczną oznaką zaniepokojenia. Parsknęła. Jej partner wznosił się na tylne łapy z zaskoczenia i trwogi.

Odwróciły się błyskawicznie i uciekły dokładnie w tym kierunku, którego obawiał się Dwer!

Dzięki wykształcającemu się u tropicieli wyczuciu światła i cienia dostrzegł Jenin Worley, która przykucnęła na skraju lasu, w punkcie, gdzie zbliżał się on najbardziej do więziennej zagrody. Jednym z celów Dwera było odciągnięcie uwagi od tego miejsca.

Ściągnął kuszę z pleców i nałożył strzałę, gdy nagle Skarpetka stanął słupka w wysokiej trawie tuż przed glawerami, machając przednimi łapami i sycząc. Zwierzęta zatrzymały się nagle i błyskawicznie zmieniły kurs. Oddaliły się cwałem. Noor podążał z ujadaniem tuż za nimi.

Tubylcom z jakiegoś powodu wydało się to straszliwie zabawne. Nie miało dla nich znaczenia, że nigdy dotąd nie widzieli noora. Parsknęli śmiechem. Wskazywali palcami i rechotali głośno z niedoli glawerów, bijąc brawo, całkiem jakby Dwer urządził to przedstawienie specjalnie dla nich. Odwrócił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu, zarzucając sobie kuszę z powrotem na ramię. Właśnie w tę stronę chciał skierować ich uwagę.

Tłum ucichł nagle, gdy na Dwera padł cień. Niesamowity dźwięk sprawił, że wzdłuż kręgosłupa przebiegły mu ciarki. Osłonił oczy przed blaskiem słońca i popatrzył na unoszący się w powietrzu znajomy czarny przedmiot ze zwisającymi wtkami, który przypominał pewnego wciąż dręczącego go w snach demona, strzelającego ogniem potwora, pogromcę starego mierzwopajaka z gór. Mimo jasnego półcienia, który otaczał maszynę niczym jaskrawa aureola, Dwer dostrzegł tę samą, ośmiokątną symetnię. Na tym robocie ujrzał jednak przygarbioną sylwetkę siedzącą na jednym z wystających ramion.

– No proszę. A więc jednak udało ci się dotrzeć aż tutaj – oznajmiła. – Nieźle jak na Stekowca. Chyba nie jesteś mięczakiem, chociaż po tej podróży zrobił się z ciebie szmaciarz. Widziałam cię już w lepszym stanie, Dwer.

– Dziękuję, Rety – odparł, przesuwając się w bok, by nie oślepiła go słońce. Chciał poza tym znaleźć się bliżej lasu. – Ty za to nigdy nie wyglądałaś tak dobrze. Wybrałaś łatwą drogę?

Jej chichot zabrzmiał ochryple, całkiem jakby ostatnio nie śmiała się zbyt często.

– Odrzuciłam propozycję waszych mędrców, którzy chcieli, że-

bym lazła tu na piechotę, prowadząc bandę niedołęgów. Po co iść, pomyślałam sobie, kiedy można polecieć?

Teraz już widział ją wyraźnie. Pomijając starą bliznę, wydawała się "odpicowana", jak mawiano w niektórych dzielnicach Tarek. Lecz w jej oczach ciągle czaiła się ta sama posepna ostrożność.

Po raz pierwszy miał też okazję przyrzeć się uważnie obcej maszynie. Jej boki tworzyło osiem jednakowych prostokątów, czarnych, bez połysku, które wyglądały, jakby promienie słońca miały trudności z odbijaniem się od nich. Pod nimi, z obu stron kuli usianej szklanymi fasetami i metalowymi rurami, zwisała groźnie para mackowatych ramion. Danel ostrzegał go, by uważał na tę kulę. Na szczycie, gdzie znajdowało się siodło Rety, powierzchnia robota wyglądała na płaską, pomijając wznoszącą się na środku wieżę. Danel zidentyfikował ją jako "antenę".

Dwer wskazał głową w kierunku unoszącej się w powietrzu maszyny.

– Wygląda na to, że znalazłaś sobie nowych przyjaciół. Rety. Dziewczyna ponownie parsknęła śmiechem przypominającym ostre szczeknięcie.

– Ci przyjaciele zabiorą mnie do miejsc, których ty nigdy me zobaczysz.

Wzruszył ramionami.

– Nie mówię o gwiazdnych bogach. Rety. Chodzi mi o tego przyjaciela, który cię tu przywiózł. Gdy poprzednim razem widziałem jedną z tych maszyn, chciała zabić nas oboje...

Przerwała mu.

– Wiele się od tego czasu zmieniło, Dwer.

– .. i, aha, spaliła też tego ptaka, na którym tak ci zależało. No cóż. Pewnie czasem bardziej się opłaca przyłączyć do tych, którzy...

– Zamknij się!

Reakcją robota na gniew Rety był jego nagły zwrot w stronę Dwera. Ten cofnął się. Zauważył widoczne pod masywnym korpusem maszyny poruszenie sferycznego skupienia soczewek i rurek, które obracało się płynnie, śledząc go. Podszept intuicji kazał Ozawie nazwać je gondolą bojową. Wszystko, co teraz Dwer odczuwał, potwierdzało domysł mędrca.

Za plecami Rety zebrał się tłum złożony z większej części ludzkiego plemienia. Tubylcy obserwowali konfrontację między obdartym nieznanym a ich krewną, która spętała latającego diabła. Musieli to uważać za nierówny pojedynek.

Niektóre rzeczy są dokładnie takie, jakimi się wydają. Dwer dostrzegł błyskawiczny ruch w okolicach więziennej zagrody. Jenin przystąpiła do akcji.

– I co? – zapytała Rety, spoglądając na niego z góry.

– A co ma być?

– Kazałeś mi tu przyjść, idioto! Czy lałeś przez połowę świata tylko po to, by spróbować wzbudzić we mnie poczucie winy? Dlaczego nie trzymałeś się z daleka, kiedy zobaczyłeś, co się tu dzieje?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie. Rety. Co tu robisz? Popisujesz się przed rodziną? Wyrównujesz rachunki? Czy gwiazdni bogowie z jakiegoś powodu potrzebują przewodnika po tym zapadłym zakątku Jijo?

Przez jej twarz przemykały rozmaite uczucia. Na koniec zwyciężył suchy śmiech.

– .. .zapadłym zakątku? To mi wszystko mówi. – Zachichotała raz jeszcze, po czym nachyliła się nad nim. – A czego szuka Kunn, nie mogę ci powiedzieć. To tajemnica.

Rety nie potrafiła blefować.

Nie masz bladego pojęcia i to cię irytuje – pomyślał Dwer.

– No i gdzie jest ta banda Stekowców, którą miałeś tu przyprowadzić? – zapytała.

– W ukryciu. Ja ruszyłem naprzód, żeby się przekonać, czy jest bezpiecznie.

– A dlaczego miałoby nie być? Nie ma tu nic groźnego, może oprócz moich wrednych, starych krewniaków... i zgrai cuchnących mulic ...

Kiedy wypowiedziała te słowa, w wyściełanej torbie, którą miała u pasa, rozległ się piskliwy gwizd przypominający słaby, brzęący niczym pikolo śmieszek.

– I morderców z kosmosu? – dodał Dwer. – Zamierzających uśmiercić wszystkie myślące istoty na planecie? Rety zmarszczyła brwi.

– To cholerne kłamstwo! Nie zrobią tego. Obiecali.

– A gdybym pokazał ci dowód?

Poruszyła się niespokojnie.

– To też kłamstwa. Po prostu nie zrobiliby czegoś takiego!

– Tak jak nie zestrzeliliby biednego, niczego nie podejrzewającego ptaka? Albo nie zaatakowałyby bez ostrzeżenia tych urs? Rety poczerwieniała. Dwer pośpiesznie mówił dalej.

– Chodź, to ci pokażę, o czym mówię. Nim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę lasu.

– Zostawiłem to tam, za tym pniakiem.

Dziewczyzna podążyła za nim na swym mechanicznym wierzchowcu, utyskując głośno. Dwer

niepokoił się, że maszyna może się okazać bardziej zaawansowana niż podejrzewał Ozawa. Źródła, które studiował mędrzec, miały trzysta lat, były więc przestarzałe i podawały niewiele szczegółów. Co będzie, jeśli robot nie tylko rozumie mowę, lecz również potrafi przeniknąć jego kłamstwo? Co będzie, jeśli umie czytać w myślach!

Pniak był grubszy od innych. Przedterminowi osadnicy musieli się nieźle namęczyć, by zrąbać podobne drzewo swymi prymitywnymi narzędziami, kiedy tworzyli tę polanę. Dwer schylił się i podniósł dwie rzeczy, które zostawił po drugiej stronie. Jedną z nich, wąską tubkę, wsunął sobie do rękawa. Drugą była oprawna w skórę książka.

– Co to takiego? – zapytała Rety, trącając robota, aby się przesunął bliżej. Z płaskiej górnej powierzchni maszyny sterczały krótkie mackowate twory o połyskujących końcach. Trzy z nich obróciły się w stronę Dwera, czwarty zaś wypatrywał niebezpieczeństw zagrażających z tyłu. Jak dotąd, wszystkie domysły Danela Ozawy dotyczące mechanicznych organów robota okazały się trafne. Jeśli to były "oczy", w takim razie wąski trzpień wychodzący ze środka maszyny...

– Pokaż mi to! – zażądała Rety, pochylając się jeszcze niżej, by przyjrzeć się niewielkiemu tomowi zawierającemu około setki papierowych stronic, skarbowi zabranemu w podróż przez Danela.

– Och, to książka – mruknęła ze wzgardą. – Myślisz, że takie coś może być dowodem? Krewni Rothenów mają obrazy, które się ruszają, mówią i mogą ci wyjaśnić wszystko, co chcesz wiedzieć!

No, właśnie – pomyślał Dwer. Potrafią stworzyć obrazy pokazujące dokładnie to, co chcesz zobaczyć.

Odpowiedział jej jednak przyjacielskim skinieniem głową.

– Przepraszam cię. Rety. Zapomniałem, że nie umiesz czytać. Dobra, otwórz tę książkę, to się przekonasz, że w niej też są obrazki. Jeśli chcesz, wyjaśnię ci, co przedstawiają.

Był to pomysł Danela. Podczas zgromadzenia młodszy mędrzec widział, jak Rety z wyraźną fascynacją przeglądała tuziny książek z obrazkami, kiedy się jej zdawało, że nikt na nią nie patrzy. Dwer starał się połączyć obelgi z zachętą, wstyd z ciekawością, by dziewczyna nie miała innego wyboru, jak obejrzeć książkę.

Z grymasem niezadowolenia Rety pochylila się jeszcze niżej i wzięła tom do ręki. Usiadła i zaczęła przerzucać papierowe kartki, wyraźnie zaintrygowana.

– Nic nie kapuję. Na którą stronę mam spojrzeć? Pola unoszące robota otarły się o nogę Dwera, co spowodowało, że wszystkie włosy stanęły mu dęba. Poczul suchość w ustach. Serce zabiło mu mocno. Tylko siłą woli zwalczył przypływ towarzyszącej oczekiwaniu słabości.

– Oj, czy nie otworzyłem jej na właściwym obrazku? Daj, pokażę ci.

Gdy Rety zwróciła się w jego stronę, robot opuścił się niżej. Dwer uniosł ramiona, sięgając po książkę, lecz zachwiał się i uderzył w bok maszyny.

Gdyby robot uznał, że został zaatakowany, Dwera czekałaby śmierć w płomieniach. Czy maszyna zinterpretuje jego zachowanie jako zwykłą u ludzi niezręczność?

Nic się nie wydarzyło. Robot nie poczul się zagrożony.

– Hej, uważaj – poskarżył się Dwer. – Powiedz swojemu koleżce, żeby się nie denerwował, dobra?

– Co? To nie moja wina – kopnęła maszynę. – Zostaw go w spokoju, ty głupolu! Dwer skinął głową.

– Dobra, spróbujmy jeszcze raz.

Dłonie Dwera uniosły się w górę. Jego nogi przypominały napięte sprężyny. Wydawało się, że życie unosi się nad nim niczym dźwięk, gotowe umknąć na wietrze.

Skoczył.

Krótkie wahanie robota zakończyło się nagłym wyciem, do którego natychmiast dołączyła seria ostrych detonacji dobiegających z pobliskiego lasu.

Żar buchnął między nogami Dwera, gdy pociągnął za dwie z głowic czujnikowych, wykorzystując uchwyty, by wdrapać się po boku maszyny i uciec z zasięgu śmiertelnej kuli. Wzdłuż jednego z jego ud eksplodował ból, na chwilę przed tym, nim wciągnął się na szczyt wirującego robota. Lewą dłonią trzymał się wierzgającego mechanizmu, prawą zaś wy dobył wąską tubkę.

Świat stał się zamazaną plamą drzew, obłoków i wirującego nieba. Rozległy się kolejne wybuchy, którym towarzyszyły straszne, przenikliwe dźwięki. Dwer przytknął tubkę do centralnego trzpienia robota i nacisnął ją.

Traeckie enzymy połączyły się ze sobą i wypłynęły drażniącym, syczącym strumieniem, po czym zniknęły w otworach u podstawy trzpienia. Dwer nie przestawał wypuszczać cieczy, nie zważając na szalone piruety robota, dopóki nie włączyła się Rety, która odciągnęła jego rękę. Dopiero wtedy w ogólnym tumultie dosłyszał jej wrzaski. Gdy zatopiła zęby w jego nadgarstku, dołączył do hałasu własne wycie. Wypuścił na wpół opróżnioną tubkę z szarpanej bólem dłoni.

Z wnętrza robota wzniosła się fioletowa para. Trzpień zaczął się opuszczać. Dwer strącił z siebie Rety i z krzykiem rzucił się na pochyloną antenę. Złapał ją w obie ręce i pociągnął ze wszystkich sił. Wrzasnął triumfalnie, gdy całość urwała się u podstawy, za chwilę jednak przetoczył się bezwładnie po płaskiej powierzchni, poszukując jakiegoś uchwytu, lecz bez rezultatu.

Wymachując rękoma, przeleciał przez krawędź i runął w dół.

W ciągu tej krótkiej chwili w ogóle nie czuł obawy, że uderzy w skałę bądź wyszczerbiony pniak. Maszyna zapewne pokroiłaby go na plasterki, nim zdążyłby spaść na ziemię.

Jednak go to nie spotkało. Nie grzmotnął też w pagórkowatą łąkę. Zaskoczony przekonał się z ulgą, że trzyma go para ramion!

Ulga zniknęła, gdy zobaczył, że ramiona należą do robota.

Świetnie. Z deszczu pod...

Znowu nastąpiła seria detonacji. Robot przechylił się, jakby uderzono go w bok. Zwisający pod ośmiokątnym korpusem Dwer zobaczył, że część ukrytej pod spodem kuli eksplodowała fontanną stali i szkła. Gondola bojowa przerodziła się już w dymiącą ruinę. Wydawało się, że żadna soczewka czy rurka nie została się w całości.

Świetna robota, Leno – pomyślał Dwer, dumny, że tak dobrze

wykorzystała straszliwe urządzenia, w których użyciu szkolono tylko ją oraz garstkę innych na Stoku. Broń palną nie wymagającą nawet kawałka metalu. Odwrócił głowę akurat na czas, by dostrzec znowu krótkie rozbłyski. Na skraju lasu Lena lub Danel ponownie zaczęły strzelać. Maszyna zakołysała się, gdy trafił ją następny eksplodujący pocisk. Tym razem jedna ze zwisających macek trzymających Dwera zdrząła i opadła bezwładnie.

Było to niewątpliwie dzieło Leny.

Co za bystra dziewczyna – pomyślał, na wpół oszołomiony z bólu. Mędracy dokonali dobrego wyboru. Byłby ze mnie szczęśliwy chłopak, gdyby wszystko poszło zgodnie...

Nie zdążył tego przemyśleć, gdyż robot zawrócił i zaczął uciekać zygzakiem nad łąką, wykorzystując jego ciało jako tarczę osłaniającą przed niebezpieczeństwem. Dwer zobaczył, że Lena podniosła się i wycelowała ze swej wyrzutni, lecz nagle opuściła ją, potrząsając głową.

– Nie! Strzelaj, do cholery! – krzyknął. – Nie przejmuj się mną! Jego słowa porwał wiatr. Lena opuściła broń i pobiegła ku postaci leżącej bezwładnie na ziemi tuż obok drugiego miotacza pocisków. Gdy obróciła Danela Ozawę na plecy, z jego piersi wypłynął czerwony strumień.

Robot znowu gwałtownie zakręcił i przerażająca scena zniknęła. Dwer ujrzał teraz przerażonych mieszkańców wioski, skulonych za górą śmieci w pobliżu służącej jako więzienie zagrody. Byli tak wystraszeni bitwą, że nie zauważyli zachodzącej ich powoli od tyłu grupy złożonej z Jenin Worley i tuzina świeżo uwolnionych urs. Niedawne uwięzione trzymały sznury i arbalety. Dwer modlił się, by ta część planu Danela zakończyła się sukcesem.

– Wszystko albo nic – powiedział im Ozawa. – Albo będziemy żyć razem jak cywilizowane istoty, albo położmy temu kres. Natychmiast. Powodując w szeregach wroga tak wielkie straty, jak tylko zdołamy.

Dwer miał czas wypowiedzieć w myśli jedno błogosławieństwo, nim krewni Rety zdali sobie sprawę z odwrócenia ról, do jakiego doszło za ich plecami.

Nauczcie się mądrości...

Potem wioska zniknęła. Uciekająca maszyna ominęła występ, pomknęła wzdłuż leśnej przecinki, a wreszcie runęła niemal prosto w dół stoku, stale przyspieszając.

Rety wciąż wrzeszczała na swej grzędzie, nakazując robotowi, aby się zatrzymał. Dwer, który zwiślał pod spodem, widział przemykającą w dole ziemię jako zamazaną plamę. Walcząc z silnym wiatrem, uniósł obie ręce, by złapać za podstawę owiniętej wokół jego tułowia witki, która utrzymywała go w pozycji poziomej. Gdyby ją urwał, upadek mógłby go zabić, lecz wszystko byłoby lepsze od tej udręki.

Szarpał ze wszystkich sił, lecz macka nawet nie drgnęła. Od czasu do czasu zginała się, unosząc go w górę akurat na czas, by nie rozbił się o jakiś gałąz czy krzew. Wkrótce mknęli już nad głównym strumieniem kanionu. Był to prawdziwy bieg z przeszkodami, pełen nagłych skrętów i dokuczliwego, gryzącego pyłu wodnego. Dwer, całkowicie już dezorientowany, zamknął oczy. Ogarnęła go słabość, jakby za chwilę miał stracić przytomność.

Daj spokój – zgañł sam siebie. To nie moment, by się poddawać. Jeśli nie możesz uciec, sprawdź chociaż, czy nie wykrwawiasz się na śmierć!

Ból pomógł mu się skoncentrować, zignorować zawroty głowy. Cierpiał, gdyż paliło go w lewym udzie, bolały rany po zębach Rety na prawej dłoni, z których wciąż sączyła się krew, ramię robota ocierało się o niego drażniąco, a ostre zadrapania, które ciągnęły się wzdłuż biodra, przez brzuch aż do piersi, kłuły, jakby ktoś wbijał w nie skupiska ostrych igieł, posuwając się w górę jego sponiewieranego ciała.

Otworzył oczy i wrzasnął nagle, gdyż zobaczył rozwartą paszczę pełną straszliwych, lśniących kłów!

– O Ifhi...-jęknął. – O Boże, o Boże, o Boże...

Nawet gdy poznał już prawdę o widmie mającym w odległości kilku cali od jego twarzy, nie pomogło mu to zbytnio. W owej chwili i jeszcze przez jakiś czas stać było Dwera tylko na słaby, ledwo słyszalny jęk.

Noor Skarpetka ziewnął po raz drugi, po czym usadowił się w wąskiej przestrzeni między piersią Dwera a twardym pancerzem robota. Zwierzę popatrzyło na chłopaka bełkoczącego pod wpływem szoku, który w końcu przekroczył granice wytrzymałości. Z westchnieniem tkliwej wzdargi zaczęło skrzeczeć, nie aby dodać otuchy Dwerowi, ale po prostu dla własnej przyjemności, wydając z siebie dźwięk przywodzący na myśl hoońskiego marynarza burkoczącego pieśń o radościach podróży.

Asx

Jeśli Wspólnota ocaleje -jeśli Sześciu doczeka przyszłości – owo wydarzenie z pewnością będzie nosiło nazwę Bitwy na Polanie .

Była ona krótka, krwawa i taktycznie rozstrzygająca, nieprawdaż, moje pierścienie?

I strategicznie bezowocna. Chwila płomieni i grozy, od której moje--nasze wielobarwne obręcze poczuły się tak bardzo zadowolone-smutne z tego, że jesteśmy trackim.

Smutne, ponieważ owe stopy pierścieni wydawały się tak bezużyteczne, niezdolne dorównać oszalałemu tempu innych istot, którym ich błazeńska wojownicza furia każe poruszać się podczas kryzysu z tak wielką szybkością. Przy podobnej prędkości woskowe odciski mogą się uformować wewnątrz naszego rdzenia dopiero na dury po samych wydarzeniach.

Smutne, ponieważ mogliśmy pomóc służąc tylko jako kronikarze dający świadectwo faktom, które zdążyły już zajść.

A jednak byliśmy też zadowolone, nieprawdaż, moje pierścienie? Zadowolone, ponieważ wpływ przemocy nigdy nie wypełnia do końca naszej centralnej jamy parzącą parą przerażenia. Nigdy przed zakończeniem akcji, gdy zabici leżą porzuceni na ziemi niczym dymiące węgle. To błogosławieństwo, nieprawdaż, moje pierścienie? Dla nas groza rzadko bywa "doświadczeniem". Jest jedynie wspomnieniem.

Nie zawsze tak było. Nie dla istot, którymi byliśmy, gdy nasi pobratymcy wędrowali wśród gwiazd i siali postrach w Pięciu Galaktykach. W owych dniach podobne nam stworzenia nosiły jasne, lśniące pierścienie. Nie tylko te, które dali nam nasi opiekunowie, Poa, lecz również specjalne kołnierze подарowane przez natrętnych Oailie.

Pierścienie mocy. Pierścienie umiejętności szybkiego decydowania oraz monumentalnego ego. Gdybyśmy posiadali podobne przed kilkoma chwilami, mogłyby nas skłonić do szybkiego poruszania się i umożliwić wspomnienie przyjaciół podczas walki.

Ale z drugiej strony, jeśli stare opowieści mówią prawdę, przez te pierścienie moglibyśmy nie mieć żadnych przyjaciół.

Pogłaszczcie wosk. Prześledźcie obrazy zamrożone w skapującym tłuszczu.

Obrazy okrucieństwa i przerażenia.

Tam leży Bloor Portrecista – tłące się szczątki osłaniające drogocenną kamerę.

W pobliżu czyż nie wyczuwamy śladu pełnienia ginącego stworzenia? Symbionta, który spełził z twarzy i czoła martwej Rothenki zwanej Ro-pol? Odślaniając w ten sposób ostre, kanciaste oblicze, humanoidal-ne, lecz w znacznie mniejszym stopniu niż nam się zdawało. Nie tak charyzmatyczne. Nie tak uroczo kobiece, jak chciano nas przekonać.

Jeśli Bloor zginął dlatego, że to ujrzał, czy wszystkie oczy są teraz przeklęte?

Tam!, krzyczy Ro-kenn, rozkazując swemu słudze Rannowi, człowiekowi z gwiazd, przywołać straszliwy podniebny wehikuł z odległej misji, nawet jeśli oznacza to "złamanie" czegoś zwanego "ciszą radiową".

Tam!, krzyczy raz jeszcze Ro-kenn, rozkazując swym demonicznym niewolnikom, swym robotom, wznieść się w górę i "zlikwidować ich wszystkich".

To znaczy nas. Wszystkich świadków tego nieoczekiwanego objawienia. Wszystkich, którzy znają tajemnicę śmierci Bloora.

W górę, w górę wznoszą się straszliwe urządzenia siejące zagładę. Z ich brzuchów tryskają włócznie zimnego płomienia, tnąc oszołomioną czeredę i obracając ją w kłębiącą się, wrzeszczącą tłuszczę. Czworonożne ursy skaczą wysoko w powietrze i skrzeczą z paniki. Qheueni przycupują nisko, by skryć się przed promieniami, które przecinają chitynę równie łatwo jak ciało. Ludzie i hoonowie rzucają się na ziemię, podczas gdy biedni g'Kekowie obracają kołami, starając się uciec.

My, traeki – ci z nas, którzy pozostali na zgromadzeniu po wielu tygodniach ukradkowego wycofywania się – na ogół stoimy w miejscu, wypuszczając z siebie wielozapachowe opary niedoli i eksplodując wilgotnym smrodem strachu, gdy wiązki przecinają pękające z trzaskiem torusy. Kiedy

wylewa się z nich gęsty roztwór, nasze stopy stają w płomieniach.

Ale spójrzcie! Pogłaszście warstwy obrazowe jeszcze raz, moje pierścienie. Widzicie istoty w ciemnych strojach? Te, które pędzą w stronę grozy, zamiast od niej uciekać? Nasze plamy wzrokowe dostrzegają niewiele, nawet w świetle dnia, gdyż ubranie niestety zamazuje zarysy przybyszów. Mimo to my-ja zauważamy biegnące, przysadziste

qheueńskie kształty, które niosą na plecach skulonych ludzi. Obok nich gnają oddziały urs. Rozlega się straszliwy hałas, rzadko słyszany odgłos śmiercionośnego hoońskiego gniewu. Owe skupione w grupę mroczne kształty wyciągają niezwykle rury, w tej samej chwili, gdy unoszące się w powietrzu demony kierują swój morderczy gniew na nowo przybyłych, tnąc ich bezlitośnie.

Istnieje pewne miejsce...

Jest tutaj, w naszym rdzeniu, gdzie wosk opisuje jedynie ryk, błysk, przeciążenie palącymi powidokami... a potem...

Co nastąpiło potem, leży teraz przed nami.

Żużel – gdzie kalając świętą glebę Jijo, spadły roboty, rozbite i obrócone w odpady.

Troje gwiazdnych władców – oszołomionych tym, że zostali poj-mani, wzięci do niewoli i pozbawieni swych boskich narzędzi.

Pole goryczy – usiane nieodżałowanymi poległymi. Tak wieloma poległymi.

Prowizoryczny szpital – gdzie jeszcze liczniejsi ranni wiją się w cierpieniu i krzywią twarze, lamentując z bólu.

Wreszcie jest coś, co możemy zrobić w czasie rzeczywistym. Być może przyda im się wsparcie starego emerytowanego farmaceuty.

Zgadzamy się, moje pierścienie?

Cudowna jednomyślność. Ułatwia to niezwykle pośpiech, z którym "ja" zmierzam z pomocą.

Sara

Forsowny marsz w najmniejszym stopniu nie zmniejszył napięcia panującego między dwiema grupami buntowników. Pomalowane wojowniczkami UrKachu oraz odziani w ciemny brąz myśliwi Dedingera spoglądali na siebie nieufnie, spożywając oddzielnie posiłki pod starym baldachimem z połataną, wyblakłą tkaniną maskującą. Zawsze mieli broń w pogotowiu. Członkowie obu grup spali po kolacji na zmiany, nie więcej niż sześciu jednocześnie. Reszta stała na straży. Sarze trudno było

sobie wyobrazić, by ten sojusz choć o durę przetrwał chwilę, gdy któraś ze stron uzna, że nie leży on już w jej interesie.

Co się stanie, jeśli dojdzie do walki? Na tak bliską odległość nie będzie ona zręczną sztuką manewrów i strategii, lecz chaotycznym kłębem rąbiących na oślep i biorących się za bary postaci.

Przypomniała sobie rycinę umieszczoną obok karty tytułowej Wojen uryjsko-ziemiarskich autorstwa Hauph-hutau, jednej z najpopularniejszych książek opublikowanych po Wielkim Drukowaniu. Wybitny historyk zamieścił pod ilustracją informację małą czcionką, że skopiował tę scenę z wywodzącej się z ery "Tabemacie" książki o sztuce. Ilustracja przedstawiała rzeźbiony fryz, który ongiś otaczał Partenon w starożytnej Grecji. Owa sławna płaskorzeźba wyobrażała długi szereg potężnych postaci zwartych w śmiertelnym boju – nagich mężczyzn walczących z rozwścieczonymi potworami, pół ludźmi, pół końmi, które stawały dęba, kopały i rąbały swych wrogów w zawziętej walce na śmierć i życie. Według mitu, walki wybuchły podczas święta pokoju i zakończyły się zagładą gatunku centaurów.

Rzecz jasna, urs niemal nic nie łączyło z centaurami, pomijając fakt, że miały cztery nogi i dwoje

ramion. Mimo to symbolizm fryzu był tak niesamowity i niepokojący, że zdobył on wielką sławę w epoce walk, wzmacniając determinację obu stron. Sara nie miała ochoty, by podobna, krwawa scena rozegrała się przed jej oczyma.

Reszta schwytych w Oazie Uryutty szykowała się do snu, młody Jomah zwinął się na swym posłaniu i zasnął głęboko. Nieznajomy jadł bez apetytu papkę z mączki kukurydzianej. Często odkładał łyżkę, aby przez chwilę pograć cicho na cymbałach bądź też dopełnić rytuału liczenia strun. Wydawało się, że liczby są dla niego czymś podobnym do muzyki: oknem na to, kim był ongiś, czymś wspanialszym niż umiejętność składania zdań, którą utracił.

Kurt, wysadzac, rysował coś machinalnie w notatniku, od czasu do czasu zaglądając do jednej z małych książeczek, które trzymał starannie ukryte w tornistrze albo w wewnętrznej kieszeni szaty. Zakrywał notatki, gdy tylko w pobliżu przechodził jakiś człowiek lub ursa, lecz najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, żeby Prity, która przynosiła mu posiłki, przysiadła obok na dłużej. Szympanica znakomicie grała rolę tępego zwierzaka. Przez jakiś czas udawała, że szuka sobie wszy na nodze. Wkrótce jednak zaczęła zaglądać wysadzacowi

przez ramię, pocierać brodę i pociągać się za wargi, odsłaniając dziąsła w uśmiechu, pełna milczącego zachwytu i zainteresowania.

Sara musiała stłumić pragnienie wybuchnięcia śmiechem. Jednocześnie jednak niepokoiła się.

Urunthai i pustynni ludzie na razie zostawiają Kurta w spokoju. Nawyk szacunku dla wysadzaczy jest głęboko zakorzeniony i trudno go złamać. Zapowiedzieli jednak "perswazję", gdy już dotrzemy do miejsca przeznaczenia. Czy Kurt naprawdę sądzi, że uda mu się wówczas zachować swe zapiski w tajemnicy?

Lepiej by zrobił, gdyby wrzucił notatniki do ognia.

Sara pohamowała własną ciekawość. Wysadzacze byli tajemniczą, budzącą lęk sektą. Szczerze mówiąc, wątpiła w rozsądek Urunthai, które z nimi zadarły.

– Nie wędzienia czekać na zachód słońca, zewy ruszyć w drogę – powiedziała Sarze Ulgor, przechodząc obok jej posłania. – Na twoim miejscu trochę wy n się frzeszała.

Nie pomalowana skóra uryjskiej majsterki, jej wypielęgnowana grzywa i czarne przenikliwe oczy odróżniały ją od dzikich kuzynek. Nie czuło się w niej wrogości do ludzi. Ostatecznie Ulgor odwiedzała Dolo tuziny razy, i zawsze były to przyjacielskie wizyty.

Sara potrząsnęła głową.

– Potrafię zrozumieć, co kieruje pozostałymi. Religia może być silnym motywem, zwłaszcza gdy ktoś sądzi, że stawką jest zbawienie jego potomków. Ale co ty z tego masz, Ulgor? Wiem, że nie może ci chodzić o zysk.

Wąska, stożkowata głowa rozszczepiła się w trójkątnym uśmiechu. Sara nie potrzebowała rewą, by rozpoznać w nim sarkazm.

– Dlaczego wyklucasz nie skrywane notywy? Żarówek? Korzyści osowiste?

Sara zacytowała pismo:

– Na cóż przydadzą ci się wszystkie twe bogactwa i dobra o dwie mile w dół na drodze odkupienia?

Ulgor wydała z siebie cichy gwizd śmiechu.

– Na niewiele. Ale z drugiego kofyta, status wohaterki noże wyc frzydatny w warwarzyńskin klanie. Noże zostaną jedną z wielkich naczelniczek z równin, bardziej sławną niż Ur-Chown!

Autoironiczny ton Ulgor dyskredytował ów pomysł, zachęcając jednocześnie Sarę do dalszego zgadywania. Poczwała jednak nagle zmęczenie.

– Masz rację, Ulgor.

– Tak sądzisz?

– W rzeczy samej. Niezłe byłoby trochę się przespać, dopóki mam możliwość.

Majsterka wytrzeszczyła oczy i skręciła szyję w półspiralę.

– Nyślałaś, że chcesz wiedzieć... Sara zakryła usta, ziewając.

– Możesz być pewna, Ulgor, że bardzo żałuję, iż cię zapytałam.

Powiedziawszy te słowa, odwróciła się, po czym ułożyła się na pościeli. Prity, która podbiegła do niej i nakryła ją kocem, fuknęła na Ulgor, by ją przegonić. Sara usłyszała, jak kopyta zdradzieckiej ursy odbębniły nerwowy odwrót, co świadczyło o tym, że odczuła okazaną jej pogardę.

Naprawdę była zmęczona. Czowała w mięśniach pulsujący ból wywołany kilkoma dniami wysiłku, do jakiego nie była przyzwyczajona. Bolała ją również kość ogonowa od wielogodzinnego siedzenia na twardym, skórzanym siodle. Do tego dochodziły jeszcze emocje.

Otrzymałam zadanie do wykonania. Kilka zadań. A teraz wygląda na to, że nie uporam się nawet z jednym z nich.

Namiot wypełniało niskie, monotonne brzdąkanie podobne do odgłosu, jaki wydawały śpiące ursy. Przywodziło też na myśl bicie serca. To nieznajomy szarpał za najniższą strunę cymbałów, tak delikatnie i regularnie, że nikt, nawet UrKachu, nie miał powodów się skarżyć. Powstawał w ten sposób usypiający rytm.

Ariana uważała, że nieznajomy zdobędzie nowe umiejętności, aby zastąpić te, które utracił – pomyślała. Jego muzyczna wrażliwość stanowi pewnie część tego procesu.

Rankiem, gdy obie grupy radykałów przystąpiły do pracy przy rozbijaniu obozu, człowiek z kosmosu zagrał dla uryjskich samców, których wypuszczono na chwilę z ciasnych toreb ich żon. Wykorzystywali przerwę, by pospacerować na świeżym powietrzu i rozprostować nogi. Kilku z nich pilnowało dorastających larw. Miały one sześć krótkich nóg, lecz brak im było rąk. Były już niemal gotowe do wyrzucenia na równiny, gdzie będą musiały się usamodzielnąć.

Nieznajomy akompaniował sobie, uderzając dwiema zakrzywionymi pałeczkami w struny cymbałów, i śpiewał dziecinne piosenki, które znał na tyle dobrze, że wypływały bez przeszkód z nie uszkodzonych obszarów pamięci. Sara rozpoznała kilka z nich. Jedna wydawała się szczególnie h propos.

Miałam małego meta, nie większy był od kciuka. Wsadziłam go do garnczka, kazałam w niego stukać. Kupiłam mu chusteczkę, by wytarł nosek mały, by zaś przewiązał spodnie podwiązki wspiania.

Powtarzał tę zwrotkę kilka razy. Wkrótce zachęceni przez niego samcy zaczęli wybijać rytm i nucić razem z nim. Sara pomyślała, że jeśli nieznajomy zostanie porzucony na Jijo i nie będzie miał przyszłości w żadnym innym zawodzie, z pewnością znajdzie zatrudnienie w jednym z tych nowoczesnych przedszkoli w Tarek.

Jeśli, gdy to się skończy, będziemy jeszcze mieli takie luksusy. Prity usiadła tuż przed Sara. Chichocząc cicho, mała szympansica wygładziła skrawek piasku i zaczęła kreślić patykami figury – głównie wypukłe, przypominające parabole kształty, które wspinały się w górę, osiągały szczyt i opadały z powrotem do zera. Fuknęła i wskazywała palcem, całkiem jakby pragnęła podzielić się jakimś żartem. Sara jednak nie potrafiła się skoncentrować. Wreszcie zmęczenie wzięło górę i zapadła w drzemkę.

Śniła o Urchachce – krainie trawy – której równiny smagały nieustannie gorące wiatry, często osmały pożary bądź też zasypywały palące deszcze lśniącego wulkanicznego pyłu. Po każdym pożarze równiny były usiane niosącymi śmierć popiołami, lecz jasne łądygi zawsze przebijały się w płodnych rozbłyskach, pnąc się ku niebu tak szybko, że cierpliwe oko mogło to dostrzec.

Kraina trawy ciągle się zmieniała i woda rzadko utrzymywała się na powierzchni przez dłuższy czas. Wysysało ją życie, była przechowywana w podziemnych zbiornikach bulw, których połączone sieci pokrywały całe kontynenty, bądź w cebulastych, wielobarwnych strąkach zarodnikowych czy też po prostu w soczystych źdźbłach trawy. Nimi z kolei pasły się tabuny roślinożerców – niespokojnych zwierzaków, których rogi o trzech odnogach zwykły kołysać się groźnie, jakby kusiło

je niebezpieczeństwo, aż do chwili, gdy – zgromadziwszy je w wielkie stada – zaczęły się nimi opiekować istoty srozsze od wszystkich dawnych drapieżników.

Śniąc, Sara przebywała jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz obrazów. Na jednym poziomie oko jej umysłu spoglądało przez las wielkich, kołyszących się liści. Ostrożna i pełna strachu, gotowa była uskoczyć przed potężnymi zwierzętami, by uniknąć stratowania albo, co gorsza, przypadkowego pochłonięcia przez ich wiecznie przeżuujące roślinność paszcze.

Dziury w żyznej, gliniastej glebie wiodły do podziemnych nor – pozbawionego światła, tłoczego królestwa słodkich korzeni i częstych gwałtownych starć, domeny, która ostatnio zaczęła się wydawać zbyt ciasna i krępująca ruchy. Rozciągający się w górze świat jasności wydawał się teraz w porównaniu z nią rajem dla tych, które były wystarczająco duże, by wystawić głowy nad czubkami kołyszącej się trawy.

Niewielka, obiektywna część umysłu Sary – fragment, który wiedział, że śni – zdumiewał się potęgą wyobraźni. Darem, który pozwolił jej rozdmuchać garstkę informacji na temat Urchachki znaną mieszkańcom Jijo ze zwięzłych haseł dawnej encyklopedii oraz kilku opowieści powtarzanych przez uryjskie bajarki. Histoii o dniach poprzedzających chwilę, gdy ich leżący odłogiem gatunek odkryli na prążonym słońcem świecie opiekunowie, którzy spadli z nieba, by uznać za swoją tę bystrą pasterską rasę i poprowadzić ją Wschodzącą Ścieżką. Drogą wspomagania, która wiodła ku gwiazdom.

Obiektywna część umysłu mogła obserwować, lecz nie dysponowała żadną władzą nad kolorową fantazją. Niesamowitym snem, potężnym, gwałtownym i emocjonalnym. Chimera obdarzoną własną siłą rozpadu. Wizją mętnej, nierozumnej paranoi.

Przemykając między cebulastymi łodygami, omijając wielkich, tępych roślinożerców, podążała za wonią unoszącego się w powietrzu dymu, aż wreszcie natrafiła na wydeptany krąg otaczający dół pełen tłących się popiołów, przy którego skraju wylegiwał się tłum chudych, czworonożnych postaci. Ostrożnie spoglądała na Wielkie Istoty. Dopiero niedawno nauczyła się rozpoznawać w nich powiększone wersje samej siebie, starsze kuzynki i ciotki, a nie niebezpieczne, przerażająco gniewne monstra o błyskających kopytach. Podglądała je teraz. Podpełzała coraz bliżej, walcząc z narastającą pokusą.

Pragnieniem, by wynurzyć się z trawy i zademonstrować swą obecność.

Widywała od czasu do czasu, jak robią to inne. Małe osobniczki podobne do niej strząsały z siebie pył nor i wyciągały szyje. Ruszały śmiało naprzód, by domagać się swych dziedzicznych praw do miejsca przy ogniu. Mniej więcej jedną trzecią tych, które to uczyniły, ignorowano, potem tolerowano, akceptowano, a na koniec z radością oplatano ciasną pajęczyną splątanych lojalności. Koniec tych innych nie był szczęśliwy. Wydawało się, że sztuka polega na wyborze odpowiedniej chwili. W grę wchodził rytuał skręcania szyj oraz upadającego samo-poniżania, który w każdej grupie wylądał inaczej.

Był też zapach. Najlepiej było podejść do bandy o przyjemnej woni. Podobnej do twojej.

Podkradając się bliżej, obserwowała grupę dorosłych. W torbach części z nich wili się szczęśliwi samcy, którym udało się znaleźć schronienie przed niebezpiecznym światem. Przypominała sobie niejasno, że sama kiedyś żyła w podobnym miejscu. Teraz jednak była na to zdecydowanie za duża.

Dorosłe leżały pod wysokimi łodygami chroniącymi je przed palącym słońcem. Odpoczywały z długimi szyjami zwiniętymi na plecach. Od czasu do czasu któraś z nich parskała, gdy jej oddech tracił na chwilę synchronizację z pozostałymi. Trzecie oko – pozbawione powiek – pełniło straż.

Nad nimi unosił się z pasożytniczą chciwością rój małych, latających żyjatek, które czekały na okazję, by opaść w dół i zanurzyć na chwilę ssawkę w odsłoniętej wardze, brzegu torby czy nawet bogatej w krew powiece, a potem uciec, nim zacisną się szybkie dłonie czy szczęki. Sara dostrzegła pechowego owada, którego złapano przed lądowaniem. Płynnym ruchem dorosła chwyciła brzęczącego krwiopijce ustami i rozgryzła go, nie zadając sobie nawet trudu, by się obudzić.

Nie przypominam sobie, bym czytała w opisach ojczyściego świata urs czy w opowieściach z Urchachki o nurkujących owadach – rozważała obiektywna część ospałego umysłu Sary.

Stopniowo dotarło do niej, że nie cała scena jest wytworem wyobraźni. Jej podświadomość dokonywała zapożyczenia z wydarzeń rozgrywających się w świecie rzeczywistym. Oczy miała leciutko uchy-

lone i poprzez rzęsy obserwowała, jak prawdziwe ursy robią to, co uważała za wytwór swej fantazji.

Tak jak poprzednio, połowa Urunthai leżała zwinięta w piaszczystych zagłębieniach pod baldachimem z maskującego materiału, oddychając unisono. Wydawało się, że nic się zbyt nie zmieniło od chwili, gdy ostatnio spoglądała na swe strażniczki. Działo się jednak coś, co w tajemniczy sposób korelowało z jej snem. Nagle usłyszała niski, brzęczący dźwięk, któremu towarzyszył błyskawiczny ruch w powietrzu. Mały, przypominający owada kształt przemknął od lewej do prawej, ku jednej z drzemących urs. W mgnieniu oka śpiąca chwyciła lecący pyłek w rozwarte usta o trzech szczękach i przeżuła go z zadowoleniem, nie otwierając obu głównych oczu. Środkowe – pozbawione powiek – zachowało szklistą matowość snu. Wojowniczką opadła z powrotem, chrapiąc ciężko.

Nigdy dotąd nie widziałam czegoś takiego – pomyślała Sara. Czy tu, na podgórzu, są owady, które atakują ursy, tak jak na ich rodzinnym świecie?

Priety wzdrygnęła się gwałtownie, po czym cofnęła się ukradkiem i oparła o Sarę łokciem. Kobieta uniosła powoli głowę, by popatrzeć na Urunthai. Te, które nie spały, głąskały swe arbalety i machały nerwowo ogonami, jak gdyby zaczynały podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Ich długie szyje wyciągnęły się jednocześnie i skierowały na lewo, potem na pustynnych ludzi Dedingera, a wreszcie na prawo. Gdy się odwróciły, znowu rozległo się niskie, metaliczne brzęczenie, tak dobrze znane, że wydawało się niemal niezauważalne. Ku śpiącym ursom raz jeszcze pomknął mały kształt. Ponownie jedna ze śpiących złapała go w locie i skonsumowała, nie budząc się.

Sara podążyła wzrokiem za łukiem krótkiego lotu ku miejscu, gdzie nieznajomy siedział przy swych cymbałach. Nie przestawał szarpać za najniższą strunę, wygrywając miarowy, hipnotyczny rytm. Jego rewę tylko częściowo maskował enigmatyczny uśmiech.

Zdała sobie sprawę, że człowiekowi z gwiazd przyglądają się jeszcze dwie osoby: Dedingier i Kurt Wysadzacz.

Węsząc wilgotne powietrze, UrKachu wezwała gestem Ulgor, by wyszła z nią na zewnątrz. Cztery pomalowane wojowniczką pełniące straż ponownie zajęły się swą bronią.

Nieznajomy czekał na właściwy moment, szarpiąc lekko strunę.

Utrzymywał powolny, uspokajający rytm aż do chwili, gdy zaalarmowane strażniczki Urunthai znowu się położyły. Nagle dotknął lewą dłonią skroni i wetknął dwa palce pod osłaniającą ją błonę rewę. Sara poczuła mdłości, gdy zrozumiała, że sięga do dziury we własnej głowie. Po chwili trzymał w palcach maleńki przedmiot, pocisk mniej więcej wielkości kulki depezowej, jakich

używano w Bibloskiej Bibliotece. Gdy prawą dłonią po raz kolejny szarpnął za strunę, lewą przygotował do następnego wyrzutu.

Wykorzysta cymbały jako wyrzutnię! – zrozumiała Sara, obserwując go z zafascynowaniem.

Zauważyła niewielką zmianę w tonie dźwięku, brzęczący dysonans, w chwili, gdy małe pigułka pomknęła ku kolejnej śpiącej uryjskiej buntownicze. Tym razem chybiła, lądując w niewielkiej odległości od celu.

Dedinger przystąpił do akcji. Dyskretnie nakazał swym towarzyszom, aby byli gotowi.

Nie wie, co się dzieje, ale nie chce dać się zaskoczyć.

Poła namiotu uchyliła się i do środka weszła UrKachu, bez Ulgor. Naczelniczka podeszła niespiesznie do jednej ze śpiących Urunthai i szturchnęła ją – gest, po którym niezmordowana ursa normalnie natychmiast zerwałaby się na nogi. Reakcji jednak nie było. Rozbójniczka nie przestawała chrapać.

Zaalarmowana UrKachu zaczęła dźgać, a potem kopać śpiącą wojowniczkę. Inne pośpieszyły jej z pomocą. Po chwili stało się jasne, że z ośmiu, które położyły się spać, wszystkie oprócz dwóch pogrążone były w śpiączce.

Cymbały zabręczały raz jeszcze i kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

UrKachu odwróciła się gniewnie i krzyknęła w anglicu:

– Skończ natychmiast z tyn fiekielnyn hałasem!

W tej samej chwili mały przedmiot przeleciał nad gasnącymi węgielkami w stronę zdezorientowanych wojowniczek. Jedna z nich złapała go odruchowo w szczęki. Niemal natychmiast jej nozdrze rozdęło się, a szyja wyciągnęła maksymalnie, drżąc na całej długości. Ugięła nogi w kolanach.

Sara nie przypuszczała, że jest zdolna zareagować tak prędko. Cofnęła się pośpiesznie razem z Prity, łapiąc zawiniętego w koc Jomaha, by

zaciągnąć śpiącego chłopaka na tył namiotu. Szybcy jak duchy ludzie Dedingera uformowali już półkole i otoczyli Urunthai ze strzałami naciągniętymi na cięciwy.

– Co się dzieje? – zapytał Jomah, pocierając oczy. Chwiejąca się na nogach ursa oparła się o drugą i osunęła się na ziemię. Jej klatka piersiowa poruszała się powoli i ciężko.

– Zachowajcie spokój – polecił Dedinger. – Radzę odłożyć broń. Nie jesteście w stanie walczyć.

UrKachu spojrzała na niego bez wyrazu, przerażona nagłą zmianą układu sił. Jej grupa miała nad ludźmi przewagę liczebną. W tej chwili jednak jej przytomne jeszcze podkomendne stały zbite w grupę, nie przygotowane do walki i zdane na łaskę Ziemian. Naczelniczka Urunthai warknęła.

– A więc w tej (perfidnej) zdradzie ujawnia się natura ludzkiej (tak zwanej) przyjaźni.

– Aha – Dedinger roześmiał się z odrobiną samozadowolenia. – Całkiem jakbyście wy planowały zachować się inaczej, gdy tylko nadarzy się okazja. Zresztą nie ma powodów do paniki. Dotrzymamy warunków umowy, tyle że jako starsi partnerzy. Zmienimy tylko kilka drobiazgów, takich jak cel dzisiejszej podróży. Gdy już dotrzemy na miejsce, pozwolimy wam wysłać wiadomość...

Możliwe, że chciał uspokoić UrKachu, lecz jego słowa rozwścieczyły ją tylko. Przerwała Dedingerowi przenikliwym okrzykiem wojennym i rzuciła się na niego. Wyciągnięte z pochew noże błysnęły.

– Nie! – krzyknął nieznajomy z przerażeniem, gdy w pierś naczelniczki Urunthai wbiły się strzały.

– Nie, cholera! Cholera! Cholera!

Pozostałe podkomendne UrKachu podążyły za jej przykładem i rzuciły się pod grad strzał. Połowa padła natychmiast, reszta skoczyła między dwunożnych wrogów. Zaczęły walczyć, polała się krew, lecz ludzie mieli zdecydowaną przewagę liczebną.

Wreszcie, gdy ani jedna żywa Urunthai nie stała już na nogach, zdyszani pustynni ludzie o dzikich spojrzeniach, rzucili się z nożami przeciw nieświadomym, którym narkotyczna śpiączka nie pozwoliła wziąć udziału w walce ani się bronić.

To przekroczyło granice cierpliwości nieznajomego. Wykrzykując przekleństwa, rzucił się na najbliższego człowieka, uciskając zwoje

nerwowe na jego szyi. Myśliwy opierał się przez chwilę, po czym jęknął i opadł bezwładnie. Miotając przekleństwa, człowiek z gwiazd skoczył na następnego.

Sara popchnęła Jomaha w stronę wyjścia z namiotu.

– Prity, poprowadź go między skały! – krzyknęła.

W zamazanym chaosie nieruchomych niczym klatka filmowa obrazów dostrzegła, jak trzech myśliwych Dedingera obróciło się i rzuciło na nieznajomego. Jeden runął w bok, odrzucony jakoś sprytnie przez obcego, drugi zaś miał na plecach Sarę, która okładała go pięściami.

Gdybym tylko lepiej uważała, kiedy Dwer próbował nauczyć mnie walczyć.

Przez chwilę wszystko szło dobrze. Niski, lecz krzepki przeciwnik Sary jęknął i odwrócił się, po to tylko, by oberwać kolaniem w brzuch. To nie powstrzymało silnego napastnika, lecz spowolniło jego ruchy, a Sarze pozwoliło zadać jeszcze dwa ciosy. Tymczasem nieznajomy odrzucił ostatniego z wrogów, który padł oszołomiony na ziemię. Następnie człowiek z gwiazd zaczął się odwracać, by przyjść jej...

I wtedy uderzyła lawina. Fala gniewu, która zwała ich oboje na ziemię. Sara uderzyła w ziemię tak mocno, że straciła dech w piersiach. Ktoś wykręcił jej ręce do tyłu. Ból był tak ostry, jakby za chwilę miały jej odpaść ręce.

– Nie zróbcie im krzywdy, chłopaki – rozkazał Dedinger. – Powiedziałem, starczy!

W oddali, przez mglistą zasłonę bólu, usłyszała odgłos ciosów. Dedinger okładał swych ludzi, chcąc ich powstrzymać przed krwawą zemstą. Zdołała jeszcze obrócić głowę i zobaczyła nieznajomego. Leżał przyciśnięty do ziemi, miał poczerwieniałą twarz, leciała mu krew z nosa, lecz czuł się na tyle dobrze, aby wciąż ochryple przeklinać. Ten potok słów dorównywał ekspresji piosenek, choć nie był tak płynny. Sara niepokoiła się, że krzyki i wyęzanie sił mogą spowodować, iż otworzą się jego rany.

Przywódca ludzkich buntowników przyklęknął przy nieznajomym i chwycił jego twarz.

– Fatalnie, że mnie nie rozumiesz, kolego. Nie wiem, co zrobiłeś urson, ale jestem ci za to naprawdę wdzięczny. Uprościłeś w ten sposób skomplikowaną sytuację i tyle. Z tego powodu, a także dlatego, że twoje żywe ciało nadal jest dla nas cenne, powstrzymam moich chłopaków.

Ale jeśli się nie uspokoisz, mogę być zmuszony nieprzyjemnie potraktować twoją przyjaciółkę.

Powiedziawszy to, wskazał znacząco głową na Sarę. Nieznajomy również na nią popatrzył. Wydawało się, że w jakiś sposób zrozumiał groźbę. Strumień przekleństw osłabł, a on sam przestał się wyszarpywać przytrzymującym go mężczyznom. Sara poczuła ulgę, że obcy nie wyęza już tak mocno mięśni. Była też dziwnie wzruszona, iż uspokoił się za jej przyczyną.

– Tak lepiej – powiedział Dedinger tym samym gładkim tonem, którym zwracał się do UrKachu przed jej śmiertelną szarżą. – A teraz zobaczmy, co masz ukryte w tej małej, poręcznej dziurze w głowie.

Były mędrzec zdarł rewą z nieznajomego, odsłaniając ranę, z której ów wyjmował tajemnicze kulki.

– Nie! -krzyknęła Sara, nie zważając na ostry ból, który cały czas czuła w wykręcanych rękach. – Dostanie zakażenia!

– Przyjaciele z gwiazd wyleczą go, jeśli zapragną, kiedy już dokonamy wymiany – odpowiedział

Dedinger. – Tymczasem jednak ta substancja, którą karmił ursy, wydaje się warta zbadania. Może się okazać piekielnie przydatna w nadchodzących latach.

Dedinger miał już wsadzić rękę w ranę nieznanego, gdy nagle ktoś wygwizdał strumień tryłów w szybkim drugim galaktycznym.

– Saro, (szczerze) radzę, byś (szybko) zamknęła oczy!

Odwróciła głowę i zobaczyła Kurta, wysadzacza z Tarek, który trzymał w ręku małą brązową rurkę. Z jednego jej końca zwisał płonący sznurek, z którego tryskały iskry. Wysadzacze zamachnął się i rzucił przedmiot, który zatoczył wysoki łuk. Następnie natychmiast padł na ziemię.

Sara zacisnęła mocno oczy. W tej samej chwili Dedinger zaczął krzyczeć, by ostrzec swych ludzi...

Blask jasny jak tysiąc błyskawic wypełnił wszystko wokół, przebijając się przez jej powieki. Rozległ się straszny huk, a wstrząs, który po nim nastąpił, pomógł jej wyswobodzić ręce i uwolnić się z płataniny ciał. Fala ulgi zderzyła się z wyczerpaniem.

Wszystko skończyło się niemal w tej samej chwili, w której się wydarzyło. Mrugając powiekami, dostrzegła przez fioletowe plamy jedyne go człowieka, który nie stracił wzroku – Dedingera. On również

zrozumiał krótkie ostrzeżenie Kurta. Pustynny prorok stał teraz, wybałuszając oczy. W dłoni trzymał lśniący nóż z buyurskiego metalu.

Jego wrzask dotarł do jej uszu, gdy Dedinger rzucił się na Kurta, obalając go na ziemię. Wysadzacze nie zdążył zrobić użytku z nowej broni. Sara rozpoznała pistolet, znany jej z ilustracji w starożytnych tekstach.

– To tak wygląda neutralność wysadzaczy! – krzyknął Dedinger, wykręcając rękę Kurta, aż stary jęknął i broń wypadła mu z dłoni. – Trzeba cię było przeszukać i do diabła z tradycją.

Przewyciężając ból, Sara rzucała się na Dedingera, ten jednak uderzył ją wściekle na odlew i obalił na ziemię. Bliska utraty świadomości, a jednocześnie strasznie zdeterminowana, zdołała się podnieść i obrócić na kolanach, by podjąć jeszcze jedną próbę.

W tym samym momencie Dedinger wypalił z pistoletu, chybiając jednak, po czym spróbował niezgrabnie odciągnąć kurek, by oddać drugi strzał, lecz wtedy przewróciły go dwie włochate postacie, które napadły na niego z obu stron. Sara zdołała rzucić się w wir walki, by pomóc Prity i Ulgor w poskromieniu byłego uczonego. Jego żyłaste ciało było zdumiewająco silne jak na człowieka w tym wieku.

Fanatyzm czasem popłaca – pomyślała, gdy wreszcie udało im się związać ręce i nogi Dedingera.

Kurt odzyskał broń i cofnął się na skalną grzędę, z której mógł obserwować jęczące niedobitki pustynnej bandy, a także ocalałe ursy. Zwłaszcza Ulgor. Nagły powrót majsterki mógł być przypadkowy, w każdym razie wysadzacze jej ufał.

Dłonie Sary dotknęły czegoś lepkiego. Uważnie zbadła plamy. Miały kolor i zapach krwi.

Nie pochodzą ode mnie, a krew Ulgor nie miałaby odcienia...

Pochodziły od Prity, która starała się zahamować karmazynowy wyciek z głębokiego cięcia w boku. Sara objęła małą, drżącą szympan-sicę, z trudem powstrzymując łkanie.

Zniszczony namiot stał się sceną strasznego dramatu martwych lub oszołomionych Urunthai oraz oślepionych rozblaskiem ludzi. Gdy nieznanemu dźwignął się na nogi, wydawało się, że jest w lepszym stanie niż inni. Przynajmniej widział na tyle dobrze, że mógł pomóc Ulgor związać ręce członków bandy Dedingera. Tymczasem wrócił młody

Jomah, który spętał nogi uspijonych urs. Wkrótce jednak stało się oczywiste, że zmalretowany

człowiek z gwiazd został całkowicie ogłuszony.

Sara stłumiła chęć, żeby rzucić wszystko i zająć się tylko Prity. Poprzestała na założeniu jej opaski uciskowej. Szympanica chrząknęła na znak aprobaty, gdy Sara pomknęła ku charczącej, czworonożnej istocie, młodej ursie, która miotła się słabo z szyją przebitą strzałą. Jej wysilonemu oddechowi towarzyszyły purpurowe bąbelki...

...i umarła z drżącym westchnieniem rozpaczy, nim Sara zdążyła cokolwiek zrobić, by jej pomóc.

Asx

Zaledwie kilka dur temu echa bitwy żłobiły okolicę.

Błyskawice uderzały z nieba, gromiąc Sześciu, przecinając ciało, chitynę i kości.

Tracki zlewali umęczoną dolinę stopionym woskiem bądź też stawali w płomieniach, podpaleni wiązkami żaru.

Och, moje pierścienie, cóż za obrazy wypaliły się w naszym drżącym rdzeniu!

Martwi.

Konający.

Rozważni, którzy uciekli.

Nieroztropni bohaterowie, którzy nadeszli.

Ich bluzy z maskującej tkaniny są teraz zabrudzone błotem i kawałkami lodu. Przestały już być przydatne. Młodzi nadrzewni farmerzy i poganiacze osłów. Prości właściciele homarowych zagród. Młodszy rangą rybacy z najskromniejszych łódek. Ochotnicy, którzy nigdy sobie nie wyobrażali, że szkolenie, w którym brali udział w weekendy, może doprowadzić do czegoś takiego.

Nasza dzielna milicja, która wdarła się w ten wir, w ten kocioł tnących promieni. Amatorzy, słabi i nieprzygotowani, gdyż całe pokolenia trwał pokój, krzywią się teraz bezgłośnie z bólu i zaciskają pięści, gdy opatruje się ich straszliwe rany bądź też gdy umyka z nich życie. Znoszą cierpienie z determinacją weteranów. Ich męki łagodzi jedyny naprawdę skuteczny balsam.

Zwycięstwo.

Czy jeszcze wczoraj, moje pierścienie, obawialiśmy się o Wspólnotę? Czuliśmy lęk, że może ją rozedrzeć nienawiść podsycana przez sprytnych gwiazdnych diabłów?

Ten straszliwy los może się jeszcze ziścić, podobnie jak tysiąc innych okropieństw. Ale nie dzisiaj. W tej chwili aroganccy obcy są jeńcami, wytrzeszczają oczy z zaskoczenia, odarci ze swych boskich narzędzi. Ich piekielne roboty zostały zniszczone przez prymitywne ogniste rury naszej dzielnej milicji.

Niewykluczone, że moment rozrachunku jest niedaleko. W każdej chwili może spaść z bezlitosnego nieba.

Panuje jednak radość. Poczucie ulgi. Czasy dwuznaczności dobiegły kresu. Koniec z zonglowaniem dezorientacją i insynuacjami. Koniec udawania i intryg. Kości Ifni zostały potrząśnięte i rzucone. Teraz toczą się po świętym gruncie Jijo. Gdy się zatrzymają, dowiemy się wszystkiego.

Tak, mój drugi pierścieniu. Masz rację, wskazując na ten fakt. Nie wszyscy znajdują się w stanie uniesienia. Dla niektórych ostatnie wydarzenia stały się powodem do nihilizmu. Szansą wyrównania starych rachunków albo wprowadzenia rządów bezprawia.

Hałaśliwa mniejszość – "przyjaciele Rothenów" – domaga się zwolnienia Ro-kenna. Doradzają, byśmy padli na twarz, błagając o jego boskie miłosierdzie.

Inni żądają natychmiastowego uśmiercenia zakładników.

– Gwiazdolot może dysponować metodami odszukania zaginionych członków załogi – twierdzą. – Być może za pomocą emanacji mózgu bądź umieszczonych w ciele wszczepów. Jedyne sposoby, by mieć pewność, to zmielić ich kości i wsypać popiół do jeziora lawy!

Te i inne zacierzwione grupy mogłyby zmienić zdanie, gdyby ujawniono całą prawdę. Gdybyśmy tylko mogli zdradzić plany, wprowadzone już przez nas, mędrców, w życie. W samej istocie tajemnic kryje się jednak niesprawiedliwość, zachowujemy więc milczenie.

Przedstawicielom Sześciu mówimy tylko tyle:

"Wracajcie do domów. Sprawdźcie swe ochronne kratownice i maskujące pajęczyny. Jeśli możecie, przygotujcie się do walki. Jeśli musicie, do ukrycia się. Bądźcie gotowi na śmierć. Nade wszystko jednak, dochowajcie wiary swym sąsiadom, zwojom oraz Jijo. I czekajcie".

Ocaleni zwijają teraz pośpiesznie namioty, pakują cenne przedmioty i zabierają rannych na noszach. Dzieci każdego gatunku spędzają jedną, świętą midurę na oczyszczeniu Polany ze wszystkich fragmentów odpadów, jakie mogą znaleźć. Niestety, midurajest wszystkim, co możemy oddać tradycji. Nie będzie uroczystej ceremonii mierzwowania. Nie będzie barwnej karawany wiozącej ozdobione wstążkami skrzynie ku morzu i statkom, co zawsze stanowiło najradośniejszą część wszystkich zgromadzeń.

Wielka szkoda.

Zresztą trzeba będzie pokoleń, by wywieźć stąd na grzbietach osłów zniszczoną stację obcych. To zadanie musi poczekać na czasy po zakończeniu kryzysu. O ile ktokolwiek z nas pozostanie przy życiu.

Odprowadza się zakładników. Karawany ruszają ku równinom, lasowi i morzu niczym strumienie myślącego wosku pełznącego z płynnym pośpiechem, by uciec przed ogniem.

Słońce również się wycofuje. Rozległą domenę zwaną wszechświatem wypełniają teraz boleśnie jasne gwiazdy. Jest to królestwo, do którego Sześciu nie ma dostępu, lecz nasi wrogowie wędrują po nim swobodnie.

Nieliczni z nas pozostają, przykuci do uświęconej doliny, by czekać na przybycie gwiazdolotu.

Czy my-ja się zgadzamy, moje pierścienie? Pozostać w pobliżu Świętego Jaja, oprzeć naszą podstawę na twardym kamieniu, by poczuć, jak skomplikowane regularności wypełniają swymi wibracjami nasz tłuszczowy rdzeń?

Tak, znacznie lepiej jest spocząć tutaj, niż wyruszyć jakąś krętą, stromą, skalistą ścieżyną, aby zawlec ten stary stos do złudnie bezpiecznego azylu.

Zostaniemy i przemówimy w imieniu Wspólnoty, gdy wielki statek wyląduje.

Nadlatuje teraz z rykiem z zachodu, gdzie niedawno uciekło słońce. Godnie je zastępuje. Unosi się gniewnie w powietrzu, eksplodując blaskiem zawstydzającym światło dnia. Omiata dno doliny palącymi promieniami, które dokonują dokładnego badania. Najpierw przygląda się zniszczonej stacji, a potem jej okolicom. Szuka tych, których tu zostawił.

XXVII

KSIĘGA MORZA

Zwierzęta egzystują w świecie walki, w którym Uczy się tylko jeden rezultat: przetrwanie jednostki i linii genetycznej.

Istoty rozumne zamieszkują w sieci zobowiązań wobec swych współbraci, opiekunów, podopiecznych i ideałów. Mogą wybrać wierność sprawie, bóstwu czy filozofii bądź też cywilizacji, która umożliwiła im uniknięcie zwierzęcej egzystencji.

Węzły posłuszeństwa krępują nas wszystkich, nawet gdy już schodzimy po Ścieżce Odkupienia.

Mimo to, pamiętajcie o jednym, dzieci wygnania:

na dłuższą metę wszechświat jako całość

nic wam nie jest winien.

Zwój Nadziei

Opowieść Alvina

Być może wydają się pałakowatym stworom równie niesamowity, jak one mi. Może ze wszystkich sił starają się być pomocne. Biorąc pod uwagę, jak niewiele wiem, najlepiej byłoby powiedzieć: "poczekamy, zobaczymy".

My, hoonowie, radzimy sobie z tym nieźle, ale strach pomyśleć, co przeżywa biedna Huck, jeśli zamknęli ją w celi podobnej do tej. Stalowym pomieszczeniu tak małym, że ledwie może w nim zakręcić kołami,

nim uderzy w ścianę, gdzie do tego nieustannie słychać pomruk jakiegoś dziwnego silnika. Huck w ogóle nie ma cierpliwości i do tej pory mogła dostać kompletnego świra.

O ile jeszcze żyje.

Wyglądała na żywą, kiedy widziałem ją po raz ostatni, po tym, jak nasz upadek w lodową głębię Śmietniska zakończył się runięciem w rozwartą paszczę morskiego potwora. Przypominam sobie, że widziałem, jak leżała rozplaszczona na metalowej powierzchni, kręcąc kołami i słabo kopiąc popychającymi nogami, podczas gdy podłoga i ściany trzęsły się od straszliwego wichru, który drażnił moje uszy niewiarygodnym ciśnieniem.

Właśnie to ciśnienie uratowało nam życie, wyrzucając nas z przygniatającej masy wody, nim utonęliśmy. W tamtej chwili jednak mogłem tylko krzyczeć, oplatając głowę ramionami, podczas gdy moimi plecami targaly konwulsje wywołane uderzeniem, które otrzymałem podczas ucieczki z naszego zniszczonego "Marzenia Wuphonu".

Zdawałem sobie wówczas niejasno sprawę z czyjegoś wycia. Ur--ronn skuliła się w odległym kącie, pokaleczona i podrapana odłamkami swego cennego, stłuczonego okna, a do tego doprowadzona do paniki z powodu wilgoci.

Gdy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się cudem, że w ogóle mogła oddychać po tym, jak "Marzenie" się rozleciało i ze wszystkich stron do środka wdarło się okrutne morze. Siła tego uderzenia walnęła mnie na kadłub z pnia gam, podczas gdy moi przyjaciele runęli w dół na łeb, kopyta i obręcze.

Nigdy dotąd nie widziałem, by ursa próbowała pływać. Nie jest to zbyt ciekawy widok.

Pamiętam, że myślałem, iż to ostatnia rzecz, jaką widzę, do chwili, gdy z setki szczelin w ścianach eksplodowała chmura pęcherzyków powietrza, która wypełniła wodę pianistym rykiem. Pęcherzyki połączyły się, tworząc ów świszczący wiatr, a my, ocaleni, runęliśmy na rozbity wrak naszego pięknego batyskafu, dysząc i wymiotując w ciemne, oleiste kałuże.

Z naszej czwórki tylko Koniuszek zachował jakąkolwiek zdolność ruchu. Wydaje mi się, że przypominam sobie, jak usiłował niezręcznie opatrywać rany Ur-ronn. Przycisnął ją do ściany podrapaną skorupą, gmerając dwoma szczypcami w jej skórze, by wydobyć z niej odłamki

szkła. Ur-ronn nie pomagała mu w tym zbytnio. Sprawiała wrażenie niezdolnej do rozsądnych reakcji. Nie mogę jej mieć tego za złe.

Nagle, naprzeciwko dwuszcękowej paszczy, która przegryzła "Marzenie", otworzyły się drzwi. Były mniejsze od niej. Dwa demony, które jeden za drugim weszły do środka, ledwie się w nich zmieściły.

Były to sześcionożne bestie o straszliwym wyglądzie. Ich poziome tułowia przerastały długością wysokość hoonów. Z tyłu się rozszerzały, z przodu zaś miały wybrzuszenia wyposażone w wielkie, szkliste, pęcherzykowe oczy, czarne i tajemnicze. Stwory tupiąc weszły do pomieszczenia i zmiażdżyły pod niezgrabnymi stopami zarówno głębokościomierz Uriel, jak i kompas Ur-ronn. Wyglądały jak wodne pluskwy, których wrzecionowate wyrostki łączyły się z rurowatym ciałem, połyskującym, wyginającym się i gibkim. Krótsze kończyny, zwisające z przodu, przypominały

mechaniczne narzędzia.

No, dobra, opisuję mnóstwo rzeczy, których nie mogłem wówczas zobaczyć dokładnie. Nim do środka wlaży pająkowate stwory, było ciemno, pomijając ostry blask dwóch snopów światła padających z przeciwległych ścian. Byłem też półprzytomny i w stanie szoku, a więc niczego, co piszę, nie można traktować jako wiarygodnego świadectwa.

Zwłaszcza moich wrażeń z tego, co wydarzyło się później.

Wymachując oślepiającymi lampami, które z sobą przyniosły, dwie widmowe postacie przystąpiły do oględzin swego połowu. Najpierw zatrzymały się, by oświetlić i obejrzeć Koniuszka i Ur-ronn, potem biedną Huck, która kręciła bezskutecznie kołami, leżąc na boku, a na koniec mnie. Spróbowałem się poruszyć, lecz omal nie zemdlałem. Gdy usiłowałem coś powiedzieć lub wyburkotać, przekonałem się, że mój posiniaczony worek rezonansowy nie może zaczerpnąć powietrza.

To zabawne, ale mógłbym przysiąc, że potwory rozmawiały ze sobą, kiedy nam się przyglądały, czego teraz nigdy nie robią, gdy wchodzi grupami do mojej celi, by się mną zająć. Była to niesamowita, trylująca, stukocząca mowa, absolutnie niepodobna do drugiego galaktycznego ani żadnego innego ze znanych mi języków galaktycznych. Mimo to coś w niej wydawało mi się znajome. Przysięgam, że za każdym razem, gdy po raz pierwszy któreś z nas oświetlały, w głosach bestii brzmiało zaskoczenie.

Gdy dotarły do mnie, moje przerażenie złagodziło częściowo nagłe pojawienie się Huphu. Jakąś częścią zmaconego umysłu niepokoiłem

się o naszą maskotkę. I nagle odnalazła się. Stała słupka przede mną, jazgocząc wyzywająco na znacznie od niej wyższe pająkowate stwory.

Te zachybotwały się do tyłu. Ich zdumienie było teraz tak oczywiste, jakbym obserwował je ze znakomicie dostrojonym rewkiem. Jedna z istot przycupnęła i zaczęła szeptać coś pośpiesznie i z podnieceniem. Mogła mówić o małej noorce albo bezpośrednio do niej. Nie potrafię tego określić.

Czy mogę ufać tym przypominającym sen reminiscencjom? W o-wych chwilach ciągle zapadałem w pustkę, jak piszą w niektórych książkach Ziemi. Spoglądając wstecz, wygląda to na złudzenie.

Jedna rzecz z pewnością jest tworem mojej fantazji. Coś, co wydaje mi się raczej wrażeniem niż wspomnieniem. Mimo to ów obraz utrzymuje się, migocząc tak, jak robiła to moja świadomość na chwilę przed tym, nim zgasła.

Bez ostrzeżenia w polu widzenia pojawiła się jeszcze jedna postać, która wypełzła spod korpusu naszego biednego, rozbitego batyskafu. Na wpół spłaszczony i zdeformowany Ziz odzyskał swój stożkowaty kształt. Oba potwory odskoczyły do tyłu, całkiem jakby zobaczyły coś groźniejszego niż jadowity scynk. Jeden z nich skierował na zmaltretowanego traeckiego cząstkowca lśniąca rurę i wystrzelił z niej rozżarzony impuls, który wypalił dziurę w środkowym pierścieniu nieszczęsnego stosu i cisnął Zizem o ścianę obok Huck.

Mój przeciążony mózg wyłączył się mniej więcej wtedy. (A może zrobił to już przedtem?) Jest jednak jeszcze jedno niejasne, przypominające sen wrażenie, które prześladuje mnie w tej chwili niczym cień fantomu ducha totalnego zdumienia.

Gdy sok karłowatego trackiego wyciekał na wilgotną podłogę, ktoś się nagle odezwał. Nie przemawiał w gwizdzących trylach, których stwory używały poprzednio. Nie w siódmym galaktycznym ani w żadnym innym cywilizowanym języku, lecz w anglicu.

– Mój Boże – rzekł z niedowierzaniem. Wydało mi się, że był to głos ludzkiej kobiety mówiącej z dziwnym akcentem, jakiego nigdy dotąd nie słyszałem.

– Mój Boże, oni wszyscy i do tego jeszcze Jophur!

XXVIII

KSIĘGA STOKU

Legendy

Powiadają, że wszyscy wywodzimy się z pechowych gatunków.

Według wielu opowieści powtarzanych przez Sześciu, w Pięciu Galaktykach szaleją nieustanne wojny, prześladowania, cierpienia i fanatyzm. Gdyby jednak rzeczywiście była to typowa sytuacja, taka cywilizacja nie przetrwałaby nawet miliona lat, nie mówiąc już o miliardzie czy więcej.

Gdyby była to typowa sytuacja, w miejscach takich jak Jij o zamiast pot tuzina inwazji przedterminowych osadników tłoczyłaby się ich niezliczona ilość.

Gdyby była to typowa sytuacja, światy takie jak Jijo dawno już wyeksploatowano by do szczętu.

Inne relacje mówią, że większość gatunków gwiazdnych wędrowców jest stosunkowo spokojna. Że pilnują oni swych interesów, wychowują podopiecznych i dbają o wydzierżawione światy, przestrzegając z pogodną dbałością dobrych manier i starożytnych kodeksów na Wschodzącej Ścieżce ku oczekującej ich nieznannej transcendencji. Uważają irytujące błazeństwa sojuszy gorliwych fanatyków za niestosowne i niedojrzałe. Po co jednak interweniować, kiedy bezpieczniej jest schować głowę (albo głowy) w piasek i zajmować się własnymi sprawami?

Podopieczni, którzy mieli to szczęście, że adoptowały ich podobne, umiarkowane klany, dorastają w pokoju i bezpieczeństwie, pomijając owe okresy – legendarne Czasy Zmian – gdy wrzenie ogarnia nawet ostrożnych i dyskretnych.

Wtedy na ogół powodzi się śmiałym. Tym, których zahartowały wojownicze obyczaje panujące w ciemnych zakamarkach kosmosu.

Te zakamarki pochłaniają jednak ofiary. Powiadają, że nas. Sześciu, należy zaliczyć do okrwawionych uchodźców, którzy porzucili ukradkiem przez g ranę sprawy i utracone marzenia, by odnaleźć miejsce, w którym mogliby się ukryć. Wrócić do zdrowia. Wstąpić na inną ścieżkę.

Spróbować odszukać ostatnią szansę.

Sara

Jakkolwiek by na to patrzeć, zamieszanie było totalne.

Bomba głusząca sprawiła, że juczne zwierzęta rzuciły się do panicznej ucieczki, zerwały z postronków i pognały jak szalone przez labirynt skalnych iglic. Ktoś będzie musiał ich poszukać, lecz najpierw trzeba było opatrywać rannych na tyle starannie, na ile pozwalały umiejętności Sary.

Tych ludzi, którzy zostali oślepieni – być może przejściowo – należało uspokoić, a potem nakarmić. Później trzeba będzie zaciągnąć zabitych na jakieś płaskie miejsce, gdzie można będzie wznieść stos, by spalić na nim zwłoki, pozostawiając jedynie nieuniknione odpady – zgrabną, łatwą do przetransportowania stertę, którą potem się zbierze i wyśle do morza.

Pojawiła się jeszcze jedna komplikacja. Kilka martwych Urunthai miało w torbach mężów lub larwy. Sara zgromadziła razem naj silniej sze, które wypełzły na zewnątrz – te które miały jakieś szansę przeżycia – w prowizorycznej zagrodzie, gdzie maleńcy samcy zaopiekowali się swym potomstwem, przeżuając i zwracając drobne kawałki mięsa dla przypominających gąsienice uryjskich przedniemowląt o ziemistej barwie.

W opowieściach wysławiających wojnę nigdy nie wspomina się o trudnych zadaniach, które trzeba wykonać po bitwie. Być może nie walczone by tak często, gdyby wiedziano, że trzeba potem posprzątać tak okropny bałagan.

Około zachodu słońca Kurtowi i Jomahowi udało się wreszcie usiąść, aby coś zjeść i chwilę odpocząć. Zrobiło się już ciemniej. Migotliwy blask ogniska oświetlał dwa szeregi ponurych jeńców

– ludzi i urs – którzy gapili się na siebie nawzajem, nadąsani, na wpół oślepieni i rozdrażnieni. Nikt jednak nie wydawał się bardziej rozdrażniony odbytego mędrca, uczonego przeobrażonego w proroka, który jeszcze pół dnia temu z taką pewnością siebie dyskutował z Sara. Dedinger spoglądał z niechęcią na Kurta, który ścisnął pistolet, ani na chwilę nie spuszczał więźniów z oczu.

Sara nim usiadła, sprawdziła ranę Prity, z której wciąż sączyło się na tyle mocno, by było to niepokojące. Zaszycie rany okazało się trudne, gdyż – co zrozumiałe – szympansem targały skurcze, a oczy Sary były

załzawione od bomby głuszącej. Gdy już zrobiła wszystko, co mogła, dla swej małej pomocnicy i przyjaciółki, rozejrzała się w poszukiwaniu nieznanego. Przez całe popołudnie służył im wielką pomocą, lecz nie widziała go już od ponad godziny, a poza tym był najwyższy czas, by wziął lekarstwo.

– Poszedł w tamtą stronę – powiedział Kurt, wskazując na południe, między skały. – Chce pewnie złapać parę osiołków. Nie martw się. Ten facet wygląda na takiego, co potrafi zadbać o siebie.

Słumiła chęć skrzywienia wysadzacza za to, że pozwolił człowiekowi z gwiazd oddalić się samemu w nieznaną głuszę. Ostatecznie obcy był kaleką i mógł zrobić sobie krzywdę albo zabłądzić.

Przyszło jej jednak, do głowy, że ten kaleka jest dość zadziwiający. Bystry, posiada wiele umiejętności. Okazało się też, że jak na człowieka o tak pokojowym nastawieniu, umiał bardzo dobrze walczyć.

Wzruszyła ramionami i pogodziła się ze z tym, czego nie mogła zmienić, po czym usiadła, by spożyć odrobinę wypiekanych przez pustynnych ludzi sucharów i wypić z kubka łyk wody o posmaku skóry.

– Rankiem musimy zgromadzić drewno na stos, ponieważ nie mamy żadnych odpadożemych torusów i nie ma mowy o porządnym zmierzwowaniu – mówiła głośniejszym głosem, ponieważ wszyscy nadal słyszeli raczej kiepsko. Ona także czuła nieustanne dzwonięcie w uszach. – Powinniśmy też wysłać kogoś po pomoc.

– Ja pójdę – zgłosił się na ochotnika Jomah. – Jestem jedynym, który nie oberwał podczas bitwy. Jestem silny i mam kompas. Stryjek Kurt wie, że nie zabłądzą. Potrafię też wędrować naprawdę szybko.

Starszy wysadzacza miał niezadowoloną minę. Jego bratanek był bardzo młody. Mimo to po chwili zastanowienia Kurt skinął głową.

– To ma sens. Mógłby wyruszyć...

– Oczywiście to mnie trzeźwo wysłać – przerwała mu Ulgor, porzucając rozpalenie ogniska. – Potrafię więc szybciej i dotrzeć dalej niż ten dzieciak i dowrze znan te wzgórze.

Sarę zatkało.

– Jeszcze czego! Nie mogę uwierzyć, że nie związaliśmy cię dotąd, tak jak pozostałych! Pozwolic ci odejść? Żebyś mogła pobic po nową grupę swych fanatycznych przyjaciółek?

Ulgor odwróciła wąską głowę, by spojrzeć z ukosa na Sarę.

– Całkownie te przyjaciółki nie były już w drodze, synfatoryczna

córko Nela. Nie zafoninaj, że UrKachu wysłała frzoden enisariuszki. Frzyfuśny, że wratankowi Kurta udało się dotrzeć do folany, nie natykając się na Iwotygrysa albo stado khoowr. Jeśli skieruje się na północ, gwarantuję ci, że pierwszą grufą, jaką sfotka, wędą sojusznicy UrKachu, sfieszające nań z fonocą.

Teraz z kolei Kurt jej przerwał, zaśmiaawszy się krótko.

– A kto powiedział, że kierujemy się na północ? Zarówno Ulgor, jak i Sara popatrzyły na niego.

– Co chcesz przez to powiedzieć? To oczywiście, że musimy...

Ucichła, gdy ujrzała uśmiech wysadzacza.

Jeśli się nad tym zastanowić. Kurt nigdy nie powiedział wprost, że miejscem jego przeznaczenia jest Polana. To Sara uznała, że swą pilną sprawę ma załatwić właśnie tam. Mógł jednak mieć zamiar opuścić naszą grupę w Rozdrożu, gdy pozostali ruszyliby w górę, w kierunku Jaja.

– Na pomoc najwyższym mędrcom wyruszyli już inni członkowie naszego cechu. Ja i chłopiec mamy sprawę do załatwienia gdzie indziej. A skoro już poruszyliśmy ten temat, radzę ci, byś się zastanowiła nad możliwością towarzyszenia nam, Saro. Choćby dlatego, że to zapewne ostatni kierunek, jaki wybiorą Urunthai.

Była to najdłuższa przemowa, jaką kiedykolwiek słyszała z ust Kurta. W głowie zakipiało jej od domysłów. Na przykład, dlaczego mówił to w obecności Ulgor?

Dlatego, że każda zdeterminowana ursa potrafi odnaleźć świeży ślad grupy ludzi i osłów. Jest oczywiste, że Ulgor musi pójść z nami, albo trzeba ją będzie wyeliminować.

Czy jednak ta sama logika nie nakazywała wymordować również wszystkich pozostałych jeńców? Kurt z pewnością wiedział, że Sara nigdy by na to nie pozwoliła. Zresztą problem nie zniknął po prostu dlatego, że mieli parę dni przewagi. Dobry tropiciel, taki jak Dwer, potrafiłby odnaleźć nawet ich wystygły ślad.

Chciała już poruszyć te kwestie, lecz nagle zreflektowała się, zdając sobie sprawę, że Kurt nie może jej udzielić zadowalających odpowiedzi, gdy słuchają go siedzący w pobliżu, kipiący złością bandyci.

– Wiesz, że nie mogę wyruszyć z wami – powiedziała wreszcie, potrząsając głową. – Ci ludzie i ursy umrą, jeśli zostawimy ich tu związanych, a z pewnością nie możemy ich wypuścić.

Jeśli miała w tej sprawie jakieś wątpliwości, rozwiązało je jedno

spojrzenie w gniewne oczy Dedingera. Ta zimna furia stanowiła problem, który mogło rozwiązać tylko wielkie oddalenie w czasie i przestrzeni. Im większe, tym lepiej.

– Zostanę tu i zaopiekuję się nimi do przybycia ich przyjaciół – dodała. – Urunthai zapewne będą mnie osłaniać, gdyż walczyłam, by ocalić życie ich towarzyszek, choć mogą wziąć mnie do niewoli. Może mi się nawet uda powstrzymać je przed wyrżnięciem bandy Dedingera. Ale ty i Jomah powinniście odjechać. Zakładając, że uda nam się złapać część osłów, moglibyście zabrać Prity i nieznanego. Jeśli będziecie mieli niesamowicie wielkie szczęście, może dostarczycie ich w jakieś miejsce, gdzie znajdziecie farmaceutę i silną jednostkę milicji. Podążę za wami przez odcinek kilku strzałów z łuku, żeby zatrzeć ślady, a potem pogonię resztę osłów, by wydeptały masę fałszywych tropów wiodących w różnych kierunkach.

Z ust Ulgor wyrwał się cichy gwizd niechętnie przyznawanego szacunku.

– Jesteś frawdziwą siostrą swego wrata.

Sara odwróciła się w stronę eleganckiej majsterki.

– Oczywiście oznacza to, że skończył się czas swobody, który zdobyłaś dla siebie, pomagając nam pod koniec bitwy. – Nachyliła się, by podnieść kawałek namiotowej liny. – Czas dołączyć do reszty, sąsiadko.

Ulgor cofnęła się.

– Ty i kto jeszcze ma mnie zmusić do \wy słuchania tego rozkazu? – zapytała wyzywającym tonem w szóstym galaktycznym. Kurt odwiódł kurek pistoletu.

– Ja i moja magiczna różdżka, Ulgor. Zatrzymaj się. Ursa opuściła długą szyję na znak porażki.

– No dowra – szepnęła niepokieszona. – Jeśli tak nalegacie, chywa wędę nogła to wytrzymać frzez krótką chwilę.

Spokój w słowach Ulgor sprawił, że Sara potrzebowała dury czy dwóch, by zdać sobie sprawę, że

ursa wciąż się cofa!

Kurt także zbity z tropu, zawahał się. Wreszcie Dedinger krzyknął:

– Ona udaje, wy dumie!

W mgnieniu oka Ulgor odwróciła się i runęła w wieczorny mrok. Kurt wystrzelił raz – i chybił – nim uryjski zad zniknął między

skalami. Jeszcze tylko zobaczyli dwa splecione w warkocze ogony. Uwięzione ursy uniosły dręczone narkotycznym kacem głowy i zachichotały radośnie. Kilku ludzkich więźniów również roześmiało się, szydząc z zawstydzonego wysadzacza.

– Potrzeba ci więcej praktyki, dziadku – zauważył Dedinger. – Albo może daj to komuś, kto jak już wystrzeli, to w coś trafi.

Priety obnażyła zęby i warknęła na byłego mędrca, który udał przerażenie, a potem roześmiał się raz jeszcze.

Znał szympansy w Biblos – pomyślała Sara, kładąc dłoń na kolanie Priety, by ją powstrzymać. Powinien wiedzieć lepiej.

Ale, z drugiej strony, nie ma większego durnia niż inteligentny dureń.

– Cóż, to załatwia sprawę – mruknął Kurt do Sary. – To moja wina. Trzeba cię było posłuchać. Związać ją, mimo że pomogła uratować mi życie. Teraz będzie się czaić w pobliżu i nas obserwować. Albo ucieknie i sprowadzi swoją bandę, nim oddalimy się na wystarczającą odległość.

Sara potrząsnęła głową. Wystarczającą do czego? Z pewnością ucieczka Ulgor przyśpieszyła tylko nieuniknione.

Wysadzacz przywołał ją gestem. Kiedy usiadła blisko, przez chwilę milczał, zacisnąwszy usta, nim wreszcie zdecydował się przemówić, tak cicho, że jej zmaltretowane uszy ledwie go słyszały.

– Zastanawiałem się ostatnio, Saro... to, że podróżujesz z nami, wydawało się darem od Jaja. Nieprzewidywalnym błogosławieństwem Ifni. Twoje umiejętności mogą się okazać bardzo przydatne w pewnym... projekcie, w którym uczestniczę. Chciałem cię poprosić w Rozdrożu...

– O co?

– Byś wyruszyła z nami na południe... – ściszył głos jeszcze bardziej – ...na Mount Guenn.

– Na Mount... – palnęła Sara, zrywając się na nogi. Ujrawszy wyraz paniki na twarzy Kurta, usiadła z powrotem i zniżyła głos.

– Żartujesz, prawda? Wiesz, że mam sprawę do załatwienia na Polanie. Ważną sprawę. Jeśli radykałowie sądzą, że z powodu nieznanego warto zabijać, to czy nie uważasz, że mędracy powinni mieć szansę mu się przyjrzeć, by zdecydować, co zrobić? Poza tym, jeśli obcy

są jednak jego przyjaciółmi, mamy obowiązek pomóc mu uzyskać nowoczesną opiekę medyczną... Kurt machnął ręką.

– Wszystko to jest prawdą. Niemniej jednak, skoro ścieżka wiodąca na Polanę jest zablokowana, a na nas czeka inne zadanie, które może okazać się ważniejsze...

Sara wytrzeszczyła oczy. Czy ten facet był równie obłąkany, jak Dedinger? Cóż mogłoby być ważniejsze?

– ...zadanie, nad którym, w już wspomnianym przeze mnie miejscu, od kilku tygodni pracuje jeden z twoich kolegów...

Jeden z moich kolegów? Sara zamrugła powiekami. Bonnera i Tai-ne'a widziała kilka dni temu w Biblos. Plovov był na zgromadzeniu. W takim razie kto...

Przyszło jej do głowy tylko jedno nazwisko.

Astronom Purofsky? Na Mount Guenn? Co on tam robi, w imię Jaja?

– ...zadanie, które zdecydowanie wymaga twojej specjalistycznej wiedzy, jeśli mogą być tak śmiały.

Potrząsnęła głową.

– To... miejsce... leży daleko za Wielkim Bagnem, za pustynią i Tęczowym Wyciekami! Albo też będziecie musieli dokonać długiego objazdu rzeką, a potem morzem...

– Znamy skrót – oznajmił Kurt.

– .. zresztą jeszcze przed chwilą planowaliśmy szaloną eskapadę do najbliższej wioski, jakby to była jakaś beznadziejna podróż na księżyc!

– Nigdy nie mówiłem, że to będzie łatwe. – Kurt westchnął. – Posłuchaj, w tej chwili chcę się dowiedzieć tylko tyle: jeśli przekonam cię, że to możliwe, czy zgodzisz się nam towarzyszyć?

Sara przełknęła odpowiedź, której początkowo zamierzała udzielić. Kurt wyciągnął już ze swego tornistra cudowne moce i boskie maszyny. Czy miał w nim również magiczny dywan? Albo legendarny ślizg anty grawitacyjny? Albo szybowiec o cienkich jak pajęczyna skrzydłach, w które złapie wiatr od morza, by zanieść ich na odległą ognistą górę?

– Nie mogę marnować czasu na bzdurne rozmowy. Podniosła się, zaniepokojona o nieznanego. Szybko robiło się ciemno, a choć Ulgor uciekła na pomocny zachód, nie było gwarancji, że nie zatoczy kręgu, by odnaleźć człowieka z kosmosu i zaskoczyć go.

– Idę poszukać...

Przerwał jej krzyk, od którego aż podskoczyła w górę. Przenikliwe, melodyjne, śpiewne zawroscenie wyrażające zdumienie i wściekłość odbiło się echem od skał tak wiele razy, że ich przemęczone hałasem uszy nie potrafiły określić, skąd dochodziło. Straszliwy dźwięk sprawił, że po plecach Sary przebiegły ciarki nagłego przerażenia.

Pryty złapała jeden z długich uryjskich noży i zbliżyła się do podenerwowanych jeńców. Jomah pogłaskał najmniejszy z łuków pustynnych łowców, naciągając strzałę na cięciwę. Sara załamała dłonie. Wiedziała, że powinna się w nich znaleźć broń, ale sama myśl o jej trzymaniu wydawała się nieprzystojna. Nie potrafiła się na to zdobyć.

To wada charakteru – przyznała oszołomiona. Nie powinnam przekazywać jej dzieciom. Nie, jeśli zmierzamy ku wiekowi przemocy i "bohaterów".

Napięcie rosło, w miarę, jak zawroscenie nabierało mocy. Odnosili wrażenie, że niesamowite wycie składa się w jednej części z bólu, w jednej z rozpaczki i w ośmiu z upokorzenia, całkiem jakby śmierć wydawała się wrzeszczącemu lepszym losem od tego, co go spotykało. Z każdą upływającą sekundą wycie stawało się coraz głośniejsze i bardziej szalone. Jeńcy zbili się w ciasną grupę, spoglądając z niepokojem w mrok.

Nagle do zawroscenia dołączył inny dźwięk, który stanowił dla niego basowy kontrapunkt. Szybki, nierytmiczny łoskot, od którego grunt drżał, całkiem jakby zbliżała się jakaś maszyna.

Kurt odciągnął kurek pistoletu, trzymając broń przed sobą.

Wtem od strony zachodniej na skraju obszaru oświetlonego przez ognisko pojawił się jakiś cień. Monstrualna postać, zgarbiona i ciężka, pochylona do przodu, na dodatek wyposażona w narośl, miotła się i ciskała niczym skupisko kłębiących się rąk i nóg. Sara wciągnęła powietrze i postąpiła krok do tyłu.

W chwilę później kształt stał się wyraźniejszy. Westchnęła z drżeniem, rozpoznawszy w wypukłości Ulgor, która jęczała niepocieszona i zawstydzona, utrzymywana w powietrzu przez niewzruszony uścisk dwóch opancerzonych, wyposażonych w szczypce, chitynowych ramion.

Oheueńskich ramion. Pozostałe trzy z pięciu wlokły się naprzód

niezgrabnie, usiłując utrzymać równowagę, podczas gdy wijąca się ursa próbowała się wyrwać.

– Opór jest bezużyteczny – zagwizdał chrapliwy, lecz znajomy głos płynący z dwóch otworów nogowych, głos suchy od tego samego zaskorupiałego pyłu, który oszukał z początku Sarę, każąc jej

myśleć, że pancierz ma kolor łupkowej szarości. Dopiero w pobliżu ognia można było dostrzec prześwitujący przez tę powłokę prawdziwy, niebieski odcień.

– Cześć k... k... koledzy – wychrypiał Brzeszczot, syn Gryzącej Kłody z Tamy Dolo. – Czy ktoś mógłby mi d... d... dać łyk wody?

Noc była pogodna, wietrzna i bardzo zimna, jak na tę porę roku. Ostrożnie zużywali posiadany zapas opału. Strzępami podartego namiotu okryli zbitych w grupy jeńców, by pomóc im zachować ciepło. Ciemność skłaniała ursy – w tym również porządnie związaną Ulgor – do snu, lecz ludzcy rebelianci mruczeli do siebie pod prowizorycznym schronieniem. Sara była pewna, że coś knują. Mieli wyraźnie mniejszą ochotę niż pozostałe przy życiu członkinie bandy UrKachu zobaczyć kolejne Urunthai, które mogły wyłonić się spomiędzy wzgórz jutro lub pojutrze. Jeśli po ciemku przetrną lub przegryzą więzy, jaką wartość odstraszącą będzie miał wobec nagłej szarży pistolet Kurta?

Co prawda wielu z nich oślepił błysk. Otuchy dodawała też obecność Brzeszczota. Mimo że charczał od pyłu i jako niebieski miał mniej twardą chitynę, wzbudzał swą postacią lęk. Gdy im towarzyszył, Sara i pozostali mogli nawet zaryzykować i przespać się trochę na zmianę.

Gdybyśmy tylko wiedzieli, co stało się z człowiekiem z gwiazd – zamartwiała się.

Nie było go już od kilku midur. Nawet teraz, gdy okolicę oświetlało blade światło Loocen, aż nazbyt łatwo było wyobrazić sobie, że biedak gdzieś tam zabłądził.

– To wystrzał pomógł mi trafić do waszego obozu – wyjaśnił Brzeszczot, gdy Sara i Jomah wytarli już gąbkami jego otwory oraz krąg oczny, zużywając znaczną część zapasu cennej wody. – Byłem już dość zdesperowany. Nie mogłem odnaleźć waszego śladu w coraz słabszym świetle. I nagle usłyszałem huk. W chwilę później zobaczyłem odbicie waszego ogniska w tamtej iglicy.

Sara podniosła wzrok. Faktycznie wydawało się, że w wysokiej skalnej formacji tańczy jakiś błysk. Mogło to umożliwić nieznanemu trafienie do obozu.

– Wyobraźcie sobie jednak moje zaskoczenie, gdy ktoś wybiegł mi na spotkanie! – Brzeszczot zachichotał trzema otworami. – Oczywiście mój szok był niczym w porównaniu z tym, jaki Ulgor przeżyła na mój widok!

Opowieść qheuena nie była zbyt skomplikowana. Świadczyła za to o odwadze. Czekał pod wodą w Oazie Uryutty, aż oddaliła się szybka grupa UrKachu, w ślad za którą ruszyła wolniejsza ekspedycja z jeńcami i łupami. Przez pewien czas zastanawiał się, co zrobić. Czy powinien wyruszyć do Rozdroża albo do jakiejś innej osady? Czy też podążyć za porwanymi i spróbować im pomóc w chwili, gdy przyniesie to najwięcej pożytku? Każda z tych decyzji oznaczała odwodnienie i ból, nie wspominając już o niebezpieczeństwie. Sara zauważyła, że Brzeszczot nie wspomniał o trzeciej możliwości: zaczekaniu w oazie na czyjeś przybycie. Być może w ogóle nie przyszło mu to do głowy.

– Jednego się nie spodziewałem. Tego, że zastanę waszą czwórkę panującą nad sytuacją! Że sami zwyciężycie obie grupy! Wygląda na to, że wcale nie potrzebowaliście ratunku.

Jomah, który wszedł na skorupę Brzeszczota, by wytrzeć gąbką jego szczeliny węchowe, roześmiał się, po czym uściskał niebieską kopułę qheuena.

– To tobie zawdzięczamy zwycięstwo! Sara skinęła głową.

– Jesteś największym bohaterem ze wszystkich, najdroższy przyjacielu.

Wydawało się, że nikt nie ma już nic więcej do powiedzenia. Albo też byli zbyt zmęczeni, aby dalej rozmawiać. Przez moment gapili się w milczeniu na płomienie. W pewnej chwili Sara popatrzyła na Loocen i zauważyła jasne migotanie światła słonecznego odbitego w porzuconych buyurskich miastach, starodawnych pamiątkach potęgi i chwały, które ongiś wypełniały ten układ planetarny i kiedyś znowu miały go wypełnić.

My, przedterminowi osadnicy, jesteśmy jak sny Jijo – pomyślała. Podobne duchom widma, po

których zniknięciu nie pozostanie żaden ślad. Przelotne fantazje wypełniające czas, w którym ten fragment dzieła

stworzenia odpoczywa, przygotowując się do następnej fazy dokonań jakiegoś podobnego bogom gatunku.

Nie była to pocieszająca myśl. Sara nie chciała być snem. Pragnęła, by to, co czyniła i myślała w życiu, miało znaczenie, choćby tylko jako wkład w coś, co z czasem stanie się lepsze dzięki jej pracy, jej dzieciom, jej cywilizacji. Być może owo pragnienie miało swe korzenie w wychowaniu, jakie otrzymała od matki, której jeden syn stał się sławnym heretykiem, drugi legendarnym myśliwym, a córka głosicielką zwariowanych teorii przewidujących inny rodzaj odkupienia dla wszystkich gatunków składających się na Sześciu.

Cofnęła się myślą do swej rozmowy z Dedingerem.

Zapewne nigdy się nie dowiemy, które z nas miałyby rację, gdyby Wspólnocie pozwolono w spokoju zmierzać własną drogą. Szkoda. Oboje wierzymy w coś, co na swój sposób jest piękne. A przynajmniej bez porównania piękniejsze od wymarcia.

Cisza sprawiła, że niektóre z naturalnych dźwięków świata znowu stały się słyszalne, znajome, w miarę jak dzwonienie w uszach powoli ustępowało.

Powinnam się cieszyć, że nie jestem całkiem głucha czy ślepa albo nawet martwa. Jeśli doszło do jakichś trwałych uszkodzeń, potrafię z tym żyć.

Nieznajomy stanowił dobry przykład. Zawsze zachowywał pogodę ducha, mimo straszliwej utraty znacznej części tego, co czyniło go tym, kim kiedyś był. Uznała, że w takich czasach, jak obecne, tylko stoicyzm ma jakikolwiek sens.

Niektóre z nocnych dźwięków były możliwe do rozpoznania – szept wiatru na pobliskiej prerii i między krzywymi skalnymi kolumnami;

odległy, niski dźwięk stada galeaterów; grzechoczący pomruk Iwotygry-sa ostrzegającego wszystkich, by trzymali się z dala od jego terytorium, a także lament jakiegoś niezwykłego ptaka.

Gdy nasłuchiwała, zawodzenie zmieniło tonację i stało się głośniejsze. Wkrótce Sara zrozumiała, że to nie ptak.

Dźwięk nie przestawał narastać, aż wreszcie zapanował nad nocą, zagłuszając wszystkie inne. Sara zerwała się. Płachty namiotu zafalowały, gdy pozostali zareagowali na hałas -jazgot, który wkrótce przeszedł w ryk, zmuszając ją do zasłonięcia obolałych uszu. Kopuła Brzeszczota zapadła się do wewnątrz, a pojmane ursy zaczęły ujadać i we wszystkie

strony kołysać długimi szyjami. Z pobliskich skalnych iglic zaczęły spadać kamyki. Sara zaniepokoiła się, że wieże mogą runąć od impetu poruszonego powietrza.

Kiedyś już słyszałam ten dźwięk.

Po niebie rozlał się blask. Pojawił się oślepiający kształt, który zwalniał lot przy akompaniamencie seńi eksplozji – płonąca, nabijana licznymi ćwiekami rura, której żar był wyczuwalny nawet z odległości...

Z jakiej odległości? Sara widziała dotąd gwiazdolit raz, a właściwie tylko jego daleki błysk za oknem nadrzewnego domku. Poza tym, znała go jedynie z obrazków, szkiców oraz suchych, abstrakcyjnych wyników pomiarów. Wszystko to w niczym nie pomagało jej odrętwiałemu umysłowi.

Zrozumiała, że statek musi być jeszcze wysoko w atmosferze. Mimo to wydawał się tak ogromny...

Boski gwiazdolit mknął mniej więcej z południowego zachodu na północny wschód. Wyraźnie zniżał lot, zwalniał przed lądowaniem. Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by odgadnąć, gdzie to nastąpi.

Bez względu na całe jego straszliwe piękno, Sara nie czuła tym razem nic oprócz strachu.

Lark

Z oddali trudno było cokolwiek dostrzec. Blask bijący z Polany był tak intensywny, że rzucał długie cienie, nawet tu, wśród leśnych przesiek odległego o wiele mil górskiego stoku.

– Teraz widzisz, z czym macie do czynienia – odezwała się stojąca obok Ling obserwowana z uwagą przez pół tuzina członków milicji. – To nie będzie w niczym przypominało strącenia pary małych robotów ochrony osobistej.

– Co do tego nie mam wątpliwości – odparł Lark, osłaniając oczy przed blaskiem, gdy reflektory poszukiwawcze omiatały krater, w którym leżały ruiny stacji obcych. Po dwóch bezsennych nocach huk odległych silników przypominał ryk Iwotygrysicy, która powróciła z polowania, znalazła młode rozszarpane, a teraz narastał w niej morderczy szal.

– Wiesz, jeszcze nie jest za późno – ciągnęła Ling. – Jeśli

wydacie zbuntowanych gorliwców – i najwyższych mędrców – Rot-heni mogą zaakceptować indywidualną, nie zaś zbiorową odpowiedzialność. Kara nie musi objąć wszystkich.

Lark wiedział, że powinien się rozgniewać. Zdemaskować jej obłudę. Przypomnieć o dowodach, które wszyscy widzieli. Dowodach świadczących, że jej panowie od początku planowali eksterminację mieszkańców planety.

Powstrzymały go przed tym dwie rzeczy.

Po pierwsze, choć wszyscy już wiedzieli, że Rotheni zamierzali sprowokować krwawą wojnę domową wymierzoną w pierwszej kolejności przeciwko ludzkiej populacji Jijo, szczegóły nadal były niejasne.

A diabeł tkwi w szczegółach.

Czuł się zresztą zbyt zmęczony, by wdawać się w kolejną dyskusję z młodą dakkińską biologką. Odwrócił głowę, imitując uryjski gest będący odpowiednikiem wzruszenia ramion i odpowiedział w sykach i mlaskach drugiego galaktycznego:

– Czy nie mamy (znacznie) pilniejszych zajęć niż dyskusja nad (skrajnie) absurdalnymi pomysłami?

Wywołało to aprobujące chichoty strażników, którzy towarzyszyli im w drodze do kryjówki. Inne grupy eskortowały Ranna i Ro-kenna w inne, ukryte miejsca, by rozproszyć zakładników jak tylko się uda.

Tak, ale dlaczego powierzyli Ling akurat mnie?

Może uważają, że będzie zbyt zajęta nieustannym użeraniem się ze mną, by móc zaplanować ucieczkę.

O ile wiedział, mogli być oboje na długi czas skazani na swe towarzystwo.

Zapadła cisza. Obserwowali, jak potężny gwiazdolot zatacza kręgi, omiatając jaskrawą wiązką każdy zakątek Polany, wszystkie miejsca, gdzie jeszcze przed niewidoma midurami stały namioty. Z odległego stoku górskiego wyglądało to wręcz hipnotycznie.

– Mędrce, musimy już iść. Tu jeszcze nie jest bezpiecznie.

To była sierżant milicji, niska, żylasta kobieta imieniem Shen. Miała lśniące, czarne włosy, delikatne rysy twarzy oraz śmiertcionośną, kompozytową kuszę przerzuconą przez ramię. Lark zamrugał powiekami. W pierwszej chwili nie zrozumiał, do kogo skierowane były te słowa.

Mędrce... och, tak jest.

Będzie potrzebował trochę czasu, by się do tego przyzwyczaić.

Zawsze uważał, że jego herezja go zdyskwalifikuje, bez względu na wykształcenie i osiągnięcia.

Ale tylko mędrzec może wyrokować w sprawach życia i śmierci. Gdy grupa wznowiła wędrówkę,

nie mógł nie spoglądać od czasu do czasu na Ling. Choć często myślał, że "chciałby ją udusić", była to jedynie metafora. Wątpił, czy potrafiłby wykonać swój obowiązek, gdyby rzeczywiście stało się to konieczne. Nawet w tej chwili, brudna i wynędzniała, była na to o wiele zbyt ładna.

W jakąś midurę później nad górskim łańcuchem poniósł się ogłuszający ryk trwogi, odbił się echem od pokrytych śniegiem szczytów i uderzył ze wszystkich stron. Drzewa zadrzały. Jeden z żołnierzy milicji wskazał palcem do tyłu, w miejsce, gdzie – co było niewiarygodne – sztuczna luna statku kosmicznego stała się jeszcze jaśniejsza. Wszyscy podbiegli do najbliższej serpentyny, z której rozciągał się widok na południowy zachód, po czym unieśli dłonie, by osłonić oczy.

– Ifni! – wydyszał Lark. Strażnicy ściskali swą prymitywną broń, szarpali kolegów, bądź też wykonywali bezużyteczne gesty mające odegnać zło. Wszystkie twarze były białe od odbijającego się w nich blasku.

– Nie... może... być... – wysapała z trudem Ling. Każde jej słowo było westchnieniem.

Wielki rotheński statek wciąż unosił się nad Polaną, tak jak poprzednio skąpany w świetle.

Teraz jednak padało ono na niego z góry, rzucane przez nowe jestestwo.

Nowy statek.

Bez porównania większy, górujący nad poprzednim niczym dorosła ursa nad jedną ze swych larw.

Och... – westchnął w myśli Lark, gapiąc się na niego i usiłując przystosować się do zmiany skali.

Jedynym, co przyszło mu do głowy, była bluźniercza myśl.

Ten nowy potwór był tak wielki, że mógłby znieść Święte Jajo i zostałyby mu jeszcze w brzuchu miejsce na więcej.

Uwięziony pod lewiatanem rotheński gwiazdolot wydał z siebie zgrzyt. Zadrzał, jakby usiłował uciec, czy choćby się poruszyć. Padające na niego z góry światło zdawało się jednak nabierać teraz cech fizycznej

substancji. Przypominało lity słup przyciskający go jeszcze niżej do ziemi. Żłocista barwa zalała mniejszy statek, który zaszurał mocno po gruncie Jijo. Gęsta światłość okryła go płaszczem i otoczyła, zestalając się niczym żarzący się stożek, twardniejący w miarę stygnięcia.

Jak wosk – pomyślał otępiały Laik. Następnie odwrócił się wraz z pozostałymi i zaczął uciekać przez nocny las tak długo i szybko, jak tylko mógł.

Asx

Cóż to jest, moje pierścienie? Owo drżące uczucie przebiegające przez nasz stos?

Towarzyszy mu wrażenie przerażająco znajome.

Albo znajome przerażająco.

Stoimy jak przykuci na świętecznej polanie wśród owej straszliwej łuny. Nieopodal spoczywa rotheński statek, otoczony bańką zamrożonego czasu. Niesione wichrem liście i gałązki zawisły bez ruchu tuż obok zapieczętowanego złotem kadłuba.

A na górze ta nowa moc. Ten nowy tytan.

Pałace światła przygasają. Nucąc przytłaczającą pieśń, monstrialny gwiazdolot schodzi w dół, miażdżąc wszystkie ocalałe drzewa po południowej stronie doliny. Wyciska w ziemi nowe koryto rzeki. Wypełnia niebo niczym góra.

Czy to czujecie, moje pierścienie?

Czy doświadczacie przecucia, którego pulsowanie wypełnia nasz rdzeń kwasowymi oparami?

W olbrzymim boku gwiazdolotu otwiera się właz, tak wielki, że mógłby połknąć małą wioskę.

Pojawiają się sylwetki widoczne na tle oświetlonego wnętrza.

Zwężające się ku górze stożki. Stosy pierścieni.

Straszliwi kuzyni, których mieliśmy nadzieję już nigdy nie oglądać.

Sara

Nieznajomy wpadł pośpiesznie do obozu w chwilę po tym, jak przeleciał nad nimi drugi statek. Sara wróciła już do siebie na tyle, że była zdolna ponownie skupić umysł na sprawach bieżących.

Sprawach, na które mogła mieć jakiś wpływ.

Człowiek z gwiazd nadbiegł z południa, pędząc przed sobą pół tuzina zmęczonych osłów. Sprawiał wrażenie podekscytowanego, rozgorączkowanego potrzebą wypowiedzenia się. Jego usta otwierały się i zamykały. Bełkotał od rzeczy, całkiem jakby chciał wydusić z siebie słowa samą siłą woli.

Sara dotknęła jego czoła i sprawdziła oczy.

– Wiem – powiedziała, starając się uspokoić jego przeciążone nerwy. – My też go widzieliśmy. Był potwornie wielki, większy niż jezioro Dolo. Chciałabym, żebyś mógł nam powiedzieć, czy to twój statek czy też należy do kogoś, kogo niezbyt lubisz.

W gruncie rzeczy nie była nawet pewna, czy nieznajomy słyszy jej głos, a co do dopiero rozumie słowa. Znajdował się bliżej ogłuszającego granatu i był mniej przygotowany na jego wybuch.

Mimo to w jego podnieceniu było coś dziwnego. Nie wskazywał na niebo, jak by tego oczekiwała, ani na północ, gdzie po raz ostatni widziano schodzące do lądowania jeden po drugim statki, lecz na południe, w kierunku, z którego przed chwilą przybiegł.

Nieznajomy spojrzał jej w oczy i zadrżał. Skupił się, zmarszczył czoło. Zaczepnął kilka głębokich oddechów. Nagle w jego oczach rozblęsnęło światło. Zaczął śpiewać.

Karę, gniade, siwe, jabłkowite, Kareta i jej konie białe, Cicho sz.a, nie płacz, nie, Zaśnij już dzieciątko małe.

Jego głos brzmiał ochryple. Sara dostrzegła łzy. Mimo to kontynuował, przywołując znane na pamięć zwrotki, które czekały gotowe do użycia, nawet po dziesięcioleciach, w nie uszkodzonych zakrętach jego kory mózgowej.

A kiedy wstaniesz, Ciastko dostaniesz I wszystkie ładne, małe Koniki.

Sara skinęła głową, starając się pojąć sens kołysanki.

– Wszystkie ładne, małe... och, Ifni!

Odwróciła się błyskawicznie w stronę wysadzaczy.

– On widział nową grupę urs! Są już tutaj! Skręciły na południe, żeby zająć nas od tyłu!

Kurt zamrugał powiekami, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz przeszkodził mu gwizd triumfu wydobywający się z ust uwięzionych.

Ulgor wyciągnęła szyję w ich kierunku.

– Nówiłań wan, że nasze sojuszniczki frzywędają już wkrótce. Przetnijcie teraz te więzy, żewyn nogła wstawić się za wani i frzekonać nasze frzyjaciółki Urunthai, wy nie fotraktowały was nazwyt ostro.

– Saro – odezwał się Kurt, łapiąc ją za łokieć. Odtrąciła go jednak. Nie mieli czasu do stracenia.

– Kurt, zaprowadź Jomaha, Prity i nieznajomego między skały. Urunthai nie będą was tam mogły tak prędko schwytać. Może uda się wam dotrzeć na wysoko położone obszary, jeśli Koniuszek i ja ich powstrzymamy. Spróbujcie odnaleźć jakąś jaskinię. Jazda!

Odwróciła się w stronę niebieskiego qheuena.

– Jesteś gotowy, Brzeszczocie?

– Tak, Saro!

Niebieski strzelił dwoma straszliwymi szczypcami i wysunął się naprzód, całkiem jakby miał zamiar raz jeszcze stoczyć bitwę pod Punktem Handlowym Znunir.

Usłyszała czyjś śmiech. Tym razem był to Dedinger. Były mędrzec rechotał rozbawiony.

– Och, nie przejmuj się mną, siostró. Twój plan brzmi rozkosznie. Uratuje życie moje i moich ludzi. Proszę bardzo, Kurt, zrób tak, jak ona mówi! Ruszaj między skały. Jazda!

Sara błyskawicznie pojęła, co ma na myśli Dedinger. Jeśli nadciągające Urunthai przekonają się, że nie mogą ścigać zbiegów przez usiane głazami usypisko albo w głąb jakiejś ciasnej groty czy na drzewo gani,

mogą być zmuszone do odnowienia złamanego sojuszu z bandą ludzkich radykałów i wyrzeczenia się zemsty – przynajmniej na czas potrzebny pustynnym traperom na dopadnięcie Kurta i pozostałych.

Opadła z sił, widząc, że wszystko na nic.

Przeszliśmy przez tak wiele, po to tylko, by wrócić do punktu wyjścia.

– Saro... – zaczął raz jeszcze Kurt. Nagle umilkł i przechylił głowę. – Posłuchaj.

Na polanie zapadła cisza. W kilka chwil później ona również usłyszała zbliżający się tętent kopyt. Bardzo wielu kopyt. Pod stopami wyczuwała ich pośpiech.

Za późno, by ułożyć nowy plan. Za późno na cokolwiek poza godnością.

Ujęła nieznajomego za ramię.

– Przykro mi, że nie połąpałam się od razu, kiedy próbowałeś nas ostrzec -powiedziała, otrzepując jego ubranie z pyłu. Jeśli miał wpaść im w łapy, niech przynajmniej wygląda jak cenny zakładnik, a nie jak jakiś obdarty włóczęga. Odwdzieczył się jej niepewnym uśmiechem. Obydwoje odwrócili się w stronę zbliżającej się kawalerii.

Wypadły z mroku, spomiędzy wielkich skalnych kolumn.

To faktycznie ursy – pomyślała. Krzepkie, potężne i dobrze uzbrojone, wbiegły na polanę w zdyscyplinowanym szyku bojowym, po czym otoczyły ją ze wszystkich stron z arbaletami w dłoniach, poszukując oznak zagrożenia. Sara poczuła się zdumiona i lekko urażona, gdy straż przednia po prostu zignorowała stojących ludzi oraz Brzeszczota, nie uznając ich za groźnych.

Jeszcze bardziej zaskakujące było to, że ursy nie zwróciły zbytniej uwagi na związanych jeńców i zostawiły ich tam, gdzie leżeli.

Sara zauważyła, że barwy wojenne nowo przybyłych nie przypominały kolorów bandy UrKachu. Były bardziej powściągliwe, namalowane gładzszymi, płynniejszymi pociągnięciami. Czy mogło to znaczyć, że to wcale nie były Urunthai?

Ujrzawszy wyraz trwogi na twarzy Ulgor, Sara zdała sobie sprawę, że nie jest to banda "przyjaciół", której spodziewała się maj sterka. Ożyła w niej wątła iskra nadziei. Czy to mogła być milicja? Nie nosiły formalnych opasek ani bluz. Nie zachowywały się też jak typowa

jednostka uryjskiej milicji – miejscowe pasterki, które co ósmy dzień ćwiczyły dla zabawy, o ile pogoda była sprzyjająca.

Co to za zgraja?

Zwiadowcy dali gwizdem znak, że okolica jest czysta. Na teren oświetlony blaskiem ogniska weszła niespiesznie starsza wiekiem ma-trona o posiwiąłej obwódce wokół pyska. Podeszła do ludzi z Dolo i pochyliła z szacunkiem szyję.

– Wyrażany żal z fowodu naszej ofieszności, frzyjaciele. To snut-ne, że nieliście kłofoty, ale Cieszyny się, że daliście sowie z nini radę weź fonocy.

Sara wytrzeszczyła oczy, gdy Kurt potarł nosem o nos wiekowej ursy.

– Nie spóźniasz się, jeśli przybywasz w ostatniej chwili, Ulashtu. Wiedziałem, że wywieszysz nasze trudności i przybiegniesz do nas...

W tym momencie Sara przestała śledzić rozmowę. Nieznajomy pociągnął ją do siebie, ściskając mocno jej ramię. Przez jego skórę przebiegało nerwowe drżenie.

Z ciemności wyłoniły się kolejne postacie.

O zadziwiających kształtach.

Z początku pomyślała, że to druga grupa urs wyposażonych w wojenny ekwipunek. Bardzo wielkich urs, o dziwnych, sztywnych szyjach i osobliwym sposobie poruszania się. Na moment przypomniała sobie starożytną płaskorzeźbę, która ongiś otaczała Partenon. Tę, która wyobrażała straszliwe, mityczne centaury.

Po chwili westchnęła z ulgą.

Co za głupota. To tylko ludzie jadący na osłach. Ifni! W takim mroku każda zwyczajna rzecz wydawałaby się tajemnicza, zwłaszcza po wszystkim, przez co prz...

Zamrugnęła powiekami i przyjrzała się raz jeszcze.

To były wielkie osły. Stopy ludzkich jeźdźców nie ciągnęły się po ziemi, lecz były wysoko nad nią. Siedzieli oni okrakiem na potężnych tułowiach, które zdawały się pulsować surową, zwierzęcą siłą.

– To one! – krzyknął Jomah. – Istnieją naprawdę! A jednak nie zabito wszystkich!

Sara poczuła się tak, jakby ujrzała smoki, dinozaury albo jeleniogryfy wychodzące żywe z kart książki z obrazkami. Sen, który dla niej

stał się rzeczywistością, a dla innych koszmarem. Pojmane Urunthai zawyły z gniewem i rozpaczą, gdy zdały sobie sprawę, co wstępuje na oświetlony ogniskiem obszar. Oznaczało to, że ich jedyne wielkie osiągnięcie – jedyny tytuł do chwały ich sojuszu – był w rzeczywistości niepowodzeniem. Farsą.

Jeźdźcy zeszli na ziemię. Sara zdała sobie sprawę, że to wyłącznie kobiety. Zauważyła też, że kilka wielkich zwierząt podąża z tyłu. Miały siodła, lecz nie dźwigały żadnego innego ciężaru.

Nie – pomyślała, zrozumiaławszy, czego od niej zażądają. Nie mogą się spodziewać, że wdrapię się na coś takiego!

Najbliższe stojące zwierzę parsknęło, gdy nieznajomy wyciągnął rękę, by pogłaskać je po olbrzymim łbie. Z pewnością ważyło więcej niż cztery czy pięć urs. Jego paszcza była tak wielka, że mogłoby w całości połknąć ludzką rękę. Mimo to człowiek z kosmosu przytulił policzek do jego potężnej szyi.

Ze łzami w oczach zaśpiewał raz jeszcze.

A kiedy wstaniesz, Ciastko dostaniesz I wszystkie ładne, małe Koniki.

Epilog

To dziwny wszechświat.

Rozważa tę prawdę, nie ujmując jej w słowa. Tak jest łatwiej.

Odnalazł ostatnio wiele sposobów na wyrażanie pojęć bez pomocy natrętnych, mlaskających, brzęczących hałasów, które ongiś wypełniały cały jego umysł.

Muzyka i piosenki. Cyfry. Szkice ołówkiem. Uczucia. Oraz niezwykle kolory rzucane przez zabawne żywe zasłony, które niekiedy noszą mieszkańcy tego świata.

Rewqi.

Potrafi pomyśleć nazwę tych zwierząt i jest dumny ze swego wyczynu.

Gdy jego stan powoli się poprawia, przekonuje się, że łatwiej mu przychodzą na myśl ważne imiona.

Sara, Jomah, Prity...

A także niektóre inne słowa, czasem dwa albo trzy naraz.

Pamięć również staje się bardziej klarowna. Przypomina sobie na przykład statek wywiadowczy strącony podczas bezowocnej próby odwrócenia uwagi nieprzyjaciela, odciągnięcia statku

myśliwych od ich ofiary.

Nie powiodło mu się. Nastąpiła seria trafień, a po niej okres, który wciąż był dla niego zamazaną plamą, niejasnym wspomnieniem szybkich ruchów i zmian... po którym runął na ziemię ogarnięty płomieniami i rozbił się...

Nie, nie. Pomyśl o czymś innym.

Jazda. To był znacznie przyjemniejszy temat rozważań. Dosiadanie osiodłanego zwierzęcia. Pełnego werwy konia. Uderzająca do głowy, zaskakująca radość związana z tą czynnością, gdy twarz owiewał mu chłodny wiatr przynoszący ze sobą tysiąc zdumiewających zapachów.

Jakie to dziwne, że tak wiele rzeczy podoba mu się w tym nowym świecie! W życiu obrabowanym z tego, co czyni większość ludzi ludźmi. Z władania słowami.

I nagle sobie przypomina. Podobne zranienie już kiedyś kogoś spotkało. Jego przyjaciela.

Jego kapitana.

Przez umysł przemyka obraz. Imponująca, gładka, szara sylwetka.

Ogon z pluskiem przecinający wodę pełną maleńkich bąbelków. Wąska, butelkowata, jakby uśmiechnięta paszcza wypełniona ostrymi zębami. Mózg zraniony, lecz wciąż nadzwyczaj mądry.

Bezgłośnie wypowiada trzy sylaby.

Crei... dei... ki...

To natychmiast przywołuje dalsze wspomnienia. Kolejnych przyjaciół. Statek. Misję. Potrzebę.

Obraz podwodnej otchłani. Tak głębokiej i czarnej, że nigdy nie mogłoby do niej dotrzeć światło. Kryjówki, lecz nie azylu. Tege drugiego nie można znaleźć nigdzie w ogromnym kosmosie.

Teraz jednak, jakby uwolnione z więzienia jego choroby, coś jeszcze przemyka przez umysł, zaskakując go nagłym rozpoznaniem.

Imię.

Mam... na... imię.

Śliskie od nagromadzonej frustracji, wypada z miejsca, gdzie spoczywało zamknięte przez tak długi czas. Odbija się w różne strony, lecz w końcu nieruchomieje w jego zasięgu.

Nigdy nie powinno było go opuścić. Powinno być najbardziej znanym słowem w jego życiu, lecz wraca dopiero teraz, jak gdyby chciało powiedzieć: "Znowu jestem".

Jadąc przez noc skąpaną w egzotycznym księżycowym blasku, otoczony niezwykłymi istotami i kulturą niepodobną do żadnej znanej mu dotąd, wybucha głośnym śmiechem. Napełnia go ekstazą fakt, że stać go na tę prostą rzecz. Ten jeden, upragniony akt.

Mam... na... imię... Emerson.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

Podziękowania

Tym, którzy znają moje poprzednie utwory, ten tom może się wydawać odstępstwem od zwyczaju pisania przeze mnie powieści stanowiących samodzielną całość. Tym razem również miałem taki zamiar, lecz narracja nie przestawała się rozrastać, wykraczając nawet poza objętość opasłych tomów, takich jak Earth i Glory Season. Nie pozostawiło mi to innego wyboru, jak "wybrać ścieżkę trylogii". W tej praktyce nie ma nic wstydliwego. Trylogie mają specyficzny urok bogactwa, szerokiego ekranu i technicoloru. W przyszłości jednak postaram się planować lepiej.

Mam nadzieję wkrótce zakończyć pracę nad drugim i trzecim tomem.

Chciałbym, aby moje podziękowania za pomoc w postaci komentarzy i krytyki, co umożliwiło powstanie tej skomplikowanej opowieści, przyjęli:

Gregory Benford, Anita Everson, Joy Crisp, Mark James, doktor Bruce Miller, Jim Richards, profesor Jim Moore oraz doktor Steinn Sigurdsson. Na wdzięczność zasłużyli też członkowie SPECTRE, klubu fanów science fiction na Cal-tech: Aaron Petty, Teresa Moore, Dustin Laurence, Damien Sullivan, Micah Altman, John Langford, Eric Schell, Robin Hanson, Grant Swenson, Ruben Krasnopolsky oraz Anita Gould. Szczególne podziękowania należą się Stefanowi Jonesowi i Kevinowi Lenaghowi za pomoc w udoskonaleniu i upiększeniu moich skromnych wysiłków. Wyrazy głębokiego uznania przekazuję również Jennifer Hershey, Rałphowi Vicinanzie i Cheryl Brigham za ich poświęcenie i mądrość.

David Brin, marzec J 995

Pamięci doktora Jamesa Neale 'a, trzeciobazowego Kiwi, uzdrowiciela i przyjaciela.